



ŻYWOTY NIEŚWIĘTYCH

# BOŻA CARLA VAN RAAY LADACZNICA

Wyznania zakonnicy, która została prostytutką

**CAPRICORN**  
Media Lazar

**Carla van Raay**

BOŻA

LADACZNICA

przełożyła

Anna Wojtaszczyk

CAPRICORN

# **Media Lazar**

Łaska jest zawsze obecna.

Niechaj opuści cię nie-łaska,

czyli myśl, że łaskę utraciłeś.

**PAPAJI (HLW POONJA), BOMBAJ, 1975**

Spis treści

**Słowo wstępne**

**13**

**Przedmowa**

**CZĘŚĆ PIERWSZA**

**Katolicka dziewczynka**

**23**

**A jednak niedoskonała**

**30**

**Pierwsze upokorzenia**

**42**

**Pęd chwastu**

**48**

**Wojna i weekendy**











**Od pocałunków zachodzi się w ciążę**

**CZĘŚĆ D R U G A**

**Proszę się o kłopoty**

**141**

**Więcej kłopotów**

**159**

**Anglia**









**234**

**Witaj w domu, siostr**

**Nie tak szybko, siostró**

**Kości zostały rzucone**

**289**

**CZEŚĆ TRZECIA**

**Wolna!**

**313**

**Kup mnie**







**Zbudź się, martwa księżniczko**



Waza się rozpada

**444**

**Prosiłaś się o to, Carlo**

**470**

**Z gruntu niewinna**

**482**

**Boże dziecko**

**499**

**Do mojego ojca**



## Słowo wstępne

W „Bożej Ladacznicy” Carla van Raay z przejmującą uczciwością pisze o swoim niezwykłym życiu. W 1987 roku p o m a g a ł a m grupie kobiet i podczas kilku tygodni, jakie spędziłyśmy razem, dzieliłyśmy się doświadczeniami, rozwiązywałyśmy problemy i w końcu opowiadałyśmy historie życia -

niektóre krótkie, inne długie, z lękiem i zażenowaniem, ze łzami i śmiechem. Wszystkie te opowieści, prawdziwe i poruszające, przynosiły ulgę opowiadającym.

A wysoka, szczupła, nieśmiała, śmiejąca się nerwowo kobieta zafascynowała nas opowieściami o życiu klasztornym i podejmowanych później szaleńczych, nieprawdopodobnych usi

łowaniach, by nadać jakiś sens swojemu istnieniu. Nie sądzę, by którakolwiek z uczestniczek tej grupy mogła kiedyś zapomnieć Carlę. Wszystkie ją pokochałyśmy - za jej uczciwość, odwagę, pocieszne poczucie humoru, a najbardziej za jej niewinność. Nie wiedzieć jak, p o m i m o maltretowania, lęku, uwarunkowań i szaleńczych wyborów, jakich Carla dokonywała w życiu, udało się jej osiągnąć to, co niemożliwe - pozostała niewinna. To rzadka cecha w dzisiejszych czasach. Wszystkie kobiety z grupy, bez wyjątku, błagały ją, by napisała tę książkę.

Kiedy przewracałam kartkę za kartką, chwyciła mnie ponownie za serce ta wzruszająca i niemal niewiarygodna opowieść. Ale z drugiej strony, jeżeli znało się Carlę, nie wydawała się ona wcale niewiarygodna.

P e r s e p h o n e A r b o u r , Perth, zachodnia Australia Przedmowa

Przed wielu laty, kiedy zaczynałam pisać tę opowieść, była o n a pełną goryczy i gniewu o p e r a mydlną, mającą z d e m a skować „te wstrętne zakonnice”. Z a m i e r z a ł a m ogłosić całemu światu, co przez dwanaście i pół roku przecierpiałam w klasztorze, i rozpalic trochę gniewu na kościół katolicki i wszystko, za czym opowiada się ta instytucja.

Przestałam się kierować tą przesłanką i kiedy mój gniew osłabł, w 1986 roku zwróciłam się do ówczesnej radnej, Joan Waters, kobiety wpływowej w mieście Perth w zachodniej Australii, by pomogła mi w poszukiwaniu wydawcy. Uzbrojona we wstęp do proponowanej książki, pierwszy rozdział, streszczenie następnych oraz swoją fotografię postulanki w Zgromadzeniu Wiernych Towarzystek Jezusa (FCJ)\*, nie miałam żadnych problemów z przekonaniem jej, że tę opowieść warto wydać. Na moją prośbę skontaktowała się z prasą. Chociaż

**\* Faithful Companions of Jezus - zakon założony w 1820 r. w Amiens we Francji przez Marie M. de Bonnault d'Houet; zakony FCJ istnieją w wielu krajach Europy (w Anglii, we Włoszech, w Szwajcarii i Irlandii), a także w Australii, Kanadzie i USA; reguła opiera się na regule jezuitów (przyp. red. ).**

dokładałyśmy wszelkich starań, żeby zachować kontrolę na tekstem, we wszystkich niedzielnych

gazetach w całym kraju ukazał się sensacyjny artykuł: D L A C Z E G O Z M I E N I Ę A M

K L A S Z T O R N A B U R D E L . E K S - Z A K O N N I C A O T W A R

C I E M Ó W I O S W O J E J N O W E J R O L I .

Natychmiast zaniepokoiło to moich czterech braci i siostrę w M e l b o u r n e ; błagali mnie, żebym nie publikowała tej książki ze względu na naszych rodziców. Nie tylko poczuliby się głęboko zranieni po zapoznaniu się ze szczegółami z życia swojej niegdyś szanowanej, a teraz zbłąkanej córki, ale publikacja mogłaby również popsuć ich relacje z zakonnicami, od których byli uzależnieni. Chociaż przeszli już na emeryturę, mieszkali nadal w d o m u udostępnionym im przez zakon.

Zgodziłam się i kiedy zwrócił się do mnie wydawca, pozwoli

łam, by okazja umknęła.

Oboje moi rodzice już nie żyją, a wszystkie związki z FCJ, poza przyjacielskimi, zostały zerwane. Wiele zakonnic zamieszanych w tę historię jest teraz w b a r d z o podeszłym wieku albo już nie żyje. Bohaterki mojej opowieści są dla mnie jak róże na krzewie: niegdyś kwitły kolorowo, a teraz wiele wyblakło i o b u m a r ł o . Nie chodzi mi o to, by okryć niesławą pamięć ich kwitnienia, ale by wydestylować n a u k ę z ich czynów oraz moich. Bo czy nie wyłącznie na tym polega życie?

Bóg tchnie swym o d d e c h e m i oto jesteśmy: różane, żywe osoby, krwiste i zadufane w sobie, na scenie o b a r d z o ograniczonej przestrzeni. A p o t e m Bóg znowu tchnie - albo m o ż e westchnie, patrząc na przedstawienie - i wszyscy znikamy, wracamy do miejsca, z którego wszystko przychodzi.

Niech Bóg błogosławi tym starym różom i mnie również -

róży, która zbliża się do wieku, o którym na ogół się nie wspomina, chyba że to nieuniknione. „Boża Ladacznicza” to uczciwa autobiograficzna relacja oraz - co nieuchronne -

b a r d z o osobista interpretacja wydarzeń. Dojrzałam pod względem emocjonalnym i moja opowieść w zamierzeniu nikogo ma nie zranić. Z tego powodu pozmieniałam nazwiska, by uniknąć ewentualnej identyfikacji osób, które jeszcze żyją, a poza tym poprzestawiałam niektóre szczegóły. Członkowie mojej rodziny, d a w n e członkinie mojej zakonnej społeczności, jak również moi eksklienci w seksbiznesie spokojnie mogą utrzymywać, że moja opowieść to fikcja.

Jeżeli któraś ze wspomnianych w tej książce osób żyje jeszcze i uzna, że została niezasłużenie skrytykowana, albo będzie miała poczucie, iż nie o d d a ł a m jej sprawiedliwości, chcę powiedzieć jasno, że ta opowieść pokazuje przede wszystkim mnie samą.

Przez lata, kiedy pisałam historię Carli - dziewczyny, która dorastała na katolickim południu Holandii i przyjechała do Australii w wieku dwunastu lat, a p o t e m w dziewiczym wieku lat osiemnastu zdecydowała się wstąpić do klasztoru i opuścić go w dziewiczym wieku lat trzydziestu j e d e n - zaczęło mi świtać, że tego wyboru uniknąć *nie mogłam*, że musiałam zostać zakonnicą, a p o t e m prostytutką. Były to role, które odgrywałam, a w których wyrażała się bardziej moja nerwica niż moje prawdziwe ja. Musiałam doświadczyć tego, kim nie jestem, żebym mogła odkryć, kim

*jestem.* M o ż e tak działa życie; w moim przypadku tak właśnie zadziało.

„To, czemu się opieramy, uporczywie trwa” jest dobrze znanym powiedzonkiem. Nie rozumiałam seksu, bałam się go, tłumiłam myśli o nim i przez to przez cały czas miałam nim zaprzątnięty umysł. Później, aby go zrozumieć, eksperymentowałam na różne wspaniałe i nie całkiem wspaniałe sposoby. Moja książka opisuje i jasne, i ciemne strony życia prostytutki oraz cierpienie wynikające z bezgranicznego p o błażania sobie.

Zalety czasów, w jakich żyję, i p o m o c przyjaciół pozwoliły mi uświadomić sobie, kim jestem, i się zmienić. Pławienie się we wspomnieniach m o ż e nie być dobre, ale ignorowanie ich jest na p e w n o niebezpieczne. Z a m i e r z a m więc opowiedzieć moją historię i skończyć z nią raz na zawsze, bo już nigdy więcej nie chcę tego przeżywać!

Hierarchia w Zgromadzeniu

Wiernych Towarzystek Jezusa

(w kolejności znaczenia i zwierzchnictwa)

**Wielebna Matka Generalna.** Przełożona generalna. Stoi na czele zakonu; rezyduje w Domu Matki w Anglii.

**Wielebna Matka Prowincjonalna.** Nadzoruje prowincję; na przykład Australię (gdzie były cztery klasztory).

**Wielebna Matka/Matka Przełożona.** Rządzi klasztorem.

**Profeski wieczyste.** Zakonnice, które złożyły śluby wieczyste po okresie ośmiu i pół roku. Starszeństwo wśród nich także nadawało status.

**Profeski czasowe.** Zakonnice, które złożyły pierwsze śluby po ukończeniu nowicjatu albo odnowiły je po trzech latach od jego zakończenia.

**Nowicjuszki.** Dziewczęta, które przechodzą dwuletni okres próbny, po postulanturze, a przed złożeniem pierwszych ślubów.

**Postulantki.** Dziewczęta, które przechodzą pierwsze sześć miesięcy probacji albo okresu próbnego.

**Siostry świeckie.** Przynajmniej pracownice fizyczne, które wspierają siostry nauczycielki gotowaniem, sprzątaniami i praniem. Często otrzymują pomoc odulantek i nowicjuszek.

Świeckie siostry przechodzą podobny okres probacji jak zakonnice po ślubach wieczystych, ale nie mają prawa ubiegać się o stanowisko we władzach.

CZEŚĆ PIERWSZA

Katolicka dziewczynka

U r o d z i ł a m się dwudziestego ó s m e g o października 1938

roku, siedem minut po czwartej po południu w Tilburgu, malutkim holenderskim miasteczku. Dla mojej matki było to pierwsze i najstraszniejsze zetknięcie się z p o r o d e m . Dla mnie - pierwsze zetknięcie się z grzechem pierworodnym, który oznaczał, że j e s t e m zbyt niegodziwa, by m n i e ktoś p o całował, zanim zostanę ochrzczona.

Wybrałam sobie kapryśną p o r ę na urodziny. Z i m n e podmuchy wiatru mieszały się z ciepłymi. Przechodnie hałaśliwie roznosili po chodnikach i gankach liście, które spadały z platanów, dębów i kasztanowców. Róże jeszcze się ociąga

ły; ich woń mieszała się z ostrą wonią chryzantem i mrocznym z a p a c h e m ziemi w mgliste poranki. L a t o odchodziło i myśli ludzi zwracały się nieuchronnie ku zimie.

D o m , w którym się urodziłam, stał w rzędzie innych domów. Każdy z szeregowców miał pięterko i lukarnę w stromym dachu. Z przodu był małeńki ogródek, akurat taki, żeby zmieściły się w nim krzewy niebieskich hortensji, otoczony niskim m u r k i e m wykończonym przyjemnie zaokrąglonymi ceglami - idealne miejsce do przycupnięcia, kiedy ładna pogoda wywabiała ludzi na zewnątrz, by sobie pogadali. Podwórko za d o m e m było za małe, żeby dało się tam uprawiać jarzyny, i między innymi dlatego wyprowadziliśmy się stamtąd po wojnie.

Uliczka nosiła prowokującą nazwę Malsenhof, co oznacza

„ogród rozkoszy" albo „bujny ogród". Nie była j e d n a k godna takiej nazwy, a dziś już jej tam wcale nie ma, zniknęła, by zrobić miejsce szeregom całkiem nierozkosznych bloków.

Matki w tamtych czasach rodziły dzieci w d o m u ; lekarza wzywano wyłącznie wtedy, kiedy w oczywisty sposób groziła katastrofa. Moja krańcowa niechęć do tego, by się urodzić, została w końcu przewyciężona stalowymi kleszczami, którymi lekarz wyszarpnął mnie z wyschłego łona matki na świat.

Moja piękna m a t k a miała dwadzieścia pięć lat, mój przystojny ojciec dwadzieścia cztery, ale - decydując się na dzieci - nie za b a r d z o zdawali sobie sprawę, co robią. J e d n o natomiast nie budziło ich najmniejszych wątpliwości: mia

łam być c u d o w n y m dzieckiem, jakim nigdy nie było ż a d n e z nich. Zamierzali wychować m n i e na c u d o w n e dziecko, k t ó r e zrobi wrażenie na członkach rodziny oraz sąsiadach.

Dla matki było to nawet ważniejsze, ponieważ jej rodzina sprzeciwiała się t e m u małżeństwu, uważając, że popełniła mezalians.

Kiedy wydałam pierwszy obowiązkowy wrzask, położna wytarła mnie do czysta i podała mojej rozdygotanej matce, żebym possała pierś. M a t k a poczuła się ze mnie d u m n a , co do tego nie ma wątpliwości, i d u m n a ze swego osiągnięcia, kiedy już niemal z a p o m n i a ł a o bólu, a cały bałagan został

w zasadzie posprzątnany. A ja byłam słodka, co bardzo p o m o g ło. Z a r a z p o t e m pomyślała, że



trzeba mnie ochrzcić.

Urodziłam się w społeczności katolickiej, której członkowie wierzyli, że człowiek z natury jest grzeszny. A to oznaczało dla nich zło od s a m e g o początku o r a z w samym jądrze istnienia człowieka. Ludzie w południowej Holandii, gdzie przyszłam na świat, byli przesiąknięci religią do szpiku kości.

Wierzyli niezachwianie, że bez chrztu dusze idą do piekła.

Dla niewinnych niemowląt przeznaczono specjalne miejsce zwane otchłanią\*, jak głosił katechizm, gdzie na szczęście nie musiały cierpieć od ogni piekielnych, ale również nigdy nie miały „ogłądać oblicza Boga”. Ten fakt podała do wierzenia któraś z bulli, a odesłała go na śmietnik inna bulla pod koniec dwudziestego wieku. W 1938 roku nie było j e d n a k wątpliwości co do istnienia otchłani. Tak więc po narodzinach starano się zwykle na łeb na szyję dotrzeć z noworodkiem do kościoła, żeby zminimalizować ryzyko, że znajdzie się o n o w tym nieszczęsnym miejscu. M a t k a niemowlęcia, która na ogół nie wróciła jeszcze wystarczająco do siebie po ciężkim przeżyciu, jakim było wydanie na świat n a s t ę p n e g o tłumoczka grzechów, rzadko była obecna na uroczystości chrztu. Po ulicy zamiast niej p a r a d o w a ł a z dzieckiem w ramionach jakaś ciotka, otoczona stadkiem krewniaczek i przyjaciółek; niemowlę leżało na poduszce, nakryte białą kapką z atłasu i koronek. Spacer był jedynym sposobem, by dostać się do kościoła, chyba że przypadkiem miało się na własność konia i powóz albo tę wielką rzadkość - automobil, a my nie mieliśmy ani j e d n e g o , ani drugiego. Jeżeli padało, kapka chroniła dziecko.

Młodsza siostra mojej matki pospiesznie i sumiennie zaniósła mnie do kościoła do chrztu i kazała nadać mi łacińskie imiona, jak nakazywała tradycja. Moi rodzice pewnie uważali, że przyda się aż trójka świętych, żeby odpędzić diabła: n a d a n o mi imiona Carolina J o h a n n a Maria.

Te imiona dostałam po moich przodkach. Pierwsze imię otrzymałam po matce mojego ojca, z pochodzenia Niemce, Caroli. Nigdy nie wołano mnie tym szczególnym zdrobnieniem od Caroliny, bo moja matka, która nie lubiła, ba, nienawidziła wszystkich Niemców (za wyjątkiem mojego ojca) i zadzierała nosa wobec rodziny swego męża, oznajmiła:

„Carola - po moim trupie!”. Wybrnęła z sytuacji, dokonując niewielkiej zmiany w pisowni i ogromnej zmiany w konotacjach imienia, i wołała na mnie Carla.

**\* Chodzi o *limbus puerorum*, raj dzieci niechrzczonych (przyp. red. ).**

„Carla” oznaczało „mocna kobieta”, i całe szczęście, skoro czekała mnie taka karma. Moja matka b a r d z o lubiła wo

łać na mnie Karelkje, kiedy była w dobrym nastroju; było to zdrobnienie od męskiego imienia Karel, pochodzącego od holenderskiego słowa „kerel”, „mocny mężczyzna”.

Los katolickiego niemowlęcia nie był taki zły, jeżeli karm i o n o je piersią, jak mnie. A byłam karmiona piersią, d o p ó ki w piętnaście miesięcy później nie pojawiła się moja siostra.

Ale czasy miały się zmienić. Holandia wkrótce poszła na wojnę. Co m o ż e bardziej istotne, wisiały nad nami również wojny w rodzinie, te prywatne bitwy, która toczą się w obrębie domów, gdzie dorastają dzieci.

Moja m a t k a była postawną kobietą, chociaż bez nadwagi, z gęstymi kasztanowymi włosami, które falistymi p a s m a m i otaczały głowę i ozdabiały gładkie czoło i piękną twarz. Powieki opadały lekko nad brązowymi oczami, a brwi tworzyły idealny łuk, zaś p e ł n e wargi dopełniały obrazu. Wychowana przez pobożnych i nobliwych rodziców, wykształciła się i by

ła dyplomowaną krawcową i nauczycielką. Podczas wojny pracowała na czarno jako szwaczka, aby dorobić i utrzymać nas wszystkich przy życiu. Kiedy była nastolatką, martwiło ją, że jej rodzina jest zamożna, podczas gdy inni ludzie są tacy biedni. Temu problemowi dato się łatwo zaradzić: wyszła za m ąż za człowieka, który posiadał skrzypce, był nieprzyzwoicie przystojny i nic poza tym.

U r o d a mojego ojca należała do tych zapierających dech w piersiach: był wysoki, muskularny i d o s k o n a l e proporcjonalny. Rysy twarzy miał niezwykle r e g u l a r n e , piękny prosty nos, szare oczy i twarz bez j e d n e j zmarszczki. K w a d r a t o w a szczęka była jak wyrzeźbiona, a usta - no cóż, zdecydowane - tym słowem, m o ż n a by je najlepiej opisać. Był człowiekiem praktycznym i s p o r o wiedział o tym, jak robić różne rzeczy, jak h o d o w a ć rośliny w ogrodzie i jak naprawiać buty.

Ojciec miał liczne rodzeństwo; zanim się urodził, jego rodzice przestali już sobie zawracać głowę kołyskami i łóżeczkami - trzymali go w dolnej szufladzie komody. Opowiadał

tę historię z nutką p e ł n e g o ironii h u m o r u , ale chyba to prze

życie zostawiło w nim nieprzemijające poczucie szoku i żalu.

Miejscem narodzin ojca był K r a n e n b u r g , miasteczko po

łożone tak blisko granicy holendersko-niemieckiej, że mieszkańcy mówili o b o m a językami, chociaż jego rodzina wołała niemiecki. J e d n a k u d a ł o im się bez żadnych kłopotów osiedlić w Holandii, kiedy mój ojciec miał siedemnaście lat, i utrzymywać, że są narodowości holenderskiej.

Tuż przed wybuchem wojny mój ojciec miał dwadzieścia pięć lat. Dostał powołanie do holenderskiej armii, gdzie przez krótki czas kwestionowano jego lojalność. Nie miał

najmniejszych skrupułów, żeby walczyć za H o l a n d i ę : w końcu to ten kraj dawał mu chleb i utrzymanie. Wdzięczność ojca przełożyła się na entuzjizm, z jakim bronił kraju, który teraz szczerze uważał za swój własny.

Jego wielopokoleniowa rodzina nie myślała niestety tak samo. Szczególnie krewni w Niemczech widzieli w bezgranicznym o d d a n i u ojca wobec jego nowej ojczyzny niewybaczalną z d r a d ę . Młodszy brat ojca, A n t o n , zaciągnął się do holenderskiej armii, ale stał się niemieckim szpiegiem. Ojcu serce pękało, kiedy o tym myślał, ale nie zachwiało to jego lojalnością.

D r u g a wojna światowa wybuchła w niecały rok po moich narodzinach. M a t k a zmieniła się w

kłębek nerwów, ale stopniowo uspokajała się, w miarę jak okupacja Holandii stawała się czymś prawie normalnym, a ojciec znowu wieczorami wracał z pracy do domu.

Dziedzictwem moich rodziców wyniesionym z domu było poczucie winy, jakie wywoływał seks - nic nadzwyczajnego w dręczonym poczuciem winy katolicyzmie tamtych czasów, ale warto o tym wspomnieć.

Rodzina mojej matki wywodziła się z francuskiej arystokracji i podczas rewolucji francuskiej uniknęła gilotyny, uciekając z kraju. W wyczulonej na pozycję społeczną Holandii uplasowali się wysoko ponad ludźmi z niższych warstw spo-

łecznych, z założenia bardziej rozwiązłymi moralnie, tak więc kiedy namiętność pokonała moich zalecających się do siebie dziadków, czego wynikiem była ciąża, pobrali się w pośpiechu. Matka powiedziała mi o tym, kiedy miałam wychodzić za mąż (choć ani trochę nie byłam w ciąży). A było to tak.

Moja babka spacerowała sama któregoś dnia po polach, kiedy dudniąc i grmiąc, nadciągnęła burza. Babka ruszyła w drogę do domu, a wtedy wydarzyła się straszna rzecz: piorun uderzył tuż obok niej, rozłupał drzewo i przypalił je tak, że poczerniało jak sadza. To była ostatnia rzecz, jaką moja babka zobaczyła. Oślepla albo dlatego, że błysk pioruna wypalił jej siatkówkę, albo z szoku, albo i jedno, i drugie. Obójtne, co było przyczyną - nigdy nie odzyskała zdrowia i urodziła córkę (a później jeszcze troje dzieci) ślepa jak kret.

Nie trudno wyobrazić sobie, jak to komentowano: Bóg pokarał moją babkę. Oślepił ją, ponieważ jej dziecko zostało poczęte z pożądania. A to było sprzeczne z katolicką moralnością, która nakazywała, żeby stosunek płciowy służył wy-

łącznie prokreacji, a przyjemność to sprawa drugorzędna.

Tak, to Bóg pokarał moją babkę w życiu doczesnym, by mogło być jej oszczędzone później piekło. Jej mąż, człowiek poważny, odważnie wziął na siebie część winy, ale nie musiał

przy tym cierpieć od trafienia piorunem. Musiał natomiast słono płacić niańkom.

Tak więc moja matka uważała siebie za „dziecko pożądania” i nigdy nie czuła się dobrze ze swoją seksualnością. Niesamowite było to, że ona również miała stosunek przedmał-

żeński - powtórny przejaw przeklętej chuci! Wyznała mi to, kiedy z upływem lat zatęskniła bardziej za powiernicą niż za miejscowym księdzem. *Poczucie winy*, jak napisał do mnie ostatnio mój przenikliwy przyjaciel, *szuka sposobu, żeby się usprawiedliwić*. Poślubiła mojego ojca, zdrowego, przystojnego, biednego i pożądlivego mężczyznę. Wiara, którą wyznawała, oraz przysięga świętego związku małżeńskiego nakazywały jej go słuchać - a słuchanie oznaczało uleganie jego pożądaniu. We wszystkich innych sprawach, jak się zdaje, on słuchał jej, i w ten sposób zawarli kompromis, podstawę niejeden godny małżeństwa.

O t o moja scheda. U r o d z i ł a m się katoliczką, z natury grzeszną, więc od urodzenia byłam winna, jeszcze zanim odziedziczyłam poczucie winy po matce, a następnie po ojcu, przez ten p o p ę d seksualny, nad którym nie był w stanie zapanować. Za kilka lat obsesyjne poczucie winy miało stać się tak bezwzględne, że zwróciłam się o p o m o c do diabła.

A jednak niedoskonała

M a t k a i ojciec wrzeszczeli; starali się przy tym uratować swoje prezenty ślubne. Wokół mnie razem z o b r u s e m ze sto

łu w jadalni spadała zachwycająca mieszanina bursztynu i porcelany, kiedy nagle twarde ręce ojca chwyciły mnie i podniosły spomiędzy skorup. Co za wstrząsające uczucie!

Ojciec biadał nad tą niepowetowaną stratą - przy naszych dochodach nigdy już nie mogliśmy sobie pozwolić na takie piękne i frywolne rzeczy.

J a k o dziecko nie spełniałam oczekiwań rodziców. Po pierwsze, uwielbiałam węgiel. Chcieli ukryć to przed krewnymi i próbowali powstrzymywać mnie klapsami i srogimi spojrzeniami. Ale ilekroć nie mogli mnie znaleźć, siedziałam w szafie w pobliżu kominka i smarowałam na czarno ubrania, podłogę i każdy odsłonięty skrawek ciała. Były i, inne postęпки, które zmuszały ich do krzyku. Uwielbiałam oddzierać szerokie pasy łuszczącej się tapety tylko po to, by usłyszeć ten cudowny odgłos: rrrrip! P o m i m o konsekwencji, które mi z du

zym p r a w d o p o d o b i e ń s t w e m groziły, chciałam też dowiedzieć się, co mają w środku miękkie zabawki, a zwłaszcza miś, który hałasował, jak się go przechyliło. Lista uczynków, którymi wyprowadzałam ich z równowagi, była niemal równie długa jak każdy dzień.

Bałam się, kiedy mój p a p a zrzędził tym swoim tubalnym głosem i mówił „tss, tss” jak syczący pociąg, albo wypowiadał

słowa, których m a m a sobie nie życzyła.

- *Hou je mond, J a n !* - besztala go. - Nie mów tak przy dziecku!

Ojciec często powtarzał mi, że j e s t e m niegrzeczną dziewczynką. Z d a r z a ł o się, że kiedy brał mnie na ręce, nie wiedzia

łam, czy zamierza mnie przytulić, czy uderzyć. Czasami miewałam miłego p a p ę , a kiedy indziej p a p ę , którego się bałam.

Chciałam być dla niego grzeczna i dobra. Tak b a r d z o go kochałam.

Nie miałam jeszcze roku, kiedy mój ojciec odjechał, by przez te kilka miesięcy, zanim H o l a n d i a wpadła w ręce Niemców, przygotowywać się do wojny. Wracał na przepustkę, ale częściej go nie było. Wizyty przyjaciół i krewnych rekompensowały n a m jego brak. Moja m a t k a uwielbiała gości.

W holenderskim społeczeństwie wszyscy przygotowani są do składania i przyjmowania wizyt, jakby od tego zależało życie.

Dla dzieci goście wcale nie byli zabawni. Dzieci nagle musia

ły stawać się niewidzialne, chyba że były jeszcze takie małe, że m o ż n a było podziwiać je w kołysce albo w wózku.

M i a ł a m dwa lata, kiedy przyszła w gości pewna pani. Było lato i w naszym maleńkim ogródku wspaniale kwitły h o r t e n s j e. Uwielbiałam ich cudowny niebieski kolor, niezliczone maleńkie kwiatuszki, tworzące wielkie okrągłe kule. Siedzia

łam pod długimi łodygami, przyglądając się wróblom i zięb o m , które szukały niewidzialnych rzeczy do jedzenia. Zosta

łam t a m wysłana przez m a t k ę ; powiedziała mi, że u d a mi się złapać ptaszka, jeżeli nasypię mu soli na ogon.

- I on będzie mój na zawsze? - pytałam.

- Oczywiście, kiedy go już złapiesz - zapewniła mnie, wielokrotnie kiwając głową.

Nie zwlekając, poszłam więc, żeby nabrać garstkę soli z otwartego drewnianego pojemnika w kuchni, i wpełzłam pod hortensje, żeby złapać sobie ptaszka, który miał być mój na zawsze. Siedziałam skulona, bez ruchu, z chrzęszczącą solą w prawej ręczce. Wróble przylatywały i odlatywały - mija

ły mnie tak szybko! Fruu! I już ich nie było, jak tylko mnie zobaczyły. Ale trafił się taki, który został, żeby dziobać piasek. Nie zauważył mnie. Był tak blisko... nasypałam mu soli na ogon i wyciągnęłam rękę, żeby go złapać, ale on błyskawicznie odfrunął. Nie, nie! On nie powinien mi uciec!

Pobiegłam do matki z krzykiem:

- M a m o ! Ptaszek odleciał!

Wiedziała, że przerywam jej gościowi, ale musiała przecież jakoś m n i e pocieszyć! Wargi mi się trzęsły i łzy zaczyna

ły toczyć się po policzkach. Moja m a t k a była kompletnie zaskoczona. A p o t e m stało się coś niewiarygodnego: zaczęła się śmiać! N a b r a ł a mnie i teraz śmiała się, że jej uwierzyłam.

Odwróciła się do swojego gościa i razem bawiły się tym wspaniałym żartem.

*Mamo! Jak mogłaś mi to zrobić?* Nie odezwałam się słowem; tylko stałam tam z wielkim bólem w sercu i oddycha

łam tak, jakbym miała czkawkę.

Z n a j o m a poszła, a matka nadal mnie ignorowała. Posprzątała ze stołu po podwieczorku, a p o t e m zajęła się moją malutką siostrą i zapomniała o m o i m rozczarowaniu. Nie, żeby mnie nie kochała albo z rozmysłem nie dbała o moje uczucia - w tamtych czasach z uczuciami dzieci po prostu nikt się nie liczył. Ją traktowano tak s a m o , kiedy była dzieckiem. Ja miałam dorosnąć i traktować moje dzieci w bardzo podobny sposób.

Moja matka, wykwalifikowana nauczycielka, doceniała n o w a t o r s k ą wtedy m e t o d ę n a u c z a n i a Marii M o n t e s s o r i i chociaż miałam d o p i e r o dwa i pół roku, postanowiła zaprowadzić mnie do miejscowej szkoły Montessori. Dobrze, powiedziały zakonnice, mogę zacząć od jutra.

N a s t ę p n e g o dnia upierałam się, że pójdę t a m sama.

- Nie, m a m o , niech m a m a da spokój! Z n a m drogę!

Mówiłam tak, jak o n a przemawiała do papy, b a r d z o stanowczym tonem, wyprostowana w ramionach, i m a t k a ustąpiła, chociaż nie do końca. Szła za m n ą w dyskretnej odległo

ści, kryjąc się na gankach stojących wzdłuż drogi domów, żeby mieć pewność, że się nie zgubię. A ja pewnie potupta-

łam pod właściwy adres i tego dnia zaczęło się najszcześniejsze dwa i pół roku mojego dzieciństwa.

Z tej przystani dla dzieci najlepiej z a p a m i ę t a ł a m zapachy: uspokajającą woń lawendy i talku, zapach pomarańczy - bardzo rzadkich w Holandii podczas wojny - i plasteliny, i kleju, i kwiatów w wazonach. Były tam żywe kolory, ładne czyste toalety z miskami odpowiedniej wielkości dla dzieci, i ryby w akwariach. I chociaż szkołę prowadziły zakonnice, którym ogłupiające śluby ubóstwa pozwalały na posiadanie tylko najmniejszych skrawków papieru do rysowania, było mi w niej dobrze.

Papier był drogi podczas niemieckiej okupacji. Co da się narysować na kawałku papieru nie większym od mojej dłoni?

Przerażało mnie, że mogę popełnić błąd i z m a r n o w a ć karteczkę. Z a k o n n i c e mówiły nam, że Jezus był ubogi i że ubóstwo jest cnotą. Jeśli o mnie chodzi, czułam tylko ulgę, kiedy lekcja rysunków dobiegała końca.

Ludziom ubogim w naszym okręgu przynosiło to pociechę, kiedy się im mówiło, że Bóg ma słabość do pechowców, do borykających się, do biednych i do tych w potrzebie. Żyli

śmy w biedzie, bo moja cnotliwa matka posłuszna woli męża, co i rusz zachodziła w ciążę i rodziła kolejne dzieci, które trzeba było karmić i ubierać i podczas wojny, i po niej.

W dwadzieścia lat wydała na świat dziesięcioro, a do tego dwa razy poroniła.

Ponieważ niedziela była szczególnym dniem, dniem bez pracy i obowiązków dla wszystkich, nawet dla mojej matki (poza tym, że nadal gotowała posiłki), po obiedzie biegłam prościutko do dużej drewnianej skrzynki osłaniającej bakelitowe radio i siadałam na niej. Stała przy oknie od frontu,

dokładnie w tym miejscu, gdzie brązowe pluszowe zasłony opadały aż do podłogi. Jak cudownie przytulnie było owinać się ciepłą zasłoną! I czuć, jak muzyka przepływa przez całe moje ciało! Było mi na tym pudle z muzyką klasyczną jak w raju. Kiedy padał deszcz albo wiał wicher, spędzałam tam całe godziny, otulona i niezauważana. W ten sposób wchłaniałam w siebie rytm i harmonię, namiętność i piękno.

Poza tym w każdą niedzielę mój ojciec wyjmował skrzypce i grał kilka melodii, które znał. Nauka muzyki skończyła się dla niego, kiedy pojawiły się dzieci i musiał ciężko pracować na utrzymanie rodziny. A w czasie wojny tym bardziej nie mógł ćwiczyć. Grał więc w kółko te same kawałki, ale z ogromną przyjemnością, a ja z całego serca go podziwiałam.

Jednym z ulubionych utworów mojego ojca był „Karnawał wenecki” Paganiniego, przy którym mógł improwizować.

Matkę zaczęła w końcu drażnić jego gra. Nienawidziła, jak się popisывał, oraz tego, że z pozoru nigdy nie tracił zadowolenia z siebie, chociaż grał w kółko te same melodie. Matka miała fioła na punkcie grzechu pychy. I często pogardliwie odnosiła się do jego hobby.

Ojciec lubił również swoją ustną harmonijkę. Czułam podziw dla jego umiejętności, ale matka uznawała, że to wulgarnie. Mówiła, że jego repertuar jest nudny.

Co niedzielę po mszy zgodnie z uświęconym zwyczajem odwiedzaliśmy jednych dziadków, chyba że był alarm bombowy. Jednak kiedy szliśmy do rodziców ojca, których nazywałam Oma i Opa Kokeroe (ponieważ Opa hodował gołębie które gruchały „kokeroe, kokeroe”), daliśmy się i trzeba było mnie do nich ciągnąć siłą. Ojciec robił groźną minę, a matka - no cóż, w duchu zgadzała się ze mną, więc nie dostawałam klapsów za to, że wlokłam się noga za nogą przez całą drogę.

Większość rodziny ojca napawała mnie lękiem. Poza Orną, wszyscy byli chudzi jak patyki, jakby cierpieli od niedostatku jedzenia albo miłości, albo jednego i drugiego, i było ich dużo.

stryjenki w wywijanych skarpetkach do kostek i stryjowie w ubraniach, które miały brzydki zapach. Nic na to nie mogłam poradzić, że czułam się w ich domu okropnie. Wszechobecny zapach gołębic od chodów wcale nie pomagał. Oma chodziła jak kaczka i oddychała chrapliwie; Opa był chudy i przygarbiony i miał szorstkie wąsy. Nosił wciąż te same brudne ubrania i zawsze w ustach albo w sękatych palcach miał fajkę. On również ciężko oddychał.

Wolałam chodzić do domu rodziców mojej matki, gdzie meble zrobione były ze skóry, wszystko lśniło i stały kwiaty w wazonach. Przed oknami wykuszowymi wychodzącymi na szeroki wysadzany drzewami chodnik rosły krzewy, a po drugiej stronie drogi rozciągał się park.

Moje stosunki z dziadkiem ze strony matki były dosyć oficjalne. Chociaż się lubiliśmy, nie pamiętam, żeby powiedział

do mnie coś, co zrobiło na mnie szczególne wrażenie. W ogóle należał do ludzi poważnych. Prowadził przedsiębiorstwo importowe i zawsze pierwszy w mieście kupował najnowsze zdobycze

technologii: pierwszy gramofon, pierwszy samochód na naszych brukowanych drogach, pierwszy telefon.

Po kościele mężczyźni grywali w karty na pieniądze. Kiedy skupiali się na grze, popijali whisky i palili, pokój wypełniał

intensywny zapach kosztownych cygar. Zachwycało mnie, że uczestniczę w czymś tak podniecającym, chodząc wokół sto

łu i układając w p o r z ą d n e stosiki monety, b ę d ą c e stawką w grze. W ten sposób mogłam poczuć dreszcz tajemnicy i część tych przyjemnych emocji, które elektryzowały a t m o sferę. Mój dziadek lubił, jak tam byłam, moja m a t k a o p o n o wała, ale słabiutko. W ten sposób miałam b a r d z o niewiele do czynienia z moją ślepą babką, która chyba cały czas leżała w łóżku. Wyglądała na b a r d z o bladą i starą. W d r a p a ł a m się raz na duże, okryte koronkami łoże. Oczy babki miały taki sam kolor jak moje kulki do gry, ale w ogóle mnie nie widzia

ła. W ustach zostało jej niewiele zębów. Jak się czuła? Nie reagowała, więc moje zainteresowanie osłabło i szybko wyszłam z pokoju.

P o m i m o kalectwa i choroby moja babka wydała na świat trzy dziewczynki, a p o t e m mojego wuja Keesa, którego uwielbiałam. Miała zaledwie pięćdziesiąt cztery lata, kiedy umarła. Położono ją w trumnie na nieskazitelnie białym atlasie, z białymi liliami dookoła. Jadalnia została chwilowo przekształcona w salon pogrzebowy z czarnymi firanami na ścianach, czarnymi zasłonami i parawanami. Po obu stronach babki ustawiono wysokie woskowe świece. Babka wyglądała tak pięknie i spokojnie, że podeszłam do niej bez lęku, by spojrzeć z bliska w jej twarz. Pod b r o d ą miała koronkowy kołnierz, a na sobie nową czarną suknię. Jej dłonie byty zło

żone tak, jakby się modliła. Pomyślałam, że m i m o bladości wygląda lepiej niż kiedykolwiek.

Aż podskoczyłam, kiedy ktoś z dorosłych zauważył mnie w pobliżu zwłok i głośnym, nagłym szeptem kazał mi „wracać tutaj”. „Tutaj” było miejscem, gdzie u stóp trumny w pełnej szacunku odległości stali wszyscy dorośli, cicho ze sobą rozmawiając. Czmychnęłam i wtuliłam się w spódnice matki.

Wszyscy martwili się o dziadka, który rozpaczał po babce.

Podążył za nią pięć lat później.

• • •

Okupacja Holandii trwała, a życie toczyło się nowymi d r o gami. Przyzwyczaiałam się do widoku niemieckich żołnierzy z bronią gotową do strzału, patrolujących ulice. Zwykle byli to młodzi, tęskniący za d o m e m mężczyźni, których peszyły złe słowa rzucane przez co odważniejszych ludzi.

Moja ciotka Rita rozwrzeszczała się na nich pewnego dnia w napadzie furii, kiedy razem z moją matką i z e m n ą szła na zakupy. Jej mąż byt Ż y d e m , a ona знаła wielu Żydów, którzy zostali wywiezieni przez Niemców i nikt o nich więcej nie słyszał. M a t k a zmobilizowała nagle wszystkie



siły, by energicznie odciągnąć ciotkę Ritę z drogi. Kiedy dotarliśmy do alejki na tyłach naszego domu i uniknęliśmy konfrontacji z żołnierzami, których na odległość obrzucała obelgami, kamień spadł nam z serca. Skończyło się na tym, że ciotka Rita się rozsłochała. Jej mąż, sprzedawca dywanów, miał tyle szczęścia, że udało mu się uniknąć deportacji, i po wojnie zamieszkali w Amsterdame.

Podczas wojny ludzie często głodowali. Siły okupacyjne potrafiły zarekwirować świnie z podwórka za domem, jeżeli się o niej dowiedziały, a do tego jeszcze jarzyny. Żywność w sklepach była racjonowana. Na każde gospodarstwo domowe przypadały kartki na zakupy. Ceny były skandaliczne, a czarnorynkowy handel kwitł. Dorastałam w czasach, kiedy dzieci stawały się świadkami różnych podstępów; ludzie rozmawiali ze sobą przyciszonym głosem, ale kiedy zadawało im się pytanie wprost, okazywało się, że o niczym nie wiedzą.

Wesoły rzeźnik z okrągłymi rumianymi policzkami przynosił

nam kawałki mięsa, za co by go powieszono, gdyby ktoś się o tym dowiedział. Ale za to odchodził z naprawionymi przez ojca butami i z suknią dla żony, którą matka uszyła poprzedniej nocy.

Wojna spowodowała, że niektórzy ludzie stali się przedsiębiorczy, łącznie ze mną. Wszyscy braliśmy udział w strącaniu węgla z tyłu węglarek. Nie wolno było wykradać rzepy chłopcom, ale jeżeli cię nie przyłapali, nie wpadałeś w kłopoty.

Wiele było dni, kiedy my, dzieci, siedziałyśmy rzędem na ceglanych murkach przed naszymi domami i chrupałyśmy surową rzepę i brukiew, przeznaczone dla krów. Ta sytuacja mia

ła się naprawdę poprawić dopiero w kilka lat po zakończeniu wojny.

W tym pełnym zagrożeń czasie moja matka urodziła czworo dzieci; „błogosławieństwo Boże” nie opuściło jej, mimo że trwała wojna. Właściwie to Pan Bóg wydawał się nie zwracać na nią w najmniejszym stopniu uwagi.

Mój ojciec był bardzo przystojny, zwłaszcza w wojskowym mundurze, a mama miała romantyczne serce. Kiedy Richard Tauber występował w radiu, śpiewała piosenki razem z nim.

Śpiewała, że jest radością jej serca. I tam, gdzie jest on, pragnie być i ona. Ogarniało ją zawsze wielkie wzruszenie. Mamy fotografię rodzinną, zrobioną przez profesjonalnego fotografa, na której ojciec jest w mundurze. W życiu nie widzia

łam nic bardziej sztywnego.

Na jednym z rodzinnych zdjęć jest mój przystojny ojciec, moja dumna, pruderyjna matka, moja młodsza siostra Liesbet, mój maleńki braciszek Adrian oraz ja; a paratuchwył

mnie w chwili, kiedy udawałam, że gwizdzę. Ojciec nauczył

mnie gwizdać, ale musiałam być ostrożna. Kiedyś schronili

śmy się w piwnicy p o d schodami, a ja zagwizdałam, doskonale imitując b o m b ę , która zdawała się lecieć prosto na nas.

Miałam d o p i e r o cztery lata i nie bałam się tego, czego nie potrafiłam sobie wyobrazić - w przeciwieństwie do moich rodziców, którzy wstrzymali oddech. Ojciec rzucił się na mnie i zacisnął dłonie na moim gardle - b a r d z o skuteczny tłumik.

Pod koniec wojny ojciec ponownie przywdział m u n d u r , żeby wstąpić do wojsk aliantów, i kiedy wracał regularnie na przepustkę, podjeżdżał wojskową ciężarówką z bronią. Pamiętam, że nasi sąsiedzi uważali go za bohatera. Właściwie nie musiał tego robić, ponieważ rozumiano, jakie byłoby to dla niego t r u d n e , skoro tyle najbliższej rodziny miał w Niemczech.

Ojciec jeździł ciężarówką do d o m u , kiedy tylko mógł, niekiedy wbrew przepisom, ponieważ był zuchwałym mężczyzną, i uwielbiał zaskakiwać żonę i rodzinę. Na naszej wąskiej brukowanej uliczce było za m a ł o miejsca, żeby ciężarówka się zmieściła, więc kiedyś „skosił” parę drzew mirtowych, które mu stały na drodze.

Któregoś dnia po lunchu zaprosił wszystkie dzieciaki z sąsiedztwa na przejażdżkę na pace pokrytej plandeką. Takiego przeżycia nikt by się nie wyrzekł i ciężarówka pełna była dzieci. Trzymałam się drewnianej klapy z tyłu. Postanowiłam wykorzystać do maksimum sławę, która opromieniała mnie dzięki niesamowitej popularności ojca: wyjęłam niedawno kupione cygaro i zapaliłam je ku niebotycznej radości patrzących; oczywiście wszystkie dzieci chciały spróbować.

Ojciec zawiózł nas na wieś, do małego lasku, gdzie często chodziliśmy spacerować i zbierać drewno. Kiedy droga zwęziła się do ścieżki między drzewami, trzeba się było zatrzymać i zawrócić. Ojciec musiał wykonać manewr zawracania na trzy, wysuwając tył ciężarówki daleko nad przepust. Zbladłam nawet bardziej niż wtedy, kiedy mdliło mnie od cygara, gdy ciężarówka, warcząc, powoli zjeżdżała z ubitej ziemi i miałam wrażenie, że zaraz runie do głębokiego kanału. Ale ojciec nie zawiódł, bezbłędnie kierował ciężarówką i dostarczył hałaśliwy tłumek bezpiecznie do rodziców, którzy czekali na ulicy jak gwardia honorowa.

Ojciec przełożył mnie później tego dnia przez kolano, ponieważ m a t k a dowiedziała o sprawie z cygarem i powiedzia

ła mu, że należy mi się kara. Niewiarygodne, ale nie był

wściekły. Przynajmniej ten jeden raz dostrzegł we mnie coś z siebie i w tym jednym m o m e n c i e byłam córeczką tatusia, a nie tylko osobką, która sprzeciwiała się m u , wykazując, jak mówił, grzeszne nieposłuszeństwo. M o ż e to wojna uczyniła go nieco bardziej łagodnym.

Do mojego ojca należał makabryczny obowiązek przywo

żenia martwych ciał z pól i okopów. To po to była ta ciężarówka. Musiał też identyfikować zwłoki, niekiedy rozkładające się, za p o m o c ą miedzianych identyfikatorów na piersiach.

Dla każdego byłoby to aż n a d t o .

Dla mnie niemieccy żołnierze byli zagadką - b a r d z o długo nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego ludzie ich nienawidzą.

Nie b a ł a m się, ponieważ ojciec rozmawiał z nimi, kiedy spotykał ich na ulicy, i ich rozśmieszał. W wielu sytuacjach jego płynna niemieczyna go uratowała.

Pewnego dnia dwóch niemieckich żołnierzy p r a w d o p o dobie uratowało mi życie, kiedy towarzyszyłam ojcu w czasie jednej z wypraw po drewno do lasu. Ojciec załadował

mnie na wózek, który pożyczył od sąsiada. Wózek miał dwa rowerowe kółka i ręczki takie jak taczki, żeby można go było pchać. Usadził mnie na jakichś workach, żeby złagodzić podskoki na wyboistej drodze. Później tymi workami miał przykryć drewno, aby Niemcy go nie zabrali.

Mieliśmy już las w zasięgu wzroku, kiedy powietrze wypełniło się wyciem syren. Alianci często przelatowali nad H o l a n d i ą, żeby b o m b a m i przytrzeć N i e m c o m nosa. Odgłos nadlatujących samolotów się zbliżał, a my byliśmy na otwartej przestrzeni, daleko od jakiegokolwiek schronienia; bomby miały spaść lada chwila! Miałam pięć lat, byłam wystarczają-

co duża, by rozumieć znaczenie syren, ale nadal czułam się spokojna: mój wielki, mocny, mądry papa z pewnością będzie wiedział, jak ochronić nas oboje. Nie będzie uciekał przed byle syreną.

Ojciec wytrwale parł przez jakiś czas przed siebie, a p o t e m podjął decyzję.

- Zaczekaj tu na mnie - powiedział, zdjął mnie z wózka i postawił obok. - Wrócę niedługo z drzewem.

Mój p a p a chciał mnie tam zostawić? Przecież mogą mnie z b o m b a r d o w a ć na śmierć, a papa mnie zostawia? O, nie, papo, nie, nie, nie! O p a d ł a m na kolana i wyciągałam do niego ręce, krzycząc, przerażona, że ojciec m n i e opuści. Mój ojciec roześmiał się i rzucił mi kilka worków.

- Okryj się tym! - zawołał.

Ogarniała mnie panika - jak zdoła ochronić mnie kilka jutowych worków? Ale on już odchodził i obejrzał się tylko raz.

- W ł a ź p o d te worki! - wrzasnął.

Zaczęłam wpełzać do j e d n e g o z nich, łkając z przerażenia, kiedy usłyszałam cichy gwizd dobiegający z drugiej strony wózka. Rozejrzałam się i zobaczyłam dwóch żołnierzy w niemieckich m u n d u r a c h , którzy kryli się p o d krzakami w rowie.

Poznałam ich po hełmach. Po oczach obydwu b a r d z o młodych żołnierzy wyraźnie widać było, że mają d o b r e zamiary; kiwali na mnie natarczywie, żebym przyszła. Nie w a h a ł a m się, tylko popędziłam do nich.

Musiałam zemdleć, bo następną rzeczą, jaką p a m i ę t a m , jest to, że obudziły mnie we własnym łóżku w d o m u podniecone głosy ojca, matki i naszych sąsiadów. Zeszłam zamroczona ze schodów i

zobaczyłam, jak ojciec pokazuje zabandażowane u d o , z którego przed chwilą wydobyto kulę.

Zauważył go w lesie amerykański pilot, który sądził, że ma do czynienia z Niemcem, i krążył, dopóki go nie trafił. Usiadłam oszołomiona na dolnych stopniach schodów, przysłuchując się gwarowi.

Mój ojciec lubił ryzyko. Pewnego dnia, kiedy był w domu na przepustce, znowu zawyły syreny, a on rzucił Niemcom wyzwanie: niech robią, co chcą. Zapalił fajkę i, m i m o protestów matki, stanął tuż za kuchennymi drzwiami, opierając się o ceglana ścianę. Właśnie się głęboko zaciągnął, kiedy odłamek pocisku wbił się tuż przy jego lewym uchu w cegły, roztrzaskując je i zostawiając głęboką dziurę w ścianie. Ojciec wrócił do środka i śmiał się ze zdenerwowania matki, która płakała teraz ze złości i ulgi równocześnie.

Miałam już prawie sześć lat, kiedy naszą okolicą wstrząsnęło pewne wydarzenie. Próbowałam jakoś zrozumieć pełne wzburzenia gesty i ochryple szeptane słowa dorosłych. Niemcy zgarnęli dziesięciu mężczyzn, kazali im stanąć p o d ceglana ścianą przędzalni bawełny, na samym skraju miasteczka, i zastrzelili w odwecie za śmierć niemieckiego żołnierza na patrolu. J e d e n z zabitych mieszkał na naszej ulicy. Przywlekli jego ciało do d o m u , zostawiając po drodze smugę krwi. Nienawiść do Niemców zapłonęła żywym ogniem.

### Pierwsze upokorzenia

Z a n i m skończyłam szkołę Montessori w wieku pięciu lat, potrafiłam już płynnie czytać i liczyć w tysiącach. Byłam pulchnym i p r o m i e n n y m dzieckiem. P o m i m o niepokojąco przeciągającego się koklusz w wieku lat trzech przetrwa

łam. W moim życiu zdarzały się przykre incydenty, zwłaszcza nocą, ale kiedy się budziłam, koszmary zdawały się znikać.

M a ł e dziecko żyje chwilą obecną, a ja nie należałam do wyjątków.

P o t e m zaczęła się szkoła podstawowa. Prowadziły ją zakonnice z p o m o c ą kilku świeckich nauczycielek. Zajmowała dwupiętrowy budynek z czerwonej cegły po sąsiedzku ze szkołą Montessori. Pod przylegającym do szkoły m u r e m w zarośniętej m c h e m wnęce na prastarych oślizgłych kamieniach stała figurka Matki Boskiej. Och, ta straszliwa nuda w nowej szkole! Potrafiłam już płynnie czytać, więc posłano mnie do wyższej klasy, ale to prawie nie robiło różnicy. Jedyłą nową i podniecającą rzeczą było zapisywanie muzyki. Toalety w tej szkole były paskudnie b r u d n e , pełne wstrętnych słów i okropieństwa. I po raz pierwszy w życiu zaczęłam się na serio bać.

Z a k o n n i c e w szkole podstawowej w Tilburgu były prawdop o d o b n i e typowymi dla lat czterdziestych na całym świecie nauczycielkami-zakonnkami. Żerowały na dziecięcej bezbronności. W naszym systemie edukacji wciąż jeszcze wykorzystuje się strach j a k o czynnik motywujący, ale zakonnikom przychodziło to szczególnie łatwo. Mogły karać i upokarzać tu i teraz, a do tego miały jeszcze w zapasie groźbę wiecznego potępienia albo m ą k czyścicowych. Sarkazm, szarpanie za uszy, szczypanie w policzki i razy wymierzane linijką w zupełności wystarczały, żeby obudzić w nas przerażenie. D o d a t k o w e narażanie się na d e z a p r o b a t ę wszechmocnego Boga naprawdę nie było już potrzebne. Z a k o n n i c e miały Boga po swojej stronie, a były przeciw nam, więc było n a

m ciężko. Nawet dotknięcie habitu zakonnicy było grzechem karalnym i groziło czyścem. A i tak u k r a d k i e m podnosiłyśmy welon albo rąbek habitu niczego niepodejrzewającej zakonnicy, wiedząc, że zarabiamy sobie odsiadkę w palących płomieniach. Czasami było warto.

Najpotężniejszą bronią w arsenale zakonnicy była doktryna o Boskiej wszechwiedzy: to znaczy, że on wie o wszystkim, co się dzieje. W każdej klasie wisiało na ścianie olbrzymie o k o i zaglądało do naszych najskrytszych myśli. Jeżeli zaplan o w a n o to tak, byśmy się nieustannie czuły nieswojo, to w moim przypadku naprawdę im się udało. Wiele razy zastanawiałam się, co powstrzymuje Boga przed tym, żeby poraził

mnie g r o m e m . Może któregoś dnia Bóg mnie zaskoczy i zwali się na mnie ceglana ściana szkoły, kiedy b ę d ę obok niej przechodziła. Z o k n a klasy przyglądałam się ścianie budynku po drugiej stronie szkolnego podwórka, w którym mieszkały zakonnice; moje oczekiwanie, że m u r się zawali, podbudowywała biblijna opowieść o końcu świata. Tak, Bóg zniszczy wszystko pewnego dnia i wezwie swoje d o b r e dzieci, by usiadły po jego prawicy, a inne skaże na wieczne potępienie.

W upalne letnie p o p o ł u d n i e ściana wydawała się drgać i trząść; koniec świata był już b a r d z o blisko, a ja nie miałam pewności, czy jestem na tyle dobra, by zasiąść po prawicy Boga. Czy Bóg czasami się myli? Może popatrzy na mnie i po-myśli, że byłam dobra, podobnie jak to zrobił Święty Mikołaj w zeszłym roku w grudniu, kiedy przyniósł mi zabawki. Czy Bogu nie pomiesza się wszystko, skoro będzie musiał zrobić porządek w jeden dzień, kiedy zapanuje taki tłok?

Katolicy w czasach mojego dzieciństwa mieli trzy sposoby, by zmienić swoje naganne postępowanie i uniknąć kary. I dobrze, inaczej ujemnego bilansu nie dałoby się poprawić.

Po pierwsze, była spowiedź, przy której - jak uważałam, dopóki to wielkie nieporozumienie nie zostało mi wyjaśnione

- każdy grzech mógł zostać odpuszczony. Po drugie, były kary, które wymierzało się samemu sobie - żeby „zdążyć przed P a n e m Bogiem”; a po trzecie, były okrzyki, czyli „ejakulacje”.

Naprawdę tak się mówiło. Były to króciutkie modlitwy, jak nam powiedziano, tak krótkie, że mknęły niczym maleńkie strzały (z łacińskiego *iacula*) prosto do nieba i do ucha Boga.

Natychmiast wyobraziłam sobie uszy Boga z wbitymi w nie niezliczonymi maleńkimi strzałami, ale szybko starałam się zapomnieć o tym pozbawionym szacunku obrazie.

Każda taka modlitwa warta była wielu darowanych dni czyścca - średnio około trzystu. Wystarczyło na przykład wykrzyknąć po prostu: „Chwała Bogu!”, żeby wybawić się od setek dni w płomieniach. Powiedziano nam, że dzieje się tak dzięki n a g r o m a d z o n y m przez Jezusa i świętych zasługom, z których katolicy mogli czerpać jak z konta bankowego. P o j e m n o ś ć tego konta oraz długość przebywania w czyśccu za niewyznane i n i e o d p o k u t o w a n e grzechy pozostawały mgliste. Ile dni dostanie się za przekleństwo albo za nieposłuszeństwo, żeby już nie wspominać o złych „myślach”, które mieliśmy przez cały czas?

Moje myśli tak się wymykały spod kontroli! Bardzo się tego wstydziłam. Często zdarzało mi się w

myślach życzyć komuś, żeby umarł, wyzywać go okropnymi słowami, trwale okaleczać. „Bóg cię widzi” oznaczało nie tylko, że nie mieli

śmy prywatności w toalecie czy we własnej sypialni ani nigdzie na całej ziemi, ale że Bóg potrafi czytać w naszych myślach przez cały czas i nigdy żadnej nie uroni. Próbowałam przekazywać moje złe myśli lalkom, robiąc z nich substytuty samej siebie. Wkrótce uświadomiłam sobie, że to na nic: Bóg potrafił przejrzeć każdy mój p o d s t ę p .

• • •

W czasie wojny na szkołę spadła b o m b a . Uczniów wysłano pod inny adres do prowizorycznych klas w sąsiedniej parafii, trochę dalej na tej samej ulicy. Po klasach hulały przeciągi i było tam zimno, ale w tamtych czasach czegoś takiego można było się spodziewać. Niekiedy zbieraliśmy z ulic jeszcze ciepłe odłamki po nalocie bombowym, z ciekawości, nie do końca zdając sobie sprawę, skąd się tam wzięły.

Do parafii przybył nowy ksiądz i zaczął prowadzić lekcje w niektórych klasach i spacerować po podwórku. Był młody i lubił dzieci. Ciągnęło mnie do niego, a niektóre koleżanki z klasy mówiły, że jestem jego ulubienicą. Podobało mi się, że był pełen dobrego h u m o r u , a nie zrzędlivy i pomarszczony jak stary ksiądz. Czasami wkładałam dłoń w jego rękę, a on huśtał nią albo po prostu ją trzymał.

Jąkając się, błagałam go, żeby mnie zapisał do zuchów.

Miejszem ich spotkań była szkoła Montessori; zamiast krzesełek mieli kropkowane muchomory. Ze smutkiem odmówił.

P a m i ę t a m , jak powiedział, że to tylko dla dzieci z rodzin, w których nie ma obojga rodziców albo coś w tym rodzaju.

Ale teraz cieszyłam się, że idę do szkoły, bo w czasie przerwy mogłam być z ojcem J a n u s e m . Czulałam się przy nim bezpieczna, on n a p r a w d ę kochał dzieci.

Czasem po szkole przychodził mój wujek Kees i wtedy to był n a p r a w d ę szczęśliwy dzień. Wujek sadzał mnie na swoim dużym mocnym kolanie i rozmawiał ze m n ą łagodnym, słodkim głosem. Nigdy nie był okrutny, nawet dla żartu, co często się zdarza dorosłym. Miał piękne oczy - ciepłe i lśniące -

a ja lubiałam oprzeć się o jego szeroką pierś i czuć, jak obejmują mnie jego ramiona. Nie zwracał uwagi na oburzony ton mojej matki, kiedy powtarzała: „Psujesz ją, Kees!”, a zdarza

ło się to często. Ku m o j e m u nieustającemu zdumieniu uśmiechał się tylko i podrzucał mnie na kolanie. Ośmielał się ignorować moją m a m ę ! Nie zsadzał m n i e z kolan nawet wtedy, kiedy ojciec kpił: „Niewiele wiesz o dzieciach, prawda, Kees? Trzeba je krótko trzymać!”.

Wujek Kees dał mi małą lalkę ubraną w tradycyjny holenderski strój Volendam, którą przechowywałam pieczołowicie przez wiele lat po tym, jak wujek zniknął nagle z mego

sześćoletniego życia. Kiedy przestał przychodzić, myślałam, że umarł, ale dopiero kilka lat temu dowiedziałam się, że - będąc marynarzem - miał wypadek i doznał urazu mózgu, a potem wiódł smutne życie włóczęgi aż do śmierci w wieku pięćdziesięciu siedmiu lat. Nieskrywana miłość do mnie, jego pierwszej siostrzenicy, była prawdziwym d a r e m . Moje życie być może ułożyłoby się całkiem inaczej, gdybym nie miała takiego wujka. Mogłoby o n o też być inne, gdyby nie zniknął. A po jego odejściu światelka ze wszystkich stron zaczęły gasnąć.

Założyłam, że wujek umarł mniej więcej w tym samym czasie, co mój ulubiony króliczek. Ojciec przyniósł do d o m u p u c h a t e g o białego króliczka. Zwierzak został zamknięty w klatce i opiekowanie się nim było moim obowiązkiem. Nie mieliśmy kota ani psa, więc królik stał się czymś wyjątkowym; był ładny i biały, i taki mięciutki. D a w a ł a m mu jarzyny z du

żego ogrodu za naszym nowym d o m e m i liście, i chwasty z mojego własnego ogródka. Z b i e r a ł a m najlepsze smakołyki dla tego królika.

Skąd miałam wiedzieć, że był tuczony do g a r n k a ? Pewnego dnia zniknął, chociaż drzwiczki do klatki były zamknięte.

- M a m o ! - krzyknęłam i pobiegłam do mojej matki. -

W klatce nie ma królika!

Ale m a t k a nie zwracała na mnie uwagi i ogarnęło mnie o k r o p n e uczucie, że byłam głupia, obdarzając tego królika miłością. Co gorsza, został on podany na obiad. Nikt oczywi

ście nie mówił, że to ten biały królik. Przyglądałam się, jak wszyscy nakładają sobie trochę na talerze, a p o t e m mnie też nałożyli.

Po latach, kiedy o g l ą d a ł a m niemiecki wojenny film o chłopcu, który bezwiednie zjadł swoich rodziców w zupie znalezionej w ich opuszczonym d o m u , wróciło do mnie wspomnienie tego obiadu. Nie mogłam wtedy protestować - oberwałabym pasem, gdybym odmówiła jedzenia i rozbudziła uczucia, o których nikt nie chciał wiedzieć. M i m o t o , jedząc tego królika - mojego zamordowanego ulubionego królika -

w jakiś sposób przyłączyłam się do ich spisku, chociaż było mi niedobrze. Przyłączyłam się do kłamstwa, że uczucia dzieci nie mają znaczenia, że *moje* uczucia nie mają znaczenia.

A przecież rodzice nie byli potworami - ani trochę. Byli szczerymi i utalentowanymi ludźmi i mieli świetne poczucie h u m o r u . Tak się złożyło, że należałam do dzieci, których p o czucie sprawiedliwości łatwo urazić i które nienawidzą, kiedy ktoś podaje w wątpliwość ich zdanie. P r a w d o p o d o b n i e otrzyma ł a m te cechy w spadku, j a k o że mój ojciec również nienawidził, kiedy ktoś p o d a w a ł w wątpliwość j e g o z d a n i e , a zwłaszcza kiedy robiło to m a ł e dziecko. M o ż e bezradny gniew, jaki ogarniał go, gdy krytykowała go i lekceważyła jego żona perfekcjonistka, powodował, że wyładowywał frustrację na swoich dzieciach.

W przypadku dziecka grzechem było upierać się przy swoim zdaniu, a nawet twierdzić, że się je ma,

zwłaszcza jeżeli dziecko było dziewczynką (w katolickich naukach nie znalazłam usprawiedliwienia dla tego poglądu). Cały kościół

zresztą był i jest żywym przykładem męskiej dominacji.

W tamtych czasach dzieci nie mogły sprzeczać się z dorosłymi, bo spotykało się to z głębokim oburzeniem. Jeżeli nie uciszył nas krzyk, następowało lanie twardą ręką albo czymś gorszym. Mój ojciec dał sobie zresztą spokój z mówieniem i spuszczał na mnie lanie z wściekłością, nad którą coraz trudniej było mu zapanować.

A mój upór, nad którym rodzice tak ubolewali - o r a z towarzysząca mu pewność siebie - zostały dosyć nagle p o d k o p a n e . Pewnego dnia ojciec uznał, że trzeba mnie u t e m p e r o -

wać. I dopilnował, żebym albo się poddała, albo umarła.

Pęd chwastu

Chodziłam do szkoły podstawowej d o p i e r o od kilku miesięcy, kiedy nagle zaczęłam lecieć z wagi. O n a tak szybko r o

śnie - mówili wszyscy - m o ż e dlatego zrobiła się taka chuda, i do tego jest taka nieśmiała. Mogli jeszcze d o d a ć „taka nie

śmiała, że boi się na człowieka patrzeć i wolałaby, żeby jej nikt nie zauważał”.

Powodem nie było to, że zaczęłam szybciej rosnać, tylko straszliwy sekret. Nie m o g ł a m się z nikim podzielić tym mrocznym i smutnym brzemieniem.

Nie mogłam nikomu się zwierzyć, nawet księdzu, a *zwłaszcza* ojcu Janusowi. Ten powracający koszmarny sen, ten koszmar, który dręczył mnie od trzech lat, przed którym nie mogłam uciec; koszmar, w którym mój papa wpełzał głęboką nocą do mojego łóżka jak duch. Zaspaną, półprzytomną, odkrywał

mnie i całował, i przesuwiał swoimi szorstkimi rękami po moim ciele. Ojciec nigdy nie całował swojej małej dziewczynki za dnia, kiedy wszyscy patrzyli, ale nocą przykładął duże, mokre, cuchnące tytoniem usta do mojej buzi, gorące, smrodliwe powietrze wydobywało się z jego nosa, pocałunek był nieustępliwy, a od zarostu na jego twarzy bolała mnie skóra.

To było takie z a g m a t w a n e ! C u c h n ą ł tak o k r o p n i e , że wprost nie do zniesienia, ale nie m o g ł a m uciec, kiedy pocierał czymś śmierdzącym i oślizgłym po mojej twarzy, a p o t e m - o zgrozo - wkładał mi to b r u d n e coś do ust. Czy to był jego język? Nie potrafiłam powiedzieć. Nie, chyba nie, ale co to było? Marzyłam, żeby całkiem stracić czucie. Nie m o g ł a m się odwrócić; przytrzymał ręką moją twarz, a zresztą nie ośmieliłabym się. Tak t r u d n o było oddychać.

Mój p a p a sapał i pojękiwał, a p o t e m ciepły gęsty s t r u m i e ń tryskał mi do gardła. O k r o p n a lepkość w ustach. Marzyłam o czystej wodzie, ale jej nie było; była tylko miłosierna niep a m i ę ć snu.



R a n o wciąż czułam ten smak w ustach. Myślałam, że to o k r o p n y sen. Na p o c z ą t k u , kiedy m i a ł a m trzy lata, chciało mi się wymiotować; p o t e m zaczęłam c h o r o w a ć . Kaszlałam i k a s z l a ł a m całymi t y g o d n i a m i i m i e s i ą c a m i , ale nie m o g ł a m pozbyć się tego, co m n i e dławilo; nigdy nie p o t r a fiłam d o m y ć g a r d ł a . A l e s t o p n i o w o , p o n i e w a ż b y ł a m m o c n y m dzieckiem i b a r d z o k o c h a ł a m mojego ojca, j a k o ś się przyzwyczaiłam. Wytworzyło się między n a m i coś w r o dzaju konspiracji; c z u ł a m , że łączy m n i e z n i m j a k a ś tajemnica.

M a t k a mogła podejrzewać, że to się musi źle skończyć, kiedy mówiła mu „nie” i to na serio; albo kiedy miała ciężki okres, a on nie mógł spać, bo cała jego uwaga skupiała się na penisie. Wychodził z łóżka, kiedy myślał, że o n a zasnęła. Potrzebowała tego wytchnienia. O n a również miewała kosm a r n e sny i często zmieniały się one w n a s t ę p n ą ciążę. Matka nie pozwalała sobie na to, żeby wydobyć się z otaczającej ją mgły, zobaczyć, co się dzieje i położyć t e m u kres. Kiedy dostałam zapalenia pęcherza, uszyła mi p a r ę ciepłych spodni, żebym je nosiła do szkoły zamiast spódnicy, za specjalnym pozwoleniem dyrektorki.

Mniej więcej w tym czasie nam, uczennicom, opowiedziano historię o tym, jak umarł Jezus. Nauczycielka opowiadała ze szczegółami, jak Jezusa biczowano i jak pocił się krwią, i jak wciśnięto mu na głowę cierniową k o r o n ę .

Wszystkie te obrazy wydawały się takie nowe i żywe, i brutalne. Nigdy nie słyszałam bardziej przerażającej opowieści i czułam, że zaczynam tracić przytomność.

- Po tym, jak Jezus to przecierpiał, przybito go do krzyża.

Żołnierz wbił mu młotkiem gwóźdź w każdą rękę i w każdą stopę.

*Bum, bum, b u m !* - dudnił ten młotek w mojej głowie.

- Potem podnieśli krzyż i postawili go pionowo, a po jakimś czasie inny żołnierz wziął włócznię i wbił ją Jezusowi w serce, żeby mieć pewność, że on umarł.

Poczułam, jak coś dźga mnie w piersi, zrobiło mi się niedobrze.

To było p o n a d moje siły. Głowa opadła mi na ławkę, nie byłam w stanie patrzeć na nauczycielkę. Potem o n a dodała niemal od niechcienia, że Jezus cierpiał to wszystko za nasze grzechy. My, dzieci, przyczyniliśmy się do jego śmierci! Ja przyczyniłam się do tego, że on umarł!

Gęsty, palący, mroczny, ciężki wstyd za grzechy uderzył

w moją duszę. Czułam, że ja bardziej niż ktokolwiek inny zraniłam Jezusa. Dlaczego? Przez tę straszną rzecz, która wydarzyła się w naszej szopie na węgiel.

Do szopy na węgiel dobudowanej do kuchni wchodziło się z maleńkiego zamkniętego podwórka, na którym mieściła się również toaleta nazywana W C , chociaż nie było w niej żadnej wody. Musiałam przejść obok szopy na węgiel, żeby skorzystać z toalety.

Ten przenośny klozet opróżniało się na p o d w ó r k o za dom e m , gdzie rosły wspaniałe jarzyny. Z a p a c h z pojemnika był

tak odrażający, że nauczyłam się wstrzymywać oddech. Kiedy do toalety szedł mój ojciec, nie m o ż n a było wytrzymać nawet na otwartym podwórku. Może przez to, że palił cygara albo że jadł mięso, albo przez to, że zaczynał mu się rak jelit, albo dlatego że tak często się złościł. Niezależnie z jakiej przyczyny, smród był nie do zniesienia.

Szopa na węgiel pełniła również funkcję warsztatu mojego ojca, który robił i naprawiał nasze buty i tworzył zabawki na Boże Narodzenie i urodziny. Ojciec robił piękne zabawki; wtedy byt d o k t o r e m Jekyllem. Zrobił mi wózek, cudowny domek dla lalek i konia na biegunach, i pomalował je wszystkie na żywe kolory. M ó w i o n o nam, że w szopie na węgiel ukrywa się również Czarny Piotruś, pomocnik Świętego Mikołaja, żeby dowiedzieć się, czy byliśmy grzecznymi dziećmi, czy nie. Przebywał tam tylko przez kilka tygodni przed szóstym grudnia. Ale przeważnie w szopie na węgiel czułam się bezpiecznie; czasami odwiedzałam p a p ę , by przyglądać mu się przy pracy.

Pewnego dnia zawołał mnie t a m i szybko zamknął drzwi, nie zapalając lampy, tak że do środka wpadało jedynie światło spod drzwi. Szorstko mnie chwycił za ramię i czułam, jak mu się ręka trzęsie, kiedy wciągał mnie głębiej do szopy.

Udzielił mi się jego strach, atakujący mdlącą falą. Nigdy wcześniej go takim nie widziałam.

Twarz ojca wykrzywiła się w straszliwy sposób, ledwie mógł wydobyć z siebie słowo. Jego dłonie przesunęły się najpierw po moich ramionach, potrząsając nimi gwałtownie, a p o t e m nagle znalazły się na szyi i zaczęły mnie dusić. Głos brzmiał nieprzyjemnie, chrapliwie i zupełnie inaczej niż w d o m u . Czułam dotkliwy smutek i strach, i nie miałam p o jęcia, z jakiego powodu się tak zachowuje. Czy nie mógł spojrzeć w moją twarz? Uwielbiałam go! Mój papa! *Proszę, nie rób tego, papo! Nie rób mi krzywdy! Jestem twoją małą dziewczynką! Kocham cię!* Ale mój ojciec się bał. Nie docierało do niego, że dusi sześćioletnią córkę; chciał tylko j e d n e g o : poczuć się bezpiecznie.

- N i k o m u o tym nie mów... - wydyszał, wtykając mi palec do ust, żeby dać do zrozumienia, o co mu chodzi; nie potrafił zdobyć się na to, by ubrać w słowa coś, do czego nigdy się w dzień nie przyznawał. Jego wykrzywione usta wypowiadały słowa niewyraźnie, powracał do dialektu, jakiego nauczył się na ulicach. - Nie rozmawiaj o tym! Zwłaszcza z księdzem!

Rozumiesz? Z nikim! - Żyły nabrzmiały mu na czole, oczy miał szalone, zgrzytał zębami. I nagle pozwolił mi opaść na pokrytą sadzą podłogę. U p a d ł a m jak tłumoczek u jego stóp, nie byłam w stanie odpowiedzieć, w jednej chwili chciałam go przebłagać, w następnej umrzeć, aż w końcu zaczęłam się bać, że naprawdę u m r ę .

Nie mógł mnie w ciemnościach zobaczyć, więc nie wiedział, czy zrozumiałam, kopnął mnie, żądając odpowiedzi.

Kopnął mnie w dół pleców i jakoś udało mi się usiąść.

Wszystko stało się bardzo szybko. Pochylił się n a d e m n ą i był

diabłem i najdroższym na świecie człowiekiem w jednej osobie. Kiwałam głową, prawie nie oddychając, dezorientowana, nie rozumiejąc, co było we mnie aż tak złego, że mój ojciec to robi. Ani przez chwilę nie przyszło mi na myśl, że to mój p a p a jest zły. Nie. Jeżeli traktował mnie w taki sposób, musiałam być naprawdę b a r d z o niedobrą dziewczynką.

Położyłam się znowu w ciemnej szopie, wyczerpana. O j ciec wyszedł wielkimi krokami, drzwi za nim się zatrzasnęły.

W tej chwili bezkresnej rozpacz nie mogłam zawołać matki.

Z a m k n ę ł a m oczy i straciłam przytomność. Kiedy się ocknę

łam, gdzieś głęboko w żołądku zaczęła we mnie narastać panika, lęk przed tym, że ktoś się dowie. Nigdy nie mogłabym wypowiadać się z mojego przewinienia, bo zrozumiałam, że nie wolno mi rozmawiać z księdzem. Byłam złą dziewczynką, której nie da się wybaczyć. Pozostało mi tylko ukryć jakoś to swoje zło przed otaczającymi mnie ludźmi. Ale nawet gdyby udało mi się przekonać ludzi, że ze m n ą wszystko w porządku, nie m o g ł a m koniec końców wygrać, bo Bóg wiedział

o mojej niegodziwości. Przerazała mnie perspektywa śmierci, bo wierzyłam, że pójde prosto do piekła. Miałam d o p i e r o sześć lat, nie byłam zbyt m ą d r a .

Snułam się jak we mgle. Nie mogłam poradzić sobie ze swoimi emocjami, bólem i strachem. Może życie stawało się coraz bardziej nierealne, w miarę jak zamęt ogarniał moje myśli. Coraz trudniej było mi odróżnić jawę od snu. Zastanawiałam się z przerażeniem, czy odrobiłam lekcje albo wypełniłam inne obowiązki, czy m o ż e mi się to tylko śniło? Robi

łam różne rzeczy po dwa razy, bo to, co realne, oddalało się o d e mnie.

Pamiętam ten straszliwy zgiełk w mojej głowie! Czułam się udręczona, uwięziona. Ojciec J a n u s był moim przyjacielem.

Zaczynałam mu ufać i rozmawiać z nim, ale teraz koniec z rozmowami! Nie mogłam zwrócić się do niego ani do żadnego innego księdza, nie mogłam się wypowiadać, nie m o g ł a m zwrócić się do Boga.

Pozostawała jeszcze matka. M o ż e o n a zrobi coś, żeby mi p o m ó c . Ale była zbyt zajęta, by usiąść z którymś ze swoich dzieci i chociażby zapytać, co słychać. Na jakieś intymne rozmowy tym bardziej nie starczało jej czasu.

W rozpacz znalazłam swoje własne rozwiązanie po tym, co przeżyłam w szopie na węgiel. Ktoś tak niedobry jak ja mógł zwrócić się do diabła i zawrzeć z nim układ. Żarliwie pragnąc zyskać na czasie i uniknąć ognia piekielnego, modli

łam się do Złego, bo potrzebowałam oprzeć się na kimś potężniejszym niż ja sama.

- Lucyferze - zaczęłam z wahaniem, przerażona, że jeszcze bardziej obrazę Boga tym przerwaniem się z j e d n e g o przymierza na drugie - potrzebuję twojej pomocy. Jestem bardzo niedobrą

dziewczynką. Jestem taka niedobra, że Bóg przestał już być moim przyjacielem. Chcę, żebyś ty został moim przyjacielem. Proszę, p o m ó ż mi nie umrzeć.

Ta haniebna modlitwa do diabła wyływała z najczarniejszej rozpacz i osamotnienia. Po jakimś czasie uwierzyłam, że zostałam wysłuchana. Przeżyłam. Ale miałam wielkie poczucie winy wobec Boga. Nie pozwalało mi oddychać ani jeść, przestałam sobie radzić z różnymi rzeczami, co wyśmiewali ojciec i dzieci w szkole.

- Co za idiotka! To zadanie, które oddała, jest spóźnione o cztery dni! - słyszałam.

Spóźniłam się pewnego dnia po obiedzie, bo utknęłam w wysokim krzeselku mojego młodszego brata. Po co ja w ogóle p r ó b o w a ł a m w nim usiąść? Nie m o g ł a m się wydostać, a śmiech matki, która bawiła się moim kosztem, d o p r o w a d z a ł m n i e do jeszcze większej rozpacz. Chyłkiem w y m k n ę ł a m się z p o w r o t e m do szkoły, gdzie z a s t a ł a m zamknięte na klucz stalowe bramy. Był tylko jeden sposób, żeby dostać się do środka: musiałam zapukać do drzwi klasztoru i poprosić jakąś zakonnice, by zaprowadziła mnie na przylegający do niego plac zabaw. Zaprowadziła mnie w milczeniu. Zauważyłam, że zakonnice robią opłatki do komunii; a więc stąd brały się te białe kólecza, które zmienia

ły się w Ciało Chrystusa!

Wróciwszy do klasy, nie potrafiłam wytłumaczyć jasno nauczycielce, co się stało. Kilka razy wybąkałam:

- Ja... ja... ja u t k n ę ł a m w *kakkestoel!*

W moim pomieszaniu użyłam kolokwialnej nazwy wysokiego krzeselka, oznaczającej w dokładnym tłumaczeniu krzeselko do załatwiania się, ponieważ miało na środku dziurę na nocnik dzidziusia. Dzieci zrozumiały i nie mogły powstrzymać się od śmiechu. A im bardziej się śmiały, tym gorzej mi przychodziło tłumaczenie.

Ojciec nie wiedział, że jego sześciolatnia córka zwróciła się do diabła. W mojej rozpacz diabeł wydawał mi się lepszym sprzymierzeńcem niż karzący Bóg. Za każdym razem, kiedy ojciec przychodził do mnie w nocy, wydawało mi się, że się uduszę. Nie zniosłabym piekła gorszego niż to, w którym już byłam.

Ten powtarzający się koszmar, o którym wcześniej zaczęłam już napomykać ojcu Janusowi, niczym zmietoszona kula utkwiał mi w gardle. Uznałam, że najrozsądniej będzie postępować tak, bym stała się niezauważalna, najlepiej niewidzialna. Jeszcze nigdy z taką sumiennością nie zrywałam się wczesnym rankiem, by uczestniczyć we mszy (nigdy nie opuszczałam mszy, chyba że byłam bardzo chora i nie mogłam wstać z łóżka). Musiałam jeść i chodzić do szkoły, i wykonywać swoje obowiązki, ale kontakty z ludźmi bardzo mnie stresowały.

Czułam się jak niepotrzebny chwast, który toleruje się w ogrodzie dopóty, dopóki nikt nie zwróci na niego uwagi.

Nie potrafiłam zmusić się do zabawy z dziećmi. Przygląda

łam się z udręką, marząc, by się do nich przyłączyć, kiedy grupkami skakały na skakankach albo grały w klasy, albo ślizgały się na lodowych ścieżkach, które przygotowywały, wylewając wiadrami wodę na zamrożoną ziemię.

Czasem, kiedy byłam starsza, zdobywałam się na odwagę i przyłączałam się do nich, zwłaszcza jeżeli ślizgały się po lodzie. Trzeba było wziąć rozbieg, p o t e m wskoczyć na cienki pasek lodu i próbować dojechać do końca. W takich chwilach byłam szczęśliwa. Ale przez dwie zimy, kiedy miałam zapalenie pęcherza wywołane nocnymi wizytami mojego ojca (choć z nieznanymi mi powodów nigdy we mnie nie wchodził), nie m o g ł a m bawić się ha dworze. Przyglądałam się koleżankom przez o k n a na korytarzu na pierwszym piętrze, popijając ciepłe mleko z termosu.

C h u d ł a m coraz bardziej i w końcu nie dało się tego ukryć.

M a t k a nie mogła nie zauważyć, że jej córka całkiem się zmieniła, ale jeżeli nawet podejrzewała dlaczego (bo przecież zna

ła swojego męża), nic nie robiła. Ojciec, który przyglądał się, jak jego silna dziewczynka więdnie i robi się żałośnie wychudzona, ukrywał sam przed sobą przyczynę, swoją straszliwą tajemnicę. I w rezultacie jego najstarsza córka, kiedyś tak grzesznie nieposłuszna, została zaprowadzona do lekarza, ponieważ stała się z niewiadomych powodów apatyczna, mizerna i miała niedowagę. Po zakończeniu wojny wysłano mnie na kilka miesięcy do sanatorium, żebym doszła do siebie w towarzystwie wojennych sierot i cierpiących na nerwicę dzieci.

Spędziłam sześć przygnębiających miesięcy w tej prowadzonej przez zakonnice w osobliwie wojskowym stylu instytucji. Wydawały się surowsze niż zakonnice w mojej szkole.

Strasznie tęskniłam za d o m e m , bolał mnie brzuch i tak źle się czułam, że nie mogłam jeść. W refektarzu głos niewidzialnej wszystko widzącej zakonnicy huczał z ukrytego głośnika, dosłownie mnie paraliżując:

- Carla, zjedz to! Nie próbuj oddawać jedzenia sąsiadce!

Z a k o n n i c e sprawdzały, czy nie mamy we włosach wszy, i czułam się poniżona, kiedy po raz pierwszy w życiu obsypa

ły mi proszkiem D D T moje długie blond włosy. W d o m u przyzwyczailiśmy się do niemal codziennego rytuału wybierania gnid. To była poważna sprawa dla mojej matki. Od niej nauczyliśmy się, jak zgniatać maleńkie jajeczka i sporadycznie jakąś wesz uciekinierkę między paznokciami. Nasza czujność, z której byliśmy dumni, powodowała, że nigdy nie używaliśmy trucizn. A teraz musiałam znosić mdlący zapach bia

łego proszku, m i m o że próbowałam go nie wdychać.

Z a k o n n i c e sprawdzały nawet, jak układamy się w łóżkach, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, nie ośmielając się ruszyć przez całą noc.

- Nie skub koca, Carlo! Dzieci, śpijcie wszystkie na prawym boku, a nie na sercu.

Napisałam list z prośbą o lizaki, zainspirowana przez dziewczynkę, do której przysłano kilka lizaków na urodziny. To nie do wiary, ale moi rodzice przysłali mi pudełko czekoladek, a ja schowałam je pod materacem. Czekoladki zostały niezwłocznie ukradzione, a ja poczułam się okropnie oszukana.

Wzdłuż całego podwórka biegł mur oddzielający chłopców od dziewczynek. Z z a tego m u r u dobiegały tajemnicze, hałaśliwe głosy chłopców. Chłopców, z którymi nigdy wcześniej się nie stykałam. Mój świat był dotąd niesłychanie mały; nawet w szkole podstawowej dziewczynki oddzielano od chłopców. To byli *dziwni* chłopcy i ciekawość wzięła we mnie górę, więc któregoś dnia zajrzałam przez szparę w murze.

O zgrozo! Przez tę samą szparę spoglądało na *mnie* o k o jakiegoś chłopca. Uciekłam za róg, dysząc ciężko, a serce wali

ło mi jak kopyta nieujeżdżonego konia. Nie miałam jeszcze siedmiu lat, byłam za mała, by znać słowo „płeć”, ale m i m o to podświadomie czułam, że robię coś zakazanego i miałam wyrzuty sumienia.

Tego dnia na placyku zabaw poczułam się tak niedobra, że nie zdołałam się p r z e m ó c i przystąpić n a s t ę p n e g o ranka do komunii świętej. Z a k o n n i c e codziennie prowadziły nas do kaplicy, żebyśmy wzięły udział we mszy, a ja przez blisko tydzień zostawałam na swoim miejscu, kiedy wszyscy inni kierowali się do balustrady przy ołtarzu. Wierciłam się w udreće, żeby ktoś nie zakwestionował mojego osobliwego zachowania. Personel siedział w rzędach prostopadłych do mojego; była to d o b r a pozycja, by obserwować dzieci. Byłam w takim stanie, że chyba bym zaczęła krzyczeć albo zemdla-ta, gdyby ktoś zapytał mnie, dlaczego nie przystępuję do komunii.

Ulga przyszła razem z k o ń c e m tygodnia, w dzień spowiedzi. Chociaż najcięższy grzech, który tkwił na dnie mojej duszy, nigdy nie mógł być mi odpuszczony, podeszłam do konfesjonału tak jak reszta dzieci i wyznałam wszystko inne.

J a k o katolicka uczennica nie mogłam nie pójść do spowiedzi: byliśmy tam zaganiane jak owce i po prostu musiałyśmy się podporządkować.

Ksiądz chyba nie słyszał ani słowa z tego, co mówiłam.

- Miałam złe myśli o chłopcach - powiedziałam mu łamiącym się głosem. Dlaczego nie wyczuł mojego niepokoju?

Dlaczego przez całe moje życie ani j e d e n ksiądz podczas którejś z cotygodniowych spowiedzi go nie wyczuł? Czy za bardzo byli zaabsorbowani sobą? K t o wie, co dzieje się w umy

śle księdza słuchającego spowiedzi dziecka.

Nie muszę chyba mówić, że nie przybrałam na wadze podczas pobytu w tym przypominającym koszary miejscu. Słowa

„zimny jak dobroczynność" mają dla mnie szczególne znaczenie. Z a n i m zważono nas po raz ostatni, zjadłam tyle, ile dałam radę, i nie poszłam do toalety. Zależało mi na tym, by ucieszyć moich pełnych dobrych chęci rodziców. Waga pokazała, że ważę wciąż tyle samo. W p a d ł a m w panikę i błagałam ich, żeby powiedzieli, że utylam o dwa funty. Naturalnie wy

świadczyli mi tę grzeczność, bo gorąco pragnęli podciągnąć d a n e liczbowe do rządowego projektu.

Wreszcie wsadzono mnie do pociągu i pojechałam do domu. Przepęłniała mnie radosna nadzieja. Kiedy pociąg wjechał do Tilburga i z mojego wagonu zauważyłam p a p ę , m i m o woli zaczęłam wrzeszczeć z szalonego podniecenia.

Pociąg się zatrzymał. Ojciec rozglądał się, marszczył brwi, nie widział mnie. Podbiegłam i stanęłam przed nim bez tchu, powstrzymując pełne miłości i radości łkanie. Tak chciałam go przytulić i żeby on mnie przytulił! Ale nie ośmieliłam się zaryzykować, że mnie odepchnie, poza tym nie chciałam zachęcać go do niewłaściwych zachowań, gorszych od ignorowania.

D o t ą d nie wiem, czy mój ojciec z rozmysłem powstrzymał

się od przytulenia swojej roztrzęsionej małej dziewczynki, czy m o ż e po prostu nie czuł żadnych emocji. Zaprowadził

mnie do swojego roweru; miałam pojechać do d o m u na bagażniku.

Stacja była stosunkowo niedaleko od naszego d o m u , ale teraz stanęłam przed innym dylematem: siedząc na bagażniku musiałam się czegoś trzymać, żeby nie spaść. Gdyby tylko powiedział: „Trzymaj się m o c n o ! " , mogłabym objąć go ramionami podczas jazdy do d o m u , ale nie powiedział tego, a ja nie chciałam ryzykować, że szorstko każe mi zabrać ręce.

Znalazłam z tyłu siodełka coś, czego mogłam się chwycić rękami i udało mi się utrzymać, a serce waliło mi przez całą drogę. To była wyjątkowa sytuacja! Przecież wróciłam po długiej nieobecności. Tak się cieszyłam, że j e s t e m w d o m u raz e m z m a m ą i papą. Ale oni byli rozczarowani. Nic się nie zmieniło. Byłam równie chuda jak przedtem.

Nigdy nie przestałam tęsknić za tym, żeby m a m a mnie zrozumiała, żeby wiedziała, jak się czuję. Była jak miraż, bliska, ale niemożliwie daleka, a ja zaczynałam nabierać przekonania, że nigdy nie obdarzy m n i e taką miłością i aprobatą, jakich pragnęłam.

Dostałam szkarlatyny. M a m a nie wiedziała, z jakiego powodu tak gorączkuję. Nie pozwoliła mi pójść do szkoły, p o

łożyła mnie dla wygody na kanapie w salonie, bo moje łóżko na górze było za daleko. Ten sąsiadujący z kuchnią pokój był

nieogrzewany, a k a n a p a wypchana końskim włosiem i b a r d z o twarda. W kuchni stał piec gazowy i piec na drewno, i oba ogrzewały to pomieszczenie, i był duży stół, przy którym siadało się do posiłków i do odrabiania lekcji, i przy którym po obiedzie tata wycinał szablon do skórzanych butów. K a n a p a z końskim włosiem stała tuż pod nieszczelnym o k n e m , a chłodny zimowy wiatr

wciskał się przez szpary p o d p a r a p e tem jak niemile widziany gość. Czułam, jak tyknięcia zegara z kukułką wbijały mi się w głowę niczym uderzenia młotka.

Za każdym razem, kiedy otwierałam oczy i usiłowałam na czymś skupić wzrok, natrafiałam na t a p e t ę w jesienne liście i kręciło mi się w głowie.

W sąsiednim pomieszczeniu m a m a przez cały dzień zajęta była trójką dzieci w wieku przedszkolnym. D o p i e r o pod wieczór zauważyła, że majaczą, przeraziła się i wezwała lekarza.

Kiedy p a p a wrócił wieczorem z pracy, słyszałam pełen niepokoju głos mamy, gdy mu opowiadała o mojej chorobie.

Wzruszającym, łagodnym głosem zapytała:

- M o ż e zaniesiemy ją do jej łóżka?

Najwyraźniej miała świadomość, jak zimna i twarda jest wypchana końskim włosiem sofa, na której leżałam. Zaczęła się dyskusja, jakie to będzie kłopotliwe, bo przecież moje łóżko jest na piętrze. Dyskusja zakończyła się słowami:

- Najlepiej nie być dla niej zbyt łagodnym, to ją zepsuje.

Głos mojego papy. Rozplakałam się w środku. Na zewnątrz nie było widać nic oprócz gorączki.

Lekarz wszedł przez drzwi frontowe, przynosząc ze sobą powiew świeżego powietrza. U b r a n y był na czarno i niósł walizczkę. Nie był to widok niecodzienny, dla mnie j e d n a k niezwykle, bo lekarz prawie nigdy nas nie odwiedzał; zawsze to my chodziliśmy do niego. Byłam u niego w gabinecie raz, żeby rzucił okiem na liczne kurzajki, które pokrywały moje uda. Poprosił, żebym uniosła spódnicę, aby mógł je obejrzeć.

Na tę prośbę ogarnął mnie rozpaczliwy wstyd, bo przypomniał mi się papa, więc niechętnie uniosłam spódnicę o d r o binę powyżej kolan, rumieniąc się mocno, oddychając bardzo płytko i bacznie wpatrując się w twarz lekarza. Odniosłam wrażenie, że jest skonsternowany moim wahaniem; oczywi

ście doktor nie miał pojęcia, że to mój ojciec zaraził mnie tymi obrzydliwymi kurzajkami, dotykając mojego ciała penisem. Powiedział, że nic nie może poradzić na kurzajki; w końcu s a m e zniknęły.

A teraz doktor musiał przyjść do nas, żeby mnie obejrzeć.

Wiedziałałam o wszystkim, co się działo, bo moje świadome ja przebywało poza ciałem; siedziało na skraju sofy i przygląda-

ło się, co lekarz ze mną robi. Zmierzył mi t e m p e r a t u r ę i zajrzał do gardła. P o t e m z wyrzutem na twarzy odwrócił się do mamy, która stała, wykręcając sobie złożone razem dłonie i przygryzając dolną wargę; zawsze tak postępowała, kiedy nie wiedziała, co robić.

Przyglądałam się bacznie mojej matce, kiedy powiedział:



- Powinna pani była wezwać mnie wcześniej; wie pani, to jest szkarlatyna - i dodał: - O n a mogła umrzeć.

Gdybym tylko chciała, mogłam wybrać śmierć. U m a r ł a bym, zaryzykowałabym nawet piekło, gdyby nie okazała, że mnie kocha. Zobaczyłam, jak na słowa lekarza w poczuciu winy rumieni się jej twarz. Wydawała się bliska łez. Doszłam do wniosku, że to wystarczy. O k a z a ł a tyle zatroskania! Tak, moja m a m a mnie kochała. W t e d y to wiedziałam. I z pewno

ścią będzie mi to teraz częściej okazywać. Będzie zwracała na mnie więcej uwagi, skoro stanęłam na progu śmierci, by ją wystawić na p r ó b ę .

D o k t o r zalecił, żeby przenieść mnie do łóżka. Na te słowa m a m a szybko i z zażenowaniem wciągnęła powietrze. Jeszcze j e d n a oznaka miłości: było jej przykro, że mnie zaniedba

ła, i teraz chciała, żebym wyzdrowiała.

Wróciłam do swojego ciała i zareagowałam na lekarstwa i na ciepło wygodnego łóżka na górze. Matka przyniosła mi gorącą zupę i nakarmiła mnie. Coś takiego warte było całego tego kryzysu. Poczulałam się otoczona opieką i wyzdrowiałam.

Wojna i weekendy

W 1944 roku ludzie podjęli walkę, aby zmusić Niemców do opuszczenia Holandii. Wiele było takich nocy, kiedy p a p a odjechał już swoją ciężarówką, a m a m a nie pozwalała mojej młodej siostrzyczce Liesbet i mnie pójść spać. Siedziałyśmy z nią w słabo oświetlonej kuchni; paliła się tylko j e d n a świeca, stojąca w świeczniku na podłodze. W takie noce m a m a non stop robiła na drutach, siedziała z pochyloną głową i nie patrzyła na nas, kiedy ocierała dużą chustką łzy, które toczy

ły się po jej policzkach. Byłam taka malutka, kiedy wojna się zaczęła, a miałam zaledwie sześć lat, kiedy się skończyła.

Czulałam się bezradna, kiedy patrzyłam na m a t k ę pogrążoną w rozpacz. Ale miałyśmy dużo zajęć. Przy świecy, w delikatnym p ó ł m r o k u zwijałyśmy włóczkę i bawełnę z m o t k ó w na kłębki. Nakładałyśmy motki na oparcie krzesła i chodziłyśmy w kółko, zwijając kłębek po kłębku. W k r ó t c e miałyśmy nauczyć się robić na drutach, żeby przyczynić się do powiększenia zapasu udzierganych przez m a t k ę skarpetek, majteczek i sweterków.

Niedziela była szczególnym dniem tygodnia, wojna czy nie. Nie wolno nam było wykonywać żadnej pracy w niedzielę, i obok zlewu wyrastał stos naczyń. Niedziela naprawdę była dniem odpoczynku i relaksu i do dziś pozostało mi poczucie, że to dzień wyjątkowy - tę przyjemność zawdzięczam katolickiemu wychowaniu.

W dni powszednie pracowaliśmy bardzo ciężko. Dorasta

łam w czasach, kiedy nie było pralek, i jak tylko wyrosłam na tyle, by stanąć na krześle i dosięgnąć tary, prawie bez przerwy miałam ręce zanurzone w gorących mydlinach zmiękczonej sodą. Moja m a m a pedantycznie dbała o p o r z ą d e k w domu, co oznaczało, że okna trzeba było myć co tydzień.

Na d o d a t e k należało to do moich obowiązków, a dla mamy nie miało znaczenia, czy był mróz, czy padał śnieg albo deszcz.

W zimie, gdy ręce mi siniały i sztywniały, dolewała trochę ciepłej wody do wiadra z octem.

To właśnie w czasie wojny, kiedy wciąż brakowało pieniędzy, rozpaczliwie zapragnęłam mieć gumową piłkę. Zobaczy

łam taką piłkę w oknie wystawowym na rynku, gdzie chodzi

łam o d d a ć rozwiązane krzyżówki z tygodników. Za pierwsze zgłoszone p o p r a w n e rozwiązanie m o ż n a było wygrać ciasto, ale mnie nigdy nie wylosowano, taki pech. Piłka kosztowała dużo więcej, niż wynosiło moje kilkutygodniowe kieszonkowe, a rodzice byli głusi na moje prośby.

Z a p y t a ł a m wtedy p a p ę , czy zabawki, które dla mnie zrobił, są wszystkie moje, *naprawdę moje*.

- Tak - odpowiedział.

- I mogę zrobić z nimi, co zechcę?

Nie wyjawiałam mu swoich zamiarów, a on powiedział

„tak”, niemal z roztargnieniem. Powinien być mądrzejszy, ale zauważył, co się dzieje d o p i e r o wtedy, kiedy większość zabawek odsprzedawałam dzieciom z sąsiedztwa. Rozzłościł się b a r d z o i zażądał, żebym je wszystkie odebrała.

O d e b r a ć je? Przecież powiedział, że mogę z nimi zrobić, co zechcę. Miałam pójść do tych wszystkich dzieci i powiedzieć im, że nie wolno mi było sprzedawać zabawek i że muszą je oddać? Co za poniżenie! Tego dnia po raz pierwszy i najgorszy rozbolała mnie głowa; płonęłam z upokorzenia i gniewu, kiedy dowiedziałam się, że moje zabawki należą do papy, a nie do mnie. Dzieci nie były przekonane, ale oddały mi wszystkie zabawki co do jednej. Niektóre były zresztą bardzo zaskoczone, że policzyłam sobie za nie tak niewiarygodnie mało. Nie wiedziałam, jaką wartość mają rzeczy, a nie chcia

łam podać ceny, która mogłaby je odstraszyć.

M i m o wszystko kupiłam sobie tę gumową piłkę, wykorzystywałam na to oszczędności ze wszystkich możliwych źródeł, łącznie z p o d a r u n k a m i o d u k o c h a n e g o wujka Keesa oraz m o n e t a m i , które od czasu do czasu zostawały po zakupach i miały być sumiennie wrzucane do mojej stojącej na gzymsie nad kuchennym piecem puszek z przeznaczeniem na ważne zakupy takie jak książki. M a m a i p a p a nie poczuli ani krzty-ny rozbawienia, kiedy odkryli, że moja puszka już nie grze-choce - zauważywszy, że bawię się moją piłką, spojrzeli tylko po sobie, jakby chcieli powiedzieć: „A to co ma znaczyć?”.

Chociaż zaczęłam już siódmy rok, wciąż jeszcze jadłam węgiel, m i m o pogroźek. Ale kiedyś podsłuchiłam przeznaczoną dla moich uszu rozmowę, która dech mi odebrała na chwilę, a nałóg

jedzenia węgla na zawsze.

- Czy to dziecko diabła, że tak kocha coś tak czarnego? -

zapytała z irytacją m a m a mojego p a p ę .

- Tss! - zareagował szyderczo - bez wątpienia na to wygląda.

Dziecko diabła! Ponieważ zbliżało się Boże Narodzenie, moi rodzice wpadli na pomysł, żeby powiedzieć mi, że Czarny Piotruś donosi Świętemu Mikołajowi o niegrzecznym zachowaniu takim jak zjadanie węgla. Na szczęście akurat wtedy przyszedł z wizytą mój wujek Kees i zbagatelizował sprawę, ale zostałam uleczona raz na zawsze z tego uzależnienia.

Nasza dieta poprawiła się, kiedy zakwaterowano u nas amerykańskiego żołnierza. U p r z e d z o n o nas, że mamy się czegoś takiego spodziewać. M a m a i ja wróciłyśmy pewnego dnia z zakupów i zobaczyłyśmy, że jakiś duży mężczyzna zasnął

w moim łóżku. Jego stopy w sznurowanych butach wystawały za pomalowaną na biało ramę z listewek i kapokowy materac.

Pamiętam to dobrze, ponieważ był to jeden z rzadkich m o mentów bliskości między m a m ą a mną. M a m a czuła się równie zaskoczona jak ja, nasze oczy spotkały się na krótko, również u niej wyczytałam zaciekawienie i rozbawienie, żeby już nie wspominać o zatroskaniu, że do naszego d o m u każdy m o

że wejść. M a m a słowem się nie odezwała, żeby nie obudzić żołnierza, a ja nadziwić się nie mogłam, że nie wpadła w gniew. O d d e c h miała urywany, płytki i szybki i przygryzała dolną wargę, jakby zastanawiała się nad tym nowym dodatkiem do swego pełnego krzątaniny życia. Uśmiechnęła się do mnie, a mnie podniosła na duchu ta chwila rozkosznej konspiracji, kiedy matka i córka przyglądały się razem niczego niepodejrzewającemu śpiącemu żołnierzowi.

Ted, ten żołnierz, okazał się facetem w porządku i przyjaźnił się z nami jeszcze przez całe lata po wojnie, dopóki w 1950

roku nie wyjechaliśmy z Holandii i kontakt się nie urwał.

- Proszę - częstował Ted - skosztujcie!

I w ten sposób zapoznał nas z g u m ą do żucia. Przynosił

żywność z kantyny, gdzie jadał posiłki. Kiedy mieszkał z nami, szczególnie obficie byliśmy zaopatrzeni w płatki owsiane.

- Ted, czy mógłby pan przynieść n a m masło, *proszę?* - błagałam.

Ale masła stale brakowało.

- Papo, te kanapki są za suche do jedzenia! - skarżyłam się, a wtedy papa, zamiast mnie zbesztać, przyrzekł, że po wojnie będę miała chleb na centymetr grubo posmarowany masłem. Przypomniałam mu o tym po wojnie, ale niestety nie dotrzymał obietnicy. Skąd mógł wiedzieć, że przez trzy lata powtarzałam sobie jego obietnicę i - zanurzając chleb w mleku albo herbacie - wyobrażałam sobie wielkie kawały masła.

Zeelandia, prowincja na zachód od nas, była okrutnie b o m b a r d o w a n a . W tym czasie mieszkańcy naszego miasteczka musieli pogodzić się z tym, że my również możemy znaleźć się na linii ognia. Sąsiedzi zdecydowali się na zbudowanie p o d z i e m n e g o schronu, wystarczająco dużego, żeby wszyscy mogli się w nim pomieścić podczas nalotu.

Codziennie po szkole biegłam prościutko na wykopki, gdzie p o d ziemią powstawała fantastyczna dziura. Wejście by

ło nieduże, żeby ludzie mogli gęsiego schodzić na dół albo podawać sobie krzesła po jednym. Ziemię wywożono gdzie indziej, żeby nie zdradzić położenia schronu. Nigdy nie można było mieć pewności, kto człowieka będzie bombardował; niejedyn H o l e n d e r zginął podczas akcji aliantów.

Pewnego dnia zeszłam sama do schronu, kiedy wszyscy kopiący skupili się na zewnątrz i z ożywieniem dyskutowali.

Większość stanowili raczej starsi ludzie, niemogący iść na wojnę. Naturalnie w schronie było b a r d z o ciemno i wilgotno.

Światło p a d a ł o w róg schronu i ku mojemu przerażeniu zobaczyłam, że zebrała się tam kałuża wody. D o p i e r o co dowiedziałam się w szkole, że nasza planeta składa się z cienkiej warstwy ziemi, a pod tą warstwą znajduje się b a r d z o głęboka woda, a p o d nią ogień i stopione skały.

Moja pierś zafalowała w panice. Mężczyźni dokopali się do poziomu wody i ona już przesącza się na wierzch! Nagle poczułam, że ziemia p o d moimi nogami zrobiła się b a r d z o niepewna, tak jak topniejący na kanale lód, na którym stałam poprzedniej zimy, kiedy ludzie na brzegu ostrzegali mnie, żebym ostrożnie i p o m a l u t k u przesuwiała się z powrotem.

Na szczęście nigdy nie wykorzystaliśmy tego schronu. Podczas nalotów ludzie uciekali do piwnic - mocnych konstrukcji głęboko p o d d o m a m i , nakrytych zwykle klatką schodową, która również była o d p o r n ą konstrukcją.

- Jeżeli trafią bezpośrednio w nas, to ziemny schron i tak nam się do niczego nie przyda - dowodził mądry starszy pan.

Używano tego schronu j a k o magazynu na jarzyny, a po wojnie został z p o w r o t e m zasypyany.

Ja rosłam, a dzieci przybywało, p o d o b n i e jak we wszystkich katolickich rodzinach na południu Holandii. Jeżeli przez dłuższy czas u jakiejś pary nie pojawiały się dzieci, stawało się to t e m a t e m dywagacji: *Czemu Bóg nie błogosławi temu małżeństwu?*

P o n i e w a ż byłam najstarszą dziewczynką w r o d z i n i e , oczekiwano, że b ę d ę m a t k ą

zastępczą, a ja przyjąłam tę rolę bez szemrania. Do mnie należało odciążenie matki i zajęcie się dziećmi, zwłaszcza po szkole i w czasie wakacji. Kiedy chciałam okazać rodzeństwu szczególne względy, zabiera

łam je na długie spacerunki, zwłaszcza na kładkę nad torami i kolejowymi, do której szło się przez miejski rynek, obok wszystkich domów i sklepików między nimi, obok farmy i kościoła.

Kościół i kaplice zawsze mnie fascynowały i podczas spacerów nakłaniałam moją gromadkę, żeby szła ze mną oglądać te miejsca. Jedną z nich nie było chyba przeznaczone dla takich małych gości: była to kaplica o cudownie łagodnym i serdecznym charakterze, poświęcona Maryi Dziewicy.

U stóp Maryi klęczały ogromne posągi aniołów z szeroko rozpostartymi skrzydłami, pochylonych w adoracji. Małe świece rozświetlały bliźniacze niebieskie szklane kule po obu stronach tego maleńkiego pomieszczenia.

Uklękliśmy przed balustradą pod ołtarzem, żeby zbliżyć się do tych pięknych posągów i zapachu białych lilii w wielkich kryształowych wazonach. W małych wazonach u stóp Madonny kwitły niebieskie niezapominajki i białe strzępiaste kwiatki tak słodkie, że nasze serca napełniły się oddechem dla Matki Jezusa, która zasługiwała na to całe piękno, jakie ją otaczało.

Na samej balustradzie stał na ciężkiej drewnianej skarbonie ze szparką na ofiary mały aniołek. Kiedy wrzuciło się monetę, główka aniołka kiwała się w podziękowaniu. Fascynujące! Moi bracia i siostry chcieli, żebym dała im kilka monet do wrzucenia i kotłowaliśmy się przez chwilę po cichu, dopóki nie zauważyliśmy w pobliżu uśmiechniętej zakonnicy. Ku naszemu komplementowi zaskoczeniu wyciągała w naszym kierunku talerz z herbatnikami i ciasteczkami! Nie odzywała się, ale nie było to konieczne - czuliśmy się mile widziani i docenieni i doszliśmy do wniosku, że ta kaplica zdecydowanie znajdzie się na naszej liście miejsc do odwiedzania!

Jeżeli starczało nam czasu, szliśmy na kładkę nad torami, małe rączki ciągnęły mnie za obie ręce, dopóki w końcu tam nie dotarliśmy. Kładka była drewnianą konstrukcją przerzucaną nad czterema torami i co kilka minut przejeżdżał pod nią pociąg. Zatrzymywano ruch - przeważnie wozy zaprzężone w konie poza jakimś przypadkowym samochodem i ludźmi na rowerach - przy drewnianej bramie, obsługiwanej przez dróżnika, który cały dzień spędzał w budce na skraju torów. Pięliśmy się po dwóch szerokich kondygnacjach drewnianych schodów, dotrzymując kroku rowerzystom, którzy nie mieli ochoty czekać, tylko pchali swoje rowery pod górę po wąskiej pochylni przy poręczy. Kiedy znaleźliśmy się już na górze, trzeba było nie tylko domyślić się, z której strony nadjedzie pociąg, ale dokładnie ocenić, w którym miejscu na moście stanąć, żeby para uderzyła nas prosto w twarz, mocząc je rozkosznym gorącym strumieniem pełnej sadzy tajemniczej wilgoci i grożąc, że pochłonie nas i porwie ze sobą jej rozszalały strumień. Kładka miała solidne drewniane poręcze, których mogliśmy się trzymać, i za każdym razem w cudowny sposób udawało nam się uratować. Wszyscy wracaliśmy w kilka godzin później do domu z poczerwionymi twarzami. Nigdy nikt nas za to nie ganił, bo sobota była dniem kąpieli i każdy po kolei wchodził do balii.

Kiedy opowiedzieliśmy mamie o zakownicy z herbatnikami i ciasteczkami w kaplicy, stwierdziła, że źle zrobiliśmy, wchodząc tam, bo to kaplica przeznaczona tylko dla zakonnicy. Zakonnica, która

dała nam ciasteczka, musiała lubić dzieci, stanowiła więc dla nas wielką zagadkę - ani trochę nie przypominała tych, które uczyły nas w szkole. M a m a domy

ślała się, że mogła to być zakonnica kontemplacyjna. Nie chciała, żebyśmy przeszkadzali jej i innym siostram. Z a b r o niła nam więcej tam chodzić i ze smutkiem muszę powiedzieć, że posłuchaliśmy jej. polecenia.

• • •

Po kilku miesiącach walk toczonych w okolicy przez aliantów piątego maja 1945 roku czołgi wyzwolicieli wjechały do miasta. Przerazająco dudniły po naszym bruku. Tłumy machały do zwycięskich amerykańskich żołnierzy, a ci ciskali pa-pierosy z budzących moją groźbę metalowych wieżyczek. Ludzie rzucali się, by pochwycić cenny łup, zanim zostanie rozdeptany na miazgę. Mały chłopiec stracił całą garść p a p i e r o sów, bo jakiś stary mężczyzna wyrwał mu je z rąk i nawet nie podziękował. Malec stał i patrzył na swoją pustą dłoń.

Wszyscy nasi sąsiedzi wybrali się na spacer, żeby zobaczyć, jak wygląda okolica po zakończeniu wojny. Most n a d kana

łem został zniszczony i zastąpiono go prowizorką z lin i desek. Pchałam przed sobą wózek i szłam z tyłu. Ludzie z ożywieniem gawędzili i wolnym krokiem posuwali się do przodu.

Nikogo chyba nie niepokoiło przechodzenie nad kanałem po tym rozkołysanym niby-moście, więc weszłam na niego śmia

ło, ale ogarnął mnie lęk tak wielki, że zamarłam z szeroko otwartymi ustami i nie byłam w stanie wołać o p o m o c . Jakaś kobieta, która już przeszła na drugą stronę, przypadkiem obejrzała się za siebie i biegiem wróciła, żeby przeprowadzić mnie i wózek.

Nasz p a p a zbierał podczas wojny różnego rodzaju kule i łuski. W końcu m a m a poustawiała duże wypolerowane m o siężne łuski na gzymsie nad kominkiem, żeby trzymać w nich kompozycje z suszonych kwiatów. Ale nigdy nie czuła się przy nich całkiem pewnie; były nieustającym przypomnieniem grozy b o m b a r d o w a n i . W niedzielne popołudnia mój papa robił dla nas czasami przedstawienia i podpalał gryzący proch z kul, które przyniósł do domu. M a m a nie była zadowolona.

To niebezpieczne, narzekała, poza tym może podsuwać dzieciom niedobre pomysły, ale ojciec uwielbiał nas zadziwiać.

Chwast rośnie

Był adwent, cztery tygodnie pokuty i modlitwy przed naszym pierwszym Bożym N a r o d z e n i e m po wyzwoleniu. Uklękliśmy, by się pomodlić przed żłobkiem ustawionym w salonie. W pokoju było lodowato, ponieważ paliło się w nim tylko w niedziele, ale rajski zapach sosny i świeżej słomy w pobliżu żłobka napełniał mnie szczęściem. Nawet małe świece, które oświetlały woły, osiołka i owieczki, trzech króli, adorującą Maryję i oszołomionego Józefa, wydzielały błogi pociągający

zapach.

Kłęczeliśmy na siedzeniach krzesel z łokciami na oparciach, każde z nas różnicę w rękach. Miałam siedem lat, byłam najstarsza, rodzice oczekiwali, że będę intonowała modlitwę, odmawiając pierwszą część „Zdrowaś Mario”.

Reszta rodziny miała włączać się w drugiej połowie. Z każdą zdrowaśką nasze palce przesuwają się o jeden koralik różańca

dalej i w ten sposób je liczyliśmy. Właściwie nic trudnego, ale kiedy za moimi plecami klęczał papa, opierając się ciężko łokciami o krzesło i posapując z niecierpliwości, po prostu nie potrafiłam sobie z tym poradzić. Wolałabym znaleźć się razem z figurkami w stajence i leżeć na słomie, ską-

pać w delikatnym świetle świec, niż monotonię recytować zdrowaśki.

Zaintonowałam tych zdrowasiek zdecydowanie za dużo i papa bez najmniejszego szacunku przerwał moje nabożne rozmarzenie:

- Co ty sobie właściwie myślisz, Carlo?!

W panice czekałam, aż znajdujące się za moim plecami ręce mnie potrzęsą. Na szczęście intonowanie przejęła mama i tym samym zażegnała awanturę. Kiedy podnieśliśmy się z krzesel, papa wyśmiewał się ze swojej zaspanej córki i syczał pełen dezaprobaty:

- Jak możesz być taka głupia?

Spuściłam oczy, żeby uciec przed miażdżącym ciężarem jego drwiny. W środku zbierało mi się na płacz; ostatnio zaczęłam zmieniać się w zbiornik cichego smutku. Bolało mnie przede wszystkim to, że tata mnie nie szanuje.

Na każdym kroku moją wolę osłabiał lęk przed popełnieniem błędu. Ale od lęku, że zrobię coś złe, większy był

strach, że ktoś odkryje, jaką jestem niedobrą dziewczynką.

Przekonanie, że wszyscy potrafią przejrzeć mnie na wylot, pogłębiało jeszcze moje przerażenie.

Mój siedmioletni umysł płonął. Miałam nieustępliwą obawę o sesję na punkcie seksu; wydawało mi się, że otacza mnie ze wszystkich stron. Naszkicowałam potajemnie patykowatą postać na szybie okiennej, ukradkiem dorysowałam jej coś zwisającego między nogami (nie mając pojęcia, co by to miało być, wiedząc natomiast, że to coś złego - widziałam rysunki innych niegrzecznych dzieci), potem pospiesznie ją starłam, rozglądając się dookoła, żeby sprawdzić, czy nikt mnie nie zauważył. Gorzej nawet, miałam ochotę uprowadzać małe dzieci i robić im jakąś okropną krzywdę.

Któregoś dnia, idąc do domu mojej ciotki po swojskich brukowanych i wysadzanych drzewami ulicach, zauważyłam w przydomowym ogródku golutką dziewczynkę. W naszej okolicy ogródki były bardzo małe, odległość między drzwiami frontowymi a ulicą wynosiła zaledwie trzy metry. Onie-

miałam na widok odkrytych i wyraźnie widocznych genitaliów. Nagle ogarnęło mnie pragnienie, by potrząsnąć tą dziewczynką, rozszarpać ją własnymi rękami, rzucić ją na ziemię i dźgać ją nożem, bić ją kijem, cegłą - czymkolwiek. Z a bić ją, ale najpierw ją okaleczyć. To p r z e m o ż n e pragnienie robiło się coraz silniejsze. Byłam jak w transie, jakaś wewnętrzna siła popychała mnie do działania. Nagle uświadomiłam sobie, że oddycham ciężko, że twarz m a m czerwoną i wykrzywioną, i pospiesznie odeszłam, by nikt mnie nie zauważył. Poczucie winy, które mnie wtedy ogarnęło, było gorące, lepkie i o k r o p n e . *Nigdy nikomu o tym nie m ó w i ć !*

Kiedy papa dotykał mnie rękami albo penisem, albo ustami, dawał mi do zrozumienia, że jestem miła, że mnie lubi, a równocześnie, że jestem najgorszą, najwstrętniejszą dziewczynką na świecie. Mówiły mi o tym jego ukradkowe postępy, jego narzucające posłuch ciało. Podczas naszych nocnych spotkań nigdy nie padło ani jedno słowo. Zrozumienie tej całej sytuacji było ponad moje siły; w żaden sposób nie potrafiłam się w tym rozeznać. Rozwiązałam problem, postanawiając, że postaram się to wszystko ukrywać i udawać, że nic się ze mną nie dzieje.

*Stań się niewidzialna, Carlo, ukrywaj, kim jesteś naprawdę.* To było trudne, bo czułam się tak, jakbym nie miała własnego ja.

Tak więc kiedy pod koniec semestru w trzeciej klasie przyszła pora, by zaśpiewać solo przed trzydziestoma koleżankami, byłam przerażona nie na żarty. Wszystkie miałyśmy śpiewać na ocenę i każda miała wystąpić przed klasą z wybraną przez siebie piosenką. Dla większości dzieci była to nawet przyjemność: nieczęsto wolno było w ogóle wstać ze swojego miejsca, a poza tym była to okazja, żeby się popisać. M n i e ogarniała wyłącznie bezbrzeżna rozpacz na myśl o wbitych we mnie oczach koleżanek. Ż o ł ą d e k podchodził mi do gardła, wierciłam się, rumieniłam i bladłam, mdliło mnie i czu

łam się nieszczęśliwa.

W końcu zostałam już tylko ja i nie było ucieczki. Nauczycielka skinęła, żebym wyszła na środek klasy. Nie miałam wyjścia, zdałam sobie sprawę, że opuszczam ławkę, żeby stanąć przed milczącą grupą dzieci. Otworzyłam usta i wydo

ła się z nich coś, co według mnie brzmiało jak zduszony krzyk, a było pierwszym taktem banalnej piosenki, jaką wybrałam: *Daar bij die molen* („Tam przy młynie”). Mój występ odznaczał się całkowitym brakiem elegancji; nie próbowa

łam nikogo rozbawić, chciałam tylko mieć już tę m ę k ę za sobą. Większość moich strun głosowych nie działała i pełną skupienia salę wypełnił szorstki zgrzytliwy dźwięk. Nauczycielka okazała życzliwość.

- Masz głos jak dzwon - powiedziała i postawiła mi sześć punktów na dziesięć.

• • •

Żołnierze wracali do d o m u po wojnie. Wypełniali wszystkie pociągi, także i ten, który wiozł mnie, moją siostrę i ciotkę z p o w r o t e m do d o m u z A m s t e r d a m u . Kiedy nas nie było, bocian



przyniósł naszej m a m i e następnego dzidziusia. Był to chłopczyk, piąty dar, który dostała od Boga. Widywałyśmy bociany na kalenicach dachów, stały na długich, patykowatych nogach, popatrując na okolicę. W ich gniazdach było mnóstwo miejsca na dzidziusie. Bociany przynosiły dzidziusie, które zwisały im w pieluszkach z dziobów.

Żołnierze wyglądali na zmęczonych, ale przepełniała ich radość, że wracają do d o m ó w . Z pewnością marzyli o powitaniu z rodzinami. Wagony były zatłoczone, a zapach wojskowych m u n d u r ó w nie był nieprzyjemny. Siedziałam w pełnym mężczyzn wagonie i było mi nawet miło. D o p i e r o kiedy jeden z żołnierzy zwrócił na mnie uwagę, poczułam się niepewnie.

Rzucił mi pełne sympatii spojrzenie, bez wątpienia sądząc, że ma przed sobą j e d n o z tych holenderskich dzieci, za które walczył na wojnie; mój widok dał mu powód, by usprawiedliwiać okropności, jakie przeżył. Wyczuwałam jego życzliwość i d o b r e intencje, ale nie potrafiłam zapanować nad rumieńcem, zalewającym policzki, równie palącym jak żyjące w m o i m sercu poczucie wstydu. Ciężko mi było rozglądać się dookoła i marzyłam, żeby wysiąść z pociągu.

• • •

Mój ojciec raz był d o k t o r e m Jekyllem, raz p a n e m Hy-d e ' e m , ale matka również była zmienna, a to od jej nastroju zależała na ogół atmosfera w domu. Tym, co szczególnie kompensowało w naszych oczach braki rodzicielki, było sporadycznie okazywane przez nią poczucie h u m o r u , które rozpraszało mrok tak nagle, jak słońce rozświetla okolicę. W takich m o m e n t a c h ekscentryczny, zaskakujący sposób, w jaki ujmowała rozmaite sprawy, powodował, że pokładaliśmy się ze śmiechu. D o m się przeobrażał, a istnienie zła wydawało się niemożliwością.

Poczucie h u m o r u matki przyciągało do naszego d o m u go

ści. Nawet wtedy kiedy miała już osiemdziesiąt p a r ę lat i opinię zdiecinniałej staruszki, potrafiła nagle zrzucić z siebie czterdzieści lat i dowcipkować na temat życia w d o m u opieki, jakby była na pikniku. Chociaż przeważnie p o d a w a n o jej środki uspokajające, mające przynieść ulgę w bólach wywołanych ostrym artretyzmem i skutkami syfilisu, goście często zachwycali się zabawnymi uwagami matki.

M a m a kochała muzykę i często włączała radio. Muzyka klasyczna wprawiała ją w doskonały h u m o r i kiedy byłam malutka, przyglądałam się, jak się śmieje, pracując i wykorzystując do m a k s i m u m czas, kiedy mąż był w pracy, a ona miała d o m dla siebie. Śpiewała dzieciom piosenki, wojenne rymowanki, a nawet arie, a te okresy p r o m i e n n e g o nastroju matki podnosiły nas na duchu.

Do wyjątkowych przyjemności należało pójście z m a m ą na zakupy, kiedy p o d r o s ł a m już na tyle, że mogłam z nią chodzić pod rękę zgodnie ze zwyczajem holenderskich kobiet. Obydwie miałyśmy poczucie rozkosznej bliskości, a po drodze i w trakcie zakupów m a t k a mówiła zwykle wesoło i z ożywieniem. M n i e również życie wydawało się lekkie i przez chwilę czułam się szczęśliwa, bo z a p o m i n a ł a m o sobie.

M a t k a udała się po radę do księdza, ponieważ nie chciała aż tylu ciąż. Ksiądz powiedział jej, że nie ma prawa odmawiać swojemu mężowi, którego przyrzekła szanować i słuchać w świętym

związku małżeńskim. Tak więc matka musiała ugiąć się przed seksualnymi wymaganiami ojca; ale wiedziała, sprytna jędza, jak się na nim, niewykształconym, odegrać.

Miała talent do drażnienia go słowami. A on do obrony przed jej drwiącą inteligencją miał tylko brutalną siłę.

M a m a rzadko wyrażała aprobatę dla czegoś, co robił papa.

Tak często szydziła z niego, kiedy grał na swoich ukochanych skrzypcach, że w końcu cisnął nimi o ścianę, i je roztrzaskał.

Dałoby się je naprawić tylko wielkim kosztem, więc za m a r n e dwadzieścia pięć guldenów odsprzedał je człowiekowi, który się zajmował naprawami - odsprzedał skrzypce, które były jego osobistym stradivariusem. Czy zgrzytał wtedy zębami i płakał w ukryciu, że dopuścił do tego, by jego kobieta wzięła nad nim górę? Czy też znalazł sposób, żeby się zemścić?

Pewnego dnia podczas poważniejszej sprzeczki oboje zapomnieli, że przysłuchują im się zza ściany sąsiedzi. Matka wy

śmiewała się z ojca donośnym szydzącym głosem i judziła, żeby ją zabił. To było coś nowego. Od jakiegoś już czasu obrzucali się obelgami, a teraz oboje wciągnął wir zażartej walki.

Nasza szóstka płakała głośno i żałośnie, siedząc rzędem na kuchennym stole. Widzieliśmy rodziców wyraźnie przez drzwi do salonu. Papa trzymał w rękach duży nóż do krojenia mięsa, a mama, judząc go wzrokiem, powtarzała bez tchu:

- No to już, zrób to! Zabij mnie!

Powtórzyła to tyle razy, że jeżeli chciał ocalić twarz, nie pozostało mu nic innego, jak rzeczywiście ją dźgnąć. M a t k a wrzasnęła, a my, dzieci, zaczęłyśmy zawodzić jeszcze głośniej. Pękła na chwilę plemienna więź z rodzicami; zostaliśmy porzuceni, unosiliśmy się bezwładnie jak jakieś szczątki na powierzchni kłębiącego się ciemnego oceanu.

Widząc krew, p a p a odzyskał rozsądek. Chwycił za ręcznik i zatamował krew wypływającą z rany na szyi. Z czasem rana zagoiła się b a r d z o ładnie i została zapomniana. Bliznę zauważyłam dopiero po latach na fotografii: leżała na łóżku w d o m u opieki i z czułością patrzyła na ojca, który ją trzymał

za rękę. Tak to było między moimi rodzicami - szczerze się kochali i nigdy nie mieli się rozstać. A przecież równocześnie znieść się nie mogli. Jeżeli namiętność z natury nie może być konstruktywna, niech tak czy owak istnieje.

Kiedy życie stawało się ciężkie, uciekałam w marzenia.

Miałam przyjaciółki, które mieszkały ze m n ą na co dzień -

moje lalki, które traktowałam jak żywe. Mówiłam do nich, robiłam im ubranka, kładłam do łóżka,

dawałam kwiaty i po prostu kochałam. Papa zrobił mi drewniany domek dla lalek, pomalowany na piękny czerwony kolor. Chociaż mięciutkie dywaniki były szczątkami mojego ukochanego królika, zatrzymałam je, by mieć czym ozdobić podłogi. Te dywaniki robiły na mnie niesamowite wrażenie czystej, nieskalanej delikatności.

Tylko moje lalki widywały kogoś zbliżonego do prawdziwej mnie. Dogadywałam się z nimi, chociaż wolałabym w taki sposób dogadywać się z otaczającymi mnie ludźmi, gdybym się na to ośmieliła. Dla moich lalek byłam niestrudzenie czu-

łą matką, siostrą, dzieckiem proszącym o pomoc, pielęgniarką i twórczo rozwiązywałam ich problemy. Lalki były dla mnie żywe, dopóki nie ukończyłam dziesięciu lat. Kiedy miałam lat jedenaście, czasami były żywe, a czasami nie - co dziwne, zależało to od tego, jak zdecydowałam się na nie patrzeć.

Trzymałam swój domek dla lalek na płaskim podeście w połowie schodów, prawie pod sufitem. Wystarczyło na nim miejsca na matraci pewnego dnia przekonałam rodziców, żeby pozwolili mi tam spać z moją rodziną lalek. Jednak nocne odwiedziny papy, albo może koszmarny sen o nich, spowodowały, że się zmoczyłam w nocy. Nigdy słowem o tym nie wspomniałam, mnie też nikt nic na ten temat nie powiedział.

Przyjęłam to milczenie z ulgą i niepokojem równocześnie, bo plaamię musiała zauważyć moja mama, która wyprała prze-

ścieradło i położyła na łóżku czyste. Dlaczego nic nie powiedziała? Czy cierpiała, bo musiała jakoś rozliczyć się z tego wszystkiego we własnym, dezorientowanym umyśle? Czy nie wiedziała, co się dzieje? Czy wybrała niewiedzę? Zamiast mnie chronić, zrobiła się zgorzkniała, i kiedy podrosłam, zaczęła traktować mnie jak rywalkę, obrzucając hańbiącymi wyzwiskami jak *vuile dwiel*, ty brudna szmato.

Matka musiała znaleźć jakiś sposób, żeby przeciwstawić się brutalności, z jaką niekiedy traktował ją człowiek domagający się wypełnienia obowiązków małżeńskich. Pewnego dnia cackała się ze swoją nogą, która ją w tajemniczy sposób rozboleła. Nigdy nam, dzieciom, nie wyjaśniono, dlaczego tę nogę zabandażowała ani dlaczego nie mogła podnieść się z krzesła. Pojękiwała, kiedy tylko ktoś zbliżył się do jej stopy, a krzyknęła i zaczęła przewracać oczami, przygryzając z bólu wargi, kiedy przypadkiem ją potrąciłam. Odczuwałam ten ból równie mocno jak ona: pełzł w górę po moich nogach jak ogniste noże, i płakałam, że ją tak boli. Ale suka, która rosła i żywiła się tłumionym gniewem na matkę, była niedaleko.

Przychodziły chwile, kiedy ta suka wydobywała się na powierzchnię, żeby gryźć każdego, kto znajdzie się w pobliżu.

Kończyłam jedenaście lat, kiedy moja matka zdała sobie sprawę, że nie jest w stanie mnie okiełznać. Miała się odbyć sesja zdjęciowa - było nas, dzieci, już wtedy siedmioro - i fotograf miał przyjść do nas do domu. Instynkt podpowiedział

mi, że będzie to dla mojej matki okazja, by się popisać swoim ukochanym synem, Markusem,

czwartym dzieckiem i jej drugim chłopcem. M a r k u s miał złote loki, które ścięto mu dopiero, kiedy szedł do szkoły, a oboje, i matka, i ojciec, go uwielbiali. M a r k u s nie mógł zrobić nic złego, ale ja wiedzia

łam, jak zrobić j e m u coś złego, i wiedziałam, jak zepsuć tę chwilę mamie, k t ó r a o wiele bardziej niż p a p a przykładała się do tego, by rodzina dobrze wyszła na fotografiach.

Matka, zajęta maluchami, nie mogła być wszędzie naraz, dzięki czemu trafiła mi się idealna okazja, by szczypać mojego brata, dopóki się nie rozpląkał. Z jadem, który przyniósłby zaszczyt pajęczycy, naśladowując moje nauczycielki, chwytając za jego ładne policzki paznokciami, wbijając je głęboko raz za razem, aż w końcu czerwone ślady przestały zniknąć. Chciałam go oszpecić i zmusić do płaczu, żeby było to widać na zdjęciach.

U d a ł o się, ale m a t k a się wściekła. Nie potrafiła w ż a d e n sposób odwrócić tego, co się stało, ale do końca dnia biła mnie po twarzy i przeklinała za każdym razem, kiedy znalazłam się na wyciągnięcie ręki. Nie p r ó b o w a ł a m usuwać jej się z drogi, bo miałam świadomość, że każdy klaps dowodzi m o jej wygranej. W końcu to ojciec - wyjątkowo jak na niego -

przejął dowodzenie i kazał matce przestać, na litość boską, bo się wytrzymać w d o m u nie da.

Teraz często już m a t k a musiała borykać się z zimnym uporem swojej najstarszej córki, która przeciwstawiała się rodzicielce, kiedy tylko starczało jej odwagi.

- U p a r t a oślica - wołała na mnie.

- Nie jestem oślicą - odpowiadałam niby to niewinnie, a o n a połykała haczyk i zaczynała dowodzić, że dobrze wiem, o co jej chodzi. Tylko nieodstępujący mnie lęk przed śmiercią i pójściem do piekła kazał mi tłumić najgorsze ataki b u n t u, który kipiał we mnie jak w szybko nagrzewającym się kotle, od czego serce mi waliło, twarz się wykrzywiała i pot mnie oblewał.

Czułam palącą pokusę, żeby zabić oboje rodziców. Wymy

ślałam skomplikowane plany morderstwa, a raz prawie zdo

łałam p r z e k o n a ć samą siebie, że u d a mi się zbrodni d o k o n a ć i ujdzie mi ona na sucho. Później zawahałam się i uwierzyć nie mogłam, jaka jestem niedobra. „Prawdziwa j a ” to była ta odrażająca osoba, która pokaże się, kiedy usunięta zostanie zewnętrzna warstewka grzeczności. Byłam przekonana, że jestem przeżarta zgnilizną. Wszystko w wyznawanej przeze mnie religii utwierdzało mnie w tym przekonaniu. Mojego zdania na swój temat nie zmienił fakt, że ze swojego skąpego kieszonkowego kupiłam b o m b o n i e r k ę dla matki na urodziny, bo zjadłam j e d n ą , żeby skosztować, jakie są, a p o t e m zjadłam wszystkie, no bo do czego to p o d o b n e , żeby dawać jej napoczęte pudełko.

A j e d n a k m i m o wszystko wciąż zakochana byłam w Bogu, ale nie w Bogu przerażającym i karzącym. To uczucie budzi

ło się w moim sercu, kiedy tylko miało ku t e m u okazję. M o

że był to Bóg-kochający rodzic, ojciec niebieski, który w wyobraźni dziecka potrafił darzyć życzliwością i miłością.

Zdarzali się w moim życiu kochający i życzliwi dorośli - wujek Kees i ojciec J a n u s i czasami nawet rodzice i nauczyciele.

Kiedy czułam Boga w sercu, dreszczem radości przejmowało mnie przystępowanie do komunii świętej.

W s p o m n i e n i e szopy na węgiel odchodziło w przeszłość, znowu byłam w stanie odczuwać lekkość i czystość, jaką dawała spowiedź. Przy bierzmowaniu rozpiekała mnie d u m a , że stałam się żołnierzem Chrystusa. Wierzyłam, że będę w stanie zadowolić Boga w sposób, w jaki nigdy nie udawało mi się zadowolić ojca. Wyobrażałam sobie, jak uzbrojona w światło i ogniste miecze, gotowa posiekać diabła i zło na kawałeczki, maszeruję alejką za d o m e m , wymachując zaciśniętymi w pię

ści rękami i śpiewając: „My, żołnierze Chrystusa, maszerujemy, by Cię bronić”. Moja niemiecka krew rozkoszowała się marszowym rytmem pieśni na bierzmowanie.

W tym okresie zapomniałam o przymierzu z diabłem, ale w podświadomości tkwiło to nadal. Dwa ugruntowane, ale przeciwstawne poglądy szarpały m n ą jak brzozę podczas burzy, to w j e d n ą , to w drugą stronę. Byłam dobra, dzielna i kochana; wydawało mi się to równie oczywiste jak fakt, że kiedy indziej jestem najgorszą dziewczynką pod słońcem. Pod koniec dzieciństwa nie potrafiłam rozeznaczyć się w swojej tożsamości: p r z e k o n a n i e o własnej dobroci stale podkopywały haniebne pragnienia, które były dla mnie d o w o d e m , że naprawdę jestem zła. Nie miałam żadnej kontroli nad straszliwymi myślami, żeby krzywdzić i m o r d o w a ć ludzi. Było to równie wyczerpujące jak próby ucieczki przed koszmarnym snem.

J e d n a k najbardziej dokuczało mi to, że jestem głupia.

Znieść nie mogłam myśli, że ktoś m o ż e uważać mnie za głupią, ale niekiedy nie potrafiłam się powstrzymać i zachowywałam się jak matolek. Ciekawa rzecz, że jakoś udało mi się nie zgłupieć do reszty. W klasie nauczycielka często przyłapywała mnie na tym, że gapię się za okno, najwyraźniej jej nie słuchając, że nie jestem w stanie udzielić odpowiedzi na niespodziewanie skierowane do mnie pytanie, że nie u m i e m wykonać polecenia, ale przy tym cechowała mnie niesamowita umiejętność odtwarzania z pełną precyzją lekcji z klasy podczas egzaminów. Moje zachowanie było dla nauczycielki tak zagadkowe, że podzieliła się tym p r o b l e m e m z proboszczem, odpowiedzialnym za nasze wykształcenie religijne, który zauważył to s a m o zjawisko. Rozwinęłam w sobie umiejętność włączania się częścią umysłu w lekcje, kiedy reszta mnie przebywała gdzie indziej - i nawet ja sama nie potrafi

łabym powiedzieć gdzie. Jakaś część mojego mózgu zapamiętywała wszystko, czego uczyliśmy się w klasie, przynajmniej do egzaminów. Po egzaminach mogłam sobie pozwolić na to, by wiedza mi umknęła, i zaczynać wszystko od nowa.

Kiedy znowu dostałam najlepszą notę, proboszcz i moja nauczycielka przystanąli, rozmawiając, na podeście schodów prowadzących do klas na piętrze. Chociaż znajdowali się poza zasięgiem mojego słuchu, instynktownie wiedziałam, o czym mówią, odczytywałam język ich ciała i dziwne spojrzenia. Nadziwić się nie mogli mojemu zachowaniu i zdumiewającym wynikiem.

O k a z a ł o się, że skończyły im się nowe nagrody i po raz drugi miałam dostać oprawiony w skórę mszał. Ten dowód uznania dał mi głęboką satysfakcję. Chociaż w oczywisty sposób nie na wiele m o g ł a m się przydać, ani r o z u m u mi nie odjęło, ani nie utraciłam inteligencji. J a k o ś miło mi było, że się n i e d o c e n i a ł a m , że nie p o z n a ł a m się na własnym p o t e n c j a l e.

Niemniej często dygotałam z przerażenia, że „zrobię coś złe” - a „robienie czegoś złe” po trochu zaczynało żyć własnym życiem. Z u p e ł n i e jakbym część swojego umysłu odsprzedała kiedyś diabłu - co oczywiście zrobiłam. Powoli traciłam nad sobą kontrolę. Jakaś przerażająca tajemnicza siła zmuszała mnie, bym robiła dokładnie coś przeciwnego, niż po mnie oczekiwano.

W pewien lodowato zimny dzień zwrócił się do mnie pod koniec lekcji najstarszy ksiądz w parafii. Trzymał w rękach gruby plik papierów, który wydawał się go niepokoić. Wyjaśnił mi, że ma pilną wiadomość dla parafian Broekhoven J e d e n, mojej rodzinnej parafii, i czy byłabym tak d o b r a i wrzuciła wiadomość każdemu z nich do skrzynki na listy?

Przyglądałam się twarzy księdza. Dlaczego zwrócił się do mnie, a nie do kogoś innego? A! Pewnie uznał, że jestem b a r d z o inteligentna, ponieważ omawiał z moją nauczycielką mój stuprocentowy sukces na egzaminie z religii.

Stojący przede m n ą ksiądz źle by to przyjął, gdybym mu odmówiła. W końcu był jednym z kapłanów Boga i jego rzecznikiem. J a k tylko otrząsnąłby się z szoku, moi rodzice zostaliby o wszystkim powiadomieni. Takie myśli przemykały przez mój zlodowaciały umysł, kiedy pokornie stałam na mrozie na placyku zabaw. Z tego, co mówił, rozumiałam, że pomiędzy parafią Broekhoven J e d e n a Broekhoven Dwa trwa coś w rodzaju rywalizacji.

- W żadnym wypadku nie wolno ci - mówił z powagą ten intrygancki ksiądz - wrzucić ż a d n e g o z tych pism do skrzynek pocztowych parafian Broekhoven Dwa.

I przystąpił do wyjaśniania, którędy biegnie granica między obiema parafiami. Nazw niektórych ulic nigdy wcześniej nie słyszałam. Czy on się spodziewał, że b ę d ę znała ulice, na których nigdy nie byłam? Ksiądz zachowywał się niespokojnie i nerwowo, i nie powiedziałam mu, że nie wiem, o czym mówi, ponieważ nie chciałam tak szybko stracić opinii mądrej dziewczynki. Plik papierów został mi przekazany do rąk i natychmiast wyruszyłam w drogę, zdezorientowana i roztrzęsiona z zażenowania. N a w e t gdybym wykazała najlepszą wolę, nie miałam szansy wypełnić tego polecenia dobrze.

J e d n a k większości dzieci nie poszłoby t a m t e g o popołudnia aż tak źle jak mnie. Sumiennie szłam na każdą z ulic i podchodziłam do każdej z nieznanym mi skrzynek - a jak się później dowiedziałam, niemal wszystkie znajdowały się w niewłaściwej strefie. Nieumyślnie zemściłam się na żadnym władcy duchownym, który był zadowolony, i to bardzo, że może wykorzystać niewinne dziecko. Straciłam przy tym w jego oczach d o b r ą opinię i jeszcze bardziej s k o m p r o m i t o wałam się w oczach ojca. Przerazenie, że „zrobię coś złe”, stało się tożsame z przerażeniem, że nigdy nie b ę d ę na tyle dobra, by zasłużyć sobie na szacunek.

## Dorastanie

Dręczyły mnie pytania dotyczące religii i duszy. Koniecznie chciałam dowiedzieć się, jakie m a m szanse, żeby się dostać do nieba. Pytałam księdza w konfesjonale o kary za różne grzechy, ale on wzdychał albo niecierpliwiał się i mówił mi, żebym zapytała kogoś innego. Szłam ponownie do spowiedzi i pytałam, dlaczego Bóg umieścił w rajskim ogrodzie drzewo, jeżeli chciał, żeby go nikt nie dotykał? Czy nie mógł go umie

ścić gdzie indziej? I co takiego złego w tym, że zakazane jabłko pozwoliło poznać różnicę między d o b r e m a złem? A czym w ogóle jest otchłań? Co dusze tam robią? A czyściec - czy n a p r a w d ę jest tym samym co piekło, tyle że któregoś dnia się go opuszcza?

P o d o b n e pytania zadawałam moim rodzicom. Dlaczego Bóg karze ludzi, jeżeli ich kocha i przebacza im? Dlaczego dobrzy ludzie cierpią? Ile dni czyśćca dostaje się za bycie niegrzecznym? Próbowali sumiennie odpowiadać na te pytania, popatrując na siebie, żeby upewnić się, czy to drugie się zgadza albo czy ma jakiś lepszy pomysł. Sprawdzałam ich, zadając kilka dni później t o s a m o pytanie i obserwując bacznie, czy się nie pomyła.

Niestety, chociaż chodziło mi o to, żeby w końcu uporządkować wszystko w głowie, nieumyślnie zastawiłam pułapkę, w którą złapali się pełni wątpliwości rodzice, i dałam sobie spokój z dorosłymi we wczesnym wieku lat ośmiu. Doszłam do wniosku, że dorośli *nie znają* odpowiedzi, więc nie ma co zadawać im jakichkolwiek pytań. Wstąpiłam na niebezpieczną ścieżkę, którą dochodzi się do własnych wniosków, a rozumując, o p i e r a ł a m się na informacjach, które zebrałam wcześniej albo k t ó r e p o d s z e p n ę ł o mi wyczucie. Jeśli uwzględnić, że większość tych informacji była w najlepszym razie przesadą, a w najgorszym zniekształconą prawdą, musiałam dojść do kilku dziwnych konkluzji. Jestem spod znaku wody, znaku Skorpiona, i m a m skłonność, by wnioski, do których dojdę, uznawać za ostateczne, a tę tendencję nasila jeszcze moja germańska krew.

Mój p a p a pragnął, aby jego pierworodnym dzieckiem był

syn. Musiał powiedzieć to k o m u ś w mojej obecności, ponieważ p o ł a p a ł a m się dosyć wcześnie i usilnie p r ó b o w a ł a m zastąpić mu chłopca. Nosłam przedmioty dużo dla mnie za ciężkie, żeby pokazać, jaka jestem mocna. Miałam miękkie serce, ale nie pozwalałam sobie, by to okazać. Wręcz przeciwnie, musiałam być silniejsza od wszystkich chłopaków w tym samym wieku i dowodzić tego, bijąc się z nimi! Jeżeli jakiś niewinny przybysz pojawił się na naszej ulicy, dzieciaki z sąsiedztwa przyprawiały go do mojego d o m u , pełne zapału, by obejrzeć walkę. Walka nieodmiennie kończyła się tym, że z triumfem stawiałam stopę na rozedrganych plecach biedaka, a przejęte dzieci wiwatowały i przypominały sobie nawzajem, by nie wchodzić w drogę tej wariatce.

Z a n i m wyjechaliśmy z Holandii do Australii, miałam trzech braci. Adrian był najstarszy; mocny, ale nie asertywny.

Pewnego dnia przybiegł do mnie z przerażeniem w oczach, ponieważ gonił go czternastoletni H e n k , który był najroślej-szy wśród okolicznych dzieci i miał w sobie coś bardziej paskudnego i wyrachowanego niż cała reszta. Adrian przybiegł

i wtulił buzię w moją pierś. Natychmiast objęłam go ramieniem i zaczęłam, aż wysoki brutal wypadnie z rąk. I wypadł, prosto na moją pięść. Z a b o l a ł o mnie, ale odniosło skutek, o który mi chodziło. H e n k rozciągnął się jak długi, a p o t e m uciekł z zakrwawionym nosem. Wieczorem jego rodzice przyszli, żeby nawymyślać moim rodzicom.

Z tego typu wyższością był j e d e n problem, a mianowicie taki, że nie miałam żadnych prawdziwych przyjaciół. Nie żeby się mnie b a n o - nigdy sama nie rozpoczynałam bójki - ale czułam się w środku jakaś taka okaleczona i byłam przekonana, że nikt, kto lepiej mnie pozna, nie zechce się ze m n ą zaprzyjaźnić. Zyskałam tylko pewien wątpliwy prestiż.

Regularnie wygrywałam coroczne wyścigi organizowane przez rodziców dla miejscowych dzieci. Biegaliśmy dookoła kwartału. To był b a r d z o duży kwartał, obejmujący farmę i kilka sklepów. Niekiedy tak się wysilałam, że czułam się bliska apopleksji, ale kiedy przyglądał się mój papa, przegrana była rzeczą nie do pomyślenia. Po prostu musiałam dla niego wygrać i chyba wiedzieli o tym wszyscy nasi sąsiedzi bez wyjątku i wiwatowali na moją cześć. Na koniec zasapana podnosi

łam na ojca oczy i pokazywałam mu butelkę sherry czy coś innego, co wybrałam jako nagrodę. Bładałam z niepokoju i wyczerpania: *Czy teraz, papo, uznasz, że jestem wystarczająco dobra? Czy będziesz mnie teraz szanowali* Nie obchodziło mnie, że jako nagrody wybierałam rzeczy, z których sama nie mogłam korzystać. Jakie to miało znaczenie dla mojej duszy, której tak brakowało miłości. A mój p a p a się śmiał, był ze mnie dumny. Niemal mdlałam z radości i z niewytłumaczalnego bólu w sercu.

Przez całe lata dobrze mi również szła zmuszająca do ostrej rywalizacji gra w kulki, dopóki nie straciłam do niej zapachu. Dzieci z Tilburga z czasów przedtelewizyjnych dużo bawiły się na świeżym powietrzu: grały w piłkę, skakały na skakankach, grały w klasy i w kulki. Grałyśmy na gładkim, ubitym piasku w alejce na tyłach naszych d o m ó w albo na płytach chodnikowych, którymi wyłożono szeroką ścieżkę dla pieszych po obu stronach brukowanej drogi. Kulki były zrobione z gliny albo szkła. Te szklane były często w cudownie wirujące wzory, przezroczyste lub nieprzezroczyste albo przydymione, od małych do całkiem dużych. Każda z nich miała swoją wartość, dokładnie tak s a m o jak banknoty o różnych rozmiarach i kolorach.

Byłam ambitna i w kilka miesięcy zgromadziłam zapas kulek, będący odpowiednikiem zasobów okręgowego banku

- całą pełniutką grubą pończochę, nieprzyzwoicie się wybrzuszącą. Mnie się j e d n a k nie wydawała nieprzyzwoita, przynajmniej do chwili, kiedy podniosłam do góry mój łup, by zobaczyć go m a m a . Rozpierała mnie d u m a . M a m i e oczy wyszły na wierzch z takiej samej dumy, a przynajmniej przez j e d n ą ulotną sekundę tak myślałam. Ale nie, wyszły jej na wierzch ze zgrozy.



- Carla! - powiedziała ochryple, bo nagle zabrakło jej tchu. - To jest pycha! Bóg karze ludzi, którzy są pełni pychy.

Pycha jest grzechem!

W tym momencie mój umysł otwarty był równie szeroko jak oczy i nie miał sposobu obronić się przed silnie hipnotyczną sugestią, którą mama w nim zasiała. Przyjęłam tę katolicką moralność za prawdę, chociaż groziła pozbawieniem mnie raz na zawsze chęci do współzawodnictwa.

Moja reakcja była natychmiastowa i heroiczna. Wysłałam na środek ulicy i - kiedy wszyscy mi się przyglądali - opróżniłam pończochę z grzesznie zdobytych kulek na bruk. Jak zauważyłam, dzieci z sąsiedztwa nie miały żadnych skrępowań,

żeby, przepychając się, zbierać kulki i chować je do kieszeni. Jakaś część mnie poczuła się zdradzona, ta część, która była przekonana o własnej racji. Teraz na dobre byłam dezorientowana. Borykałam się już z tak wieloma problemami; dodałam do rosnącego stosu jeszcze i tę neurozę, i zmieniałam kurs. Będę ceniła ubóstwo, tak jak Jezus, który nie miał nawet poduszki do snu, o czym powiedziała mi mama i moi nauczyciele. Zapomnieli tylko dodać, że w tamtych czasach poduszek w ogóle nie używano, a Jezusowi raczej nie były potrzebne pieniądze, bo dokądkolwiek poszedł, szły za nim kochające go kobiety, które się nim opiekowały. To one brały rachunek na siebie. Ale nikt nie nauczył mnie, że na tym zasadza się najbardziej świątobliwy styl życia.

• • •

Mój pap lubił przebywać na świeżym powietrzu, kochał

przyrodę, uprawiał rośliny. To on pokazał mi pajęczyny połyskujące od tysięcy diamentów w poranne słońcu. To on zabierał mnie na długie spacerunki po lesie w wielkim prywatnym majątku nieopodal, żebym zobaczyła czarodziejskie grzyby -

te w duże kropki - i to on nauczył mnie słuchać wiatru i ptaków, jakby był dawnym amerykańskim Indianinem.

Życie na powietrzu było po prostu dobre. Na naszym przestronnym podwórku za domem opowiadał mi o robakach, kompoście, o paskudnych żukach, które zjadają ziemniaki, i przyjaznych żuczkach takich jak biedronki. Pokazywał mi, jak hodować nagietki, bratki i goździki, jak zbierać ich nasiona. Jarzyny nie interesowały mnie tak bardzo, poza ziemniakami, ponieważ uprawiano je na rozległym wspólnym polu spory kawałek od domu. Był to duży zagon położony w pobliżu pól z jęczmieniem, owsem, rzepą i kalarepą, które farmerzy hodowali głównie dla swojego bydła.

Sadzenie ziemniaków razem z papą na wspólnym polu oznaczało dzień na świeżym powietrzu. Razem robiliśmy naszymi łopatami bruzdę, odmierzaliśmy krokami odległość od jednego ziemniaka do drugiego, wrzucaliśmy z rękami sadzeniaka, który był tu najważniejszy, wgniataliśmy go piętą w ziemię, a potem robiliśmy następną bruzdę, zasypując tę pierwszą ziemią. Ojciec był spod znaku Panny i zawsze zachwycał się tym, co rosło. Rośliny były dla niego jak

cuda, które podtrzymywały jego wiarę w Boga. Wyjaśnienia naukowe były do niczego; to Bóg obdarzył nasienie wiedzą, czym zostanie. To Bóg, jak mawiał, dał małeńki m nasion-kom c u d o w n ą moc, by mogły rozpoznawać pory roku i reagować na t e m p e r a t u r ę , wodę, substancje odżywcze i słońce. Mój p a p a potrafił robić buty, stoły, zabawki, wszystko, do czego się przyłożył. Ale tylko Bóg, jak mawiał, potrafi stworzyć kwiat.

W dzień, kiedy sadziliśmy ziemniaki, puszczałyśmy zwykle również latawce, co było bardzo podniecające. W tej części Holandii wiatru nie brakowało, a na otwartym polu nie przeszkadzały drzewa ani domy. Mój p a p a był niezwykle praktycznym i pomysłowym człowiekiem i umiał się bawić jak chłopiec. Aż do dnia śmierci cieszyły go wiatraczki, które robił dla siebie i wielu innych ludzi. Pierwsze wiatraczki wirowały dość hałaśliwie. Później ojciec stosował plastikowe części, które pracowały ciszej i przedłużały życie wiatraków.

Robił też duże latawce - które całymi dniami i nocami unosiły się w powietrzu, i małe, które mogliśmy sami nauczyć się robić, a ich ogony ozdabiał wszelkiego rodzaju wstążkami i wiązadłami.

J e d n a z ciotek zapytała mnie kiedyś, kogo wolę, m a m ę czy tatę? To było t r u d n e pytanie i cała się z namysłem zmarszczy

łam. Ciotka przyglądała mi się bacznie; dlaczego tak się we m n i e wpatrywała? C z u ł a m się nieswojo, ale zadałam sobie pytanie, z kim lepiej się tego ranka bawiłam, i powiedziałam: p a p ę ! Ciotka zachmurzyła się i nagle mnie zostawiła; widocznie udzieliłam niewłaściwej odpowiedzi. Ale kiedy byliśmy z p a p ą poza d o m e m , zawsze się z nim dobrze bawiłam. Przebaczyłam mu nawet to - chociaż nigdy mnie o przebaczenie nie prosił - że któregoś letniego dnia wrzucił mnie do kana

łu, by zmusić mnie, żebym się nauczyła pływać. Z a n i m poszłam pod wodę, dał nura i kazał złapać się za ramiona, a potem skierowaliśmy się do brzegu. Nigdy nie nauczyłam się za dobrze pływać.

Życie byłoby całkiem niezłe, gdyby nie ciągły strach, że d o k t o r Jekyll zmieni się w p a n a Hyde'a. Chodzi mi o chwilę, kiedy ojca ponosił gniew. Jak wtedy, gdy rzucił młotkiem w mojego najmłodszego brata, chybiając o włos. Albo kiedy tłukł mnie po głowie rękami, jeżeli mu się sprzeciwiłam albo podawałam w wątpliwość jego słowa. I nie przestawał, d o p ó k i niemal nie traciłam przytomności albo ktoś nie zawołał

mamy.

Chodzi o nagłą podejrzliwość, jak wtedy, kiedy mój brat Adrian wrócił do d o m u z kilkoma b a n k n o t a m i w ręku i twierdził, że je znalazł. Papa mu nie uwierzył. Z a b r a ł swojego ośmioletniego syna do salonu i uderzał skórzanym p a s e m za każdym razem, kiedy ten upierał się, że pieniądze znalazł.

Pełne złości wypytywanie i lanie trwało godzinami.

Ojciec złamał mi dwa przednie zęby podczas jednej z awantur. Pewnego dnia, kiedy miałam dziesięć lat, nie chciałam zjeść owsianki. Zwykle smakowała mi gęsta mieszanina, którą ojciec niemal

nieodmiennie przyrządzał na śniadanie; zalewaliśmy ją gorącym mlekiem i posypywaliśmy brązowym cukrem.

Ale tego dnia nie miałam apetytu i odmówiłam, co natychmiast wywołało gniew ojca. Uznał moją odmowę za osobistą obrazę, lekceważenie jego gotowania i podważenie jego autorytetu. Zawział się i kazał mi jeść. Ja dalej odmawiałam, starając się mówić grzecznie:

- Nie mam dzisiaj ochoty, pa.

Miałam obstrukcję i instynktownie czułam, że powinienam się przegłodzić.

- Jedz albo ci wsadzę w nią twarz! - zagroził z jeszcze większą furją.

Ja k idiotka podjęłam to niesprawiedliwe, śmieszne wyzwanie. Nie ustąpiłam, zmuszając go do odkrycia kart. I wtedy mój ojciec chwycił mnie za kark od tyłu i ze straszliwą siłą wepchnął mi twarz w owsiankę tak mocno, że gruby biały talerz pękł, a razem z nim pękły moje dwa przednie zęby.

Z owsianką zmieszała się krew z rozbitych warg i dziąseł.

- Och, John! - jęknęła matka, bliska płaczu. Następnie oboje wytarli mi twarz i włosy, i ubranie, po czym wysłali mnie do szkoły.

• • •

Niewykluczone, że to Anioły Stróżę latami ratowały mnie przed sobą samą. Przekonałam jestem, że wkraczały stanowczo, kiedy czasami za bardo obojętniałam, by się czymkolwiek przejmować. To prawdziwie im zawdzięczam, że mimo mojej głupoty nic mi się nie stało, kiedy w wieku jedenaestu lat zwróciłam na siebie uwagę erotomaną grasującego w parku, który często odwiedzaliśmy. Przy wejściu znajdowa

ła się cmentowa figura Matki Boskiej siedzącej z Dzieciątkiem na kolanach. Na jej kolanie i na rękach zawsze leżały kwiaty ukradkiem zrywane w parku i układane przez dzieci, które miały wystarczająco mocne nogi, by wdrapać się na postument. W parku było też jezioro, nad które jeździłam na rowerze, żeby łapać kijanki; było bardzo często odwiedzane przez rodziny z dziećmi.

Wyczułam obecność mężczyzny, kiedy jego wzrok sparzył

mnie niczym wiązka światła laserowego. Dorastając, nauczy

łam się wyczuwać związaną z chucią energię i jego koncentracja wydała mi się znajoma; to mnie przerażało, a równocześnie podniecało. Zamiasztu ciękać, odwróciłam się i uśmiechnęłam do rozwalonego na trawie mężczyzny. Zaprosił mnie, żebym usiadła obok niego, pokazała mu kijanki, powiedziała, jak mam na imię. Przez cały ten czas czułam jego zapach, czułam zapach niebezpieczeństwa, widziałam błysk w jego oczach, ale nie zważałam na to. Poprosił, żebym wróciła tam następnego dnia przed południem (niejasno zdawałam sobie sprawę, że jest młodo, by byli tam wtedy inni ludzie), a ja się zgodziłam.

Pojawiłam się w parku n a s t ę p n e g o ranka, nie dlatego że chciałam, ale ponieważ uważałam, że muszę dotrzymać słowa. Nie było go tam o uzgodnionej porze. Wystawił mnie do wiatru, czułam się ośmieszona, nie zdawałam sobie sprawy, ile n a p r a w d ę miałam szczęścia. Wróciłam do d o m u z uczuciem ulgi i rozczarowania, no i oczywiście wstydu. Ten mężczyzna odzyskał rozsądek, tak myślałam, a ja nie. R z a d k o myślałam o sobie życzliwie, nie w t a m t e dni, nie w tamte lata. I jeszcze przez dziesiątki lat nie miałam tak myśleć.

## Ż y c i e w n o w y m k r a j u

Mieliśmy niedługo zostawić za sobą całą holenderską scenerię, śnieg i lodowe kwiaty, Świętego Mikołaja i szopę na węgiel - i wszystkie moje lalki. M a t k a odziedziczyła trochę pieniędzy po śmierci swojego ojca i zamierzała przeznaczyć je na wydostanie nas z Europy.

L a t e m 1950 roku ojciec zbił drewniane skrzynie, w których miały pojechać za ocean nasze meble i dobytek. Z g o d n i e z przepisami musieliśmy się zmieścić w z góry zadanych wymiarach i niektóre rzeczy trzeba było zostawić. Rodzice nie mieli serca uprzedzić mnie, że nie zabiorą ani jednej mojej lalki; miałam wtedy prawie dwanaście lat.

Przechwalaliśmy się przed przyjaciółmi, jakie to będziemy przeżywali przygody, i obiecywaliśmy pisać. Nasi przyjaciele byli p o d wrażeniem. Nie wiedziałam wtedy, jak b a r d z o b ę d ę tęsknić przez pierwszy rok po przyjeździe do tego dalekiego kraju za miejscami, do których nigdy nie miałam powrócić.

W snach odwiedzałam swojskie ulice i alejki, wąchałam tak mi drogie bazie i żonkile, czułam woń śniegu w rześkim powietrzu, widziałam bujne zielone listowie na platanach i patrzyłam na cudowne kwiaty kasztanowca. Unosiłam się nad d o m e m ze stojącą obok krytą p a p ą szopą na węgiel, który był

kiedyś naszym d o m e m i miejscem tak wielkiego smutku. Aż serce mnie bolało, tak p r a g n ę ł a m znowu tam się znaleźć; opuściłam to wszystko zbyt niefrasobliwie.

N i e m r a w e m u staremu transportowcowi zajęło sześć cudownych tygodni, żeby dowieźć nas do Sydney. Nigdy wcześniej nie widziałam oceanu i moje m ł o d e serce zamarzyło o romantycznych uczuciach, którym sprzyja podróż w nieznane.

Powietrze wokół nas przesycone było romantycznością.

Zawinęliśmy do portu w Port Saidzie, w Egipcie. I tam, przez iluminator w kabinie, którą dzieliłam z kilkoma innymi dziewczynkami, przypadkiem zauważyłam w dole opalonego na brąz, obnażonego do pasa egipskiego boga, który bez wielkiego pośpiechu pracował w skwarze południa na pokładzie tankowca, uzupełniając zapas paliwa na naszym statku. Niepodejrzewający niczego bóg z zaskoczeniem zobaczył kawa

łek przywiązanego do białej nitki papieru, który trzepotał nad jego głową. Podniósł wzrok, uśmiechnął się i z narażeniem życia (a przynajmniej tak mi się wydawało) złapał kartkę.

- Podobasz mi się - oznajmiał prostodusznie liścik w m o jej najlepszej angielszczyźnie. Opalony idol z czarnymi jak smoła włosami i równie czarnymi oczami błysnął pięknym uśmiechem. Poszukał ołówka, a p o t e m - istny cud! - napisał

odpowieź po drugiej stronie mojego króciutkiego przesłania. Wciągnęłam na górę tę część szarpanego wiatrem rom a n s u i przeczytałam wiadomość, od której serce zabiło mi m o c n o : „Ja też cię kocham”. Dla dziewczynki, która zwykle dostawała po uszach za to, że zamiast iść spać, chciała oglądać filmy, był to wspaniały m o m e n t , coś w rodzaju oczyszczenia. Pomyślałam, że muszę być chociaż odrobinę atrakcyjna, skoro tak wspaniała istota przyjęła moją pełną uwielbienia wiadomość i odpowiedziała życzliwością. Wychyliłam się przez iluminator i uśmiechnęłam się z wdzięcznością. Wydawał się zadowolony, a p o t e m wrócił do swojej pracy.

Usłyszałam gong. Romantyczne uczucia walczyły przez chwilę o lepsze z pustym żołądkiem, ale głód wygrał. Wróciłam biegiem po piętnastu minutach, ale mój Egipcjanin od-płynął, jakby to wszystko było tylko snem. Miałam j e d n a k na dowód kawałek papieru i przechowywałam go w ukryciu jak skarb.

Ta romantyczna wymiana liścików była najjaśniejszym p u n k t e m całej podróży, bardziej pamiętnym niż dwunaste urodziny na pokładzie statku, bardziej nawet niż chwila, kiedy stanęliśmy na australijskiej ziemi.

Nasz statek przybił do F r e m a n t l e w niedzielny poranek i stał w porcie przez cały dzień. Był listopad i wszędzie było pełno much. Znaliliśmy muchy z Holandii, ale nie występowa-  
ły t a m w takich uprzykrzonych chmarach jak te!

M o m e n t , kiedy po raz pierwszy ujrzeliśmy naszą nową ojczyznę, był pełen magii; ta ziemia była taka inna - obca, ale przyjazna. Ulice F r e m a n t l e okazały się wyludnione; w polu widzenia ani j e d n e g o Australijczyka. Puste papierowe torby sunęły i szeleściły po pełnych kurzu, rozedrganych w upale, pokrytych smołą ulicach - czegoś takiego nigdy nie widzia-

łam w moim czystym brukowanym kraju.

Wróciliśmy na nasz statek i popłynęliśmy dalej, do Sydney, zgodnie z planem. Po długim oczekiwaniu na stacji, wywołanym strajkiem pracowników kolei, wsiedliśmy do pociągu na parę, który miał zawieźć nas aż za Góry Błękitne do obozu przesiedleńców.

Pociąg z wysiłkiem wdrapywał się w górę po zboczach, a kiedy jego długi korpus brał zakręt na szynach, dostrzegłam komin na lokomotywie. On się palił! Płomienie bucha-

ły w niebo. Rozejrzałam się po swoim przedziale, żeby sprawdzić, czy ktoś jeszcze to zauważył i tak jak ja gotów jest wyskoczyć. Przyzwyczajona byłam w d o m u do pociągów, do tego, że ciepła para zwilżała mi twarz i brudziła sadzą. Nigdy żaden komin nie pluł płomieniami! Ale tu chyba nikt się tym w najmniejszym stopniu nie przejmował i w końcu o p a d ł a m z p o w r o t e m na miejsce, zadowolona, że się nie wygłupiłam i nie podniosłam alarmu.

Spędziliśmy w obozie dla przesiedleńców sześć tygodni, a ojciec szukał pracy. Życie tam miało ciemne strony, zwłaszcza dla dorosłych, całkowicie nieprzyzwyczajonych do gołej podłogi z gołych desek, którą trzeba było codziennie zmywać na m o k r o , żeby ją odkurzyć, do blaszanych dachów bez żadnej izolacji, do szeregów przenośnych toalet oddzielonych zasłonami z juty i do much we wspólnej kuchni. J e d n a k m y , dzieci, przyjmowałyśmy to ze spokojem, a nawet traktowały

śmy jak pierwszorzędną przygodę wszystko poza odrażającym zapachem toalet, towarzyszącymi n a m wszędzie muchami oraz prysznicami na otwartym powietrzu, których n a m kazano unikać, jeżeli będą tam jacyś dorośli. Tylko raz zauważyłam p o d prysznicem nagą kobietę. Najbardziej zainteresowały mnie i zaszokowały jej piersi, bo własnych jeszcze nie miałam - chociaż od razu dziwnie zakłuły mnie brodawki i zrobiły się jakby naelektryzowane, kiedy przycisnęłam je do zimnego szkła. Nie muszę dodawać, że poczułam się niedobra i że wytrąciło mnie z równowagi poczucie winy, wywo

łane własną ukradkową zmysłowością.

Chodziłam codziennie o szóstej r a n o na mszę, a idąc pod górę, widziałam w łagodnym porannym świetle zarysy wspaniałych australijskich traw. Oszołomiona byłam u r o d ą tego, co widziałam i słyszałam, i czułam. Wielkie pajęczyny po

łyskiwały w porannym słońcu. Sroki radośnie śpiewały - ich piosenka mnie uszczęśliwiała. Przybyłam do pełnego barw kraju. Byłam daleko od mrocznych, śmierdzących czasów i okropieństw, które utożsamiałam z E u r o p ą . Czułam się lekka jak anioł w niebie. Z b i e r a ł a m dla mojej matki bukiety bladych traw koloru słomy, jakby były jakimiś cennymi kwiatami, by ustawiła je w chacie. Ktoś śmiał się ze mnie, że zrywam chwasty, ale na szczęście moja m a t k a się nie śmiała, włożyła je do pustego słoika po dżemie.

Mój pierwszy dzień w szkole nie nastroił mnie optymistycznie. Sala szkolna była prowizorką, jak i wszystko inne. Między drewnianymi ścianami a dachem zostały szpary. Tego pierwszego dnia piłka futbolowa wpadała raz za razem do klasy przez wysoko umieszczone nieoszlone dziury i raz za razem przerzucano ją z powrotem. Nasz nauczyciel był bardzo młody i miał kłopoty z utrzymaniem klasy w ryzach. Połowa dzieci siedziała do niego tyłem, bo usadzono nas na ławach przy długich stołach na kozłach ustawionych w rzędy. D o d a t k o w o sala miała kształt litery L, a jego podopieczni byli w różnym wieku, przez co nauczycielowi było jeszcze trudniej.

Dostaliśmy mnóstwo wolnego czasu na rysowanie, zanim nauczyciel wymyślił jakieś lepsze zajęcie. On rozmawiał przy drzwiach z jakimś kolegą, jego futbolówka to pojawiała się, to znikwała. Przestałam się tym wszystkim interesować i zatopiłam się bez reszty w rysowaniu.

Lubiłam obrazki tancerek. Żeby o d d a ć ich hipnotycznie zmysłowe pozy, musiałam jakoś u p o r a ć się z krzywiznami i proporcjami, a zwłaszcza z wygięciem stopy utrzymującej się na dużym palcu - tak nienaturalnie, tak kobieco i tak elegancko. Panujący wokół harmider nie miał dla mnie znaczenia, byłam do tego przyzwyczajona. Potrafiłam koncentrować się nawet na odrabianiu lekcji w kuchni, kiedy moi rodzice akurat przyjmowali gościa albo siostry i bracia wrzeszczeli i się bawili. Nauczyłam się całkowicie ignorować to, co działo się wokół mnie.

Pochłonięta rysowaniem nie zauważyłam, że w klasie zapanowała nagle śmiertelna cisza. I w tej ciszy, w której dzieci siedziały w kompletnym bezruchu, nauczyciel czekał, czy któreś ośmieli się odezwać, nie podnosząc najpierw ręki do góry. I wtedy odezwałam się cicho, ale wyraźnie do dziewczynki siedzącej naprzeciw mnie:

- Czy mogę pożyczyć czerwoną kredkę?

Oczy dziewczynki rozszerzyły się, popatrzyła z lękiem najpierw na mnie, a potem na nauczyciela za moimi plecami. Nie miałam czasu połapać się, o co chodzi; ręce ze stali chwyciły mnie za ramiona i potrząsnęły nimi bezlitośnie. Oburzony pedagog wyładował swój gniew i frustrację na mnie. Siedziałam na ławce tuż przed nim, więc byłam łatwym celem. Dobrze znałam siłę takiego gniewu - jak u mojego ojca była równie wybuchowa i niekontrolowana. Zmieniłam się w rozdygotany kłębek. Powstrzymując łzy, próbowałam siedzieć sztywno, żeby się nie przygarbić i nie wywołać kolejnego wybuchu.

W końcu na lekcjach sytuacja się poprawiła i w sumie szkoła w obozie okazała się fajniejsza niż szkoła w Holandii; w naszej rozwydrzonej niejednorodnej grupie znalazło się kilkoro dzieci, które ośmielały się być niegrzeczne, inspirując bardziej nieśmiałyh kolegów. Potrzeba było dwóch nauczycieli naraz, żeby nas opanować i nauczyć podstaw angielskiego. Kiedy uczyli nas, jak się wymawia „th”, śmialiśmy się z nich i pokazywaliśmy języki.

•••

Od razu w pierwszym tygodniu wybraliśmy się popływać w towarzystwie ludzi z australijskiego kościoła. Zapropowali, że zabiorą dzieci do Bathurst (najbliższego miasta) do kąpieli, jak nazywali basen, żeby nam zrobić przyjemność, i wszyscy przyjęliśmy to z wielkim entuzjazmem. Kąpaliśmy się godzinami, figlując w upale. Chociaż z nieba lał się żar, nikt sobie nie zdawał z tego sprawy, i straszliwie się spiekli

śmy. Mnie zrobiły się na plecach pęcherze; obozowy lekarz nic na to nie mógł poradzić. Uczyłam się Australii na własnej skórze.

Władze w Holandii poinformowały nas, że mamy krótko obciąć włosy i sprzedać futra i koce, „bo w Australii jest tak gorąco”. Ponieważ koniec końców zdecydowaliśmy się osiedlić w Melbourne, dobrze się stało, że zatrzymaliśmy przynajmniej wełniane koce. W obozie w Bathurst, leżącym na północ od Melbourne, ale wysoko na płaskowyżu, noce były równie zimne, jak dni gorące. Układaliśmy na sobie nocami po sześć wydanych przez wojsko koców. A tajemniczych zwierząt, o których nam tyle opowiadano, kangurów, nigdzie nie było widać.

W obozie kultury różnych narodów ujawniały się na rozmaite i nieoczekiwane sposoby. Chociaż większość z nas by

ła Holendrami, mieszkali tam też imigranci włoscy i rosyjscy.

Co wieczór o zachodzie słońca nad pobliskie pagórki wzbija

ła się dźwięczna, niesamowita rosyjska piosenka. O tej porze powietrze przepajał spokój, dzięki czemu dźwięk łagodnie służył z pagórka prosto do naszych pełnych zadziwienia uszu. Zachwycił nas ten śpiew, chociaż równocześnie przechodziły nas ciarki. Nigdy nie zobaczyliśmy mężczyzny, który śpiewał. Ludzie mówili, że próbował wyśpiewać tęsknotę za d o m e m albo może miał złamane serce.

Do naszej rodziny przyszedł z wizytą pewien holenderski katolicki ksiądz z Victorii, ojciec Maas.

- W klasztorze w M e l b o u r n e jest praca dla ogrodnika, może to sam Bóg ją p a n u zsyła, J o h n i e .

Mój ojciec słuchał, oczy mu pały. Praca na świeżym p o wietrzu! Nigdy się tego nie spodziewał.

- Nie brak tam nawet d o m u dla całej rodziny.

Ojciec i ksiądz pojechali razem sprawdzić wszystko na miejscu. Ten „ogród” to było około osiemnastu akrów ziemi, zaniedbanych przez lata, otaczających wyniosły klasztor.

Klasztor nosił nazwę G e n a z z a n o i znajdowała się w nim również szkoła dla dziewcząt z zamożnych rodzin.

D o m e k stał na ziemi klasztornej, wciąż zajmował go p o p r z e d n i o g r o d n i k , który pracował t a m od dwudziestu lat i nie chciał przyjąć do w i a d o m o ś c i , że został wyrzucony, ani się wyprowadzić, chociaż pracy zaniechał. Otaczały go wysokie chwasty, dostarczając s c h r o n i e n i a w ę ż o m i królik o m . N i e z r a ż o n a tym nasza rodzina zamieszkała w n a m i o t a c h , k t ó r e z d e s p e r o w a n e z a k o n n i c e rozbiły tuż przez p r z e d d o m k i e m o g r o d n i k a , kiedy wyjechał z r o d z i n ą na wakacje. P o z w o l o n o n a m korzystać z toalety w j e g o d o m u .

Po tej biwakowej przygodzie ulokowaliśmy się w przyjemnym d o m u o nazwie G r a n g e Hill na t e r e n i e klasztoru. D o p i e r o kiedy stało się oczywiste, że zamieszkaliśmy t a m na d o b r e i że ojciec przejmuje obowiązki, k t ó r e tak długo zaniedbywał stary o g r o d n i k , zdecydował się on wyjechać raz e m z rodziną.

Tego pierwszego dnia, kiedy wprowadziliśmy się do d o m u ku wdzięczne zakonnice ugotowały dla nas obiad. Wielebna m a t k a zaszła do n a s i p o d a l i ś m y sobie wszyscy r ę c e .

Uśmiechniętą, sympatyczną zakonnice moja matka z miejsca polubiła. Okazało się, że m a t k a przełożona często bywa naiwna i niepraktyczna, ale wybaczano jej wady, bo była istnym aniołem. Wyrażała się miękko i potocznie. Z kolei towarzysząca jej zastępczyni - wysoka i wyprostowana - prezentowała

ła nieskazitelne wychowanie, ale bez cienia snobizmu.

Posługiwaliśmy się łamaną angielszczyzną, ale rozumieliśmy nie najgorzej. Ojciec otrzymał do dyspozycji cały teren i miał

zrobić, co w jego mocy, żeby poprawić sytuację, korzystając przy tym ze sporego budżetu, który



przeznaczono na odtworzenie klasztornych ogrodów. My, dzieci, miałyśmy chodzić do prowadzonej przez zakonnice szkoły podstawowej w parafii i byłyśmy zwolnione z opłat. Za d o m e k nie pobierano czynszu, nie było też żadnych opłat za elektryczność. Miała nam zostać dostarczona farba do odmalowania domu, żeby się milej mieszkało, a poza tym trochę innych materiałów, na przykład płyta gipsowa do załatania dużej dziury w jednej ze ścian.

Z a r a z po przybyciu rozejrzeliśmy się po d o m k u i własnym oczom nie mogliśmy uwierzyć.

- Spójrzcie tylko! D r e w n i a n e deski po wewnętrznej stronie ścian, nawet nieprzybite prosto, oblepione tłuszczem, a tłuszcz cały zakurzony!

Te deski to był szalunek przeznaczony na ściany zewnętrzne. Podłogi pokrywały albo porysowane deski, albo przetarte linoleum. Na ścianach sypialni widać było paskudne plamy; okien najwyraźniej nikt nie mył od miesięcy, a może nawet lat.

Moja matka, moja siostra Liesbet i ja miałyśmy wziąć na siebie większość roboty przy sprzątanii. Przyglądałyśmy się otoczeniu, wpatrując się w nie z niedowierzaniem i wzdychając.

- Da się to wyszorować, żeby było przyzwoicie - filozofowałyśmy. Potrzeba było tylko trochę kobiecej pracy i kobiecej wyobraźni; nic nowego.

Rodzina zostawiła po sobie trochę mebli i pod starą kanapą w salonie znaleźliśmy dużą Biblię z mosiężną klamrą, złoconymi brzegami i zmysłowymi nagimi postaciami A d a m a i Ewy oraz innymi na wpół ubranymi bohaterami żydowskiej historii. Była tam Betszeba i porwane Sabinki. Biblia, przynajmniej dla katolika z południowej Holandii, była księgą niemal heretycką, czymś, co czytawali tylko protestanci. Niestety, przez nasze uprzedzenia nie poznaliśmy się na historycznej ani artystycznej wartości cennej księgi. Została ona szybko spalona na podwórku za d o m e m w kotle do palenia śmieci, metalowym bębnie o pojemności ponad stu sześćdziesięciu litrów.

Wytęsknione skrzynie z m e b l a m i i innym dobytkiem w końcu dojechały do nas z wybrzeża, ale były otwarte. Australijscy dokerzy musieli zabrać nasze srebra. Większości cennych haftów matki, które wykonała, zanim urodziła dzieci, również brakowało. To było takie s m u t n e , ale nie pozostawało n a m nic innego, jak pogodzić się z sytuacją; podobny los spotkał bagaże większości przesiedleńców. W tamtych czasach „doker z M e l b o u r n e ” był synonimem złodzieja.

Moich lalek, jak już wspomniałam, w ogóle nie z a b r a n o .

- Brakowało miejsca - powiedzieli cichym głosem rodzice. Płakałam rzewnymi łzami nie tylko z p o w o d u poniesionej straty, ale również ich zdrady.

- Kupię ci kiedyś nową lalkę - obiecał ojciec, k t ó r e m u by

ło mnie żal.

Ale musiał liczyć na to, że o obietnicy z a p o m n ę , bo pewnego dnia, kiedy oglądaliśmy wystawy, powiedział mi ze smutkiem, że lalki są za drogie i że muszę poczekać.

- Do kiedy? - p r ó b o w a ł a m zmusić go do podania konkretnej daty. Ale wiedziałam już, że przyszedł czas, bym pogodziła się z życiem bez lalek.

Moja matka, siostra i ja przystąpiłyśmy z niesamowitą siłą woli do działania, żeby w tydzień zmienić lepiącą się od brudu chatę w lśniący czystością domek. Trzech starszych chłopców - przysadziasty Adrian, lat dziewięć; M a r k u s z głową w lokach, lat siedem; i mały pięcioletni Willem - zbierało d r e w n o do pieca i p o m a g a ł o ojcu. Wszyscy opiekowaliśmy się małuchami - brązowowłosą i brązowooką dwuletnią Bertą i jasnowłosą Teresą, która uczyła się chodzić i miała d o p i e r o rok.

Często zachodził do nas brat L e o z klasztoru redemptorystów na tej samej ulicy. Opierał swój rower o płot na tyłach d o m u , przyglądał się, jak wspinamy się na olbrzymią sosnę na podwórku. To on powiedział n a m o gazecie „The A g e ” .

- Czerwona m a p a Australii wydrukowana w lewym górnym rogu na stronie tytułowej dowodzi, że „The A g e ” jest własnością komunistów i najlepiej jej nie kupować.

Były to czasy Boba Santamaria i kwestia „katolicy kontra komuniści” zajmowała umysły i polityków, i katolików.

Po kilku tygodniach d o m e k został odnowiony; d o b u d o w a liśmy szopę, żeby mieć gdzie naprawiać buty, i umieściliśmy wiatraki w oknach. Potem wybudowany został garaż dla naszego chevroleta, a jeszcze później d o b u d ó w k a dla moich trzech urodzonych w Australii braci. Pojawili się, nim minę

ło siedem lat, i zawsze robili, co chcieli, odrzucając staro

świecką, związaną z innym światem dyscyplinę rodziców.

Zarośnięty chwastami p a d o k w pobliżu d o m u został przekształcony w niesłychanie wydajny ogród warzywny, zasadziliśmy też drzewa. Najlepsza była wierzba, która wkrótce tak wyrosła, że m o ż n a na niej było wieszać huśtawkę.

Co do t e r e n ó w G e n a z z a n o , ojciec, ciężko pracując, zrobił z nich ogród, jaki m o ż n a było stawiać za wzór. Nie tylko opiekował się o g r o d a m i , ale był również klasztornym elektrykiem, hydraulikiem i stolarzem. Taką złotą rączką dla trzydziestu zakonnic, Wiernych Towarzyszek Jezusa, które mieszkały w pięknym trzypiętrowym d o m u z d a c h e m krytym łupkową d a c h ó w k ą . Z a k o n n i c e doceniały jego pracę, a ojciec był wdzięczny za to, że powierzyły mu te o d p o wiedzialne obowiązki. Potrafił puścić w o d z e fantazji przy jakimś projekcie, a równocześnie dokładał starań, by oszczędzić zakonnicom zbyt dużych wydatków. Założył szkółkę, żeby nie musiały kupować sadzonek. I hodował przeznaczone do kaplicy kwiaty na specjalnie wyznaczonej do tego celu grządce, aby resztę kwiatów w ogrodzie zostawiono w spokoju.

Chyba nigdy jeszcze mój ojciec nie był taki szczęśliwy.

Przez jakiś czas rzadziej miał te swoje nieprzewidywalne ataki gniewu i już nie przychodził do mnie w nocy. Skończyłam dwanaście lat, mieszkaliśmy w słonecznym, chociaż małym d o m k u o

wytapetowanych ścianach, a z pewnym nowym obyczajem zapoznał ojca G e o r g e , zręczliwy pomocnik ogrodnika. Był to obyczaj odwiedzania „męskiego pokoju”. Z a k o n nice i dziewczęta nie miały tam wstępu. Ściany obwieszane były nie świętymi obrazami, tylko pikantnymi fotografiami z kalendarzy. Wszelkiego typu i rodzaju ilustrowane magazyny leżały w szufladach, a wypełniały je ogłoszenia z zakładów w M e l b o u r n e , które obiecywały, że zadowolą wszystkich potrzebujących.

Mój ojciec zaznajomił się w końcu z bardziej wymyślnym -

i bardziej kosztownym - sposobem zaspokajania swojego nieustającego p o p ę d u seksualnego, niczego takiego nie znał

dotychczas. W swojej naiwności musiał sądzić, że jest to sposób bezpieczniejszy i coś, co uda mu się utrzymać w tajemnicy. Ani przez m o m e n t nie podejrzewał, że po wielu latach, kiedy zrobi się bardziej nieostrożny, zarazi swoją żonę syfilisem, ani że ona, po okresie wielkiego zdumienia i dezorientacji swoim stanem (ojciec słowa nie powiedział, dopóki go do tego nie zmusiła), weźmie taksówkę, pojedzie na Lygon Street i ze łzami rzuci oskarżenie w twarz prostytutce, którą tam zastanie. Chociaż była w tak żalonym stanie, rodzice uzgodnili między sobą, że zachowają sprawę w sekrecie. Ale sekret był zbyt ciężki, by m a t k a udźwignęła go sama. W końcu zwierzyła się mojej siostrze, Liesbet, która była już wtedy dorosła. A Liesbet w końcu opowiedziała o tym wszystkim siostrze.

Będąc w Australii, nadal hołdowaliśmy holenderskiemu zwyczajowi niedzielnego składania wizyt, a ponieważ nie m o gliśmy pójść do dziadka, odwiedzaliśmy inne holenderskie rodziny. W dziesięć miesięcy po przybyciu do G e n a z z a n o wsiedliśmy wszyscy do pociągu, żeby odwiedzić liczną rodzinę, która przyплыła razem z nami, i przekonać się, jak im się wiedzie. Rozmowy dotyczyły strajku włoskiego, którym związki groziły ciężko pracującym nowo przybyłym za to, że pokazali, jak niedbale pracują miejscowi; albo małego wyboru w delikatesach oraz jedzenia z ojczyzny, za którym wszyscy tęskniliśmy. Dorośli rozmawiali o nastoletnich córkach i synach, i o tym, że są przeciwni ich przyjaźni z tymi niesolidnymi Australijczykami.

My, dzieci, miałyśmy się bawić w swoim towarzystwie. By

ła nas spora g r o m a d k a , a ja, m i m o że miałam już trzynaście lat i należałam do najstarszych dzieci, jak zwykle czułam niepokój, czy zostanę zaakceptowana przez innych. Żeby się włączyć do zabawy, wystarczyło głośno mówić i wykazać się odwagą, a tego dnia nie miałam nastroju. Na p o d w ó r k u rosło drzewo. Miałam na sobie sukienkę, ale nie powstrzymało mnie to i w d r a p a ł a m się na sam czubek. Chociaż był to spory wyczyn, nikt nie zwrócił na mnie uwagi. Zrobiło mi się ciężko na sercu; siedziałam na czubku drzewa i rozpaczliwie chciałam być taka jak inne dzieci, ale coś nie pozwalało mi się do nich zbliżyć i czułam się dziwnie osamotniona. Pocz

łam łzy p o d powiekami i nagle zapragnęłam dać wyraz mojej głębokiej, nienazwanej rozpacz.

Płacz musieli usłyszeć wszyscy, łącznie z dorosłymi w domu. Przez m o m e n t widziałam głowę mojej matki przy drzwiach kuchennych. Chyba natychmiast wróciła do środka.

Wyobraziłam sobie, jak wszem i wobec ogłasza, że Carla ma napad złości i najlepiej nie zwracać na nią uwagi. Poczułam piekące upokorzenie i pogrążyłam się w beznadziejnym smutku. Nie potrafiłabym powiedzieć wyraźnie, dlaczego płaczę.

Od przyjazdu do Australii ustały nocne wizyty mojego ojca i uwolniłam się od grozy, z którą wcześniej żyłam. Zostałam wykorzystana i odrzucona, czułam się pusta. Ojciec przestał

się m n ą interesować, więc nie byłam już jego wyjątkową dziewczynką. Chociaż na jawie nie pamiętałam o nocnych wizytach, podświadomie tęskniłam za jakąkolwiek bliskością ojca i czułam się dziwnie porzucona. Zawodziłam coraz głośniejsze. Inne dzieci nie zwracały na to najmniejszej uwagi.

Zresztą co mogłyby zrobić? Widziały, że jeżeli zechcę zejść na dół, nie będę z tym miała większych trudności. Ta zagadkowa sytuacja była zbyt trudna, by potrafiły się z nią uporać.

W rezultacie moi rodzice - co rozumiały - wstydziły się swojego dziwnego dziecka, które zawodziło, chcąc zwrócić na siebie uwagę, zamiast dobrze się bawić jak pozostałe dzieci.

Rodzice nie byli w stanie zrozumieć moich emocji, a nawet nie próbowali, zajęci przystosowywaniem się do nowej sytuacji.

### Nowe wino w starych bukłakach

W Holandii chodziliśmy do naszego parafialnego kościoła p o d wezwaniem Matki Boskiej D o b r e j Rady. Na jego bocznej ścianie znajdowała się wspaniała bizantyjska mozaika, przedstawiająca M a t k ę Jezusa z przytulonym do niej Dzieciątkiem, przed którą stale paliły się małe świece. Ludzie modlili się do niej, a p o t e m odchodzili i robili swoje.

Nasza podróż na drugi koniec świata trwała sześć tygodni i przez niesamowity zbieg okoliczności w osiemnaście tysięcy kilometrów później zakończyła się w parafii pod tym samym wezwaniem. Znaleźliśmy się na obcej ziemi, w innej kulturze, ale nie do wiary, obraz przedstawiający M a t k ę Boską Dobrej Rady był taki sam, chociaż nie z prawdziwej mozaiki. Z tego powodu czułam się tak, jakby w jakiś dziwny sposób nic się nie zmieniło. M a t k a Boska podążyła za nami do Australii, ta M a t k a Boska, która miała udzielać n a m dobrych rad. Dlaczego ten o m e n jakoś nieszczególnie mnie pocieszał?

### Na pierwszy dzień w parafialnej szkole nasza m a t k a ubra

ła nas tak, jak zawsze nas ubierała w Holandii: zawiązała n a m we włosach duże kokardy, na nogach miałyśmy lśniące sznurowane buciki zrobione przez ojca. Przez te kokardy wy-różniłyśmy się, ale nasze ubrania nie miały najmniejszego znaczenia: australijskie dzieci, katolickie i inne, pogardzały nowo przybyłymi po prostu dlatego, że byliśmy inni. Nie potrafiły nas zrozumieć, więc się z nas wyśmiewały.

### Miały różne obraźliwe przezwiska dla przesiedleńców.

„ M a k a r o n i a r z e ” zarezerwowane było dla Włochów, którzy po 1950 roku zjeżdżali się do

Australii dużymi grupami. Nas nazywali „chodakami”, co było dosyć łagodnym określeniem w porównaniu z tym, którego używali wobec autochtonów, bo oni również byli inni. Jeżeli chcieliśmy im okazać bezczelność, pytałyśmy, jaki n u m e r nosił w więzieniu ich dziadek.

W końcu niemal wszystkie te dzieci były p o t o m k a m i Anglików i Irlandczyków zesłanych do kolonii karnych zaledwie dwa albo trzy pokolenia temu. Większość koleżanek nie rozumiała naszych obelg, dopóki nie nauczyłyśmy się lepiej mówić po angielsku.

Pałam się, by nauczyć się tego nowego języka i przekona

łam się, że jest zdumiewająco łatwy. Angielski podobnie jak holenderski ma swoje korzenie w łacinie, więc często opłacało mi się zgadywać. Jeśli chodzi o mówienie, to przysłuchiwałam się mocnemu akcentowi miejscowych dzieci, porównywałam go z wykształconymi lektorami z A B C i postanowiłam, że nigdy nie b ę d ę mówiła australijską angielszczyzną, zwaną

„strine”, tylko wybiorę angielszczyznę króla. Skończyło się na tym, że moja wymowa przypominała skundloną wersję oficjalnego języka, ale uważałam, że przynajmniej m a m klasę.

Z a k o n n i c a odpowiadająca za naszą klasę, matka Mary Luke, uczyła na trzech różnych poziomach równocześnie w jednej sali. Czytała nasze prace pisemne i chwaliła niezwykle sposób, w jaki przedstawiałyśmy różne rzeczy, jako świadczący o wyobraźni.

Zachwycał mnie wiersz Keatsa wypisany kaligraficznie wielkimi literami na żółknącym afiszu na ścianie klasy: „Poro mgieł i łagodnej pełni urodzaju! Przyjaciółko serdeczna słońca, co dojrzewa...”  
"•. To ten wiersz zachęcił mnie, żebym **John Keats, oda „Do jesieni” (przyp. tłum. )**.

doceniła język angielski, którego tak się bałam. Chociaż często angielszczyzna przyprawiała mnie o konsternację; dlaczego na przykład wymawiamy niektóre słowa w taki sposób, skoro wyraźnie rymują się o n e z czym innym?

W ciągu tego pierwszego roku wszyscy wyróżnialiśmy się z matematyki, ponieważ poziom w Australii był d u ż o niższy niż ten, do którego przyzwyczajeni byliśmy w Holandii. Matka Mary Luke stawiała nas za przykład i zapraszała do tablicy, byśmy dodawali słupki. Prestiż pomógł - zaczęto nas szanować. Nie minęło kilka miesięcy, a wspólnie z innymi mogłyśmy piętnować nowych przesiedleńców z innych krajów i w ten sposób stałyśmy się częścią tkanki szkolnej spo

łeczności.

W klasie obok moi bracia zetknęli się z siostrą Bartholomew i nie szło im tak dobrze. Ta siostra zawsze nosiła przy sobie długą drewnianą linijkę z metalowym brzegiem i biła swoich uczniów po rękach i nogach, aż pojawiały się grube czerwone pręgi. Siostra Bartholomew była w swojej klasie szefem i dzieci musiały o tym wiedzieć; urodziła się w buszu i miała ciężką rękę. Kiedy wszyscy chłopcy - M a r k u s , Adrian i Willem - wrócili do d o m u ze śladami na rękach i nogach, nasza matka, m i m o że mówiła ł a m a n ą angielszczyzną, zdecydowała się pomaszerować do szkoły i zaprotestować.

Siostra B a r t h o l o m e w broniła się głośno. W tamtych czasach s a m o niezgadzenie się z zakonnicą było grzechem i matka n a p r a w d ę wykazała dużo odwagi, narażając się zarówno na drwiny, jak i r e p r y m e n d ę siostry przekonanej o własnej nieomyślności. Wstydziliśmy się wszyscy, że nasza m a t k a tak słabo mówi po angielsku, ale d u m n i byliśmy z jej śmiałości.

Przy naszym nastawieniu „oni i my” do „my” zaliczała się teraz nasza matka, a do „oni” siostra Bartholomew. Życie stawało się coraz bardziej ekscytujące.

M a t k a Mary Luke, która nie lubiła się gniewać, wyznacza

ła mojej siostrze i mnie zadania wymagające pewnej odpowiedzialności, takie jak opieka nad kwiatami ustawianymi na ołtarzu w kościele. Naszą klasę o d d z i e l a ł o od kościoła drewniane harmonijkowe przepierzenie; w niedzielę ściankę odsuwano na bok, żeby pomieścili się liczni parafianie, którzy siedzieli w naszych ławkach. Dawało to nam błogie uczucie, że jesteśmy tak blisko Jezusa w tabernakulum. Potem awansowałam i powierzono mi odpowiedzialne zadanie, miałam przygotować ołtarz na następny dzień do porannej mszy, co trzeba było zrobić po szkole. Musiałam też przygotować wszystko dla księdza w zakrystii, gdzie się przebierał. Nauczy

łam się takich słów, jak ornat, alba, manipularz, cingulum, humerał, czyli amikt, i stuła - części ubioru katolickiego księdza.

Co rano uczestniczyłam we mszy i nawet służyłam jako ministrant, kiedy nie pokazywał się żaden chłopiec. C o r a z czę

ściej się nie pokazywał, wiedząc, że b ę d ę tam i go zastąpię.

Czułam się uprzywilejowana, że z tak bliska uczestniczę w rytuałach mszy. Moje o d d a n i e dla Jezusa rosło.

Koleżanki nie były takie p o b o ż n e , zwłaszcza Jill, najlepsza przyjaciółka mojej siostry Liesbet. Pewnego p o p o ł u d n i a wpadły obydwie do zakrystii i narobiły zamętu, bo przewróciły pojemnik z białymi opłatkami. Jeżeli spadły na podłogę, nie m o ż n a ich już było użyć i trzeba je było usunąć, więc Liesbet i Jill wypchały sobie nimi buzie, śmiejąc się głośno, co by

ło bardzo niegrzeczne. P o t e m Jill postanowiła spróbować również wina. Złapała butelkę z winem i kielich i oświadczy

ła, że bardzo jej to smakuje. Ciekawość wzięła górę i ja też trochę spróbowałam. Był to specjalny rodzaj portwajnu, naprawdę pysznego, poczułyśmy się po nim bardzo szczęśliwe i zuchwałe. Bezczelna i prześmiewcza dwójka zajrzała jeszcze pod każdą s u t a n n ę i do każdej szuflady i w końcu zniknę

ła za drzwiami zakrystii.

Czułam się rozbawiona, ale również przerażona; w końcu ja też w tym uczestniczyłam i łyceczek portwajnu zdumiewająco podniósł mnie na duchu. Później nigdy się już w zakrystii nie czułam tak samo: zawsze towarzyszyła mi pokusa i od czasu do czasu ukradkiem jej ulegałam. W końcu istniała

spowiedź, pozwalająca wszystko naprawić - tyle że z czegoś takiego człowiek spowiadał się w innej parafii.

M a t k a Mary Luke była d o b r a , chociaż trochę za stara do takiej pracy i o d r o b i n ę m a r u d n a z p o w o d u ciągłych migren.

Nie miała już zębów, ale jej bladawy uśmiech był szczery.

M a t k ę Mary Luke cechowała m ą d r o ś ć z r o d z o n a z wieloletniego doświadczenia w uczeniu i stosunkach z rodzicami i dziećmi. Przemierzając kilka razy dziennie odległość między klasą a pokojem nauczycielskim, nigdy nie szła, tylko zawsze biegła, wyprostowana w ramionach, z trzepoczącym się w e l o n e m . To właśnie podczas j e d n e g o z tych błyskawicznych sprintów rzuciła mi uśmiech i powiedziała:

- Kiedy ty się zamierzasz obudzić, Carlo?

Poczułam się ogłuszona. Coś w tym pytaniu było takiego, że moje procesy umysłowe stanęły jak wryte. Nie powiedzia

ła: „Kiedy ty zamierzasz d o r o s n ą ć ? ” , tylko: „Kiedy ty zamierzasz się obudzić?”. Z n a ł a m już angielski na tyle dobrze, że potrafiłam zauważyć różnicę. M a t k a Mary Luke sugerowała, że śpię, że istnieje coś, do czego m o ż n a się obudzić. Co to mogło być? Nie wiedziałam, jak wygląda świat ludzi, którzy się obudzili. Jej słowa nie dawały mi spokoju, ale zabrakło mi czasu, żeby się nad tym głębiej zastanowić, a przez n a s t ę p n e dwa lata do szkoły chodziłam z przerwami.

P e w n e g o dnia, kiedy wróciliśmy ze szkoły, zastaliśmy m a t k ę w łóżku. Leżała w kałuży krwi, jęczała i majaczyła.

Wiedzieliśmy, co zrobić, i pobiegliśmy do klasztoru po siostrę Victoire, infirmariuszkę. Siostra Victoire rzuciła wszystko i pospieszyła do nas. Nie tracąc czasu, wezwała k a r e t k ę , k t ó r a przyjechała niezwłocznie i zabrała naszą m a t k ę do szpitala. Po d r o d z e moja m a t k a otworzyła zmętniałe oczy i powiedziała n a m , żebyśmy nie płakali. Była osłabiona od utraty krwi p o d c z a s p o r o n i e n i a zaawansowanej ciąży, ale troszczyła się o to, żebyśmy się o nią nie m a r t w i l i . Serce mi p ę k a ł o , kiedy widziałam ją taką słabą, taką b e z r a d n ą i troskliwą.

Siostra Victoire wydawała się sądzić, że sytuacja nie jest aż taka poważna. Była chudą utalentowaną kobietą, miała serce z czystego złota i ze swoim spokojnym c h a r a k t e r e m nada-wata się wprost idealnie do tej pracy. Jej uśmiech spowodował, że przestaliśmy czuć się tak tragicznie. Siostra zdjęła zakrwawione prześcieradła z łóżka, zupełnie jakby to robiła codziennie, i z ożywieniem rozmawiała z nami, kiedy je zwijała i zabierała ze sobą. Tego wieczoru przyniesiono dla całej rodziny obiad ugotowany przez zakonnice.

M a t c e zrobiono transfuzję, ale użyto krwi nieodpowiedniej grupy, co niemal ją zabiło. Przez kilka tygodni, kiedy powoli wracała do zdrowia, musiałam zajmować się rodziną.

Odgrywanie w wieku lat trzynastu roli matki dla sześciorga dzieci i do tego zajmowanie się ojcem

było nie lada wyczyn e m . Kompletnie nie umiałam gotować, więc kupiłam książkę kucharską i kilka nowych sztuk sprzętu k u c h e n n e g o i zaczęłam eksperymentować na naszym gazowym piecyku. Ktoś powinien był mnie uprzedzić, że nic z tego nie będzie, jeżeli drzwiczki piecyka się nie domykają. Poza tym nie miałam żadnego miernika temperatury, więc czekały mnie spore trudności. Ale byłam pełna determinacji i przez b a r d z o długi czas się nie p o d d a w a ł a m .

M o i m braciom wydawało się to w ogóle nie przeszkadzać i zjadali wszystko, co wychodziło z pieca, niezależnie od tego, j a k b a r d z o jedzenie przypaliłam. K o c h a ł a m ich za to, a m i m o to nabawiłam się kompleksów, jeśli chodzi o gotowanie. Przygotowywałam podstawowe potrawy: polane syrop e m racuchy z plasterkami jabłka, zupy i g o t o w a n e jarzyny z ogrodu.

Mięso przyrządzał ojciec, ja nie miałam o tym zielonego pojęcia i wciąż nie m a m . Potrafię jednak zrobić pulpety w zupie selerowej, co było specjalnością mojej matki. Pokazała nam, dziewczynkom, z wielką d u m ą , jak je robić, ale nie wiedzieć czemu zawsze lepiej jej ta zupa wychodziła niż mnie czy komukolwiek innemu. Po prostu miała szczególną smykałkę do zupy selerowej z pulpetami.

Chciałam nauczyć moich braci - którzy spali na pryczach w pokoju z linoleum na podłodze - żeby r a n o ścielili łóżka, a wieczorem myli się przed spaniem, żeby ich prześcieradła nie robiły się b r u d n e natychmiast po praniu. Ale to była beznadziejna sprawa. Przyzwyczaili się do męskich obowiązków, takich jak przygotowywanie drewna do pieca, a ścielenie łó

żek do tych obowiązków się nie zaliczało. A już co do mycia nóg przed spaniem - m o ż e kiedyś to robili, ale skoro w d o m u nie było prysznic, prosiłam o zbyt wiele. Wszyscy kąpaliśmy się raz na tydzień, a codziennie myliśmy się przy zlewie. Jednak w „ m o i m ” d o m u nie mogło być niepościelonych łóżek, więc rygorystycznie trzymałam się ustalonego planu. Chociaż w moim wnętrzu panował ciągły zamęt, potrafiłam przynajmniej zaprowadzić porządek w najbliższym otoczeniu!

Wieczorami kładłam maluchy do łóżka. Często czytałam moim d w ó m najmłodszym siostram, które były o d e mnie młodsze o dziewięć i dziesięć lat, albo po prostu wymyślałam różne historie. Na śmierć przeraziłam je opowieściami o Sinobrodym - t e s a m e bajki przerażały mnie, kiedy je po raz pierwszy czytałam - ale gdy niebo dygotało w czasie burzy, pocieszałam moje siostrzyczki, mówiąc im, że to pokaz p o t ę gi Boga i że nasi aniołowie są blisko, by nas strzec.

W końcu m a t k a wróciła, ale ja nadal nie chodziłam do szkoły, tylko zostałam w d o m u na czas jej rekonwalescencji.

Szkoła niewiele chyba dla mnie znaczyła, bo wyszłam już p o za poziom, na którym nas uczono, i kontynuowałam naukę, czytając angielskie książki i z zapalem słuchając radia.

Mieszkaliśmy w d o m u na terenach klasztornych, i nie mieliśmy n o r m a l n e g o kontaktu z sąsiadami. Klasztor, mieszczący się na jednym z najbardziej ekskluzywnych przedmieść M e l b o u r n e , po obu stronach otoczony był dużymi rezydencjami w większości zamieszkanymi przez starszych ludzi, których dzieci opuściły już d o m .

Naprzeciwko naszej skromnej, wychodzącej na małą uliczkę bramy stał niewielki dom z kilkoma



zaledwie sypialniami, ale dużą ilością witraży i wysokimi sufitami. Mieszkała w nim bardzo stara dama z Anglii i jej córka. Nie miały żadnej rodziny i były bardzo samotne. Ich mężowie umarli, młodsza kobieta nie miała dzieci. Ale pani Greig i pani Taylor miały klasę i trochę pieniędzy, i dzięki temu po raz pierwszy zakosztowałam angielskiej elegancji i wrażliwości. Moja siostra i ja zostałyśmy zaproszone któregoś dnia na herbatę i wysłuchałyśmy cudownych historii, jakie z rozkoszą opowiadały gospodynie. Zapoznaliśmy się z Kubusiem Puchatkiem, z Beatrix Potter, z Alicją w Krainie Czarów i z babeczkami.

Często nas zapraszały, kilkakrotnie nawet na noc, i spałyśmy w dużych wygodnych łóżkach, co było radykalną odmianą, bo w domu miałyśmy z siostrą wspólne łóżko, dopóki się nie wyprowadziłam.

W niedzielę towarzyszyłyśmy im niekiedy podczas przejazdów starym czarnym fordem, którym kierował ich wierny Bertie. Kiedy panie wracały do domu, Bertie musiał skontrolować każdy pokój i zajrzeć pod każde łóżko, żeby sprawdzić, czy nie ma intruzów, zanim panie zdecydowały się osobiście przekroczyć próg. Potem robiły mu herbatę, płaciły i pozwalały mu odejść.

Ponieważ damy nie miały większej rodziny, zawierzyły swojemu księgowemu, i to on właśnie odziedziczył na koniec ich majątek. Pierwszą rzeczą, którą ten niegodziwiec zrobił, kiedy zmarła młodsza dama, było zburzenie domu, wbrew wyraźnym życzeniom obu pań. Potem na jego miejscu wybudował kilka willi.

Pani Greig zrobiła dla mnie szydełkiem pled z wielu obrzeżonych na czarno kwadratów. Bardzo go sobie ceniłam i na szczęście matka przechowała go dla mnie, kiedy „żyłam nie dla tego świata”, i później mi go oddała. Wciąż mam ten pled, tę pamiatkę po dwóch sympatycznych angielskich damach, które rekompensowały mi brak bliskich przyjaciół.

Wracałam do szkoły, ale tylko sporadycznie, jako że moja matka z trudem radziła sobie z trójką najmłodszych dzieci.

I to właśnie po drodze do szkoły zobaczyłam czarnuszkę, bardzo delikatny niebieski przypominający gwiazdę kwiatek otoczony mgiełką delikatnych zielonych witek podkreślających jeszcze jego błękitną subtelność. Moje romantyczne serce stopniało na widok tego cudu. Gdybym go nie widziała na własne oczy - gdybym po raz pierwszy zobaczyła go na rysunku - nie uwierzyłabym, że może istnieć naprawdę. Angielskie przydomowe kwiaty, które tak dobrze rosły w Melbourne, nie były dla mnie niczym nowym.

Właścicielka ogrodu zerwała dla mnie gałązkę i powiedzia

ła mi, jak się to cudo nazywa. Przytuliłam kwiat do serca i za

łowałam, że nie może się znaleźć w jego wnętrzu. Potem przyszło mi na myśl, by dać go mojej pracownicy, matce Mary John, której od jakiegoś czasu nie widziałam.

Matka Mary John miała na nosie okrągłe okulary w czarnej oprawie, a jej twarz była bardzo blada, kiedy złapałam ją przed apelem w połowie biegu między klasą a salą jadalną. Podarowałam jej ten kwiatek o ślicznej nazwie. Była tak miła, że zwolniła na moment, potem włożyła z powrotem

wspaniałą błękitny kwiat w moje dłonie. Jeżeli zechcę, mogę wziąć wazon i postawić go przed figurą Matki Boskiej w naszej klasie.

Zraniła mnie jej rzeczowość i łzy napłynęły mi do oczu.

Byłam dzieckiem-matką i miałam nadzieję, że ktoś będzie mi chociaż trochę matkował; miałam nadzieję, że składając w darze mój wyjątkowy kwiat, wymienię go na o d r o b i n ę wyjątkowej miłości mojej nauczycielki. Czułam się taka zmęczona. Ale uświadomiłam sobie, że nie powinnam się zbyt wiele spodziewać po ludziach.

Skierowałam więc swoje myśli ku Jezusowi, który na swój mistyczny sposób obecny był w t a b e r n a k u l u m w naszym ko

ściele, zamknięty tam w opłatkach komuniyjnych i większym opłatku w monstrancji. Tak, wiedziałam, że miłość istnieje.

Jedyny problem w tym, że ludziom jej nie dostawało.

Przeniosłam moje pragnienie miłości na Jezusa, kiedy miałam lat trzynaście i zaczynałam dojrzewać. Pokochałam go romantyczną miłością. Otwierałam przed nim serce w ko

ściele w czasie wolnym i podczas lunchu. Jezus musi mnie kochać, nawet jeżeli nikt inny mnie nie kocha, tak więc mój urojony związek kwitł. To była moja wersja związku z bosko-

ścią: kochałam Jezusa, chociaż nigdy go nie spotkałam, w żaden sposób nie m o g ł a m wiedzieć, jak wygląda i nie miałam pojęcia, kim n a p r a w d ę jest.

Ten związek uchronił mnie i nie pozwolił, żeby moje serce się zamknęło. Cieszyłam się nim przez cały romantyczny okres bycia nastolatką. Utrzymywał mnie przy życiu. A kiedy rozpowszechniano te cklive święte obrazki, na których Jezus pokazywał wprost na mnie ze słowami: „Ty, tak, ty, chcę ciebie!”, serce we mnie topniało, że mnie chce, i odpowiadałam:

„Dobrze, Jezu! Porzucę moją m a t k ę i m e g o ojca, i braci, i siostry, i cały świat i pójdę za tobą!”. Przypięłam sobie ten obrazek po wewnętrznej stronie szafy i codziennie modliłam się przed nim na kolanach, a serce biło mi coraz mocniej, w miarę jak zyskiwałam pewność, że pewnego dnia zostanę zakonnica, oblubienicą Jezusa.

W sumie więcej czasu spędzałam w d o m u niż w szkole.

Moja obecność stanowiła zapewne dla matki coś w rodzaju zabezpieczenia; p o m a g a ł a jej unikać erotycznych awansów męża, kiedy przychodził codziennie na obiad. Była stanowczo zbyt dostępna, a bardzo bała się kolejnych cierpień związanych z ciążą. Ojciec j e d n a k nie potrafił zostawić jej w spokoju, ponownie zaszła w ciążę i ponownie poroniła w piątym miesiącu. Po tym wydarzeniu m a t k ę p o d d a n o operacji, by naprawić te organy, które za b a r d z o się porozciągały. Och, co za słodko-gorzkie uczucie, że znowu jest zdrowa! Nie mia

ła już teraz wy tłumaczenia i urodziła jeszcze troje dzieci, chłopców; ostatnie dziecko poczęte zostało,

kiedy opuściłam już dom.

Chociaż tyle było zajęć w domu, moja siostra Liesbet i ja chodziłyśmy w soboty po południu po noc w prasowaniu siostrze Kevin, żeby dorobić sobie trochę do kieszonkowego.

Praca w sobotnie popołudnia była dużym poświęceniem i ku wielkiemu rozdrażnieniu siostry Kevin nie zawsze się pojawiałyśmy. Na górze nad klasztorną pralnią prasowałyśmy bieliznę stołową i pościelową, i dziwną bieliznę zakonną, i odkładałyśmy na bok wszystko, co trzeba było naprawić.

Siostra Kevin przyłapała nas pewnego popołudnia na tym, jak się poprzebierałyśmy. Chichotałyśmy przy tym tak, że nie usłyszałyśmy, jak wchodzi po długich schodach. Nastąpiło nieuniknione kazanie. Zaczerwieniłyśmy się i obiecałyśmy, że nigdy więcej tego nie zrobimy, ale tym bardziej śmiałyśmy się, kiedy wyszła. Siostra Kevin miała dobre serce i zawsze częstowała nas herbatą i ciastem.

Zajmowała się kurami, więc chłopcy porządnie dawali jej się we znaki. Wybieg dla kurcząt sąsiadował z naszym boiskiem, był tuż za cyprysowym żywopłotem, a jego zadanie stanowiło łatwy cel. Chłopcy regularnie obrzucali go patykami, kamieniami i śmieciami z wysokości żywopłotu, strasząc każdą nieszczęsną kurę, która właśnie miała znieść jajko. Tak naprawdę robili to po to, żeby zobaczyć jak siostra Kevin wpadła w złość. Podśmiewali się, kiedy oburzona zakonnica robiła z siebie widowisko, bo jej - jak to mawiali - „odbiło”.

•••

I w ten sposób minęły mi pierwsze dwa lata w Australii.

Moja siostra, chociaż młodsza, dostała pierwszy okres co najmniej o sześć miesięcy przedemną. Zauważyła krew na swoich reformach i przestraszona poszła do matki, która wyja

śniła jej rzeczowo, że to oznaka, iż później będzie mogła mieć dzieci. Liesbet nauczyła się, jak używać bawełnianych szmatek - ze starego, cienkiego, ale chłonnego materiału na pieluszki - które musiała przypinać po wewnętrznej stronie reform. Czułam się gorsza od mojej siostry i często dawałam nura w gęstwą cyprysowego żywopłotu w pobliżu domu, żeby sprawdzić stan własnych majtek. Moja siostra dużo bardziej niż ja interesowała się seksem i jak o oszałamiająco piękna nastolatka zwracała na siebie powszechną uwagę. Nigdy nie miałam być do niej podobna. Tłumiłam własną seksualność ze wszystkich sił, czułam się niezręcznie w towarzystwie chłopców i mężczyzn.

Miesiączka zaczęła mi się po trzynastych urodzinach raczej w mało pomyślnych okolicznościach. Pewna duża holenderska rodzina, którą moi rodzice dobrze znali, mieszkała na farmie niedaleko od morza. Zgodzili się, żebym pobyła u nich przez tydzień czy coś kolo tego. Pani tamtego domu była krzepka, pracowita i niewiele mówiła, miała ochrypy głos i dobre serce. Kilkakrotnie pojechaliśmy na plażę, a któregoś dnia postanowiłam pojechać tam sama na rowerze, zabierając na bagażniku jej najmłodsze dziecko, trzyletniego chłopca. Zapakowała dla nas lunch i pojechaliśmy. Spędzili

śmy kilka słonecznych godzin na plaży, a p o t e m przyszła pora, żeby wracać. J e d n a k kiedy dojechałam do gościńca, nie byłam całkiem pewna, w którą stronę skręcić. J e d n a i druga wydawała mi się znajoma. Zdecydowałam się skręcić w prawo i ruszyłam z niepokojem, bojąc się, że znów zrobię coś nie tak, jak trzeba. D o p i e r o kiedy d o t a r ł a m na sam koniec półwyspu, gdzie droga się kończyła, zyskałam pewność, że wyb r a ł a m zły kierunek. Teraz znałam drogę powrotną, ale odległość była przerażająco wielka! Po południu panował upał, jazda w ruchu była niebezpieczna i bardzo bolały mnie nogi.

Ale nie wolno było mi się p o d d a ć , chociaż serce tłukło się w piersiach, nogi paliły żywym ogniem, a oczy piekły z wyczerpania, upału i wstydu.

W końcu stała przede m n ą m a t k a mojego małego podopiecznego, który w milczeniu przez cały ten czas kurczowo trzymał się bagażnika. Już miała chwycić swojego synka w objęcia i postawić go na ziemi, kiedy zauważyła coś jeszcze: tył mojej sukienki przesiąknięty był krwią. Kazała mi ją zdjąć, a sama poszła po j e d n ą z sukienek swojej córki. Nie besztła mnie ani nie kazała mi się doprowadzić do porządku, tylko po prostu wypłukała moją sukienkę, halkę i majtki w zimnej wodzie, a p o t e m zanurzyła je w balii z mydlinami na p o d w ó r k u z a d o m e m , gdzie pracowała, d o p ó k i nie przyjechaliśmy.

Wkrótce pod jej opieką doszłam do siebie. Chociaż bardzo niewiele mówiła, liczyło się jej nastawienie i czyny. By

łam przerażona na widok mojej kobiecej krwi, ale jej naturalna akceptacja sytuacji potwierdziła, że kobiecość jest dobra.

Nie domyśliła się tylko jednego, że to był mój pierwszy raz.

D a ł a mi zwiniętą w pasek czystą szmatkę i dwie agrafki, żebym przypięła go do pary reform, i mogłam odprężyć się w pożyczonej sukience, kiedy moja własna schła na sznurze.

To pierwsze krwawienie miesięczne mogło być lepsze, ale mogło również być gorsze, gdyby zdarzyło mi się w obecności matki. Moja matka często wołała na swoje córki „ty zdiro”, kiedy krwawiłyśmy albo w każdym innym momencie, gdy nasza kobiecość stawała się oczywista. Może nasza młodość przypominała jej tę „niedobrą dziewczynę”, którą sama kiedyś by

ła. Wystarczyło, że oparłam się dla zabicia czasu o drzwi, żeby przyjrzeć się hydraulikowi, który wykonywał jakieś prace w naszym domu, by urazić jej poczucie przyzwoitości.

- Ty b r u d n a szmato - powiedziała z j a d e m w nagle ochrypłym głosie. - Przestań tak stać i popisywać się przed obcym mężczyzną!

Odezwała się po holendersku, więc hydraulik jej nie zrozumiał. Popatrzyłam na siebie zaskoczona, uświadomiłam sobie, w jakiej pozycji stoję, z pełną m o c ą uderzyło we mnie jej poczucie winy. Oczy napełniły mi się łzami. W okresie dojrzewania potrzebowałam matki, do której mogłabym p o biec, by się u niej schronić, ale moja m a t k a mnie atakowała.

Od pocałunków zachodzi się w ciążę

Po sąsiedzku z naszym imponującym kościołem na najwyższym wzgórzu na Richmond Church Street znajdował się przyjemny klasztor Vacluse wraz ze Szkołą dla Dams. Kierowały nią również Wierne Towarzyszki Jezusa, adresując swoją ofertę do przesiedleńców i ludzi mniej zamożnych i proponując im kształcenie na zdecydowanie niższym poziomie niż w Genazzano.

Gdyby Jezus, który był ubogi, kiedykolwiek miał dzieci, nie zostałyby one przyjęte do Genazzano. I do niczego nie byłoby to również podobne, gdyby chodziły tam córki ogrodnika. Zakonnice składały śluby ubóstwa, równocześnie ściśle trzymając się systemu klasowego, który to ubóstwo pomaga utrwalać. A jednak to ten system pozwalał im zajmować się ubogimi, i my, dziewczynki, otrzymałyśmy wykształcenie gratis jako dzieci dozorczy w Genazzano. Po szkole podstawowej moich sześciu braci poszło do Christian Brothers.

Tego pierwszego ranka zakonnice w Vacluse nie wiedziały,

gdzie umieścić dziewczynki przesiedleńców, Carlę i Liesbet. Przez kilka minut naradzały się, a potem matka Eleanor ogłosiła ze swoim najlepszym angielskim akcentem:

- Wy, Carlo i Liesbet, pójdziecie obie do klasy ósmej (pierwszy rok w szkole średniej), ponieważ zdajemy sobie sprawę, że musicie mieć braki, jako że językiem ojczystym waszej matki nie jest angielski, poza tym ty, Carlo, tak często opuszczałaś szkołę przez ostatnie dwa lata. - Słowa padały jak z ambony. - Dzięki temu, że znajdziecie się obie w tej samej klasie, będziecie się mogły nawzajem podtrzymywać na duchu w nowym i obcym środowisku - powiedziała zakonnica.

Zakonnice o ani przez myśl nie przeszło, żeby którąś z nas przepytała przed podjęciem zasadniczej decyzji. Większość dzieci w klasie ósmej miało lat dwanaście, a ja czternaście.

Serce mi zamarło, ale nie zdobyłam się na to, żeby coś powiedzieć.

Sypiałyśmy w jednym łóżku, moja ciemnowłosa siostra i ja, ale nie zawsze się przyjaźniłyśmy, bo byłyśmy... no, takie różne. Nasze podwójne łóżko stało na jednym końcu długiego wąskiego pokoju, na jego drugim końcu stało drugie podwójne łóżko, na którym spały moje dwie najmłodsze siostry. Jedyną przestrzenią osobistą, do jakiej mogłam rościć sobie pretensje, była ściana nad naszym łóżkiem, gdzie powiesiłam neonowy krzyż, który dostałam na urodziny, oraz jedna ściana szafy, którą zapełniłam świętymi obrazkami - im większe, tym lepsze - oraz tekstami modlitw, jakie codziennie odmawiałam. To, że kazano nam chodzić do tej samej klasy, odebrałam jak rozszerzenie wspólnoty, która już obejmowała nasze łóżko, jak wymuszone przemieszanie naszych osobowości.

Boleśnie odczuwałam fakt, że umieszczono mnie w tej samej klasie, co moją młodszą siostrę, i że nikt mnie nie zapytał

o zdanie. Przez długie cztery lata totalnie się nudziłam i czu

łam się za stara, za wysoka - innymi słowy, nie pasowałam.

Z a n i m wpuszczono nas do klasy na piętrze, wszystkie stawałyśmy rzędem na szerokiej zadaszonej werandzie z p o m a lowaną na zielono balustradą.

- Proszę podnieść spódnice, dziewczęta, żebyśmy mogły sprawdzić wasze reformy.

Te reformy miały nas ustrzec przed ewentualnym obnażeniem się podczas gry w siatkówkę albo podczas wchodzenia czy schodzenia ze schodów, a rąbek spódnicy musiał sięgać tuż za kolana. Nosiłyśmy pończochy z cienkiego brązowego fildekosu, sznurowane buty, białe bluzki ze świeżo wyprasowanymi, białymi, okrągłymi, wykrochmalonymi kołnierzykami oraz krawat szkoły.

- Wiecie, oczywiście, że jeżeli wychodzicie w mundurku poza teren szkoły, macie nosić szkolne rękawiczki i kapelusiki.

Prowadzone przez zakonnice i starsze uczennice inspekcje trwały dopóty, dopóki się nie podporządkowałyśmy.

M a t k a E l e a n o r była dobrą nauczycielką i wierzyła w diagramy, które z p r z e k o n a n i e m sama sporządzała. Klasa była nimi obwieszona, co robiło takie wrażenie, jakby poziom nauki był wysoki. Zawsze powtarzała wszystko, co mówiła, co najmniej trzy razy, znając zasady powtórki i podsumowania.

Ale ja nudziłam się śmiertelnie. G a p i ł a m się za okna, które umieszczone były powyżej poziomu głowy, żeby nie dopuszczać widoku świata zewnętrznego, i sięgały aż do sufitu. Mia

łam ochotę wrzeszczeć albo przez te okna wyskoczyć. Z a miast tego dusiłam w sobie frustrację, zaciskałam zęby i dostawałam bez trudu d o b r e stopnie. D o b r e stopnie to by

ła pestka; nigdy nie potrafiłam być z nich d u m n a .

Miałyśmy zakaz wstępu do wszelkich niekatolickich ko

ściołów. Z d a r z a ł o się, że zamiast czekać w długim ogonku na tramwaj, wracałam na piechotę ze szkoły do d o m u , mijając po drodze grecki kościół prawosławny. Ten kościół, wciśnięty ciasno między stare budynki, które służyły j a k o biura, był

dla mnie tylko budynkiem, dopóki pewnego popołudnia nie dobiegła z niego niesamowita muzyka, która poruszyła coś głęboko w mojej duszy.

- M a r i o - odezwałam się do włoskiej przyjaciółki, z którą często kawałek szłyśmy razem - wejdźmy do środka.

Ku mojej radości zgodziła się; grzeszny duch przygody był

w niej chwilowo silniejszy od przesadnego lęku. To nie sumienie trapiło Marię - zalecenia kościelne i przepisy szkolne traktowane były bardzo elastycznie przez nią i jej wioską rodzinę oraz przyjaciół (człowiek stosował się do nich, jeżeli mu to pasowało) - tylko przesady związane z zagrożeniami, jakie niosły obce religie, a to coś całkiem innego.

R a z e m pchnęłyśmy wielkie drzwi, weszłyśmy do przedsionka i znalazłyśmy się w innym świecie. Było to mistyczne miejsce, w którym rozkołysani, rozśpiewani wierni dopełniali jakiegoś pełnego powagi obrządku. Wielkie świeczniki, nadnaturalnej wielkości księga, którą wymachiwano, haftowane sztandary, obcy śpiew, który zdawał się poruszać w nas wspomnienia z życia, które dawno minęło, i tęsknota, jaką wyrażała ta muzyka - wszystko to wydawało mi się dużo bardziej potężne, n a m i ę t n e i rzeczywiste niż modlitwy w moim własnym kościele i n i e m ą d r e słowa pieśni, jakie śpiewałyśmy.

Tak, trawa na podwórku sąsiada zawsze wydaje się bardziej zielona.

Niemal na p e w n o nie było to jakieś codzienne nabożeństwo, tylko szczególna uroczystość, bo tego dnia obecny był

stary patriarcha. Starzec szedł powoli nawą, kierując się ku wyjściu z kościoła. Uśmiechał się po drodze, przystawał, żeby porozmawiać ze swymi parafianami. Maria i ja stałyśmy w pobliżu drzwi, gotowe rzucić się do ucieczki, jeżeli będzie trzeba - jeżeli na przykład okaże się, że to diabeł próbował

nas skusić, byśmy weszły do „pogańskiego” kościoła. Starzec podszedł bliżej i w końcu nas zauważył. Podszedł i ujął obie moje dłonie.

- Jak masz na imię? - zapytał poważnie, zaglądając mi w oczy.

- Carla - odpowiedziałam, bo podbiło mnie jego zachowanie, k t ó r e w najmniejszym stopniu nie wydawało się diabelskie. Starzec, którego językiem ojczystym był język jego rodzinnej Grecji i który pewnie na d o d a t e k nie najlepiej słyszał, wydawał się bardzo zadowolony z mojego imienia i m o c n o uścisnął mi dłonie.

- A - rzekł znacząco - to znaczy *dobra!*

Byłam zdumiona. Całe ciało przepełniło mi rozkoszne uczucie ulgi, zarumieniły mi się policzki, rozbłysły oczy. Ten człowiek uznał mnie za dobrą! Jak to możliwe? Ale to prawda, byłam d o b r a ! Inaczej nie *czułabym się* tak dobrze! Ten mądry święty człowiek udzielił mi swego błogosławieństwa.

Chyba był świadom własnej dobroci, więc dostrzegał ją w innych. Przekazał mi to swoim dotknięciem i spojrzeniem.

Czułam się tak tylko przez chwilę, bo przekonanie o własnej marności było we mnie dobrze ugruntowane i miało wkrótce powrócić.

Starzec pozdrowił serdecznie Marię i wyszłyśmy na zewnątrz oszołomione, nie śmiejąc się, nie chichocząc, nie kpiąc, tylko pod głębokim wrażeniem. Nigdy więcej nie poszłam do tego kościoła, chociaż mijałam go wielokrotnie. Nie chciałam podejmować ryzyka, że drzwi mogą okazać się zamknięte albo że z wnętrza mógł ulotnić się czar, który tam był t a m t e g o dnia.

W szkole bezlitośnie kontynuowano n a u k ę nikomu niepotrzebnych rzeczy. Dziewczęta, które miały

d o b r e oceny, zachęcano, by uczyły się łaciny, tak więc przez trzy lata wbija

łam sobie do głowy deklinacje i różne takie. Tak tego nienawidziłam, że matka zwróciła się do klasztoru.

- Czy nie ma przypadkiem czegoś, czym z większym pożytkiem mogłaby się zajmować?

Dlaczego, u licha, nie poprosiłam, żeby mnie przeniesiono do wyższej klasy? Za b a r d z o przyzwyczajona byłam do uległości, wątpiłam w wartość własnego zdania, zbyt głęboko tkwiłam w koleinach przyzwyczajenia.

- Łacina - tłumaczyła z entuzjazmem matka E l e a n o r - to podstawa wielu języków, a Carla nawet angielski będzie rozumiała lepiej, kontynuując naukę.

M a t k a dała się przekonać, i mozoliłam się dalej - aż do dnia egzaminu w klasie dziesiątej, kiedy wyparowała mi z pamięci cała łacina, jakiej się kiedykolwiek nauczyłam.

Egzamin odbywał się tego dnia tak jak normalnie: ławki porozsuwano, żeby zapobiec ściąganiu; siedziałam jak zwykle prawie na końcu klasy, ponieważ byłam wysoka. Był śliczny słoneczny dzień, przez wysokie o k n a widziałam małe chmurki sunące po niebieskim niebie. R o z d a n o w milczeniu arkusze egzaminacyjne i usłyszałyśmy krótkie ostre polecenie, by zaczynać.

Popatrzyłam na pytania. W ogóle mi się z niczym nie kojarzyły. Nic mi nie przychodziło do głowy. Dziwne, ale nie zmartwiło mnie to, i postanowiłam wykorzystać czas, żeby napisać list do pewnego chłopca, którego znałam w Holandii, a k t ó r e m u wszystko, o czym opowiadałam, z pewnością wyda się frapujące. Pisałam pilnie z nisko pochyloną głową, stronę za stroną.

Osoba, która tego dnia odpowiadała za przebieg egzaminu, p r a w d o p o d o b n i e w ogóle nie znała łaciny. Chodziła tam i z p o w r o t e m między rzędami ławek i niczego nadzwyczajnego nie zauważyła. Na koniec nie o d d a ł a m w ogóle żadnej kartki, ale nikt na to nie zwrócił uwagi. A nawet założono, że mój egzamin gdzieś się zapodział! Czułam na sobie pytające spojrzenie matki Franceski, wychowawczynie klasy dziesiątej, czułam je w tyle głowy, kiedy czytałam wywieszane na ścianie w klasie arkusze wyników. Otrzymałam osiemdziesiąt p r o cent! Nie zadawano mi żadnych pytań, zakonnice nie zamierzały narażać się na konsekwencje. Ich zmowa była rozkosznym p o d s t ę p e m , a wysoka ocena wyrazem uznania.

Żałowałam tylko, że nie mogła być wyższa.

J e d n ą z największych moich radości w wieku kilkunastu lat była biblioteka. To ona pozwalała na ucieczkę w świat wyobraźni w przedtelewizyjnym M e l b o u r n e . Były tam książki G. K. C h e s t e r t o n a , faworyzowane przez zakonnice, ponieważ autor nawrócił się na katolicyzm. Zachwycił mnie cykl o p o wiadań o ojcu Brownie, stworzony na długo przed czasami narkotyków, kiedy nawet najgorszy oszust obdarzony był jakąś zaletą, która ratowała go w naszych oczach. Poza tym była Scarlet Pimpernel i wszystkie książki M a d a m e Orczy, które czytałam po dwa razy, a w ostatniej klasie cudownie opisowe dzieła T h o m a s a Hardy'ego.



Biblioteka była tajemniczym ciemnym pokojem z dębową boazerią, w którym książki trzymano głównie w szafach za zamkniętymi na klucz szklanymi drzwiami, zabezpieczając je przed przypadkowym dotknięciem. Prowadziła ją m a t k a Xavier, łagodna i wytworna zakonnica, którą nieczęsto widywa

łam, bo była wychowawczynią klasy dwunastej. Na przenikliwie inteligentnej twarzy miała szczery uśmiech, odsłaniający dosyć wystające zęby, a okulary w wąskich oprawkach powodowały, że iskielki w jej oczach wydawały się jeszcze wyraźniejsze. Podobał mi się zwłaszcza jej zapach. Może o n e wszystkie używały tego samego mydła, ale pachniały różnie!

M a t k a Xavier nosiła swój związek z Bogiem głęboko w sercu, które kiedyś złamała wielka ludzka miłość. Z tego powodu różniła się od innych, i to pozytywnie.

W żadnej katolickiej szkole nie może zabraknąć wychowania seksualnego. Mówię to z wielką ironią, bo chociaż o seksie w ogóle się w szkole nie wspominało, chociaż go ignorowano, miał dla katolicyzmu kluczowe znaczenie. Słowa „seks” ani razu nie wypowiedziano w klasie; kształcono nas na przykładach i pominięciach. Jest takie powiedzenie, że milczenie przemawia głośniej niż słowa, a otoczone byłyśmy przez kobiety, które wyrzekły się seksu dla miłości Boga. Gdzie w związku z tym plasował się na skali wartości seks i związki seksualne?

Ale co te zakonnice mogły n a m o seksie powiedzieć? Swoją świętobliwą ignorancją p r e z e n t o w a ł y j a k o m ą d r o ś ć .

Z pewnością nie byłam jedyną uczennicą kompletnie zdezorientowaną ich mętnymi wywodami.

Najbardziej przejrzystą aluzję do seksu, jaką kiedykolwiek usłyszałam, wygłosiła m a t k a Anthony, która uczyła nas matematyki. M a t k a A n t h o n y była kościstą, śniadą, zmysłową kobietą, n a j p r a w d o p o d o b n i e j p o c h o d z e n i a irlandzkiego, która powinna była wykazać się większą mądrością. Dłonie o wystających kostkach chowała nieustannie pod fartuchem, obracając w palcach paciorki różańca. Poinformowała pełną skupienia klasę dziewcząt, czekających na lato 1956 roku:

- Od pocałunków zachodzi się w ciążę.

W zapadłej ciszy matka A n t h o n y przyglądała się badawczo, jakie wrażenie wywarło jej groźne oświadczenie. Czeka

łyśmy na więcej, a kiedy nic nie usłyszałyśmy, zaczęłyśmy chichotać, wiercić się i przypatrywać jej twarzy, usiłując wyczytać z niej to, co dla matki A n t h o n y najwyraźniej było oczywiste. M a t k ę A n t h o n y cechowało dziwaczne poczucie humoru, bardziej pasujące do cynicznych dorosłych niż do młodych dziewcząt. Ale nie, tym razem nie żartowała. Po jej słowach zobaczyłam w wyobraźni, jak nasienie spływa z m o ich ust po gardle do łona.

Jeśli chodzi o m a t k ę Mary Paul, naszą wychowawczynię w klasie jedenastej, wszystko, co miała do powiedzenia po sprawdzeniu naszych sukien balowych przed corocznym bale, zamknęło się w stwierdzeniu, że powinnyśmy zasłaniać rowek między piersiami, by uchronić chłopców przed pokusą. Przez nieuwagę poinformowała nas tym samym dokładnie, co powinnyśmy zrobić, gdybyśmy

kiedyś (niegrzecznie, rozpustnie i grzesznie) *zapragnęły* wodzić jakiegoś chłopca na pokuszenie. Nie żebym się kiedykolwiek na coś takiego ośmieliła!

Później tego samego lata p o z n a ł a m Keitha, na trzy miesiące przed planowanym wstąpieniem do klasztoru, i tak jakby chodziliśmy ze sobą, a Keith urzeczony był tym, co nieosiągalne. Biedy Keith. Nigdy nie pozwoliłam mu się pocałować w usta ze strachu przed ciążą.

Poza moją włoską przyjaciółką Marią zaprzyjaźniłam się jeszcze z Barbarą. Była niewysoka, miała krzywe nogi i dobrze rozwinięte piersi, obwisłe już w wieku lat czternastu. Jej czarne włosy się kręciły i po męsku rzucała piłkę lewą ręką przy grze w zbijanego. Pisywałyśmy do siebie wiersze w te ospałe letnie dni, kiedy muchy plujki pętały się po oknach cienistej werandy nazywanej ambulacrum. Nasze wiersze by

ły słodkie, n a m i ę t n e i bardzo kwieciste.

- C h o d ź do mnie, B a r b - mówiłam i wpadła kilka razy, ale było to t r u d n e , bo tramwaje rzadko chodziły w w e e k e n d y. Ja poszłam do d o m u Barbary raz, kiedy się u p a r ł a m .

Tam p o z n a ł a m jej m a t k ę , która tak nie znosiła słońca, że zawsze jak najszczelniej zaciemniała d o m , oraz starszego niezgrabnego brata, który natychmiast się we mnie zakochał.

Z m a t k ą Barbary nie dało się prowadzić żadnej rozmowy, bo wydawało jej się, że prowadzenie rozmowy jest tym samym co bycie przesłuchiwanym. Z o r i e n t o w a ł a m się, że jej mąż jest gdzieś daleko. Ale d o m pełen był wspaniałych kwiatów: lilii białych i tygrysich, i ostróżek. Te kwiaty hodowała Barb, a ciasteczka, k t ó r e p o d a n o , też o n a upiekła. B a r b była zdolną dziewczyną.

Jej ciemne oczy rozbłyskiwały radością na mój widok, ale mnie zaczęło niepokoić to, że jakoś różniła się od nas, że na jej twarzy o haczykowatym nosie wyrastały czarne włoski. Podobnie jak wszyscy inni opuściłam ją. Barb nigdy nie wyszła za mąż, ale została kobietą interesu i odniosła sukces, wykorzystując umiejętności stenograficzne, jakich nabyła w szkole, oraz wrodzoną inteligencję, dzięki której postępowała praktycznie i m o ż n a było na niej polegać. Spotkałam się z nią raz po wielu latach, kiedy się ze m n ą skontaktowała. Obieca

łam, że do niej zadzwonię, ale nigdy tego nie zrobiłam. To o k r u t n e , ale nie potrafiłam pogodzić się nawet z własną odmiennością, a co d o p i e r o z jej.

Moja o d m i e n n o ś ć miała swoje źródło po części w tym, że ojciec był ogrodnikiem przy innym klasztorze. Uważał, że ma obowiązek publicznie okazywać wdzięczność za kształcenie córek zakonnicom w Vaucluse i okazywał ją, robiąc z nas swoich posłańców. Liesbet i ja musiałyśmy dla wielebnej matki zanosić wielkie pęki kwiatów albo rośliny w donicach.

Problem w tym, że wielebna matka pojawiała się wyłącznie podczas p o r a n n e g o apelu. Jeżeli chciałyśmy ją złapać, trzeba było ustawić się między korytarzem a drzwiami, za którymi znikwała. J e d n a k po pierwszym razie mijała nas niczym królowa, z powiewającym welonem, udając, że nas nie widzi. Przygnębione zostawiałyśmy rośliny pod drzwiami; przełożona przekazywała n a m w ten

sposób, że w niczym nie różniły się od innych uczennic, które sumiennie chodziły słuchać, jak przemawiała. Ceniła sobie szacunek okazywany w słuchaniu i spełnianiu poleceń, a nie za pomocą roślin i kwiatów.

Uczucie odmienności może wynikać z drobnych spraw.

Jak na przykład z nieposiadania stanika w wieku lat piętnastu. Kiedy po wyjściu z klasy na piętrze na wpół zbiegałam, na wpół zeskakiwałam z drewnianych schodów, czułam, jak piersi poruszają mi się pod koszulką, bluzką i tuniką. Czy moja matka nie zauważyła, że dorastałam? Odzież zawsze by

ła jej domem: co znalazło się w naszej garderobie, zależało tylko i wyłącznie od decyzji matki; niemal wszystko robiła sama. Ale nie staniki. Czy będnę ją musiała poprosić o stanik, czy sama zaoszczędzić z kieszonkowego, które na ogół szło na cotygodniowe tańce? Oczywiście piekły od łez. Byłam pewna, że matki wszystkich innych dziewcząt wiedziały, że ich córki mają piersi, i kupiły im już staniki.

Tymczasem regularne okresy potwierdzały, że wkroczyłam na drogę do dorosłości. Stało się to dopiero niedawno i nie zawsze udawało mi się znaleźć agrafki, potrzebne do przypięcia potrzebnej szmatki do majtek. Rozwiązałam ten problem, zakładając do damskiej szafki parę reform z nadzieją, że gumka utrzyma na miejscu wszystko, co się tam utrzymać powinno. Przez cały dzień prawie nic nie musiałam zrobić i wreszcie przyszła pora, by pojechać do domu.

Doszłam szczęśliwie do pierwszego tramwaju, potem ruszyłam do drugiego, ale musiałam zaczekać przy przejściu na światłach. Światło zmieniło się na zielone - i ja również pozieleniałam, bo poczułam, że podpaska wypada mi spod spódnicy. Zanim zdążyłam ją podnieść, jakiś dżentelmen -

chcę powiedzieć, że prawdziwy dżentelmen, nauczony błyskawicznie reagować na potrzeby damy w opałach - pochylił

się, by ją podnieść, nie zdążywszy się zorientować, co to jest.

Gdzieś w połowie swego rycerskiego gestu rozpoznał obiekt i wzdrygnął się lekko, zaszokowany, ale odwrócił się ku mnie energicznie i podał mi tę pokrwawioną szmatkę, jakby nie dostrzegał jej wyglądu.

Wepchnęłam ją do szkolnej torby, w tym momencie jakieś podziękowania i odwróciłam się gwałtownie, by rzucić się do ucieczki, ale światło zmieniło się na czerwone, a ja poczerwieniałam razem z nim. Ten incydent w najmniejszym stopniu nie pomógł mi we wchodzeniu w wiek kobiecy. Czułam wstyd z powodu tego zdarzenia, wstyd, że mężczyzna zobaczył dowód mojej „nieczystości”.

Matka w końcu poczuła się zmuszona opowiedzieć mi o ptaszkach i pszczołkach.

- Chodź do salonu - zawołała. To, że zabrała mnie do salonu, by porozmawiać w cztery oczy, było świadectwem powagi, z jaką traktowała swoje zamierzenie, ale skończyło się na tym, że wepchnęła

mi w ręce jakąś broszurkę i pospiesznie wyszła z pokoju, przygryzając dolną wargę. „Rozmnażanie” - taki albo podobny tytuł widniał na okładce. Taka byłam zła na matkę, że mnie w ten sposób zbyła, że cisnęłam broszurkę w kąt i zostawiłam ją tam. I dlatego przez jeszcze przynajmniej czternaście lat niewiele więcej wiedziałam na ten temat.

•••

Wyrosłam na całkiem atrakcyjną nastolatkę - wysoką, o idealnie kształtnych nogach, gęstych kręcących się włosach i cudownie czystej cerze, ale nie uważałam siebie za ładną.

Najgorszy dla mnie był rozmiar moich butów. Byłam za stara, żeby chodzić do swojej klasy, za chuda, stopy miałam za duże i - zaczekajcie tylko na to - uważałam, że m a m za duży odstęp między nogami w kroku. Poza tymi bijącymi w oczy ułomnościami miałam jeszcze dwa czarne zęby z przodu, p a m i ą t k ę po dniu, kiedy odmówiłam jedzenia śniadania.

Moje zęby powoli czerniały, w miarę j a k obumierały w nich nerwy, i uśmiechy stały się, niestety, straszliwie ryzykowne.

Były i inne ryzykowne rzeczy. Po pierwsze, noszenie kostiumu kąpielowego przez ten odstęp między nogami w kroku i przez żyłaki, które zaczęły się pojawiać tuż po moich szesnastych urodzinach. Poza tym chodzenie na tańce, jako że chusteczki, którymi wypychałam stanik, jaki w końcu ku-pita mi matka, z łatwością mogły się wysunąć. Aż się kuliłam, tak się czułam niedoskonała. Gdyby ktoś nawet przypadkiem spojrział na mnie drugi raz dzięki mojej pięknej twarzy (taką przynajmniej miałam nadzieję i tak sobie wyobrażałam podczas długiej jazdy tramwajami), to jak tylko zobaczy moje stopy albo to, jak wstaję i góruję nad większością innych ludzi w tramwaju, z pewnością westchnie tylko i się odwróci.

Sposób poruszania się to całkiem inna sprawa. M a t k a pokazała nam, jak chodzić z książką na głowie, żebyśmy trzymały się prosto. Sama uczęszczała do szkoły modelek i przekazała n a m część swojej wiedzy, na przykład jak ćwiczyć mięśnie brzucha, żeby był płaski. Ale nigdy nie próbowała nauczyć nas, jak akceptować swoją kobiecość. W dni szkolne nasze brzuchy opinały g u m o w a n e paski, które zwijały się w upale i pachniały tak, jakby guma się topiła.

Gdy miałam osiemnaście lat opanowało m n ą nowe r o m a n tyczne uczucie. Z a k o c h a ł a m się w dziewczynie z klasztornej internatu, która grywała regularnie w tenisa na kortach w pobliżu naszego d o m u . Miała rosyjskie nazwisko i już samo to wystarczyło, by rozpalić moją wyobraźnię, a n a d o d a tek ślicznie się śmiała i poruszała. Nie potrafiłam wtedy tak tego sformułować, ale reprezentowała to wszystko, co ja pragnęłam mieć: była pewna siebie, z klasą, swobodna wobec przyjaciół, zamożna, inteligentna i odpowiednio wykształcona, żeby być prawdziwą kobietą.

Miała na imię A l a n a i nie była snobką. Zauważyła moje atencje, bo wychodziłam na korty, żeby jej od czasu do czasu p o m a c h a ć . Jeżeli dobrze wyciągnęłam szyję, mogłam zobaczyć korty tenisowe z o k n a mojej sypialni, tak więc wypatrywałam Alany. Pewnego popołudnia tak napierałam na o k n o , że oprawiona w drewnianą r a m ę siatka przeciw o w a d o m wypadła z łoskotem, a Alana odwróciła się i roześmiała. Wiedziała, co się dzieje.

Alana okazała mi wiele życzliwości, bo nie wyśmiewała się ze mnie, a nawet jeszcze więcej, bo zaprosiła mnie na kilka dni wakacji do swoich rodziców nad Lakes Entrance. Nie posiadałam się ze szczęścia. Czułam się przy niej swobodnie, bo nie okazywała mi swojej wyższości ani nie zachowywała się sarkastycznie. Była o d e mnie tylko o rok starsza, ale o niebo bardziej wyrobiona i dojrzała. Przy pożegnaniu dała mi ceramiczną p a m i ą t k ę z miejsca, które odwiedziłyśmy razem, nie brakowało w niej mchu, muszelek i koralu. Żarliwe uczucie, jakim o b d a r z a ł a m Alanę, wkrótce dojrzało i przerodziło się w zdrowe uznanie, później m a c h a ł a m czasami do niej i to wszystko.

Kiedy wróciłam do d o m u z Lakes Entrance, moja m a t k a wzięła mnie na stronę:

- Pamiętasz ten neonowy krzyż, który dałam ci na urodziny, Carlo? No cóż, rozbił się.

To był ten krzyż, który wisiał na ścianie mojej sypialni i w nocy promieniował delikatnym blaskiem. Nie powiedzia

ła mi, kto to zrobił, ale wiedziałam, że to moja siostra. C h o c i a ż Liesbet miała wielu chłopaków, była zazdrosna o moją przyjaźń z Alaną i znalazła sposób, żeby się zemścić. Z a z d r o

ściła mi również przyjaźni z Barbarą i próbowała ją o d e mnie oderwać. Zepsuła mi też pamiątkę od Alany. Ta siostra, która moim zdaniem miała wszystko, bo była taka p o p u l a r n a i jakoś nie musiała brać na siebie ani połowy tych domowych obowiązków co ja, uważała że jestem lepsza od niej. Nic w tym zdumiewającego, jeśli uwzględnić nasze wychowanie, zgodnie z którym szacunek do samego siebie był niemal grzechem. Nasza m a t k a z rozmysłem popierała rozdźwięk między córkami; dlaczego - tego nie jestem pewna. Nie chciała dopuścić, byśmy się zmówiły przeciw niej? Rozmawiamy niekiedy o przeszłości, moja siostra Liesbet i ja. Kochamy się szczerze i jest teraz j e d n ą z moich najlepszych przyjaciółek, ona, która kiedyś nie zgodziła się podzielić ze mną ukradzioną szminką.

- Nie, nie możesz jej użyć; ty nie masz warg!

M u z y k a i śpiew były głównymi atrakcjami tygodnia w szkole średniej. Miałam dobry i czysty głos. Nasza nauczycielka muzyki, m a t k a M a r g a r e t Mary, była tak mała, że musiała stawać na p o d i u m koło pianina, żeby ją klasa widziała.

Najbardziej niezwykle w jej twarzy były wrażliwe usta. G ó r n a warga, większa niż dolna, układała się tak, jakby prosiła się o pocałunek. Zazdrościłam jej tych warg i p r ó b o w a ł a m ukształtować moje p o d o b n i e .

M a t k a M a r g a r e t Mary dała n a m zadanie. Miałyśmy opisać swoje wrażenia po wysłuchaniu preludium do „Popołudnia fauna”, lirycznego utworu Claude'a Debussy'ego. Owładnę

ły m n ą tak silne emocje, że przez kilka dni nie mogłam nic napisać. Kiedy w końcu znalazłam odpowiednie słowa - ależ one były poetyczne i delikatne - zrobiło się za późno; nie chciała przyjąć spóźnionej pracy. Dzięki niej zapoznaliśmy się z „Gdzie jest Sylvia?” i „Już śpiewa skowroneczek p o d sklepami nieba”• oraz wszystkimi piosenkami, które są odpowiednie dla młodych dam. W ciągu

czterech lat w szkole średniej w pewien sposób związałam się z koleżankami z klasy. M i m o to nie potrafiłam uczestniczyć w ich ożywionych potajemnych rozmowach o chłopcach. Nie tylko odrzucałam ten temat jako coś, co mnie nie dotyczy, bo zamierzałam zostać zakonnica, ale napełniał mnie on szczerym niesmakiem.

Nie wiedziałam, o czym te dziewczyny mówią; nie potrafiłam sobie nawet tego wyobrazić. Seks był czymś okropnym, tak podpowiadała mi podświadomość, a nie pozwalałam sobie na to, by dowiedzieć się, jak się sprawy mają w rzeczywistości.

ści. A przecież często śniłam o Bingu Cosbym, dużo starszym ode mnie gwiazdorze, którego słodki głos urzekał moją duszę. M o g ł a m płynąć przez ocean i pojawiałam się nie wiedzieć skąd w jego basenie kąpielowym, a on siedział na tarasie i uprzejmie p o m a g a ł mi wyjść z wody. Wyobrażałam sobie, że dotyka mojej ręki i to dotknięcie oraz dźwięk jego głosu przejmowały mnie dreszczem radości.

Poza Barb mój d o m odwiedziły tylko dwie dziewczyny. Poruszone były, kiedy dowiedziały się, że śpię razem ze swoją siostrą, i wcale nie zrobiło na nich dobrego wrażenia, że do **W. Szekspir** „Cymbelin”, tłum. L. Ulrich (przyp. tłum. ).

herbaty nie p o d a n o ciasta ani herbatników. Moja matka nie należała do kobiet, które przygotowują słodczyce, a były to czasy, zanim moi najmłodszy bracia urosli i w naszym d o m u pojawiło się niezdrowe jedzenie.

J e d e n jedyny raz odniosłam niebywały sukces w „lepszemu towarzystwie”, a było to tego dnia, kiedy u d a ł a m , że wrzucam aspirynę do butelki z colą, którą przyniosłam do szkoły.

Podśledzałam, kiedy koleżanki mówiły, że od aspiryny w coli m o ż n a postradać zmysły, poczuć się pijanym albo coś w tym rodzaju. Trzeba tylko potrząsnąć butelką, żeby aspiryna się rozpuściła. Ż a d n a z nich nie była na tyle odważna, żeby spróbować, ale ja oznajmiłam, że to zrobię. Przyglądały się, jak w k ł a d a m tabletkę, a p o t e m m o c n o potrząsam butelką. Gapiły się zafascynowane, kiedy powoli wypiłam musującą ciecz i zaczęłam się zataczać i bełkotać. Doskonale mi poszło to udawanie - cola wcale na mnie nie podziałała - i aż do końca przerwy na lunch byłam p r z e d m i o t e m cudownego zainteresowania koleżanek. D z w o n e k p o m ó g ł mi bezzwłocznie się opanować.

V V V

Praca była na porządku dziennym zarówno po szkole, jak i w weekendy, poza niedzielą. Zawsze było tyle do zrobienia.

Nie mieliśmy pralki, więc szorowałyśmy ubraniami i prze

ścieradłami po tarze, trzymając je w gołych rękach, prosto po wyjęciu ich z miedzianego kotła do gotowania. Po harówce w d o m u przechodziłam na drugą stronę ulicy do doktora Bil-lingsa, żeby tam wykapać jego trójkę dzieci - która zmieniała się w piątkę, kiedy urodziły się bliźniaki, a w szóstkę, kiedy adoptowali upośledzone dziecko.

Oboje rodzice byli lekarzami i katolikami, i o d d a n ą sobie parą. Czułam się koszmarnie, kiedy patrzyłam, jak obejmują się po powrocie z pracy do d o m u ; moim rodzicom nigdy się coś takiego nie zdarzało. Kiedy Billingsowie okazywali sobie przy mnie uczucia, potwornie ścisnęło mnie w żołądku.

Ogarniało mnie poczucie onieśmienia, a równocześnie zbierało mi się na płacz. Płacili mi dziesięć szylingów na koniec każdego tygodnia, a ja o d d a w a ł a m wszystko matce. To od niej zależało, czy łaskawie o d d a mi dwa szylingi, żebym mogła pójść na tańce albo do kina.

Kiedy byłyśmy nastolatkami, ratowały nas tylko tańce.

Liesbet i ja chodziłyśmy tańczyć co sobotę i w większość środowych wieczorów. Musiałyśmy dosyć daleko jechać, żeby dotrzeć do sal miejskich w Box Hill o dwa przedmieścia dalej. Trzeba było złapać tramwaj i autobus, ale często decydowałyśmy się na spacer, żeby trochę oszczędzić.

W salach grały dwie orkiestry: na górze tańce towarzyskie, a na dole rock and roli; dwa całkowicie o d m i e n n e światy. Na dół szli wszyscy ci, którzy nie umieli tańczyć, tak sobie mówiłam. Ja zachodziłam tam do czasu od czasu z ciekawo

ści, ale odstraszała m n i e wrzaskliwość muzyki i chaos na parkiecie.

Na piętrze tańce były dużo bardziej wdzięczne i przewidywalne. Moi włoscy przyjaciele przedkładali fokstroty i walce nad inne tańce i mieli d o b r e wycucie rytmu. Dla wielu nie

śmiałych australijskich chłopaków byłam za wysoka, żeby mnie poprosili, ale Włosi to co innego, nigdy się nie przejmowali, p o d o b n i e jak ja, że są znacznie o d e mnie niżsi. Bawiłam się z nimi co tydzień i zostali moimi przyjaciółmi.

Nauczyłam się ich piosenek, dawali n a m kawę espresso, od której kręgosłup topniał jak wosk, i odprowadzali nas na ostatni autobus. Nikt n a m się nie narzucił, nawet taksówkarz Luciano. Zaprzyjaźnił się z moją m a t k ą i dzwoniła po niego, kiedy potrzebowała taksówki, bo nigdy sama nie nauczyła się prowadzić. Luciano, przystojny ze swoimi blond falistymi włosami i idealnymi zębami, był szczególnie uprzejmy dla młodych dziewcząt. Miał świadomość, że nastolatki potrzebują, żeby z nimi romantycznie poflirtować, a p o t e m zostawić je w spokoju. Niech Bóg błogosławi Luciano - na początku o d s ą d z a n e g o od czci i wiary przez moją matkę, dopóki nie udowodnił jej, jaki jest naprawdę.

We środy bywałyśmy w M a n r e s a Hall, który znajdował się w pobliżu prowadzonej przez jezuitów szkoły średniej dla chłopców. Chodzili tam przeważnie katolicy i Włosi, inni niż ci, których znałam.

Przy moich włoskich przyjaciółach m o g ł a m czuć się swobodnie, tacy byli ekstrawertyczni i zalotni. Przyjaźniłam się z nimi, ale nie miałam chłopaka, co p o d koniec, zanim mia

łam ich opuścić na dobre, obudziło ich podejrzenia.

M a r i a n o , taki dosyć samotny Włoch, zaczął przynosić mi czekoladki i kwiaty, które

przyjmowałam, ale nigdy nie przyjąłam jego propozycji, żeby się z nim umówić. Któregoś wieczoru zbili się w krąg i rozmawiali z podnieceniem po włosku, zanim postawili mi pytanie:

- Czy ty mieszkasz na Lygon Street?

Powiedziałam, że nie, że mieszkam na Kew, ale nie chcieli mi uwierzyć. J e d e n z nich był pewien, że jestem dziwką, którą kiedyś widział na Lygon Street; odwrócili się do m n i e plecami. M a r i a n o patrzył na mnie ze smutkiem, ale nic nie mógł zrobić. Dla niego takie przypuszczenie wyjaśniało wszystko. Chciałam powiedzieć j e m u i jego przyjaciółce, że idę do klasztoru i że to dlatego się z nikim nie umawiam. Wychodząc, wspomniałam o tym j e d n e m u z Włochów, który stał

z dala od całej grupy. Nigdy mnie więcej nie zobaczyli, bo czas wstąpienia do klasztoru był już blisko, i nie wiem, czy moje imię zostało ostatecznie oczyszczone, czy nie. Włosi!

Gdyby tylko nie byli tacy podejrzliwi!

Skończyłam osiemnaście lat i zaczęłam miewać koszmarnie sny o szkole, śniło mi się, że nigdy nie b ę d ę jej mogła o p u

ścić. Pod koniec klasy jedenastej wciąż nosiłam te o k r o p n e ciężkie sznurowane buty, w których moje stopy robiły wrażenie jeszcze większych. Klasa jedenasta miała być ostatnią, a przed końcem roku miałam zagrać główną rolę w corocznym szkolnym przedstawieniu.

„Les Cloches de Corneville” było o k l e p a n ą sztuką, która zgodnie z oczekiwaniami nie powinna wystawić na zbyt ciężką p r ó b ę wyobraźni realizatora ani matki Eleonory. Czułam się równocześnie przerażona i mile połączona, że wybrano mnie do roli hrabiego w atlasowych spodniach i falbaniastym zakiecie. G ł ó w n ą rolę żeńską grała A n n Hathaway, mała delikatna dziewczyna z głosem, dzięki któremu została później aktorką. Nie było wtedy systemów nagłaśniających na scenie, i głos musiał być ustawiony tak, żeby rolę słyszeć było na końcu sali. Moje holenderskie struny głosowe doprowadzały matkę E l e a n o r niemal do rozpacz; osłabiały i zamazywały wszystko, co próbowało wydostać się z moich ust.

Miałyśmy z A n n Hathaway zatańczyć m e n u e t a , trudne to były manewry i nigdy ich w pełni nie o p a n o w a ł a m . Przedstawienie koniec końców zostało uznane za sukces, ale przygotowania wystawiały na ciężką p r ó b ę wytrzymałość zdesperowanych zakonnicek.

- Jakież to cudownie grubiańskie z twojej strony. A m o ż e od razu włożysz saboty i zaczniesz tupać jak koń?

Ta sarkastyczna uwaga jednej z zakonnicek zraniła mnie tak dotkliwie, że ta, lekko skonsternowana, zaczęła mnie pocieszać, że nie jest tak źle. Byłam tylko człowiekiem, więc to zadziało dużo lepiej.

Poświęciłam w weekendy wiele godzin, żeby nauczyć się roli i całymi tygodniami bliska byłam krańcowego wyczerpania. Z a k o n n i c e to w końcu zauważyły i kiedy nadarzyła się okazja, posłały mnie do d o m u , żebym trochę odpoczęła. Najbardziej męczyła mnie i wszystkich innych moja nieśmiałość.



Trema to dobrze znane uczucie, ale mój strach sięgał korzeniami głęboko, aż do b e z d e n n e g o lęku, że ujawni się to, czym w istocie jestem: zgniłym jabłkiem. Czułam się przezroczysta i starałam się grać jak najlepiej, aby się za tą rolą ukryć. Biedne zakonnice: jak miałyby się domyślić, że mają do czynienia z tak wielkim lękiem przed innymi? „Wszystko dla Jezusa za wstawiennictwem Maryi” oraz „Odwaga i ufność” - z takich haseł czerpały siłę, kiedy potrzebowały pomocy podczas wielu męczących dni przygotowywania przedstawienia.

Widownia ciepło przyjęła spektakl i uznała, że to zabawne, kiedy zaplątały mi się nogi w połowie zawilego m e n u e t a .

Ich życzliwość mnie przekonała i u d a ł o mi się cieszyć przedstawieniem. Na koniec, zgodnie ze zwyczajem, zebrał się chór najstarszych dziewcząt. Stałyśmy na specjalnie ustawionych, nakrytych materiałem pudłach, stołkach i schodkach i zaśpiewałyśmy cudowną pieśń do Maryi, „Magnificat”

G o u n o d a . Śpiewałyśmy jak anioły, uskrzydłone sukcesem u d a n e g o przedstawienia i p i ę k n e m muzyki.

Później podszedł do mnie jakiś zażywny młody człowiek o brązowych oczach i czarnych włosach otaczających pulchną, ale poważną twarz.

- Carlo, to jest Keith - przedstawiła mi go jego siostra. Był

na widowni. Wzruszony tym, co zobaczył i usłyszał, chciał poznać mnie, gwiazdę przedstawienia.

Kiedy zostaliśmy we dwójkę, Keith zachowywał się nie

śmiało, ale z pełną stanowczości determinacją.

- Czy pozwolisz, że złożę ci wizytę, Carlo? Moglibyśmy się gdzieś przejechać albo coś.

Nie m r u g n ą ł nawet okiem, kiedy z miejsca odpowiedzia

łam:

- Keith, nie ma sensu się wiązać, bo za trzy miesiące wstępuję do klasztoru.

Niezniechęcony, pojawił się przy naszej b r a m i e już w następny weekend, by zabrać mnie na wyprawę motocyklem.

Co za fantastyczna zabawa! W k r ó t c e załatwił sobie holdena z k a n a p ą z przodu i jeździliśmy na długie przejażdżki; przeważnie nic nie mówiliśmy, ale nasze ciała płonęły z pożądania. U k r a d k i e m spoglądałam na niego, czułam, że jest tego świadom i zastanawiałam się, jak długo u d a n a m się wytrwać w czystości.

- Święta Mario Goretti, przyjdź mi z pomocą! - szeptałam cicho. Maria Goretti, młoda Włoszka, została ostatnio ogłoszona świętą po tym, jak z a m o r d o w a n o ją, kiedy nie zgodziła się na współzycie. Jej olbrzymi portret zajmował dużą część ściany w sali apelów, oczy wznosiła żałośnie

ku niebu z błaganiem o p o m o c , a do piersi tuliła pęk lilii. Została ogłoszona

„świętą naszych czasów”, wzorem dla wszystkich dziewcząt grzesznie wodzonych na pokuszenie - co chyba zdarzało się częściej w naszych czasach niż kiedykolwiek przedtem.

Keith miał platfusa, więc nie chodziliśmy dużo na spacer, poza tym miał skłonność do otyłości i nie lubił wysiłku. Jego uczucie do mnie było coraz silniejsze, a ja kochałam go za to, że tak szczerze obdarowuje mnie swoją przyjaźnią i podziwem. Zapytał, dlaczego chcę iść do klasztoru. Nie pamiętam już, jakiej odpowiedzi mu udzieliłam - to była wola Boga czy coś p o d o b n e g o - ale nigdy nie próbował mi tego wyperswadować. Czekał na mnie przez osiem lat i zrezygnował dopiero wtedy, kiedy powiedziano mu, że złożyłam śluby wieczyste.

• • •

Założenie, że razem z pięcioma innymi dziewczynami wstąpię do klasztoru, było na ślepo przyjmowane przez wszystkie zakonnice i koleżanki z klasy. W ostatniej klasie szkoły zyskałam najwyższe uznanie, jakie mogła zyskać starsza, odpowiedzialna za dyscyplinę uczennica: otrzymałam Nagrodę imienia Louise Grieve, figurkę Matki Boskiej.

Louise Grieve, jak n a m powiedziano, była przed wielu laty wybitną uczennicą tej szkoły i ufundowała nagrodę dla dziewczyny najlepiej wyczuwającej „ducha szkoły”. Wiedziałam, że to nie ja; byłam cyniczna, zarówno jeśli chodzi o ducha szkoły, jak i o nagrodę za jego wyczucie, która trąciła mi przekupstwem. Byłam dziewczyną, która zdejmowała rękawiczki po drodze ze szkoły do domu, odwiedziła raz grecki kościół prawosławny i regularnie składała w m u n d u r k u wizyty swoim włoskim przyjaciółom. Poza tym często spóźniałam się do szkoły, nic nie robiłam w czasie kwesty i nie wyrażałam zbyt pochlebnej opinii o zakonnicach. Jednak nagroda w tym samym stopniu była instrumentem do wpajania tego tak okrzykanego

„ducha”, co nagrodą za jego wyczucie. Matka zatrzymała figurkę. Spadła o n a kiedyś i się rozbiła, a matka kazała ją po mistrzowsku wielkim kosztem naprawić tylko po to, by później dowiedzieć się, że ja jej już nie chcę. Moja siostra Mary uzna

ła ją za symbol kobiecości i ustawiła w swoim ogrodzie.

Wszystkie starsze dziewczęta miały obowiązek należeć do Sodalicji Mariańskiej Dzieci Maryi. Nosiliśmy srebrny m e -

dalik z M a t k ą Boską na błyszczącej niebieskiej wstążce, a nasze twarze spowijał delikatny biały tiul, co dawało n a m złudzenie, że jesteśmy aniołami. Dziewczęta z Sodalicji spotyka

ły się po szkole w kaplicy, a tam uczono je, czym jest skromność i inne cnoty, za którymi opowiadała się M a t k a Boska. Chodziłyśmy pod jej niebiesko-białą figurę do groty w ogrodzie. Miała złożone ręce, oczy wzniesione ku niebu, jej stopy nie dotykały ziemi.

Ó s m e g o grudnia, w dzień święta Niepokalanego Poczęcia, Dzieci Maryi całymi godzinami zajęte były d e k o r o w a n i e m jej ołtarza w auli. Przyniosłam pęk późnych niezapominajek, kropla w tym

morzu lilii, ostróżek, orlików, gipsówki i róż, których egzotyczny zapach uderzał jeszcze silniej do głowy w pełnym wilgoci zamkniętym pomieszczeniu. Umyłyśmy podłogę w auli i jeszcze przed p o ł u d n i e m spływałyśmy p o tem. O drugiej zaczęła się długa procesja. „ P a n n o Święta, bez grzechu poczęta, módl się za nami, którzy się do ciebie uciekamy”, taka specjalna modlitwa za nasze poczęte w grzechu dusze obowiązywała w ten dzień.

W dni świąteczne podczas długiej podróży do d o m u tramwaje były jeszcze bardziej zatłoczone niż zwykle, ponieważ jechałam później i ludzie wracali z pracy. W takich chwilach niemożliwością było czytać czy nawet usiąść; musiało n a m wystarczyć, że trzymamy się kurczowo za uchwyty i staramy się zachować równowagę. Jeżeli padało, z ludzi unosił się zapach biura, trocin i oleju, perfum, talku, ciepłych ubrań i m o krych od deszczu płaszczy. Prawie nikt się nie odzywał, a rzucało nas jednych o drugich za każdym razem, kiedy tramwaj hamował albo ruszał. Niektórym udawało się w tych warunkach czytać gazety, trzymali je tuż przed nosem ciasno zwinięte, żeby nie dźgnąć w o k o sąsiada, którego m i m o woli tłum do nich przyciskał.

W j e d e n z tych tłocznych dni jakimś chłopcu udało się wsunąć mi rękę w majtki. Czułam jego palce, ale udawałam, że mi się to śni, że jego naprawdę tam nie ma. Wszyscy wokół mnie również udawali, udawali, że inni ludzie w tramwaju po prostu nie istnieją. Co do mnie posunęłam się o krok dalej i z a m a r ł a m . Absolutnie nie byłam w stanie go powstrzymać. Mój umysł przestawił się na reakcję automatyczną i wypierał się wszystkiego tak jak wtedy, kiedy przychodził do mnie w nocy mój ojciec. Nie m o g ł a m zaryzykować pełnej wiedzy, nie m o g ł a m się odsunąć; najlepszy sposób, żeby sobie z tym poradzić, to w miarę możliwości wyzbyć się wszelkiej świadomości.

Nie obejrzałam się ani razu na chłopca, który pchał się na mnie, ale widziałam go, kiedy wysiadł z tramwaju w euforii, że udał mu się taki podstęp. Poczułam wstyd i wyrzuty sumienia, i zrobiłam się szkarłatna. Kiedy wysiadłam i szłam do domu, starałam się przez ten krótki czas wymazać to wydarzenie z pamięci.

Ż a d e n medalik z M a t k ą Boską na niebieskiej wstążce nie mógł uchronić mnie przed niezdolnością do stawienia czoła własnej seksualności; podobnie jak nie mógł d o k o n a ć tego brązowy obrazek na materiale z M a t k ą Boską z Góry Karmel, który miałyśmy obowiązek nosić p o d ubraniami. Wstąpi

łam do klasztoru z wielu różnych powodów - a jednym z nich był fakt, że absolutnie nie czułam się zdolna stawić czoła życiu jako osoba dorosła.

Od kiedy tylko miałam do czynienia z zakonnicami, słysza

łam ich rozmowy o powołaniu i grozą napełniała mnie myśl, że kiedyś takie przekleństwo mogłoby spaść na mnie. Z a k o n n i c e wydawały się zimne jak lód. W Holandii były o k r u t n e i egocentryczne; w Australii wiele z nich wydawało się zarozumiałych i przekonanych o własnej nieomyślności. Większość nie zachowywała się jak ludzie z krwi i kości, nie były naturalne, i ostatnią rzeczą, jakiej p r a g n ę ł a m , to stać się jedną z nich. Już w wieku lat sześciu, kiedy musiałam przejść w pobliżu klasztornych murów, ciarki mi po plecach chodzi

ły. Te ciarki miały coś wspólnego z przecuciem, że wbrew ca

temu swojemu przerażeniu któregoś dnia zostanę zakonnice, że tego losu nie da się uniknąć.

Kiedy m i a ł a m siedemnaście lat i zaprzyjaźniłam się z Keithem, zakonnice - bojąc się, by przypadkiem nie osłabła w nas motywacja wstąpienia do klasztoru - zadbały o mało elegancki doping, który miał wzbudzić w nas strach. Wszystkie kończące szkołę młode kobiety karmione były opowie

ściami o dziewczętach, które nie poszły za swoim religijnym powołaniem. Ich życie, jak nam mówiono, pełne było nieszczęść, ponieważ same siebie pozbawiły łaski Boga. To było tak, jakby zeszyły z wytyczonej ścieżki, jedynej drogi opromienionej Bożą łaską. Wynikiem tej odmowy były nieszczęśliwe małżeństwa, martwo urodzone dzieci, straszliwe choroby i pech. Niemniej j e d n a k żołądek kurczył mi się za każdym razem, kiedy widziałam jakąś matkę z dzidziusiem. Dzieci nie były mi przeznaczone i płakałam w środku.

Żyłam w ogromnym napięciu, ponieważ m i m o całej odczuwanej odrazy wiedziałam, że nie ma ucieczki: b ę d ę musiała wstąpić. Taka była wola Boga, powtarzałam sobie. Bóg będzie mnie kochał za moje poświęcenie. Bóg pobłogosławi też m o jej rodzinie, jak obiecały zakonnice. Nie dążyłam tak po prostu do Prawdy; dążyłam do tego, żeby mnie ktoś kochał, naprawdę kochał. Byłam jak ten młody człowiek z opowieści, który szukał zgubionego klucza. Szukał go późną nocą pod latarnią, kiedy podszedł jakiś nieznajomy i zapytał, gdzie zgubił

klucz. Młody człowiek pokazał, że gdzieś w mroku.

- A więc dlaczego szukasz go tutaj, skoro zgubiłeś go w ciemnościach? - zapytał obcy.

- Bo - odrzekł młody człowiek - światło jest tutaj.

Czułam, że muszę się starać z całych sił i gotowa byłam zrobić wszystko, żeby tylko nie rezygnować z nadziei, że klucz się znajdzie. I miałam oto doskonałe rozwiązanie. Boża m o c potrafiła jakoś sprawić, że wszystko zapięte było na ostatni guzik, nawet wtedy kiedy mnie się zdawało, że korzystam z wolnej woli w taki paradoksalny sposób. Wejście do społeczności zakonnej wydawało mi się najlepszym rozwiązaniem.

Mniej więcej na miesiąc przed planowanym wstąpieniem do klasztoru do mojego pokoju wpadła matka. Usłyszała głośny szloch i z przerażeniem zastała mnie w ataku szału; szarpałam na sobie ubrania i płakałam histerycznie. Powiedziałam jej, łkając, jakie to dla mnie o k r o p n e , że m a m wstąpić. Słuchała, jak rozpaczałam kompletnie zagubiona:

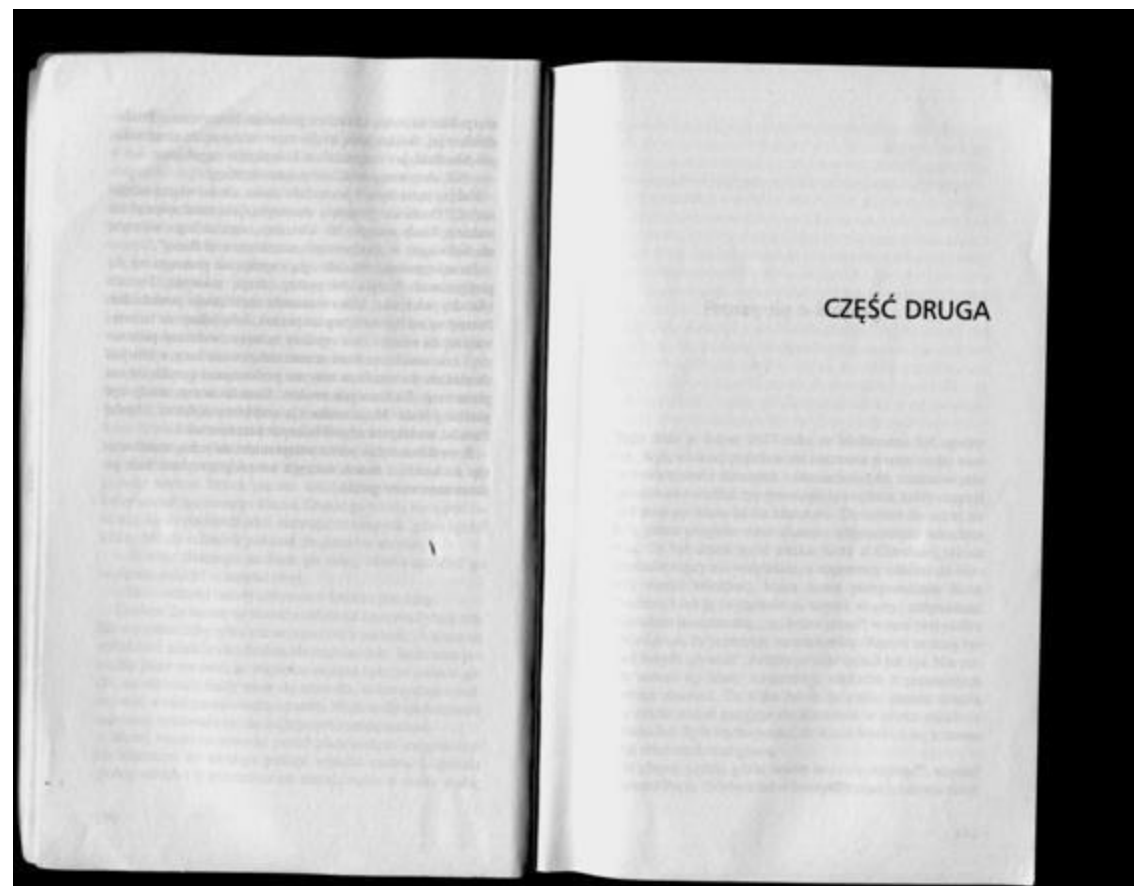
- Nie chcę wstępować, ale n a p r a w d ę chcę!

Żal jej mnie było i pocieszała mnie, ale co więcej mogła zrobić? Osobiście pragnęła zaszczytu, jaki miał spłynąć na rodzinę, kiedy wstąpię do klasztoru, oprócz tego wierzyła niezachwianie w „podporządkowanie się woli Bożej”.

Po mistrzowsku władała igłą i spokojnie p o m o g ł a mi się przygotować. Uszyła mi prostą czarną sukienkę, fartuch i krótką pelerynkę, która stanowiła część stroju postulanki.

Potrzebny mi był siatkowy czepeczek, żeby włosy nie rozwiewały się na wietrze i nie opadały na twarz, wełniane pończochy i znieawidzone stare czarne sznurowane buty, w których chodziłam do szkoły, z nowymi podeszwami przyklejonymi przez tatę. Bielizna jak zwykle. Koszule nocne miały być gładkie i białe. Moja matka i ja uszyłyśmy niektóre z białej flanelki, a niektóre z bawełnianych prześcieradeł.

Pozwoliłam sobie przed wstąpieniem na j e d n ą manifestację: do każdej z moich nocnych koszul przyszyłam duże ja-skrawoczerwone guziki.



Proszę się o kłopoty

Tego dnia w lutym 1957 roku w M e l b o u r n e był upalny dzień. A ja, a raczej zupełnie mi nieznaną wersję mojej osoby w towarzystwie dumnych i uśmiechniętych rodziców szła wyprostowana wzdłuż cyprysowego żywopłotu, który ciągnął

się od mojego d o m u aż do klasztoru. D o t a r ł a m do drzwi na tyłach, gdzie przyjęła m n i e d u m n i e uśmiechnięta wielebna matka. To był dzień spod znaku Kota z Cheshire; takich uśmiechów nigdy nie widziałam, a najszerszy należał do wielebnej matki Winifred, która s a m a p r z y p o m i n a ł a K o t a z Cheshire, i tak ją (wyłącznie na użytek własny) nazywałam.

Z o s t a ł a m postulanką, „tą, która prosi”; w tym przypadku tą, która prosi, by ją przyjąć na zakonnice. R a z e m z e m n ą by

ło pięć innych „postek”, świeżo po szkole, tak jak i ja. Nie p o s z ł a m nawet do klasy maturalnej; niektóre z pozostałych dziewcząt również. Za kilka lat moja pełna zapału siostra Berta miała zostać przyjęta do klasztoru w wieku zaledwie szesnastu lat. Była zachwycona, że m o ż e wyrwać się z d o

m u i wciąż mieć dach nad głową.

„Bo głupcy pędzą, gdzie anioły boją się stąpać”, napisał

Alexander Pope. Gdyby ktoś w tamtych czasach nazwał mnie głupią, odpowiedziałabym: „O tak, jestem głupia, jestem głupia dla Chrystusa”.

Byłam pełna determinacji; eufemizm oznaczający ślepotę.

Nie mogłam pozwolić sobie na to, by zgłębiać motywy własnego postępowania. Motywami nie martwiły się chyba również zakonnice. I nawet gdyby dysponowały psychologiczną wiedzą pozwalającą wytropić ukryte p o b u d k i dziewcząt, p r a w d o p o d o b n i e wcale by z niej nie skorzystały. W końcu mnie zajęło trzydzieści lat, zanim w pełni zrozumiałam, dlaczego pójście do klasztoru uznałam za jedyną drogę.

„Bóg widzi każdego człowieka z osobna, kimkolwiek on jest. Woła cię po imieniu. Widzi cię i rozumie, j a k o że cię stworzył... ” Te słowa przyfrunęły do mnie na niesionym po ulicy wiatrem kawałku papieru, który znalazłam pewnego dnia po drodze ze szkoły do d o m u . Wzruszyły mnie głęboko i pilnowałam tego skrawka papieru, jakby był m a p ą poszukiwacza skarbów. Na p e w n o potrzebny był mi ktoś, kto znałby mnie tak, jak s a m a siebie nie znałam i jak chyba nie znał

mnie nikt inny. Potrzebna była mi obietnica, że „Bóg mnie widzi”, ten Bóg, który - jak n a p i s a n o - zna mnie po imieniu.

Nie m o g ł a m sobie pozwolić, by się do czegoś takiego odwrócić plecami. „Nie zdołasz kochać siebie tak, jak On kocha ciebie... Obejmuje cię i zamyka w swoich ramionach”. Takie pocieszające słowa dla kogoś, kto powątpiewał w miłość.

Pozegnałam się z rodzicami, wiedząc, że ojca b ę d ę zapewne widywała codziennie w klasztornym ogrodzie, a jeżeli nie, to on zadba, by w jakiś sposób spotykać się ze m n ą . A m a t k a o d d a l o n a będzie tylko o minutkę spacerowym krokiem. R o d z i c i e mieli łzy w oczach. Gdyby wiedzieli, jaki los mnie czeka, ryczeliby na cały głos albo zabrali mnie stamtąd siłą. Ale nic takiego się nie stało. Tamtego dnia panowała nierealna atmosfera świętej ofiary i ślepej ufności.

W p r o w a d z o n o mnie do najświętszego miejsca, gdzie tak często na moich oczach znikwały zakonnice; do królestwa, w którym - j a k sobie wyobrażałam - zmieniały się o n e w bezcielesne nie-ludzkie istoty. Czułam się wstrząśnięta, kiedy m a t k a A n t h o n y z bezdennej kieszeni w swojej spódnicy wy-jęta chusteczkę i energicznie wysiąkała nos na oczach całej klasy. Tym, co m n ą wstrząsnęło, była jej nieestetyczna cielesność. Czułam się dziwnie, kiedy wreszcie zostałam dopuszczona „za kulisy”. Co zrozumiałe, wstąpiłam do zakonu, który mnie kształcił.

N a s t ę p n e g o dnia na zewnątrz, na słońcu, zrobiono zdjęcie każdej z kandydatek z białą siatką na włosach, w czarnej bawełnianej sukience, fartuchu i krótkiej pelerynce - tegoroczna nowoczesna pamiątka dla rodziców.

Konieczna byłaby surowa dyscyplina wewnętrzna, żebym powstrzymała się od korzystania z okazji i

nie odwiedziła matki, skoro mieszkała tak blisko. Niekiedy śniło mi się to.

Pewnego ranka p r z e m k n ę ł a m na wewnętrzną stronę cyprysowego żywopłotu, minęłam sznury, na których zakonnice wieszały pranie, oraz p o d w ó r k o z kurczakami siostry Kevin, i wypatrzyłam m a t k ę , jak wieszała nasze ubrania na podwórku za d o m e m . Z a w o ł a ł a m do niej. Spojrzała na m n i e zaskoczona i na jej twarzy odmalowało się tak wielkie poczucie winy, że wyraźnie z r o z u m i a ł a m , iż nie jest za b a r d z o zadowolona, że się tak wymknęłam. Niemniej po latach dowiedziałam się, że często zauważano, jak m a t k a przemyka wzdłuż tego samego żywopłotu o b o k moich braci i sióstr, żeby u k r a d k i e m rzucić na mnie okiem, kiedy sądziła, że zakonnice jej nie przyłapią.

W pierwszym liście do d o m u opisywałam fakty z mojego nowego życia.

„Wstaję tak, jakby się łóżko p o d e m n ą paliło - pisałam -

a p o t e m zimną w o d ą zmywamy z siebie całe lenistwo”.

Przez pierwsze kilka miesięcy wstawaliśmy o szóstej piętnaście, żeby zdążyć na dwudziestominutową medytację przed mszą o siódmej. J e d n a z nowicjuszek przebiegała przez dormitorium, przerywając ciszę o wczesnym p o r a n k u wołaniem: „Niech będzie pochwalony Jezus!” z całą pobożnością i niecierpliwością, na jakie mogła się zdobyć. I nie opuszcza

ła sali, dopóki nie usłyszała „ A m e n ! ” zza każdej zasłonki.

Wstawanie było pierwszym radosnym a k t e m posłuszeństwa.

Ja dosłownie wyskakiwałam z łóżka.

D o r m i t o r i u m dla postulantek i nowicjuszek było pomieszczeniem przeznaczonym początkowo na kaplicę, ale nigdy go w tym celu nie wykorzystano, ponieważ znajdowało się na drugim piętrze. Spowijały je białe zasłony wydzielające dwanaście jednoosobowych kabinek, przez co całość robiła raczej wrażenie komnaty, w której mogłyby śnić anioły albo wróżki. D u ż e , łukowate, podwójne dębowe drzwi wyglądały jak skrzydła, a na drugim końcu znajdowały się wysokie, pionowo otwierane okna, osadzone w pięciokątnej ścianie, która nadawała pokojowi obły wygląd. Podłogi, jak w całym budynku, były z wypolerowanego drewna. Na metalowych łóżkach ze stalową siatką leżały b a r d z o prozaiczne m a t e r a c e wypchane końskim włosiem. Trzeba się było do niego przyzwyczać i nikt się nie skarżył.

R a n o , zimą i latem, myliśmy się w zimnej wodzie. W o d ę przynosiło się poprzedniego wieczoru w dzbanku i r a n o nalewało się do metalowej miednicy stojącej na drewnianej szafce. Zdejmowałyśmy z łóżek całą pościel i układałyśmy ją na krześle, które wpasowywało się dokładnie w niewielką przestrzeń między łóżkami, a p o t e m , wychodząc, odsuwałyśmy zasłony. Dwie osoby na końcach dormitorium miały więcej miejsca dzięki zaokrąglonej ścianie. Należałam do szczęśliwców, którym trafiło się takie łóżko i spałam przy otwartym oknie, przez które widziałam księżyc i gwiazdy.

„Widok z okna lepszy jest nawet niż widok ze szczytu drzewa na naszym p o d w ó r k u - pisałam, żeby powiadomić rodzinę, jak jest cudownie. - F C J to skrót od First Class Jailbirds• " - odpisałam mojemu bratu Willemowi.

O k r e s postulatów był w sumie dosyć łagodnym wstępem do życia zakonnego. Miałyśmy wspólną kwaterę z nowicjuszkami, które przebywały t a m już od całego roku i nosiły pełny habit, ale z białym czepcem i welonikiem. Poza chwilami, kiedy spotykałyśmy się w kaplicy, oraz niektórymi czytaniem, my, postulanki, razem z nowicjuszkami byłyśmy odseparowane od zakonnicek. Oznaczało to, że chwilowo c h r o n i o n o **First Class Jailbirds - Kryminalistki Pierwszej Klasy (przyp. tłum. )**.

nas przed codzienną rutyną obowiązującą kobiety, które zło

żyły śluby wieczyste - a m o ż e wręcz przeciwnie, c h r o n i o n o je przed nami! Chociaż byłam pełna optymizmu, wciąż jeszcze lękiem przejmowała mnie jednolita czerń habitu zakonnicy.

Jedynym jasnym e l e m e n t e m tego stroju był „ b a n d e a u " , kawałek białej bawełny w kształcie półksiężyca, wpasowany między brwi a linię włosów, p o d białym sztywno n a k r o c h m a lonym pasem okalającym twarz, widoczny na czole. P o m i m o usilnych zaleceń papieża Piusa XII podczas Kongresu Zakonników w Rzymie w 1950 roku, żeby zakonnice zmodyfikowały swoje stroje, dostosowując je do współczesnego życia, nie d o k o n a n o żadnych zmian. W dziesięć lat po wstąpieniu do klasztoru miewałam koszmarne sny o tej odrobini bieli na czole, jedynej części mnie, która symbolicznie pozostała nietknięta.

Podczas tego koszmaru śniło mi się, że zakonnice, które wszystkie mieszkały na szczycie drzewa w chwiejnym d o m k u z usianą niebezpiecznymi dziurami podłogą, kazały mi obedrzeć ze skóry kota. Kot był czarny, ale miał małą białą plamkę w kształcie r o m b u na czole. P o d a n o mi kota i skalpel; kot był bezwładny, ale ciepły. W b r e w wszystkim swoim skłonno

ściom, ogarnięta totalną grozą, przystąpiłam do wypełnienia polecenia, którego nie pozwalałam sobie kwestionować.

Przystąpiłam do wypełniania „woli Bożej". Na widok skalpela zwykle bliska byłam omdlenia, ale w moim koszmarnym śnie udało mi się jednym z nich obedrzeć kota ze skóry. O b dartałam go całego z ciemnego futra, ale zawahałam się, kiedy d o t a r ł a m do białej plamki na czole. Tego nie m o g ł a m zrobić!

*I nie zrobiłam, nie naruszyłam tej odrobiny bieli.*

Budziłam się z łomoczącym sercem, ale i z czymś w rodzaju ulgi. Kot m o c n o ucierpiał (z moich własnych rąk), ale nie został *do końca* obdarty ze skóry.

Początki postulatów były słodkie; p a n o w a ł o lato; mali uczniowie się rozjechali, a stawiane nam wymagania nie były surowe. D a w a n o n a m dość dużo swobody, żebyśmy stopniowo przyzwyczajały się do reguły milczenia, a dla mnie pociechę stanowiło towarzystwo innych dziewcząt, które były tam równie nowe jak ja.



Sala zajmowana przez nowicjatk była duża, kwadratowa i słoneczna, miała skrzypiącą podłogę, zastawioną dużymi drewnianymi biurkami. Każda z nas miała swoje własne biurko na tej przyjaznej sali, gdzie uczyłyśmy się reguł zakonu, Pisma Świętego, życiorysu naszej założycielki, m a d a m e de Bannault d ' H o u e t , oraz żywotów świętych. To tam pisywały

śmy listy i trzymałyśmy nasze mszały i książki z regulaminem.

Figura świętego p a t r o n a nowicjuszek stała na piedestale udekorowanym świeżymi kwiatami. Następny święty Stanisław stał w naszym dormitorium, dzieląc się tym zaszczytem ze świętym A n t o n i m , p a t r o n e m rzeczy zagubionych, naszym ulubionym świętym. Dlaczego ciągle n a m się wydawało, że coś gubimy?

Spotykałyśmy się codziennie w czasie rekreacji, na godzinę po lunchu i na pół godziny wieczorem przed modlitwą.

Zestawiano wtedy razem dwa duże stoły, żebyśmy wszystkie

- postulantki i nowicjuszki - mogły przy nich usiąść. Jak tylko pogoda pozwalała, wychodziłyśmy na zewnątrz i spacerowałyśmy w cieniu dużego drzewa albo podlewałyśmy dwa małe dęby, które posadziłyśmy w pobliżu na p a d o k u dla koni. Wzięłyśmy p o d opiekę trzy dynie, które rosły na przymie kompostowej, ale pewnego dnia zobaczyłyśmy, że dwie z nich wyrwał ogrodnik, mój ojciec. Poskarżyłam się na to w liście do niego i otrzymałam odpowiedź z wyjaśnieniem, że mogła tam dojrzeć tylko j e d n a dynia. Mój ojciec nie był sentymentalnym człowiekiem.

Miałyśmy w tamtych czasach wyostrzone poczucie h u m o r u . H u m o r nie pozwalał, by wydarzenia dziwne i niezwykle zmieniły się w makabryczne. M i m o to, kiedy po raz pierwszy przyłączyłyśmy się do zakonnice na wspólnej sali na codzienne czytanie i j e d n a z nich uklękała na podłodze, oskarżając się głośno o popełnienie jakiegoś przekroczenia i prosząc prze

łożoną oraz nas o przebaczenie i modlitwę za nią, zrobiłam się szkarłatna. Sam fakt, że byłam świadkiem tego wyznania, wystarczył, bym poczuła się tak, jakbym zrobiła coś nieprzyzwoitego. Po czytaniu na chwiejnych nogach poszłam do kaplicy. Kiedy się już tam znalazłam, czekał mnie następny szok: zakonnice, wchodząc i wychodząc, całowały podłogę w kaplicy! Później widziałam, jak całowały podłogę w refektarzu - nigdy nie zrozumiałam po co - a przy jakiejś szczególnej pokucie całowały buty starych czcigodnych zakonnice -

najczęściej wielbnej matki prowincjonalnej - wysuwając je z uniżeniem dłońmi spod jej spódnicy.

Miałam wyraźne wrażenie, że cofnęłam się do średniowiecza. Wstrząsnął m n ą widok jakiejś nowicjuszki, która jadła posiłek, klęcząc na podłodze i zmieniając swoje krzesło w stół. Klęczała w pewnej odległości od całej reszty i nie m o gła sama wziąć sobie jedzenia. Z r o z u m i a ł a m , że coś takiego dzieje się całkiem często i jest oznaką dobrowolnego usunięcia się ze społeczności za to, że złamało się regułę. Jeżeli nakarmiła ją ogarnięta współczuciem ochotniczka, oznaczało to, że jej p o k o r n e przeprosiny zostały przyjęte. Czasami podczas posiłku przełożona pozwalała takiej siostrze wrócić do społeczności i znowu zająć miejsce przy stole. Zawsze m o ż n a było liczyć, że człowieka nakarmią i mu przebaczą, więc ten rytuał był w rzeczywistości dosyć łagodny.

Nasza pierwsza wychowawczyni nowicjuszek e m a n o w a ł a majestatem i kulturą, bo była starszą, bardzo p r o s t o trzymającą się, wymizerowaną d a m ą , którą cechowała spostrzegawczość, poczucie h u m o r u , inteligencja oraz hart ducha.

M a t k a P h i l o m e n a u m i e r a ł a na raka powoli, co dało jej możliwość u p o r z ą d k o w a n i a wszystkich spraw w swoim b a r d z o przenikliwym umyśle. Kiedyś obawiano się jej, bo była zwolenniczką surowej dyscypliny w szkole, ale n a m okazywała nieczęsto spotykane współczucie. Zabierała nas na spacer po terenach klasztornych, którym wspaniałości przydawały olbrzymie drzewa iglaste, dęby, wiązy oraz pełna o d d a n i a działalność mojego przedsiębiorczego ojca. Z n a ł a nazwy wszystkich tych drzew i nas też ich nauczyła. M a t k a P h i l o m e n a była niewyczerpanym źródłem opowieści o życiu w innych klasztorach w innych krajach oraz o kobietach, które t a m mieszały.

Kochała naszą żywiołowość, chociaż zmuszała nas do przestrzegania reguł. Tylko j e d n a osoba mogła w danej chwili mówić. Na swój wspaniale łagodny sposób pilnowała, by każda miała szansę włączyć się do rozmowy.

Było wiele słonecznych dni, kiedy czas rekreacji spędzały

śmy na zewnątrz, i czułam się szczęśliwa. Rekreacja wydawa

ła mi się taka *cywilizowana*; nie przywykłam do tego, najbliższa jej była wytworność i dystynkcja, o jakich czytałam w książce E. M. Forstera „Pokój z widokiem”; zawsze p o t e m z tęsknotą wspominałam utracone dziedzictwo mojej matki.

Często zabierałyśmy ze sobą krzesła i siadałyśmy w cieniu drzewa, żeby haftować albo cerować. U b ó s t w o oznaczało, że musiałyśmy naprawiać swoje ubrania. A skoro miałyśmy to robić na chwałę Bożą, trzeba było wykonywać r o b o t ę doskonale; cery na naszych pończochach g o d n e były rąk kobiety po mistrzowsku władającej igłą. Nasze hafty były dziełami p o bożności. Sprzedawano je Bóg wie gdzie albo przekazywano Bóg wie komu, a my uczyłyśmy się cnoty opanowania, kiedy bez wahania oddawałyśmy te dzieła naszym rąk i serc. Później, dużo później, poczułam się zaskoczona i rozgniewana, kiedy dowiedziałam się, że moja rodzina płaciła za moje hafty swoimi ciężko zarobionymi pieniędzmi.

Rekreacja była również odpowiednią porą na opowiadanie nieprawdopodobnych historyjek, zadawanie podchwytliwych pytań na temat zakonnicy i dużo wesołości. Wiele się śmiałyśmy - byłyśmy m ł o d e , pełnej tłumionej chęci do psoty i potrzebna n a m była ulga od niepokojącego przystosowywania się do nowego życia. Śmiech wspaniale rozpraszał napięcie, utrzymywał nas przy zdrowych zmysłach i przywracał

naszym policzkom rumieńce. Moje wrodzone poczucie h u m o r u znalazło ujście podczas tych codziennych spotkań, kiedy wszyscy człowieka słuchali, gdy przyszła jego kolej. D o piero na trzecim roku nowicjatu, po tym, jak nowa wychowawczyni poleciła mi, żebym pielęgnowała swoje poczucie h u m o r u albo je utracę, zaczęłam zapominać o śmiechu.

Obudziła we mnie coś, co ostrzegało przed pychą - czułam się tak, jakbym za dużo wygrywała w

kulki.

Z a n i m mi tak niefortunnie przypomniała o moim poczuciu h u m o r u , nauczyłam się z talentem opowiadać kawały, a nowe zapisywałam i wysyłałam do d o m u , żeby i rodzina się pośmiała.

„Bóg wyjrzał z z a m u r ó w nieba na dusze w piekle, które wi

ły się w straszliwych męczarniach, kiedy d e m o n y oblewały je smołą i dźgały rozpalonymi do czerwoności pogrzebaczami”.

Tak zaczynał się kawał pochodzenia szkockiego (może był to jeden z żartów B e r t r a n d a Russella, który na p e w n o opowiadał go lepiej niż ja). „Szukał wzrokiem dusz wśród płomieni i dymu. O, Boże - jęczały dusze - nie wiedzieliśmy, że będzie aż tak źle. Bóg przyjrzał im się i powiedział: No to teraz już wiecie, n i e ? ” .

Zawsze uważałam, że to dosyć ryzykowny kawał; zawarta w nim była taka niezachwiana wiara w piekło i wieczysty gniew Boga. Musiałyśmy być dosyć zadowolone z siebie i pewne, żeby śmiać się z takich kawałów. Gdzieś w moim wnętrzu przekreślał się jakiś klucz, ale prawie nie zwracałam na to uwagi. Śmiech był sposobem na przegnanie diabła, nawet jeżeli tylko chwilowe.

W ciągu p o n a d dwunastu lat mojego klasztornego życia to właśnie śmiech i poczucie jedności powodowały, że to wszystko stawało się warte zachodu. Kiedy śmiałyśmy się razem, między nami tworzyła się więź; tylko ten śmiech dawał n a m prawdziwe poczucie tożsamości. Założyłyśmy nawet wspólną tablicę, gdzie m o ż n a było wywieszać kawały i anegdoty, które każdy mógł sobie przeczytać, nie tylko „postki” i nowicjuszki. Był to przyjazny łącznik między dwoma obozami, tych nieopierzonych i tych w pełni opierzonych.

Czasami mignął mi gdzieś któryś z małych braci. Kiedyś mój dwuletni braciszek Peter przywędrował z misiem w ramionach w poszukiwaniu tatusia. Wyprawiłam go do ojca, chociaż sama wcale nie byłam pewna, gdzie jest, a on uśmiechnął się szeroko i, odchodząc, przesyłał mi pocałunki.

W kilka tygodni później podczas popołudniowej rekreacji usiadł w pobliżu nas na cementowym krawężniku i siedział

tam, zadowolony. Mniej więcej co minutę powtarzał:

- H e j , Ca-la! - i uśmiechał się. Pozwolono mi go ucałować i odesłać do d o m u , i podciągnąć mu spodni, bo miał brzuszeczek na wierzchu.

- Nigdzie nie mogę znaleźć mamusi, Ca-la - powiedział.

Biedaczek.

Koniec rekreacji przepełniał mnie na ogół poczuciem wielkiej straty, a nawet zagrożenia. Dlaczego nie mogliśmy jeszcze przez kilka godzin marzyć i tworzyć świata na nowo?

Skąd to żalosne posłuszeństwo zegarowi? Ale godzina druga równoznaczna była z ciszą nagłą jak

nagła śmierć. Czas się skończył; spuścić oczy, ruszać szybko do obowiązków.

A roboty było mnóstwo. Praca postulantek i nowicjuszek musiała klasztorowi oszczędzać potężnych wydatków na sprzątanie. Pracowałyśmy ciężko w pralni, w kuchni, w kaplicy, w dormitoriach, w magazynie z bielizną - sortując ubrania, szyjąc nowe, dokonując poważniejszych napraw na maszynach do szycia; praktycznie wszędzie w tym ogromnym budynku.

Przez lata, jakie tam spędziłam, nie było w klasztorze ani jednej najętej służącej, całą pracę wykonywały nowicjuszki i zakonnice, którym diagram dyżurów w czasie wolnym od uczenia układała k o m p e t e n t n a siostra Kevin. Nie mogłam uwierzyć, kiedy mi to w końcu powiedziano na długo po tym, jak opuściłam klasztor, że od mojej rodziny d o m a g a n o się opłat za lata mojego nowicjatu, a p o t e m za pełne osiem lat aż do ślubów wieczystych. Miało to coś wspólnego z brakiem posagu, który mogłabym wnieść klasztorowi; dysponowałam tylko częścią spadku po moich rodzicach, którzy zrobili zapis na klasztor, a t o u z n a n o za niewystarczające. Nie miałam pojęcia o takim zdzierstwie.

- Biedni zawsze płacą, pani van Raay - mówiła mojej mat-

'ce siostra, której wyznaczono to paskudne zajęcie, zbieranie pieniędzy. - Bogacze sobie tym głowy nie zawracają; oni nigdy nie płacą.

Wyglądało na to, że całkiem sporo dziewcząt nie wniosło posagu, nawet te, które na to było stać. Ale ludzie zamożni byli na tyle mądrzy, że nie dawali się zastraszyć żądaniem opłat, kiedy ich córki oddały życie Bogu i niekończącej się Bożej pracy.

Ja przede wszystkim miałam obowiązek pilnować, by korytarze i sale były wolne od kurzu i lśniące. Pokazano mi, jak rozsypywać zużyte wilgotne listki herbaciane na początku korytarza, a p o t e m metodycznie je zmiatać, by ściągnęły cały kurz. Nauczyłam się poskramiać wielką ręczną froterkę, która wrywała się z moich niedoświadczonych rąk, oraz dbać o mahoniowe stoły, o krzesła w stylu królowej A n n y i o każdy drobiazg w wystawnych salach, które kazały myśleć mi o dworze Ludwika X I V (nie byłam przyzwyczajona do zabytkowych waz, a niektóre z nich miały prawie po metrze wysokości).

Kiedy pojawiał się jakiś gość, nie powinno się było sprzątać, ale czasami nie dawało się tego uniknąć. Pewnego dnia, kiedy zmywałam właśnie korytarz, zobaczyłam, jak z salonu wychodzi mężczyzna o dosyć ważnym wyglądzie, i dałam nura do łazienki wielebnej, do której prowadziły w b u d o w a n e w e w n ę k ę w ścianie drzwi. Ta łazienka była przestronnym otaczanym czcią pomieszczeniem, do k t ó r e g o zwykle nie miały wstępu takie pospolite sprzątaczkі jak ja. Gość j e d n a k skierował się do tego samego pomieszczenia, a kiedy mnie zobaczył, o m a ł o nie rzucił się do ucieczki. Zmiatając kurz jak szalona, powiedziałam, że właśnie skończyłam i naprawdę, nic nie szkodzi!

Refektarz, w którym jadałyśmy posiłki, przyprowadzał mnie o niepokój. My, nowicjuszki, miałyśmy swój własny refektarz po przeciwnej stronie korytarza niż zakonnice. Nasza wychowawczyni zwykle czyniła honory podczas posiłku, a my postępowałyśmy według jej wskazówek. Założycielka zgromadzenia była Francuzką, ale w jej zakonach panowała zdecydowanie wiktoriańska etykieta.

Szarpało n a m to nerwy.

Pewnego dnia wychowawczynie zjadła jabłko, posługując się nożykiem i widelczykiem. U z n a ł a m , że kompletny osioł ze mnie, jeżeli chodzi o maniery przy jedzeniu, i przypuszcza

łam, że wszystkie inne dziewczęta poza mną, córką ogrodnika, zostały dobrze wychowane. Ale kto uczy się w d o m u jeść p o m a r a n c z ę łyżeczką, a jabłko nożykiem i widelczykiem?

Musiałymy więc wszystkie czuć się podobnie i podglądały

śmy ukradkiem, jak zachowuje się reszta.

Nabrałyśmy całkiem sporej wprawy w niedotykaniu jabłek palcami, kiedy nasza wychowawczynie miała czelność ogłosić od szczytu stołu:

- Wiecie, nie ma takiej konieczności, by przy jedzeniu jabłka używać nożyka i widelczyka.

Otarła cienkie wargi dużą białą serwetką i wyszła z sali. Nigdy nie połąpałam się, co miała oznaczać ta konkretna lekcja.

•••

Przez całe wieki życie z a k o n n e było edukacją w odczłowieczeniu. Setki razy ojcowie kościoła definiowali je j a k o dążenie do doskonałości, tożsame z wyrzeczeniem się świata.

„Świat" nie oznaczał przy tym wyłącznie d ó b r materialnych, zakonnice miały również minimalizować swoje kontakty z ludźmi. „Surowość" jest tym słowem, które przychodzi na myśl. Surowa pobożność. Wysiłki, by zerwać z tym ascetycznym przywiązaniem do reguł, p o d e j m o w a n e przez papieża Piusa X I I i papieża J a n a X X I I I - zapraszali oni do siebie przełożonych wszystkich zakonów w latach 1957, 1961 i znowu w 1965 - spotkały się z uprzejmą niezdolnością do

łości, którą przełożeni już pojęli.

W końcu życie zgodne z regułą i codziennym rozkładem zajęć stało się łatwiejsze - a nawet stało się czymś w rodzaju kuli dla kulawego. Żeby postąpić właściwie, wystarczyło odwołać się do zwyczaju albo reguły; w przypadku najmniejszych wątpliwości radziłyśmy się wychowawczyni nowicjuszek.

„Każda najdrobniejsza wykonywana przeze mnie czynność jest tym, czego w danym momencie oczekuje ode mnie nasz Pan, i oczywiście jest to zachwycające uczucie” - pisałam w moim pierwszym z cotygodniowych listów do rodziny. Im więcej reguł poznawałyśmy, tym łatwiej było postępować

„właściwie”. Oczywiście dopóki sama ilość reguł oraz komplikacje związane ze stosowaniem się do nich wszystkich nie zmniejszyły szans na powodzenie.

Teraz każda z nas czuła się wspaniale, bo należałyśmy do

„społeczności”. Młoda kobieta, która walczyła o jakąkolwiek tożsamość, rozkoszowała się tym poczuciem. Moja zdolność do „zadowalania Boga” wydawała się niepodważalna. Udało mi się przenieść pragnienie uzyskania aprobaty rodziców na dowolną osobę, która stała na dementną w zakonnej hierarchii, na „rzeczniczki Boga”. Otwarcie zachęcano nas do takiego postępowania; nawet te tytuły: „wielebna matka”, „wielebna matka prowincjonalna” oraz „wielebna matka generalna”, były jawnym żądaniem dziecięcej lojalności.

Naszą wielebną matkę traktowano z wielką rewerencją.

Musiała zajmować się organizacją wielu spraw i chroniona była jak królowa pszczoł. „Szarą masę” zachęcano, by kocha

ła również matkę prowincjonalną, niezależnie od tego, kto w danej chwili zajmował to stanowisko, a już najbardziej wielebną matkę generalną, tkliwie nazywaną „Notre Mere”. Ją najtrudniej było spotkać czy poznać, jak o że mieszkała w Broadstairs, w Anglii. Polecano nam wysyłać pełne uczucia listy do tej nieznaney, otaczanej czcią matczynej postaci, z zapewnieniami o naszych nieustających modlitwach, naszej lojalności oraz naszej miłości do niej.

Wielebna matka Winifred miała usta pełne dużych zębów, ale po pierwszym szerokim uśmiechu, z jakim mnie przyjęła, chyba poczuła do mnie chłodną antypatię. Na ogół niewiele miała czasu dla postulantek i nowicjuszek i na szczęście pokazywała się tylko sporadycznie, by zapoznać nas z regułą albo wygłosić mającą nam dodać energii mowę, nazywaną rozprawą. Wygłaszała ją z oczami spuszczoneymi na przygotowany na piśmie tekst, a my, młode dziewczyny, siedziałyśmy w dwóch rzędach pod kątem prostym do niej, ze wzrokiem wbitym w swoje złożone na kolanach dłonie.

Czasami jedynak musiałyśmy osobiście złożyć raport matce przełożonej. Jedynak za drugą klękałyśmy obok niej w otaczanym czcią prywatnym gabinecie, w którym aż śmierdziało od nagan, środków dyscyplinujących, powtarzanych reguł i przepisów, godnych pożałowania decyzji, upokorzeń, nawoływań, by coś zrobić, oraz napomnienie - a wszystko to prędzej czy później po złałam na własnej skórze.

Wielebna matka siedziała w fotelu, tak że klęcząca postulanka, taka jak ja, mogła podnieść wzrok

na jej dużą twarz.

Myślę, że to moja szczególna naiwność tak wytrącała m a t k ę Winifred z równowagi. M i m o woli jej duży nos drgał, a krzaczaste brwi mrocznie się ściągały, kiedy bez uśmiechu o d p o wiadała na moje pytania.

• • •

Kiedy m a t k a Philomena, nasza elegancka wychowawczyni nowicjuszek, umarła, na jakiś czas pozostałyśmy bez matki.

U m a r ł a na raka, a ż a d n e z jej „dzieci” nie było o b e c n e przy zgonie ani nie opłakiwało jej przy łożu śmierci. Z g o d n i e ze zwyczajem ofiarowywano msze święte za jej duszę, o d p r a wiono ich sześć pod rząd pierwszego dnia w podwójnym a m o ż e nawet potrójnym tempie. Kazało mi to zastanowić się, dlaczego nie możemy postępować w ten sposób co r a n o i zaoszczędzić mnóstwo czasu. Po mniej więcej tygodniu wyznaczono n a m nową wychowawczynię.

M a t k a Rosa była młodsza i dość otwarcie okazywała e m o cje. Miała życzliwe oczy i uważała, że powinna przede wszystkim starać się nas rozweselić, chociaż czasami sama nie czu

ła się zbyt dobrze. M a t k a Rosa miała za sobą fatalne doświadczenie - j e d n a ze starszych nowicjuszek zapalała do niej gwałtowną niechęcią. Mówię „gwałtowną”, bo siostra Miriam głośno sprzeczała się z m a t k ą Rosą i nawet przeklinała. Miriam z o p o r a m i o d e s ł a n o do d o m u do jej szacownych rodziców po niemal dwóch i pół roku w nowicjacie. O d j echała, nie żegnając się z nami.

M a t k a Rosa dokładała wielkich starań, żeby podołać swoim obowiązkom, ale zbyt często płakała przez brak k o m p e tencji, więc wyznaczono n a m trzecią wychowawczynię nowicjuszek, m a t k ę Immaculatę, kobietę w dużych okularach, spoza których jej oczy połyskiwały zwodniczo, z pomarszczo-nymi ustami osadzonymi w kwadratowej szczęce. Urzekająco zadarty nosk zadawał kłam jej naturze. Lubiała psoty, nie ma co, i starała się zachowywać wesoło, ale ktoś powinien był się dwa razy zastanowić, widząc, jak nerwowo, nieustannie poprawia okulary na nosie i jak, nawet uśmiechając się, nie przestaje być świętoszkowata. Nie miałyśmy tej wychowawczyni na dobrą sprawę nic do zarzucenia poza tym, że nie ma pojęcia, co robi. Ślepo wierzyła w Boga, który przemawiał

przez jej przełożonych. Przełożeni kazali jej zostać wychowawczynią nowicjuszek; najmniejszego znaczenia nie miał

fakt, że nic o tej robocie nie wiedziała, wiara mówiła jej, że stanie się cud i że nią pokierują. Była świętym niewiniątkiem.

Była również w każdym calu dzieckiem - podobnie jak ja.

Wyszkolono ją na nauczycielkę szkoły podstawowej, przywykła radzić sobie z małymi dziećmi, a teraz miała kilkoro większych p o d swoimi skrzydłami, to wszystko.

W tym czasie przyjechała z Anglii do Australii tajemnicza i budząca cześć wielebna matka generalna, żeby odwiedzić swoje trzy domy. Z a b r a k ł o n a m czasu, żeby sklecić na jej powitanie jakieś przedstawienie, więc po prostu odbyło się czytanie tekstów religijnych na naszej wspólnej sali, a p o t e m rozmowa, podczas której matka generalna zadała kilka pytań, przeprowadzając coś w rodzaju wywiadu. Dotarła do nas później wiadomość, jakie odniosła wrażenie: sześciu centów by nie dała za nas wszystkie! Kiedy to usłyszałyśmy, przygryzały

śmy wargi, chichotałyśmy i parskałyśmy. Co zaskakujące, ten sąd nie popsuł nam h u m o r u - był tak obraźliwy, że aż śmieszny. Po prostu nie mogłyśmy uwierzyć, że w tak krótkim czasie potrafiła uczciwie ocenić, czy jesteśmy coś warte, czy nie.

Nasze chichoty traktowano jako sposób postulantek na pozbycie się skumulowanego napięcia i przez jakiś czas je tolerowano. Miałyśmy napady chichotów w kaplicy, bo nie by

łyśmy przyzwyczajone do przedłużającego się milczenia, chociaż medytacje początkowo trwały tylko po dwadzieścia minut. Po miesiącu ich czas przedłużono do trzech kwadransów. Nasze żywe m ł o d e umysły nie potrafiły poradzić sobie z tłumieniem myśli przez tak długi czas. Z d a r z a ł o się, że jedna z nas zaczynała chichotać cicho i bezradnie, p o t e m reszta przyłączała się solidarnie do niej, ramiona trzęsły n a m się tak bardzo, że wibrację dawało się wyczuć przez drewniane klęczniki. I nagle któraś wybuchała śmiechem. To szokujące uwolnienie energii uspokajało nas wszystkie, jakby wspólne napięcie znalazło ujście poprzez j e d n ą z nas.

W gorące wilgotne dni wiotczałyśmy i cierpiałyśmy w idealnej ciszy. Czarny materiał sukienek lepił się do oparcia ławek, jeżeli ośmieliłyśmy się oprzeć, zamiast siedzieć prosto, czego od nas wymagano. Pewnego ranka opierałam się przez całe pięć minut, zanim wielebna matka podeszła i zapytała, czy źle się czuję, a ja po prostu błędziłam myślami i zapomniałam, gdzie jestem.

Medytacje były krańcowo n u d n e . Odczytywane zawsze z tej samej księgi, w staroświeckim języku, dotyczyły tematów, takich jak wskrzeszenie Łazarza, Sąd Ostateczny, święty Patryk, diabeł i Anioł Stróż, uwielbione Ciało Chrystusa, Eucharystia, milczenie, to, jak ciało będzie wyglądało i czuło się po zmartwychwstaniu... Po kilku latach słuchanie stało się w pewien przewrotny sposób łatwiejsze, bo medytacje się nie zmieniały, p o w t a r z a n e były wielokrotnie!

Po śniadaniu zawsze słuchałyśmy fragmentów „O naśladowaniu Chrystusa”, nawet wtedy, kiedy już wstrząsnęła nami wiadomość, że Tomasz a Kempis, ten szacowny pisarz, nigdy nie zostanie kanonizowany. A stało się tak, ponieważ odkryto po ekshumacji, że umarł, zatopiwszy zęby w swoim ramieniu. Musiał stracić p o k ł a d a n ą w Bogu nadzieję, kiedy ocknął

się w dusznej trumnie po tym, jak p o g r z e b a n o go żywcem, a tego by nie zrobił żaden święty.

Podczas przyciszonej krzątania przy podawaniu i jedzeniu lunchu odbywały się czytania z pism założycielki do chwili, kiedy przełożona nie wypowiedziała magicznych słów: „Niech będzie pochwalony Jezus!”. To był sygnał, że m o ż n a rozpocząć kilka minut ożywionej rozmowy, przy czym mówić mogła wyłącznie jedna osoba, a reszta grzecznie powściągała słowa, które doczekać się nie mogły, by wyrwać się na swobodę. Tylko świeckie siostry, które nie złożyły takich samym ślubów i zwykle siedziały najdalej od przełożonej, łamały zasadę, że mówi jedna osoba naraz.



Często nie były w stanie nadażyć za sensem rozmowy osób wtajemniczonych, więc gawędziły cicho między sobą, na co zwykle zwracała im bezskutecznie uwagę przełożona. W święta można było liczyć na to, że czytania będą bardzo krótkie, co przynosiło rozkoszną ulgę. Przy obiedzie następne czytania i w ogóle żadnych rozmów, bo po zmywaniu przychodziła pora na rekreację.

Przy wieczornych czytaniach, między kaplicą a obiadem, obowiązywał rygorystyczny porządek. Dwa razy w tygodniu raczono nas pismami Alfonsa Rodrigueza. Napisał on kilka ksiąg

z których zebranych w cykl zatytułowany „Ćwiczenia w doskonałości i cnocie chrześcijańskiej”. Książki te były przejrzyście szczerze i z łatwością przyswajałyśmy sobie prezentowany w nich osobliwy sposób rozumowania oraz godne podziwu zalecenia, jak prowadzić życie doskonałe. Ż a d n e inne książki nie zdołałyby tak kompetentnie uświadomić nam, jak żałosne i bezwartościowe byliśmy jako istoty ludzkie; jak nieczyste, plugawe i nieprzyzwoite były nasze ludzkie ciała, które siłą nakłaniać trzeba, by nabrały zwyczaju „podążania za Duchem”.

W inne dni teksty wybierano z krótkiej listy żywotów ulubionych świętych, przekazywanej z pokolenia na pokolenie. Po wizycie matki generalnej wtykano n a m przez kilka miesięcy pod nos książki pióra opata Marmiona, opromienione osobistym wyborem, jakiego dokonała matka generalna, która podziwiała pełen erudycji styl opata. Przeciętne umysły takie jak nasze miały kłopoty ze zrozumieniem jego myśli. Od czasu do czasu czytano n a m prawdziwy dreszczowiec - na przykład żywot dowcipnego misjonarza z Afryki, którego nazwiska zapomniałam; ten tekst przynajmniej wywoływał uśmiech na naszych twarzach. Poza tym były historie świętych takich jak Alojzy, który nigdy nie spojrzął na kobietę, nie spojrzął nawet własnej matce w twarz; i historia ojca Petit. Ojciec Petit nigdy nie tknął jabłka przez jego skojarzenia z grzechem pierworodnym, który świat zawdzięcza Ewie. Prosił, by po śmierci wycięto mu czyste serce i zachowano je dla siostry X, jego przyjaciółki. Nikomu do głowy nie przyszło, by wyśmiewać się z tych historii; przyjmowaliśmy je tak, jak pacjent przyjmuje lekarstwo: miały paskudny smak, ale powinny n a m dobrze zrobić.

Oczywiście na liście znajdował się również żywot założycielki. Prowadziła ona niezwykle, odważne i tajemnicze życie, w którym pod koniec miały miejsce niewytłumaczalne zdarzenia, takie jak przebywanie w dwóch miejscach naraz, słyszenie głosów o r a z przepowiednie, które się później sprawdziły. Była pionierką w kształceniu dziewcząt z niezamożnych rodzin, bo zdawała sobie sprawę, że edukacja to droga do wyzwolenia z wąskiego spektrum ról dostępnych dla kobiet na początku dziewiętnastego wieku.

W 1820 roku ufundowała swój pierwszy klasztor, a wkrótce po tym cztery następne, wszystkie we Francji. Nie minęło wiele czasu, a założono klasztory w Anglii i Irlandii. Pierwszy australijski klasztor znajdował się w Richmond, w Melbourne, a założono go w 1882 roku, dwadzieścia cztery lata po śmierci fundatorki. Gdyby żyła w naszych czasach, w latach sześćdziesiątych, kiedy edukacja dostępna była dla każdego, z pewnością skończyłaby ze szkołami i zajęła się czymś bardziej pożytecznym. Ale to przekraczało możliwości zrozumienia zakonnic. Rola nauczycielek-zakonnic pod koniec dwudziestego wieku zredukowana została niemal do zera, powołań było coraz mniej. O wszystko to obwiniano raczej bezbożność czasów niż brak wykazanej w porę inicjatywy.

Sześć miesięcy postulat, pełnych podniecenia, przerażenia i h u m o r u , przeleciało migiem, i wkrótce gotowe byliśmy zrobić następny krok: czekało nas wielkie przeżycie, związane ze

zrzućeniem prostych czarnych bawełnianych sukienek i siatkowych czepek i zamianą ich na szalenie profesjonalnie wyglądające habity nowicjuszek.

Odbyło się to podczas oficjalnej ceremonii, a miała ona uświadomić naszym rodzinom rosnącą powagę wyboru dokonanej przez ich córki, które postanowiły poświęcić życie Bogu.

### Więcej kłopotów

Pobłażliwy okres postulatu zakończył się ósmego września 1957 roku w święto Niepokalanej o Poczęcia. Żeby ten dzień jakoś się wyróżniał, odbyła się w kaplicy publiczna uroczystość, oficjalna i imponująca, w której wzięły udział wszystkie nasze rodziny i przyjaciele. Nie mieli oni natomiast oglądać nieco bardziej drastycznej części za kulisami, kiedy przyszło do obcinania włosów.

My, sześć oblubienic Chrystusa, szłyśmy uroczystie nawą, włosy miałyśmy jeszcze nienaruszone i okryte takim samym welonikiem jak dzieci przy pierwszej komunii. Dłonie złączone czubkami palców trzymałyśmy przy piersi i szłyśmy z pochylonymi głowami. Moją pseudoślubną suknię uszyła mi matka; zrobiona była z cienkiego białego atlasu z delikatnymi kropeczkami - to, że nie miałam głębokiego dekoltu ani obnażonych ramion, jest chyba oczywiste. Wyobrażałam sobie, że wyglądam jak Maria Goretti albo jedyna ze świętych z moich świętych obrazków.

W kaplicy tłoczno było od krewnych sześciu dziewcząt, które płynęły po czerwonym dywanie w stronę ołtarza. Dopuszczono do uroczystości również kilka starszych uczennic, które - jak sądzono - mogły zostać w przyszłości „kandydatkami”. Gdzieś w tym tłumie byli moi rodzice i siostra.

Kaplicę wypełniał zapach wielu kwiatów, w przeważającej mierze białych: białe róże, białe goździki, lilie, gladiole, gipsówka i konwalie. Dziwnie mi się to teraz wydaje, ale zapach tych kwiatów, który tak wyraźnie sobie przypominam, podobnie wtedy naduchował. Ich wonność niosła ze sobą informację, że wszystko jest dobre.

I wszystko było dobre - nie dla tego, żebym miała pewność, że postępuję właściwie, by sprawić przyjemność Bogu, bo nie miałam, a Bóg nie potrzebuje tego, by mu sprawić przyjemność, ale dla tego, że robiłam coś, co zgodniem z własnym przekonaniem musiałam wtedy zrobić. Z czasem znajdą się inne rzeczy do zrobienia. Miałam przyjaciół, czuwałam nademną.

Powtarzałyśmy sobie wcześniej to, co miałyśmy powiedzieć, wyrzekając się świata, prosząc o habit, który miałyśmy nosić, i oświadczając gotowość zostania oblubienicą Chrystusa, Wierną Towarzyszką Jezusa.

Biskup uroczystie pytał każdą z nas, kiedy klękałyśmy przed nim:

- Moje dziecko, o co prosisz?

- Wasza ekscelencjo, proszę o miłosierdzie Boże i łaskę świętego habitu.

- Czy prosisz o to z całego serca i z wolnej woli?

- Tak, wasza ekscelencjo.

Nasze słowa dochodziły do uszu przysłuchujących się w kaplicy ludzi.

- Zaślubiam cię Jezusowi Chrystusowi, Synowi Wiecznego Ojca, w Z g r o m a d z e n i u Wiernych Towarzystek Jezusa. Niech Bóg obdarzy cię wytrwałością, dziecko.

Następnie, zaślubiwszy nas Jezusowi, biskup kładł na naszych wyciągniętych dłoniach schludnie złożony habit zakonnicy. Kiedy wszystkie otrzymałyśmy już nasze nowe ubrania, podniosłyśmy się i skromnie, z pochylonymi głowami p o d r e p t a ł y ś m y z p o w r o t e m n a w ą, kierując się ku drzwiom na tyłach kaplicy.

Wyszedszy z kaplicy, dałyśmy sobie spokój ze statecznym t e m p e m i popędziłyśmy do pokoju, który nazwałyśmy p o k o j e m nowożeńców. Jezusa o b d a r o w a n o tego dnia szczęścioma następnymi oblubienicami; była to tajemnica, którą zaakceptowałam z równą łatwością jak pojęcie D u c h a Ś w i ę t e g o i „okrzyki”. Włosy trzeba było obciąć szybko, żeby wierni nie musieli zbyt długo czekać, aż każda oblubienica po obłóczynach wróci do kaplicy z głową okrytą białym czepcem i welon e m i całą resztą ciała spowitą w czerń.

O g a r n ę ł o m n i e dziwne uczucie, kiedy wychowawczynie obcinała mi włosy, symbol mojej kobiecości. Kobiecość znika ze złożeniem ślubów. M o g ł a m być oblubienicą, ale nie kobietą.

Co t a m a t k a Immaculata wyprawia? Jej nerwowe dłonie wydawały się jeszcze bardziej niezręczne niż zwykle, kiedy męczyła się n a d obcinaniem moich gęstych zdrowych włosów. To będzie trwało wieki! Tymczasem w kaplicy baśń nie miała końca. Muzyka organowa podtrzymywała nastrój delikatnej świętości, zadając kłam poruszeniu za kulisami. Ktoś, kto miał mocniejsze dłonie i większe nożyczki, przejął o b o w i ą z k i m a j ą c e j trudności wychowawczynie. Kiedy moje włosy zaczęły o p a d a ć na ziemię, coś w e m n i e drgnęło i przypomniał mi się sen, jaki miałam poprzedniej nocy.

Śnił mi się Keith, delikatny zmysłowy Keith, z jego czarnymi kręconymi włosami i życzliwą m ą d r ą twarzą. Chociaż nie znałam nawet wyrażenia „stosunek płciowy”, nie mówiąc już o tym, bym rozumiała, co mogło znaczyć, śniłam, że we mnie wszedł. W tym śnie wchodził jakoś w moje ciało i docierał do serca. Jego obecność odczuwałam tak realistycznie i żywo, i sprawiała mi taką przyjemność, że chciałam, by już zawsze tak było. To skonsumowanie małżeństwa, taka myśl plątała mi się po głowie, wciąż byłam przy tym pogrążona we śnie, w rozkoszy.

Kiedy się obudziłam w ciemnościach, świadoma, że ktoś w d o r m i t o r i u m mógł się przysłuchiwać, zastanawiałam się, czy wciąż m o g ę zostać zakonnica. *Ale to był tylko sen.*

M a t k a Mary Luke, która była moją wychowawczynią w szkole podstawowej, uśmiechnęła się do mnie znacząco na-stępnego ranka, a ja lustrowałam twarz wokół siebie, żeby wypatrzeć dziewczynę, która mogła słyszeć mnie w nocy, i dyszałam ze zdenerwowania. Ale nie miałam wątpliwości co do swojej decyzji, by poświęcić się bez reszty Jezusowi, Bogu Ojcu i Duchowi Ś w i ę t e m u; Trójcy, która zgodnie z wiarą chrze

ścijańską była jednością, ale która niestety dla mnie nie była realna cieleśnie, więc nie potrafiłam nawiązać z nią kontaktu.

Strzyżenie moich włosów trwało i trwało, towarzyszyło mu stękanie i sapnięcia. Nagle przyszła mi do głowy p o s ę p n a myśl, że nigdy nie b ę d ę miała dziecka. Przychodziła jeszcze wielokrotnie w następnych latach i za każdym razem, kiedy dopuściłam do siebie ten smutek, coś zdawało się u m i e r a ć w moim ciele.

W końcu zakonnice dokonały dzieła i nakryły moją nastroszoną głowę czepcem. Weszłyśmy ponownie do kaplicy spowite w ciężkie czarne szaty z serży i w białych czepcach; czułyśmy się przy tym dziwnie i wyglądałyśmy tak nieziemsko, że niektórzy ludzie zalali się łzami.

Kiedy wspinała ceremonia dobiegła końca, pojawiła się moja rodzina, by mi pogratulować. Ojciec przytulił mnie m o c n o i całował w usta, dopóki m a t k a natarczywym szeptem nie zwróciła mu uwagi, żeby przestał. Czując wciąż na wargach jego usta, otworzyłam oczy i zobaczyłam wzburzoną twarz matki. Rozglądała się, by sprawdzić, kto mógł zauwa

żyć tę scenę. W tej dziwnej chwili potajemnego p o r o z u m i e n i a z ojcem poczułam, że wreszcie po wielu koszmarnych p o t a j e m n y c h porozumieniach z przeszłości mój ojciec był ze mnie dumny. W końcu odniosłam sukces! Osiągnięcie córki podnieciło go seksualnie. Nie było to stosowne, ale nie nawykłam do tego, by głęboko się nad czymś zastanawiać. Moje rozpaczliwe pragnienie miłości i aprobaty więziło mnie w p o t a j e m n y m seksualnym porozumieniu z ojcem, o d k ą d miałam trzy lata - chociaż j a k o młoda nowicjuszka nie miałam o tym pojęcia.

W końcu rwetes związany z przyjęciem w sali głównej skończył się i wszyscy poszli do d o m u . Lśniące pasma moich gęstych jasnych włosów - które po tym, jak przez sześć miesięcy trzymane były pod siateczką, b a r d z o przypominały włosy G r a c e Kelly - o d d a n o mojej matce. Schowała te włosy do wykładanego jedwabiem pudełka stojącego koło mojej powiększonej fotografii i często brała je na kolana i płakała.

Kiedy moje młodsze siostry widziały, że płacze, uznawały, że o k r a d ł a m je z matczynego uczucia i że są gorsze. Czują do mnie jednocześnie szacunek i niechęć.

Z o s t a ł a m zakonnica z nie do końca świątobliwych powodów, z których sama nie zdawałam sobie sprawy. Moja towarzyska, finansowa i emocjonalna pozycja w świecie nie m o g ł a b y chyba być mniej obiecująca. Gdybym miała choć o d r o b i n ę pewności siebie, opartej na zdrowej znajomości świata i dobrym zdaniu o sobie, mogłabym stawić czoło przyszłości - ale ja czułam się b a n k r u t e m . Przyłączając się do zakonnicy, robiłam to, co robi polityk, który zadaje się ze sławnymi i potężnymi ludźmi, żeby zadbać o swoją karierę. Bycie oblubienicą Chrystusa daje nie najgorsze powiązania. Bycie oblubienicą Chrystusa w zakonie F C J dawało nawet większe szanse! Ale ja świadoma byłam tylko tego, że poświęcam zwyczajne życie, by podjąć życie w posłuszeństwie. Podziwiano mnie za to i gratulowano mi. Byłam jak niewinny młody żołnierz gotów bez wahania wykonywać rozkazy.

O d k r y ł a m to wiele lat później, p e w n e g o wieczoru w 1992

roku, kiedy dokumentałny film o pewnym młodym żołnierzu sprawił, że wlepiłam oczy w ekran i nie mogłam ich od niego oderwać. Film mówił o Franzu Langu, niemieckim oficerze, który nie mógł nie posłuchać rozkazu swojego przełożonego. Opowiadał, jak absolutna lojalność Franza wobec Fuhrera pozwoliła mu ze spokojem zastrzelić swego wieloletniego przyjaciela Klause, który wstąpił do partii komunistycznej. Klaus stał w szeregu razem z innymi zatrzymanymi komunistami i poznał swego niegdysiejszego kumpla, Franza. Myślał, że będzie mógł wymknąć się bezpiecznie z grupy, ponieważ w straży tylnej szedł Franz. Umarł z kulą Franza w głowie, z niedowierzaniem malującym się na twarzy.

Franz zareagował bez wahania; nie uważał, żeby miał jakiś wybór.

W kilka dni po mojej inicjacji natknęłam się na małą przygnębioną dziewczynkę, która była pierwszy raz w szkole i się zgubiła. Wiedziałam, w którym kierunku powinna pójść. Ukłękłam obok niej, żeby jej to powiedzieć, i przypomniałam sobie o regule milczenia. Smutno mi było, że nie mogę jej pomóc, ale się nie odzwalałam. Tylko wstałam i poszłam swoją drogą, przekonana że wybrałam to co ważniejsze, bo postąpiłam zgodnie z regułą. Potrzeba słuchania rozkazów była mocniejsza niż życzliwość i dużo silniejsza niż zdrowy rozsądek. Dopiero w 1967 roku, na długo po reformach, do jakich nakłaniał papież Jan XXIII, przysł dla mnie ten urok.

Ślubowałam posłuszeństwo na modłę świętego Ignacego Loyoli i jezuitów, których reguła była podstawą reguły mojego zakonu. Nasze przełożone spowijała aura nieomyślności, bardzo podobnie jak papieży. Nie zdawałam sobie wtedy sprawy z dziwnej i mrocznej historii katolickiego kościoła, prowadzonego czasem przez papieży o wątpliwej reputacji i całkowicie światowych ambicjach. Nie wiedziałam również, że zakon jezuitów powstał w odpowiedzi na działalność Lutera, tego arcykrytyka, który wywołał tak powszechny odwrót od kościoła, kiedy ośmielił się publicznie zwrócić uwagę na zinstytucjonalizowaną korupcję. Na tę ignorancję nakładała się moja zależność emocjonalna i niedojrzałość. Do zależno

ści zachęcano nas na każdym kroku. Do młodszych sióstr zwracano się „dziecko”, a my w naturalny sposób mówiłyśmy do naszych przełożonych „matko”.

Byłam teraz siostrą Mary Carla, bo o takie imię prosiłam.

Nie dla mnie święci płci męskiej. Tak wiele moich sióstr pogrzebało jeszcze głębiej swoją kobiecość, przybierając imię mężczyzny.

Surowość w traktowaniu nowicjuszek zwiększyła się drastycznie. Nasze nowe życie zaczęło się na dobre. Listy do rodziców, pisane po holendersku, ale zawsze tłumaczone, dla cenzury, dozwolone były tylko raz w miesiącu, a nie co tydzień. Z łamaniem reguły czy to przez ignorancję, czy nieostrożność radzono sobie z dużo większą srogością. Reprimendy były bardziej upokarzające, a kary ostrzejsze. Pokory często uczono, doprowadzając nowicjuszek do łez. Doświadczone zakonnice były mistrzyniami w rozdieraniu naszych wrażliwych dusz na strzępy.

- Precz mi z oczu! - W taki sposób często powiadaliśmy nam, że zrobiłyśmy coś złego. - Idź i wysprzątaj kuchnię, i pilnuj, żebyś dla odmiany zrobiła coś pożytecznego.

- Co my m a m y o tobie myśleć? Czy jesteś za b a r d z o tępa, by zrozumieć, że reguła to reguła, nawet jeżeli nie masz ochoty się do niej zastosować?

Im więcej reguł poznawałyśmy, tym większe było prawdopodobieństwo niepowodzenia. Zrobiłyśmy się nadwrażliwe, udzielano n a m nagany za to, że się rozejrzałyśmy dookoła, że spóźniłyśmy się o kilka chwil, że szeptałyśmy w kaplicy, że nie wykonałyśmy obowiązków w sposób doskonały, że miałyśmy plamkę albo jakiś kłaczek na obszernych czarnych szatach, że nie wyczyściłyśmy butów do połysku albo że nie zwracałyśmy się do przełożonych z wystarczającą grzecznością.

D o s t a ł a m bicz sztywno spleciony z pięciu sznurków szpagatu, żebym biła się nim po nogach i w ten sposób karała się za pewne przekroczenia, na przykład za spóźnienia. Od biczowania nogi się p o d e m n ą na początku ugiwały, ale w zimie nawet miło je to rozgrzewało. Do końca pobytu w zakonie zatrzymałam ten bicz, znajdował się na mojej normalnej li

ście kar i wykorzystywałam go zwłaszcza po to, by stłumić pragnienia erotyczne. Lista kar obejmowała również klęczenie z wyciągniętymi rękami, dopóki strasznie nie rozboleły mnie ręce i kolana.

C o d z i e n n y m obowiązkiem było o d m a w i a n i e modlitw przed czternastoma stacjami Drogi Krzyżowej. Tam wielbi

łyśmy cierpiącego, umierającego i u m a r ł e g o Jezusa. Każdy z wykonanych na świecie miliardów krzyży z udręczonym ciałem Jezusa jest świadectwem tego uwielbienia dla cierpienia.

### *Zezwolenia ogólne*

- 1. Na korzystanie z habitu, różańca, mszału, Nowego Testamentu, „Naśladowania Chrystusa”, świętych obrazków.*
- 2. Na korzystanie z notesów i papeterii.*
- 3. Na korzystanie z przyborów do szycia.*
- 4. Na korzystanie z przyborów toaletowych.*
- 5. Na pożyczanie drobnych przedmiotów, jeśli zajdzie konieczność.*
- 6. Na dokonywanie drobnych uczynków miłosiernych.*
- 7. Na zeszytanie czegoś w razie konieczności w dormitorium.*
- 8. Na odezwanie się, jeżeli wymaga tego miłosierdzie, uprzejmość albo moja praca.*
- 9. Na napicie się przed medytacją.*

### *Inne zezwolenia*

*Na korzystanie z maszyny do szycia.*

*Na korzystanie z żelazka.*

*Na korzystanie z froterki w dormitorium i skrzydle.*

*Na korzystanie z publikacji encyklopedycznych.*

*Na wchodzenie do kuchni z obowiązku albo na późny posiłek.*

*Na wpisanie do księgi w magazynie bielizny prośby o tobolek i materiały potrzebne do naprawy.*

~~*Na wpisanie do księgi w magazynie prośby o materiały potrzebne przy opiece nad dziećmi w refektarzu i na terenie.*~~

*Na korzystanie z 2 bawełnianych podkoszulków na tydzień albo na zmianę bawełnianego pod wełnianym zimą raz na tydzień.*

*Na napicie się albo o 2:30, albo o 5:30 po południu i tuż przed snem.*

*Na korzystanie z kremu do rąk i kremu na reumatyzm.*

Tygodnie poprzedzające Boże Narodzenie i Wielkanoc były okresami, kiedy własnoręcznie wymierzałyśmy sobie dodatkowe kary. Twórczo myślałyśmy, jaką by zadać sobie p o k u t ę, i przedstawiałyśmy ją przełożonej, by zyskała jej błogosławieństwo, a p o t e m zapisywałyśmy w małym notesiku, noszącym nazwę Zeszytu Zezwoleń. Nabrałyśmy zwyczaju, żeby jeść chleb bez masła, pić h e r b a t ę bez cukru czy mleka, dodając do niej zamiast tego soli, i obywać się bez soli i pieprzu w jedzeniu, jak również bez wody.

M e l b o u r n e nie cieszy się w lecie dobrą sławą, bo warstwy powietrza układają się tam w taki sposób, że noc nie przynosi żadnej ulgi po gorącym i wilgotnym dniu. W moim szczelnie dopasowanym czarnym wełnianym czepcu było mi tak gorąco, że zataczałam się i niemal mdlałam. Pot plamił nak r o c h m a l o n e białe p ł ó t n o okalające moją twarz i ciągle mnie od niego swędziała głowa. Nawet oddychać było t r u d n o p o d tymi wszystkimi warstwami czarnej serży na

koszuli i pończochach. Wyobraźcie sobie, że w takich okolicznościach trzeba się obyć bez wody, bo taka jest kara. Jednym z możliwych do przewidzenia rezultatów było to, że moja okrężnica literalnie wyschła (nie żebym wtedy wiedziała, czym jest okrężnica i gdzie ją ma m a m ). Nie wiązałam braku wody z nieustępliwymi zaparciami, na które cierpiałam.

Pewnego bardzo gorącego dnia pozwolono n a m się ochłodzić i wziąć dodatkowy prysznic. Było to lato 1959 roku, najgorętsze od pięćdziesięciu lat, i całymi dniami panowała temp e r a t u r a 40 stopni. N o r m a l n i e kąpałyśmy się albo brałyśmy prysznic tylko raz na tydzień ( u b r a n e w koszule, żebyśmy nie mogły zobaczyć własnych ciał); p o z a tym myłyśmy się w miednicach z zimną w o d ą r a n o i gorącą wodą wieczorem, tak że ten dodatkowy prysznic stanowił wyjątkowe ustępstwo. Szkoda tylko, że musiałyśmy z p o w r o t e m założyć przep o c o n ą bieliznę i czarną serżę. To w połowie tego lata zmieniono n a m wreszcie habity na kremowobiałe.

W lecie często zdarzało się, że zasypiałyśmy z czystego wyczerpania. Do łóżka zakładałyśmy koszule i czepeczki. Na szafce przy łóżku stała miednica wody do porannych ablucji oraz szklanka wody do mycia zębów. Ta szklanka wody wywoływała u mnie halucynacje, budziłam się po kilka razy w nocy i stwierdzałam, że ręka sama pełźnie mi w jej kierunku. Ale miałam żelazną wolę, więc raz za razem odnosiłam zwycięstwo przy odprawianiu pokuty polegającej na pozbawieniu wody.

Przez dziesięć lat nie miałam normalnego wypróżnienia z powodu odwodnienia. Nigdy nie znosiłam toalet. Jeszcze w Holandii często wołałam zatrzymać to, co chciało się wydostać, niż p o d d a ć się nieznośnej torturze, jaką było chodzenie do przenośnej toalety. W G e n a z z a n o toalety robiły odpychające wrażenie z innych powodów. Z b u d o w a n o je po sześć w rzędzie na zwykłej cementowej podłodze i miały rozklekotane drewniane drzwiczki, zamykane na dużą metalową zasuwkę. Drzwi p o m a l o w a n e były na trawiastzielony kolor, dosyć nawet stosownie, jako że znajdowały się na świeżym powietrzu. Po całym pomieszczeniu hulały przenikliwe wiatry, a zimowe deszcze M e l b o u r n e rozpryskiwały się wokół

naszych stóp, kiedy szłyśmy t a m i z powrotem. Korzystanie ze staroświeckich łańcuszków do spuszczenia wody było również osobliwie beznadziejnym doświadczeniem. U n i k a ł a m tego wszystkiego i zapłaciłam za to wysoką cenę.

Jeszcze zanim wstąpiłam do klasztoru, brałam od czasu do czasu środki przeczyszczające, a teraz stało się to codzienną koniecznością. Czasami środki te nie działały i wtedy przychodzi

ła pora na korę z szakłaka, rośliny, której nie potrafią oprzeć się żadne wnętrzości. Dostawałam od niego okropnych skurczów żołądka, a potem musiałam oddalać się biegiem; siostra Victoire, która dawała mi napar, łagodnie się ze mnie śmiała.

Siostra Victoire. Przy każdym z medycznych kryzysów, jakie mi się przez lata zdarzyły, jej uśmiech i cichy chichot często podnosiły mnie na duchu. Warto było zachorować, żeby zwrócić na siebie uwagę siostry Victoire. Od czasu do czasu zdarzało mi się to, dostawałam temperatury i skarżyłam się przez kilka dni na ból gardła, żebym mogła położyć się na specjalnym łóżku w infirmerii, dawnym salonie o wysokim suficie, wykorzystywanym przy innych okazjach jako pokój muzyczny. Po jednej stronie miał piękne wysokie okna i był



dużo bardziej przytulny niż dormitorium. Siostra Victoire przygotowywała mieszankę z miodu i cytryny i doprawiała ją swoim nieodmiennie dobrym h u m o r e m i życzliwą naturą.

Zawsze było mi szkoda, kiedy robiło mi się lepiej i wracałam do n o r m a l n e g o życia.

Wielki Post dobiega! końca, dzieci pojechały do d o m u na ferie wielkanocne, a my wszystkie krzątałyśmy się, żeby wszędzie było wyjątkowo czysto i odświeżone. Siostra Victoire miała pod swoją opieką kwiaty do kaplicy i nauczyła mnie, jak przedłużyć życie hortensjom i gladiolom, miażdżąc ich łodygi i zanurzając je we wrzątku. Mój ojciec hodował kwiaty do kaplicy na specjalnej grządce w pobliżu szkoły. Nigdy ich nie brakowało. Piękne kompozycje były na porządku dziennym, a w dni wyjątkowo uroczyste ołtarz tonął w kwiatach elegancko ułożonych w wazonach.

W Wielki Piątek sprzątałam właśnie korytarze, wcześniej wyfroterowałam już pięknie do połysku podłogi elektryczną froterką, a teraz polerowałam mosiężne klamki na każdych drzwiach po drodze, kiedy zza rogu z okolic gabinetu matki prowincjonalnej dobiegł mnie jakiś wstrząsający odgłos.

Przystanąłam w pół kroku, żeby posłuchać i rozeznąć się, co się dzieje.

Zza rogu podtrzymywana przez rosłą wielebną m a t k ę wychyła pomarszczona stara matka prowincjonalna. Miała wtedy m o ż e z osiemdziesiąt pięć lat i ledwo trzymała się na nogach. Zachowywała się okropnie hałaśliwie, zawodziła na cały głos i lamentowała nad smutkiem Maryi Dziewicy u stóp krzyża, przez cały czas obracając w palcach różaniec. Człapa

ła korytarzem, a kiedy znalazła się bliżej, rozpoznałam słowa:

- Święta M a t k a Boża, jakże o n a musiała cierpieć! Widząc, że z takim okrucieństwem traktują jej Syna, Jezusa! Święta M a t k a Boża!

Ta starucha niemal przez całe życie przestrzegała ślubu milczenia, a teraz robiła z siebie pośmiewisko. Nie o d e b r a ł a m tego jako szczerzej duchowej empatii wobec Matki Boskiej; wręcz przeciwnie, uważałam, że to jej przedstawienie trąci najpaskudniejszym dążeniem do zwrócenia na siebie uwagi, typowym dla podeszłego wieku i w niczym nie lepszym od dziecięcego. Stałam w milczeniu, trzymając prosto m o p , kiedy obydwie przechodziły do kaplicy, a tam rwetes ucichł.

Zastanawiałam się, czy to miała być demonstracja wielkiej pobożności? Jako sumienna nowicjuszka powinnam była darzyć szacunkiem osoby starsze, ale nie potrafiłam kontrolować swoich myśli. Ta stara nietoperzyca po prostu próbowała n a m wszystkim zaimponować swoją wyjątkową świątobliwość

ścią. Przedstawienie mnie nie przekonało. M a t k a prowincjonalna była słaba, to prawda, ale zawsze okazywała się wystarczająco zdecydowana, żeby ingerować w każdą sprawę, o której przypadkiem usłyszała. Jej tytuł stał się tytułem honorowym, od kiedy nie była już w stanie działać jako przeło

żona prowincji; wszyscy wyczuwali, że mogłaby popaść w poważny kryzys tożsamości, gdyby całkowicie o d e b r a ć jej tę funkcję.

Później tego samego dnia matka prowincjonalna uparła się, że uklęknie na podłodze w refektarzu i będzie jadła po siłek z krzesła. I znowu zrobiło się niezłe zamieszanie, bo wszyscy próbowali się dowiedzieć, czego jej potrzeba:

- Soli?

- Nie.

- Pieprzu? Wody? Masła? Za dużo ziemniaków, prawda?

- Może zamiast tego więcej groszku?

- Och, upuściła matka widelec, proszę pozwolić, ja go matce podniosę...

Nie mogłabym już bardziej pogardzać tą starą zakonnica.

Nawet jej wieloletnia kumpelka, wielebna matka, zatroskana początkowo o stare kolana na nagiej zimnej podłodze, przestała reagować i siedziała w milczeniu ze spuszczonej oczami, kiedy wokół niej trwał ten cyrk. Nie zawstydziłam się nawet, kiedy poczułam zadwoleń, gdy prowincjonalna wreszcie umarła i przestała nas raczyć swoimi niekończącymi się banałami.

Próbowałam być jak najlepszą nowicjuską. Doprowadza

łam sale do takiego wyglądu, jakby ich nikt nigdy nie używał, podłogi na korytarzach lśniły po moim pastowaniu, froterowaniu i zmywaniu. Niemniej jednak dręczył mnie powtarzający się koszmar, że zapomniałam posprzątać korytarze. Kurzu i śladów od butów było coraz więcej i wszyscy wiedzieli, że to siostra Mary Carla opuściła się w pracy. Jak to możliwe, żeby robić coś codziennie, a potem nagle zapomnieć to zrobić? Było w tym coś z samospełniającej się przepowiedni. Im bardziej się tego obawiałam, tym większe było ryzyko, że tak się stanie.

I przyszedł wreszcie dzień, kiedy odkryłam na moich korytarzach mnóstwo kurzu i uświadomiłam sobie ze zgrozą, że od wielu dni nie wypełniałam swoich obowiązków! Nikt mi słowa nie powiedział. Przełknęłam to z trudem. Muszę to jakoś ukryć! W pierwszej wolnej chwili chwyciłam dwa wielkie mopy i awaryjnie przejechałam nimi podłogę. Czułam, że kark pali mnie ze wstydu. Ramiona mi zeszywniały od nadmiernej napięcia, które zmuszało mnie do jak najszybszej pracy.

Kiedy patrzę z perspektywy czasu, wszystko to wydaje mi się częścią jakiegoś snu. Siostra Kevin, kiedy spotkałam się z nią po latach, zapewniła mnie, że kiedy to ja sprzątałam, nigdy nie było na korytarzach żadnego kurzu.

- Mogę za to ręczyć - powiedziała; a jeżeli ktokolwiek mógł ręczyć, to na pewno siostra Kevin, która zarządzała wszystkimi pracami porządkowymi i była bardzo wymagająca.

•••

Matka Patricia przywołała mnie do siebie. Zbliżał się dzień, kiedy miałam opuścić nowicjat.

- Czas już, by nowa postulantka przejęła twoją pracę na salach, siostró. Czy byłabyś tak uprzejma i pokazała siostrze Catherine, jak to się robi?

- Tak, m a t k o , oczywiście.

Kończył się mój status królowej podłóg.

Catherine była wrażliwą dziewczyną, muzykiem, i nawet bardziej niż ja paliła się, by „zrobić to jak należy”. Rozpozna

łam w jej wielkich niewinnych oczach, w jej pociągłej twarzy z głębokimi bruzdami, które już wyryły się po obu stronach ust. O t o b e z b r o n n e stworzenie, które miało dostać wszystko, o co się chyba prosiło. Nie zamierzałam z rozmysłem być okrutna, ale twarz C a t h e r i n e po prostu zachęcała do tego.

Poza tym kto miałby siłą wdrzeć się do mojego królestwa?

Tak łatwo było wdać się w małostkowe rozgrywki w tej wylęgarni miernych osobowości. Ślubowałyśmy, że będziemy bardziej świątobliwe niż reszta ludzkości, a p o t e m maltretowały

śmy się wzajemnie, chociaż nie wprost.

Z a p o z n a ł a m siostrę C a t h e r i n e z rutynowymi czynnościami i pokazałam, co powinna robić, jeżeli podczas sprzątanía pojawi się jakiś gość. Niby nic wielkiego, ale słowa nie dałam jej na piśmie, a ona wydawała się mieć wątpliwości, czy zdo

ła zapamiętać szczegóły. Gdyby nie była z niej taka ofiara, sama mogłaby to sobie zapisać. Ale nie zapisała; tylko jak głuptasek miotała się po mojej dającej niegdyś tyle komfortu psychicznego strefie i zalewała się łzami. Catherine pochodziła z szanowanej i zamożnej rodziny, przez co jej przygnębienie wydawało mi się jeszcze bardziej nielogiczne. M a ł o p r a w d o p o d o b n e , by ojciec ją kiedyś bił, p r a w d a ? Przez myśl mi nawet nie przeszło, że jeżeli Catherine tak się zachowywa

ła, mogła być maltretowana na inne sposoby.

Wychowawczynie nowicjuszek z zasznurowanymi ustami odwołała mnie na stronę w związku z moim brakiem chęci do współpracy. Uklękałam jak należy obok jej krzesła i wysłucha

łam, co ma do powiedzenia.

- Siostró M a r i o Carlo - rzekła, spoglądając nawet życzliwie znad swego niekończącego się szycia - siostra Catherine nie radzi sobie najlepiej ze swoim nowym zadaniem. Powiedziała mi, że udzieliłaś jej niezbyt wyraźnych wskazówek. Czy zechciałabyś okazać się bardziej p o m o c n a ?

A więc C a t h e r i n e wpadła w panikę i to ja byłam winna jej przygnębieniu! Spuściłam wzrok i z trudem o p a n o w a ł a m uśmiech. Wydawało mi się niedorzeczne, żeby zmartwienie C a t h e r i n e było takie ważne, i nie potrafiłam zdobyć się na współczucie.

- M a t k o - powiedziałam - pokazałam jej, co jest do zrobienia, i wszystko jej o tym powiedziałam. To przecież nic wielkiego. - Z g o d n i e z oczekiwaniami m a t k a nie odpowiedziała na moje słowa i pozwoliła mi odejść.

Koniec końców błogi uśmiech wrócił znowu na twarz Catherine. Jak ja nienawidziłam jej tragicznie świętoszkowate-go zachowania! Wyraz twarzy miała taki, że serce się ścisza

ło, po prostu błagała swoją miną, by nie dawać jej żadnych prac poza grą na fortepianie. A teraz opanowała odkurzanie korytarzy i froterowanie podłóg - prosta sprawa. Pogardza

łam nią za to, że była rozpieszczanym dzieckiem, które nigdy w życiu nie musiało niczego sprzątać i które ugięło się pod wyzwaniem będącym dla mnie czymś tak prostym. W końcu j e d n a k t o C a t h e r i n e została, a ja odeszłam. Ale raczej już nigdy nie brudziła sobie rączek i nadal uczy muzyki.

Czasami zdarzały się sytuacje, które zakłócały codzienną rutynę, a wtedy my, nowicjuszeki, musiałyśmy wypełniać niespodziewanie powstałe luki. Taki właśnie kryzys przydarzył

się pewnego ranka: żadna z zakonnice nie mogła poprowadzić apelu dla dziewcząt w przylegającej do G r a n g e Hill szkole podstawowej. W tym akurat m o m e n c i e byłam pod ręką i p o proszono m n i e , żebym prowadziła apel na otwartym placu, dopóki nie przyjdzie ktoś, żeby mnie zmienić. Nie miałam pojęcia, jak to zrobić, wiedziałam tylko, że muszę trzymać wszystkich w ryzach. Przypuszczam, że nie zaszkodziłoby, gdybyśmy trochę postąły na spocznij, ale przyłapałam się na tym, że wpatruję się w dziewczynki z p o s ę p n ą determinacją, wywołaną przerażeniem, że przypadkiem któraś się poruszy i nie b ę d ę w stanie nad nimi zapanować. Jak się okazało, żadna słowem się nie odezwała, pozwalały sobie tylko na niespokojne oddechy. Zastępczyni wychowawczynie pokazała się w końcu, uśmiechnęła się, rozpraszając nieco napięcie, i pozwoliła mi się ulotnić.

My, zakonnice, okazywałyśmy wyjątkowe o d d a n i e księ

żom, a zwłaszcza miejscowemu biskupowi i arcybiskupowi.

Przez całe wieki kobiety w zakonach uważały siebie za coś gorszego od księży, a po tym, jak w 1917 roku w p r o w a d z o n o poprawki do prawa kanonicznego, to nastawienie jeszcze bardziej się ugruntowało. Nie tylko uważano zakonnice za mniej inteligentne od księży, zakładano również, że są takie nieśmiałe. Najgorsze j e d n a k było to, że mogły zostać uznane za zagrożenie dla celibatu księdza. Tak więc, co prawda, zakonnicom wolno było czcić księży i skakać koło nich, ale musiały uważać, żeby nie przekroczyć pewnej dopuszczalnej granicy w sposób, który mógłby zostać źle zrozumiany.

Arcybiskup Mannix, który później został kardynałem i silnie przyczynił się do zachowania konserwatywnego sposobu myślenia w katolicyzmie, rezydował w Kew. Zaprosiłyśmy go, by w swoje dziewięćdziesiąte piąte urodziny odwiedził G e -

nazzano, klasztor na przedmieściach swego d o m u . Ku pełnemu zgrozy zachwytwi naszej społeczności czcigodny starzec przyjął zaproszenie, więc naturalnie należało obmyślić, jak go

ugościć. Był Irlandczykiem, niewykluczone, że z hrabstwa Londonderry, i miał na imię Daniel, a to p o d s u n ę ł o grupce Irlandek pośród nas niecny pomysł, by zaśpiewać mu piosenkę „Danny Boy”.

M o c n o siwiejący arcybiskup nie pokazywał nic po sobie, kiedy siedział i słuchał słów tej sentymentalnej piosenki miłosnej, banalnej, ale wyszlifowanej do połysku jak pens prosto z mennicy dzięki zdolnościom muzycznym i zapałowi dobrze wyćwiczonego chóru. Przyglądałyśmy się jego beznamiętnej twarzy. Tą piosenką chciałyśmy przekazać mu naszą lojalność i wdzięczność; czy pozwoliłyśmy sobie na zbyt dużą poufa

łość? Daniel Mannix trzymał w prawej dłoni pastorał, a kiedy podparł się nim, by wstać i n a m podziękować, nasze wspaniałe wyszkolone oczy wypatrzyły cień uśmiechu na jego ustach.

Westchnienie ulgi, które rozeszło się wśród nas, słychać było niemal na całej sali.

Przez cały ten czas w odległości stu metrów o d e mnie życie w moim rodzinnym d o m u biegło swoim torem. W chacie za cyprysowym żywopłotem m a t k a w wieku czterdziestu czterech lat była w ciąży po raz dwunasty. To był niespokojny okres; świętemu Gerardowi, patronowi m a t e k w stanie błogosławionym (zapomniałam z jakiego p o w o d u ) , obiecano, że jeżeli wszystko pójdzie dobrze, dziecko będzie nosiło jego imię. I tak się stało, a mój braciszek Gary, znany później jako Gazza, stał się rozpuszczonym dzieciakiem. J a k o dorosły podjął nieodwołalną decyzję, że nigdy nie będzie miał własnych dzieci.

Współczułam mojemu braciszce, kiedy pewnego dnia czepiał się ręki taty, wlokąc za sobą króciutkie zmęczone nóżki. Tato spalił właśnie w piecu szczura. Twarz Gary'ego była czerwona z gorąca, umysł miał chyba pochłonięty tym, co się stało ze szczurem - paskudnym stworzeniem dla d o r o s ł e g o , ale dla dziecka po prostu zwierzęciem.

Po splendorze, jaki towarzyszył wstąpieniu do nowicjatu, ceremonia przyjęcia na siebie pierwszych zobowiązań przy składaniu potrójnych ślubów ubóstwa, czystości i posłuszeństwa w dwa lata później, okazała się wydarzeniem prostym i skromnym. Ponownie wypowiadałyśmy słowa przysięgi przed miejscowym biskupem w kaplicy, ale tym razem jako świadkowie o b e c n e były tylko moje zakonne siostry. O k r e s nowicjatu dawał czas na zapoznanie się z regułą zakonu, dwa lata na podjęcie decyzji, czy n a p r a w d ę całe swoje życie chcę spędzić w zakonie. Miałam prawie dwadzieścia j e d e n lat i przyzwyczaiałam się do tego trybu życia; teraz wszystko inne wydawało mi się niewyobrażalne. Szczerze kochałam Boga i poczucie wspólnoty w naszej społeczności.

Tak więc w b a r d z o zwykły zimowy dzień, kiedy czarna ser-

za była mile widzianym okryciem, wymieniłam biały czepiec i welon na czarne, otrzymałam duży różaniec, który miałam zawiesić u pasa, oraz krzyż umierającego Jezusa. M ę k a Pańska połączona z poświęceniem Carli. Dwa cierpienia, żeby lepiej zbawić ten świat.

Anglia

M a d a m e de Bonnault d ' H o u e t była wdową, kiedy założy

ła Z g r o m a d z e n i e Wiernych Towarzyszek Jezusa, a po jej śmierci jej stronniczki ubierały się nadal tak jak ona, by oddać tym samym hołd wielkiemu duchowi swej nauczycielki i pokazać, że zobowiązują się podążać za jej przykładem. Poza tym dzięki t e m u strojowi wyróżniały się spośród innych.

Tak więc w latach sześćdziesiątych wyglądałyśmy dokładnie tak s a m o jak nasza francuska założycielka na początku dziewiętnastego wieku, nie brakowało n a m nawet czepka z riuszką i długiego spiczastego szala. Ż e b y staroświeckość naszego stroju była autentyczna, nosiłyśmy białe bawełniane staniki zamiast biustonoszy, a na nich białe bawełniane szale, które krzyżowały się dwukrotnie na naszych piersiach, tworząc na tyle grubą warstwę, że nie było widać sutków. Nasza założycielka n a p r a w d ę była nowatorką i sporo wyprzedzała swoją e p o k ę . Naśladowczyniom m a d a m e udało się natomiast zachować bez zmian jej sposób życia i ubierana, jakby to był jakiś absolut.

Chociaż złożyłyśmy już śluby pierwszej profesji, nie miały

śmy być uważane za p e ł n o p r a w n e zakonnice, dopóki nie skończą się dwa n a s t ę p n e okresy probacji, z których każdy trwał dwa lata. Takie surowe zasady pozwalały zyskać pewność co do charakteru zakonnicy, zanim złoży o n a śluby wieczyste i nie będzie już m o ż n a jej wyrzucić.

Nasi przełożeni (którzy nigdy nie konsultowali z nami swoich postanowień) podjęli decyzję, że niektóre z nowicjuszek pójdą po ślubach na Uniwersytet L a t r o b e w M e l b o u r n e , a sześć z nas, mieszana grupa zakonnicy świeżo po ślubach oraz starszych, zostanie wysłanych do M a n c h e s t e r w Anglii do należącego do zakonu college'u kształcącego nauczycielki. Ponieważ nie ukończyłam ostatniej klasy szkoły średniej, nie byłam m a t e r i a ł e m nadającym się na uniwersytet, i zosta

łam wysłana do college'u.

Miałyśmy t a m popłynąć statkiem. Potrzebne były fotografie do paszportów i fotograf przyszedł do klasztoru. Ja wciąż miałam paszport holenderski, ponieważ wyprowadziłam się z d o m u , zanim moja rodzina uzyskała obywatelstwo australijskie w 1958 roku, w rok po tym jak wstąpiłam do klasztoru.

W ramach przygotowań wysłano mnie do lekarza, żeby zbadał mi słuch. Towarzyszyła mi matka Mary Luke, niegdysiejsza dyrektorka mojej szkoły podstawowej, ta z ironicznym uśmiechem i wiecznie zaferowana, oraz jeszcze jedna zakonnica. Nie skarżyłam się nigdy na uszy; to inni skarżyli się, że chyba nie słyszę, co się do mnie mówi. Często zbyt głęboko się zamyślałam, a to nie jest najlepszy pomysł, jeżeli ktoś akurat wetknie głowę do pokoju, by coś zniecka oznajmić. Wielokrotnie zauważano, że nie do końca poprawnie wykonuję polecenia albo rozumiem je nieco niezgodnie z ich intencją, i bez wątplenia działało to niektórym zakonnicom na nerwy.

Lekarz miał nie tylko zbadać mi uszy - mógł to zrobić podczas każdej wizyty w klasztorze - ale polecono mu, by je przepłukał. Zastosował się do polecenia niechętnie, bo jego zdaniem moje uszy nie były b r u d n e , a już na p e w n o nie były tak zapchane, żeby nie docierały do mnie dźwięki. Podczas zabiegu zauważyłam ukradkowe uśmiechy moich dwóch towarzyszek i zrozumiałam: odgrywały k o m e d i ę , to była wysoce żenująca kara, która w założeniu miała nauczyć mnie

słuchać! Westchnęłam skonsternowana. Ł a t w o było mnie wprawić w zażenowanie, ale o n e same siebie poniżyły, uciekając się do takiej podłości, by wbić mi coś do głowy. W drodze powrotnej do tramwaju słowa na ten temat nie powiedziałyśmy.

Miałyśmy popłynąć do Anglii na statku P & O „Oriana”.

Opiekować się nami miała wielebna m a t k a Winifred - ta z uśmiechem jak Kot z Cheshire, która żywiła do mnie szczególną antypatię i która miała bzika na punkcie przepisów.

Ale nawet o n a nie zamierzała gasić podniecenia, jakie ogarnęło całą naszą szóstkę na myśl, że będziemy płynąć przez wielki otwarty ocean. A ja miałam wracać drogą, którą już kiedyś przebyłam jako dziecko, przed dziewięciu laty, podczas emigracji do Australii.

Orkiestra grała wesołego marsza, kiedy w południe statek odbijał powoli od nabrzeża, a my zbiłyśmy się w g r o m a d k ę , by pomodlić się o bezpieczeństwo dla nas i naszych współtowarzyszy podróży. Ta pięciodniowa p o d r ó ż miała być niezłą przygodą, chociaż nasze kontakty z innymi pasażerami były ograniczone lub żadne.

Miałyśmy dla siebie dwie duże kabiny na pokładzie D; ja dzieliłam kabinę z trzema innymi siostrami i spałam na górnej koi. Podłoga pokryta była grubym dywanem, iluminator zasłonięty pięknie kordonkiem, mydło na statku stanowiło miłą o d m i a n ę po zwyczajnym żółtym Velvet, do którego by

łyśmy przyzwyczajone. Reguła milczenia została złagodzona, więc mogłyśmy rozmawiać ze sobą o tym, co widzimy, ale nie do tego stopnia, żeby wolno n a m było porozumiewać się z pasażerami. Dysponowałyśmy m a p ą , więc mogłyśmy rozpoznawać wyspy i miejsca, które mijałyśmy.

Na pokładzie znajdowało się czterech księży, którzy odprawiali razem co rano mszę; uczestniczyło w niej gdzieś z tuzin pasażerów. My, zakonnice, przygotowywałyśmy ołtarz i prasowałyśmy szaty dla księży. Na najstarszym z księży, który zajmował centralną pozycję przy ołtarzu, trzeba je było upinać, bo wszystkie miały rozmiar X L , a on był szczupły.

Miałyśmy jadalnię dla siebie, a obsługiwał nas kelner, niski młody człowiek, któremu oczy na wierzch wychodziły na nedorzeczne rozmowy zakonnice. Wydaje mi się, że zadało to druzgocący cios jego katolickim wyobrażeniom o zakonnicach, ich rzekomym opanowaniu i inteligencji. Uwierzyć nie mógł w naszą niefrasobliwą zdolność do zamawiania potraw, o których nie miałyśmy pojęcia. Niemal nigdy nie zasięgały

śmy jego rady w sprawie znaczenia słów na obszernym m e n u , dzięki czemu dokonywałyśmy najdziwniejszych wyborów.

- Gorgonzola - co za interesująca nazwa. M o ż e zamówimy sobie trochę? Wszystkie się zgadzają?

Nasz młodziutki kelner wznosił oczy do nieba i przestępował z nogi na nogę, d a r e m n i e usiłując dać n a m do zrozumienia, że nie jest to mądry wybór dla niewtajemniczonych, ale musiał otrzymać zalecenie, by się do nas nie odzywał, a już w żadnym razie n a m się nie przeciwstawiał.

Pojawiła się gorgonzola, przyjrzałyśmy się dziwacznie wyglądającemu serowi.

- Dlaczego on ma takie niebieskie żyłki? - Którejś z nas starczyło rozumu, by o to zapytać.

Naszemu młodemu asystentowi język się wreszcie rozwiązał.

- To te pleśniowe robaczki - zaczął z entuzjazmem. - On e pełzną przez ser, a właściwie przegryzają się przez niego.

M n o ż ą się po drodze i... i... - zawahał się, jakby rozważając, czy nas o tym poinformować, czy nie, i musiał chyba dojść do wniosku, że ma obowiązek powiedzieć n a m prawdę jak najbardziej uprzejmym językiem. - Poza tym po drodze o n e również *defekują*. To właśnie to nadaje serowi jego wyjątkowy smak - dodał pospiesznie. Opis okazał się na tyle dobry, że ser odesłałyśmy do kuchni.

Podczas podróży pogoda była bardzo zmienna, a to budzi

ło we mnie wiele wspomnień. Po parnym dniu w C o l o m b o , kiedy wypływaliśmy na morze, zaczęła się potężna burza. Olbrzymie błyskawice rozjaśniały ciemne chmury pokrywające całe niebo, po czym natychmiast rozlegały się ogłuszające grzmoty. Przyglądałyśmy się, jak błyskawica zmienia się w piorun kulisty, który natychmiast poleciał w naszą stronę.

U p a d ł w wodę w niewielkiej odległości, sycząc i parując, jakby był zły, że nie udało mu się trafić w statek.

- Niewiele brakowało - mówili ze zgrozą pasażerowie.

N o c przyniosła następną burzę z wyładowaniami, które zniszczyły a n t e n ę . Straszny huk, a p o t e m dziwny p o d m u c h wiatru kazał n a m uwierzyć, że statek płonie. Niemal płakały

śmy ze szczęścia, kiedy dowiedziałyśmy się, że wcale nie, a p o t e m tak m o c n o spałyśmy, że prawie spóźniłyśmy się na śniadanie.

I znowu znalazłam się w tym samym porcie, w którym przed dziewięciu laty młody Egipcjanin uzupełniał zapas paliwa na statku przesiedleńców. Tym razem, kiedy na krótko zeszyliśmy z liniowca, żeby przespacerować się po kei, zwróciłam uwagę na ubóstwo ludzi. Uderzyło mnie j e d n a k to, że byli radośni i żywo reagowali na życzliwość. Po powrocie na pokład z zaskoczeniem zauważyłyśmy, że do kabiny zagląda czyjaś ciemna twarz, i postanowiłyśmy zasunąć firanki na ilu-minatorze.

Statek sunął majestatycznie przez Kanał Sueski. To była taka rozkosz - dorosłymi oczami patrzeć na ten obcy i zdumiewający świat, który kiedyś ukazał się oczom dziecka. Nasz konwój ośmiu statków opłynął zakręt i kiedy obejrzelśmy się za siebie, widzieliśmy wszystkie podążające za „ O r i a n ą ”

statki, sunące dostojnie i precyzyjnie, jakby należały do floty Nelsona.

A p o t e m na pełnym morzu trafiliśmy na równikową strefę flauty. Nie wiedzieć czemu określenie to skojarzyło mi się z chandrą, z uczuciem t ę p e g o niepokoju i niezdecydowania, czymś w rodzaju depresji, ale kiedy rozmawiano o tej „flau-cie”, zorientowałam się, że musi to być jakiś termin



morski.

Po lunchu popisałam się typowym przykładem naiwnej ignorancji, której tak nienawidziła we mnie przełożona. Wszystkie wpatrywałyśmy się w wodę, szukając w niej - jak zakłada

łam - tych „flaut”. Minęła chwila i musiałam się przyznać, że nie potrafię ich wypatrzeć.

- Czy ktoś mógłby mi, proszę, te flauty pokazać?

M a t k a Winifred poczuła się obrażona, p r a w d o p o d o b n i e podejrzewała, że robię z niej balona. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że moja ignorancja m o ż e być szczerą.

- Flauta to strefa ciszy, spokojnej wody, dawnym żeglarzom często zdarzało się u t k n ą ć w takiej strefie, bo nie było wiatru, który popychałby żagle - wyjaśniła j e d n a z pozosta

łych zakonnice. Tę informację z a p a m i ę t a m na zawsze!

Codziennie chodziłyśmy na spacer długości półtora kilometra - siedem razy n a o k o ł o pokładu. Ani razu nie miałam choroby morskiej.

Dopłynęliśmy do Francji w Wielkanoc, było b a r d z o zimno.

Operatorzy dźwigów nie mieli świątecznego nastroju i nie reagowali, kiedy próbowaliśmy ich rozweselić miłymi uśmiechami.

Do S o u t h a m p t o n przybiliśmy o piątej trzydziści r a n o 27 marca 1960 roku, w typowy deszczowy dzień, który gasił

wszystkie kolory. Droga przez port roiła się od szarych budynków przemysłowych i przygnębiającej maszynierii. Na kei czekała na nas o b r o t n a siostra, której zadaniem było przeprowadzić prowincjuszkę przez zgiełk i zamęt wielkiego miasta do bezpiecznego schronienia za m u r a m i klasztoru w Londynie.

Kiedy bagaże przeszły już przez kontrolę celną, zostały załadowane do pociągu. Nasza opiekunka dźwignęła walizy, których dźwigania odmówił tragarz - zbudowana była jak dwóch tragarzy, a ciężkiego bagażu było dużo. Istniała więcej niż pięćdziesięcioprocentowa szansa, że o czymś zapomnimy.

- O d m ó w c i e króciutką modlitwę za bezpieczeństwo naszego bagażu - poleciła wielebna matka najwyraźniej natchniona przecuciem. Minęła tylko chwilka, a usłyszałyśmy nazwisko „siostra R a a y ” dochodzące z działu bagażowego.

Już miałyśmy pójść dowiedzieć się, o co chodzi, kiedy jakiś spostrzegawczy i pełen zrozumienia tragarz wytknął głowę przez o k n o w pobliżu i oznajmił:

- Siostró Raay, siostry bagaż znaleziono na podłodze w kabinie statku, ale teraz załadowano go już na pociąg.

Czy ja n a p r a w d ę zostawiłam walizkę w kabinie? Dzięki Bogu została znaleziona przez tego życzliwego bagażowego i była teraz bezpieczna. Pewnie Bóg nas wysłuchał, bo p o m o dliłyśmy się w samą p o r ę . Bagażowy nie czekał na napiwek, tylko szybko cofnął głowę.

W pociągu było dosyć tłoczno. Tuż za naszymi plecami jakaś kobieta bez przerwy i b a r d z o hałaśliwie paplała. Spróbowałam znowu tej sztuczki z modlitwą i znowu się udało: istny cud, bo kobieta powiedziała:

- Chyba sobie teraz trochę pomilczę.

I dzięki Bogu tak właśnie zrobiła.

Ostatnią część podróży odbyłyśmy taksówką, przywołaną przez naszą nieustraszoną londyńską siostrę; przejechały

śmy o b o k kilku słynnych obiektów, o których wcześniej słyszałyśmy: Pall Mail, k a t e d r a Westminsterka, mosty nad Tamizą, osławiona Tower, zmiana warty przed pałacem. Wiele udało n a m się dostrzec m i m o reguły nakazującej, by oczy były spuszczone. Ale przecież niepatrzenie z pewnością bardziej by nas rozpraszało d u c h o w o niż zerkanie przez o k n o taksówki? Wszędzie mieniły się kolorami tulipany, jakby to była H o l a n d i a .

Dojechałyśmy. Pierwszym pomieszczeniem, jakie każda z nas potrzebowała znaleźć, była toaleta. W londyńskim klasztorze znajdowała się szkoła dla starszych dziewcząt. J e

żeli choć trochę dopisze n a m szczęście, u d a się n a m skorzystać z najbliższej toalety, zanim w p a d n ą do niej dziewczęta w czasie przerwy. Ale szczęście nie dopisało; cztery z nas zostały przyłapane.

Co za dylemat! Nie miałyśmy pojęcia, co robić. Ż a d n a z nas nie odezwała się ani nie wydała dźwięku; wszystkie marzyłyśmy, by się rozpląnąć w powietrzu. Kiedy po minucie czy dwóch nic takiego nie nastąpiło, wszystkie razem własnym ciężarem zablokowałyśmy drzwi do toalety, żeby się nie otworzyły. Dziewczęta po drugiej stronie pchały ze wszystkich sił, a my pchałyśmy tak s a m o od swojej strony! Myślały, że to jakiś kawał, nie wiedząc, kto jest za drzwiami.

W końcu nie było rady; musiałyśmy wypić piwo, którego nawarzyłyśmy, i przyznać się nie tylko do tego, że jesteśmy ludźmi i czasami musimy opróżnić pęcherze, ale i do tego, że wstydzimy się to robić. Wychyłyśmy ze spuszczonej oczami, nie odzywając się słowem. Dziewczętom dech zaparło.

- Przepraszamy, siostry! - Zachowały się z wielką przyzwoitością, bo przeprosiły, zamiast wybuchnąć śmiechem. To my powinnyśmy były przeprosić! Często zastanawiałam się, jakie wnioski mogły te dziewczęta wyciągnąć z naszego dziwnego zachowania: m o ż e - t a k i e , że bycie człowiekiem jest czymś haniebnym? A l b o że zakonnice nie powinny oddawać moczu i się wypróżniać?

Po lunchu pojechałyśmy a u t o b u s e m do klasztoru w Broadstairs w Kent - do Stella Maris, d o m

u wilebnej matki generalnej. Była w tym m o m e n c i e nieobecna, ale i tak o g r o m n e wrażenie zrobiło na nas skupisko rozkwitłych pięknie na wiosnę ogrodów i budynków. Tulipany wydawały się wyrastać na każdym kroku jak chwasty. Drzewa owocowe stały w kwiatkach, na topolach pokazywały się pierwsze listki, a setki żonkili obrzeżały wąskie ścieżki ogrodowe. J e d e n z budynków był starym nowicjatem. Miałyśmy się tam po południu napić herbaty, a spać w małej okrągłej sypialni w Knoll.

Charakterystyczne mury Knoll z czerwonej cegły wznosiły się na wysokość czterech pięter, zwięzając się u góry do j e d n e go pokoju, który stał się sypialnią dla trzech osób. Pozwolono nam pospać następnego ranka i o ósmej trzydzieści obudzono mnie w niezwykle przyjemny sposób, śniadaniem podanym do łóżka! Taka życzliwość była niesłychana. Jakaś siostrzyczka, która zauważyła, jaki mały kawałek mydła został mi po podróży przez ocean, obdarowała mnie nawet nową kostką, ale kiedy pokazałam jej moją kolekcję kawa

łeczków, zlepionych w jeden większy kawałek, natychmiast wycofała się ze swoją propozycją.

Zajęcia w Sedgley Park miały rozpocząć się d o p i e r o w czerwcu, więc spędzałyśmy czas w Stella Maris, starając się przydać w ogrodzie, pralni i kuchni, a od czasu do czasu ucząc się łaciny i francuskiego. W tym czasie przywiązałam się do młodej siostry Dehlii, jeszcze nowicjuszki, której rozkoszne angielskie poczucie h u m o r u p o b u d z a ł o i mój dowcip.

Kiedy pewnego dnia spacerowałyśmy wczesnym rankiem na świeżym powietrzu, pokazałam jej moje dłonie, które posiniały z zimna.

- M a m w sobie błękitną krew, wyraźnie to widać - powiedziałam figlarnie.

Dehlia spojrzała na moje dłonie, popatrzyła na mnie i dostrzegła w moich oczach coś, co ją wstrząsnęło. Spuściła wzrok, odsunęła się i do końca mojego pobytu więcej się do mnie nie odezwała. Szybko postarałam się puścić w niepamięć myśl, że próbowałam ją skusić - do czego? Do rozmowy, kiedy zabraniała tego reguła milczenia? A może do „szczególnej przyjaźni”, której explicite zakazywał jeden z punktów reguły? Przykro mi było, że ją wytrąciłam z równowagi.

Z początkiem maja pojechaliśmy na północny zachód do Manchesteru, do naszego nowego d o m u . Nadchodziło lato i mogłyśmy przez kilka tygodni odpocząć sobie i lepiej zapoznać się z wesołą Anglią i tymi trzydziestoma siostrami, z którymi miałyśmy spędzić n a s t ę p n e trzy lata.

## Zakazana miłość

Tam, gdzie kiedyś rosła w wielkiej obfitości turzyca, w której gnieździła się niezliczona ilość ptaków różnych gatunków, stoi teraz dwór i college Sedgley Park. Większości ptaków już nie ma, ale to tu, to t a m turzyca próbuje odzyskać prawo własności do ziemi.

Pierwszy dwór wybudowany został w dziewiętnastym wieku przez greckiego m a g n a t a okrętowego i chociaż z zewnątrz wcale nie ostentacyjny, w środku był bardziej bogaty. W 1906

roku Z g r o m a d z e n i e Wiernych Towarzystek Jezusa kupiło ten dwór, dodając do niego po

jakimś czasie kilka gustownych przybudówek, łącznie z kaplicą. Zadbały o to, żeby pasowały do architektury domu, a nawet przedłużyły mozaikowy wzór z holu na szerokie korytarze tego, co miało zostać college'em. Schody przy wejściu do college'u były dosyć skromne i prowadziły do dębowych drzwi, co gwarantowało, że sąsiadujący z nimi dwór nie będzie miał rywala.

Matka przełożona zajęła wspaniałe piętro, a złożone pokoje na parterze, po obu stronach holu, przekształcono w pokoje muzyczne i historyczne. Wysokie wykuszowe okna z ciemnozielonymi aksamitnymi zasłonami i olbrzymimi karniszami odbijały się w lustrach, które czasami zajmowały po

łowe ściany, a oświetlane były przez kilkuramienne kinkiety po obu stronach ich wspaniałych ram.

W 1960 roku, kiedy my, Australijki, przybyłyśmy do Sedgley, siostry wprowadziły nowatorski trzyletni program kształcenia nauczycielek. College miał powiązania z Uniwersytetem Manchester, a program był pierwszym takim w swoim rodzaju. Sedgley był college'em dla dziewcząt, które nie były na tyle dobre, by iść na uniwersytet, albo nie chciały tam iść, a matura nie była warunkiem koniecznym, by się do college'u dostać. Związki Sedgley z uniwersytetem przydawały mu pewnej fałszywej atrakcyjności. Finansowany głównie ze środków brytyjskiego rządu, administrowany był przez siostry FCJ, które angażowały swój własny personel. Zakonnice swobodnie ingerowały w program nauczania

- bez żadnych wyjaśnień skreślały z listy lektur dzieła Oskara Wilde'a, jak również „Kochanka Lady Chatterley” D. H.

Lawrence'a. W konsekwencji literatura angielska zaczęła wydawać mi się trochę podejrzana; szkoda, bo uwielbiałam czytać.

Czułam, że to ważne, by mądrze wybrać przedmiot studiów, ale nie wiedziałam, jak mam wybierać. I nagle, niespodziewanie, wszystkie wolne zakonnice zostały zwołane na zaimprovizowane zebranie na głównym korytarzu, a tam usłyszałyśmy, że wielebna matka generalna Margaret Winchester pragnie, byśmy zajęły się geografią. Ponoć miało to coś wspólnego z tym, jak ważne jest zrozumienie świata. Problem został więc rozwiązany.

Byłam zaskoczona, że nie wszystkie zakonnice się do tego zobowiązały. Teraz rozumiem to, co one rozumiały od razu: przesłanie matki generalnej było podstępem. Geografii uczy

ła zakonnica wątpliwych zalet (stara, zdziwaczała i brzydka) i potrzebny był przyzwoity nabór, by zagwarantować, że utrzyma się ona na liście płatnego personelu. Matka Gertruda była tęga i zasapana, miała ziemistą cerę i krzaczaste brwi, a co gorsze, robiła wrażenie zarozumiałej i z przesadną wyższością przekazywała nam swą wiedzę.

Ciągnęło mnie do nauk ścisłych, chociaż brakowało mi podstaw. (Nauki ścisłe dla dziewcząt? Musiałam pójść do niewłaściwej szkoły!) Bez zapisywania się słuchałam wielu wykładów na ochotnika, dopóki wiadomość o tym nie dotar

ła do matki Gertrudy, a ona zwróciła się do mojej przełożonej, żeby zakazała mi uczęszczać na te

wykłady. W końcu otrzymałam maksymalne noty z geografii. Mojej olbrzymiej nauczycielce aż pierś się wyduła z dumy, a jej wąsata twarz zaśmiała zadowoleniem z siebie.

Wybrałam francuski, ponieważ kochałam ten język i mia

łam do niego d o b r e ucho. Następnie trzeba było wybrać przedmiot podstawowy! Chciałam robić dyplom z rysunków, bo marzyłam, by wykorzystać swoją kreatywność. Ktoś powinien był mnie uprzedzić, że p a n n a Nagel, twarda nauczycielka w średnim wieku, po prostu nienawidzi zakonnice.

- Zastanawiam się nad zapisaniem się na rysunek - powiedziałam jej niewinnie. - Czy mogłaby pani powiedzieć mi coś o programie nauczania?

Panna Nagel rzuciła mi gniewne spojrzenie.

- Większość zakonnice nie potrafi stanąć na wysokości zadania - oznajmiła mrocznie. - Nie mają wyobraźni i... - Nie dokończyła, ale m i m o to wiedziałam, co myśli: /' *kontakty z nimi są nudne*. - Proszę namalować muszlę - dodała. - To p o zwoli mi zorientować się w pani zdolnościach.

Nie miałam wysokiego m n i e m a n i a o sobie, ale kiedy w godzinę później pokazywałam moje małe delikatne dzieło, wydawało mi się, że nie jest złe. P a n n a Nagel była zaskoczona, że znowu mnie widzi, ale nie miała litości.

- To do niczego - wybuchnęła. - Jeżeli chce się pani wyżywać w sztuce, niech pani lepiej spróbuje robót ręcznych -

i odwróciła się o d e mnie.

No cóż, roboty ręczne to również coś twórczego, ale za mało, by stanowić wyzwanie dla mojego umysłu. Uświadomi

łam sobie, co się stało, dopiero podczas oglądania wystawy, na której uczennice prezentowały swoje pierwsze i ostatnie dzieła, żeby można było ocenić, na ile poprawiły się przez trzy lata.

- Mój obrazek muszli był dużo lepszy od tych tutaj! - Wyrwały mi się te słowa spontanicznie, taka byłam niemile zdumiona. P a n n a Nagel przypadkiem stała akurat obok mnie.

Nic nie powiedziała i odeszła.

A l b o tak powoli się uczyłam, albo chowałam głowę w piasek. Zastanawiałam się, w jaki sposób inne siostry potrafią kogoś takiego przejrzeć. Czy łamały regułę milczenia i rozmawiały ze sobą? Domyślałam się, że są wystarczająco sprytnie, by coś takiego robić. P r a w d o p o d o b n i e musiały też rozmawiać z innymi dziewczętami, które wiedziały dużo więcej niż my, zakonnice. Byłam zbyt grzeczna, zbyt naiwna i za bardzo zaaferowana swoim własnym wnętrzem, w którym chyba bez przerwy wrzało.

Sedgley Park wrył mi się w pamięć z dwóch różnych powodów: żaden nie miał nic wspólnego z p r o g r a m e m nauczania.

Byłam pod wrażeniem wspaniałych wyniosłych r o d o d e n d r o n ó w, które wyrastały na o g r o m n ą wysokość p o d ścianą budynku i wzdłuż chłodnych cienistych ścieżek. W lecie ich widok zapierał mi dech, a widziałam jak kwitły trzykrotnie; po jakimś czasie zaczęłam uważać je za swoje.

Drugi powód był dużo bardziej osobisty. Z a k o c h a ł a m się tam, bez reszty, niepohamowanie, potajemnie. Pokochałam zielonooką siostrę Alice, buntowniczą irlandzką piękność, o b d a r z o n ą zuchwałym poczuciem h u m o r u i inteligencją, która w końcu wzięła górę nad lojalnością wobec zakonu. Alice była o jednaście lat starsza ode mnie i odeszła z początkiem lat siedemdziesiątych.

Siostra Alice była nauczycielką p r z e d m i o t ó w ścisłych w średniej szkole prowadzonej przez Wierne Towarzyszki Jezusa w pobliskim Manchesterze. W weekendy ona i jej koleżanki nauczycielki przyłączały się do społeczności w Sedgley, ponieważ były zbyt nieliczne, by zbudowano dla nich osobny klasztor.

Kochałam głęboki, śpiewny irlandzki głos Alice, jej stanowczy rzymski nos, jej ciemne brwi, ironiczne poczucie humoru, miły towarzyski charakter i wrodzoną skłonność do żartobliwego sarkazmu. Wszystko w niej wzruszało do głębi moją romantyczną, namiętą naturę. A n a d e wszystko kocha

łam jej zielone jak morze oczy. Przez większość czasu były brązowe, ale kiedy czymś się emocjonowała, błyskały cudowną zielenią, i czułam się w jej towarzystwie bezradna. W normalnych okolicznościach mogłabym rozmawiać z nią jak z przyjaciółką albo śmiać się z nią i żartować. Ale zamykałam te uczucia w sobie z powodu naszej reguły milczenia i z powodu innej reguły, jeszcze bardziej przerażającej: reguły dotyczącej „szczególnej przyjaźni”. Tego należało *unikać*; taka przyjaźń była *nieszczęściem w życiu zakonnicy*. Tak więc czu

łam się zobowiązana walczyć z rozkosznym uczuciem uznania dla tej niezwyklej kobiety. Im silniej z nim walczyłam, tym bardziej narastało. *To, czemu się opieramy, uporczywie trwa*, ten fakt z psychologii umknął chyba naszej skrupulatnej, mądrej założycielce, która była autorką reguły o szczególnej przyjaźni. A jej następczynie nie okazały się mądrzejsze.

Siostra Alice p o d żadnym względem nie przypominała innych zakonnicy. Maszerowała po wyfroterowanych korytarzach z taką swobodą, jakby była na farmie a nie w klasztorze, i nie uważała się z tego powodu za złą zakonnicy.

Uchodziły jej różne rzeczy na sucho, ponieważ uważano, że ma d o b r e serce, i ponieważ była genialną i p o p u l a r n ą nauczycielką. Tak czy owak zresztą t r u d n o było oprzeć się jej irlandzkiej logice. Widziałam, jak przełożone ratowały twarz, przerywając dyskusję, w której i tak by nie wygrały. A kole

żanki reagowały tak, jakby Alice przekraczała wszelkie dopuszczalne granice. Nie bała się kary; chyba się z czymś takim wcale nie liczyła. D l a niej d o b r ą z a k o n n i c ą była zakonnica, która umiała b a r d z o kochać. O n a umiała, i głównie dlatego cieszyła się taką popularnością wśród dzieci. Jak się w końcu okazało, z tego też powodu odeszła: z rozczarowania regułą, która ją próbowała powstrzymać, i którą ceniono wyżej niż samą miłość.

U d a w a ł o mi się ukrywać moje uczucia na tyle dobrze, żeby nie obudzić podejrzeń Alice. M i m o to nie przepuszczałam okazji, by przebywać w jej pobliżu - stąd dodatkowe lekcje francuskiego. Siedziałyśmy razem, wciśnięte w szkolną ławkę przewidzianą dla jednej osoby.

- *Ca va tres bon, n 'est ce pas?*

Uśmiechała się do m n i e swoim szerokim przyjemnym u ś m i e c h e m , a we mnie serce topniało. Świetnie znała francuski, a i ja starałam się jak m o g ł a m w nadziei, że jej zaimponuję. Alice n i e o d m i e n n i e pozostawała życzliwa, ale n e u tralna.

Chciałam, żeby zwróciła na mnie uwagę, kiedy więc poprosiła o p o m o c w oprawianiu książek do nauk ścisłych, szybko się zgłosiłam, by pobyć w jej towarzystwie. Stałam w klasie Alice, owładnięta nagłą namiętnością, gdy ona pokazywała mi dziwną żarówkę, którą właśnie zdobyła jako p o m o c naukową. Pieściła tę żarówkę tak zmysłowo, że usta mi się otworzyły, i spojrzałam w jej oczy, by wyczytać z nich to, co wyrażały dłonie. Alice opanowała się, czując, że wywołała we mnie reakcję, która nie do końca pasowała do jej

, własnego czystego entuzjazmu dla nauki.

Z powodu miłości do Alice narastało we mnie poczucie winy. W końcu stało się zbyt wielkie, bym go mogła unieść.

To było złamanie reguły, z czego muszę się wypowiadać przełożonej. Otrzymałam zgodę na prywatną audiencję i weszłam do jej gabinetu. Może rozmyśliłabym się, gdybym wiedziała, że p o p e ł n i a m samobójstwo.

M a t k a Theresa, nasza przełożona, nie została wybrana ze względu na intelekt. Może to nieżycliwe z mojej strony, ale nie wykluczam, że zajmowała to stanowisko, bo była dobrą zakonnica; ale z pewnością nie była dobrą nauczycielką ani pedagogiem, a o psychologii nie miała w ogóle pojęcia. Uklękałam przy jej krześle, twarzą do niej, j e d n a k nie na wprost, tylko na ukos, zgodnie z wymogami. Ku mojemu przerażeniu uświadomiłam sobie, że nie znam kobiety, której miałam powierzyć swój najgłębszy sekret, i że ona również niewiele o m n i e wie. Nie łączyło nas nic oprócz reguły.

Kiedy otwierałam usta, by ściągnąć na siebie nieszczęście, serce miałam pełne najgłębszego przerażenia.

- M a t k o - zaczęłam, doszedłszy do wniosku, że mogę się podzielić z nią tą wiadomością tylko w jeden sposób, mówiąc wprost i otwarcie - zakochałam się w jednej z sióstr.

Milczenie. Cała moja uwaga skupiała się na mojej przeło

zonej i na tym, jak pociło się jej k o r p u l e n t n e ciało. Czułam zapach jej potu, widziałam, jak urywany płytki oddech porusza czarny materiał habitu w górę i w dół. Na twarzy matki Theresy odmalowało się szalone zaskoczenie, dezorientacja, a p o t e m - jak mi się wydawało - gorące choć beznadziejne pragnienie, żeby nie musiała się niczym takim zajmować. Ponieważ o d e b r a ł o jej

mowę, odpowiedziałam na niezadane pytanie:

- To siostra Alice.

M a t k a T h e r e s a nie odpowiedziała od razu. O d d e c h miała nadal przyspieszony i siedziała przez chwilę z przymkniętymi oczami, miętosząc w palcach różaniec. Tymczasem ja czułam się tak, jakbym się zaraz miała udusić. Wiedziałam, że postępuję właściwie i równocześnie p o p e ł n i a m olbrzymi błąd. By

łam szczerą, uczciwą i dobrą, ale przyznałam się do czegoś bardzo złego. Tak więc w żaden sposób nie mogłam za to zdobyć punktów. W końcu m a t k a T h e r e s a odzyskała o p a n o w a n i e i uniosła głowę, by n a m n i e spojrzeć. Jej spojrzenie by

ło b a r d z o surowe, a słowa równie bezpośrednie jak moje.

- Siostro, wiesz, że to poważne naruszenie naszej reguły.

Muszę wyznaczyć ci karę. Będziesz używała swojego bicia za każdym razem, kiedy najdzie cię pokusa, by myśleć o siostrze Alice. Czy rozumiano?

- Tak, wielebna m a t k o . Żałuję i dołożę wszelkich starań, by p o d p o r z ą d k o w a ć się naszej świętej regule.

Było późne p o p o ł u d n i e , kiedy opuściłam jej gabinet. Tego wieczoru przy kolacji nie mogłam jeść. W nocy nie m o g ł a m spać. A w środku nocy w najdalszej toalecie, jaką udało mi się znaleźć, po raz pierwszy użyłam bicia, by zapanować nad swoimi myślami o Alice. Kiedy wróciłam na łóżko w dormitorium, płakałam, tłumiąc kocem łkanie i pociąganie nosem.

Łzy trochę mi pomogły i z poczuciem ulgi zapadłam w błogosławiony sen.

N a s t ę p n e g o ranka, zaraz po mszy, kiedy cała nasza spo

łeczność szła na śniadanie, Alice została poinformowana przez naszą przełożoną o mojej haniebnej miłości do niej. Ja miałam tego nie zauważyć, miałam nie widzieć ani nie słyszeć. Ale podniosłam oczy akurat w tym m o m e n c i e , kiedy ktoś wywoływał siostrę Alice do wnęki przy drzwiach, żeby jej coś na osobności powiedzieć, a p o t e m słyszałam, jak odchodziła, stukając butami energicznie, ale z przygnębieniem, i wtedy zrozumiałam, że wie. Bez wątplenia czyn ten w zamiarze matki Teresy miał p o m ó c n a m obu. Ale zauważyłam na jej twarzy pełen udręki wyraz, kiedy patrzyła, jak Alice odchodzi. W tym m o m e n c i e mogła zwątpić w słusność swojej decyzji. To był głupi uczynek, nawet jeżeli intencja była dobra, a o n a nigdy nie próbowała go naprawić.

Siostra Alice została teraz wplątana w moje przestępstwo.

Chociaż umiała kochać, to t r u d n o jej było poradzić sobie z miłością, k t ó r ą / a czułam do *niej*. Byłam przekonana, że nie doszłoby do tego, gdybyśmy tylko miały okazję ze sobą porozmawiać. To, że matka przełożona nie powiedziała mi o poinformowaniu Alice, Alice nie powiedziała mi, że wie, a ja nie m o g ł a m powiedzieć ani słowa, przypominało jakąś niezdrową konspirację. Przez to cała



sprawa robiła się tak obrzydliwa, że serce zaczynało mi pękać.

Nasza nauka francuskiego nagle się skończyła i Alice zaczęła mnie unikać. Jeżeli przypadkiem nadchodzący korytarzem z dwóch różnych stron - a korytarze w Sedgley były długie - zawracała. W kaplicy pilnowała się, żeby znaleźć ławkę po drugiej stronie. W refektarzu zajmowała takie miejsce, żebym, podnosząc oczy, nie mogła jej zobaczyć.

Mniej odzywała się w czasie rekreacji, jakby bała się, że zwróci na siebie moją uwagę, i zawsze udawało jej się ustawić plecami do mnie. Ból, jaki odczuwałam, był trudny do zniesienia, nie tylko dlatego że pozbawiono mnie zwykłego kontaktu z Alice, który mi sprawiał tyle radości, ale dlatego że widziałam, jak b a r d z o jest przygnębiona. M i m o że miała wolną, pozbawioną ograniczeń naturę, instynktownie wzdragala się przed namiętnym podziwem osoby tej samej płci, a ja odczuwałam to odrzucenie osobiście, aż do mdłości. Równie dobrze m o g ł a m zawiesić sobie dzwonek na szyi, żeby uprzedzać ją o mojej obecności.

Ze względu na Alice, żeby jej było lżej, starałam się nigdy nie podchodzić blisko, chociaż tęskniłam całą duszą, żeby chociaż na nią zerknąć. Nie patrzyłam na nią, kiedy miałam okazję, a płakałam, kiedy okazji już nie było. Miłość zmieni

ła się w rozpacz szarpiącą moje serce. O b r a z Alice stał się dla mnie wizerunkiem wszystkich nieodwzajemnionych miłości, splątanych w j e d n ą niekończącą się tęsknotę za pojednaniem.

M i a ł a m dwadzieścia j e d e n lat i nigdy nie słyszałam słowa

„lesbijka” ani nawet „orgazm”. Przez wszystkie lata, j a k o zakonnica i dziewczyna, nigdy się nie masturbowałam, ponieważ nic o tym nie wiedziałam. Ale w kaplicy całe moje ciało przeszywały mimowolne skurcze za każdym razem, kiedy siostra Alice się zbliżała. Klęcząc przy modlitwie, natychmiast wiedziałam, kiedy weszła do kaplicy, i słyszałam każdy krok, który ją do mnie przybliżał.

*Oto nadchodzisz; poznaję jej krok, nawet kiedy próbuje go zamaskować, stąpając lekko. Jest jeszcze o kilka metrów ode mnie, a ja wyczuwam jej zapach, coś w rodzaju dzikiego wrzosu i wilgoci po deszczu.*

*Co ja teraz mam zrobić?! W podbrzuszu pulsuje mi i narasta jakaś szalona energia... O Boże, może, jeżeli skrzyżuję nogi, uda mi się nad tym zapanować. Tak trudno skrzyżować nogi, kiedy klęczę! Chwieję się, raz opierając się jednym, raz drugim kolaniem. Energia chce się uwolnić... teraz biodra zaczynają mi się kołysać... O Boże, już dłużej nie dam rady!*

Jakaś m o c potężniejsza od mojej woli eksplodowała i popłynęła po kręgosłupie. Głowę szarpnęło mi do góry; to cud, że nie zaczęłam krzyczeć na całą kaplicę. Nogi rozpaczliwie chwiały się p o d e m n ą w reakcji na tę tłumioną ekstazę. Przygarbiłam się w ramionach ze wstydu. Niemożliwością było ukryć mój stan. U m i e r a ł a m z zażenowania na myśl, że któraś m o ż e zauważyć, co się ze m n ą dzieje, ale jak mogłyby *nie* zauważyć? Z a m a r ł a m , słysząc za sobą cichy okrzyk i kogoś mamroczącego głośno:

- Święta M a r i o , M a t k o Boża; Jezus, Maryja, Józefie święty! - tu zagrzechotały koraliki różańca.

Nikt ze m n ą nigdy nie rozmawiał o tym, chociaż incydent powtórzył się kilkakrotnie. A ja z desperacką, brutalną siłą tłumiłam krzyk.

R a z na tydzień studiujące zakonnice spotykały się, jak nakazywała tradycja, z bezpośrednią przełożoną, by mogła nas nakłaniać i u p o m i n a ć . Siedziałyśmy ze spuszczonej oczami i z rękami na podłokach. M ó w i o n o n a m na przykład coś takiego:

- Nie zwracajcie uwagi na dziewczęta, k t ó r e przyprowadzają chłopców do szkoły.

W p r o w a d z a n i e na teren szkoły mężczyzn było sprzeczne z regulaminem, ale dziewczęta się tym nie przejmowały i często natykałyśmy się na pary, które całowały się na do widzenia na schodach prowadzących do głównego wejścia. A l e któregoś dnia nasza przełożona powiedziała n a m coś, co miało być ostrzeżeniem, ale odniosło odwrotny skutek.

- Chcę w a m przypomnieć o zasadach wiążących się z waszym ślubem czystości - zaczęła. - Macie stawić o p ó r pokusie, żeby odwiedzać się nawzajem w kabinkach w d o r m i t o r i u m . A także macie nie prowadzić dyskusji na osobności.

(O rany! Co za pomysł - żeby odwiedzać się osobiście w kabinkach dormitorium!) Nie wymieniono żadnych imion, ale ja wiedziałam, że nie jest to tylko ostrzeżenie, że coś takiego musiało się zdarzyć, inaczej nasza przełożona nie byłaby taka p o d e n e r w o w a n a , a atmosfera taka napięta. W b r e w regule „oczy w dół”, rozejrzałam się dookoła. Która była winna? Dlaczego nie porozm a w i a n o z nią na osobności? Dlaczego chyba tylko ja o niczym nie wiem? Z perspektywy czasu zastanawiam się, czy nie była to zawoalowana wiadomość dla *mnie*, gdyby przypadkiem przyszło mi coś takiego na myśl. A l b o m o ż e *podejrzewano*, że już to robiłam.

Nigdy nie dowiedziałam się prawdy, ale tak czy owak u p o m n i e n i e przełożonej pobudziło moją wyobraźnię. Od tamtej chwili marzyłam o tym, że wchodzę do kabinki siostry Alice, zastaję ją śpiącą i przyglądam jej się b a r d z o długo, a p o t e m całuję ją jak najdelikatniej w usta. Zamiast medytować, marzyłam w kaplicy, że ona przychodzi do mojej kabinki, że wchodzi do mnie do łóżka i obejmuje mnie tak m o c n o , że czuję jej solidne irlandzkie ciało, wążam wrzos w jej o d d e c h u , czuję jej piersi tuż przy swoich - byłam bliska omdlenia z grzesznej rozkoszy.

Po takich rozpasanych marzeniach d o p a d a ł o mnie poczucie winy. Niekiedy udawało mi się je stłumić, ale wcześniej czy później musiałam się ukarać. Wykorzystywałam m o c n o spleciony i zasupłany szpagat, żeby bez litości smagać się po go

łych nogach i udach. Czasami było to bardzo bolesne i aż ca

ła dygotałam, zwłaszcza jeżeli w nogi było mi zimno; kiedy indziej robiło mi się ciepło i miło. Biczowanie pogarszało stan żyłaków, które pojawiły się, kiedy miałam kilkanaście lat.

Po jakimś czasie Alice chyba jakoś łagodniej zaczęła podchodzić do sprawy. M o ż e wyczuła krańcowe i stałe przygnębienie, w którym żyłam, chociaż przykładałam się do studiów i w miarę

możliwości starałam się normalnie uczestniczyć w życiu społeczności. Pewnego ranka podczas medytacji z wielką odwagą zmanifestowała swoje stanowisko. Z rozmysłem uklękła o b o k mnie w kaplicy, jakby chciała wyrazić solidarność albo poparcie dla mnie, albo m o ż e nawet - na litość! - uważała, że przyda jej się odrobina miłości w tej zapomnianej od Boga instytucji. Problem w tym, że nie wiedzia

łam, co ona mi chce przekazać, i udawałam, że jej nie zauważam. Nie trwało to długo; wielebna matka wypatrzyła Alice i podeszła, by stuknąć ją w ramię i szeptem polecić, by przeszła na drugą stronę. Alice posłuchała.

W późne piątkowe popołudnia przychodził czas na błogosławienie wiernych monstrancją. Te zakonnice, k t ó r e były w chórze, szły na górę śpiewać. Kochałam te harmonijne dźwięki, tę słodycz. Cieszyły mnie melodyjne dźwięki wydobywające się z moich ust, które przez niemal cały dzień musiały pozostawać nieme. Dla mnie śpiewać znaczyło wyrażać głębię mojej duszy i czuć swobodny przepływ energii. Wydawało mi się, że śpiewamy jak anioły.

Organistą o zręcznych palcach był nie kto inny jak nasza niezdarna siostra G e r t r u d a , osławiona nauczycielka geografii. Jej k o r p u l e n t n e ciało kiwało się pompatycznie, kiedy naciskała pedały starych organów i grała piękną muzykę; asystowała jej umiejętnie o p e r a t o r k a miechów. To siostra G e r t r u d a odpowiadała za d o b ó r i wykonanie, a miała dość rozumu, by wybierać same piękne utwory. Oczarowywała nas, kiedy jej tłuste palce odtwarzały bezbłędnie wszystko, od Palestrina po Paganiniego, od H a y d n a po Mozarta, od Bru-cha przez Albinoniego po Verdiego. Nasz stale rozszerzający się r e p e r t u a r obejmował dzieła Webera, Scarlattiego, Cesara Francka i Schuberta, a wszystko to poza chorałami gregoriańskimi, w których śpiewaniu wyszkolili nas poważni b e n e dyktyni, śpiewający niekiedy z nami w chórze.

Z a k o n n i c e często przychodziły ze szkoły do d o m u akurat na błogosławieństwo, a niektóre z nich dołączały do nas na górze. I tak się złożyło, że Alice lekkim krokiem weszła na chór i p o n o w n i e uklękła o b o k mnie. Na chórze nie było w tym m o m e n c i e wielebnej matki; została na dole wśród starszych zakonnicek i studentek. Alice miała jesienne m a n -

chesterskie krople deszczu na ubraniu i rozkosznie pachnia

ła. Nie ośmieliłam się p o p a t r z e ć na nią ani się uśmiechnąć.

M o g ł a m tylko upajać się jej wspaniałą obecnością i wolnym d u c h e m , którego tak jej zazdrościłam. *O Boże, to takie cudowne, ale i w najwyższym stopniu bolesne!* Łzy bez przeszkód zaczęły spływać mi po policzkach, nie dawało się nad nimi zapanować, wsiąkały w n a k r o c h m a l o n y pasek płótna p o d brodą. Nie przestawałam śpiewać. Od miłości głos mój zrobił się słodszy i czystszy. Chciałam, żeby ona go słyszała!

Wyśpiewywałam moją miłość do Alice w trakcie „Te D e u m ”

i „Ave Maria”, serce jej od tego powinno było p ę k n ą ć . Później, podczas kontemplacyjnego milczenia, zanim zeszliśmy po schodach, połączyłam się z moją klęczącą obok mnie u k o c h a n ą w j e d n o , zamykając nas w promiennym, nieogarnionym świetle miłości, chociaż o n a go nie

widziała ani nie czuła.

Niewiele ma m wyrazistych wspomnień z Sedgley Park innych niż kojarzące się z Alice. Oczywiście p a m i ę t a m zgiełk towarzyszący chodzeniu na wykłady, wielkie pokoje o wysokich sufitach i odgłos kroków dzwoniących na pięknie kafel-kowanych podłogach głównego holu. Były autobusowe wycieczki i spacery na uniwersytet w Manchesterze, między innymi na wykłady o Freudzie. Dowiedziałam się z tych wykładów, że małe dzieci mają świadomość seksualną i że ich pragnienie bezpośredniego kontaktu, ciepła i czułości, jak również ich zmysłowe badania to formy autoerotycznej seksualności.

Wykładowczyni, świadoma obecności zakonnic wśród słuchaczy, dążyła do tego, by wstrząsnąć nami i wytrącić nas z naiwności czy - w jej m n i e m a n i u - ignorancji, albo j e d n e g o i drugiego. W college'u nie zetknęłam się z kimś tak apodyktycznym i szorstkim. Z a p a m i ę t a ł a m spacery z p o w r o t e m na przystanek autobusowy, a potem, późnym wieczorem, do klasztoru. Szłyśmy w milczeniu z głową pochyloną, zgodnie z regułą. Nic na to nie mogłam poradzić, że zauważałam domy, które mijałyśmy, ich żywopłoty i ogrodzenia, i furki, dowody zwykłego ludzkiego życia i ludzkich kontaktów. Podnosiłam wzrok znad cegieł albo ze ścieżki p o d stopami, żeby rzucić okiem na niebo, często ciemne i skłębione, a kiedyś wpadł mi w oko krzew głogu, rysujący się w świetle latarni ulicznej. Czcią przejęła mnie j e g o u r o d a - gałęzie miał nagie i kolczaste, takie samotne, majestatyczne, doskonałe w swojej symetrii. Drzewo po prostu tam stało, n i e p o m n e na to, czy ktoś je zauważa, promieniujące pięknem. Ten obraz wypalił

się w moim sercu i często o nim myślałam w taki sam sposób, w jaki żołnierz na polu bitwy p o d p i e r a się wizerunkiem ukochanej. Pocieszał mnie.

Pewnego sobotniego p o r a n k a Alice powierzono obowiązek obejścia klasztoru z pilną wiadomością od naszej przeło

zonej. Nie p a m i ę t a m w ogóle, o co w tej wiadomości chodzi

ło, ale do tego stopnia niczego takiego się nie spodziewałam, że zaskoczyła mnie kompletnie: oto stała tuż przede mną, patrzyła mi w oczy, żeby upewnić się, czy usłyszałam wiadomość, przechylała głowę na bok, gestem zadając mi to pytanie. Chyba powinnam była jej odpowiedzieć, ale zdobyłam się tylko na szept:

- Jesteś taka piękna.

J a k idiotka zatopiłam się w jej oczach i chyba wpatrywałabym się w nie bez końca, gdyby nie to, że przymrużyły się i zrobiły się zielone w brązowe cętki. Alice wytrzymała moje spojrzenie z całym spokojem, na jaki mogła się zdobyć, dopóki nie zorientowała się, że żadnej rozsądnej odpowiedzi nie otrzyma, następnie zostawiła mnie, a ja stałam, jakbym doznała jakiejś wizji. Jakaż byłam niepoprawna! Alice o d e szła wielkimi krokami - świadoma, że się na nią gapię - stukając obcasami po parkiecie i kołysząc szerokimi biodrami.

Nadeszły letnie wakacje; wypełniały je rozrywki, do których należały również przedstawienia. Zakonnice często spędzały wakacje w innych klasztorach, a o tym, kto tam pojedzie, decydowały

przełożone. Te, które zostawały na miejscu, czekała przyjemność planowania przedstawień dla gości i dla starszych członków społeczności. Były to nieczęste okresy większej kreatywności i świetnej zabawy. Odgrzałyśmy kilka skeczów z zeszłorocznych przedstawień, które odbyły się gdzie indziej, ale dla mnie wszystkie były nowe, i śmiałam się głośno i serdecznie z głupstewek, jakie wymyślałyśmy. Pamiętam, od śmiechu bolał mnie brzuch i twarz, która przywykła do zbyt częstej powagi i łez. Śmiałam się ze wszystkiego. Z najbliższego powodu zginało mnie wpół, wdzięczna byłam za tę ulgę. A na koniec miałam od tego śmiechu ciężką głowę.

W tym okresie Alice była szczególnie rozdokazywana, chociaż mnie wydawała się nie dostrzegać. Tylko raz zetknę

łyśmy się znowu twarzą w twarz za kulisami teatrzyku, gdzie objęło się kilka z nas. Pieszczotliwie obracała w palcach je dwabisty kawałek materiału, przykładając go do twarzy i wy-próbowując, czy nadałby się na przybranie głowy. J e d w a b miał fioletowawy kolor, ale ona określała go j a k o odcień fuksji. Miał dokładnie taki sam kolor jak jeden ze znanych mi r o d o d e n d r o n ó w na terenie ogrodów. Oszołomił mnie obraz, jaki miałam przed oczami: odcień fuksji idealnie podkreślał

ciemną barwę brwi i oczu. Alice zmieniła się w Cygankę! Zauważyła mój pełen oszołomienia podziw i wątle usiłowania, by się jak należy uśmiechnąć. Rzuciła jedwab na podłogę i odwróciła się plecami. Z m a r t w i a ł a m z zażenowania, byłam bliska łez. Tak nie m o ż n a , powtarzałam sobie, nie wolno mieć takiej obsesji na punkcie Alice. Wymierzyłam sobie nową karę: już nigdy nie miałam spojrzeć na r o d o d e n d r o n w kolorze fuksji.

• • •

N a s t ę p n e dwa razy wysłano mnie na letnie wakacje gdzie indziej i cieszyłam się wspaniałością wiejskiego krajobrazu Anglii. Chodziłam z moimi towarzyszkami na spacerów wzdłuż wysokich żywopłotów pełnych przeróżnych gatunków kwiatów, zbierałam bukietki i napełniałam koszyki jeżynami.

Siadywałam p o d prastarymi drzewami na wielkich majestatycznych trawnikach i czytałam albo szkicowałam. M o i m ulubionym t e m a t e m były drzewa - szkicowałam je węglem i ołówkiem. Były takie piękne! Ich d u m n e nagie pnie, ich o b n a ż o n e muskularne ramiona, fałdy białego ciała, szepczące liście... Podobnie jak w kaplicy, kiedy Alice podchodziła bli

żej, całe moje ciało przechodził rozkoszny dreszcz. Pozwala

łam sobie na to tutaj, gdzie nikt tego nie widział.

Przebywanie podczas letnich wakacji w społeczności o b cych zakonnic n a p r a w d ę nie było łatwe. Różne angielskie zwroty i subtelności, które m o i m towarzyszkom nie sprawia

ły w czasie rozmowy najmniejszych trudności, a nawet wystrój pokoi, miały w sobie urok, ale i deprymowały mnie tak, że wdzięczna byłam za regułę milczenia. Ponieważ nikogo tam nie znałam, siostry zostawiały mnie samą, bym w milczeniu syciła się przejawami kultury tak odmiennej od zwyczajów holenderskich i australijskich.

Wiele letnich wakacji spędzałam z zakonnice, z którymi nigdy nie przebywałam na tyle długo, by zapamiętać ich imiona czy twarze. Pamiętam j e d n a k j e d e n drobny incydent.

Siedziałam przy długim stole, n a o k o ł o hałasowały podniecone kobiety, które przynajmniej tym razem bez skrępowania, z przyjemnością rozmawiały z przyjaciółkami. Ponieważ by

łam obca, nikt nie wykrzykiwał w moim kierunku:

- O, hej, jak miło cię znowu widzieć!

A j e d n a k ktoś zauważył moje osamotnienie. Z a k o n n i c a była stara i pomarszczona, ale poruszała się zwinnie. Sama nigdy bym na nią nie zwróciła uwagi; kręciła się w tle, napełniając patery ciastkami, i nie uczestniczyła w rozmowach.

A zrobiła coś takiego: położyła mi po prostu życzliwą dłoń na plecach między ramionami. Dotknięcie było tak serdeczne, tak niesłychanie pełne dobroci, że nigdy o nim nie zapomniam

łam. Stopniałam wewnątrz i odprężyłam się; to dotknięcie trafiło mi wprost do serca, przypominając, że jestem kochana i że wszystko jest w porządku. Zawsze łatwo się rumieni

łam i oczywiście oblałam się r u m i e ń c e m przez nagłość i intensywność uczucia, k t ó r e p r z e n i k n ę ł o m n i e całą j a k

. błogosławieństwo. Odwróciłam się, zauważyłam jej uśmiech i już jej nie było, tego anioła w postaci starej pomarszczonej zakonnicy.

W college'u wykluczano nas z imprez organizowanych dla uczennic i nie zadawałyśmy się wiele ani z nimi, ani ze świeckimi pracownicami. Wszystko to się zmieniło, kiedy Sedgley Park podtopiła ulewa, która trwała całymi dniami. Ogarnia

ła nas panika, bo w ogrodach zaczął się podnosić poziom wody, która chlupała p o d ścianami wewnętrznych dziedzińców, a p o t e m zaczęła zalewać podłogi w college'u.

Dlaczego, m i m o że byłam tak niepraktyczna, domyśliłam się, że po lecie studzienki pozatykały się śmieciami? W o d a nie przestawała się podnosić i wkrótce na zewnątrz sięgała do pasa, postanowiłam więc coś zrobić. Stałam na korytarzu z moją nauczycielką angielskiego panią G r e e n , która miała pięćdziesiąt parę lat - kobietą o silnym charakterze, nieskłoną do sentymentów - oraz jej młodszą przyjaciółką, również nauczycielką. Przecież te kobiety są chyba na tyle dojrzałe, by zdawać sobie sprawę, że zakonnice to też ludzie i mają takie s a m e ciała jak one, tak sobie pomyślałam, zdję

łam szal i czarny czepiec i je im p o d a ł a m . Miałam taki plan, żeby wyjść przez o k n o , dać n u r a do wody i po omacku szukać s t u d z i e n e k . N i e c h c i a ł a m zniszczyć delikatnych szwów i riuszki na czepcu, a szal przeszkadzałby mi ruszać rękami.

Musiałam wyglądać, jakbym się urwała z jakiegoś komiksu z tą krótko ostrzyżoną głową okrytą spodnim białym cze-peczkiem, bo kobiety były przerażone. Wszystko j e d n o , pomyślałam,

zakasałam spódnicę, wygramoliłam się przez okno i natychmiast zanurzyłam w poszukiwaniu studzienek. W stosunkowo krótkim czasie znalazłam jedną, potem jeszcze dwie, usunęłam śmieci, wdrapałam się z powrotem, ociekając wodą, i odzyskałam suche fragmenty garderoby. Poziom wody natychmiast opadł, przynajmniej w tej części college'u, miałam więc wszelkie powody poczuć zadowolenie z siebie.

Włożyłam na moje ubrania czepiec i szalik, ociekając wodą, przeszłam obok innych zakonnic, personelu nauczycielskiego i uczennic, które czerpały wodę wiadrami. Czuję się jak bohaterka, ale nikt mi nigdy w oczy słowa nie powiedział na temat mego rzekomego heroizmu. No cóż, im mniej o tym mówiono, tym lepiej!

Mój wyczyn stał się najprawdopodobniej tematem kilku interesujących dyskusji w pokoju nauczycielskim. Należałam do ulubienic pani Green, ponieważ odznaczałam się przenikliwym, analitycznym umysłem, jaki podziwiała. Wyszukiwa

ła dla mnie coraz trudniejsze fragmenty do czytania na głos, całe akapity stanowiące jedno zdanie, bardziej zawiłe niż język prawniczy. Miałam wrażenie, że chyba zakłada się z innymi nauczycielkami o to, jak szybko pogubię się w treści, czytając dany fragment, ale mnie radość sprawiał fakt, że ktoś zmusza mnie do gimnastyki umysłowej. Zostałam przedstawiona do wyróżnienia, ale okropnie zawiodłam panią Green na egzaminach, bo opuściłam cały jeden paragraf. Sądziłam, że jest nieobowiązkowy, a był, i w ten sposób obniżyłam sobie ostateczną ocenę. Wywołana tym dezaprobatą naturalnie mnie bolała, ale łatwiej przychodziło mi znosić dezaprobatę niż przyjmować pochwały.

W czasie mojego pobytu w Sedgley zetknęłam się z umieraniem i śmiercią, a do tego swego rodzaju szaleństwem.

W klasztorze mieszkało kilka starych zakonnic, może po to, żeby zrównoważyć obecność dużej liczby młodych ludzi.

Były to nauczycielki na emeryturze oraz stare siostry świeckie. Siostry świeckie często były gorzej wykształconymi kobietami, które służyły Bogu i społeczności, wykonując prace rzekomo niewymagające inteligencji, takie jak gotowanie, prowadzenie pralni, sprzątanie i prasowanie.

System klasowy w Anglii trzyma się dobrze, snobizm jest mocno zakorzeniony i niekwestionowany, a w zakonie oprócz oficjalnej hierarchii istniała inna, oparta na przekonaniu o własnej wyższości. Siostry świeckie były mniej poważane niż wykształcone matki i siostry.

Jedną z sióstr świeckich, siostra Jeromy, całymi dniami i tygodniami skarżyła się na ból w piersiach. Była stara -

gdzieś po d osiemdziesiątkę - i brakowało jej tchu. Miała

"szorstkie dłonie, niskie przygarbione ciało, duże pomarszczone usta i pomarszczoną twarz o grubych rysach. Dorasta

ła gdzieś na błotnistej angielskiej wsi i jakoś tak żałośnie obstawała przy tym, że nie jest zdrowa. Świeckie siostry należały zwykle do najcichszych i najmniej zauważalnych ze wszystkich. Były tam po to, żeby służyć, i w miarę możliwości powinny być niewidzialne, nie wspominając już o tym, że niesłyszalne. Tak więc na błagania siostry Jeromy przeważnie nie zwracano uwagi, z irytacją je lekceważąc. Infirmariuszka najwyraźniej nie dysponowała żadnym lekarstwem na jej dolegliwość, a lekarza nigdy nie wezwano.

Po mszy, kiedy wchodziłyśmy po szerokich schodach p r o wadzących do refektarza, siostra J e r o m y osunęła się na stopnie i tak już została, twarzą do dołu. Wszystkie przechodziły

śmy gęsiego obok niej, łącznie z m a t k ą przełożoną, która niewątpliwie miała siostrze J e r o m y za złe tak teatralne symu-lanctwo. I w taki właśnie sposób siostra J e r o m y umarła tam, na schodach. Leżała w t r u m n i e na podeście przez dwa dni, żebyśmy mogły się za nią modlić i okazać szacunek, jakiego nigdy nie o k a z a n o jej za życia. Uklękałam przy jej ciele, w końcu uwolnionym od brzemienia nieustannej ciężkiej pracy, u p o k o r z e ń i bólu i pochyliłam się, by pocałować splecione zimne dłonie. Do warg przylgnął mi zatechły smak, którego nigdy nie z a p o m n ę . Wykrzywiłam się i pobiegłam, żeby go wypluć i pozbyć się wraz z wszelkimi sentymentalnymi uczuciami dla zmarłych zakonnic w trumnach.

W k r ó t c e po tym byłam świadkiem koszarnej śmierci innej zakonnicy z tejże społeczności. Zajmowała pokój na szczycie schodów w pobliżu podestu i niedaleko refektarza, więc często przechodziłyśmy o b o k niej. Kiedy ją odwiedzi

łam, była niesłuchanie niespokojna, oddychała chrapliwie, przewracała oczami, nie mogła mówić, ale chyba świadoma była swego stanu i otoczenia. Na małym podręcznym stoliku stała buteleczka z gliceryną i zakraplacz, żeby miała czym złagodzić suchość w gardle, od której chrypiała i rzeżała.

Wzięłam zakraplacz i podniosłam do oczu umierającej zakonnicy. Zobaczyła go i otworzyła usta, jak umierające z głodu pisklę. Ciągłe z a m a ł o było jej gliceryny i otwierała usta, żeby dostać więcej.

Jakaś inna zakonnica powiedziała:

- Nie dawaj jej za dużo, to jej szkodzi!

Uszanowałam zdanie siostry, sądząc, że zna się lepiej na medycynie o d e mnie. Umierające ciało na łóżku chyba się z tym nie zgadzało. Oczy zakonnicy robiły się coraz bardziej szalone, usta były rozdziawione, a o d d e c h coraz bardziej chrapliwy.

Wyczuwałam jej krańcowe przerażenie i z zimnym zdziwieniem uświadomiłam sobie, że w obliczu śmierci nic z tego, czego nauczyła się w życiu zakonnym, nie ma dla niej znaczenia. W s z e l k a myśl o wiecznej n a g r o d z i e za p e ł n e poświęcenia życie ulotniła się chyba z jej umysłu; ulotniła się też wiara, że jest kochana przez Boga. W godzinie tak wielkiej potrzeby jej wiara zdawała się kruszyć i tracić na znaczeniu, jej wyrzeczenia okazywały się egoistyczną bzdurą i nie nauczyły jej, czym jest prawdziwe p o d d a n i e . Została porzu-eona - albo tak przynajmniej mi się wydawało. Dziesiątki tysięcy błagań, jakie w każdej zdrowaśce kierowała do Matki Boskiej, by ta modliła się za nią w godzinie śmierci, nie zostały chyba wysłuchane.



Nie umiałyśmy niczego, co byłoby przydatne w czasie agonii, nie potrafiłyśmy w żaden sposób pomóc tej kobiecie, jednej z naszych sióstr. Mogłyśmy tylko marać banały, recytować codzienne modlitwy z książeczki i wykrzykiwać ze zgrozą:

- Boże, jakie to straszne!

- Jezus, Mario, Józefie święty, pomóżcie jej!

Trwało to wiele dni, zanim biedna kobieta umarła, w straszliwych męczarniach. Nie wiem, jak ludzie umierają w zwyczajnych szpitalach, ale nie potrafię wyobrazić sobie nic straszniejszego niż takie powolne umieranie z uczuciem przeraźliwej grozy, kiedy jest się w pełni przytomnym, ale nie jest się w stanie prosić o złagodzenie cierpienia, a otoczenie dozwala na to jedynie mieszkankę pełnych współczucia i banalnych sentencji. My, zakonnice, które przez kil-

ka dni byłyśmy świadkami tej agonii, powinnyśmy były zastanowić się, co jest z naszym życiem nie tak, jeżeli musi się ono kończyć w taki sposób - ale nie zastanowiłyśmy się, bo u podstaw naszego życia leżała ignorancja i zaprzeczenie. Prawda bardzo powoli przesącza się do naszej świadomości, jeżeli przekonani jesteśmy, że wszystko wiemy najlepiej.

Jesień i zima nauczyły mnie czegoś o rezygnacji. Często siadywałam w wielkim oknie wykuszowym na pierwszym piętrze pomiędzy gałęziami lip. Jesienią gałęzie zrzucały wszystkie li-

ście, a zimą leżało na nich kilka centymetrów śniegu. Sercem przylgnęłam do nich, a zwłaszcza do tej najbliższej mnie lipy.

Wydawała się taka cierpliwa, cierpiała bez skargi. Na tę myśl łzy mi napływały do oczu. Napisałam wiersz, w którym pyta-

łam drzewo, co takiego zrobiło, że skazano je na zamarzanie i noszenie brzemienia śniegu zamiast liści. Ludzie, którzy nie dzielą się z nikim swoimi smutkami, łatwo popadają w sentymentalizm. Mówiłam temu drzewu, że przyjdzie dzień, kiedy ptaki znowu przylecą, by śpiewać wśród jego liści i że znowu poczuje ciepło słońca na swoich gałęziach.

Dla mnie pora smutku miała trwać dużo dłużej niż do końca tamtej zimy. Minie jeszcze wiele lat, zanim odbudzę się o promieniach od wewnątrz słońcem, którego nikt mi nie zdoła nigdy odbrać.

•••

Otrzymałam dyplom nauczycielki po trzech latach spędzonych w Sedgley Park. Przyszedł dzień pożegnań. W końcu zobaczę Alice i odezwę się do niej, i przynajmniej tym razem nie zrobię nic złego! Miałam nadzieję, że będzie to szczególnie miły moment, usprawiedliwienie dla pełnego miłości uścisku. Ale nie. Stałam przed nią, dygocąc jak liść i starając się to ukryć, podałam jej rękę; zachowywałam się przy tym z jak największą swobodą.

- Do widzenia, już wyjeżdżam - powiedziałam i nie byłam w stanie powiedzieć nic więcej. Jakże nienawidziłam mojej niezdarności! Dlaczego musiałam być taką otepiałą, oniemiałą, ciołkowaną H o l e n d e r k ą , przeciwieństwem irlandzkiej ogłady?

Alice uprzejmie ujęła moją dłoń. Sądząc po jej twarzy, niczym szczególnym się dla niej nie wyróżniałam. Martwiła się, że traci inną przyjaciółkę, siostrę Imeldę, Kanadyjkę, która podobnie jak o n a pobłogosławiona została d a r e m wymowy.

Stojąc przed Alice, miałam wrażenie, że potrafię czytać w jej myślach, w jej uczuciach, i nagle uprzytomniłam sobie coś, co przepełniło mnie rozczarowaniem. Alice nie czuła do mnie nic poza sporadyczną litością. Unikała mnie nie dlatego, że moja miłość do niej sprzeczna była z regułą, ale dlatego że po prostu mnie nie ceniła. M o c n e przywiązanie do kogoś o podobnych zamiłowaniach wcale nie wykraczało poza jej możliwości. G o r z k a była ta chwila zrozumienia, kiedy wygasła cała nadzieja, jaką kiedykolwiek mogłam żywić, że Alice odwzajemni moją miłość.

Jak to możliwe, że wielka miłość nie budzi w odpowiedzi miłości?

Wybiegłam, żeby pożegnać się z krzewem r o d o d e n d r o n u w kolorze fuksji, wbrew rozsądkowi mając nadzieję, że w czerwcu będzie na nim kilka kwiatów, ale oczywiście nie było.

Lata spędzone w Sedgley były latami fascynacji siostrą Alice. Kiedy w końcu w 1965 roku stanęłam przed klasą, m o g ł a m równie dobrze przyjść tam prosto z ulicy, tak bezowocne okazało się całe szkolenie dla mojego zaabsorbowanego czym innym umysłu.

Cichy obłąd

Stella Maris, Gwiazda Morza, klasztor w pobliżu Broadstairs. O d e s ł a n o mnie tam, bym odświeżyła wiedzę, co znaczy być Wierną Towarzystką Jezusa, przez rok lub dłużej ćwiczyła się w posłuszeństwie i milczeniu.

Nie byłam sama. Cała szóstka Australijek, które przybyły do Angli przed trzema laty, pojechała na południe razem ze m n ą . Opuściliśmy przyprószony sadzą Manchester, wyjecha

łyśmy na wspaniałe zielone pola Anglii, a p o t e m dotarliśmy do Londynu, gdzie znowu czekała na nas o b r o t n a siostra przewodniczka, i tam przenocowałyśmy.

Wyruszyliśmy p o n o w n i e o świcie, żeby u n i k n ą ć t ł u m ó w .

Starczyło mi czasu, by zachwycać się, kiedy w s p a n i a ł e stare stropy na Victoria Station wypełniały się p a r ą ; cieszyć się grzmiącym stukiem nadjeżdżających pociągów o r a z pełnym godności gwizdaniem innych, k t ó r e oznajmiały o swoim odjeździe. U p a j a ł a m się p i ę k n e m kutyk w żelazie b r a m i ławek S t a r e g o Świata, d e t a l a m i na p o m a l o w a n y c h pociągach, a kiedy w p r o w a d z o n o nas do wydzielonego w a g o n u pierwszej klasy - k o m f o r t e m obitych skórą foteli.

Wysiadłyśmy z pociągu po wielu godzinach i wsiadłyśmy do autobusu. Piętrus przejeżdżał krętą drogą przez małe wioski zbudowane na długo przed epoką aut i kołysał się po wąskich uliczkach,

pozwalając pasażerom z bliska obejrzeć oryginalne szydełkowe firaneczki w oknach na górnych piętrach domów.

Z miasteczka Broadstairs kierowca zawiózł nas do North Foreland, ten fragment wybrzeża niemal w całości należał do zakonu. W końcu dotarliśmy na miejsce.

Poczułam się tak, jakbym widziała je po raz pierwszy. Zapomniałam, jak dużo czasu zajmowało przejście z jednego końca majątku na drugi i że droga publiczna przebiegała przez środek zespołu ogrodów i budynków.

- Witamy nasze australijskie siostry w Stella Maris! Czy miałyście dobrą podróż?

To zgrabne powitanie wygłosiła ta sama stareńka zakonnica, która pozdrawiała nas przy drzwiach przed trzema laty.

Była matką prowincjonalną, czyli wiceprzełożoną, i wiedzia-

- ła, jak szybko doprowadzić do tego, żebyśmy poczuły się swobodnie. Stara dama była kiedyś wielką księżną i nie kazano jej rezygnować z towarzyskiego wyrobienia.

Dom matki prowincjonalnej był dawnym dworem, w którym zachowała się atmosfera angielskiej wiejskiej przytulno-

ści. Pokazano nam, gdzie będziemy spały: w wielkich pokojach na piętrze przerobionych na dormitoria. Budynek stał

w pobliżu ekskluzywnej małej szkoły zakonu i z okna naszego dormitorium z wyjątkową przyjemnością przysłuchiwały

śmy się, jak dzieci z Kent odmawiają podczas apelu pacierze.

Mówiły z tak czystą i śpiewną intonacją, że łzy mi napływały do oczu.

Nasza księżna-matka prowincjonalna kazała nam podać herbatę, po czym przez sady i ogrody zaprowadzono nas do głównej rezydencji. Chociaż miałyśmy spać w domu matki prowincjonalnej, uczyć się, pracować i jeść miałyśmy w głównym budynku.

Była pełnia lata i rozpięte na treliżu na południowych ścianach ogrodu warzywnego grusze, jabłonie i brzoskwinie owocowały. Róże we wszystkich kolorach pięły się po każdej dostępnej ścianie, na grządkach uprawiano odmiany wielkokwiatowe. Lak wonny ozdabiał słoneczne wykusze na froncie głównego domu, słodko pachnącym południem.

Bluszcz piał się po czerwonych ceglach ścian, próbował wcisnąć się w okna na piętrze i sięgnąć po nadkominy.

Oprawa dżono nas po całym skrzypiącym kompleksie: pokojach do nauki, magazynie z bielizną, kuchni, jasnej sali zebrań i w osobnym budynku, pralni. Dwa główne domy łączył

kryty drewniany chodnik. Trafiały się w nich dziwaczne p o k o iki i bezużyteczne przestrzenie, a toalet w rządku było pięć.

I były nowe: sosnowe d r e w n o wciąż wydzielało świeży zapach. Nie p o k a z a n o n a m saloników na froncie d o m u ani sypialni miejscowych zakonnic, ani a p a r t a m e n t ó w matki generalnej. M a t k a generalna mieszkała w wydzielonej części kompleksu (miała wrócić z podróży w następnym tygodniu).

Tak chciałam, żeby to piękne miejsce okazało się d o b r e .

Precyzyjnie wytyczony ogród kontrastował z kruszejącą wspaniałością starych rezydencji; wszystko to zapewniało o przytulności, wygodzie i nawet życzliwości. I czasami to zapewnienie okazywało się prawdą. N a d wszystkim j e d n a k dominowały bez reszty wpływy Margaret Winchester, surowej wielebnej matki generalnej. Traktowana była z nadzwyczajnym szacunkiem, nie tylko ze względu na zajmowaną pozycję, ale i siłę charakteru - czego doświadczyć miałam na własnej skórze.

Była b a r d z o wysoka, miała szeroką twarz i wytrzeszczone oczy, które wydawały się jeszcze większe, bo okalały je kręgi obwisłych zmarszczek. P r z y p o m i n a ł a m i o r a n g u t a n a .

U ś m i e c h n ę ł a m się do niej, kiedy spotkała się z nami po swoim powrocie do klasztoru, sądząc, że z rozmysłem próbuje nas rozbawić, ale wkrótce jej spokojne spojrzenie kazało mi odwrócić wzrok. A n i męska, ani kobieca, była zagadkową osobowością i stąd brała się jej moc. Chociaż imponująca, poruszała się p o k o r n i e na obolałych od artretyzmu stopach, z pochyloną głową, patrząc p o d nogi. Jak prawdziwy orangutan wymachiwała rękami, żeby podczas chodzenia utrzymać w równowadze swoje rozkołysane ciało; my czegoś takiego w życiu nie ośmieliłybyśmy się zrobić, choćbyśmy nie wiem jak traciły równowagę, bo wyglądałoby to na ostentację albo brak opanowania.

Kiedy poznałam m a t k ę generalną, była już w b a r d z o złym stanie. Odbijało jej się bez przerwy, a o d d a n a matce osobista asystentka zadawała sobie nieskończenie wiele trudu, żeby wyszukać odpowiednie przepisy i gotować posiłki, które by nie szkodziły jej na żołądek. M a t k a generalna traktowała swoją pracę nadzwyczaj poważnie. Z czasem miałam dowiedzieć się, że ta kobieta, do której podczas postulatu i nowicjatu wysyłałam pełne miłości listy, p r z e k o n a n a była, że głównym celem jej życia jest dopilnowanie, by żadnej z nas nie uderzyła w o d a sodowa do głowy, by każda z siostr pozostała p o k o r n a .

Być p o k o r n ą oznaczało być niewolniczo uległą, nigdy się nie wypowiadać, nigdy się nie skarżyć ani nie sprzeczać. M i a

łyśmy również być ślepo posłuszne, a nasze posłuszeństwo mierzone było p o z i o m e m wyrzeczeń albo cierpienia umysłowego, emocjonalnego czy fizycznego, które sprawiało n a m wykonywanie rozkazów. Otrzymywałyśmy często sprzeczne polecenia, które miały nas zmieszać i dezorientować i były

śmy publicznie u p o k a r z a n e za każdym razem, kiedy nie uda

ło n a m się tych opartych na niemożliwych oczekiwaniach rozkazów spełnić.

Matka generalnej uchodziło to na sucho, ponieważ jej podwładne skwapliwie wierzyły, że jak o rzeczniczka Boga jest obdarzona czymś w rodzaju nieomyślności - chociaż po to by przypisywać szczególną świątobliwość kapryśnemu szaleństwu starzejącej się ekscentrycznej kobiety, konieczna była spora dawka angielskiego stoicyzmu (którego mnie brakowało)

to) wzmocnionego sporymi dawkami zapалу religijnego (którego mnie brakowało) - a poza tym Stella Maris, tak czy owak, była ośrodkiem, gdzie siostry poddawano próbie. To tam krnąbrne zakonnice uczono moresu, a te jeszcze nie-ukształtowane, czy może spaczony, jak my, absolwentki college'u, pod wpływem świeckich studiów, kształtowano w prawdziwym duchu zgromadzenia. Wprowadzone przez nią innowacje były okrutne, ale miały pewną wartość wywo-

wołującą szacunek dla pomysłodawczyni. Co dziwniejsze, matkę generalną cechowało poczucie humoru i niekiedy w jej oczach malowała się życzliwość, która zadawała kłam szaleństwu. Niewykluczone, że kiedyś była wyjątkowo utalentowaną kobietą, ale stała się ofiarą prowadzonej przez siebie instytucji i swoich przekonań. Często bywała z nami w kaplicy i co najmniej raz na tydzień wygłaszała do nas mowę, a przecież pozostawała przerażającą tajemnicą, ponieważ rzadko kiedy rozmawiała z nami indywidualnie.

Trzeciorocznymi nowicjuszkami opiekowała się matka Mary John; miała około sześćdziesięciu pięciu lat, była okrągła i poważna, ale z leciutkim uśmiechem w oczach.

Oliwkowa cera nadawała jej wygląd Włoszki albo Hiszpanki, a górną wargę porastał maleńki czarny wąsik. Była istną opoką stabilności i życzliwości, ale konsekwentnie wzdbraniała się przyjmować na siebie rolę pocieszycielki, do czego mogła mieć wrodzone skłonności. Okazywała surowość zawsze, kiedy uważała to za konieczne, ale nie nałogowo, jak matka generalna. Siadywała u szczytu długiego wąskiego stołu w kształcie litery L, przy którym w refektarzu jadały nowicjuszki i siostry świeckie. Ledwo starczało dla nas miejsca.

Podczas rozmowy, kiedy na nią zezwalało, wypowiedzi należało kierować za róg stołu do osób, które się nawzajem nie widziały. To szczególne zalecenie zachęcało nas do dowcipnych uwag na stronie, które matka Mary John tolerowała, je-

żeli nie dochodziły zbyt wyraźnie do jej uszu. Nie wzdbraniała nam śmiechu i to nas ratowało. Fakt, że mogliśmy sobie pozwalać na tę wesołość przy stole i w czasie rekreacji, działał

jak balsam na nasze dusze. Tęgie ciało matki Mary John trzęsło się, kiedy się śmiała; oczy jej się zamykały, wargi łagodnia-

ły i podnosiła serwetkę, by ukryć usta. Uwielbiałam, gdy nie potrafiła zapanować nad wesołością; najwyraźniej cieszyło ją nasze towarzystwo. Niespodziewane przebłyski jej pełnego ironii humoru potrafiły nas również rozśmieszyć tak, że zrywałyśmy boki ze śmiechu. Przeważnie jednak była milcząca, miała oko na dynamikę grupy, pilnowała, czy każda z jej podopiecznych jest na miejscu i czy wszystko z nią w porządku.

Matka Mary John miała obowiązek zwracać nam uwagę na zalecenia matki generalnej, koordynować prace domowe, odbywać comiesięczne rozmowy z każdą z nas, żeby sprawdzić,

jakie robimy postępy czy wręcz przeciwnie, poprawiać nas, kiedy to konieczne, oraz nakładać kary. Nadzorowała nas też niekiedy podczas popołudniowych rekreacji. Odnosi

łam wrażenie, że chociaż b a r d z o sumiennie wypełniała uciążliwy obowiązek karania, robiła to wbrew swojej naturze. Jakoś dzięki t e m u kara otrzymywana z jej rąk była łatwiejsza do przełknięcia - i bardziej bolała. Pojawiało się pytanie:

„Dlaczego karać, jeżeli ma się uczucie, że to źle?”.

A odpowiedź musiała brzmieć: „Wyroki Boże (to znaczy nakazy i wyroki matki generalnej) są niezbadane, a my jeste

śmy tu nie po to, by je kwestionować, ale by składać ofiarę ze swego posłuszeństwa”.

M a t k a Mary J o h n pełna była współczucia, ale pobożność miała absolutne pierwszeństwo.

Ponieważ w Stella Maris było m a ł o miejsca, my, Australijki, żeby zmniejszyć tłok w głównej kaplicy, często odbywały

śmy p o r a n n e medytacje w kaplicy matki prowincjonalnej. Był

to niewielki kamienny budynek stojący na uboczu w ogrodzie z maleńkimi starodawnymi okienkami nieco powyżej poziomu oczu. Po każdej stronie nawy stały tylko po dwa wiklinowe klęczniki i było ich w sumie chyba osiem rzędów. O k n a były na ogół otwarte, zimą i latem, i napływało przez nie najświeższe powietrze. O szóstej r a n o nawet rosa miała swój zapach i wiele moich medytacji zasadało się na czystej wdzięczności za róże i lak wonny, i piosenki ptaków. To powietrze było czyste jak anioł, chłodziło umysł i sprowadzało na mnie coś w rodzaju euforii.

Folgowałam swojej poetycznej naturze i moje serce wypełniała radość. Przypominałam sobie jakiś wers z G e r a r d a Manleya Hopkinsa, na przykład: „Świat jest przesycony wspaniałością Boga...”, albo coś innego, co kiedyś czytałam.

Ta mała k a m i e n n a kaplica była jak cenny klejnot, przesycona niezwykłą atmosferą spokoju w przeciwieństwie do ciemniejszej i większej kaplicy w Stella Maris, chociaż ta ostatnia wyposażona była w przepięknie rzeźbioną i wypolerowaną drewnianą balustradę i a m b o n ę w prezbiterium, piękne sklepienie z architrawami, drewniane ławki i parkiet na p o d ł o dze. Tam zapachy były tradycyjne - pachniało d r e w n e m i resztkami kadzidła. Wielebna matka generalna klęczała z tyłu - dobra pozycja, by czujnie nas obserwować.

• • •

Stella Maris zatrudniała zawodowego ogrodnika, który umiał h o d o w a ć jarzyny i kwiaty przez cały rok. Często był

zdegustowany, kiedy z tygodnia na tydzień otrzymywał

sprzeczne polecenia i sporą część roboty wykonywał na darm o . Wczesną jesienią zrezygnował i

odszedł. Tego się nikt po zwykłym pracowniku nie spodziewał! Z a k o n n i c e zapomnia

ły, że ogrodnik nie składał ślubów posłuszeństwa.

- Kocha swój ogród i ma wielki szacunek dla własnej pracy. Wróci - słyszałam, jak mówiły, ale się myliły. Grządki z jarzynami porosły chwastami, a ogrodnik nie wracał. I wtedy p o p r o s z o n o nas, żebyśmy wypełniły j e d e n z szalonych rozkazów matki generalnej - około dziesięciu siostrom p o l e c o n o wyrywać pokrzywy gołymi rękami. Miałyśmy nie przerywać, dopóki nie powyrywamy ich do ostatniej.

Jeżeli kiedyś sparzyliście się angielską pokrzywą, której parzydełka zostają p o d skórą, to wiecie, że ból m o ż e utrzymywać się przez dłuższy czas. W zależności od wrażliwości skóry o p a r z e n i e odczuwa się jak leciutkie - albo nie całkiem leciutkie - p o r a ż e n i e p r ą d e m . Wahaliśmy się przez chwilę, ale tylko po to, by zyskać pewność, czego od nas żą d a n o .

Chwyciłam pokrzywę o b i e m a rękami i oczywiście poraził

mnie nagły palący ból, ale doszłam do wniosku, że najlepszą strategią będzie przyłożyć się i kontynuować robotę. Pokrzywy na p a r u dużych grządkach wyrosły wysokie i gęste, jakby je tam specjalnie sadzono. W k r ó t c e dłonie i ręce poczerwieniły n a m od oparzeń. Pracowałyśmy ze dwie godziny, d o p ó ki nie wyrwałyśmy ostatniego chwastu. Potem próbowałyśmy splukać ból z rąk - i nie mogłyśmy. Woda spływała jak chłodne błogosławieństwo na wściekle palące zaczerwienienia, ale przenikliwe pieczenie nie chciało ustąpić. Nie m o g ł a m spać tej nocy, tak mnie paliły i rwały ręce, i dowiedziałam się, że nikt inny też nie mógł spać.

- Dlaczego wyrywałyśmy te wszystkie pokrzywy bez rękawiczek?

To pytanie zadała mała irlandzka zakonnica, wypowiedzia

ła je łagodnym głosem podczas rekreacji.

Wszystkie byłyśmy zainteresowane odpowiedzią i w oczekiwaniu nadstawiliśmy uszu. Matka Mary J o h n słyszała pytanie, ale ponieważ nie mogła udzielić racjonalnej odpowiedzi, nie udzieliła żadnej i tylko wpatrywała się uporczywie w swoją robótkę.

Często musiałyśmy słuchać wypowiedzi, jak wielką wartość ma cierpienie. Koncepcja, żeby zbliżyć się do Jezusa p o przez cierpienie, była ogromnie atrakcyjna dla naszego zgromadzenia. W Stella Maris żyło się intensywnie; cierpienie było codzienną pozycją w jadłospisie.

W głównej kaplicy miałam zawsze uczucie, że lepiej siedzieć cicho, by nie ściągnąć na siebie niczyjej uwagi. Wystarczająco fatalne było to, że przez mój wzrost i fakt, że się tak prosto trzymałam, myłono mnie czasami z m a t k ą Clare, osobistą asystentką matki generalnej, która chodziła wyprostowana jakby kij połknęła i miała bardzo kwadratowe ramiona.

Byłyśmy obie b a r d z o szczupłe i w butach miałyśmy niemal po dwa metry wzrostu. Tu wszelkie podobieństwo się kończyło, chyba że z rozmysłem parodiowałam jej chód. , M a t k a Clare miała klasyczne rysy, była śniadą, surową pięknnością, a jej oczy połyskiwały za dużymi okularami, dając

pewne pojęcie o błyskotliwości umysłu. Cechowała ją o g r o m n a inteligencja i w swoim czasie była wspaniałą orga-nizatorką i fantastycznie utrzymywała dyscyplinę. Wyobra

zam sobie, że b a r d z o brakowało jej w szkole, w której uczy

ła. F e n o m e n a l n e zdolności matki Clare wykorzystywane były teraz do rozwiązywania problemu, w jaki sposób ulżyć matce generalnej w jej wielu dolegliwościach.

W kaplicy czułam się b a r d z o nieswojo, wiedząc, że ktoś mnie bez przerwy obserwuje. Jeżeli usiadłam, kiedy powinn a m była klęczeć, mogłam się spodziewać upomnienia. Bolesna menstruacja i ból brzucha nie były żadnym usprawiedliwieniem. M a t k a generalna chodziła między ławkami, żeby sprawdzić, kto przysnął, a kto nie, i ocenić jakość naszych medytacji. Wołała, żebyśmy przy medytacji nie korzystały z żadnych książek poza tą, którą n a m czytano w kaplicy, chociaż przypomnienia na piśmie nie były całkowicie zakazane.

Kiedy pewnego ranka skorzystałam z mszału, żeby zmobilizować swój umysł, poruszona spacerowała t a m i z powrotem obok mnie. Siedziałam zwykle na końcu rzędu przy przejściu, żeby nie zasłaniać innym widoku na ołtarz. Habit matki generalnej szeleścił, kiedy mnie mijała, ale nie podnosiłam oczu. Wymachiwała rękami, aż różaniec grzechotał, abym zwróciła na nią uwagę. U d a w a ł a m , że nic nie słyszę, jakbym chciała ją sprowokować, by spróbowała mi wyrwać z rąk książkę. I chyba niewiele brakowało.

Później tego samego dnia zostałyśmy wezwane na salę zebrań, by wysłuchać matki generalnej. W pokoju, w którym ledwo starczało dla nas miejsca, ustawiono w rzędach lawy, a przed nimi stół i krzesło. Ja jak zwykle siedziałam na końcu rzędu, tym razem nie przy drzwiach tylko po drugiej stronie, obok wielkiego okna z szybkami oprawionymi w ołowiane ramki.

M a t k a generalna zaczęła od tego, że zarzuciła niektórym z sióstr, iż w niewłaściwy sposób wykonują zalecenia reguły i prowadzą życie religijne. Siostra Bridget, genialna nauczycielka historii, była dobrze znana ze swoich nowatorskich wykresów, a jej uczennice osiągały wyjątkowo dobre wyniki.

Ta irlandzka trzydziestoparoletnia zakonnica koordynowała pracę w swojej szkole i najwyraźniej odchodziła od zmysłów z niepokoju, że niespodziewanie musiała zostawić bez opieki swoją klasę. Widziałam jej rozpacz, kiedy na rozkaz matki generalnej p o d a r t o wykresy na strzepy i zakazano jej w ogóle wracać do szkoły. Siostra Bridget wyglądała na oszołomioną.

Nagle uwaga matki generalnej skupiła się na mnie.

- Sostro Mary Carlo - dotarł do mnie głos przerywany cichym bekaniem, wywołanym niestrawnością - o czym siostra myśli podczas medytacji?

W p a d ł a m w panikę i odpowiedzi udzieliłam natychmiast.

- O niczym - oznajmiłam i oblałam się szkarłatnym rumieńcem, raz, że zwrócono na mnie uwagę, a dwa, że moja odpowiedź była taka niemądra. Udzieliłam jej instynktownie, wypierając się



wszystkiego, jak w klasycznej operze mydlanej, chociaż niczego takiego w życiu nie widziałam.

Matka generalna skwapliwie wykorzystała mój błąd.

- Takie odniosłam wrażenie - stwierdziła, na co słuchaczki się rozchichotały.

. Siedziałam ze spuszczoną głową, zdecydowana nie odezwać się więcej słowem. Poczułam się przytłoczona tym nagłym atakiem, mózg miałam sparaliżowany i nie zdołałabym zareagować, nawet gdybym chciała. Matki generalnej nie bawiło przemawianie do t u m a n a , zostawiła mnie więc w spokoju i zaczął się wykład na t e m a t medytacji.

Po tym zdarzeniu uświadomiłam sobie, jak wątpliwa jest natura transów, w które spontanicznie w p a d a ł a m . Mogłam na przykład czytać książkę i jakiś akapit trafiał do mnie z taką siłą, że kompletnie zapominałam o otoczeniu. W takim transie mogłam być dłuższą chwilę i d o p i e r o dzwonek mnie z tego wyrywał.

Pewnego letniego popołudnia poszłam na spacer aż na koniec ścieżki dochodzącej do płotu, za którym znajdowało się pole pszenicy. Ponieważ byłam wysoka, z łatwością mogłam wyrzeć za płot; zachwyciłam się falującą na lekkim wietrze pszenicą, czerwonymi makami i niebieskimi bławatkami, które jako dziecko widywałam w Holandii. Tego dnia śpiewał

skowronek, który wydawał się niestrudzony. Jeżeli nawet opadał na krótki odpoczynek między źdźbła pszenicy, wkrót-ce znowu wzbijał się w niebo, śpiewając, jakby mu piuca lada chwila miały pęknąć, swiergocząc na c h w a ł ę . . . swojego Stwórcy? Niewidzialnej partnerki? Wolałam wyobrazić sobie, że śpiewa na chwałę Boga i sercem przyłączyłam się do tej melodii.

Skowronek dawno umilkł, słońce zaczęło zachodzić, a ja dopiero wtedy przypomniałam sobie, gdzie jestem. Tkwiłam w tym miejscu jak zaczarowana. Moje osobliwe zachowanie nie u m k n ę ł o uwadze innych sióstr. Kiedy matka generalna zapytała mnie, co się dzieje, kilka zakonnice ze zdziwieniem i ciekawością czekało na moją odpowiedź. No cóż, nic nie usłyszały. I nie było upokorzeń, które zdołałyby powstrzymać mnie od stosowania tego mechanizmu ucieczki. Już jako małe dziecko nauczyłam się uciekać do malowanego lasu na bogato złożonym obrazie w naszym salonie. Ojciec i ja spacerowaliśmy po prawdziwym lesie, który tam namalowano, z łatwością więc wyobrażałam sobie, że stoję na leśnej ścieżce, chłonę zapach szeleszczących pod stopami liści, szukam m u c h o m o r ó w i m a m się na baczności przed elfami i g n o m a m i .

• • •

D o s t a ł a m zadanie specjalne. Matka generalna udzielała instrukcji osobiście, co było absolutnie niezwykle. Siostra Angela i ja słuchałyśmy jej razem, a ja z fascynacją przyglądałam się „orangutanowi”. Podobieństwo było tak uderzające, że nie słyszałam udzielanych cichym głosem poleceń.

Uważałam, że prośba o ich powtórzenie nie byłaby zbyt rozsądna; poza tym p r z e k o n a n a już byłam, że z rozmysłem p o

łyka większość słów, żebyśmy jej przypadkiem zbyt dokładnie nie zrozumiały. Z tego spotkania z a p a m i ę t a ł a m tylko j e d n o : jej silną osobowość.

Miałam nadzieję, że siostra Angela słuchała i rozumiała więcej niż ja. Zrozumiałam tylko tyle, że odpowiadam za zebranie pomidorów, które trzeba rozesać do wszystkich domów, i że siostra Angela ma mi pomagać. Trzeba było uwzględnić aż pięć adresów, łącznie ze szkołą z internatem dla dzieci. Czy matka generalna powiedziała nam, ile ludzi jest w każdym z domów, żebyśmy mogły porozdzielać pomidory w odpowiedniej proporcji? Nie potrafiłam przypomnieć sobie nic poza tym, że mamrotała coś na temat „tutaj” i „tam”.

Zbieranie dojrzałych pomidorów z tryskającą życiem siostrą Angelą (którą znałam od czasów postulatów) było czystą przyjemnością. Z a p a c h liści ocierających się o nasze ubrania nas upajał. Każdy zerwany z krzaka dojrzały p o m i d o r (kawa

łek łodyżki zostawiałam, udało mi się zapamiętać tę część polecenia!) wypełniający mi dłoń zdrową czerwoną krągło-

ścią wydawał się małym c u d e m . Szklarnie pełne były mistycznego przepychu i słonecznego, ciepłego światła.

Kiedy płócienna torba pełna była łupów, zaczęły się schody.

- Siostrze Angelo - powiedziałam - jak siostra sądzi, ile osób przebywa teraz w Stella Maris? Czy siostra wie, ile mieszka w d o m u matki prowincjonalnej, a ile gdzie indziej?

Niestety, była nie lepiej poinformowana o d e m nie, więc z grubsza oszacowałyśmy liczbę i ruszyłyśmy w obchód, zaskakując mieszkańców naszymi darami. Nikt nie pogardził

p o m i d o r a m i , to p e w n e !

Na rozmowy nie miałyśmy zezwolenia, i czułam się taka winna, że złamałam regułę milczenia z siostrą Angelą, że szłam z nisko pochyloną głową. Mijał nas powoli jakiś autokar - prawdopodobnie pełny turystów, którym trafiła się gratka, bo zobaczyli dwa „pingwiny”; byłyśmy obie tak zażenowane i szłyśmy z tak nisko opuszczonymi głowami, że zamiast ramię w ramię przechodziłyśmy przez jezdnię pod bardzo różnymi kątami. Ten widok wywołał zapewne rozbawienie w autokarze, a ja, wstydząc się, że zachowujemy się tak niemądrze, zaciskałam zęby.

Wypełniałyśmy nasz pomidorowy obowiązek przez blisko dwa tygodnie, a p o t e m dowiedziałyśmy się, że wcale nie robimy tego dobrze. W i a d o m o ś ć dotarła do nas, kiedy matka generalna przemawiała na ogólnym zebraniu. Liczne uczestniczki uraczone zostały sarkastycznym opisem naszej głupoty, który zakończył się słowami:

- Cienia sensu nie było w tym, co o n e robiły. Przydzielając pomidory, wykazały się kompletnym brakiem zdrowego rozsądku.

Czy cała sprawa została u k a r t o w a n a po to, by pokazać nas w złym świetle? Nie miałam pojęcia. Siostra Angela nie za bardzo się tym przejęła; była osobą pełną wigoru, z cudownie dobrym

sercem i niewielkim rozsądkiem, zawsze uśmiechniętą i taką, która p e d e m w p a d a tam, gdzie anioły obawiają się stąpać. Natomiast mnie ogarniała rozpacz, bo niejasno zdawałam sobie sprawę, że tylko w j e d e n , jedyny sposób w tej skropanej instytucji można dostać odpowiedzialną pracę - trzeba zrobić wrażenie na przełożonych.

Siostra Angela i ja zostałyśmy zwolnione z obowiązku zbierania pomidorów.

Były to czasy Soboru Watykańskiego II i pierwszych rozmów w duchu ekumenizmu, co oznaczało, że chrześcijańskie kościoły uczyły się szanować wzajemnie swoje podobieństwa i różnice.

W styczniu 1959 roku, w trzy miesiące po objęciu urzędu, papież Jan X X I I I zwołał Sobór Watykański. Było to niezmiernie trudno osiągnąć; Sobór zaczął obrady dopiero w październiku 1962 roku, a większość dzieła papieża została ukończona dopiero po jego śmierci.

Papież Jan X X I I I zdołał jakoś przełamać konserwatywny sposób myślenia Kurii. W wyniku tego powstał ruch zwany A g g i o r n a m e n t o .

Tak więc miałyśmy zgłębiać wyniki badań nad Biblią, dokonanych przez kościół anglikański (katolicy nie palili się za bardzo do Świętej Księgi po tym, jak na swój użytek wydrukował ją Henryk VIII). M a t k a Clare odpowiedzialna była za studia biblijne i zdecydowanie reagowała na nasze pełne zgorszenia reakcje.

- To chyba oczywiste, że Jezus mógł mieć braci!

- Bez wątplenia jest prawdą, że nie mogli urodzić się 25 grudnia, ponieważ w tym czasie w okolicach Betlejem jest za zimno, by owce mogły pozostawać na zewnątrz. Mędrcy ze W s c h o d u t o p r a w d o p o d o b n i e tylko symbole, p o d o b n i e jak ich dary, złoto, kadzidło i mirra.

U r a c z o n o nas pewnymi koncepcjami, od których naprawdę oczy n a m na wierzch wychodziły.

- Jezus mógł być nieślubnym synem rzymskiego żołnierza i to dlatego Józef tak się dręczył tym, czy kazać swoją narzeczoną ukamienować, czy nie. Mogłoby to tłumaczyć, dlaczego Jezus dorastał wśród eseńczyków i uczył się, by zostać kap ł a n e m , które to nauki później zdradził, kiedy ujawnił ich tajemnice dotyczące zdrowia i inną zakazaną wiedzę.

Cóż za gorszące hipotezy! Z takich śmiałych, jawnych dyskusji kościół katolicki w dużej mierze się wycofał, kiedy wielki duch papieża J a n a opuścił ziemię, a nadmiernie szczery następca Pawła VI umarł w zaledwie trzydzieści trzy dni po rozpoczęciu pontyfikatu.

N i e k t ó r e z Wiernych Towarzystek Jezusa były w tym k o n k r e t n y m czasie o t w a r t e n a n o w e koncepcje, ale w większości p o s t ę p w zakonie stawał się coraz wolniejszy, aż wreszcie uległ z a h a m o w a n i u . Szczególnie w Irlandii pozostał wierny t e m u , co wydawało się całkiem d o b r e od niepamiętnych czasów.

Kiedy nie uczyłyśmy się ani nie modliłyśmy, wypełnia

łyśmy liczne obowiązki. Pozwolę sobie powiedzieć, że zarabiałymy na swoje utrzymanie, pracując w domu i w ogrodach. W czasie rekreacji wykonywałyśmy również cudowne hafty. Ja ubrałam całą serię lalek, ozdobiłam haftami nawet ich hałeczki. Co się stało z nimi czy z obrusami, serwetkami albo serwetkami, które tak po mistrzowsku ozdabiałymy?

Niespodziewanie trafiła mi się całkiem inna praca. Matka Mary John zatrzymała mnie na korytarzu.

- Siostrze Carlo, siostra, która zwykle przygotowuje pokój do śniadania dla księdza, jest chora. Czy pod jej nieobecność zechciałaby siostra wykonywać tę posługę?

Poproszono mnie, a nie rozkazano, zauważyłam to i odpowiedziałam, że z radością ją zastąpię. Naprawdę nie sądziłam dotąd, że dysponuję czymś tak wyrafinowanym jak salonowe maniery. Cóż, nie ma co zwlekać, przystąpiłam więc do pracy z odwagą, ale i małą pewnością siebie.

Do tej pracy potrzeba było dwóch kobiet: jedna siostra przygotowywała tacę ze śniadaniem w kuchni, a druga zajmowała się podawaniami. Rozkładała te nerwy koło tylko jedno - z dnia na dzień nic się nie zmieniało, to samo jedzenie, sztuczce, naczynia i serwetki, tace, ta sama procedura. Jediną rzeczą, jaka w ogóle się zmieniała, były kwiaty w małym flakoniku. Zdecydowanie najbardziej w tej pracy lubiłam zrywanie kwiatków w bujnym ogrodzie, jedne go tu, drugie tam, by ozdobić nimi nakrycie.

Wszystko było dobrze, tylko że nie byłam przygotowana na to, że ksiądz się do mnie odezwie. W tamtym tygodniu akurat ksiądz był całkiem ludzki i pewnie chciał poznać nową siostrę. Rzucił sporadycznie jakieś uwagi towarzyskie, co wydawało się trochę niestosowne, bo przecież musiał wiedzieć o regule milczenia obowiązującej podczas trzeciego roku nowicjatu. Odpowiadałam, uprzejmie i krótko, i tak minął

tydzień. Chorą zakonnica, którą zastępowałam, albo nie poprosiła, by przywrócić ją do obowiązków, albo nie wyzdrowiała, bo zaczęłam obsługiwać księdza drugi tydzień. Naprawdę wciągnęłam się w tę robotę. Księża się czasem zmieniali, ale zwykle zachowywali się z rezerwą, byli uprzejmi i nieabsorbujący.

Nie trwało to długo. Pewien irlandzki ksiądz zaczął pytać mnie o plany na ten dzień i o to, skąd się wzięłam w Anglii.

Bardzo to było denerwujące - jakoś z a n a d t o ludzkie, zanadto przyjazne - ale nie pomyślałam, by szukać porady u moich przełożonych. I któregoś ranka nie zdołałam się powstrzymać i opowiedziałam mu stary kawał o rolls-roysie. Wcześniej on opowiedział mi dowcip i uznałam, że mogę mu się zrewanżować tym samym.

Wybuch śmiechu musiało być słychać na całym piętrze.

Matka generalna jadła śniadanie w pobliskiej sali i, jak było do przewidzenia, tego samego ranka matka Mary J o h n wezwała mnie do siebie. Uklękałam zgodnie ze zwyczajem i wysłuchiwałam reprimendy. Usłyszałam, że opowiadanie kawałów nie należy do moich obowiązków i jest poważnym naruszeniem reguły milczenia. Miałam natychmiast zostać odsunięta od obowiązków „na salonach”.

Nie zmartwiło mnie to z a n a d t o - tak czy owak nie za bardzo wiedziałabym, jak się zachować n a s t ę p n e g o ranka. Problem w tym, że cała praca spadła teraz na moją p a r t n e r k ę , a ona miała wielkie kłopoty, by samodzielnie uporać się ze wszystkim. Widywałam ją, jak pędzi przez refektarz z tacą sztućców i naczyń, a p o t e m z tacą jedzenia; sama zasiadała do śniadania d o p i e r o wtedy, jak już wszystko wystygło.

Ta sytuacja ciągnęła się przez wiele dni, aż wreszcie matka Mary J o h n wzięła mnie na stronę i zasugerowała, że powinnam przeprosić i wrócić do pracy. Co takiego? Ten pomysł

był tak nedorzeczny, że stanowczo go odrzuciłam.

' - Nie, dziękuję matce, nigdy już nie wrócę do tej pracy.

Jeżeli nie byłam wystarczająco dobra wtedy, to nie byłam wystarczająco dobra i teraz, a fakt, że tamta siostra borykała się z trudnościami, nie miał ze mną nic wspólnego. Jeżeli p o d d a n o mnie jakiemuś dziwnaczemu testowi, z miłą chęcią byłam gotowa go oblać!

••>•

Przyszła zima, pora potężnych wichrów i sztormów. Bezlitośnie smagały cypel. Musiałyśmy przechodzić z d o m u matki prowincjonalnej do głównej rezydencji i z p o w r o t e m c o r a n o i c o wieczór, pilnując się, aby nie spaść po drodze z urwiska.

Parasole przy takiej wichurze okazywały się bezużyteczne, więc zostawiałyśmy je w d o m u . Trzymałyśmy się za dłonie, idąc gęsiego w sześć czy coś koło tego, i podnosiłyśmy się na duchu! R a

z e m ciągnęłyśmy j e d n a drugą pod wiatr, peleiyny lepiły n a m się do ciała, mozolnie człapałyśmy przed siebie w kaloszach. J a k nas cieszyły te szalone i wietrzne dni! To prawda, mokłyśmy, ale peleryny były z dobrej serży, a plastikowe czepki na głowach chroniły przed najgorszym deszczem. Nie ma to jak odświeżający wysiłek fizyczny, żeby z p o w r o t e m ucłowieczyć uduchowionych ludzi. W oczach nobliwych, starszych członkiń naszej społeczności Australijki zyskały coś zbliżonego do statusu bohaterek, gdyż dzielnie stawiały czoło naturze. To już nie najgorzej. Cztery razy dziennie przemierzałyśmy trasę pomiędzy głównym d o m e m a d o m e m matki prowincjonalnej, co p r a w d o p o d o b n i e przyczyniło się do tego, że zachowałyśmy zdrowe zmysły. Z a s a d a spuszczonego oczu pozwalała mi na stały kontakt ze wszystkim, co rosło na ziemi na trasie. Natura była moim sprzymierzeńcem jak zawsze.

Boże N a r o d z e n i e było coraz bliżej, p o d o b n i e jak ciężkie od śniegu niebo i przytulne ciepło w ogrzewanej sali rekreacyjnej. Podczas sześciu tygodni adwentu zdecydowałyśmy się na dodatkową pokutę, nic trudnego, jeżeli było się wrażliwym na zimno. J e d n a k wszystkie pokutowałyśmy przymusowo, kiedy do śniadania p o d a w a n o zimną herbatę. Usłyszały

śmy, że to gotowa pokuta. A miało być jeszcze gorzej: matka generalna doszła przy lunchu do wniosku, że na czas adwentu brak herbaty w ogóle mógłby być jeszcze bardziej o d p o wiednią pokutą.

Wyczułam, że kilka osób wokół mnie się zjeżyło, zwłaszcza świecka siostra rezydentka odpowiedzialna za pralnię, która od lat doprosić się nie mogła, żeby pranie można było płukać w cieplej wodzie. Mieszkała w Stella Maris od kilku lat i otaczająca to miejsce mistyczna aura trochę zaczęła blednąć.

Poza tym ta siostra miała donośny głos.

- Wszystkie się pochorujemy! - wykrzyknęła.

I miała rację - zaczęły się pojawiać przeróżnego rodzaju objawy abstynencyjne. Po tygodniu przywrócono gorącą herbatę, co przyjęłyśmy z wielką ulgą. Wszystkie byłyśmy od niej m o c n o uzależnione. Byłyśmy normalnymi kobietami, chociaż żywiłyśmy górnolotne przekonanie, że żyjemy w oderwaniu od spraw ziemskich.

W dzień Bożego N a r o d z e n i a doczekać się nie mogłyśmy, aż zacznie się zabawa. Długie uroczystości w kaplicy dobieg-ty końca i wszystkie tłoczyłyśmy się na sali rekreacyjnej, wpatrując się w liczne miski ze słodyczami na stole i czekając, aż pojawi się m a t k a generalna, żebyśmy mogły złożyć jej życzenia wesołych świąt i zabrać się do czekoladek, miętówek i lizaków.

M a t k a generalna n a p r a w d ę obawiała się, że zbyt wiele rzeczy przyjmujemy za oczywiste. M a t k a Clare wpadła na salę, jakby się paliło, i zmiotła ze stołu wszystkie miski. D o p i e ro jak słodycze zniknęły, pojawiła się m a t k a generalna i sztywno, jak jakiś król na zamku, usadowiła swoją potężną osobę na krześle u szczytu stołu, j e d n ą dłoń oparła na kolanie, przedramię drugiej ułożyła na blacie.

- Jezus - powiedziała (przerwa) - urodził się w zimnej stajence - przerwa - a my - przerwa - jesteśmy

jego towarzyszami. Objadanie się słodyczami nie jest właściwym sposobem świętowania Bożego Narodzenia!

Jej zachowanie było dokładnie wyreżyserowane. Przyglądając się nam, dodała:

- Jest na świecie wielu głodujących ludzi. Pomyślmy o nich dzisiaj.

To właśnie takie wzniosłe sentencje i śmiałość, z jaką głosiła swoją prawdę, przynosiły jej szczególny szacunek. Kaza

ła nam wierzyć, że jeżeli któraś nie rozumie tego, co ona mówi, to jest głupia. Matka generalna miała wiele pewności siebie i niezaprzeczalne zdolności dyktatorskie, które w pełni wykorzystywała.

•••

Zima była porą przeziębień i grypy. Przez jakiś czas pomagałam innym zakonnicom, kiedy chorowały, a potem sama zapadłam na jakąś tajemniczą dolegliwość. Dostałam tak wysokiej gorączki, że przydzielono mi siostrę, która miała nademną czuwać i podawać mi określoną porcję lekarstwa. By

ła to młoda zakonnica najwyraźniej pochłonięta czymś innym niż to chwilowe zajęcie. Miałam oczy zamknięte, ale wyczuwałam jej niepokój. W końcu przemówiła.

- Niech siostra posłucha - zwróciła się do mnie poważnie -

czy może siostra sama zażyć te tabletki? - tu wymieniła porę.

Majaczyłam, ale uznałam, że poradzę sobie z tabletkami zgodnie z instrukcją. Po jakimś czasie nie miałam jednak pojęcia, co zażyłam, a czego nie. Czy połknęłam te tabletki, czy tylko to sobie wyobraziłam? I o której miałam je zażyć? Postanowiłam zażyć tabletki, które leżały przygotowane na talerzyku. Kiedy moja opiekunka wróciła, przeraziła się. Wybiegła znowu, bardzo poruszona, a ja natychmiast zasnęłam.

Obudziłam się, jak mi się zdawało, w środku nocy, musia

łam iść do toalety. Było ciemno, choć okno było otwarte. Nic nie widziałam, ale wiedziałam, którądy iść, więc po omacku opuści

łam dormitorium i korytarz i poszłam do toalety.

Próbowałam włączyć światło, ale światła nie było. Poszłam dalej, ale znowu nie miałam szczęścia. Założyłam, że widocznie jest jakaś awaria prądu albo wszystkie żarówki się przepaliły. Udało mi się skorzystać z toalety, dotarłam jakoś do łóżka i zasnęłam znowu. Mój świat był czarny jak smoła, ale zorientowałam się, że jest już dzień, bo wokół mnie hałasowały siostry. Niezależnie od tego, co to były za tabletki, oślepnęłam po nich.

Ktoś przyszedł zapytać, jak je zażywałam, zbeształ mnie za głupotę i zostawił w spokoju. Nie miałam pojęcia, czy odzyskam wzrok czy nie, i z dziwną rezygnacją myślałam o tym, co może mnie czekać. Przez wiele dni budziłam się w ciemno

ściach i sprawdzałam, co słyszę, by zorientować się, czy jest dzień czy noc.

Aż wreszcie p e w n e g o ranka zobaczyłam znowu na oczy wyblakły świat. Zaczynałam przychodzić do siebie. Prosiłam o d r o b n e prace, które mogłam wykonywać w łóżku podczas rekonwalescencji, jak obieranie ziemniaków, jabłek czy łuskanie grochu. Zdumiewające ciepłarnie produkowały jarzyny przez cały rok.

Siostra, która popełniła błąd, przyszła przeprosić, co było jej obowiązkiem, i na tym się sprawa skończyła. W sumie cieszyłam się swoją chorobą, bo dała mi wytchnienie od codziennej rutyny.

Znowu dostałam silnego zatwardzenia, p o d o b n i e jak niegdyś w Australii, kiedy byłam nowicjuszka. Tym razem środki przeczyszczające nie zadziałały, więc p o d a n o mi duży kubek b a r d z o słodkiej herbaty i kazano położyć się na boku na stole w infirmerii, z odsłoniętymi pośladkami.

Infirmariuszka popatrzyła na mnie, jakby zastanawiała się, czy wiem, jak się to wszystko skończy, ale reguła milczenia najwyraźniej nie pozwalała jej na żadne wyjaśnienia. Włoży

ła rękawiczki, zanurzyła rękę w słoiku z wazeliną i podeszła do mnie tak, jakby trzymała naładowaną broń. Przyglądałam się jej twarzy podczas całej operacji: nie patrzyła na to, co robi, obserwowała mnie jednak, a wyraz jej twarzy niczego nie zdradzał.

Kiedy ta strategia zaczęła działać, poczułam w końcu obrzydliwe objawy ulgi, ale d o p i e r o po chwili p o l e c o n o mi,

•żebym usiadła na sedes. Doszłam do wniosku, że lepiej dać sobie spokój z pokutnym soleniem herbaty, a zamiast tego m o c n o ją słodzić.

Później tego samego roku zatrzymał mi się okres. Nie martwiłam się tym, bo przeżyłam p o d o b n ą przerwę jako postulantka w klasztorze G e n a z z a n o . Klęcząc przy fotelu wielebnej matki Winifred i podnosząc oczy na jej szeroką twarz, nieśmiało poruszyłam temat, który mnie niepokoił.

- Wielebna m a t k o - zaczęłam nieśmiało - od czterech miesięcy nie miałam okresu.

Ciało matki zakołysało się w fotelu, a p o t e m odparła z ca

łym p r z e k o n a n i e m człowieka, który wprowadza cię w błąd:

- To absolutnie nic nie znaczy, siostró Carlo.

Ale siostry w Stella Maris potraktowały sprawę zupełnie inaczej!

M a t k a Mary J o h n zareagowała na doniesienie siostry ma-gazynierki, że od pięciu miesięcy nie pobierałam podpasek, wzywając mnie do swojego gabinetu. Tam obydwie z magazy-nierką



wypytywały, co robiłam.

- D o k ą d siostra chodziła?

*Dokąd chodziłam? Nigdzie specjalnie nie chodziłam.* Przesłuchujące mnie zakonnice przyglądały mi się bacznie. Atmosfera była pełna napięcia.

M a t k a Mary J o h n w końcu wyraziła się bardziej precyzyjnie.

- Czy bywałaś w ogóle we wsi, siostro?

- Nie, nie bywałam we wsi. Wcale. Dlaczego?

Chyba poczuły ulgę i przekazały mnie infirmariuszce, która oceniła, że cierpię na brak żelaza i dała mi jakieś tabletki.

Po krótkim czasie okresy wróciły i „wszystko było dobrze”.

Minęły lata, zanim zrozumiałam, z jakiego powodu tak się niepokoiły: *zastanawiały się, czy nie jestem w ciąży!* Był to niedorzeczny pomysł, ale uśmiechnęłam się, myśląc o implikacjach - domyślałam się, że jeżeli mnie podejrzewały, to coś takiego musiało się kiedyś zdarzyć.

Przyszła wiosna. Miałam ochotę krzyczeć z zachwytem, kiedy widziałam, jak kiełkują przebiśniegi; a p o t e m narcyzy i żonkile, które machały do m n i e *en masse*, kiedy je mijałam, i hiacynty, tulipany i dzwonki. W rześkim powietrzu ich woń wydawała się przenikliwa i rozkoszna. Marzyłam, żeby porozmawiać z kimś o całym pięknie, które wokół siebie widziałam, zupełnie jakby inaczej mogło przepaść. Oczywiście m o g ł a m to zrobić d o p i e r o w porze rekreacji. Ale mówiąc wtedy na ten temat, czułam się b a r d z o głupio, bo od chwili, kiedy moje uczucia były takie osobiste i poetyczne, minęło już wiele godzin. Nie wstydziłam się płakać, kiedy spacerowałam wśród kwiatów. J e d n a k przynajmniej w takich chwilach rozpaczliwie żałowałam, że nie m a m serdecznego przyjaciela, z którym dzieliłabym życie, kogoś, z kim mogłabym podzielić się najgłębszymi doznaniem mojej duszy. Jezus był

za daleko; potrzebny był mi ktoś realny, z kim mogłabym porozmawiać. Najzarliwszym przywiązaniem darzyłam coś, co wyczuwałam w głębi serca, ale jeśli chodzi o Jezusa - nie p o trafiłam obdarzyć go twarzą. Nigdzie nie dawało się znaleźć opisu, jak wyglądał, a sentymentalne święte obrazki pokazywały zniewieściałego potulnego mężczyznę, nie takiego Jezusa, w którego m o g ł a m wierzyć. W Ewangeliach nie znalazłam opisu Jezusa śmiejącego się, uśmiechniętego czy tulącego tych, którzy przy nim byli.

Przebywałam w Stella Maris od około dziewięciu miesięcy, kiedy Foreland ogarnęła epidemia grypy objawiającej się ostrą biegunką. Całkiem sporo sióstr się zaraziło, ale ja trzym a ł a m się nieco dłużej. Zgodnie ze zwyczajem porozumiewa

łyśmy się z infirmariuszką na piśmie, zostawiając informację w skrzynce. Działo to dobrze, jeśli infirmariuszką zadała sobie trud, by systematycznie opróżniać skrzynkę, albo nie było sytuacji kryzysowej.

Kiedy w końcu dostałam skurczów żołądka, wetknęłam notkę z opisem objawów do skrzynki. Potem czekałam na reakcję. Wiedziałam, że to głupota, a nawet przekora - im szybciej się ktoś mną zajmie, tym lepiej - ale chciałam poka-

zać, czym naprawdę jest ten system i reguła milczenia, która nie pozwalała mi w żadnej sprawie wypowiedzieć się bezpo-

średnio i na głos. W końcu zaczynałam się złościć.

Spędziłam większość dnia w pobliżu toalet. Była Wielkanoc, dom pękał w szwach od gości; wszyscy pląтали się tu i tam, przygotowując wszystko do obchodów Wielkiejnocy w kaplicy. Nie wzięłam udziału w modlitwach i nie pokaza-

łam się na lunchu, ale nikt tego nie zauważył.

Toalety w Stella Maris fascynowały mnie w pewien szczególny sposób, bo w sośnie, którą obite były drzwi i ściany, zwidywały mi się różne obrazy - takie jak iemożna zobaczyć w chmurach. Był tam warczący wilk, smok, nimfa, twarze, drzewa, cały krajobraz w słojach sekatego drewna.

Umilałam sobie czas, podziwiając zwierzęta i elfy w sosnowych listewkach, potem postanowiłam narysować to, co widziałam, więc zabrałam do toalety swój szkicownik. I wtedy wydarzyła się zdumiewająca rzecz: zwierzęta i elfy zniknęły! Było to przedziwne przeżycie: w jednej chwili je widziałam, a zaraz potem, jak chciałam je narysować, już ich nie było, chociaż spuściłam je z oczu tylko na moment.

Zupełnie jakby bawiły się ze mną w chowanego. Czuję się ogłupiała i zbita z tropu; niewykluczone, że na tym etapie już majaczyłam.

Skurcze dokuczały mi coraz bardziej i całymi godzinami chodziłam tam i z powrotem po wyludnionych korytarzach i pustych pokojach, kiedy wszyscy byli w kaplicy. I nagle pojawiła się podenerwowana infirmariuszka. Moja notka dotar-

ła do niej po całych dwóch dniach i nie mogła uwierzyć, że nic jej nie powiedziałam. Weszłyśmy do pokoju obok, gdzie wypytała mnie o objawy, a potem kazała mi poczekać. Wróciła z matką Clare, której oczy zrobiły się wielkie z zakłopotania, i w rezultacie zostałam odizolowana od wszystkich, umieszczono mnie w Knoll.

Knoll służył od czasu do czasu jak odom gościnny, ale przez większość roku stał pusty. Był najdalej położonym od głównego domu budynkiem z czerwonej cegły, czteropiętrowym, z krętą klatką schodową. Przypominał jeden z tych wysokich szkieletowatych domów, jakie ogląda się na filmach o duchach; kolejne piętra miały coraz mniejsze rozmiary, tak że w pokoiku na samej górze mieściły się tylko trzy łóżka. Miałam spać w tym pokoiku na samej górze, który niewiele był lepszy od stryszku i nie miał zasłon w oknach. Nie było światła - żarówka spaliła się dawno temu i nikt nie zadał sobie trudu, by ją zmienić. Ale nie można powiedzieć, żeby w nocy było tam ciem-

m n o . L a t a r n i a m o r s k a N o r t h F o r e l a n d regularnie omiatała wszechogarniającym światłem cały pokój.

Poza m n ą nikt w tym samotnym budynku nie mieszkał.

Drzwi na parterze zawsze zamknięte były na klucz. Jakaś nowicjuszka trzy razy dziennie zostawiała dla mnie tacę z jedzeniem i czystą bieliznę. Infirmariuszka przysłała raz, by p o p r o sić mnie o próbkę kału, p o t e m kazała milczącej zakonnicy odbierać je raz na kilka dni. Nigdy nie p o w i a d a m i a n o mnie o wynikach, a na tacy z jedzeniem pojawiały się pod filiżanką herbaty polecenia na piśmie, takie jak: „Posprzątaj dziś, siostrze, na schodach”; albo m o ż e następnego dnia: „Dziś nic nie r ó b ” ; albo „Leż dzisiaj w łóżku”; a raz liścik od matki Mary J o h n z pytaniem, czy nie potrzebuję jakichś książek.

Ten liścik wskazywał, że przynajmniej wie, gdzie jestem, i że 0 mnie nie zapomniała. Zabrałam ze sobą życiorys naszej za

łożycielki, biografię świętej Teresy z Avila oraz regulamin.

Nie miałam pojęcia, o jaką książkę mogłabym prosić, skoro m a m wybór. Przez myśl mi nie przeszło, by poprosić o powieść. W końcu poprosiłam o książkę o życiu świętych.

Mój umysł wyłączał się coraz bardziej, jak nigdy dotąd.

Nie miałam jak dowiedzieć się, kiedy zakończy się moja izolacja, i pogodziłam się z myślą, że może jeszcze potrwać. Nie przestawałam sprzątać w pokojach i na schodach, zabierałam jedzenie spod drzwi kuchennych, zwykle zjadałam je zimne, dużo czytałam, medytowałam nad tym, co przeczytałam. Nap r a w d ę chciałam zrozumieć zasady i znaczenie życia m a d a m e de Bonnault d'Hoiiet. W nocy rozbierałam się między jednym błyskiem latarni morskiej a drugim i samotnie kładłam się spać.

• Tygodnie mijały mi jak we śnie. Biegunka d a w n o ustąpiła, ale czułam się straszliwie słaba. Byłam taka głodna! Mog

łabym zjeść trzy razy więcej niż to, co zostawiano mi pod drzwiami.

Czułam, że jedyną osobą, która zachowała jeszcze choćby szczątkową wiarę w moją szczerą, jestem ja sama. To bolesne uczucie, ale radziłam sobie z nim, poddając się wszystkiemu, co się działo. Nie w p a d a ł a m w szał, nie narzekałam, nigdy nawet nie sprawdzałam drzwi, żeby przekonać się, czy b ę d ę mogła wyjść albo uciec. Byłam ślepo i przerażająco posłuszna. Niewykluczone, że rzucałam matce generalnej wyzwanie, niech mnie spróbuje zabić albo niech robi ze mną, co chce. Ż a d e n jej postępek nie naruszyłby w najmniejszym stopniu spokoju mojego umysłu.

Przyszedł dzień, kiedy powiedziano mi, że m a m wrócić do społeczności z a k o n n e j . Byłam jak duch, k t ó r e m u k a z a n o opuścić widmowy dom w krainie cieni i wrócić do krainy żyjących. Świat się zmienił. Wszystko było za jaskrawe!

I wszystko poruszało się tak szybko! M a t k a Mary J o h n wyjaśniła mi, że p o d e j r z e w a n o , iż

z a p a d ł a m n a j a k ą ś z a r a ż l i w ą c h o r o b ę , a l e z a g r o ż e n i e j u ż m i n ę ł o . S p r a w d z i ł a m n a k a l e n d a r z u i o k a z a ł o s i ę , ż e p r z e b y w a ł a m w i z o l a c j i p r z e z s z e ś ć t y g o d n i .

Straszliwie wychudłam; nadgarstki miałam przezroczyste; została ze mnie sama skóra i kości.  
Marzyłam o T Ł U S Z

C Z U ! P r z y ś n i a d a n i u n a s t ę p n e g o r a n k a , a m u s i a ł a t o b y ć n i e d z i e ł a , b o d o s t a ł y ś m y b e k o n , o d e s ł a ł a m s w ó j t a l e r z z p r o ś b ą o d o k ł a d k ę i w y s z e p t a ł a m : „ Z t ł u s z c z y k i e m , p r o s z ę ” . M o j a p r o ś b a n i e d o t a r ł a d o a d r e s a t k i , a j a c h ę t n i e w y l i z a ł a b y m t a l e r z d o c z y s t a , t a k b a r d z o ł a k n ę ł a m t ł u s z c z u .

Przyszła p o r a r e k r e a c j i . J a k j a s i ę c i e s z y ł a m , ż e s ł y s z ę l u d z k i e g ł o s y ! P r z y ł ą c z a ł a m s i ę d o n i c h , k i e d y t y l k o m o g ł a m , ż a r t o w a ł a m , ś m i a ł a m s i ę i z z a s k o c z e n i e m u s ł y s z a ł a m p r o ś b ę m a t k i M a r y J o h n , k t ó r a n a s p i l n o w a ł a , ż e b y m s i ę w i ę c z e j o d z y w a ł a . T a k k i e r o w a ł a r o z m o w ą , ż e b y z a p e w n i ć m i m o ż l i w o ś ć w y p o w i a d a n i a s i ę ! T e n j e j g e s t g ł ę b o k o m n i e w z r u s z y ł .

Wykształcił się we mnie teraz jeszcze silniejszy odruch, by ze względu na posłuszeństwo znosić wszystko i wykonywać każde choćby najgłupsze polecenie. Nastawiłam się, że to, co dziwaczne, będzie n o r m a l n e . R o z k a z y w y d a w a ł y m i s i ę g ł u p i e , n a w e t j e ż e l i t a k i e n i e b y ł y , i c z ę s t o ź l e r o z u m i a ł a m p o l e c e n i a . Z a k a ż d y m r a z e m , k i e d y t e j d e s z c z o w e j w i o s n y w y c h o d z i ł a m n a z e w n ą t r z , w k ł a d a ł a m d u ż e k a l o s z e , a p o t e m z a c h o d z i ł a m d o d o m u o d f r o n t u , m i m o ż e w y r ą ż n i e p o l e c a n o n a m t e g o n i e r o b i ć . S t r a c i ł a m r o z e z n a n i e i n i e f r a s o b l i w i e s i ę t y m n i e p r z e j m o w a ł a m .

W końcu m a t k a M a r y J o h n w e z w a ł a m n i e n a r o z m o w ę .

Siedziałyśmy w wykładanej poduszkami wnęce sali rekreacyjnej. Spojrzała na mnie znad okularów i po jej brązowych oczach p o z n a ł a m , ż e n i e g n i e w a s i ę , t y l k o j e s t n i e c o z a n i e p o k o j o n a .

- Muszę niedługo złożyć raport o wszystkich trzeciorocz-nych nowicjuszkach - zaczęła. - Co m a m p o w i e d z i e ć m a t c e g e n e r a l n e j o t o b i e ? Ż e z g ł u p i a ł a ś ?

Wyczuwałam, że to nie brak życzliwości. Po prostu beszta

ła mnie, zachęcając tym samym, bym się broniła. Poczułam, że zbiera mi się na śmiech, którego nie potrafię opanować.

Miał swoje źródło w zrozumieniu, że jest ktoś, kto się o mnie troszczy; m a t k a M a r y J o h n p r z y p o m n i a ł a m i , ż e j e s t e m k o c h a n a p r z e z B o g a i ż e w s z y s t k o j e s t w p o r z ą d k u . Z a ł a ł o m n i e p o c z u c i e u l g i i s p o w o d o w a ł o , ż e z r o b i ł a m s i ę l e k k o m y ś l n a .

- Dobrze! W porządku! Niech matka tak robi! - Roze

śmiałam się, a p o t e m z d u s i ł a m ś m i e c h i d o d a ł a m : - O c h , n i e !

Proszę jej tego nie mówić! - ale nie m o g ł a m s i ę p o w s t r z y m a ć . - O B o ż e ! - w y k r z t u s i ł a m , t e r a z j u ż p ę k a j ą c z e ś m i e c h u - c h y b a m u s i a ł a m z w a r i o w a ć !

A p o t e m d o d a ł a m c o ś , c o w d a n y m m o m e n c i e b y ł o a b s o l u t n ą p r a w d ą :

- Nie obchodzi mnie, co ma t k a generalna o mnie myśli! -

i dalej się śmiałam. Moja przełożona rzuciła mi zagadkowe, pełne współczucia spojrzenie, przez chwilę było o n o nawet rozbawione, a p o t e m błysk w jej oczach zgasł i odwróciła się.

Bez wątpienia wiedziała już, że z takim nastawieniem daleko nie zajdę. W jednym i tym samym m o m e n c i e byłam równocześnie normalna i nienormalna. Czułam, jak pulsuje we mnie świeża n i e p o h a m o w a n a wesołość, p o d o b n a do wolno

ści, oraz lekkomyślność, p o d o b n a do wyroku śmierci.

Nie miałam pojęcia, że kości już zostały rzucone. Miało wyglądać na to, że nie jestem wystarczająco dobrze przygotowana zawodowo, by wrócić do Australii, ale n a p r a w d ę rzecz w tym, że miałam holenderski paszport i dla australijskich urzędników byłam cudzoziemką. Po ponadczteroletniej nieobecności musiałabym starać się o pozwolenie na ponowny wjazd do kraju jako przesiedleńca. Ponieważ nie miałam p o j ę c i a o tych kwestiach - nikt mi nie powiedział - dało to matce generalnej okazję, by zastosować w stosunku do mnie upiorny n u m e r z ł a m a n i e m charakteru.

Z o s t a ł a m do niej wezwana. Przyglądała mi się z pogardą w wielkich oczach, kiedy przed nią nerwowo klękałam. Z a u w a ż y ł a m z fascynacją, że ma szare, zażawione oczy i że bawi się moim kosztem.

- Nie pojedzie siostra z powrotem do Australii. - Te słowa zabrzmiały jak wyrok. - Nie możemy nikomu zwać na gło-we siostry w takim stanie. - Tu otrzepała j e d n ą pomarszczoną dłoń drugą dłonią. - Pojedzie siostra do Brukseli, gdzie będzie siostrę szkoliła m a t k a Josephine.

Przygryzłam wargę i walczyłam ze łzami. Pozostałe Australijki miały za miesiąc popłynąć do d o m u . Będzie mi ich brakować, oraz przyjemności, jaką dawała swoboda na p o k ł a d z i e statku. Poza tym od imienia matki Josephine zrobiło mi się ciężko na sercu; była to Irlandka pragnąca się wybić, bystra i energiczna.

Kiedy bluszcz na m u r a c h zaczynał zmieniać kolor, moje australijskie towarzyszk i opuściły Broadstairs i pojechały do d o m u . Ta szczęśliwa piątka właśnie miała za sobą angielskie lato i jechała do d o m u do Australii, gdzie znowu będzie lato.

Od nowego semestru zaczną uczyć. Pożegnałyśmy się szybko, przygnębione. Ani o n e , ani ja nie potrafiłyśmy wyobrazić sobie, z jakiego dokładnie powodu kazano mi zostać w Anglii ani na jak długo. Nie n a m zadawać pytania.

Zima złych snów

Jakiś smętny, samotny p r o m zabrai nas z D o v e r do Calais; p o t e m moja nowa m a t k a przełożona i ja wsiadłyśmy do szarego, b r u d n e g o pociągu, by pojechać do Brukseli. Podróżowałyśmy przez całą drogę w milczeniu, co wydawało się dziwnie, niegrzeczne, a matka J o s e p h i n e była istnym wcieleniem elegancji. Może po prostu pograżyła się głęboko w myślach.

M a t k ę J o s e p h i n e czekała po powrocie ciężka praca. Kierowanie klasztorem w Brukseli to

była wielka odpowiedzialność; potrzebowała całego swojego fenomenalnego rozsądku, odwagi i wytrwałości, by wyjść na prostą.

Wielebna matka była kobietą nieprzeciętną. Miała około czterdziestu lat, kiedy ją poznałam, była dobrze z b u d o w a n ą Irlandką o bardzo bladej, ale pięknej, zaokrąglonej twarzy.

U wielu osób bladość nie byłaby atrakcyjna, ale do matki J o s e p h i n e jakoś wyjątkowo pasowała, przydając eterycznej urody jej regularnym rysom i otaczając ją aurą zwodniczej delikatności. Na jej twarzy najbardziej wyróżniały się pełne, różowe, ruchliwe usta. Wargi, które aż prosiły się o pocałunek! Byłam pewna, że ofiara celibatu była w jej przypadku dużo trudniejsza niż w moim; przecież matka Josephine m o -

gta odnosić o g r o m n e sukcesy towarzyskie! Kiedy otwierała usta, łatwo było dać się urzec melodyjnemu irlandzkiemu akcentowi, przywodzącemu na myśl opowieści o celtyckich czarownicach, elfach i wróżkach. W okularach jej wyraziste oczy wydawały się jeszcze większe, a niektórym co bardziej p r o stodusznyim ludziom, intrygująco niewinne.

M a t k a J o s e p h i n e zdecydowanie nie była ani naiwna, ani delikatna. Mogłaby odnieść sukces jako polityk, gdyby w latach sześćdziesiątych kobiety brały czynny udział w polityce.

W czasach Margaret T h a t c h e r z łatwością prześcignęłaby tę d a m ę w inteligencji, zdolnościach strategicznych i sprawnie

ści werbalnej, a poza tym całej Wysokiej Izbie zamknęłaby usta swym irlandzkim urokiem. M a t k a J o s e p h i n e wykorzystywała te umiejętności w swojej własnej d o m e n i e wpływów, dla przetrwania klasztoru.

Miała wrodzone zdolności psychologiczne i nauczyła się wykorzystywać ludzi, zachowując przy tym dla nich pewne współczucie.

Belgijki podobnie jak Holenderki, które kiedyś znałam, uwielbiają plotkować, a na salonach ludzi zamożnych wyrobiono lub zniszczono reputację niejednej osoby. Dla matki Josephine ważne było, by o niej dobrze mówiono. Z drugiej strony wysoki lub niski stan klasztornej konta bankowego w dużym stopniu zależał od mężczyzn.

Montjoie był klasztorem o wielkich rozmiarach. Jego front zajmował o g r o m n ą przestrzeń na A v e n u e Montjoie, natomiast dwie sąsiadujące nieruchomości, L o n g c h a m p s oraz Le C h a t e a u , wychodziły na inną ulicę. Żeby utrzymać tę staroświecką trzypiętrową budowlę, potrzebne były niewyczerpane fundusze. Ogrzewanie o g r o m n e g o kompleksu zimą dotował szczerze j e d e n z brukselskich bogaczy. R a c h u n e k z a r o p ę musiał być bająński, jako że we wnętrzach przez całą zimę utrzymywano stałą t e m p e r a t u r ę dwudziestu stopni.

Klasztor przyjmował o k o ł o dziewięciuset mieszkających w internacie uczniów i do tego wielu uczniów dziennych.

W kwaterach internatu wszystko było nadnaturalnej wielko

ści: dormitoria, jadalnie, klasy, korytarze, nawet kaplica. Sufity znajdowały się tak wysoko, że o k n a o s a d z o n o powyżej poziomu głowy, by zachować proporcje.

Kaplica na drugim piętrze była klejnotem gotyku. Mieści

ło się w niej około tysiąca ludzi i niemal utraciła przez to przytulność, jaką wiąże się z kaplicami. D r e w n i a n e łuki wyginały się od j e d n e g o końca w drugi, kierując uwagę patrzącego na imponujące wykładane m a r m u r a m i prezbiterium.

Wszędzie widziało się dzieła snycerki, a balustrada przy ołtarzu była z rzeźbionego drewna i m a r m u r u . Figury w kaplicy zachwyciły; Dziewica Maryja miała najśłodsza bladą marm u r o w ą twarz, jaką w życiu widziałam. W pewnym sensie przypominała m a t k ę Josephine. To była przepiękna kaplica, ale odgłos kroków odbijał się w niej echem. Tak bardzo brakowało mi intymnej przytulności maleńkiej kamiennej kaplicy w Broadstairs.

Przedstawiono mnie wszystkim w refektarzu podczas czasu na rozmowy i p o s a d z o n o obok sióstr świeckich, zgodnie z moim poślednim statusem. W końcu nigdy dotąd nie pracowałam j a k o nauczycielka i na razie nie wyrobiłam sobie odpowiedniego image'u. Nie pragnęłam niczego takiego, je

śli już o tym mowa, ale moje nastawienie było błędem: jeżeli ktoś potrafił się sprawdzić przy wyrabianiu sobie wizerunku, stawał się pożyteczną i bardzo szanowaną jednostką w systemie. A ja czułam, że takie gry kompletnie mnie przerastają.

M o g ł a m jedynie żywić nadzieję, że p r z e k o n a m wszystkich o moich dobrych intencjach i dowiodę moich dotychczas niesprawdzonych zdolności j a k o nauczycielka.

Długie stoły w refektarzu ustawione były w literę U, przy czym u szczytu siedziała jedna osoba, a wzdłuż ramion siedzia

łyśmy po obu stronach. W ten sposób widziałyśmy się wszystkie, a podającym łatwo było wypełniać swoje obowiązki. Sama sala była bardzo stara, ciemna, z trzeszczącą podłogą, podobnie jak wszystkie inne. Co rano do czytania z książki „O na

śladowaniu Chrystusa" zgłaszała się ochotniczka i to pod wpływem chwili - coś zaskakującego w tak rygorystycznej instytucji. Pałam się, by ćwiczyć swoją francuszczyznę i popisywać się nią, więc często zgłaszałam się na ochotnika. Kocha-lam melodyjne brzmienie francuskiego. Mnie, cudzoziemce, sprawiało to wyjątkową przyjemność, że mogę słuchać, jak inni mówią po francusku w tym dwujęzycznym mieście, nawet jeżeli reguła zabraniała się przyłączać do rozmowy.

• • •

Klasztor Mountjoie przystępował do śmiałego nowego przedsięwzięcia: chodziło o kształcenie małych dzieci bogatych amerykańskich biznesmenów. Amerykańskie rodziny nie chciały narażać swoich dzieci na głęboko zakorzenione i niekiedy ostre uprzedzenia Belgów do A m e r y k a n ó w (*Amerykanie to nowobogaccy karierowicze, którym się wydaje, że są mądrzejsi od nas, i okradają*

nas z okazji do robienia interesów). Wysyłając dzieci do specjalnie założonej szkoły, A m e rykanie pogłębiali jeszcze rozłam w społeczeństwie, a matka Josephine musiała odpierać zarzuty swoich poirytowanych belgijskich dobroczyńców. Robiła to z charakterystycznym dla siebie wdziękiem i dyplomacją.

W szkole St. John's, jak ją nazywano, prowadzono n a b ó r do wszystkich klas podstawówki, ale od samego powstania brakowało w niej miejsca. Powierzono mi zadanie uczenia robót ręcznych we wszystkich klasach. Materiały do robót i prace dzieci często kończyły na podłodze, bo nie miałam ich gdzie przechowywać, jako że wolne miejsca zajęte już były przez książki.

Ambicje matki Josephine odzwierciedlały się w jej żądaniu, żeby dzieci dobrze sobie radziły; zwłaszcza w robotach ręcznych. W końcu dzieła własnych rąk to coś k o n k r e t n e g o .

Koordinacja pięciolatka nie jest tak zaawansowana jak dziewięciolatka, ale czemu by ich nie zmusić, by poszerzały granice swoich umiejętności? Dzieci stały się pożywką dla maszyny produkującej wizerunek klasztoru, a ja i tak przyjechałam tam po to, by mnie p o d d a n o próbie, nie miało więc znaczenia, w jakim stopniu zadanie było niewykonalne.

Skończyło się na tym, że sporą część pracy wykonywałam własnoręcznie, bez końca starając się poprawić nieuniknione błędy p o p e ł n i a n e przez maluchy. M i m o to zauważyłam, że amerykańskie dzieci mają pewną cechę, która odróżnia je od australijskich, angielskich czy belgijskich rówieśników, a mianowicie nie zrażały się niepowodzeniem. Była w nich pewność siebie, zdumiewająca i świeża. Otwarte, r o z m o w n e i towarzyskie, najwyraźniej nie przywykły wchodzić do klasy w milczeniu, jak uczono nas wszystkich. W duchu miałam nadzieję, że nigdy nikt nie każe im p o d p o r z ą d k o w a ć się takim arbitralnie przyjętym regułom.

Nie trzeba chyba mówić, że nie miałam nic wspólnego z podejmowaniem decyzji. Nie o d d a n o mi pod opiekę żadnej klasy. Siostra Stephen, szczupła, bystra, m ł o d a irlandzka dyrektorka, najwyraźniej otrzymała informacje, które nie stawiały mnie w najlepszym świetle. Wykrzywiła z lekceważeniem cienkie wargi, unosiła b r o d ę do góry i nie zwracała uwagi na żadne moje słowa. Utrzymanie porządku w m a t e rialach do robótek ręcznych i dziełach dzieci było niemożliwością, miała więc bez liku okazji, żeby mnie besztać. Ostatecznie powkładałam wszystko do pudel i poustawiałam je w klasie na przestrzeni oficjalnie zarezerwowanej dla nauczycielki, gdzie nikt nie mógł na nie n a d e p n ą ć .

. Byłam d u m n a z osiągnięć dzieci przy szyciu, podobnie jak większość ich rodziców. Byłam nawet dumna z siebie, że p o m o głam im tak dobrze się tego nauczyć, dopóki nie zauważyłam, że kilkoro z nich, którym poszło nieco gorzej, straciło nieco pewności siebie, którą te zajęcia z założenia miały im wpoić.

Okazałabym zbytnią małostkowość, opisując, jak podwa

żano niemal chyba wszystko, czego próbowałam. Ciągłą krytykę siostry Stephen odbierałam jak nieustanne nękanie.

Przyjechałam tam, by p o d d a n o mnie próbie, ale jakim cud e m miałam sobie poradzić? P o d d a ł



a m się i postanowiłam z rezygnacją przyjmować to, co się dzieje. Niech moi przeło

zeni osądzą mnie wedle swojej woli i niech przyszłość będzie taka, jaka będzie.

Poczułam się zaskoczona, kiedy p o p r o s z o n o mnie, bym uczyła angielskiego. Moje szkolenie obejmowało nauczanie angielskiego, więc była to propozycja rozsądna. Nie mogłam znaleźć żadnego p r o g r a m u , więc pospiesznie przygotowałam kilka lekcji. Cieszyło mnie to wyzwanie, ale uczenie angielskiego skończyło się nagle razem z niespodzianą inspekcją matki Josephine. Na tablicy wypisałam formy czasownika „to eat”. Czas przeszły zapisałam j a k o „ate”: „She ate an apple this morning”.

Powiedziano mi bez ogródek przy całej klasie, że popełni

łam błąd. „ A t e ” w poprawnej angielszczyźnie powinno było zostać zapisane j a k o „eat”, twierdziła m a t k a Josephine.

O p o n o w a ł a m uprzejmie, ale o n a nie chciała zmienić zdania.

- Siostrze, p r a w d o p o d o b n i e u m k n ę ł o siostrze coś podczas nauki, ponieważ język angielski nie jest siostry językiem ojczystym. Proszę to poprawić.

Przyglądała się, jak zamieniam „ a t e ” na „eat”. W tym m o mencie wyzbyłam się następnej części swojej uczciwości na rzecz posłuszeństwa, a razem z nią straciłam jeszcze więcej szacunku do siebie. Do dziś nie wiem, czy m a t k a Josephine była p e d a n t k ą - j a k o że „eat” jest staroświecką formą czasu przeszłego - czy też m o ż e chciała przekonać się, czy się załamie, czy b ę d ę obstawała przy swoim. Tak czy owak, odebrano mi n a u k ę angielskiego.

Powodem mojej obecności w Montjoie, jak mi powiedziano, było przekonanie matki generalnej, że nie jestem wystarczająco dobrze przygotowana, by wracać do Australii, i to w Belgii miano nadać mi ostatni szlif. Tak więc nastawiałam się, że będę traktowana szorstko. Gdybym miała inne nastawienie, moje doświadczenia mogły być całkowicie odmienne. Najpewniej nie traktowałabym nękania i niemądrej małostkowości jako czegoś oczywistego. Gdybyśmy chociaż raz mogły z matką Josephine porozmawiać jak dwie istoty ludzkie, kto wie, jak odmienne mogły być moje doświadczenia w Moutjoie.

Z e p s u ł mi się zegarek. Pozornie nic takiego, gdyby nie fakt, że w klasztorze nie było żadnych zegarów poza jednym w kaplicy na drugim piętrze.

- Siostrze, nie da się naprawić siostry zegarka, a u nas nie ma fabryki zegarków dla ludzi, którzy je psują.

Moja przełożona powiedziała to w pośpiechu i odeszła.

Z a s a d a milczenia nie pozwoliła mi pytać innych sióstr, która godzina - a przynajmniej ja *pozwoiliam* na to, żeby mnie powstrzymała od pytania. Czekalo mnie kilka interesujacych miesiacy, kiedy musialam domyslac sie, która m o ż e być godzina, często nieprawidłowo, i z pozornym spokojem ponosi

łam konsekwencje pomyłek. Co stało się z moim umysłem?

Dlaczego na przykład nie poszukałam sobie budzika i nie nosiłam go przy sobie? P o p a d ł a m w coś w rodzaju hipnotycznego transu w reakcji na wydany na mnie bez słów wyrok: przybyłam tam po to, by p o d d a n o mnie próbie, ale o s ą d z o n o mnie z góry i nic nie uda mi się zrobić dobrze.

Któregoś dnia matka Josephine kazała mi zejść sobie z oczu. D o p a d ł a m ją, kiedy wychodziła z refektarza, rozpaczliwie pragnąc z nią porozmawiać. Byłam w Mountjoie od ponad miesiąca i ani razu nie rozmawiałam w cztery oczy ani z moją przełożoną, ani z kimkolwiek innym. Miałam wrażenie, że w ogóle nic nie znaczę. Chcąc się mnie pozbyć, poleci

ła, żebym przeszła się na świeżym powietrzu. Był przenikliwie chłodny zimowy dzień, niebo się zachmurzyło. Włożyłam rękawiczki (pojawily się w nich całkiem nagle dziurki, jakby je wygryzły niewidzialne mole) i wyszłam na boisko, a tam spacerowałam i spacerowałam. Nie zapytałam, jak długo m a m spacerować, i nie zamierzałam przestać, dopóki nie otrzym a m od matki Josephine polecenia, by wrócić do środka. Ale jak mogłam się spodziewać, że matka Josephine, odpowiedzialna za tysiąc osób, będzie pamiętała, że spaceruję na zewnątrz w chłodzie? U p a r c i e nie dopuszczałam do siebie możliwości powrotu, by zapytać ją, czy już dość. Nie, spacerowałam zawzięcie przez pięć godzin, aż do zmierzchu, i pewnie spacerowałabym jeszcze do późnych godzin nocnych albo dopóki bym się nie przewróciła, w oczekiwaniu, aż moja przeło

żona w końcu przyzna, że zachowała się nierozsądnie.

- Siostro! - zatrzymał mnie głos młodej zakonnicy biegnącej w moją stronę. - M a t k a Josephine mówi, że ma siostra już teraz wracać. - Podeszła bliżej i spojrzała na moją zlodowaciałą twarz. - Zobaczyłam siostrę przez o k n o - wyjaśniła -

i zapytałam m a t k ę Josephine, dlaczego właściwie siostra tak długo przebywa na zimnie i do tego w ciemnościach.

M a t k a Josephine chyba w tym m o m e n c i e dała się zaskoczyć, ale powiedziała tylko:

- M o ż e siostra po nią pójść.

Kiedy razem wchodziłyśmy do środka, zaczął p a d a ć śnieg.

Zsiniąłymi z zimna wargami podziękowałam zakonnicy za jej życzliwość. Poprosiła jedną ze świeckich sióstr, żeby przygotowała mi kubek gorącej herbaty, a p o t e m zniknęła. P o d a n o mi razem z gorącą h e r b a t ą jakieś resztki z kolacji.

N a s t ę p n e g o dnia miałam t e m p e r a t u r ę , nic dziwnego po tak długim przebywaniu na mrozie. W głębi serca poczułam ulgę, bo myślałam, że b ę d ę miała przerwę w uczeniu. Kazano mi pójść do infirmariuszki, żeby mnie zbadała i p o d a ł a lekarstwo, jeżeli trzeba. Ku mojemu zaskoczeniu oznajmiła, że wcale nie m a m temperatury! Siedziałam tam oszołomiona, policzki i czoło mnie paliły, wargi miałam spękane i suche.

Ośmieliłam się zapytać, czy t e r m o m e t r nie jest przypadkiem zepsuty, ale moja sugestia została szorstko odrzucona. Czy kazano jej ignorować mnie? Czy to była część mojej kary?

Stałam przed infirmerią, nie wiedząc, co m a m teraz zrobić.

Infirmariuszka burczała coś w środku, więc zebrałam się na odwagę i poprosiłam, by jeszcze raz zmierzyła mi t e m p e r a t u r ę. Zgodziła się niechętnie, ale rezultat był taki sam: t e m p e r a t u r a nie odbiegała od normy. Zaczęłam zastanawiać się, czy przypadkiem t e m p e r a t u r a mojego ciała nie jest zwykle niższa niż u innych ludzi, tak że po podwyższeniu może wydawać się normalna. Nie spotkałam się ze współczuciem, nie dostałam żadnego lekarstwa, siedziałam oziębiała, było mi gorąco, odczuwałam przemożną chęć, by wejść pod koc i zasnąć. Szybko rozwinął mi się paskudny katar i kazano mi trzymać się z daleka od innych; tak więc zyskałam kilka dni przerwy od uczenia, ale bez przyjemności wylegiwania się w łóżku.

P o t e m pojawiło się następnie wyzwanie. J e d n a z zakonnice powiedziała do mnie:

- Stara siostra N o r b e r t potrzebuje nowego czepca. Nie radzi sobie już z drobnymi szwami, a nikt inny nie ma czasu, by się tym zająć. Czy zechciałaby siostra to zrobić?

Mogłam odmówić; to była prośba, nie rozkaz. M o g ł a m odmówić chociażby z tego powodu, że nigdy w życiu czegoś takiego nie robiłam. Ale czemu by nie spróbować? Przyjęłam propozycję zapewne w nadziei, że jeżeli przyjmę ją bez sprzeciwu, to p o m o ż e mi to zyskać lepszą reputację.

Problem w tym, że musiałam szyć po zajęciach szkolnych.

Była zima, więc światło dzienne szybko przygasało. Pracowa

łam pod o k n e m , dopóki nie włączono oświetlenia i dopóki czerń na czerni nie stała się niewidoczna. Trwało to miesiącami, ale w końcu udało mi się skończyć czepiec i stara siostra była wdzięczna, że wreszcie go dostała. Tego samego wieczoru zobaczyłam, jak został popruty. Najwyraźniej nie odpowiadał s t a n d a r d o m . Z e r k n ę ł a m na tę starą siostrę, a o n a zarumieniła się z zakłopotaniem i próbowała życzliwie do mnie uśmiechnąć. Nikt mi w oczy słowa nie powiedział na temat tego niefortunnego czepca, nikt również nie pokazał

mi, jak p o w i n n a m go była zrobić.

Moi rodzice wybrali się w p o d r ó ż z Australii do Holandii i postanowili odwiedzić mnie w Belgii. To było c u d o w n e : na ich widok ogarnęło mnie trudne do opisu uczucie, a oni widząc mnie, tak się cieszyli.

- Jak się masz, Carlo? - zapytała matka, przyglądając mi się bacznie. Z a w a h a ł a m się. Miałam o g r o m n ą ochotę wyznać jej, jaka jestem nieszczęśliwa, ale udało mi się zachować na twarzy wyraz śmiertelnego spokoju. Lojalność wobec zakonu wyznaczała nieprzekraczalne granice: nigdy nie wyjawiać żadnych przykrych incydentów nikomu z zewnątrz.

Matka Josephine okazała moim rodzicom taką gościnność, jakby byli królem i królową. Wprost ociekała łaskawością.

Nie zabrakło ciast przy podwieczorku, o p r o w a d z o n o ich po klasztorze, przy czym p u n k t e m kulminacyjnym wycieczki była kaplica. Nie pokazano im j e d n a k kwater zakonnice ani miejsca, gdzie spała ich córka. Gdyby to zrobiono, ojciec wyraziłby aprobatę dla wypchanych końskim włosiem materacy!

Przez cały ten czas marzyłam o tym, żeby wyznać im prawdę i opowiedzieć o swoim życiu. Wzbierało we mnie potężne pragnienie, by poprosić ich, żeby mnie stamtąd zabrali! Ogarnęła mnie znowu potworna tęsknota, którą odczuwałam jako sześciolatka, żeby rodzice mnie przytulili i okazali, że jestem potrzebna. Nic takiego się nie wydarzyło, kiedy miałam sześć lat, i nic takiego się nie wydarzyło teraz. Stało się, jak się musiało stać, przyszedł czas pożegnania, i już ich nie było.

Obudziłam się r a n o w Boże N a r o d z e n i e w moim dormitorium na stryszku i wyjrzałam przez okienka osadzone w uko

śnym dachu; w świetle przedświtku zobaczyłam, że śnieg cichą opończęą okrył dachy i ulice w dole. To był czarodziejski ranek. Rozbiłam lód w miednicy z w o d ą i umyłam się.

W bożonarodzeniowe p o p o ł u d n i e m ł o d e zakonnice świetnie się bawiły, odgarniając i odmiatając śnieg z szerokiej wykładanej kamiennymi płytami ścieżki przed klasztorem. D u

że szufle i sztywne miotły pomagały n a m nagarniać śnieg do rynsztoka. Było nas kilkanaście i pracowałyśmy przez p o n a d trzy godziny.

Kilka dni później znowu spadł śnieg. Trochę się stopił, a p o t e m znowu zamarzał i wysłano nas, żebyśmy go zeszkroba

ły za p o m o c ą soli i łopat. Jakaś starsza para, mijając nas, przyglądała się naszej pracy. Gdybym tylko nie podniosła oczu, by spojrzeć starszemu p a n u w twarz. Z u p e ł n i e jakbym przeklęła go wzrokiem, poślizgnął się i upadł ciężko na lód.

Ż o n a p o m o g ł a mu podnieść się z p o w r o t e m na nogi, a on p o jękiwał z zaskoczenia i bólu. Ż a d n a z nas nie odezwała się ani nie poszła na ratunek: zasada milczenia kazała n a m trzymać się na uboczu, nie pozwalając na ludzkie uczucia.

Uczniowie z internatu rozjechali się do d o m u , więc cała społeczność udała się na rekolekcje, jak zwykle w święta.

Rekolekcje prowadził ksiądz jezuita, dwa razy dziennie wygłaszając n a t c h n i o n e kazania w kaplicy. O t o sposobność, żeby zrobić postępy we francuszczyźnie: nigdy wcześniej nie m i a ł a m okazji tak długo tego języka słuchać! Bóg j e d e n wie, jak czuł się ten nieszczęsny ksiądz, od k t ó r e g o wymag a n o , by przemawiał z entuzjazmem do grupy kobiet, k t ó r e siedziały t a m jak posągi i zgodnie z n a k a z a m i pruderii nawet na niego nie patrzyły. Ja j e d n a k czasami z e r k a ł a m i u ś w i a d o m i ł a m sobie, że m u s i a n o pouczyć go, że spojrzenia zakonnicy i księdza nie powinny się skrzyżować. Tak więc z e n t u z j a z m e m zwracał się do posągów i do ściany na tyłach kaplicy!

Po rekolekcjach przez wolną od codziennej harówki w szkole resztę dnia uciekałam w błogi trans. Kiedy nie naciskano, bym czegoś dokonała, w moim sercu rozpalało się słońce, napełniając je radością. Dość było najlżejszej zachęty, by ciało natychmiast się odprężyło, pełne rozkosznych uczuć: wystarczył widok pojedynczego kwiatka, śpiew ptaka.

Zaczęłam podczas bożonarodzeniowej przerwy pisać list do mojej rodziny; jedyny list, jaki udało mi się wysłać podczas całego sześciomiesięcznego pobytu w Mountjoie. Trwa

ło to p o n a d dwa miesiące, zanim go skończyłam, ponieważ -

nie do wiary - za każdym razem, kiedy prosiłam o papier, daw a n o mi tylko j e d n ą kartkę, a zanim kolejną prośbę (na pi

śmie) spełniono, mijało kilka dni. Papeteria była p o d opieką zakonnicy, która po menopauzie stała się gderliwa i niełaska-wa. Wydawała się sądzić, że do jej obowiązków należy obracanie wniwecz wszelkich moich starań o papier, kopertę i znaczek, przez co cała p r o c e d u r a zmieniała się w milczącą, zawiłą sagę.

Moja m a t k a zauważyła, że długi na cztery kartki list nosił

datę 26 grudnia, ale dotarł do niej d o p i e r o w marcu. Ten fakt w połączeniu z treścią listu spowodował, że się zaniepokoiła.

Podziwiam m a t k ę za jej przenikliwość, bo starałam się, by list był dosyć pogodny. J e d n a k dzwonki alarmowe rozdzwoniły się, kiedy przeczytała uwagi, jakie zamieściłam na temat ostatnich rekolekcji:

*Wiesz, człowiek może być smutny i przygnębiony, i samotny, i biedny jak mysz kościelna, a jednak szczęśliwy, dopóki go Bóg nie opuści.*

M a t k a zaczęła zadawać pytania, dlaczego nie wróciłam do Australii razem z innymi siostrami. Kierowała swoje pytania do przełożonej G e n a z z a n o , nalegając, by ta napisała do A n glii. Po jakimś czasie postawiła się i zażądała odpowiedzi, wyczuwając, że n a p r a w d ę dzieje się coś złego. To moja m a t k a wy dostała mnie z Brukseli; ale miały upłynąć jeszcze dwa miesiące.

•••

W tym okresie o lekcje angielskiego poprosiła uczennica, która miała wkrótce zamieszkać w Anglii. Z a p y t a n o , czy by

łabym zainteresowana udzielaniem korepetycji, a ja z przyjemnością się zgodziłam. Kiedy jej rodzice chcieli się dowiedzieć, ile b ę d ę sobie liczyć - zupełnie jakbym mogła mieć jakieś pojęcie o belgijskich pieniądzach czy bieżących stawkach za godzinę uczenia - odpowiedziałam po prostu:

- Niewiele.

I to było wszystko, czego się przez kilka następnych tygodni o d e mnie dowiedzieli.

Dziewczyna miała około szesnastu lat i nawiązałyśmy wspaniały kontakt. Nauczyła mnie sporo po francusku, więc czułam się godziwie wynagrodzona. Miałyśmy lekcje w maleńkim pokoju muzycznym, w którym pachniało tekową boazerią. Była w nim jak wszędzie skrzypiąca podłoga, a niskie okna wychodziły na boisko. N a u k a szła dobrze i cudownie podbudowała mój szacunek do siebie, bo oto znalazł się ktoś, kto wyrażał mi wyłącznie wdzięczność! Bawiłam się świetnie.

Kiedy przyszła pora wyjazdu, a ja wciąż nie określiłam wysokości zapłaty, jej ojciec ofiarował stosunkową dużą sumę na klasztor. Z a k o n n i c a zajmująca się rachunkowością ogłosiła publicznie przy stole przy lunchu wiadomość o szczodrym darze, wyrażając uznanie dla wniesionego przeze mnie wkładu. Zrehabilitowałam się za jednym z a m a c h e m w tym klasztorze i było to b a r d z o miłe uczucie. Nigdy nie dowiedziałam się, ile pieniędzy dla nich zarobiłam.

Po tym doświadczeniu coś się we mnie zmieniło. Nie stosunki z całą społecznością - wszystkie zakonnice były b a r d z o zapracowane, a przestrzenie w klasztorze były tak o g r o m n e , że wydawały się w nich rozplýwać i niemal stawały się niewidzialne - ale zaczęłam rozmawiać ze świeckimi siostrami, by nie utracić nowo zyskanego poczucia, że jestem człowiekiem.

W przeciwieństwie do sióstr nauczycielek siostry świeckie były dużo bardziej spójną grupą. Pracowały razem w pralni, kuchni i pomywalni. Jeżeli tylko mogłam, przyłączałam się do nich po posiłkach i p o m a g a ł a m wycierać naczynia. Cieszy

ło mnie ich towarzystwo, wyczuwałam w nich również pewną niezależność i asertywność. Były to proste, życzliwe, niena-rzekające i o d d a n e kobiety, poza jednym wyjątkiem.

Ta j e d n a z a d u ż o gadała, zawsze odzywała się wtedy, kiedy świeckich sióstr nie powinno być widać ani słyszeć. Mogły co najwyżej od czasu do czasu włączać się do rozmowy z jakąś zabawną anegdotką, tego się spodziewano; z góry natomiast zakładano, że są istotami o niższej inteligencji, więc przez resztę czasu powinny ulegle milczeć. Świeckie siostry godzi

ły się ze swoim niskim statusem, poza gadatliwą siostrą, Patrice. Siostra Patrice w charakterystyczny dla siebie sposób mówiła prawdę ku częstemu zażenowaniu matki Josephine i jej współpracownic. Do tego wcale nie przeszkadzało jej sprzeczenie się z nimi i często nie podporządkowywała się poleceniu, by zamilkła. Uważałam, że jest zabawna, śmiała, odważna, głupia i budująca. Zdecydowanie przyczyniała się do osłabienia tej niekwestionowanej przez nikogo rewerencji dla królującej w *chateau* przełożonej i sprowadzała na ziemię wszystkie sprawy, przynajmniej trochę.

Pewnego dnia siostra Patrice oznajmiła, że dziewczęta dostają nieodpowiednie jedzenie. M a t k a Josephine próbowała oszczędzać, obcinając wydatki na żywność. Niedługo po tym w refektarzu starszych dziewcząt zaczął się bunt: uczennice oświadczyły, że dostają psie jedzenie, i odmówiły spożywania posiłku. Incydent postawił klasztor w kłopotliwym położeniu. M a t k a Josephine musiała wykorzystać całe swoje umiejętności, by kryzys zażegnać. Przetrwałyśmy burzę, podobnie jak wiele innych, ale z łatwością m o ż n a jej było zapobiec, gdyby choć trochę liczone się z mądrością i uczciwością jednej świeckiej siostry.

Wśród świeckich sióstr zaczęłam nasiąkać poczuciem koleżeństwa; na nim opierał się sekret, który pozwalał im wytrwać, m i m o że były tak wyzyskiwane. Wszystkie miały za sobą chłopską

flamandzką przeszłość i przyzwyczajone były do ciężkiej harówki. P r a w d o p o d o b n i e wiedziały, że życie poza klasztorem nie byłoby wcale lepsze, a pewnie nawet gorsze.

Tu przynajmniej były w pewnym sensie bezpieczne, a na starość miał się nimi kto zająć, jeżeli potrzebowały opieki.

W tamtych czasach zdecydowanie się na staropanieństwo niekoniecznie było złe: bystre kobiety mogły wybrać życie w klasztorze. Z czasem p o z n a ł a m je dobrze i w żadnym razie nie były o n e naiwne.

J e d n ą z nich, siostrę H e l e n ę , cechowała bezgraniczna skromność. Była delikatna, miała anielską twarz i uśmiech w o d r o b i n ę zezowatych, ale spokojnych oczach. Nigdy nie słyszałam, by się odezwała; albo z wielką lojalnością przestrzegała reguły milczenia, albo może miała jakąś wadę wymowy. Robiła takie wrażenie, jakby nie potrzebowała mówić.

Ta siostrzyczka działała jak balsam na moją duszę; otaczała ją niezmiennie aura spokoju i życzliwości. Popatrywała na mnie niekiedy swoimi spokojnymi oczami, a z mojego serca ulatniało się poczucie bólu.

Pracując ze świeckimi siostrami, zaczęłam z nimi rozmawiać. Było to wbrew regułom, ale ta grupka pomywaczek zgadzała się, że rozmowy są konieczne, jeżeli mają nie zwariować. Mówiły o tym, co ich zdaniem działo się na górnych piętrach (one pracowały w piwnicy), a ponieważ sióstr świeckich nigdy nie p o w i a d a m i a n o o sprawach, które ich nie p o winny dotyczyć, na przykład o wydarzeniach z życia szkoły, same się tego dowiadywały. Zawsze było sporo ploteczek i śmiechu. Przyłączałam się, porykując z rozbawienia tak, że musiały zwracać mi uwagę, bym zachowywała się ciszej!

Była to grupa, z którą mogłam się utożsamiać. Wydawały się rozumieć, że chociaż przebywam w klasztorze jako gość i nauczycielka, nie cieszę się d o b r ą opinią przełożonych i że jestem młoda i bezbronna. Ufały mi i dawały mi do zrozumienia, że są po mojej stronie.

Siostra H e l e n ę pokazała mi pewnego dnia coś dziwnego i cudownego. Skinęła na mnie, żebym za nią poszła, i otworzyła szafę z rzeczami do sprzątanía. Dostrzegłam w niej figurkę Czarnej Madonny, ukrytą w rogu. Wystarczyło, że na nią spojrzałam, a włosy stanęły mi dęba. Otaczała ją aura dziwnej energii; rysy miała mocne, nie ładniutkie czy słodkie, a twarz czarną, wypolerowaną do połysku, przez co robiła takie wrażenie, jakby była spocona, i ona, i Jezus, którego trzymała w ramionach.

Dlaczego tę figurkę ukryto w szafie, a nie postawiono na jakimś otoczonym czcią miejscu jak wiele innych, na przykład Dzieciątko z Pragi, świętą F i l o m e n ę , świętego A n t o n i e go, świętego Józefa, M a t k ę Boską taką czy inną? I dlaczego ta siostrzyczka pokazała mi ją u k r a d k i e m ? Obserwowała przez cały czas bacznie moją twarz, a ja odniosłam wrażenie, że figurka musi być w jakiś sposób „poza k a n o n e m ” . Teraz zastanawiam się, czy zastrzeżenia nie miały związku z rasizm e m . C z a r n a M a d o n n a ! Słyszałam o czymś takim chyba gdzieś w Rosji, gdzie p o t a j e m n a działalność katolików rzucała wyzwanie komunizmowi, ale Rosjanie nie byli tacy jak cała reszta świata - obawiano się ich j a k o wywrotowców.

Hiszpanie również czcili C z a r n ą M a d o n n ę , ale w tym czasie o niej nie wiedziałam; nie wiedział też najprawdopodobniej nikt inny w przesądnej i krytycznie nastawionej Belgii lat sześćdziesiątych.

P o k o c h a ł a m tę figurkę tak b a r d z o , że zastanawiałam się, czy by jej nie ukraść. Łzy mi napływały do oczu na myśl, że tak ją utknięto w ciemnej szafie razem z rzeczami do sprzątania, jakby była niedobra, tylko dlatego że była inna. M u s i a ł a m identyfikować się z jej trudnym położeniem i porywając ją, symbolicznie chciałam uratować siebie. T o s m u t n e , ale nie sądziłam, bym miała do tego prawo, i zostawiłam figurkę tam, gdzie była. Po latach często zastanawiałam się, co się z nią stało.

Zaczęły dręczyć mnie koszmarne sny. Stary stryżek, na którym spałam, był nie tylko trzeszczący, zakurzony, wietrzny i zimny, ale i pełen ciemnych, niezbadanych zakątków. W nocy łatwo było wyobrazić sobie, że grasuje tam ktoś obcy. M o

że jakiś mężczyzna przedostał się przez niepodbity niczym dach nad stryżkiem. W Brukseli tak wielu Belgów było niezadowolonych z tego, że klasztor zadaje się z Amerykanami, że matka Josephine potraktowała mnie poważnie, kiedy pewnej nocy zapukałam roztrzęsiona do jej drzwi, przekonana, że słyszałam kroki mężczyzny.

Zawołała furtiankę i razem, przyświecając sobie latarkami, przeszukały stryż. Nikogo tam nie było, poza m o ż e wieloma duchami minionych stuleci, które nie dawały mi spokoju w inne noce.

P e w n e g o dnia, kiedy szłam k o r y t a r z e m po skrzypiącej p o d ł o d z e , zatrzymała m n i e m a t k a J o s e p h i n e i stanęła p r z e d e m n ą . Była niższa i musiała p a t r z e ć na m n i e do góry.

Na jej twarzy malował się wyraz, k t ó r e g o nie potrafiłam odczytać, a to, co powiedziała, k o m p l e t n i e m n i e z a s z o k o w a ł o .

- Siostró Carlo, przykro mi... - zaczęła.

- Wszystko w porządku - przerwałam pośpiesznie, chcąc ją oszczędzić, by nie musiała mówić tego czegoś, co zamierzała powiedzieć.

M a t k a Josephine wyglądała tak, jakby próbowała o p a n o w a ć irytację. Zaczęła znowu:

- Przykro mi...

I znowu jej przerwałam, ogarnięta dziwną paniką. M a t k a Josephine poddała się i odeszła. Czuję się oszołomiona.

Czy miało to być jakieś wyznanie? Czy próbowała mi coś wynagrodzić? Nigdy się nie dowiedziałam. Wybawiłam ją z opresji, co ani mnie, ani jej nie zrobiło wcale dobrze.

Niespodziewanie p o w i a d o m i o n o m n i e , że m a m wyjechać, a wszystko dzięki naleganiom mojej matki, by odesłano mnie do Australii albo sama po mnie pojedzie. W z b u r z o n a m a t k a J o s e p h i n e przyszła do mnie z informacją, że następnego ranka m a m udać się do Broadstairs. Nie



było czasu, by zorganizować za mnie jakieś zastępstwo, miałam wyjechać jak najszybciej; taki był rozkaz matki generalnej. M a t k a J o s e p h i n e zachowywała się z niezwykłym niepokojem i niecierpliwością i miała niezdrowo bladą cerę. Czułam się oszołomiona, zdezorientowana, zadowolona, ale nie starczyło czasu na emocje ani na pożegnania, ani nic p o d o b n e g o . Mój paszport był teraz w porządku, matka J o s e p h i n e miała go w swoich rękach.

Odzyskano moją walizkę z przechowalni i szybko ją zapakow a n o .

Wstałyśmy o czwartej r a n o . Wtłoczyłam w swój oporny żo

łądek trochę płatków na mleku i niedojrzałego b a n a n a , naciągnęłam rękawiczki z patetycznymi dziurkami i z m a t k ą J o s e p h i n e ruszyłyśmy taksówką w drogę do portu.

Z n o w u znalazłam się na promie, tym razem miałyśmy płyn ą ć z.Ostendy do Dover w towarzystwie jakichś farmerów.

Skłonni byli do współczucia dla pasażerek zakonnice, które wyglądały jakoś nieswojo.

- *Cest dur* - powiedział j e d e n z nich po chwili. Przyglądał

się bacznie naszym twarzom, które były blade i wymizerowa-ne. Walczyłam z chorobą morską, czymś, czego nigdy wcześniej nie doświadczyłam na oceanicznym liniowcu, ale zielony b a n a n w żołądku nie chciał się uspokoić.

W końcu natura wzięła górę. Nie było czasu na wyjaśnienia, nie było czasu pytać, gdzie są toalety - a zawsze w miejscach publicznych udawałyśmy, że ich nie potrzebujemy. Po omacku trafiłam na korytarz, w p a d ł a m do łazienki i zwymiotowałam. Niedobrze mi się znowu zrobiło na widok tego paskudztwa w umywalce. Wcale nie dawało się go porządnie splukać. Wróciłam po cichu na swoje miejsce u boku matki Josephine, która wydawała się zaaferowana własnymi myśla-mi. Od strony, gdzie siedzieli farmerzy, dobiegały ciche głosy współczucia, ale nie ośmieliłam się podnieść na nich oczu.

Siedziałyśmy tam, kołysząc się łagodnie, kiedy m a t k a J o s e p h i n e podała mi coś do czytania. Była to niewielka b r o s z u r k a zatytułowana „Jak wzmocnić swoją siłę woli”. Pisano w niej wiele n a t e m a t tego, co psychologia mówi o korzy

ściach płynących z posiadania silnej woli; w tamtej chwili wzięłam to do siebie, zwłaszcza że otrzymałam broszurkę od mojej przełożonej. Założyłam, że wybrała ją specjalnie, by mi p o m ó c . Byłam taka wdzięczna, odniosłam nawet wrażenie, że m a t k a J o s e p h i n e dzieli się ze m n ą swoją tajemnicą - m o

że którąś ze swoich osobistych strategii postępowania. Implikacja, że moja wola jest słaba, nie miała znaczenia!

Z a c h o w a ł a m tę broszurkę przez kilka lat. Przy każdym ćwiczeniu - jak powolne darcie dziesięciu kartek papieru na sto kawałków - wywoływałam w sobie poczucie, że m a m silną wolę. Wydawało mi się, że to dokładnie coś, czego mi trzeba: większej kontroli nad własnymi uczuciami.

Żelazna wola matki Josephine stała się dla mnie wzorcem; desperacką nadzieją, że zyskam nad swoim życiem kontrolę, która w końcu miała się rozpaść. Ale przez całe lata p o m o g ł a mi zachować stoicyzm, nie dać się wytrącić z równowagi. Tego zawsze pragnęłam. Bogowie czy Bóg mieli inne plany.

• • •

Po powrocie do londyńskiego klasztoru spotkałam się z zakonnicą, z którą miałam wracać do Australii. Siostra M a r i a n kończyła właśnie kilkumiesięczny kurs szkoleniowy w Stella Maris. Była introwertyczką, ale w każdej chwili świad o m ą swego otoczenia. Lubiła usta trzymać zamknięte nawet wtedy, kiedy reguła pozwalała jej rozmawiać, na przykład podczas podróży na morzu.

Nasza droga powrotna do M e l b o u r n e odbyła się bez przygód. Milcząca siostra Marian przez większość czasu siedzia

ła z n o s e m w książce, ale w jej milczeniu nastąpiła j e d n a pamiętna przerwa, kiedy zeszyliśmy ze statku podczas postoju w Kalkucie, żeby poszukać klasztoru jezuitów i pójść do spowiedzi.

Widok Hindusów głęboko mnie poruszył. Z naszego statku przyglądałam się, jak grupka dzieci tańczy na świeżym powietrzu razem z nauczycielem. Oczarowały mnie wdzięk i swoboda ich ruchów. Kiedy przybiliśmy do brzegu, wyszła po nas kobieta. Na zawsze z a p a m i ę t a m uścisk jej ręki, taki był po kobiecemu łagodnie płynny. Zamykał w sobie wdzięk Gangesu, delikatne wiatry jej kraju, wszystko, co z natury swojej płynie. Uśmiechała się serdecznie, chociaż nieśmiało, a ja opuściłam pełen ciekawości wzrok, żeby jej nie wprawiać z zakłopotanie.

Siostra Marian i ja wyruszyliśmy w długą drogę do klasztoru. Marian miała chyba m a p ę w głowie i parła przed siebie zdecydowanie, jakby to robiła codziennie. Najwyraźniej otrzymała bardzo dokładne instrukcje, które dy iść, jak trafić i jak zachowywać się w tym nieznanym kraju. Wystarczyło, że b ę d ę ją naśladowała. Po drodze słowem się do siebie nie odezwałyśmy. Ignorowałyśmy grupy dzieci, które tłoczyły się wokół nas, prosząc o pieniądze. Nie widziały w nas świętych -

dłaczego miałyby tak myśleć? Po naszych strojach i twarzach poznawały jedynie, że jesteśmy cudzoziemkami. Zauważyłam ciała w rynsztokach Kalkuty, nieruchome, pijane, śpiące albo martwe. Widziałam muchy na mięsie, które wisiało na straganach otwartych na ulicę. Widziałam wielu ludzi tłoczących się na bruku - to wszystko utrwaliło się w moim umyśle.

Dotarliśmy do klasztoru i zostałyśmy przyjęte serdecznie przez zawiadującego nim ojca. Siostrze Marian rozwiązał się język i to ona mówiła przez cały czas, i dobrze, bo ja chyba z a p o m n i a ł a m , jak prowadzić n o r m a l n ą rozmowę.

W p r o w a d z o n o nas do chłodnego saloniku i poczęstowano filiżanką najwspanialszej herbaty, jaką w życiu piłam. Nie potrafię powiedzieć, czy to z powodu upału, czy dlatego że by

ła to najczystsza h e r b a t a cejlońska, czy m o ż e wreszcie dlatego że została przygotowana z taką uwagą przez młodego księdza, który ją podawał. Niewykluczone, że wpływ miała jedyna w swoim

rodzaju kombinacja tych wszystkich czynników. Z pewnością natomiast wielkie znaczenie miał urok m ł o d e g o księdza, który oczarował mnie swoim dotknięciem, kiedy potrzywał moją dłoń. Wydawało się, że przepłynęły między nami jakieś nieuchwytnie fluidy, wytwarzając natychmiastową więź, i uśmiechnęłam się radośnie prosto w jego młodą twarz, która rozpromieniła się w odpowiedzi. Był

szczerze zachwycony, że tak smakuje mi ta herbata.

Z a p r o w a d z o n o nas do konfesjonałów w cichej przystani, jaką była ich kaplica, chłodna, pachnąca słodkim kadzidłem.

Sama spowiedź okazała się doświadczeniem wyczerpującym i upokarzającym. Z a p o z n a ł a m się z tym starszym księdzem, a teraz musiałam wyznać mu, jaka jestem o k r o p n a . Z uczuciem koszmarnego zażenowania w sercu powiedziałam, że miewam erotyczne fantazje. Szybko d o d a ł a m , że miewam też buntownicze myśli - były mniej wstrętne niż erotyczne fantazje... to takie żalose. Dlaczego piękne popołudnie musiało zostać p o p s u t e przez to obnażanie duszy? Przecież kontrakt był taki jednostronny: spowiednik żadnej z nas nie mówił, jakie tajemnice skrywa jego umysł! Nigdy, przenigdy ksiądz nie wyspowiadałby się oficjalnie ze swoich grzechów kobiecie.

Z n o w u podaliśmy sobie ręce, ten młody ksiądz i ja i pożegnaliśmy się. Jego męska dłoń objęła moją serdecznie i mocno. Trzy lata później pojawił się w moim klasztorze w Australii, by m n i e odwiedzić. Nie było m n i e t a m w tym m o m e n c i e , a powiedziano mi o jego wizycie d o p i e r o w kilka miesięcy później, kiedy nikt już sobie nie mógł przypomnieć, jak on się nazywał i skąd przyjechał. To jeden z tych dziwnych przypadków, które kazały mi się zastanawiać, czy było n a m pisane spotkanie. Ale jeżeli tak, dlaczego się nie spotkaliśmy? Co by to zmieniło, gdybyśmy się znowu zetknęli?

Dlaczego ludzie się nad takimi sprawami zastanawiają?

Witaj w domu, siostró

Twarz mi pobrała od tej najdłuższej w m o i m życiu zimy, ale moja m a t k a wiedziała, że wszystko będzie znowu dobrze, skoro wróciłam do Australii - nawet jeżeli zaczynała się tam właśnie zima. Twarz jej płonęła triumfem, kiedy razem z ojcem przyszli mnie odwiedzić. Ojciec szeroko uśmiechał się z zadowolenia. Nie zostałam j e d n a k w G e n a z z a n o . Potrzebna byłam w wiejskiej szkole i bez zwłoki mnie tam zawieziono . Była połowa 1965 roku.

Siostra Marian i ja pojechałyśmy s a m o c h o d e m do sennej Benalli, miasteczka w Victorii, z jednym katolickim kościo

łem i dwiema przylegającymi do siebie szkołami, będącymi p o d opieką FCJ.

Ten dzień - pierwszy w mojej nowej społeczności, składającej się z j e d e n a s t u z a k o n n i c nauczycielek i j e d n e j siostry świeckiej - był szansą na n o w e życie, życie owocne, bez przeszłości, a przynajmniej tak myślałam. Tylko dwie osoby znały m n i e wcześniej - siostra A n n a , która wstąpiła w rok po m n i e , oraz siostra M a d e l e i n e , o rok o d e m n i e starsza, a do o b u

m o g ł a m mieć zaufanie. Siostra M a r i a n była moją współtowarzyszką podróży, ale tego krótkiego okresu nie liczyłam. W i e l e b n a m a t k a nigdy m n i e w życiu na oczy nie widziała.

Istniały oczywiście takie rzeczy jak opinie indywidualne, które pozwalały wyrobić sobie zdanie o kimś na razie nieznanym w danej społeczności, kto nie dowiedział jeszcze, ile jest wart, i taka opinia naturalnie mnie poprzedziła. Oczekując z zapałem na nowy początek klasztorного życia, zapomnia

łam o tym.

Podczas pierwszego wieczornego zebrania przy stole we wspólnym pokoju, które kończyło się ogłoszeniami dotyczącymi spraw praktycznych, wielebna matka Clare zamknęła spotkanie słowami:

- Potrzeba n a m kogoś, kto weźmie na siebie obowiązek budzenia nas o piątej trzydzieści r a n o . Czy m a m y ochotnika?

Dostrzegłam szansę, by dowieść, że jestem chętna i użyteczna.

- D o b r z e , ja to zrobię - zgłosiłam się szybko; zastanowiło mnie, dlaczego moja propozycja nie została z miejsca przyjęta. Wielebna m a t k a Clare uśmiechnęła się smętnie, ale nie do mnie, a p o t e m powiedziała do wszystkich słuchaczek:

- W porządku, siostra Mary Carla otrzyma dzwonek. Teraz możemy się już wszystkiego spodziewać.

Serce mi zamarło. Dlaczego o n a to powiedziała? W ś r ó d zebranych sióstr rozległ się szmer chichotów. O n e rozumiały żart, który w oczywisty sposób musiał opierać się na informacji rozpowszechnionej, zanim się pojawiłam. Reputacja młodej osoby nie miała dla wielebnej matki żadnego znaczenia.

M a t k a Clare nie była z rozmysłem okrutna, tyle że żyła pod presją obowiązków, do których wypełniania niezbyt dobrze się nadawała. Zrobiło mi się ciężko na sercu, ale wiedziałam, że sobie z tym doskonale poradzę.

Klasztor zajmował niewielki teren położony o paręset kilometrów na p ó ł n o c od M e l b o u r n e , w głębi łądu. Zimy były tam lodowate. Na k a m i e n n y m reliefie na łuku nad głównym wejściem została wyrzeźbiona M a t k a Boska od Aniołów.

Przed budynkiem znajdował się ogród na tyle duży, że sam o c h ó d mógł w nim zawrócić; na tyłach było boisko dla uczniów oraz klasztorny warzywnik i wybieg dla kur. Niewielkie rozmiary tej społeczności sprzyjały przyjaznym stos u n k o m ; pokoje były tak piękne i jasne, że wydawały się przytulne i bez trudu człowiek się w nich odprężał. To była taka o d m i a n a po zimnych, obszernych przestrzeniach w G e -

nazzano.

Mniej więcej trzydzieści mieszkających w internacie dziewczynek było córkami farmerów, których domy znajdowały się za daleko, by mogły codziennie dojeżdżać do szkoły. W szkole uczyło się też kilku chłopców, ale to byli uczniowie dzienni.

Wszystkie dormitoria znajdowały się na piętrze, prowadziło do nich dwoje schodów: j e d n e na tyłach budynku, i tych używały uczennice oraz młode i sprawne zakonnice, a drugie w pobliżu drzwi do kaplicy, pięknie wypolerowane, kręcone, drewniane, z których korzystała tylko przełożona i starsze siostry, żeby oszczędzać nogi. Poza A n n ą , Madeleine, Marian i m n ą domownicy byli w średnim lub starszym wieku.

Siostra Marian była infirmariuszka, ale wiele zakonnice przeszło odpowiednie przeszkolenie, żeby mogły opiekować się chorymi po to, by zminimalizować kontakty z lekarzami płci męskiej. Siostra Madeleine była niską, słodką zakonnica, z krągłymi bladymi policzkami, błagalnym spojrzeniem, nie śmiałym bladym uśmiechem i delikatnym głosem. Miała skłonność do chowania się po kątach. O n a i siostra A n n a -

bystra, dosyć wysoka, z talentem do angielskiego i szycia, p o d każdym względem od Madeleine silniejsza - zostały moimi przyjaciółkami. Wszystkie byłyśmy m ł o d e , więc połączyła nas świeżość umysłu, a później miałyśmy sprzymierzyć się przeciw siłom, które nieufnie traktowały młodość.

Najstarszą zakonnica w naszej społeczności była siostra Imelda, drobniutka kobieta o pomarszczonych dłoniach, która potrafiła czynić cuda, grając na pianinie i organach. Była bezpretensjonalną nauczycielką muzyki, starszą z dwóch uczących tego przedmiotu. Prawie niewidoma, miała życzliwą twarz całą w zmarszczkach, duży gąbczasty nos i szeroki uśmiech. Kiedy siostra Imelda się odzywała, a nie zdarzało się to często, z jej ust płynęła czysta muzyka; miała prawdziwie melodyjny głos. J e d n ą z rzeczy, przed jakimi się zawsze wzbraniała, było kierowanie czymkolwiek. Kiedy proszono ją, by zgodziła się czymś zarządzać, chociażby podczas chwilowej nieobecności wielebnej, z uśmiechem potrząsała tylko głową, nie wypowiadając nawet słowa „nie”.

Ponieważ byłam najnowszą z przybyłych, natychmiast spadł na mnie obowiązek utrzymywania korytarzy i wspólnego pokoju w nieskazitelnej czystości. W takich pracach mia

łam mnóstwo doświadczenia! A ponieważ w college'u wyćwiczyłam się w robótkach ręcznych, przydzielono mi rozkoszne zadanie, polegające na wymyślaniu i wykonywaniu tematycznych dekoracji na różne uroczystości. Pewnego świątecznego dnia klasztor zmienił się w ul: cały refektarz przystrojony był

m n ó s t w e m pszczoł, pouczepianych na sznurkach do krokwi i każdy musiał wybrać sobie kartę ze zdaniem zaczynającym się na „Psz”, na przykład: „Pszczółka pracowita nie marnuje dnia” albo „Pszczelego mleczka ci nie braknie”. P o t e m pojawił się cudowny motyw motyli; innego dnia wyczarowany w refektarzu ocean wypełnił to pomieszczenie rybami. Bezpośrednim następstwem takich radosnych zajęć był fakt, że przestałam mieć obstrukcję; po p o n a d dziesięciu latach m o j e wnętrzości zaczęły niespodziewanie funkcjonować bez zarzutu. Miałam c e n n e poczucie, że jestem przydatna.

Byłam uszczęśliwiona, że zlecono mi uczenie rysunków i robót ręcznych w kilku klasach z dziećmi w różnym wieku.

Tak dobrze mieć znowu bezpośredni kontakt z ludźmi i czuć się użyteczną. Zauważyłam j e d n a k , że

nie zostałam wychowawczynią i nie p o w i e r z o mi opieki nad klasą. Nawet tymczasowo, kiedy pojawiła się nagła potrzeba, bo ktoś zachorował. Czy takie polecenie przyszło z góry? Wszystko j e d n o , starałam się o tym nie myśleć. M o ż e lepiej by mi to zrobiło, gdyby zachęcano mnie, żebym n a b r a ł a zaufania do siebie, ale autoafirmacji w zakonie nie sprzyjano. Z całą pewnością w wyniku tej milczącej i nieugiętej nieufności nigdy się w pełni nie zintegrowałam z tą społecznością, chociaż starałam się o to ze wszystkich sił i p o d innymi względami moje otoczenie było b a r d z o miłe.

W k r ó t c e miałam przekonać się, że szkolenie w Sedgley College nie przygotowało mnie na dynamikę szkoły średniej ani nie nauczyło umiejętności organizacyjnych. U c z o n o nas, czego uczyć oraz w jaki sposób dzieci się uczą. Dzięki Bogu nabyłam nieco doświadczenia w szkołach w Manchesterze, przyglądając się nauczycielkom w e t e r a n k o m przy pracy, i sama też próbowałam swoich sił w uczeniu.

To było przed dwoma laty. Teraz musiałam uczyć się na bieżąco i cieszyło mnie to wyzwanie. W końcu utrzymywanie dyscypliny wśród katolickich dziewczynek to betka. Te dziewczęta były takie bierne! Podczas lekcji rysunków miałam kłopoty, żeby je w jakikolwiek sposób rozruszać i skłonić do wyrażenia swoich uczuć za p o m o c ą farb i kolorów. Przynosiłam do klasy magnetofon i puszczałam sugestywną muzykę, ale o n e tylko patrzyły na mnie bezradnie i to, co potrafiły z siebie wykrzesać, było zaledwie bladym cieniem koncepcji, którą im p r o p o n o w a ł a m . J a k o praktyczne córki farmerów podchodziły do kreatywności z nastawieniem: „ M a m nadzieję, że to wystarczy". Im starsze, tym mniejszą wykazywały zdolność do eksperymentowania. Tak więc zdecydowałam się na krzykliwe kolory i na koniec roku udało n a m się stworzyć barwną wystawę.

Moim drugim p r z e d m i o t e m było szycie i haftowanie, a miałam bogate doświadczenie w tej dziedzinie. K o c h a ł a m tworzenie piękna za p o m o c ą ściegów i materiałów. Niestety, córki farmerów bez entuzjazmu podchodziły do bardziej wymyślnych haftów - angielskiego, lewostronnego i t e m u podobnych - które robiło się tylko dla ozdoby. Lepiej wyszłyby na tym, gdybym uczyła je, jak przygotować kombinezony i fartuchy. Poziom, jaki z moją p o m o c ą osiągnęły, został zakwestionowany przez wizytatora. Nie wiem, które dzieła skrytykował, ponieważ nie było mnie tam, kiedy oglądał ich prace. Wyjechał, nie udzielając mi żadnych rad, jak sytuację poprawić. M o ż e on również należał do wielbicieli kombinezonów i fartuchów.

Z czasem poczułam się tak, jakbym niemal należała do rodziny. Między członkiniami naszej małej społeczności p o m i m o reguły milczenia p a n o w a ł o koleżeństwo. Sprzątały

śmy kaplicę jak zgrany zespół, p o d kierunkiem jednej z zakonnicek. W słoneczny dzień wszystkie razem dźwigałyśmy ławy i wynosiłyśmy je na trawnik przed klasztorem. Czyści

łyśmy i polerowałyśmy stare d r e w n o , zmywałyśmy z podłogi pastę i pastowałyśmy ją na nowo, myłyśmy witrażowe o k n a i polerowałyśmy wszystkie wyroby ze srebra i miedzi na ołtarzu. Ż e b y mieć wolne ręce, podwiązywałyśmy szale i fartuchy. W takich chwilach byłam nieznośnie świadoma, że mimo woli i ja, i moje siostry odsłaniamy swoje kształty. Jakiś komiwojażer przypadkiem odwiedził klasztor w czasie, kiedy ogarnął nas szal sprzątanania, i przyłapał kilka z nas na zewnątrz w „stroju roboczym". Spowodował pospieszoną rejteradę i został sam wśród nieodkurzonych ławek.

Przywykłam, że należę do grupy osób, które swoje życie poświęciły Bogu i które przeważnie były życzliwe i wesołe.

Moje wyobrażenia na temat życia z a k o n n e g o wreszcie ziściły się w tej małej wiejskiej miejscowości. Przez wiele lat po odejściu z klasztoru właśnie tego intensywnego i wyidealizowanego poczucia wspólnoty szukałam we snach. Miałam taki powtarzający się sen: śniło mi się, że zakonnice, których szukałam, stoją na grządce z jarzynami. Zbliżałam się do nich, a wtedy podnosiły wzrok i mówiły do siebie:

- Z n o w u przyszła. Ciekawe, jak długo zostanie tym razem?

I wtedy zastanawiałam się, ile razy tak n a p r a w d ę wraca

łam i dlaczego za każdym r a z e m odchodziłam. P a d a ł a m na kolana i m ó w i ł a m im, jak b a r d z o k o c h a m Boga i jak p r a g n ę mu służyć, a o n e zawsze pozwalały mi spróbować jeszcze raz. W tych snach nosiłam dziwaczne połączenie habitu i świeckiego ubrania, a znalazłszy się tam, zastanawiałam się, dlaczego wróciłam. Kiedy byłam już b a r d z o blisko zakonnice, u d e r z a ł a we m n i e niczym gniewny wiatr jakaś m r o c z n a przenikliwie zimna m o c i wiedziałam, że nie wytrwam.

Nasza świecka siostra w Benalli była drobniutką kobietą z zajęczą wargą, której oczy wesoło połyskiwały zza okularów w metalowej oprawce. Kiedy p o z n a ł a m siostrę Antoinette, miała już młodość za sobą, ale p o m i m o niewielkiego wzrostu i średniego wieku niestraszna jej była żadna robota. Pełniła funkcję kucharki i z polotem przygotowywała posiłki dla wszystkich zakonnic i dla dzieci w internacie. Była Irlandką i bardzo tęskniła za swoją ojczyzną, a wysłano ją do Australii, kiedy miała zaledwie dwadzieścia lat. J a k o jedyna siostra świecka była podwójnie osamotniona. Nie zapraszano jej do żadnych dyskusji o najważniejszych dla klasztoru sprawach -

jak kierowanie internatem czy parafialną szkołą podstawową. Była koniem roboczym i tyle.

Zaprzyjaźniłyśmy się z siostrą A n t o i n e t t e . Z przyjemno

ścią p o m a g a ł a m jej w kuchni. Pewnego tygodnia przygotowywałyśmy razem piwo imbirowe. Przepis był zwodniczo prosty i przez mniej więcej osiem dni dosypywałyśmy cukru do naszej „kadzi”. W końcu przyszedł czas, by zlać płyn do butelek, które zbierałyśmy, gdzie p o p a d ł o . Na razie wszystko by

ło w porządku.

W kilka tygodni później, kiedy w milczeniu jadłyśmy śniadanie, z zamyślenia wyrwała nas eksplozja. Dochodziła z piwnicy pod kuchnią i j e d n o spojrzenie na siostrę Antoinette pozwoliło mi zrozumieć, co się dzieje. Zauważyłam, że spogląda na wielebną matkę bezradnie, ale z błyskiem rozbawienia w oku, mimo tej katastrofy pod podłogą.

W chwilę po pierwszej eksplozji nastąpiła n a s t ę p n a i wkrótce zaczęła się istna k a n o n a d a . Śniadanie kontynuowa

łyśmy w milczeniu, jakby nic się nie działo. Mogłyśmy tylko czekać, aż eksploduje ostatnia butelka, a p o t e m posprzątać bałagan. Siostra Antoinette nie musiała prosić o p o m o c przy tej pracy, wszyscy zakasali rękawy, żeby usunąć odłamki szkła, które powbijały się w jarzyny i sery oraz w ściany. To była gigantyczna robota. Nigdy już nie próbowałyśmy robić piwa imbirowego, chociażby dlatego że okazało się o n o napojem alkoholowym, a nie imbirową lemoniadą o miłym smaku.

Zrobiłabym dla siostry A n t o i n e t t e wszystko, ponieważ by

ła p o k o r n a i zwyczajna, i przyjazna, i nikogo nie potępiała.

Miała również niezawodne poczucie h u m o r u . Często p o m a gała mi śmiać się z siebie samej, niech Bóg błogosławi jej życzliwą duszę. W końcu musiała przyglądać się mojemu coraz silniejszemu, niedającym się niczym uśmierzyć cierpieniu i patrzyła na to z typowym dla siebie spokojem. Ale zawsze była przy mnie, kiedy jej potrzebowałam, zawsze się za mnie modliła, a te modlitwy były szczere.

Obydwie kochałyśmy ogród i wybieg dla kur. Warzywnik nie zdołałby w żaden sposób nastarczyć produktów dla niemal czterdziestu pięciu osób, ale kury znosiły tyle jaj, że nawet miałyśmy ich w nadmiarze. Wiele godzin spędzałyśmy, smarując skorupki wazeliną, żeby jaja zachowały świeżość do ciast i innych potraw na później, kiedy kury przestaną się nieść. Prosiłam siostrę Antoinette, żeby nauczyła mnie robić ciasteczka „patty cake”. Do dziś trzymam jej przepis w albumie ze „skarbami”.

- Siostro - odezwałam się któregoś dnia, kiedy miała trochę wolnego czasu - umyję siostrze o k n a w kuchni.

- Niech się siostra o to w tej chwili nie martwi - odparła szybko A n t o i n e t t e . - O k n a są b r u d n e , bo są dużo za wysoko, żeby ktoś mógł do nich dosięgnąć.

Miała rację; okna sięgały niemal sufitu, który n a p r a w d ę był bardzo wysoko. Nie myto ich od lat, a u góry może nawet nigdy, co oznaczało, że kuchnia nie lśniła czystością tak, jak p o r z ą d n a kuchnia powinna.

A n t o i n e t t e wiedziała, że kiedy wbiję sobie do głowy, by spełnić jakiś dobry uczynek, nie da się mnie powstrzymać, ale próbowała mnie ostrzec:

- Uważaj tylko, Carlo. - Patrzyła na drewnianą drabinę, którą przywlokłam do kuchni. - Te szczeble robią się b a r d z o śliskie, kiedy poleje się je wodą. Staraj się ich nie zmoczyć.

I pilnuj się, żebyś nie dotknęła gorącego zbiornika.

Wspinałam się z wiadrem w jednej ręce, a szmatą w drugiej. Popatrzyłam w dół - siostra Antoinette modliła się za mnie, widziałam to! Tuż na lewo o d e mnie był duży elektryczny zbiornik, pełen niemal wrzącej wody.

D o t a r ł a m już prawie do szczytu drabiny, kiedy mój sznurowany but z lśniącą skórkową podeszwą się ześlizgnął. Wiad r o wypadło mi z ręki i poleciało w dół, a ja spadłam równie szybko, zaczepiając rękawem habitu o r a m ę bojlera. Bojler mnie puścił - jakby c u d e m - ale



wyłądowałam bokiem na skraju dużego stalowego zlewu na dole.

Hałas w kuchni zwrócił uwagę infirmariuszki. Prawe udo miałam silnie posiniaczone; ciało wyraźnie wgięło się w miejscu uderzenia.

- Idź, zrób sobie kąpiel i wymocz się - zaleciła mi siostra Marian zdawkowo, jak to ona.

No cóż, i tak nie najgorzej, skoro jej dewiza brzmiała:

„W tym klasztorze nie będzie żadnego symulowania!”. Pomógłby mi pewnie trochę okład z arniki albo nawet dodatek gorzkiej soli do kąpeli, ale niestety klasztorne infirmariuszki nie były zielarkami. Nowomodny szacunek do nauki spowodował, że za niedbano wiedzę zielarzy, będącą niegdyś domeną monasterów i klasztorów. Na udzie została mi głęboka, pokryta uszkodzoną tkanką blizna. Przez kilka dni kulałam, potem przemogłam się i zaczęłam tę dolegliwość ignorować, podobnie jak zmuszałam się do ignorowania reszty mojego ciała.

Była jedna dolegliwość, która natarczywie domagała się uwagi, a mianowicie nieprzyjemne oszpecenie rąk: kurzajki.

Miałam kiedyś tak piękne dłonie, że siostra Marian robiła im zdjęcia, a wychowawczyni nowicjuszek siadywała i się w nie wpatrywała. Nie powinnam była o tym wiedzieć, ale wiedzia-

łam, tak samo jak wiedzą o różnych sprawach ludzie, którzy

- chcąc przeżyć - muszą przez cały czas zgadywać, co myślą inni wokół nich. Schlebiało mi to, ale potem pojawiała się poczucie winy z powodu dumy i nieunikniona kara. Tak więc wyrosły mi kurzajki, jedna duża na lewym kciuku, a kilka mniejszych rozsiało się po palcach. Niezbyt odpowiednia przypadłość dla nauczycielki szycia i robótek ręcznych, któ-

rej ręce są zawsze na widoku. Kurzajki mogły również okazać się niebezpieczne, gdyby stykały się z jedzeniem, więc postanowiono, że trzeba je usunąć - w szpitalu.

Szpital w Benelli nigdy nie gościł wcześniej w swoich murach zakonnicy. Usypiając mnie, lekarze starali się, jak mogli. Być może anestezjolog sądził, że zakonnica nie straci przytomności od byle czego, bo podał mi tak wielką dawkę, że obudziłam się dopiero po bardzo długim czasie i tylko na króciutko, tyle że zdążyłam zwymiotować na podłogę. Pacjentka, która dzieliła ze mną pokój, patrzyła bezradnie, jak próbuję opisać nudności i nie udaje mi się. Zanim pojawiła się pomoc, znowu straciłam przytomność.

- Siostra Maria Carla wróci do domu najwcześniej jutro -

powiedziano mojej przełożonej, kiedy przysłała dowiedzieć się o mój stan.

Kiedy wróciłam, obchodzono się ze mną jak ze Śpiącą Królewną i przez kilka dni nie pozwolono mi zabandażowanymi rękami wykonywać żadnej pracy. Podczas rekreacji siostry droczyły się ze mną:

- Siostrze, pro d narcozą zła mała siostra regułę milczenia!

- Co takiego? Co mówiłam?

Nikt nie chciał mi powiedzieć, a ja rumieniłam się, wyobrażając sobie, jakie słowa aż tak bardzo nie nadawały się do powtórzenia. Ach, cóż, *que sera, sera*; nie pozostawało mi nic, jak tylko zlekceważyć tę niepokojącą myśl i śmiać się razem z innymi.

•••

Stałym p r o b l e m e m dla klasztoru i szkoły było gromadzenie funduszy i rok po roku organizowałyśmy w tym celu loterię.

Sporo miałyśmy przy tych imprezach krzątani, ale nie były one jakoś szczególnie p a m i ę t n e poza tą, kiedy to ja miałam pod opieką j e d n o z e stoisk. Liczby odpowiadające p o n u m e r o w anym nagrodom nagryzmoliłyśmy na skrawkach papieru i razem z kilkoma pustymi losami umieściłyśmy w ściąganej na sznurek bawełnianej torbie. Za dwadzieścia centów ludzie mogli próbować szczęścia. Najbardziej pożądaną nagrodą by

ła butelka sherry. Szybko zauważyłam, że to ta butelka przyciąga hazardzistów, więc nie chciałam jej stracić zbyt szybko.

Znalazłam los z n u m e r e m butelki i schowałam go do kieszeni. Ktoś mnie zastąpił na czas, kiedy wędrowałam po terenie, oglądałam widoki i korzystałam ze złagodzenia reguły milczenia, by porozmawiać z rodzicami i dziećmi.

Kiedy się obejrzałam na swoje stoisko, zauważyłam zagadkowe i na wpół przerażone spojrzenie mojej pomocnicy; zostały już tylko trzy nagrody, przy czym butelka tkwiła coraz bardziej samotnie na najwyższej półce, a jakaś pełna determinacji kobieta bliska była szaleństwa, tak się uparła, żeby ją zdobyć! Szybko chwyciłam torbę i ani się obejrzała, a już wrzuciłam los do środka - tak szybko, że nikt nie mógłby podejrzewać, że go oszukano. Miałam szczęście, bo butelka trafiła w końcu do właściwej osoby, a o n a nie skarżyła się, chociaż musiała zapłacić za tyle losów. Dlaczego nic nie podejrzewała? Czy było dla niej nie do pomyślenia, że zakonnice mogą oszukiwać? Prawdopodobnie. O k a z a ł a m się niez d e k o n s p i r o w a n ą zakonnica spod ciemnej gwiazdy, ale chwalono mnie za wielki sukces, jaki odniosło moje stoisko, i tylko to miało znaczenie.

•••

Kiedy j a k o dziewczynka chodziłam do Vacluse College, od siostry A n t h o n y dowiedziałam się, że od pocałunków zachodzi się w ciążę. W sumie ta będąca półprawdą informacja nie była taka zła, tyle że początkowej wstrząsającej rewelacji nigdy niczym nie uzupełniono. Siostra A n t h o n y albo sama nic więcej nie wiedziała, albo nie miała chęci niczego więcej wyjawiać. Teraz ja również uczestniczyłam w kulcie zakamuflowanej ignorancji.

Miałam już blisko trzydzieści j e d e n lat, kiedy dowiedzia

łam się, skąd biorą się dzieci - a pięćdziesiąt cztery, kiedy odkryłam, dlaczego sformułowanie „od

pocałunków zachodzi się w ciążę" wytworzyło w umyśle siedemnastolatki żywy o b -

raz nasienia spływającego do gardła. Moja wiedza o sprawach związanych z seksem posunęła się skokowo do przodu, kiedy w następstwie reform, jakie wszczął papież Jan XXIII, zakon w końcu zastosował się do wytycznej biskupa, żeby zapewnić uczennicom odpowiednią edukację seksualną.

Miał im to wyłożyć ojciec Gregory, najstarszy w naszej parafii ksiądz, którego wcześniej długo i usilnie przekonywały do tego zakonnice. L a t e m 1967 roku, cały spocony ze zdenerwowania, złożył w klasztorze wizytę, by wyjaśnić sprawę poczęcia wypełnionej uczennicami sali. J a k o nauczycielce wolno mi było się przysłuchiwać.

Ojciec Gregory pokazał przeźrocze z posągiem Dawida dłuta Michała Anioła. Slajd był niewyraźny, z t r u d e m można było się domyślić, czym i gdzie są te jądra, o których mówił.

Czy znajdowały się wewnątrz ciała? A co to jest moszna?

J e d n o było pewne: penis znajdował się na zewnątrz i powiedziano nam, że musi zagłębić się w najbardziej intymną część kobiecego ciała o nazwie pochwa, by doszło do zapłodnienia.

Co jak co, ale ta informacja z pewnością nie mogła być prawdziwa! Sam pomysł był tak ordynarny, że mój umysł nie potrafił się z nim pogodzić. W głowie mi się kręciło na myśl, że kobieta miałaby zdjąć z siebie reformy i obnażyć się przed mężczyzną, który również był bez kałesonów, i że on miałby wetknąć swój... penis? Co za ohydne słowo! - powiedzmy, to paskudztwo, to coś, czym oddawał mocz, do jej wnętrza!

Oburzające! W s t r ę t n e ! Nic dziwnego, że Jezus wolał n a r o dzić się z dziewicy, która nigdy nie musiała cierpieć p o d o b nego poniżenia!

Mój płonący umysł rozpaczliwie czepiał się tego, czego nauczyłam się, mając siedemnaście lat: to od pocałunków zachodzi się w ciążę! M o ż e ksiądz się mylił. Popatrzcie tylko, jak on się poci! Coś tu jest nie w porządku, bez dwóch zdań.

Na szczęście puszczono w obieg p u d e ł k o na pytania, a pytania mogły być anonimowe.

„Czy jest jakiś inny sposób, żeby poczęło się dziecko?”.

Ksiądz w p ó ł m r o k u odczytał moje pytanie. Serce mi zamarło. Pytanie świadczyło o wielkiej ignorancji, i rzeczywi-

ście tak było. Odpowiedź brzmiała jak ogłoszony przez sędziego wyrok - ostateczna, nieodwołalna, której już dłużej nie dało się zaprzeczać.

- Nie, to jedyny znany sposób, poza Niepokalanym Poczęciem.

D a ł a m się nabrać! Zakipiała we mnie wściekłość na edukację seksualną siostry Anthony, ale najbardziej przytłoczyło mnie miazdzące poczucie upokorzenia i wstydu. Wstydu za własną ignorancję; wstydu za rodziców; wstydu za wszystkich rodziców, którzy zostali teraz zdemaskowani.

Czułam wstyd na myśl o dorosłych, którzy kopulowali na całym świecie, by płodzić te wszystkie dzieci; wstyd, że zniszczone zostało romantyczne piękno. Buntownicze myśli kłębiły mi się w głowie, grożąc zwarciem w mózgu. Audrey H e p b u r n , Bing Cros-by, G r a c e Kelly - jak oni mogli coś takiego robić? J a k m o ż e ktoś wyglądać tak niewinnie i coś takiego robić?

M a t k a jednej z dziewczynek wstała. O t o kobieta, która

„ t o " robiła. Kiedy patrzyłam na nią, nie pytałam siebie w my

śli, „czy to ją z d e p r a w o w a ł o ? " (deprawację przyjmowałam za pewnik), tylko „czym się jej zdeprawowanie objawia?".

Miała około czterdziestu lat i całkiem pewnie trzymała się na nogach. Nie była ładna i nie bała się wypowiadać. Panujące na sali napięcie wydawało się nie mieć na nią wpływu.

- Nie powiedział ksiądz - zwróciła się do niego - że stosunek płciowy jest b a r d z o przyjemny.

Cisza. Kobieta ciągnęła dalej.

- Nie pełni wyłącznie funkcji praktycznej. Może dawać bardzo dużo radości, a ksiądz o tym w ogóle nie wspomniał.

Słowa kobiety wywołały we mnie jeszcze większy wstrząs.

Miałam wrażenie, że swoim oświadczeniem otwarcie zdradziła innych dorosłych. Ujawniła sekret, sekret dorosłych, na sali pełnej podlotków. To było tak, jakby publicznie oświadczyła dzieciom, że Święty Mikołaj nie jest prawdziwy; jej wypowiedź przypieczętowała utratę niewinności.

Ojciec Gregory przekładał trzymane w rękach papiery.

Słowem się nie odezwał, tylko kiwnął głową na znak aprobaty albo zgody. Nie zapytał:

- Czy tak?

A powinien był, bo jako ksiądz nie miał prawa o takich sprawach wiedzieć. Ale ktoś mógł mu powiedzieć albo mógł

gdzieś o tym przeczytać... Mój płonący umysł starał się go jakoś uratować. To w oczywisty sposób znaczące, że nie wspomniał o przyjemnej stronie seksu. Przekazywał tym samym pewną informację, która wsączała się do każdego umysłu na tej zatłoczonej i dusznej sali, i każdy miał ją zinterpretować po swojemu.

Kobieta dotknęła podstawowej przyczyny, dla której seks był czymś nagannym: najwyraźniej była to perwersyjna przyjemność. Najwyraźniej perwersyjna? O tak, inaczej o tej jego stronie w s p o m n i a n o by na samym początku.

Naturalnie Jezus nie został poczęty jak inni ludzie; urodził

się z dziewicy, nietkniętej męskim penisem. Wnioski były jasne: poczęcie jest skażone stosunkiem płciowym, a n o r m a l n e narodziny człowieka tym samym są czymś gorszym.

Ludzie nie wymyślili jeszcze, jak płodzić dzieci bez stosunku płciowego. Ponieważ t r u d n o bez seksu zaludnić ziemię (a tym samym przyczynić się do rozrostu kościoła katolickiego), trzeba wybaczać czynności związane z seksem. Tak więc kościół katolicki stworzył sakrament o nazwie „święty związek małżeński”, będący u s t ę p s t w e m w o b e c człowieczej ułomności. Seks ma służyć wyłącznie prokreacji. A kościół, który tyle energii włożył w to, by uświęcić ból, nie mógł raczej uświęcać przyjemności płynącej z seksu...

Wykład się skończył. Wyszłam z sali, nie mogłam zdobyć się na to, by spojrzeć w oczy którejś z dziewcząt czy zakonnicy, wślizgnęłam się do kaplicy. Tam uklęknęłam - wyprostowana jak struna, sztywna z zażenowania swoją własną ignorancją, z płonącymi policzkami. Wbiłam wzrok w t a b e r n a k u l u m z olbrzymim znakiem zapytania na twarzy, ale z milczącej przestrzeni nad ołtarzem nie spłynęło na mnie żadne oświecenie.

Mój dylemat, jak znieść ten wstyd, wydawał się całkowicie obojętny Bogu.

*To prawda, ja... stworzyłem ludzi w taki sposób, tak, ale... no cóż... przynajmniej mój Syn narodził się z Dziewicy! Nic lepszego nie mogłem zrobić. Przynajmniej zesłałem mojego Syna, żeby wybawił was od waszej grzeszności. Stworzyłem pokusę, ale Adam i Ewa powinni być na tyle silni, by się jej oprzeć. Fatalna sprawa; stało się. A czy ty sama nie wyrzuciłaś broszurki, którą wręczyła ci matka, kiedy miałaś siedemnaście lat? W twoim świecie istniały biblioteki - dlaczego nie pożyczyłaś sobie książki o seksie?*

**Tak, to prawda! Chyba z rozmysłem nie chciałam się niczego dowiedzieć. Dlaczego?**

**Czas płynął, a ja nie zwracałam na to uwagi. W końcu od drzwi dobiegł mnie natarczywy szept siostry Madeleine:**

**- Sostro Mary Carlo, czas na czytanie!**

**Była szósta. Szkoła skończyła się o czwartej. Popędziłam na wspólną salę i zajęłam miejsce między moimi siostrami, które na szczęście spuściły głowy, żeby wysłuchać czytanego przez naszą przełożoną tekstu. Nie słyszałam ani jednego słowa z tego, co czytała. Po raz setny próbowałam pozbyć się obrazu penisa wchodzącego w pochwę.**

**Przez kilka najbliższych miesięcy miały często nawiedzać mnie burzliwe sny, po których następowały pełne powtórzeń spowiedzi u księdza. Kto wie, jakie słowa wyrwały się ciemną nocą z moich ust podczas tych snów? Nie bez powodu nigdy nie wybrano mnie na opiekunkę dormitorium, która spa**

**ła w tym samym pokoju co dzieci w internacie. Ale to, co mnie tamtego popołudnia tak poruszyło, zaczęło w moim wnętrzu roztapiać jakąś zlodowaciałą bryłę, budząc uczucia, których nie znieubiłam tak do końca.**

**Nie minęło kilka tygodni, a charakter moich spowiedzi się zmienił.**

**- Ojciec, nie wydaje mi się, żeby te uczucia miały być złe.**

**Wydaje mi się, że są naturalne.**

**Ksiądz westchnął. Nie był na tyle odważny, by wypowiedzieć swoje zdanie.**

**- Myślę, że powinna siostra omówić to ze swoim biskupem - taka była jego ostrożna odpowiedź.**

Nie tak szybko, siostró

W 1965 roku nastąpiły w Anglii burzliwe wydarzenia, o których gdzie indziej mówiło się jak najmniej, a po których nasza matka generalna została nagle usunięta ze stanowiska. W Australii powiedziano nam tylko, że zrezygnowała ze względów zdrowotnych. Przez kilka miesięcy zakon pozbawiony był matki generalnej, a potem w następnym roku przejęła to stanowisko Irlandka, matka Raphael, kobieta o błyskotliwych zdolno

ściach towarzyskich i genialnym zmysłem organizacyjnym. Teraz od niej zależało, czy w klasztorze zajdą jakieś zmiany; przypominało to trochę próbę zamienienia dinozaura w gazelę. Margaret Winchester została matką generalną w 1948 roku i utrzymała się na tym stanowisku przez dziewiętnaście lat.

W 1967 roku matka generalna umarła, a związane z jej śmiercią uroczystości były tak skromne, że nie całkiem potrafię sobie przypomnieć, kiedy nastąpiły. Pamiętam natomiast szokujące oświadczenie, jakie matka Clare wygłosiła na jej temat w dzień, kiedy dowiedziałyśmy się o więcej niż jednej sprawie, która miała zmienić nasze życie.

Wielebna matka Clare denerwowała się - widać to było po kolorze jej policzków. Zwykle okrywał je delikatny rumieniec, który ciemniał, kiedy była podniecona lub zestresowana. Tego dnia twarz miała w plamach, a na ustach zagadkowy uśmiech i bawiła się trzymanymi w rękach papierami. Poruszając się, plecy i kark trzymała sztywno - jeszcze jedną oznaką stresu.

Poprosiła nas, żebyśmy odłożyły szycie, by uważniej wysłuchać specjalnego komunikatu. Wtedy wszystkie już wiedzia

łyśmy, że dzieje się coś poważnego i w pokoju zapadła idealna cisza. Siedziałyśmy ze spuszczonej oczami, opanowując napięcie.

- Komunikat, który mam wam przekazać, to oficjalna, podana do publicznej wiadomości notatka, sformułowana w języku prawa - zaczęła matka Clare. Potem, zanim przeczyta

ła wiadomość, dodała surowym tonem: - Macie nigdy nie komentować tego, co za chwilę usłyszycie, w imię lojalności wobec świętej pamięci matki generalnej, którą wszystkie szanowałyśmy.

Własnym uszom nie mogliśmy uwierzyć, słysząc te słowa, a potem następne.

- Stwierdza się, że przez ostatnie trzy lata swojego życia M a r g a r e t Ellen Winchester - czytała matka Clare - pełniąca jak w i a d o m o w latach 1948-1965 funkcję matki generalnej Z g r o m a d z e n i a Wiernych Towarzystek Jezusa, była niepoczytalna. Mając na względzie jej chorobę umysłową, nie m o ż n a zarzucać jej popełniania z rozmysłem jakichkolwiek nagannych uczynków.

Wspólnie zaczerpnęliśmy powietrza. Czy dobrze słyszały

śmy? Niepoczytalna! Nasza m a t k a generalna chora umysłowo, nieodpowiadająca za swoje czyny? U ś m i e c h n ę ł a m się z oczami wbitymi w podolek, smętnie wdzięczna, że słyszę, jak ktoś wypowiada te słowa publicznie w naszym prywatnym królestwie. Czy notatka będzie się musiała ukazać w gazetach? Ale sięgałam myślą za daleko. Wydarzenia odnoszące się do rządów i detronizacji m a d a m e Winchester miały zostać utajnione w archiwach biskupa Londynu. Podejrzewam, że matka Clare popełniła błąd, odczytując to oświadczenie swojej społeczności. Na ile się zdołałam zorientować, nie po-wtórzyło się to w żadnym innym klasztorze. A zakonu nigdy nie p o z w a n o do sądu.

Powoływanie się na niepoczytalność, by uniknąć sprawy sądowej, to j e d n o , ale wypieranie się wyrządzonej niesprawiedliwości to coś całkiem innego. Oświadczenie było przyznaniem się do winy, ale dzięki chorobie umysłowej matka generalna uznana została za osobę niewinną i bez zarzutu!

Nie znalazła się tam żadna wzmianka o przeprosinach, zadośćuczynieniu czy pomocy psychologa dla nieszczęsnych zakonnice, które ucierpiały z rąk osoby umysłowo chorej. Ta wiadomość wywołała we mnie burzę emocjonalną - triumf, złość, poczucie zdrady i szyderczą pogardę.

Drugie ogłoszenie spadło na nas jak grom z jasnego nieba.

M a t k a Clare trzymała w ręku papiery, dotyczące brzemiennej w skutki dyskusji, otrzymane od biskupa prowincji, który otrzymał jej od swoich przełożonych w M e l b o u r n e , którzy z kolei otrzymali je z Rzymu. Były to o p ó ź n i o n e dokumenty o p a r t e na Dekrecie o Przystosowanej Odnowie Życia Z a k o n n e g o (Perfectae Caritatis), ogłoszonym w 1965 roku.

W Broadstairs odbył się zjazd. Z a k o n F C J, tak odważny na początku odnowy, ustąpił przed o p o r e m zwykłych zakonnice. Bo przecież zakonnice w klasztorach F C J na całym świecie uczono tego, by milczały, a nie mówiły. Po przeciągających się deliberacjach Kapituła G e n e r a l n a F C J podjęła decyzję: należy zachować się jak najbardziej konserwatywnie wobec odnoszących się do zakonnice sugestii Soboru Watykańskiego II, co w praktyce oznaczało: nie robić prawie nic.

Kościół założył, że zakonnice są na tyle dojrzałe, że same zainicjują i wprowadzą sensowne zmiany, które pozwolą im odgrywać większą rolę w świecie i zachowywać się bardziej po ludzku. Ale sprawy miały się zupełnie inaczej.

W dalekiej Australii nie wiedziałyśmy nawet, że zasugerowano jakieś zmiany. Lokalni biskupi, odpowiedzialni za rozpowszechnienie wiadomości, zareagowali na nie bez większego entuzjazmu i o niczym nas nie poinformowali. Ale teraz przełożeni mieli obowiązek przekazać swoim społecznościom, jakie zmiany należy wprowadzić, i poinformować, że w każdym klasztorze *cała społeczność* ma proponować, w jaki sposób je wprowadzi.

- Poproszono nas, byśmy się poważnie zastanowiły i przedyskutowały sprawę - mówiła m a t k a Clare, z t r u d e m panując nad głosem. - Będziemy sobie w duchu odnowy zadawa

ły pytanie, jaki jest cel naszego zakonnego życia. Poddamy również na nowo ocenie nasze trzy śluby, a zwłaszcza ślub posłuszeństwa. - Zaczekała, aż te słowa do nas dotrą. -

Wszystkie będziemy w tym brały udział. Głos każdej będzie się liczył tak samo.

To była diametralna zmiana! Ale czekało nas jeszcze coś więcej. M a t k a Clare zamierzała chyba tego dnia zniszczyć normalność do cna.

- J a k o zakon - ciągnęła - F C J opierały się zmianom, zasugerowanym w przeszłości przez Sobór Watykański II. To ma się skończyć. Teraz zmiany zostaną nie tylko rozważone, ale i wprowadzone w życie, albo nasze zgromadzenie zostanie rozwiązane lub połączone z innym z a k o n e m .

Rozwiązane! Połączone z innym z a k o n e m ! Dwanaście zakonnice wokół stołu zachwiało się i zadrżało. Większość z nich, łącznie z kilkoma we władzach, przekonanych było, że to od nich zależy zachowanie prawdziwych zakonnych ideałów i zwyczajów i że zmiany, o jakich szeptało się na ucho, są ustępstwami na rzecz ludzkiej słabości. Dla nich nieznanym światem równoznaczną była mądrością. Jedyne wieści z szerokiego świata, jakie do nas docierały, to te, o których przypadkiem wspomniały dzieci, albo informacje na tyle ważne i uniwersalne, że ogłaszano je na wspólnej sali.

P a m i ę t a m dobrze dzień, kiedy z a m o r d o w a n o J o h n a F. Kenn e d y e g o ; byłam jeszcze w Stella Maris i o śmierci prezydenta p o w i a d o m i o n o wszystkie siostry, które akurat znalazły się w tym czasie na wspólnej sali. Z w o l n i o n o nas ze zwyczajowego oczekiwania na czytanie, żebyśmy natychmiast mogły modlić się za duszę prezydenta. Oczywiście K e n n e d y był katolikiem.

Zaledwie na miesiąc przed szokującym k o m u n i k a t e m m a t k i C l a r e , siostra Patrycja, apodyktyczna z a k o n n i c a w średnim wieku opiekująca się szkołą podstawową, opowiedziała n a m o dziecku, które przyniosło w piątek do szkoły kanapkę z mięsem.

- Powiedziałam m u , że to grzech śmiertelny jeść mięso w piątki - mówiła (już nie, zgodnie z S o b o r e m Watykańskim II) - a on zaczął się trząść, m o w ę m u o d e b r a ł o ze strachu, bo zdążył kawałek ugryźć. - Uważała, że to o k r o p n i e zabawne.

J e d n ą z najtrudniejszych ofiar, jakie składałyśmy w przeszłości, było powstrzymanie się nie tylko od krytyki, ale nawet od wyrabiania sobie własnego zdania - główny skutek uboczny dziecięcego posłuszeństwa. Przylgnęłam do tego z instynktem godnym męczennicy. Co było wystarczająco dobre dla jezuitów, było również wystarczająco d o b r e dla nas, tak n a m powiedziano. Przeoczyłam tylko j e d n o , a mianowicie że jezuitów zachęcano nie tylko do posłuszeństwa, ale i do b a r d z o przenikliwego myślenia.

„Nie krytykuj” powodowało, że ignorowałam fakt, iż wiele starszych zakonnice nie zawsze trzymało się reguł narzucanych młodszym. Gromadziły się we wnękach drzwiowych i z ożywieniem łamały regułę milczenia, kiedy sądziły, że nikt ich nie widzi. Pielęgnowały „szczególne przyjaźni”, które w naszym regulaminie nazywano zgubą życia zakonnego. Chociaż tyle musiałam przecierpieć, żeby



zostać wierną tej regule, nadal ich nie krytykowałam. Czytały czasopisma i książki, do których my nie miałyśmy dostępu. Piły herbatę, kiedy miały na nią ochotę, ignorując obecność świeckiej siostry, której zadaniem było niczego nie krytykować.

Kiedy wreszcie złagodzano w pewnym stopniu regułę milczenia, a ja poczułam, że mogę ją złagodzić jeszcze o d r o b i n ę bardziej, siostra A n t o i n e t t e i ja często śmiałyśmy się z tego wszystkiego.

Siostra A n t o i n e t t e była lekarstwem dla mojej duszy, równie skutecznym jak maść Rawleigha, którą dawała żebrakom, kiedy przychodzili do drzwi kuchennych, skarżąc się na hemoroidy. Poczuli się wytrącony z równowagi, kiedy powiedziano jej, że ma już więcej żebrakom nie pomagać:

- Jesteśmy zakonem uczącym, a nie instytucją charytatywną, siostrze. A ci żebracy mogą być niebezpieczni dla uczniów i mieszkańców internatu!

Siostra A n t o i n e t t e nie była głupia. Z d a w a ł a sobie sprawę, że o b e c n o ś ć żebraków przy drzwiach kuchennych m o g ł a zaszargać reputację klasztoru. Ale żebracy byli jej d o b r z e znani, przychodzili od wielu lat, poza tym niektórzy przybywali z daleka. W z a m i a n z a j e d z e n i e , u b r a n i a i leki trzepali ciężkie maty, z którymi sama by sobie nie poradzi

ła, i wykonywali takie p r a c e , jak czyszczenie kominów. Nadal p o m a g a ł a i m u k r a d k i e m , tylko prosiła, żeby p o t e m szybko odeszli.

W duchu reform nie do przyjęcia było już „ślepe posłuszeństwo”, zgodnie z którym siostra nie ponosiła żadnej odpowiedzialności za swoje czyny, jeśli starała się wypełniać wolę Bożą, po prostu słuchając rozkazów. Stwierdzenia:

„ R o b i ę tylko to, co do m n i e należy”, nie m o ż n a już było uznać za usprawiedliwienie głupiego czy n i e m o r a l n e g o zachowania. Dla pełnych uległości z a k o n n i c takich jak ja przejście od dzieciństwa do dorosłości stanowiło wyzwanie, było bolesnym dojrzewaniem. D l a innych taka z m i a n a okazywała się niemożliwa. Dziecko albo nic, innego wyboru nie miały. Szamotały się żałośnie, ale z tym mógł się u p o r a ć klasztor, od tak d a w n a będący ich d o m e m . Prawdziwym u t r a p i e n i e m okazały się te „dojrzewające” - głośnie, wygad a n e i buntownicze.

I tak zaczęły się czasy wypadów na tereny konserwatywnego myślenia oraz *status quo*. Kiedy czytałam r o z d a w a n e n a m do studiowania notatki na różowym, zielonym i niebieskim papierze - jeden kolor dla każdego ślubu - ogarniało mnie niemiłe poczucie, że potężnie dałam się nabrać. Ale kto postanowił zrezygnować z odpowiedzialności, jaką niosło myślenie za siebie? Tylko ja, i to z krańcową ulgą i skwa-plitością!

Od t a m t e g o p a m i ę t n e g o dnia, kiedy z a p o z n a n o nas ze zmianami, na stole we wspólnej sali codziennie pojawiała się gazeta, a w małym pokoju przy drzwiach zainstalowano telewizor. Równocześnie powiedziano n a m , że chociaż teraz mamy obowiązek posiadać coś takiego w d o m u , lepiej ani jednego, ani drugiego nie tykać.

Ja oczywiście czytałam gazetę i to na oczach wszystkich, milcząca dezaprobatą sióstr przewalała się n a d e m n ą jak fala, kiedy mnie mijały. Silniej docierała do mnie ich reakcja niż słowa, jakie

czytałam, a kiedy wiadomości wreszcie się przebiły, musiałam udawać, że czuję się głęboko wstrząśnięta tym, co przytrafia się ludziom na całym świecie.

Poza tym oglądałam telewizję. Na początku wybierałam stosunkowo niewinne programy, takie jak nabożeństwa odprawiane przez inne wyznania w niedzielę. Wydawały się raczej nieszkodliwe. P o m i m o t a k b a r d z o okrzyczanego post-watykańskiego ekumenizmu, usłyszałam, że zakonnice p o t ę p iają ten program j a k o podkopujący wiarę katolicką. Od następnego tygodnia, dzięki łagodzącym wpływom jednej ze starszych zakonnice, która zwróciła uwagę, że dobrze byłoby zrozumieć naszych protestanckich braci i siostry i p r z e k o n a ć się, co nas łączy - a także być może po to, żeby zapobiec całkowitej izolacji ich przedsiębiorczej siostry - kilka zakonnice oglądało przez kilka tygodni ten niedzielny program. W pewnym stopniu poczułam się zrehabilitowana.

Filmy to co innego. N a w e t A n n a stawiała tu granicę.

M o g ł a m liczyć na nią, że z e m n ą p o r o z m a w i a , p o m o ż e mi skrócić r ą b e k habitu, a n a w e t p r z e m o d e l o w a ć cały habit, ale nie chciała oglądać r a z e m z e m n ą h o r r o r ó w o północy.

Tak więc o g l ą d a ł a m je sama. M o i m pierwszym filmem telewizyjnym był dreszczowiec psychologiczny o m o r d e r s t w i e , k t ó r e p o p r z e z wibracje zapisało się w k a m i e n n y c h ścianach piwnicy. Kiedy k a m i e n i e się aktywowały, m o r d e r c z e w y d a r z e n i a powtarzały się, n i e u c h r o n n i e przynosząc fatalne skutki.

Światła gaszono o dziesiątej wieczorem, ale ja siedziałam w pokoiku, oczarowana tą historią. Sporo po północy przychodziła pora, żebym się położyła. Wychodziłam na ciemny korytarz i nic nie widziałam. Podłoga trzeszczała pod moimi stopami rozpaczliwie głośno. Nie było mowy, żebym o tej godzinie wdrapywała się po nocy po schodach zewnętrznych. Po omacku, wodząc ręką po ścianie szukałam głównych schodów. Stopnie również trzeszczały, ale jeżeli któraś z sióstr mnie słyszała, żadna nie wyszła popatrzeć, kto tak hałasuje.

Dochodziłam do podestu i teraz byłam już pewna, że trafię do dormitorium. Po podnieceniu oglądanym filmem i przerażającej drodze do łóżka tyle miałam w żyłach adrenaliny, że godzinami nie mogłam zasnąć. Mówiłam sobie, że warto było.

Następnego dnia głowa mi ciążyła z niewyspania, ale miałam n i e m ą d r e poczucie wyższości. Nikt mnie nie pytał, czy podobał mi się film, więc napawałam się swoim pozornym zwycięstwem w samotności. Większe byłoby to j e d n a k zwycięstwo, gdybym oglądała coś użytecznego, jak programy o wydarzeniach bieżących oraz lokalne i światowe wiadomości.

• • •

Spódnice naszych habitów były bardzo obszerne i poruszanie się w nich w taki sposób, by materiał nie okręcał się wokół bawełnianych pończoch, stanowiło umiejętność, którą pewne zakonnice potrafiły przyswoić sobie lepiej niż inne. Ja doprowadziłam ją do takiej perfekcji, że m o ż n a by pomyśleć, iż pod spódnicą m a m kółka a nie nogi.

Pewnego ranka po nabożeństwie w kaplicy przechodziłam przez hol, gdzie nasza przełożona właśnie zegnała się z księdzem, który odprawił dla nas mszę. Nie patrzyłam ani w lewo, ani w prawo, ale zauważyłam, że rozmowa gwałtownie się urwała, kiedy ich mijalam. Potem rozległa się pełna zdumienia uwaga księdza:

- Czy to jest n o r m a l n e ?

Szokujące słowa. Nie mogłam potraktować ich jak komplementu dla mojego płynnego „ślizgania się” po posadzkach.

Czasami zwalniałam, bo przypominał mi się werset z wiersza, który słyszałam w szkole jako dziecko: „Niezrównana świetność swobody”. Wciągałam powietrze, pozwalałam, by te słowa dotarły do mojej świadomości, i odzyskiwałam poczucie swobody. Potem ćwiczyłam bardziej powolny krok i pozwalałam sobie o d r o b i n ę poruszać biodrami, czując się jak królowa.

Nowa reguła stwierdzała, że jeżeli co najmniej dwie zakonnice zgodzą się na jakiś fason habitu, to nowy model m o

że być noszony przez te, które innowację wprowadziły. A n n a i ja razem zabrałyśmy się do szycia habitów o nowym fasonie.

Szycie wychodziło jej lepiej niż mnie; umiała zrobić tak, by ubrania pasowały. Stosowałam się więc do jej instrukcji i bardzo byłam wdzięczna za współpracę, bo narażała się na krytykę tych zakonnice, które w naszym działaniu widziały spisek.

Spisek wymierzony przeciwko nim.

A n n a uznała, że m ą d r z e będzie naszkicować nasz model, a p o t e m zasięgnąć opinii innych zakonnice. Narysowała smukłej wyglądającą spódnicę, z rąbkiem ani długim, ani krótkim, ale oscylującym niezdecydowanie pomiędzy j e d n ą długością a drugą, a do tego luźny żakiet, dochodzący w talii do spódnicy. Zamiast czepca wybrałyśmy welon na sztywnej bia

łej opasce. Był to już strój regulaminowy, ale nikt go dotychczas nie stosował.

Nasz nowy projekt nie wzbudził najmniejszego nawet zainteresowania i nie napłynęły z a d n e sugestie, jak można by go poprawić, więc wzięłyśmy się do roboty i uszyłyśmy sobie te habitury z białawego materiału na lato.

Założyłam nowy habit po raz pierwszy na ślub mojej najmłodszej siostry. Do tego czasu włosy odrosły mi już na tyle, że widać było postrzępioną grzywkę. Dziwnie się czułam, zapuszczając znowu włosy, kiedy przez tyle lat co tydzień golono n a m głowę. Czy wciąż będą jasne? Żeby zachęcić skórę na głowie do działania, wystawiałam ją do słońca na małym, wychodzącym na podjazd balkoniku na piętrze na końcu naszego dormitorium. Musiałam kulić się przy samej ziemi, żeby mnie nikt nie zobaczył (balkonik widoczny był z drogi i dosyć niski) i wybierać taką porę, kiedy w dormitorium nikogo innego nie było. Gorący, piekący pot szybko kazał mi schodzić z ostrego słońca, ale tylko odrobinę osłabiał grzeszną zmysłową radość, jaką przynosił dotyk świeżego powietrza na

skórze głowy.

Na ślubie siostry czułam się szalenie b e z b r o n n a bez zbroi, jaką tworzyły obszerne fałdy starego habitu.

A n n a i ja założyłyśmy również nasze nowe habity na pogrzeb w kaplicy. Wzięło w nim udział kilku księży jezuitów, którzy pojawili się tam, by okazać wykształconą podczas wieloletnich kontaktów solidarność z FCJ. Przez wiele dziesiątków lat tworzyli towarzystwo wzajemnej adoracji. Na nic nie przydały się próby ukrycia nas na tyłach; to właśnie tam by

łyśmy najbardziej widoczne dla ludzi siedzących w ostatnich ławkach oraz tych, którzy mieli miejsca stojące.

- Skąd o n e są? - zadał szeptem to niełaskawe pytanie naszej przełożonej jakiś jezuita. Z e r k n ę ł a m ukradkiem na pytającego i zauważyłam reakcję rozgoryczonej przełożonej.

- To te nowe habity - wyszeptała i, mówiąc to, odwróciła się od nas, co świadczyło o bezradności, z jaką musiała patrzeć na te absurdy i akceptować je, i o nadziei, że ksiądz z płaczącym głosem zrozumie, że to nie jej pomysł.

Nikt nie przywdział nowego habitu poza A n n ą i mną. Nikt nie próbował brać przykładu z naszej odwagi, przez niektórych nazywanej zuchwałością. „ O d p o w i e d n i ” fason nowego habitu został uważnie rozpatrzony w G e n a z z a n o i ostatecznie tamtejsze zakonnice wymyśliły model, w którym zmiany w p r o w a d z a n o bardziej stopniowo; taki, który zmieniano mniej więcej co dwa lata, w miarę jak rosła akceptacja dla elegancji. Mnie wtedy d a w n o już w zakonie nie było.

••>•

Dyskusje na t e m a t odnowy były ożywione. Czułam się jak jakaś wizjonerka; moja wyobraźnia płonęła; z łatwością wyo b r a ż a ł a m sobie, jak mogłybyśmy bez zbędnych kajdan wkroczyć w przyszłość. Byłam również idealistką i przystępo-wałam do rozważania różnych tematów oraz pomysłów, nie zwracając uwagi na uczucia innych, nie akceptując ani nie szanując faktu, że nie wszystkie moje siostry są takie jak ja i że mogą potrzebować więcej czasu, by się zmienić.

Sprzeciw wobec mojej zuchwałości wyrażano zarówno otwarcie, jak i w bardziej wyrafinowany sposób. Im łatwiej n a m się rozmawiało, tym łatwiej też było „uprawiać politykę”

- łączyć się w grupy. Odizolowanie kogoś w społeczności jest łatwe: wystarczy z kimś takim przestać rozmawiać. Możesz utrudniać nawiązanie rozmowy, udając, że się spieszysz. M o

żesz układać plany tak, by ta osoba się o nich nie dowiedzia

ła, ogłaszając je pod jej nieobecność i tak dalej. Stopniowo siostry wyrzuciły mnie poza nawias.

Poskarżyłam się na zebraniu, że m n i e nie akceptują. Prze

łożona przerwała coś, co było odpowiednikiem linczu. Burza gniewnych uwag utwierdziła m n i e

tylko w moich p r z e k o naniach.

Otrzymywałam listy od różnych przełożonych, które znały mnie w przeszłości.

„Bądź cierpliwa i życzliwa, siostrze”. Taki był ton k a ż d e g o z nich. Ale moje serce s t w a r d n i a ł o . O d p o w i a d a ł a m bez o g r ó d e k :

„Nikt nie chce mnie wysłuchać; a wy wszystkie chcecie wy

łącznie miło i słodko nakłonić mnie, żebym była 'grzeczna', żebym siedziała cicho i przestała uprzykrzać ludziom życie”.

Wcale tego dobrze nie przyjęto. Nie w takim duchu byłam szkolona w FCJ.

Mieszkałam z grupą kobiet bardziej zrównoważonych, ale niekoniecznie dojrzalszych. Potrafiły poświęcić się dla wspólnego dobra, żeby przetrwać burzę, i czuły urazę do kogoś, kto rozhuśtywał ich łódkę.

Nowe ustępstwo pozwoliło zakonnicom wybierać księdza, który będzie ich spowiednikiem i m e n t o r e m , co oznaczało, że nie tylko uniezależniły się od miejscowego proboszcza i ludzi jego pokroju w sprawach spowiedzi oraz zwierzchnictwa, ale również zyskały pewną niezależność od matki przełożonej.

Ojciec Doherty, który tego roku prowadził nasze siedmiodniowe rekolekcje, został moim m e n t o r e m . Lubiłam go za podziw, jaki okazywał Teihardowi de Chardin, t e m u ekskom u n i k o w a n e m u heretykowi z jego naukowym i lirycznym uwielbieniem dla Boga. Ojciec Doherty stacjonował w Melb o u r n e , w związku z czym kontaktowaliśmy się listownie.

Przelewałam swoje frustracje na papier, a on odpowiadał kojącymi listami, obdarzając mnie zrozumieniem i beznamiętnymi, dobrymi radami.

„Ufam, że będzie siostra pamiętała - pisał - że to cierpliwość ludzi, takich jak Congar, de Lubac i Karl R a h n e r umożliwiła koniec końców zrealizowanie wielkiego dzieła, jakim był Sobór Watykański II”.

No cóż, po takich słowach czułam się b a r d z o p o k o r n a i nieistotna! Nie byłam żadną wielką myślicielką w porównaniu z tymi słynnymi osobistościami; ksiądz łagodnie zwracał

mi uwagę, że jestem tylko zakonnicą (nie najlepiej poinform o w a n ą ) i nie powinnam brać na siebie zbyt wiele odpowiedzialności przy zmienianiu czegokolwiek.

„Prószę, siostrze, postaraj się być cierpliwa. Spróbuj spojrzeć na sprawy z p u n k t u widzenia innych. D r o g a przed nami wznosi się ł a g o d n i e , a to oznacza, że musimy kroczyć nią r a z e m , okazując sobie wzajemnie szacunek i miłość bliźniego”.

N a p r a w d ę próbowałam. Ale płonęłam i nie rozumiałam wahania moich sióstr.

„Ojciec - odpowiedziałam - moje siostry z rozmysłem stają w poprzek zmianom, a wszystko po to, by przeszkodzić *mnie*”

Nie odpowiedział na to. Co m o ż n a napisać do zakonnicy, u której rozwijają się pierwsze oznaki paranoi?

Nie byłam jedynym u t r a p i e n i e m zakonu. Jeżeli ja chcia

łam kroczyć n a p r z ó d zbyt szybko, inne nie chciały się w ogóle ruszyć. N i e k t ó r e ze starszych, b a r d z o wiernych zakonnicy cierpiały dotkliwie. Czuli, że to, na czym opierała się ich droga do świętości, rozsypuje się w p r o c h . Z m i a n y dowodziły, że podstawy reguły przez cały czas były niewła

ściwe - p o d o b n i e jak na przykład kościelna doktryna o otchłani. Poddały się t e m u , co - jak sądziły - było cnotą, a teraz p o d a w a n o w wątpliwość ich wybór. Czy całe ich życie zamiast prowadzić do ostatecznej doskonałości sprowadza

ło się do głupstw?

Kilka zakonnicy, kiedy zniszczono ich wewnętrzne poczucie bezpieczeństwa, zdzieciniało i zniedołężniało. J e d n a spędziła resztę swych dni na najwyższym piętrze klasztoru przy bieliźnie. Nieustannie brała pakiety bielizny z j e d n e g o miejsca i przenosiła je w inne. Ze swoją b a r d z o delikatną twarzą, ogromnymi szeroko otwartymi oczami i zaciśniętymi ustami wyglądała jak żywy duch klasztoru.

Nowa reguła pozwalała zakonnicom spędzać czas poza klasztorem i odwiedzać rodzinę. W przeszłości powtarzano n a m w kółko, że jeżeli chcesz być zakonnica, to „opuść swego ojca i m a t k ę , i braci, i siostry i pójdź za m n ą ” - słowa przypisywane Jezusowi. Teraz pozwalano n a m odwiedzać krewnych, a nawet spędzać u nich po kilka dni.

Nasze rodziny były zachwycone i nieco zakłopotane, moi rodzice nie mniej niż inni. Córka, której od tak dawna nie by

ło, pojawiła się znowu wśród nich!

Chodziłyśmy razem do kina, moja matka, moja siostra Liesbet i ja. Obejrzałyśmy „Far F r o m the M a d d e n i n g C r o w d ” oraz „ T h e S o u n d of Music”.

Nas, zakonnice, nadal obowiązywał surowy zakaz wyjawiania jakichkolwiek „spraw związanych ze społecznością zak o n n ą ” . Byłam w pełni lojalna i nigdy przy mojej rodzinie nie wypowiedziałam ani słowa skargi czy krytyki. U m a c n i a ł a m ich w przekonaniu, że jestem szczęśliwą zakonnica, tym samym przekonaniu, którego nabrali, czytając listy, jakie im regularnie wysyłałam. Ze swej strony rodzina nie dzieliła się ze m n ą żadnymi swoimi zmartwieniami, bo uważała, że ma o b o wiązek mnie rozerwać.

Na fali zmian w moim zakonie, przyszło mi do głowy, by poprosić o n a u k ę gry na fortepianie. Zawsze pociągał mnie fortepian, ale w d o m u niczego takiego nie było, a kiedy Billingsowie

mieszkający po drugiej stronie drogi z a p r o p o n o wali, że pozwolą mi korzystać ze swojego instrumentu, pani od muzyki w Vaucluse stwierdziła, że w wieku szesnastu lat jestem za stara, by zaczynać.

A teraz miałam dwadzieścia osiem lat i aż się rwałam do tego, by moje długie palce nauczyły się poruszać po klawiaturze. Uklękałam przy fotelu przełożonej i przedstawiłam jej swoją prośbę. Rozważając ją, zajmowała się jakimiś papierami. Nie wydawała się szczególnie skłonna do odmowy, ale też nie potrafiła wykrzesać z siebie entuzjazmu dla tego pomysłu. W końcu zaproponowała:

- Poproszę siostrę Cecilię, żeby siostrę przesłuchała i oceniła siostry zdolności.

Ucieszyła mnie ta odpowiedź i poczułam się pewnie, bo przynajmniej co do tego byłam przeświadczona: poczucie rytmu i melodii miałam we krwi; potrafiłam śpiewać i altem, i s o p r a n e m . Przyszedł wyznaczony dzień i siostra Cecilia - to była ta siostra, która kiedyś zdobyła nagrodę za to, że prawidłowo myła szczoteczką zęby - zagrała kilka fraz, które mia

łam powtórzyć, p o t e m jeszcze kilka i jeszcze. Nic nie powiedziała, ale jej werdykt poznałam w jakiś tydzień później, kiedy poszłam zapytać przełożoną.

- Obawiam się, że nie wykazuje siostra najmniejszych zdolności do muzyki - tak brzmiała chłodna odpowiedź. -

Siostrze Cecilii jest bardzo przykro, ale jej zdaniem tak się sprawy mają. Nie stać mnie na to, by dawać lekcje muzyki komuś, kto nie ma talentu, siostro.

Moje serce nie chciało się z tym pogodzić. Mogły mi o d m ó wić, ale nie powiadamiać mnie, że nie m a m żadnych muzycznych zdolności. To nie była prawda, lecz nic w tej sprawie nie mogłam zrobić. Podstępny wąż gniewu wstrzyknął mi trochę jadu do serca; następna kropla w zbiorniku trucizny.

W k r ó t c e p o t e m przyszło mi do głowy coś innego: tym razem chciałam się nauczyć prowadzić samochód. Po wprowadzeniu reform klasztor zakupił s a m o c h ó d i teraz zakonnice mogły jeździć na wizyty do lekarza czy dentysty. S a m o c h ó d wykorzystywany był też do robienia zakupów i na wycieczki.

Na początku j e d n a k nikt go nie umiał prowadzić! Kiedy trzeba było, wiozła nas zawsze świecka nauczycielka albo przyjaciółka klasztoru. U z n a n o , że zakonnica, która nauczy się prowadzić i będzie na usługi, wyświadczy swojej społeczności przysługę. Zgłosiłam się z wielkim entuzjazmem i zaskoczona byłam k o m p l e t n y m b r a k i e m a p r o b a t y . O t r z y m a ł a m z miejsca stanowczą o d m o w ę z krótkim „dziękujemy”, tym razem przełożona nawet nie podniosła głowy.

Jeżeli przełożeni nie mogli k o n t r o l o w a ć tego, w jaki sposób dyskutowałam o ślubach oraz życiu z a k o n n y m , z pewnością mogli pokrzyżować moje plany, by stać się bardziej użyteczną i rozwiniętą istotą ludzką, czy o d m ó w i ć prośbie o cokolwiek. W rozpaczliwej frustracji serce waliło mi jak oszalałe, ale jakie m i a ł a m p r a w o oczekiwać, że o t r z y m a m pozwolenie na p r o w a d z e n i e a u t a ? Tak b a r d z o chciałam rozpostrzeć skrzydła, ale inne zakonnice mogły

radzić sobie z tym lepiej.

Mniej więcej w tydzień później zauważyłam, że siostra M a d e l e i n e nosi rękę na temblaku.



- Zaczepiłam ręką o układ kierowniczy - wyznała uczciwie.

U ś m i e c h n ę ł a m się z ironią. Powiedziałam sobie, że mnie by się coś takiego nie zdarzyło. Wciąż paliło mnie wspomnienie odmowy, ale zabawnie było patrzeć, jak ta, na którą padł

wybór mojej przełożonej, chodzi ze złamaną ręką. A przecież wiedziałam, że nawet gdyby wszystkie zakonnice w klasztorze połamały sobie ręce, i tak by mnie nie wybrano.

Jeżeli nie miałam grać na fortepianie, wolno mi było przynajmniej w czasie rekreacji puszczać płyty, zgodnie z nową regułą. Stałam tak, by wszystkie siostry mogły usłyszeć, co m a m d o powiedzenia.

- Czy któraś z was ma ochotę pójść ze m n ą do sali muzycznej, posłuchać muzyki i potańczyć?

Z a m i l k ł a m , żeby wszystkie mogły zastanowić się nad m o ją propozycją, ale żadna nie chciała ze m n ą pójść. Tak naprawdę nie spodziewałam się, by któraś poszła. Walce, m e nuety i muzyka baletowa - przetańczyłam je wszystkie, cudownie i całkowicie sama, przy czym muzykę puściłam tak głośno, że musiała dochodzić do uszu sióstr we wspólnym pokoju. Myślałam, że m o ż e nabiorą ochoty do tańca, kiedy usłyszą muzykę, ale nigdy się tak nie stało i z tygodnia na tydzień moje tańce były coraz bardziej s a m o t n e i gorzkie. Litowanie się nad sobą przyzywało mnie uwodzicielsko; pokrywka na puszcze Pandory z ukrytymi emocjami powoli się uchylała.

Kiedy następnym razem poszłam na cotygodniowe spotkanie z m a t k ą przełożoną, zapytałam ją, czy zechciałaby przez chwilę być dla mnie matką. Co m a m na myśli, zapyta

ła chłodnym tonem, przy czym policzki jej nabrały bardziej intensywnego koloru, a oczy błysnęły, gdy starała się nie patrzeć iła mnie zbyt uważnie.

- Chciałabym, żeby m a t k a mnie przytuliła - powiedzia

łam - jak matka. - I zrobiła to, niech ją Bóg błogosławi za życzliwość, a ja bezradnie się rozplakałam.

Moje łkania przemawiały do serca matki Clare i tuliła mnie cierpliwie do łona, tak że czułam zapach mydła, którego używała, i jej miękkość. Ż a d n a z nas nie miała pojęcia, skąd te łzy, ale wydawały się niewyczerpane, jakby wypływa

ły z jakiegoś zbiornika smutku. M a t k a Clare miała nadzieję, że wkrótce p r z e k o n a m się, iż ten zbiornik nie jest bezdenny.

A ja zamiast tego zaczęłam coraz bardziej potrzebować czu

łości. Czasami w ogóle nie m o g ł a m funkcjonować, jeżeli p r z e d t e m nie przytuliła m n i e jak dziecka, kiedy klęczałam o b o k niej na podłodze, mocząc jej habit i szal, i zajmując cenny czas.

Ujawniłam przed naszymi uczniami fakt, że ich nauczycielka zakonnica jest człowiekiem: przychodziłam do klasy z zaczerwienionymi oczami i nosem. Może rozmawiali o tym w swoim gronie, ale nic z tego nie wynikało. Traktowali mnie bardziej jak użyteczną maszynę niż osobę i jeżeli

czegoś nie mogli zrozumieć, z łatwością się tego pozbywali z pamięci.

To, że zakonnice cierpią, było n o r m a l n e .

Zmiany nie skasowały kar; cieszyły się one nadal popularnością. Temu obszarowi zakonnego życia nie rzucałam wyzwania. Wyzaczyłam sobie natomiast nową pokutę, która polegała na tym, że p o m i m o zmęczenia stałam w klasie tak długo, aż z t r u d e m mogłam się utrzymać na nogach. Miałam żylaki, a to bolało.

Jeszcze bardziej bolesne, chociaż nieplanowane, były ataki przedmiesiączkowych skurczów, które zdarzały mi się czasami w połowie lekcji. Krew odpływała mi z głowy, robiłam się blada jak śmierć i zaczynałam chwiać się na nogach. Wyszłam któregoś dnia, potykając się, z klasy i poprosiłam jedną z dziewczynek, żeby pobiegła do dyrektorki. Nie wiedzia

łam, że to napięcie przedmiesiączkowe; myślałam, że po prostu brzuch mnie boli. Infirmariuszką dała mi rozsądnie butelkę z gorącą wodą i kazała przyłożyć ją do brzucha, kiedy leżałam skurczona na łóżku.

W ciągu tego roku w moim wnętrzu wrzały budzące się emocje, zakazane i niebezpieczne. Desperacko usiłowałam je zdusić, aby m ó c jakoś funkcjonować, ale wewnętrzne wulkany dążyły do wybuchu. Robiłam się coraz bardziej zdezorientowana i z radością wtuliłabym się w moją przełożoną i zapłakała na śmierć.

J e d n a ze starszych zakonnice zaczepiła mnie i powiedziała, że martwi się bardzo o matkę Clare.

- Zajmuje jej siostra zbyt wiele czasu - stwierdziła. - Siostry zachowanie ją martwi. Błagam, by bardziej siostra liczy

ła się z innymi.

Siostrze A n t o i n e t t e udawało się mnie pocieszyć. Podnosi

ła na mnie oczy i szeptała słowa otuchy. Właściwie była w procesie odnowy osobą postronną - jako świecka siostra praktycznie się nie liczyła - miała mnóstwo czasu na refleksje i lepiej niż większość z nas potrafiła ocenić, co się dzieje.

- Nie zwracaj na nie najmniejszej uwagi - mówiła z tym swoim wdzięcznym uśmiechem. - Nie zdołają cię skrzywdzić, jeżeli nie będziesz na nie zwracała uwagi.

Takie proste, m ą d r e słowa. I dokładnie tak sama postępowała: pozwalała, by każda nowość spływała po niej jak woda.

Siostra Antoinette wiedziała, że ważne jest to, by kochać Boga i trzymać usta zamknięte, ale w tajemnicy podziwiała mnie, że tak głośno wyrażam swoje zdanie. Zgadzała się z moimi poglądami, ale była na tyle mądra, że znała swoje miejsce.

•••

M a t k a Winifred była już dobrze znaną rezydentką Broadstairs, kiedy wysłano ją z oficjalną wizytą do klasztoru Matki Boskiej od Aniołów. Przygotowałyśmy dla niej koncert. Razem z innymi z całego serca wyśpiewywałam moje o d d a n i e dla Boga, dla zgromadzenia i dla niej. Szczerze pragnęłam, by poznała po moim śpiewie, że intencje m a m dobre; że mimo wszystko wykazuję „właściwego ducha”. Ale niestety m a t k a Winifred wydawała się mnie nie zauważać. Jej spojrzenie kierowało się wszędzie, kiedy uśmiechała się, pokazując komplet zdrowych zębów, ale nasze spojrzenia nie spotkały się ani razu. Czułam się, jakbym krzyczała w próżnię.

Celem jej odwiedzin była ocena naszych postępów i złożenie raportu w Broadstairs. Przyjmowała nas j e d n ą po drugiej.

Kiedy przyszła kolej na mnie, jak tylko uklękłam u jej boku, przestrzegła mnie, bym nie krytykowała władz.

- Sostro Carlo, jest moim obowiązkiem przypomnieć siostrze o duchu naszego zgromadzenia i prosić, by siostra go uszanowała.

Jej krzaczaste brwi zmarszczyły się, kiedy najpierw prosi

ła, a p o t e m rozkazywała mi się podporządkować. Najbardziej byłaby zadowolona, gdybym nigdy więcej nie otworzyła ust, by wypowiedzieć się na jakiś temat, tylko czekała niemo, aż poprawa nastąpi sama, jak przyjdzie na nią pora.

Wiedziałam, że nie ma co otwierać przed nią serca i p r o sić o zrozumienie, nie wspominając już o poparciu. Nie była nieżyczliwa, ale najwyraźniej z góry zaplanowała całą wizytę w Benalli. Nie dokładała żadnych starań, by się ze m n ą zaprzyjaźnić albo dać mi do zrozumienia, że jest we mnie coś, cokolwiek, co sobie ceni. Gdzieś wysoko dokonywano być może przewartościowań, ale nie stało się nic, co mogłoby odmienić jej nastawienie do mnie; nie okazywała też najmniejszego szacunku siostrze, które p o d o b n i e jak ja chciały z energią angażować się w p r o p o n o w a n i e i dokonywanie zmian na lepsze.

Wyjeżdżając, nie pożegnała się ze m n ą osobiście i zostawi

ła mnie z przenikliwym bólem w sercu.

• • •

Ponownie zostałam wezwana do matki Clare.

- Sostro - powiedziała - ma siostra przestać pisać do swojej siostry w G e n a z z a n o . Od jej przełożonej dowiedziałam się, że źle siostra na nią wpływa. To polecenie i oczekuję, że go siostra posłucha.

Ten rozkaz był b a r d z o bolesny, bo listy do siostry były dla mnie czymś w rodzaju katharsis. Próbowałam się p o d p o r z ą d k o w a ć, ale potrzebowałam tego, by ktoś mnie wysłuchał. Ż e by nikt mnie nie przyłapał, pisałam do niej na papierze toaletowym, siedząc w ubikacji. U k r a d ł a m k o p e r t ę i znaczek z biurka mojej przełożonej i patrzyłam, co dzieje się z listami, które zostawiałyśmy w

holu, by je stamtąd zabrano.

Dowiedziałam się, o jakiej dokładnie porze je zabierano i u k r a d k i e m d o k ł a d a ł a m swoje listy na chwilę przedtem. G e n a z z a n o był dużym klasztorem. Moja siostra otrzymywała te listy i nikt nie zauważył, że przyszły z Benalli.

• • •

W rezultacie odnowy uczennicom z internatu wolno było częściej wychodzić na zewnątrz. P e w n e g o dnia starsze dziewczęta poszły na koncert w c e n t r u m administracyjno-

-kulturalnym. Po kraju jeździła grupa niemieckich śpiewa-czek, p r o m o w a n a przez Victorian Arts Council, i przedstawiała swoje pieśni z towarzyszeniem fortepianu. My, zakonnice, wybrałyśmy się z uczennicami.

Nie byłam przygotowana na to, jak p o t ę ż n e wrażenie zrobi na mnie muzyka. Kobiety wykonały cały szereg namiętnych pieśni: pieśni sławiących ukochanych, pieśni o nieodwzajemnionej miłości i pieśni o wzajemnym przywiązaniu.

Czysta świeża energia tej muzyki trafiła mi niespodziewanie prosto do serca i tak je zraniła, że dech mi zaparło, a z oczu popłynęły łzy. Nie mogłam ich powstrzymać i tak naprawdę wcale nie chciałam.

Nie pomogły dwie olbrzymie bawełniane chusteczki, które wyciągnęłam z bezdennych kieszeni habitu, od smutku przemokło n a k r o c h m a l o n e płótno p o d brodą, smutek spływał aż na kołnierz. Ż a d n a z nas się nie odzywała, kiedy wychodziły

śmy z przejścia pomiędzy drewnianymi krzesłami na zalaną światłem późnego p o p o ł u d n i a ulicę. Każda była na swój sposób poruszona i nikt do m n i e słowa nie powiedział; ani wtedy, ani p o t e m .

Musiał to j e d n a k być niezwykle widok, żeby zakonnica tak się wzrus"zyła pieśniami o ludzkiej miłości. A cóż innego m o g ł o wywołać taką reakcję, jeśli nie poczucie zaprzepaszczenia szansy, rozpaczliwa chęć, by przeżyć miłość; pragnienie, by z ufnością dać się z a m k n ą ć w serdecznych, radosnych objęciach, pełnych uczucia i przywiązania, i wzajemnego uznania? Nigdy wcześniej nie potrafiłam sobie czegoś takiego wyobrazić, nawet kiedy czytałam powieści J a n e Austen czy sióstr Bronte. Tę muzykę skomponował człowiek zakochany, i po raz pierwszy poczułam, jak potężna jest miłość.

Czy to tę miłość mężczyzny do kobiety, kobiety do mężczyzny poświęciłam dla Boga? Takie poświęcenie zakrawało na szaleństwo. Z czego ja właściwie zrezygnowałam dla Boga i dlaczego? W ciągu mojego n o r m a l n e g o życia doświadczy

łam tylko takiej miłości, bez której łatwo się obejść. Wszystko, co poza nią wykracza, tak sobie wmawiałam, to czysta mrzonka. Ale skąd miałam wziąć pewność, że życie dla Boga, w klasztorze, jest n a p r a w d ę życiem najwyższą miłością?

Kości zostały rzucone

Zdarzyło się wreszcie coś, co przeważało szalę - chociaż wtedy nie zorientowałam się, że tak się stało - i p o p c h n ę ł o mnie na ścieżkę, z której nie było powrotu.

Z o s t a ł a m wezwana do szczytu dużego wypolerowanego stołu we wspólnej sali, gdzie czasami siadywała m a t k a prze

łożona, żeby przeczytać swoją korespondencję albo umożliwić n a m zwrócenie się z jakąś prośbą, wystąpienie o pozwolenie na coś albo złożenie raportu. Była już niemal pora na czytanie o szóstej, kiedy zbierałyśmy się wokół tego stołu, by słuchać i szyć. Przyszłam na salę, bo zamierzałam wcześniej wziąć się do szycia, i wtedy wielebna m a t k a Clare mnie wezwała. Podeszłam i uklękłam obok niej.

- O d b i e r a m siostrze lekcję rysunków, siostrzo Mary Carlo -

oznajmiła spokojnie. - Słyszałam, że wczoraj po lekcjach rozmawiała siostra z uczennicami o religii. Chcę, by uczniowie mieli gwarancję, że kiedy mają być uczeni rysunków, będą uczeni rysunków, a nie religii.

Wszystko to powiedziała, zajmując się równocześnie korespondencją, t o n e m ni to gniewnym, ni to cnotliwym, i unika

ła patrzenia mi w twarz, dopóki nie skończyła.

Poczułam, że wzbiera we mnie wściekłość. Tak, to prawda: trzy uczennice zadawały mi po szkole pytania, wywołane dyskusją o klasycznym portrecie A d a m a i Ewy. Czytałam niektóre prace Teiharda de C h a r d i n i przedstawiłam w klasie jego koncepcje jako alternatywną interpretację oficjalnej wersji stworzenia. Dziewczęta słyszały o Teihardzie de Chardin, ekskomunikowanym księdzu poecie i myślicielu, i aż się pali

ły, by dowiedzieć się czegoś na temat bardziej otwartych poglądów. Budził się w nich pociąg do feminizmu, a poza tym chciały również poznać moją opinię na temat noszenia kapeluszy w kościele. Nie miałam żadnych p r o b l e m ó w z poinform o w a n i e m ich, że p r a w d o p o d o b n i e zwyczaj ten wprowadził

Paweł z Tarsu, który, jak czytałam, miał kobiety w pogardzie.

Porozmawiałyśmy sobie przyjaźnie przez około pół godziny.

A l b o nas ktoś podsłuchał, albo któraś z dziewczynek mnie zdradziła. Nowa reguła pozwalała mi się wypowiadać swobodnie, ale najwyraźniej nie w sprawach religii! Zrobiło mi się gorąco od gniewu, który z miejsca d o d a ł mi odwagi.

- W porządku - powiedziałam bez tchu. - Jeżeli chce matka mieć^pewność, że uczennice będą uczyły się tego, czego się uczyć mają, proszę poszukać sobie kogoś, kto się tym zajmie. Ja rezygnuję!

Zdążyłam jeszcze zauważyć jej kompletne zaskoczenie i pełną oszołomienia reakcję zakonnic, które właśnie wchodziły na salę, a p o t e m opuściłam pokój i poszłam na górę do mojej kabinki z łóżkiem. I t a m zostałam.

Schodziłam na dół na posiłki, sprawdzając wcześniej, czy siostra Antoinette wie, że się pojawię, i tym samym nie pozwalając, by zakonnice mogły udawać, że nie przyjdę, i tak wszystkim pokierować, by przy stole nie było dla mnie nakrycia. Zeszłam na dół na medytację i mszę n a s t ę p n e g o ranka, zjadłam śniadanie i wróciłam do mojego pokoju, zdecydowana strajkować, dopóki nie zostanie cofnięta decyzja o o d e braniu mi lekcji rysunków.

Wiedziałam, że o d c h o d z ą c tak nagle, narobię wielkich kłopotów, bo uczyłam w pełnym wymiarze godzin i siostrom niełatwo będzie zatuszować moją nieobecność czy znaleźć zastępczynię. Gniew pozwolił mi wytrwać do trzeciego dnia, kiedy wysłały na górę do mnie siostrę M a d e l e i n e - tę malutką, nieśmiałą, moją przyjaciółkę, bo nie potrafiła być moim wrogiem - by ze m n ą pertraktowała. Błagały, bym zeszła na dół i pomogła, bo wszystkie są przepracowane; ani słowa o przywróceniu lekcji rysunków. Odesłałam M a d e l e i n e z wyrazami współczucia i informacją, że podejmę pracę natychmiast, jak tylko o d d a d z ą mi moje lekcje.

Siostra M a d e l e i n e kilkakrotnie przychodziła na górę przekonywać mnie i błagać, i w końcu się p o d d a ł a m . Chociaż nie miałam żadnych skrupułów, pomyślałam, że lepiej będzie postąpić tak, jak powinnam, bo moje siostry dość już wycierpiały. Chcąc zyskać ich a p r o b a t ę , zrobiłam bolesny zawód samej sobie, bo nie o d d a n o mi moich lekcji.

- Wszystko j e d n o - mówiłam sobie - m a m teraz więcej wolnego czasu. - I poświęciłam g o n a tworzenie nowego p r o jektu habitu. Ale znieważono mnie i zraniono prosto w serce tak bardzo, że rana nie mogła się zagoić.

Wkrótce na moim biurku zaczęły pojawiać się listy od wcześniejszych przełożonych z Australii, Anglii i Brukseli, a nawet od miejscowego biskupa. Kiedy strajkowałam, zakonnice nie zasypiały gruszek w popiele.

„ O g r o m n i e się czuję rozczarowana wiadomością, że siostra opuszcza niektóre ze swoich lekcji z dziećmi i nie zawsze jest w tych miejscach, do których w o ł a j ą obowiązek". Tak zaczynał się list od mojej niegdysiejszej nauczycielki geografii w Sedgley Park, siostry Gertrudy, która kiedyś była taka d u m n a z najwyższych ocen, jakie uzyskałam z końcowych egzaminów.

„Siostro, to krańcowy brak profesjonalizmu z siostry strony i wielki zawód dla Sedgley! Siostro, co siostrę napadło, że tak t r u d n o zachowywać się siostrze jak wszyscy inni? Czy nie sądzi siostra, że jeżeli życie jest dla siostry tak stresujące, powinna siostra pójść do psychiatrii?" I jeszcze: „Musi siostra myśleć o swojej społeczności. To takie smutne dla nich mieszkać razem z siostrą, jeżeli nie zamierza siostra w o d p o wiedni sposób żyć naszym życiem".

Z a c n a G e r t r u d a pytała na koniec, czy nie byłoby najlepiej poprosić, bym mogła odejść. *Odejść!* To słowo zadziało jak czerwona płachta na byka, podobnie jak wszystko inne, o czym pisała o n a czy pozostali. Występowali przeciw mnie, nie mając pojęcia, jaka jest naprawdę sytuacja. Nie poruszy

ły mnie p o d e j m o w a n e przez nich próby zastraszania.

Zamiast okazać skruchę, chciałam się jakoś zrehabilitować. Wysłałam oświadczenie do mojego m e n t o r a ; przypominało o n o nieco raport policyjny, ze szczegółowym, słowo w słowo, przytoczeniem mojej rozmowy z tymi trzema uczennicami. Byłam już nie tylko zła; byłam oburzona. Chciałam pokazać, jak niewłaściwie wykorzystuje się władzę, by oczerniać niewinnych ludzi takich jak ja. Z a p r o p o n o w a ł a m utworzenie trybunału, który zajmowałby się taką niesprawiedliwością. Moja argumentacja była całkiem składna i mogła się okazać skuteczna, tylko że to był klasztor, na miłość boską, a nie placówka polityczna, strefa zmilitaryzowana czy zebranie przestępców wojennych, których sądzono za zbrodnie przeciw ludzkości. Niestety, p o k o r a i potulność, te tradycyjne lekarstwa na obolałe serce, stały się dla mnie pojęciami obcymi, bezużytecznymi.

Najgorszy list, długi na trzy kartki, przyszedł od osoby, która, jak sądziłam, stała po mojej stronie: od siostry Albion, niskiej, nerwowej zakonnicy z sympatycznym uśmiechem, wyrazistą twarzą i b a r d z o ciemnymi brwiami. Siostra Albion ćwiczyła na nas techniki przemawiania w miejscach publicznych; wygłaszała pogadanki, zgłaszała wnioski i odpowiadała na wymaginowane pytania, a wszystko po to, by zyskać pewność siebie i nauczyć się poruszać w systemie westminster-skim. Czy gotowa była zająć się polityką? Nie do końca, ale kiedy została moją następną m a t k ą przełożoną, jej nieśmia

łość zniknęła na dobre, a zastąpiła ją nieugięta siła charakteru, gotowa łamać wolę i serca.

Wysłała list, b ę d ą c na wakacjach, gdzie w tajemnicy przygotowywano ją do nowej roli. Ton tego listu był przyjemny, prosiła, bym bardziej się udzielała i nie spędzała tyle czasu sama. To była zdrowa rada, ale nie potrafiłam się do niej zastosować, ponieważ nie przyznano mi racji w żadnej z moich skarg.

„Niech siostra uświadomi ludziom, że siostra o nich d b a ”

- pisała, stroniąc od podstawowej kwestii, przez którą się ostatnio zbuntowałam. „Nigdy nie wolno n a m nikogo osądzać - ciągnęła, odnosząc się do skarg na to, jak mnie traktowano - a jeżeli rozwinię się w nas nawyk, by wszystkich podejrzewać, przekonanie, że nas niedoceniają albo że zawsze są przeciw nam, to nasza dusza nie zazna spokoju. Poza tym to nie po chrześcijańsku”.

Oczywiście miała rację. Dawala mi do zrozumienia, że jestem paranoiczką, i byłam nią. Świadczyła o tym moja nieustanna i nasilająca się rozpacz na widok „dowodów”, że wszyscy mnie źle rozumieją, źle traktują i nie doceniają, a dostrzegałam je na każdym kroku.

„Kiedy kurczowo trzyma się siostra własnego zdania, u korzeni takiego postępowania leży d u m a - przekonywała. -

Proszę zapomnieć o sobie, całą swoją energię skierować na p o m a g a n i e innym, a przekona się siostra, że nie będzie się już siostra martwić ani smucić, bo największego cierpienia przysparzamy sobie najczęściej sami. O Boże, ależ kazanie wygłosiłam!” - przyznała. Nie było wątpliwości, że intencje miała dobre, ale nie rozumiała, że nic nie da odwoływanie się do mojej dobrej strony, skoro tyloma p r o b l e m a m i nikt się nie zajął. Jej list równoznaczny był z zaproszeniem, by zamieść

wszystko pod dywan i znowu stać się grzeczną zakonnica. Jak ona mogła sobie wyobrazić, że to się uda?

• • •

Na Boże Narodzenie tamtego roku rozwieszałam jak zwykle dekoracje, z radością zatracając się w twórczej zabawie, którą była dla mnie ta praca. Do moich obowiązków należało również poskładać ich w kilka tygodni później do pudeł trzymanych na strychu. Matka Albion, która objęła stanowisko z początkiem stycznia, przyszła zobaczyć, jak sobie radzę. Przyjrzała się bacznie pułom, a potem ku mo-

je mu zaskoczeniu i żalości, beztrąsko odwróciła je wszystkie do góry nogami i zaczęła pakować własnoręcznie, nalegając, bym się temu przyglądała. Szybko zalałam się łzami, ale ona nie zwracała na to uwagi. Miała chyba mnóstwo czasu, gawędziła podczas pracy z ludźmi, którzy przychodzili do niej po to czy owo, zanim wreszcie poprosiła mnie, bym odniosła pudła.

Przez kilka następnych lat władza matki Albion się rozrastała, przenosząc ją z jednego do drugiego, żeby przez jej kadencję to tu, to tam, to gdzie indziej wypełniała obowiązki surowej zwierzchniczki. To dzięki niej podupadające z grómadzenie wróciło w końcu do zamożności, jak cieszyło się w okresie, kiedy wiele kobiet szło za swoim powołaniem. Matka Albion doszła do władzy w czasach, kiedy liczba nowych kandydatek poważnie zmalała, z czego wynikała konieczność zatrudnienia coraz większej liczby świeckich nauczycielek. Różniła, jak istotne jest angażowanie tylko najlepszych nauczycielek - przynajmniej dla nadzwyczajnego klasztoru Genazano - by przyciągnąć jak najlepszych uczniów (to znaczy tych, którzy najlepiej płacili) i w rezultacie zagwarantować przyszłą pomyślność zakonu F C J w Australii. Przez jakiś czas ta strategia działała.

Jednak koniec końców świeckie nauczycielki zaczęły okazywać niezadowolony, że muszą pracować pod kierownictwem gorzej od nich wykwalifikowanych zakonnice, tak więc zarządzanie dużą częścią szkół przejęły świeckie dyrektorki oraz zarządy.

Mój ojciec z całego serca nienawidził matki Albion, przekonany, że ona ponosi winę za cierpienia, których sprawcą był zarząd w Genazano.

Członkowie tego zarządu nie docenili tego, że mój ojciec poświęcił czterdzieści lat, by stworzyć w klasztornych ogrodach feerię oszałamiającego piękna, ani kosztów, jakich wymagało ich utrzymanie. I nawet się nie zawahali, kiedy burzyli jego garaż i warsztat, bo potrzebny był im teren pod basen olimpijskich wymiarach. Mój ojciec był prostym człowiekiem. Patrząc, jak wycinają sadzone przez niego przed trzydziestu laty drzewa, ponieważ przeszkadzały w wytyczeniu prostej ścieżki, obwiniał za to matkę Albion, która tymczasem została już matką prowincjonalną. Zapewne nie mogła zawetować decyzji zarządu, ale mój ojciec nigdy tego nie zrozumiał. Szczęki mu się zaciskały, oczy wychodziły z orbit z wściekłości, a dłonie i ręce, muskularne i żyłaste od ogromnego wysiłku, jaki wkładał w swoją pracę, opadały w poczuciu koszarnej bezsilności.



•••

O b u d z i ł a m się w pewien zwyczajny, chociaż chłodny poranek i nie m o g ł a m się ruszyć. Czułam się tak, jakbym utknęła w jakimś kiepskim horrorze. Siostra, która w r a m a c h codziennej pobudki wołała: „Niech będzie pochwalony Jezus!”, powinna była zaczekać, aż odpowiem „ A m e n ”, zanim sobie poszła, ale ponieważ zwykle wyskakiwałam z łóżka pierwsza, nie zawracała sobie głowy oczekiwaniem na dobrze znane potwierdzenie. Inne siostry w kabinkach sąsiadujących z m o j ą (zasłony zostały zastąpione przez cienkie ścianki) przystąpiły do codziennych zajęć, krzątając się w milczeniu. Próbowałam wołać, ale cichy głos, jaki wydobył się z moich ust, został zagłuszony szuraniem butów p o p o d ł o d z e i szelestem pościeli układanej w stosy na krzesłach. Z wielkim wysiłkiem wyciągnęłam rękę, by zastukać w ściankę obok łóżka, ale nadal nikt nie reagował.

Po śniadaniu weszła do mojej kabinki p o d e n e r w o w a n a infirmariuszka. Wezwała ją siostra Madeleine, która zauważy

ła, że mnie nie ma i zajrzała do mnie, kiedy wróciła na górę.

Po twarzy siostry Marian wyraźnie było widać, że podejrzewa mnie o symulowanie choroby, ale ponieważ nie udało jej się zmusić mnie, bym się podniosła, wezwano lekarza. Lekarz przepisał tabletki rozkurczowe, które miały nakłonić moje mięśnie, by dały sobie spokój z tym katatonicznym stanem.

Ciało po prostu odmówiło posłuszeństwa niczym zatarty silnik i dopasowało się do poczucia, że n a ł o ż o n o mi kaftan bezpieczeństwa.

Po kilku dniach wróciłam do siebie na tyle, że mogłam podjąć swoje obowiązki, za co wszyscy byli wdzięczni. Dzieci w internacie powitały mnie słowami:

- Cieszymy się, że siostrze już lepiej.

Uśmiechały się, widząc mnie znowu w refektarzu, kiedy p o d a w a ł a m im obiad. Ten drobny ludzki odruch bardzo pomógł mi przy rozluźnianiu napiętych pleców.

•••

Z polecenia biskupa miałyśmy więcej rozrywek. J e d n ą z najcenniejszych innowacji, które powoli przesączały się do nas po Soborze Watykańskim II, były d o d a t k o w e atrakcje podczas wakacji; nie brakowało rozmów i śmiechu, grania na gitarze, tenisa, tańców grupowych - tańczyłyśmy w kręgach tak, jak to mogły robić elfy w Irlandii - oraz pływania. Nasze zgromadzenie zakupiło p o d nową szkołę czterdziestoakro-wą, położoną przy plaży część pola golfowego wraz z pensjon a t e m Penisula we Frankston niedaleko M e l b o u r n e . Pensjonat z łatwością dało się przerobić na klasztor i spędziłam tam wakacje w 1967 roku. Chodziłyśmy na plażę wcześniej rano, u b r a n e w czarne kostiumy kąpielowe; z założenia miały o n e nie zwracać niczyjej uwagi, ale tylko podkreślały zdradziecko białe kolor naszej skóry.

Moja siostra i ja nigdy nie mieszkaliśmy w tym samym klasztorze przez te pięć lat, kiedy była w

okresie probacji. Jej przyjaciółką w G e n a z z a n o była siostra A n n a ; obydwie miały obrazoburcze poglądy, chociaż siostra A n n a dysponowała większym potencjałem intelektualnym, dzięki czemu zachowywała się w sposób bardziej dyplomatyczny i akceptowalny.

A n n a wykazywała także cudowne poczucie h u m o r u w stosunku do wszystkiego, z czego szydziła. Moja siostra natomiast przekuła swoje idee w czyn i to na nic nie czekając. W końcu, chociaż tak brakowało powołań, z mojej winy uznano, że pewnie ma „złą krew” i nie pozwolono jej zostać w klasztorze.

J e d n a k jesienią 1968 roku mieszkała w G e n a z z a n o , a ja chciałam znaleźć się w pobliżu kogoś, kto mógłby mnie zrozumieć i rozśmieszyć. Zbliżały się ferie wielkanocne. Stawi

łam się bez większej nadziei przed matką Albion i zapytałam, czy mogłabym w czasie ferii pobycć razem z siostrą. Tak jak się spodziewałam, mojej bezprecedensowej prośbie odmówiono, postanowiłam więc wziąć sprawę w swoje ręce.

Na dzień przed Wielkim Piątkiem spakowałam małą torbę z przyborami toaletowymi i kilkoma sztukami bielizny i ruszyłam w kierunku szosy, która przechodziła w pobliżu naszej frontowej bramy. Nikt nie widział, jak wychodziłam, bo wszystkie siostry były na modlitwie; opuściłam kaplicę p o d pretekstem, że muszę pójść do toalety. Napisałam liścik i zostawiłam go na talerzu śniadaniowym mojej przełożonej, równocześnie mając i nie mając nadziei, że przyprawi ją 0 niestrawność.

„Wybrałam się z wizytą do mojej siostry w G e n a z z a n o -

przeczytała później m a t k a Albion, własnym oczom nie wierząc. - J a d ę z przyjaciółmi, więc proszę się nie martwić. Siostra Mary Carla”.

Napomykając o „przyjaciółach”, miałam na myśli każdego, kto podwiózłby mnie na południe. Pokładałam zaufanie w Bogu, że ześle jakichś przyjaznych ludzi, by się m n ą zaopiekowali.

Tego dnia mżyło i stanęłam p o d jakimś liściastym drzewem, by się schronić. Patrzyłam na bitumenową szosę, jedyną drogę szybkiego ruchu, która prowadziła na południe, 1 serce mi załomotało, kiedy zobaczyłam, że w moją stronę jedzie lśniący czarny samochód. Kiedy się zbliżył, p o d n i o słam kciuk prawej ręki, zupełnie jakbym to robiła przez całe życie. Mój biały habit powodował, że byłam chyba najlepiej widocznym obiektem na świecie, nawet pod tym cieniastym drzewem w szary dzień.

S a m o c h ó d zwolnił i zatrzymał się w pobliżu, na poboczu.

Siedziało w nim trzech mężczyzn; z miejsca, gdzie stałam, domyśliłam się, że kierowca jest W ł o c h e m - natychmiast uznałam, że to dobrze, bo przypomnieli mi się serdeczni włoscy przyjaciele z młodości. Z a u f a ł a m instynktowi, który w przyszłości miał mnie w tylu sytuacjach chronić, i wiedzia-

łam, że z tymi ludźmi b ę d ę bezpieczna. Tylne drzwi uchylły się, by mnie wpuścić - było to zaproszenie, bym dzieliła kan a p ę z australijskim wymownym farmerem, tęgim mężczyzną z wielkim

brzuchem i szeroko rozstawionymi nogami.

Ujechaliśmy już spory kawałek, kiedy zapytali:

- D o k ą d siostra jedzie?

- Do M e l b o u r n e - odpowiedziałam. - Czy to będzie w porządku?

- Jeśli o nas chodzi, całkiem w porządku - odpowiedział

kierowca stanowczo, powstrzymując chwilowo pozostałych od zadawania pytań.

Jechali do M e l b o u r n e , ale niekoniecznie do Kew, gdzie mieścił się G e n a z z a n o . Nawet mi przez myśl nie przeszło, że celem ich podróży może być jakieś inne miejsce w tej ogromnej metropolii. Byłam im głęboko wdzięczna i podziękowa

łam serdecznie za życzliwość. Zachowywałam się przy tym z przekonującym o p a n o w a n i e m , a przynajmniej taką miałam nadzieję.

Ż e b y m się czuła swobodniej, mężczyźni powiedzieli, że są katolikami. Musieli domyślać się, że ta jadąca z nimi wysoka siostra o bladej twarzy schodzi na złą drogę. Przecież na pewno klasztor wsadziłby ją przynajmniej do autobusu - a już z pewnością nie powinna podróżować sama.

- A do jakiego miejsca w M e l b o u r n e się siostra udaje? -

odezwał się znowu kierowca.

Wyjaśniłam, że do klasztoru na szczycie wzgórza w Kew, i jeden z nich przypomniał sobie rząd cyprysów wzdłuż C o -

t h a m R o a d .

- Żeby zobaczyć się z moją siostrą - d o d a ł a m , zupełnie jakby to było jakieś rozsądne wyjaśnienie.

Panowie wyjęli m a p ę drogową, a kiedy już byli pewni, którędy jechać, zapadło milczenie. Okazali się tak uprzejmi, że nie poruszali tematów światowych, wiedząc, że nie mogłabym przyłączyć się do rozmowy. Siedzieli zatopieni w my

ślach, rzucając niekiedy spojrzenia na zakonnicę na tylnym siedzeniu, która niemal wtulała się w drzwiczki, ustawivszy swoją brązową torbę niczym barierę między sobą a siedzą-

cym o b o k mężczyzną. Poza jakąś sporadyczną banalną uwagą nikt się nie odzywał, jakby wszyscy spontanicznie zdecydowali się na rekolekcje.

P o d r ó ż była stosunkowo długa - około stu osiemdziesięciu kilometrów - ale nie zatrzymaliśmy się p o d r o d z e .

Kierowca nie tracił ani odrobiny czasu, starając się dostarczyć mnie na miejsce najprędzej, jak Bóg pozwoli. Szosa doprowadziła nas na ruchliwe przedmieścia. Kierowca wiedział dokładnie, gdzie jedzie. Jak tylko zauważyłam znajomą linię tramwajową, wyraziłam gotowość przesiadki, ale nie chcieli o tym słyszeć. Kiedy pojawiły się ozdobne bramy na Cottham Road, zapropo-  
nowałam, że pójdę na piechotę podjadę, po obu stronach którego ciągnęły się wspaniałe  
grządki z kwiatami sadzonymi przez mojego ojca, ale znowu nie chcieli ryzykować utraty pasażerki,  
zwłaszcza teraz, tak blisko celu. Czarny samochód sunął krętym podjazdem, objechał owal  
wysadzany dostojnymi drzewami i zatrzymał się przed gankiem. Zaczekali, aż zadzwięczy naciśnięty  
przeze mnie dzwonek. Kiedy ciężkie drzwi się uchyliły, zawołali do widzenia i odjechali  
- naprawdę okazali się przyjaciółmi.

Furtianka doznała szoku na mój widok i zawołała wielebną matkę, która została uprzedzona, ale  
nie spodziewała się zobaczyć mnie tak szybko. W jej małym gabinecie, który pamiętałam z czasów  
postulatu i nowicjatu, wyjaśniłam powód, dla którego przybyłam, i zapytałam, czy mogłabym  
zatrzymać się na kilka dni. Było już oczywiste, w jaki sposób się do Ge-

nazzo dostałam. Przełożona, mimo że szczerze skonsternowana całą sprawą, postanowiła mi  
ustąpić i zrobiła to życzliwie. Wezwała moją siostrę i poprosiła ją, by poczęstowała mnie herbatką  
i zaopiekowała się mną.

Siostra była zachwycona, że mnie widzi. Usiadłyśmy razem na ławie w kuchni i zaczęła wyciągać ze  
mnie wszystko, co miałam do powiedzenia na ten i inne tematy, powtarzając

„ojjej!”. Słusznie liczyłam na to, że będzie po mojej stronie!

Zaparzyła herbatę, zrobiła nalot na puszki z herbatnikami, znalazła w lodówce jakieś ciasto, a  
wszystko to pochłonęłam z apetytem, chociaż obowiązywał akurat okres surowej pokuty przed  
Wielkanocą. Dochodziło południe, a ja jeszcze nie jadłam śniadania.

W Wielki Piątek wzięłam znowu na siebie obowiązek zamiatania korytarza. Rozsypałam listki  
herbaciane na całą szerokość krytych linoleum podłóg, żeby wchłonęły kurz, i systematycznie je  
zmiatałam. Wspomnienia długich, niekończących się korytarzy tłoczyły się w mojej głowie razem ze  
wspomnieniami o przerażających koszmarnych snach, jak to zapomniałam zmyć podłogę i zobaczyłam  
kurz, który zbijał się w wirujące puchate koty.

Po Wielkiejnocy wróciłam do Benallisa z czterema zakonnicami z Genazzo,  
które miały u nas spędzić wakacje. Po rozmowach z siostrą poczułam się zdecydowanie lepiej, bo  
tak dla odmiany ktoś mnie z sympatią wysłuchał.

Kiedy wróciłam, nikt słowa mi nie powiedział. Jedyłą osobą, której ze wszystkiego się zwierzyłam,  
była siostra Antoinette, a moja przygoda ją rozbawiła, chociaż dech jej w piersiach zapierało.  
Wiedziała, że tak dłużej nie może być.

Tymczasem ścisły krąg współpracownic matki Albion doradził jej, by wysłać mnie do psychiatry na  
badanie.

Był taki emerytowany, b a r d z o szanowany psychiatra, doktor Brown, który miał bliskie powiązania z G e n a z z a n o .

Mieszkał w M e l b o u r n e o kilka minut na piechotę od klasztoru. U m ó w i o n o wizytę i znowu pojechałam na południe w towarzystwie tych samych czterech milczących zakonnic, które wcześniej przyjechały ze m n ą .

W p r o w a d z o n o mnie do gabinetu tego czcigodnego starego człowieka w towarzystwie oskarżycielskiej i ponurej matki prowincjonalnej G e n a z z a n o . Miała zaciśnięte usta, ale jej zwykle otępiałe oczy patrzyły czujnie. O b e c n a była jeszcze j e d n a nieznaną mi osobą, która pojawiła się w G e n a z z a n o , kiedy byłam za granicą. Pełniła funkcję tak zwanego neutralnego obserwatora, ale n a p r a w d ę obie pojawiły się tam po to, by otrzymać takie orzeczenie, jakie chciały usłyszeć.

D o k t o r Brown był człowiekiem łagodnym i miał wielki szacunek dla prawdziwego cierpienia, a obserwował je u wielu swoich pacjentów. M i m o że siwowłosey, delikatny i lekko przygarbiony, nosił się z wyjątkową godnością.

- Siostró Mary Carlo - zwrócił się do mnie - proszę mi powiedzieć, co siostrę martwi. - Usiadł i robił wrażenie, że wysłucha mnie z o g r o m n ą uwagą.

- O d s ą d z o n o mnie od czci i wiary, jeszcze zanim przyby

łam do Benalli - zaczęłam, zerkając spod oka na moje towarzyszki. Czy mogły coś o tym wiedzieć? Nie należały nawet do mojej społeczności! D o k t o r Brown poprosił o wyjaśnienia, a ja w obecności dwóch świadków odpowiadałam uczciwie i bez wahania. Opowiedziałam mu o niesprawiedliwo

ściach, jakie musiałam ścierpieć; o tym, jak się n a d e m n ą latami z rozmysłem znęcano. W końcu miałam okazję, by wypowiedzieć się z pasją i szczerze przed człowiekiem, który miał pewien autorytet, a którego obowiązkiem było słuchać.

Kilka razy moje towarzyszki próbowały mi przerwać, zaprzeczając z oburzeniem, ale zostały uciszone. W końcu doktor zadał pytanie:

- Czego tak n a p r a w d ę siostra chce? Jak siostra sądzi, w jaki sposób m o ż n a by rozwiązać siostry problemy?

Jak tylko zadał mi to pytanie, wiedziałam, co odpowiem.

- Chciałabym zostać wysłana do innego klasztoru, z daleka od matki Albion, najchętniej do G e n a z z a n o , gdzie mogłabym być z moją siostrą. - Natychmiast przyszło mi na myśl, że nie ma szans, by tę prośbę spełniono, więc dodałam: - Chciałabym zacząć od nowa wśród ludzi, którzy mnie nie znają.

P o t e m doktor Brown porozmawiał z moimi dwiema towarzyszkami i przedstawił im swoją opinię.

Nie miałam pojęcia, że proszono go, by postawił diagnozę, że nie nadaję się na zakonnice i powinno

się mnie wyrzucić.

Niesłychanie trudno zmusić do odejścia zakonnicę, która złożyła śluby wieczyste; właściwie to niemożliwe, chyba że ktoś z odpowiednimi kwalifikacjami gotów jest oświadczyć, że się psychicznie nie nadaje do klasztoru. Ale doktor Brown nic takiego nie zrobił.

W mojej obecności powiedział tamtym dwóm zakonnicom, że mam objawy paranoi. Kiedy wypowiedziały się i podały ich zdaniem prawdziwą wersję wydarzeń (choć żadna z nich nie mieszkała w moim klasztorze), wyjaśnił, że jest to dowód, iż interpretuję rzeczywistość w sposób paranoidalny.

Równocześnie zwrócił im uwagę, że jestem żarliwie oddana życiu zakonnemu, inteligentna i że mam dobrze rozwinięte poczucie prawości i idealizmu. Od razu napisał notkę - którą pokazał mi, zanim przekazał ją matce prowincjonalnej -

z zaleceniem, by wysłano mnie do niewielkiej społeczności we Frankston, gdzie nikt mnie nie znał i gdzie mogłabym rozpocząć wszystko od nowa, tak jak chciałam.

Była to sensowna rada, możliwa do spełnienia; zapewno

ścią właśnie po coś takiego przyszły moje towarzyszki? Ale na ich cierpkich twarzach malowało się rozczarowanie. Kiedy wróciłam już do Benalli, nie zaskoczyła mnie decyzja władz: nie podejmie się żadnych kroków. Mam zostać tam, gdzie jestem.

Prowadzona z zagranicy obserwacja trwała nadal, a na moim biurku lądowały następujące listy. Powiadomiono siostry o moim najnowszym wyczynie - jazda autostopem do Melbourne, niesłychane! - i namówiono je, by prawily mi kazania. Nikt nie rozumiał, jaka rozpacz pchnęła mnie do tego czynu; widziały w moim postępku rzecz oburzającą, zniewagę dla zwierzchności.

Najbardziej bezpośredni list napisała matka Winifred. Nie przebierała w słowach:

„Notre Mere martwi się, że jest Siostra przyczyną takiej zgryzoty w społeczności i życzy sobie, bym przekazała Siostrze, że tak nie może dłużej być. Siostro, jest Siostra niezadowolona z Odnowy ustalonej przez Kapitułę i krytykuje Siostra swoją zwierzchność. To ważne, by Siostra zajrzała w głąb swojej duszy. Ponieważ nie jest Siostra szczęśliwa w zgromadzeniu, istnieje możliwość, że minęła się Siostra ze swoim powołaniem. Siostry sposób zachowania i brak szacunku dla zwierzchności są całkowicie sprzeczne z naszym duchem. Siostro, jeżeli czuje się Siostra nieszczęśliwa i niezadowolona, to w życiu zakonnym Siostry musi być coś fundamentalnie niewłaściwego, i czas by Siostra poważnie zastanowiła się, czy jest Siostra na właściwym miejscu. Niech Cię Bóg błogosławi, Siostro.

Z serdecznym pozdrowieniem w Chrystusie, M. Winifred".

Ten list z datą 25 marca 1969 roku był przemyślany, uprzejmy i dyplomatyczny, i naprawdę kazał mi się zastanowić. Moja lojalność w stosunku do zgromadzenia pozostawała wciąż niewzruszona - do tego stopnia, że nigdy słówka nie pisałam do nikogo z zewnątrz, nawet do moich rodziców - ale

prawdą było, że nie znajdował już we mnie odbicia duch zgromadzenia, który zasadzał się na radosnym posłuszeństwie oraz pełnym szacunku i bliskim stosunku z przełożonymi.

Pod koniec kwietnia minął rok, od kiedy złapałam tę okazję do Melbourne, i moje nieustanne modlitwy zostały wysłuchane - a przy sposobności przede mną również modlitwy całej społeczności. Moja rozpaczliwa matnia w tamtych dniach, tygodniach, miesiącach brzmiała: „Panie, daj mi przejrzeć!” Już od dłuższego czasu czułam, że jestem ślepa tak jak kiedyś w Broadstairs, kiedy zażyłam leki o niewłaściwej porze.

Jak zwykle o szóstej rano poszłam do kaplicy i pogrążyłam się w medytacji, kiedy nagle zobaczyłam całą naszą społeczność, jakbym patrzyła na nią z wysoka. Wizja ukazywała moje siostry pracujące z zaangażowaniem, modlące się z zaangażowaniem, oraz ich jedność ostro kontrastującą z moją izolacją.

Wyczuwałam żywo normalny dla nich stan szczęśliwości - niegdyś również mój - i ich zmartwienie nieustannym zakłócaniem przede mną spokoju. Zrozumiałam wyraźnie, że im bardziej będę walczyć o odnowę, tym bardziej będę wyrzucana poza nawias. Nie było drogi powrotnej. Nie potrafiłam już podporządkować się i żyć w spokoju. Narastało we mnie pragnienie, by iść naprzód, by zapuścić się w nieznaną. Było to ważniejsze niż próby dostosowania się czy zadowolenie bez zadawania pytań. Zrozumiałam również, że żadna z nich nie pójdzie razem ze mną.

Nie była to mroczna wizja, wręcz przeciwnie, przesyciła ją cudowne światło, które napełniało mnie podnieceniem.

W tamtej chwili zrozumiałam, że powinnam odejść; że tęskni za tym moje serce i mój duch. Problem nie w tym, że przestałam pasować jako zakonnica, chociaż wtedy o tym nie wiedziałam. Musiały zagoić się we mnie rany z dzieciństwa, a klasztor nie był miejscem, w którym mogły się zagoić. Dzięki Aggionament stał się miejscem, w którym tylko na nowo się otworzyły.

Wyszłam z kaplicy, znalazłam papier, kopertę i znaczek i od razu napisałam do biskupa, informując go o swoim zamiarze. Położyłam list na małym sekretarzyku, w miejscu, z którego zabierano pocztę poranną. Dopiero po śniadaniu poinformowałam wielebną matkę. Zaskoczyła mnie jej irytacja, że nie poprosiłam wcześniej o radę; myślałam, że moją decyzję przyjmie z ulgą! Po krótkim czasie tak się rzeczywi

ście stało i wkrótce wiadomość rozeszła się po naszej spo

łeczności.

Tylko siostra Antoinette oraz siostry Imelda, Madeline i Anna przyszły do mnie, by życzyć mi szczęścia. Pozostałe musiały z równą siłą odczuwać rozczarowanie, co ulgę; tyle ich ciężkiej pracy, by załagodzić moją nerwicę, cały ten czas, jaki zabierałam przełożonym, które próbowały jakoś mi pomóc - wszystko na próżno. I będą musiały rozdzielić między siebie obowiązki nauczycielskie oraz wiele prac, które porzucałam w połowie roku szkolnego.

Biskup przesłał swoją odpowiedź na ręce matki Albion, proponując następny krok, którym było

napisanie do Stolicy Apostolskiej z prośbą o dyspensę. Ja miałam wystosować oficjalne pismo do wielbnej matki generalnej, co zrobiłam. O j ciec D o h e r t y powiadomiony został, co się dzieje, i przyjechał

zobaczyć się ze m n ą i udzielić mi rady, jak sformułować list do Watykanu.

- Nie zawsze udzielana jest dyspensa, siostró - powiedział - ale gdyby siostra znalazła sposób, by oświadczyć, że się siostra *nie nadaje* do życia zakonnego, miałyby siostra sporą szansę.

Zauważyłam, na co kładzie nacisk, a na tym etapie byłam już na tyle zaawansowana w polityce, że rozumiałam, iż ksiądz próbuje nie dopuścić, by przedstawiana przeze mnie sytuacja obejmowała moje poglądy na temat niestosowania się mojego zakonu do dictum odnowy, co mogłoby przyczynić F C J niepotrzebnych kłopotów.

Tak więc p o s t a r a ł a m się tak sprawę przedstawić, jakby do odejścia skłaniały mnie wyłącznie moje własne błędy.

„Nigdy wcześniej nie uświadamiałam sobie, z jakich p o b u dek wstąpiłam do zakonu - pisałam. - Odkryłam, że chodzi

ło nie tylko o czystą chęć służenia Bogu, ale że powodował

m n ą brak pewności siebie oraz b ł ę d n e rozumienie tego, co oznacza p o d p o r z ą d k o w a n i e się woli Bożej. Kiedy wstępowa

łam do zakonu, nie wiedziałam dokładnie, dlaczego chcę być zakonnica”.

Napisałam jeszcze kilka zdań tego rodzaju, ale nie do końca brzmiało to właściwie. Nie m o g ł a m się powstrzymać i dodałam:

„Ojczy Święty, p r a g n ę ł a m wprowadzić w czyn odnowę, a w wyniku moich pragnień napięcie w naszej społeczności stało się nie do zniesienia. Nie m o g ę wśród nich zostać i czuć się szczęśliwa. Nie m o g ę zostać i oczekiwać, że moja społeczność będzie szczęśliwa”.

List z a a p r o b o w a n o i wysłano, co przypieczętowało mój los w oczach wszystkich zainteresowanych. Po bardzo lakonicznym pożegnaniu usunięto mnie z Benalli, by moja przedłu

żająca się obecność nie wywoływała dalszego zamieszania wśród sióstr, i wysłano do klasztoru, w którym spędzałam czas jako uczennica szkoły średniej, do Vaucluse.

Pobył tam był dla mnie przyjemny. O t o nowa społeczność, chociaż wiele twarzy i imion znałam z czasów szkolnych.

Vaucluse miał swoją własną i o d r ę b n ą tożsamość. W klasztorze były nawet o z d o b n e klozety, takie jakie kiedyś widywa

łam w Anglii, z wymalowanymi piwoniami i różami.



- Chciałabym powitać wśród nas siostrę Mary Carłę, która przez kilka tygodni będzie naszym gościem - takie krótkie oficjalne oświadczenie wygłosiła przy śniadaniu wysoka p o -

marszczona wielebna matka. Na jej mądrej twarzy malował

się niepokój i dotykała ust chusteczką, zanim się odezwała. -

Siostra Mary Carla jest na wakacjach, tak więc nie obowiązuje jej trzymanie się h a r m o n o g r a m u .

Rozległ się szmer powitań. Jeżeli nawet ktoś ciekaw był, dlaczego jestem „na wakacjach” w połowie semestru, nikt o to nie zapytał. Zaledwie kilka osób podejrzewało, jaki jest prawdziwy powód, dla którego zatrzymałam się w Vacluse, a którym było oczekiwanie na odpowiedź ze Stolicy Apostolskiej.

Nikt dokładnie nie wiedział, jak długo to potrwa, a nigdy nie przyszło mi na myśl - chociaż byłam taką buntowniczką

- żeby odejść bez oficjalnego pozwolenia. P o m i m o wszystkich skierowanych przeciw zwierzchnictwu gestów, posłuszeństwo miałam we krwi i chciałam wypełniać wolę Boga.

Tak więc dni mijały, a ja ciągle miałam czas wolny. Niekiedy p o m a g a ł a m przy zmywaniu, ale nie wyznaczono mi żadnych stałych obowiązków, które musiałabym nagle porzucić, kiedy b ę d ę odchodzić. Pozwolono mi korzystać z pustego pokoju, umeblowałam go stołem i krzesłem, pożyczyłam maszynę do szycia, adapter i wszystko, co potrzebne do produkcji klaunów. Przeważnie siedziałam na podłodze, zszywając klaunów z wielu kolorowych kawałeczków materiału i puszczając sobie hiszpańską muzykę, którą niedawno przesłała mi moja siostra Liesbet.

„La P a l o m a ” wypełniała cały pokój i moje serce. Byłam szczęśliwa, dużo szczęśliwsza niż za kilka tygodni w środku zimy w M e l b o u r n e , kiedy poczułam się osierocona. Robiłam klaunów dla sióstr w Vacluse, żeby je mogły sprzedać na następnym kiermaszu, a j e d n e g o zatrzymałam na prezent dla mojej matki. U b r a n y był w złotą kurteczkę z falbankami przy nadgarstkach. M a t k a wysoko sobie tego klauna ceniła i trzymała go w swoim saloniku, gdzie robi! takie wrażenie, jakby gawędził wesoło z niewidzianym towarzystwem. Z a p r o p o n o w a n o mi, żebym go po jej śmierci zabrała, ale odmówiłam, a teraz moja siostra Liesbet jest właścicielką j e d n e g o z najdziwniejszych klaunów na świecie. Ma w sobie hiszpańską krew, tak jej powiedziałam, i dlatego go lubi.

Miałam problem, w co powinnam się ubrać, kiedy b ę d ę stawiała czoło światu. D o p i e r o po raz drugi jakaś siostra opuszczała klasztor. Pierwszy raz stało się to przed czterema laty, w 1965 roku. Ponieważ obowiązywała reguła milczenia, niewiele się o tym wydarzeniu mówiło. Ta siostra była kiedyś dyrektorką szkoły w G e n a z z a n o i postanowiła odejść po długich sporach o jej postępowanie z uczniami. Moje odejście miało wywołać liczne dyskusje - i zapoczątkować prawdziwy exodus. Nim rok się skończył, odeszło jeszcze sześć sióstr.

Poproszono moją matkę, żeby poszła ze m n ą na zakupy i z upoważnienia matki prowincjonalnej w G

e n a z z a n o wykorzystała 200 dolarów na moją nową g a r d e r o b ę .

Nie było to dla mojej matki łatwe, ponieważ nie prowadzi

ła samochodu, ale nie przygotowała się jeszcze do tego, by przekazać swojemu mężowi wiadomość, że ich córka wraca znowu do d o m u . Obawiała się awantur, które mogły wybuchnąć, kiedy ojciec będzie zadawał pytania, na które o n a na razie nie знаła odpowiedzi, i jego wzburzenia, kiedy będzie protestował, widząc, jak tracę aureolę, którą już rysował wokół mojej głowy. Zamówiła taksówkę na własny koszt. Nie posiadałam się z radości, widząc ją i widząc, że cieszy się na mój widok; bardziej się cieszy, niż jest zdezorientowana czy zmartwiona moim coraz bliższym odejściem z życia zakonnego. Był maj, bardzo zimny. Potrzebowałam płaszcza, który kosztował 45 dolarów. O p r ó c z tego pieniędzy starczyło na kapelusz, rękawiczki, buty, bieliznę i j e d n ą sukienkę.

Moja rodzina mieszkała w Kew, więc to tam udałyśmy się na zakupy - nie najtańsze miejsce, ale tego nie mogłam wiedzieć! M a t k a musiała uznać, że dom towarowy czy sklep z używanymi rzeczami nie nadają się do tego, by zakonnica zdejmowała welon i habit i przymierzała ubrania. Tak więc zamiast szokować szarych ludzi, przyprawiałyśmy o ataki nerwowe właścicieli butików, kiedy spod mojej świętej czerni wyłaniało się ciało oraz krótkie włosy, a my udawałyśmy, że to dla nas coś powszedniego.

Sukienka, którą wybrałam, miała kolor nieba, biały kołnierzyk i pasek. Podświadomie wybrałam kolory Dzieci Maryi, które nosiłam jako dziewczynka. Uszyto ją z grubego, dosyć sztywnego poliestru, a r ą b e k sięga! trochę za kolano.

M a t k a prowincjonalna w G e n a z z a n o poprosiła, żebyśmy pokazały jej nasze zakupy, razem z pokwitowaniami. Ta skwaszona kobieta skrzyczała nas, nie robiąc różnicy między moją m a t k ą a mną, że wydałyśmy tak dużo pieniędzy na jedną rzecz, na płaszc. D a ł a n a m wyraźnie do zrozumienia, że nie będzie żadnej więcej pomocy finansowej na ubrania czy cokolwiek innego.

- Proszę podziękować, Carlo, i zejść mi z oczu, ponieważ zniszczyłaś moją wiarę, że do czegoś takiego nigdy dojść nie może. Ż e g n a m , pani van Raay, żegnam.

• • •

List z Watykanu m o ż n a streścić krótko: „Idź, Carlo, idź!”.

Przyszedł w sześć tygodni po tym, jak wysłałam swój list i był napisany po łacinie, której odcyfrowaniem po dziś dzień nie zawracałam sobie głowy. Wysłano mnie na górę do mojego pokoju, żebym zdjęła habit. Zostawiałam wszystko poza kilkoma przyborami toaletowymi i modlitewnikami.

Rytuał zdejmowania habitu niespodziewanie mnie p o r u szył. Po raz ostatni odkładałam welonik, zauważając przy tym, że włosy odrosły mi jak u chłopaka. Z a p a k o w a ł a m m o dlitewnik i p o d wpływem chwili ten solidny, wierny bicz, po którym widać było, że go używałam. Nie miałam najmniejszego zamiaru ponownie go użyć, ale nikt inny by go nie chciał!

Kiedy schodziłam po szerokich krętych schodach zwykle zastrzeżonych dla klasztornej arystokracji,

w cywilnym ubraniu, niosąc małą brązową walizczkę, wszystkie zakonnice z Vaucluse stanęły w szeregu, by mnie pożegnać. Z a p a m i ę t a

łam na zawsze tę scenę: twarze odwracały się w moją stronę z nadzieją, że będzie po nich widać, do jakich aniołów należą.

Wzruszona byłam, że pragną pożegnać mnie szczerym sercem, chociaż nie należałam do ich społeczności. Każda serdecznie ścisnęła moją dłoń i kiedy ją mijałam, wypowiadała jakieś dodające otuchy słowa. Tylko siostra Anthony, moja pani od matematyki sprzed lat, nie zdołała się powstrzymać.

- Niech ci Bóg wybaczy! - wyrwało jej się. - Teraz widzisz, jakie są owoce nieposłuszeństwa!

Inne zakonnice mamrotały z d e z a p r o b a t ą na jej wybuch.

- Nie zwracaj uwagi, Carlo.

Czułość, jaką mnie otoczyły, kompletnie mnie zaskoczyła.

Nie przywykłam do tego, by znajdować się w c e n t r u m serdecznej uwagi. Tego dnia życzliwość ich pożegnania była błogosławieństwem, którego aż do bólu potrzebowałam. Nie pozwoliła, by całe moje serce wypełnił smutek, że mnie odrzucono.

## CZEŚĆ TRZECIA

Wolna!

Nareszcie wolna! Oddychałam z ulgą na tylnym siedzeniu w starym chevrolecie mojego ojca i z wielką ochotą zaśpiewa

łabym coś niemądrego, gdyby tylko ojciec i matka nie traktowali sprawy tak poważnie. Wracałam do rodziców, do mojego starego domu. Był pierwszy czerwiec 1969 roku, dzień pięćdziesiątych szóstych urodzin matki, słodki i gorzki zarazem.

Biedni ci moi rodzice. M a t k a wykazywała tyle optymizmu, kiedy wybierałyśmy się razem na zakupy, ale teraz wyglądała tak, jakby spadła z obłoków na ziemię p o d g r a d e m głośnych, pełnych niedowierzania słów ojca. P a m i ę t a m j e d e n z niezwykle rzadkich listów ojca, jaki ułożył w przyływie dumy:

„Czujemy się bezpieczni i szczęśliwi, ilekroć przypomnimy sobie, że nasza najstarsza córka modli się za n a s " - tak napisał.

Dla niego moje modlitwy miały większą m o c niż jego własne. Byłam czymś w rodzaju polisy ubezpieczeniowej u Pana Boga; m o ż n a by powiedzieć, że spieniężonej zbyt wcześnie i z poważnymi stratami. Ale b a n k a mydlana ich słodkich marzeń musiała kiedyś p ę k n ą ć i właśnie teraz przyszła na to p o r a. Zaczynali godzić się z faktem, że córka, którą ubóstwiali, nie spełni ich oczekiwań. Widziałam w ich oczach ból i głęboki zawód.

Ojciec, który niewątpliwie boleśnie odczuł to, że ukrywano przed nim moje wystąpienie z klasztoru, zachowywał się opryskliwie.

- Czy zechciałabyś wyjaśnić mi, co się stało - zaczął z charakterystyczną dla siebie bezpośredniością i niecierpliwością, jak tylko przestąpiliśmy próg d o m u . - Co ci odbiło, że nie mogłaś wysiedzieć tam, gdzie byłaś? Co było tam dla ciebie niewystarczająco d o b r e ?

Te słowa były dla mnie sygnałem. Po raz pierwszy doświadczałam dziwnego, oczyszczającego i cudownego uczucia, że powiem im prawdę o tych ostatnich kilku latach, czego aż do bólu pragnęłam.

- Czułam się tak nieszczęśliwa i tak niespełniona, że chętnie bym umarła.

Patrzyli na mnie z szeroko otwartymi oczami i ustami.

- Co to za gadanie? - odezwał się mój ojciec, opierając pięści na biodrach. - Nic n a m nie mówiłaś, kiedy cię odwiedziliśmy, ani kiedy tu przyjeżdżałaś na wakacje. Kłamałaś n a m !

Na jego twarzy malowały się na przemian to szyderstwo, to szczerza dezorientacja. Wyglądał tak, jakby nie mógł się zdecydować, czy wyśmiać mnie, czy zapłakać. Popatrzyłam na matkę. Z jej twarzy t r u d n o było coś wyczytać. Oddychała płytko, usilnie starając się mnie zrozumieć. Ich ból w końcu dotarł do mnie i serce mi pękło. Zalałam się łzami, rozsłochałam się okropnie, aż mnie wpół zgięło, że tak ich zasmuciłam.

Słowa ojca były prawdziwe. Mogli się czuć dotknięci, że im się nigdy nie zwierzyłam. Musiałam spróbować całą sprawę wyjaśnić, nawet jeżeli nie miało to sensu.

- Tato, nigdy nie słyszałeś ode mnie słowa skargi dlatego, że musiałam być lojalna wobec zakonu. - Głos mi się załamał; a gdzie była wtedy moja lojalność wobec nich? Albo wobec prawdy? - T o j e d n a z reguł, których musiałyśmy przestrzegać.

Lojalność stałą na samym czele zasad w żeńskim zakonie.

Była to niepisana reguła, ale - o ironio - właśnie do przestrzegania lojalności wdrażana byłam od dzieciństwa: nigdy nie zdradzaj rodziny, rozmawiając z obcymi o tym, co naprawdę się dzieje. Nie pierz brudów przy ludziach, którzy nie należą do twojego plemienia. Klasztorna społeczność stała mi się najbliższa kosztem rodzinnych więzów krwi.

Opowiedziałam im, jak chciałam wprowadzać zmiany i jak moje siostry miały mi za złe, że tak samotnie wrywam się do przodu. Jak niesłuchanie frustrujące było dla mnie to wszystko. Stało się tak, jakbym otworzyła śluzę i uwolniła wodę, starannie t a m o w a n ą przez lata. Wreszcie mogły rozluźnić się napięte mięśnie twarzy, które tak ciężko pracowa

ły, żebym trzymała usta z a m k n i ę t e . Moje ciało wypełniała świeża czysta energia, kiedy zwierzałam się i wyznawałam p r a w d ę .

Rodzice słuchali z pełną koncentracją. Ojciec klął i na przemian parsknął „tss! tss!” albo głośno z niedowierzaniem rechotał. O d d e c h matki stał się szybki i płytki, od czasu do czasu wydawała

gardłowe odgłosy zrozumienia, tuląc zwinięte dłonie m o c n o do piersi. W końcu się odezwała.

- Wiedziałaś, że dzieje się coś złego, kiedy przez dłuższy czas nie mieliśmy od ciebie listu, a p o t e m opisywałaś tylko, jaka piękna jest okolica w tamtym angielskim klasztorze.

Widziałam jej współczujące spojrzenie; b e z r a d n ą matczyną miłość i s m u t e k . A co miała teraz? U k o c h a n ą córkę, której opowieści niszczyły jej wyobrażenia o życiu w klasztorze i groziły, że wywrócą religijne p r z e k o n a n i a do góry nogami.

Słusznie coś przeczuwała, zwłaszcza kiedy odwiedziła mnie w Brukseli. O k ł a m a ł a m ją tam, kiedy zadawała mi pytania. Wydawało mi się to wtedy najlepszym wyjściem. A teraz, patrząc prosto w jej pełną bólu twarz, mogłam wyjaśnić, jakiej wierności wobec klasztoru wymagano ode mnie; matka wydawała się rozumieć. Potem, wbijając nóż jeszcze głębiej, zaczęłam wyjaśniać, co znaczył ślub ubóstwa i że musia

łam oddawać wszystko, co mi przysyłali w prezencie.

Matka przypomniła mi o jednym szczególnie cennym darze - o kolekcji płyt R e a d e r ' s Digest z muzyką klasyczną, kolekcji nie do zastąpienia, wysłanej do mnie podczas trzeciego roku, jaki spędzałam w Benalli.

- Co się z nią stało, Carlo?

- Problem w tym, że czasami pozwalano n a m zatrzymać prezenty, a czasami nie. Nigdy nie wiedziałyśmy tego z góry -

powiedziałam. Byłam wtedy zbyt nieszczęśliwa, by uprzedzić moich rodziców. - Przykro mi, m a m o

Moja biedna matka zdusiła łkanie. Te płyty kupiła za osobiste oszczędności i teraz nie dało się ich już dostać.

B e z p o ś r e d n i m skutkiem moich zwierzeń było to, że rodzice tak się oboje rozczarowali do zakonnice i religii, którą reprezentowały, że przestali na jakiś czas chodzić do kościoła.

Ojciec zmiękł pierwszy. Nie miał w życiu niczego lepszego i powiedział sobie, że nawet jeżeli zakonnice są złe, to Bóg niekoniecznie musi być taki sam.

Ale m a t k a nigdy w pełni nie odzyskała zaufania do religii.

Nie prowadziła samochodu, nie mogła więc sama jeździć do kościoła, a jej kiedyś sporadyczne wyjaśnienia, że nie dała rady przyjechać z mężem, bo musiała zostać w d o m u i zająć się dziećmi, stały się dużo częstsze. Przestała też spowiadać się z grzechów; a jej cynizm sięgnął wyżyn, kiedy dowiedziała się o wyczynach miejscowego proboszcza, w r e d n e g o małego człowieczka,, który głąskał jej przyjaciółkę po udzie, kiedy przyszła d o niego p o radę.

Było jednak coś, co matka przede *mną* ukrywała; coś, o czym jeszcze przez lata nie miałam się

dowiedzieć. Przez osiem i pół roku, dopóki nie złożyłam ślubów wieczystych, moi rodzice i moja siostra Liesbet wysyłali pieniądze na pokrycie listy „wydatków”, którą zakonnice regularnie przedstawiały im do zapłacenia. Przez cały ten czas, kiedy ja pracowałam jako sprzątaczką i harowałam jak wół w klasztorze, i produkowa

łam wiele cudownie pięknych haftów, naciągano ich, by mnie utrzymywali. Moja siostra podeszła do tego spokojnie, ale bracia nie byli skłonni do wybaczenia - i dało się to poznać po nastawieniu, jakie mieli do mnie zaraz po opuszczeniu klasztoru.

•  
Tak więc opuściłam klasztor z j e d n ą sukienką na grzbiecie. Włożyłam ten n i e p r a w d o p o d o b n y m o d e l a l a M a d o n n a na spotkanie z moimi braćmi i siostrami i ich zaciekawionymi m ę ż a m i i ż onami. Z r o b i ł a m z siebie widowisko. Wszyscy przyglądali się, jak siedzę - wyglądałam trochę jak G r a c e Kelly na p o d i u m , nogi razem i u k o s e m , kostki skrzyżowane, ręce złożone na podółku, wyprostowana szyja. Nie dzieliłam się żadnymi soczystymi ploteczkami o klasztorze, co na pewno by ich ucieszyło. Pozwoliłam, by ciężar rozmowy wzięła na siebie m a t k a i byłam nie bardziej interesująca niż lalka w pudełku. Na szczęście obecni okazali się wystarczająco wrażliwi, by domyślić się, że przeżywam coś w rodzaju szoku kulturowego. I chociaż byłam niewyobrażalnie poruszona, miałam nadzieję, że w najmniejszym stopniu tego po mnie nie widać.

Bez wątpienia zakonnice liczyły na to, że m a t k a wykorzysta swoje zdolności i uszyje mi sukienki i bluzki, i spódnice.

Zrobiła to, ale szyła je tak, jak *jej* się p o d o b a ł o . Ja zielonego pojęcia nie miałam, co może być m o d n e . Mając wciąż świeżo w pamięci swoje śluby, mogłam się kierować wyłącznie ubóstwem i skromnością. Dostałam od mojej kochającej siostry Liesbet w p o d a r u n k u futro - nie prawdziwe futro, ale wystarczająco d o b r e , by było superciepłe - i uważałam, że wygląd a m w nim bardzo wytwornie. Ale ślub ubóstwa nie pozwolił

mi go przyjąć. Aż p ł o n ę ł a m cała od miłego uczucia, z jakim podporządkowywałam się tej faryzeuszowskiej cnocie i niemal wynagrodziło mi to brak ciepłego okrycia podczas lodowatej zimy w M e l b o u r n e . Mojej biednej siostrze dech zapar

ło z niedowierzania, kiedy odrzuciłam jej dar.

Dzięki mojej niebieskiej sukience a l a M a d o n n a po raz pierwszy stałam się obiektem erotycznej fantazji. W słoneczny zimowy dzień, podczas pierwszej bez welonu wyprawy na zakupy, w pobliżu Camberwell, mój metafizyczny zmysł erotyczny wyłapał m a m r o t a n i e dwóch szesnastolatków opierających się o ścianę sklepu na rogu po drugiej stronie ulicy.

- Popatrz na tę lalę! - usłyszałam, jak jeden tykowaty młodzian mówi do drugiego, niższego, trzymając ręce w kieszeniach i pokazując na mnie głową. - Do niej to n i e t r u d n o by

łoby się d o b r a ć - chodziło mu o moją sukienkę - żadnych guzików na plecach. Tylko jeden długi zamek z przodu, od góry do dołu! - I wykonał znaczący gest ręką.

Uśmiechnęłam się, przeszedł mnie miły dreszczyk, że tak się na mnie zapatrzyli! Było to ciepłe ludzkie uczucie, p o m o gło mi się poczuć bardziej swojsko na tej planecie.

Przez pierwsze tygodnie wciąż jeszcze roiłam sobie, że m o

że po sześciu miesiącach zechcę wrócić do klasztoru, więc nie z a p o m i n a ł a m o porannych i wieczornych modlitwach. A ponieważ nie powstrzymywało mnie już m o n o t o n n e brzęczenie sennych zakonnice w klasztorze, przyłapałam się na tym, że błyskawicznie przelatuję przez tekst.

W niecały tydzień uświadomiłam sobie, jak głupio postępuję. Moje modlitwy zmieniły się w najbardziej dosłownym sensie w „puste słowa”. Pacierze działały jakoś dzięki pobożności całej grupy; j e d n a osoba - a już na p e w n o ta osoba -

nie wystarczała. M o ż e nigdy nie byłam dość pobożna, a m o

że każda z nas liczyła, że jej współtowarzyszki wypełnią suche, powtarzające się słowa energią i znaczeniem. Może wiele słabych światełek, do których należałam ja, dawało w sumie j e d n o jasne światło. Tak czy owak, moja słabiotka żarówka zaczęła zawodzić, kiedy otwierałam modlitewnik, a p o t e m całkiem zgasła i już nigdy więcej nie zapłonęła.

Wciąż jeszcze dosyć często chodziłam na mszę. Możliwość wyboru niczym rozkoszny chłodny prąd przepływała przez mój rdzeń: już nie *musiałam* iść! Prawie żadnej mszy nie opuściłam, od kiedy p o d r o s ł a m na tyle, żeby chodzić do kościoła. A teraz nikt słowa by mi nie powiedział, gdybym nie poszła! Chwilami, w przeblyskach zrozumienia, wstrząsała m n ą świadomość, jak silnie zostałam u w a r u n k o w a n a , jak dziecinna była moja radość z możliwości dokonywania wyboru.

W d o m u rodziców spalam znowu na podwójnym łóżku, które przed p o n a d d w u n a s t u laty dzieliłam z siostrą. Przypo-mniatam sobie, że sypialnia rodziców jest za ścianą, kiedy w nocy usłyszałam pisk matki:

- N i e !

A l e ojciec nadal nie godził się z o d m o w ą . W w y t a p e t o -

w a n ą d r e w n i a n ą ścianę uderzyły jakieś miękkie p r z e d m i o t y, pantofle i poduszki, a p o t e m cięższe rzeczy, chyba p o pielniczka. Z d u s z o n e piski matki zmieniły się w z d u s z o n e krzyki.

Pewnej nocy poczułam przyływ odwagi i zawołałam:

- Przestańcie, wy dwoje! Nie mogę spać, tak hałasujecie!

Sądziłam, że w ten sposób bronie matki. Ale ojciec nie zamierzał pozwolić swojej córce na pyskowanie, nawet jeżeli by

ła kiedyś zakonnica i uważała się za coś w rodzaju autorytetu moralnego. Pojawił się nagle w drzwiach mojego pokoju, narzuciwszy na siebie jakieś fragmenty nocnego stroju i rozchełstany szlafrok. Wyglądał przy tym, jakby uciekł z kartek powieści Dickensa. Był nieugięty: m a m siedzieć

cicho albo oberwę. Zrozumiałam, że powinnam się wyprowadzić.

• • •

W dwa tygodnie po tym, jak opuściłam klasztor, opuściłam również dom moich rodziców. Za pieniądze pożyczone od siostry wynajęłam pokój w dużym dworze, przerobionym na mieszkania. Nikt nie domyślał się, jak bezgranicznie denerwujące było dla mnie to wkroczenie w anonimowy świecki świat, ale na oślep rzuciłam się przed siebie i nic nie zdołałoby mnie od tego powstrzymać. W dzień po wprowadzeniu się do tego mieszkania zaczęłam też uczyć francuskiego w Templestowe High, jednej z cieszących się najgorszą sławą i najbardziej zatłoczonych szkół średnich.

Zaczęłam prowadzić życie normalnej osoby, cokolwiek to znaczy. Wciąż jeszcze nie czułam się normalna w ogólnie przyjętym sensie tego słowa, ale na tym początkowym etapie życia, w wieku trzydziestu jedena lat, nie wiedziałam nawet dokładnie, do czego służy poczta.

Dyrektor szkoły poprosił mnie do swojego gabinetu.

- Jeżeli będzie się pani chciała czegoś dowiedzieć albo będzie pani potrzebowała pomocy, wystarczy, że pani poprosi, Carlo.

Był zgrunty zycliwym człowiekiem. Naprawdę potrzebowałam pomocy. Nierządki kręciło mi się w głowie, przez co napinałam mięśnie karku. Często na chwilę traciłam świadomość, bo musiałam przystosować się do tak wielu rzeczy naraz.

Nie wiedziałam, jak w tych czasach zachowują się w towarzystwie dorośli. Przyglądałam się otaczającym mnie ludziom, żeby się jakoś zorientować, i przysłuchiwałam się ich rozmowom. Nawet zwyczajny język się zmienił. Dobrze byłoby, gdybym potrafiła zaufać mojemu dyrektorowi, ale ja czu-

łam się upokorzona faktem, że znał moją niedawną przeszłość. Widmorkom nowego początku w Benalli!

Rozpaczliwie potrzebowałam mentora, ale tylko połykałam valium przed wyjściem do szkoły.

Przez sześć tygodni chodziłam półprzytomna, dopóki nie wyrzuciłam valium do kosza i z niewiarygodnym uporem nie przystosowałam się do życia w świeckiej szkole. Dzięki mojej nieskazitelnej francuszczyźnie i miłości do tego przedmiotu zyskałam sobie szacunek uczniów, i udało mi się jakoś brnąć dalej.

Tej pierwszej zimy nazywali mnie Żaba, bo nosiłam dopasowany zielony kostium z dzianiny, który kupiłam sobie za pierwszą pensję. Żaba to odpowiednie przezwisko dla nauczycielki francuskiego. Nie minął miesiąc, a nadszedły nowe: Latająca Zakonnica. Nie wiedziałam, jak te dzieci zdą-

żyły się dowiedzieć, że byłam kiedyś zakonnica. Może po prostu w jakiś sposób, w jaki się poruszałam - szybko i jakbym płynęła nad ziemią. Sally Field latała po ekranie telewizorów w roli „latającej zakonnicy”, a jak latałam po boisku i po korytarzach jak jej żywy, pozbawiony barbetu



o d p o wiednik.

Były w gronie nauczycielskim osoby, które kwestionowały moją pracę w szkole średniej, ponieważ nie ukończyłam studiów. No cóż, nie miałam nawet matury! Rozmawiali między sobą wystarczająco głośno, żebym ich słyszała, ale nigdy mi nic nie powiedzieli prosto w twarz. Zrozumiałam, że ich zdaniem powiązania Sedgley College z Uniwersytetem Manchester to tylko taka sztuczka. Zareagowałam, przystępując do najbliższego egzaminu maturalnego, a następnie zostałam członkiem związku nauczycieli. Równało się to uznaniu moich kwalifikacji. Gdyby mnie nie przyjęli, odmowa mogła wpłynąć na moją pensję. Dowiedziałam się, że dyrektor był po mojej stronie i że jawnie popierał go jeden z grona nauczycieli, Ron.

R o n był facetem z wąsami i b a r d z o psotnym uśmiechem.

Uwielbiał doprowadzać do tego, żebym się czerwieniła, a nie było to trudne. Dzielił ze m n ą i czterema innymi osobami kom ó r k ę na miotły, która została z a a d a p t o w a n a na pokój nauczycielski. Nigdy r a n o nie zapomniał zapytać, j a k się m a m .

Był dla mnie wybawieniem: żonaty, więc nie stanowił zagro

żenia j a k o potencjalny chłopak, z mitym poczuciem h u m o r u .

R o n przyszedł któregoś dnia do pokoju nauczycielskiego z wierszykiem, który dla mnie wyszukał. Ani on, ani nikt inny nie n a p o m k n ą ł przy mnie słowem o mojej niedawnej przeszłości. Ale wszelkie wątpliwości, czy wiedział o niej, rozwiały się, kiedy zaprezentował swój wierszyk. A brzmiał

on następująco:

*Pewien mnich w wielkim mieście Nairobi*

*Zejsć się z nudów z tego świata sposobił.*

*Lecz mniszkę poznał młodziutką i żwawą,*

*I się zajęli wspaniałą zabawą,*

*A potem matkę przelożoną z niej zrobił.*

Ku jego zadowoleniu m o c n o się zarumieniłam.

Nauczyciele uprzedzili mnie, żebym miała się na baczno

ści wobec „kanalii” - lekarzy zatrudnianych przez wydział

nauki, którzy mieli badać nowych nauczycieli i wydawać za

świadczenia o zdolności do wykonywania zawodu.

Pokój lekarski był duży, staroświecki i dobrze wyposażony, a lekarz wyglądał na wysportowanego i był ubrany na biało.

Nowa kasta kapłańska, pomyślałam, w bieli zamiast w czerni.

Ponieważ mnie uprzedzono, zachowywałam się chłodno, co doskonale miałam opanowane. Mi i mo to byłam naiwna i nie wiedziałam, jak lekarz postępuje przy normalnym badaniu lekarskim. Całkiem niewykluczone, że ten lekarz znał moją przeszłość.

- Proszę zdjąć ubranie i położyć się na stole do badania.

Ubranie może pani położyć na tamtym krześle - powiedział

z ogromną nonszalancją. Należało z tego wyciągnąć wniosek, że „proszę o to wszystkich moich pacjentów”. Zawałam się. Całe ubranie? Czy powinnam zapytać, o co dokładnie mu chodzi? Zauważył moje wahanie i powtórzył polecenie dobitniej, żebym miała pewność. - Proszę zdjąć ubranie i po

łożyć się na stole do badania, pan now van Raay.

Nie było parawanu, ale odwrócił się plecami, kiedy kładłam ubrania na dużym wygodnym krześle, a potem głu-

ka podchodziłam do białego stołu pod ścianą i kładłam się na plecach. Nie pomyślał nawet, żeby mnie czymś przykryć, tylko zaczął badanie, przykładając stetoskop w jedno miejsce, stukając palcami w inne i tak dalej. Usiadłam, żeby mógł

zbadać odruchy kolanowe, poprosił, żebym się znowu poło-

żyła, tym razem na brzuchu i głaskał mnie po całych plecach i pośladkach piórkiem, wyjaśniając, że to również jest badanie odruchów.

Piórko sunęło po mojej bardo białej dziewiczej skórze.

Uważałam, że nie powinnam protestować; w głowie miałam zamęt, umysł odmawiał prawidłowego funkcjonowania. Po pierwsze, nie byłam obeznaną z badaniami lekarskimi, poza tym onieśmiała mnie jego autorytet. Dobrze byłaby z niego matka przełożona. Jednak do kłodałam starań, żeby nie widział moich reakcji; nie chciałam zaspokajać ciekawości tego mężczyzny.

W końcu westchnął i powiedział, że znowu mogę się ubrać. Nie odrywał od mnie oczu, kiedy podchodziłam do ubrań i zaczynałam zakładać reformy. Zanim je podciągnę-

łam, gwałtownie wyciągnął rękę i położył prawą dłoń na linii mojego krocza.

- Żeby sprawdzić węzły chłonne - powiedział.

Zamarłam w pół ruchu, żeby pozwolić mu na przeprowadzenie tego ostatniego badania,

zakaszłałam posłusznie, kiedy o to poprosił, i nie dałam się wytrącić z równowagi, chociaż czułam, że wyraźnie przekroczył dopuszczalne granice.

Nie przyszło mi na myśl, że mogę dać mu w twarz albo złożyć na niego skargę. N a p a s t o w a n i e seksualne nie było na początku lat siedemdziesiątych podlegającym oskarżeniu wykroczeniem. Ciekawe, czy otrzymałabym w y m a g a n e za

świadczenie, gdybym się nie p o d p o r z ą d k o w a ł a . A i tak wyczuwałam jego podniecenie oraz jego frustrację. Miał w gabinecie gołą eks-zakonnicę, która się nawet do niego nie uśmiechnęła. Ani nie wpadła w histerię, co przynajmniej mogłoby okazać się interesujące. Kiedy się ubierałam, nie spuszczał ze mnie wzroku, a ja wyczuwałam jego niegrzeczne zainteresowanie. Ale nic mu nie d a ł a m . To była moja j e d y n a zemsta.

Uczyłam francuskiego w klasach na kilku poziomach, a dzieci były w różnym stopniu zainteresowane tym przedmiotem. Kiedy pojawił się wizytator, przyjemnie mi było usłyszeć, jak mówi dzieciom, że mają szczęście, iż trafiła im się nauczycielka francuskiego z takim doskonałym akcentem. To wtedy doceniłam mój sześciomiesięczny pobyt we francuskojęzycznym klasztorze w Brukseli! G r a ł a m również na harmonijce ustnej - tego nauczył mnie ojciec - a k o m p a niując przy śpiewaniu francuskich piosenek.

W Templestowe High miałam tylko d r o b n e kłopoty.

„Przykro mi, że pani sprawiałam tag dożo kopotu" - napisała Melinda, j e d n a z kilku uczennic, która nawet po angielsku wysławiała się z t r u d e m , ale musiała w drugiej klasie szkoły średniej spróbować nauczyć się obcego języka. Dała mi bukiet kwiatów.

Zaczęłam gromadzić pieniądze w banku. Kazałam założyć sobie korony na przednie zęby, żeby ukryć poczerwiałą pamiątkę z dzieciństwa, a p o t e m zaczęłam zastanawiać się nad kupnem samochodu. Do pracy podwoziła mnie codziennie pewna życzliwa kobieta, która ze wszystkich sił chciała mi pomóc. Żeby stać się właścicielką samochodu, musiałam zdobyć prawo jazdy, a żeby zdobyć prawo jazdy, musiałam zacząć poruszać się po ulicach M e l b o u r n e . Pożałowałam wtedy, że nie zostawiłam sobie trochę valium, co pomogłoby mi uporać się ze strachem graniczącym z paniką. Nie przejmowałabym się tak bardzo, gdyby nie to, że ojciec założył się ze mną, że obleję. Nie z czystej złośliwości; przypominał mi, że nikomu z naszej rodziny nie udało się zdać za pierwszym podejściem, więc prawdopodobieństwo, że mnie się uda, było znikome.

Kiedy nadszedł wielki dzień, czułam się bardziej zdenerwowana niż wtedy, kiedy jako dziecko musiałam wygrać wy

ścig wokół kwartału. Egzaminator zauważył to i próbował

p o m ó c mi się odprężyć. Usiadł na przednim siedzeniu, mój instruktor rozparł się z tyłu i w piątek po południu w godzinach szczytu włączyliśmy się w ruch w St. Kilda. Musiałam przeprowadzić samochód przez skomplikowane skrzyżowanie pięciu ulic. Z o s t a ł a m dobrze wyszkolona, ale zapomniana

łam wyłączyć kierunkowskaz, przez co spowodowałam nieco zamieszania wśród innych użytkowników drogi. Myślałam, że to już koniec, że zaprzepąściłam szansę, ale z wielkim zaskoczeniem i ulgą dowiedziałam się, że zdałam. Byłam tak zachwycona, że przez całą drogę powrotną sama prowadziłam, starając się nie zabłądzić.

Kiedy pojechałam o d e b r a ć wygraną, ojcu nie udało się zachować uprzejmie; nienawidził rozstawać się z pieniędzmi.

Najpierw na jego twarzy odmalowało się niedowierzanie, p o t e m zazdrość; wciąż było w nim obecne złowrogie pragnienie, by dominować nad dziećmi, nawet gdyby miało to oznaczać ich niepowodzenie. Nie chciał, żebym osiągnęła coś, czego j e m u s a m e m u się nie udało.

W parafialnej szkole mojego dzieciństwa - pod wezwaniem Matki Boskiej Dobrej Rady - siostra Bartholomew nadal pełniła tę samą funkcję co w 1950 roku, kiedy rodzina van Raay zaczęła tam chodzić. Teraz był rok 1970 i miała w swojej klasie dzieci mojej siostry Liesbet.

Beatrice, najstarsza dziewczynka, wróciła do d o m u z pręgami od uderzeń dużą linijką o metalowych brzegach na dłoniach, rękach i nogach. Beatrice była żywą dziewczynką, ale grzeczną, więc Liesbet udała się do szkoły, by dowiedzieć się, o co chodzi.

- Beatrice jest zuchwała - wyjaśniła, broniąc się, siostra Bartholomew. - Nic nie mówi, ale poznaję to po jej oczach: *są takie same jak u Carli*

Liesbet nie zamierzała akceptować takiego sposobu rozumowania.

- Ty sfrustrowana stara suko! - wrzasnęła. - Po prostu zazdrosna jesteś, bo Carla się wydostała i prowadzi n o r m a l n e życie!

Z a m k n ę ł a na klucz drzwi do gabinetu i, wiedzona instynktem rozwścieczonej matki, przyłożyła siostrze Bartholomew w ramię. Siostra Bartholomew miała p o r z ą d n e wiejskie pochodzenie i regularnie grywała w tenisa, jej mięśnie natychmiast napięły się, by o d d a ć cios. Przeszkodził jej w tym welon, który rozwiewał się na wszystkie strony, a który straciła, kiedy moja siostra złapała go m o c n o i raz zdecydowanie szarpnęła. Liesbet wystarczyło, że widzi krańcową konsternację siostry B a r t h o l o m e w i słyszy jej krzyk:

- Puść mnie! Jestem zakonnica!

Na tę absurdalną uwagę gniew mojej siostry zmienił się w rozbawienie i poczuła wielką satysfakcję.

Od tej pory siostra Bartholomew powstrzymywała się od bicia linijką dziewczynki, która przypominała jej Carlę, tę van Raay, która zhańbiła zakon, opuszczając go, i do tego by

ła istnym utrapieniem. Niemniej miała czelność uprzedzić moją siostrę, że nie dopuści, by jej dzieci dostały się do szko

ły w G e n a z z a n o , ale okazały się to czeze groźby.

- Z jakiegoż to powodu miałyby pani sądzić, że pani córeczka nie będzie tu mile widziana? - powiedziała przełożona, kiedy Liesbet zadała jej to pytanie, i obydwie dziewczynki, i Beatrice, i jej siostra, zostały zgodnie z planem zapisane do G e n a z z a n o , najbardziej prestiżowej szkoły w M e l b o u r n e .

•••

Kiedy usłyszałam, że rodzina łożyła na moje życie w klasztorze, postanowiłam szczerze porozmawiać na ten temat z matką.

Własnym uszom nie mogłam uwierzyć w to, co powiedzia

ła mi matka, kiedy wreszcie przerwała milczenie. To o n a przede wszystkim była ofiarodawczynią. (Jakim c u d e m jej się to udawało? Nie chciała powiedzieć). A dokładali się wszyscy, moi bracia, Adrian, M a r k u s i Willem, jak również moja siostra Liesbet. Posiniałam ze złości.

Moja biedna m a t k a nie chciała żadnych zatargów z zakonnicami. Rodzina uzależniona była od siostr, bo do nich należał d o m , w którym mieszkała i u nich zarabiała na utrzymanie. Przez niemal dwadzieścia lat harmonijne stosunki z zakonnicami były rzeczą niezbędną: ojciec był ich ogrodnikiem i dozorcą, matka pracowała dla nich sporadycznie j a k o szwaczka.

Przez jakiś czas zastanawiałam się, czy nie podać klasztoru do sądu. Moje odejście zainspirowało inne kobiety - odeszło jeszcze sześć do końca 1969 roku - i pomyślałam, że my wszystkie, których rodzice zostali potraktowani podobnie jak moi, mogłybyśmy połączyć siły. Mogłybyśmy nadać sprawie pewien rozgłos i otrzymać rekompensatę. W żadnym wypadku nie powinnyśmy były znaleźć się na ulicy po tylu latach ciężkiej pracy, do której dopłacały nasze własne rodziny! To prawda, że - Bogu dzięki - zostałyśmy wykształcone na nauczycielki. Ale ja uczyłam w Brukseli i przez cztery lata w Benalli, nie otrzymując żadnych poborów; powinnam dostać przynajmniej tyle, żeby urządzić się jakoś w tym świecie domów, mebli, samochodów i ubrań. Nie zrealizowałam jednak tego planu z powodu niepewnej pozycji rodziców. Poza tym, co ja tak naprawdę wiedziałam o moich prawach? W sumie wydawało się, że najlepiej nie budzić demonów.

Te d e m o n y bardzo teraz posiwiały, a ojciec i m a t k a już nie żyją. Ich dom wrócił do zakonnicek. Czas na spór sądowy dawno już minął.

•••

Groziło mi, że w moim mieszkanku będę prowadziła sam o t n e życie. Z trudem radziłam sobie z rzeczywistością. Ale potem poznałam Cheryl, elegancką ekstrawertyczkę o dobrym sercu, i postanowiłyśmy zamieszkać razem. Cheryl kochała tańczyć i znowu chodziłam na zabawy pod M e l b o u r n e .

Zawsze na takich zabawach było pełno mężczyzn, którzy nie potrafili spojrzeć partnerce podczas tańca w twarz. Przekazywali mnie sobie kolejno, jakby tańczyli z workiem pszenicy na nogach. Nie szkodzi; muzyka i ruch bardzo dobrze mi robiły.

Wszyscy, łącznie ze mną, martwili się teraz o to, żebym wyszła za męża.

- Wydaje mi się, że mam dla ciebie d o b r e g o p a r t n e r a -

powiedziała matka, starając się, by zabrzmiało to niedbale. -

Jest H o l e n d r e m i na imię ma Bart. J e g o m a t k a poprosi, żeby zabrał cię na piknik na wieś.

Jego matka rzeczywiście o to poprosiła, on się zgodził, spakowała więc koszyk i pojechaliśmy jego s a m o c h o d e m .

Bart był wysokim czterdziestoparoletnim facetem, który nigdy nie wyprowadził się z d o m u i którego nikt nigdy nie pocałował. Pracował ciężko od świtu j a k o czyściciel okien i z a p e w n e był zbyt zmęczony, by prowadzić życie towarzyskie. Z g r o m a d z i ł całkiem sporą fortunę, bo nie b a r d z o miał

na co wydawać swoje zarobki. M a t k a kładła wielki nacisk na ten fakt.

Zwierzył mi się, kiedy usiedliśmy na trawiastym zboczu gdzieś w parku, że niedawno poszedł do lekarza. Lekarz polecił mu książkę „A B C seksu”, którą Bart kupił i przeczytał.

Nic więcej nie musiał mówić; nie było mi p o t r z e b n e święte niewiniątko takie jak ja; potrzebowałam dojrzałego mężczyzny, a już co najmniej takiego, który będzie miał pojęcie, co robi. W najmniejszym stopniu nie kusilo mnie jego bogactwo, a nieporadność wydawała się okropnie nudna; krótko mówiąc, nie miałam ani współczucia, ani zrozumienia dla tego nieśmiałego chłopczyka w ciele dorosłego mężczyzny.

Pełne nadziei twarze naszych matek spochmurniały natychmiast po naszym powrocie. Westchnęły: moja matka trapiła się mną, a jego matka swoim odrzuconym synem. Co miały zrobić?

Ale czy moja matka naprawdę chciała, żebym się już z kimś związała? W kilka miesięcy później, kiedy na krótko zatrzymałam się znowu u rodziny i zaprosiłam j e d n e g o z p a r t n e r ó w do tańca do d o m u na pogaduszki - i nic więcej

- m a t k a osłupiała z m o r a l n e g o oburzenia, kiedy przyłapała nas, jak przemykaliśmy się na paluszkach przez kuchnię.

- Carlo! To prostytutka! - niemal płakała, mówiąc ł a m a n ą angielszczyzną, i zasłaniała przy tym rozdygotaną dłonią usta. Aż się skuliła z żalości i przerażenia i zniknęła w łazience. To oczywiste, że nie miała na myśli prostytutki. Wiedzia

ła, że jej mężowi zdarzają się czasami skoki w bok z prostytutkami; być m o ż e zaabsorbowana myślami o nich nie potrafiła znaleźć odpowiedniego słowa, by wyrazić dezaprobatę dla przyjmowania gościa o tak późnej porze.

Kiedy przyszła z wizytą matka mojej przyjaciółki Eileen, poruszyły znowu temat mojego małżeństwa.

- A może by ją tak zapisać do klubu samotnych? - zasugerowała Eileen.

- Do czego? - zapytałam. Wyjaśniono mi wszystko, a ja ustąpiłam i udałam się na rozmowę do klubu.

Jak tylko weszłam do maleńkiego biura, tuż za drzwiami trafiłam prosto na ladę na wysokości piersi. Sekretarka siedziała za ladą w istnym wąwozie, a pokój do rozmów znajdował się na lewo i to stamtąd wyłonił się szef. Był po pięćdziesiątce, smukłwi ubrany na ciemno. Zmierzył mnie od góry do dołu zagadkowym spojrzeniem, jakby nie do końca przekonany, że należę do rodzaju ludzkiego. Nie mieli żadnych oporów, żeby przyjąć ode mnie pieniądze, ale mijał miesiąc za miesiącem i wreszcie zadzwoniłam do nich i zapytałam, co zrobili, by znaleźć mi partnera.

- Trudno dla pani kogoś znaleźć, bo jest pani taka wysoka - odparł szef. M i m o to po niecałym tygodniu p o d a n o mi n u m e r telefonu jakiegoś p a n a o nieskazitelnym charakterze, który jak powiedziano, jest po rozwodzie - czy mi to nie przeszkadza?

Nie przeszkadzało. Spotkałam się z L e o n e m w agencji, skąd błyskawicznie zawiózł mnie swoim m e r c e d e s e m do restauracji. Jeśli chodzi o mnie, taki początek świadczył o geniuszu mojego uwodziciela. K o c h a m elegancję i styl, a on miał pieniądze, by je kupić.

Wydawał się d ż e n t e l m e n e m : nie spieszył się, by zaciągnąć mnie do łóżka, nie był dwuznaczny ani niegrzeczny. Dziwne jedynie wydawało mi się to, że nie potrafi się na dłużej skupić na chwili bieżącej. Śmiałam się z tego pewnego wieczoru przy kolacji. L e o n wzdrygnął się, kiedy usłyszał, że o tym n a p o m y k a m , i b a r d z o mnie przeproszał, ale nie wyzbył się tego nawyku.

Był w y r a f i n o w a n y m ś w i a t o w c e m i p r a w d o p o d o b n i e śmiertelnie nudził się w m o i m towarzystwie. M o ż e dlatego regularnie m n i e gdzieś zapraszał, że ciekawiła go wyjątkowa kobieta o wielkiej urodzie i umyśle dziecka. Wybrał się ze m n ą nawet, żeby oglądać d o m y na sprzedaż i podyskutować, co mi się p o d o b a , a co nie! D o p i e r o d u ż o później d o wiedziałam się, że pracował w n i e r u c h o m o ś c i a c h i łączył

zbieranie informacji z przyjemnością, j a k ą dawało mu moje towarzystwo.

Tylko raz poprosił mnie, bym wybrała film.

- C h o d ź m y zobaczyć „Szatę” - wykrzyknęłam z entuzjaz m e m , a on patrzył na mnie z miną pełną niedowierzania. -

Widziałam ten film j a k o nastolatka i z przyjemnością zobaczę go jeszcze raz - wyjaśniłam, czując równocześnie, że na tym facecie robię wrażenie osoby z ubiegłego wieku. Wcale się nie przejmowałam, że L e o n z t r u d e m powstrzymywał się od ziewania, kiedy Richard Burton (Marcellus) ponownie się nawracał, włożywszy szatę bez szwów, którą Jezus miał na sobie na krzyżu. Miłe mi było nostalgiczne cofnięcie się w czasie o pełne czternaście lat.

W końcu przyszedł dzień, kiedy L e o n zabrał mnie do swego d o m u ; jak na lokum kawalerskie, był on bajeczny.

- No cóż - zauważyłam niewinnie - powiedziałabym, że znać tutaj delikatną kobiecą rękę. Śliczne

koronkowe firanki, miękki jak aksamit dywan. Piękne wazony i kwiaty. - J e go żona, wyjaśnił, opuściła go. I zostawiła mu ten d o m .

To w sypialni wykonał pierwszy ruch. Po dziś dzień przekonana jestem, że nie interesowałam L e o n a pod względem seksualnym. Nie byłam dla niego wystarczająco dojrzała, a on zapewne miał cały h a r e m kochanek. Niemniej chciał zobaczyć ciało tej dziewczyny-kobiety, która kiedyś była zakonnica, a wciąż była dziewicą. Na ile ciasną będzie miała cipkę?

Czy błona nadal będzie nienaruszona? Czy to w obecnych czasach jest w ogóle jeszcze możliwe?

Światło słoneczne wlewało się do sypialni przez okno wychodzące na mały zamknięty prywatny ogród, dzięki czemu w pokoju było sympatycznie ciepło i jasno. Pozwoliłam mu się delikatnie rozebrać. Położył mnie na łóżku, na kapie, i zaczął mnie bardzo lekko głaskać. Czułam się tak, jakbym odpływała coraz dalej, coraz mniej świadoma tego, co się dzieje - ufałam mu.

Leon nie zdjął z siebie ubrania; rozluźnił wyłącznie krawat.

Poprosił, żebym rozchyliła uda.

- Czy pozwolisz?

Kiwnęłam głową, a on zajrzał mi między nogi, delikatnie rozgarniając na boki jasne włosy, żeby sprawdzić, co uda mu się między nimi wypatrzeć. Był pierwszym facetem, który widział na oczy moją cipkę, i jedynym, którego interesowało wyłącznie patrzeć, a nie dotykanie i spółkowanie.

Kiedy zaspokoił ciekawość, powiedział:

- Wystarczy na dziś?

A ja znowu kiwnęłam głową, pozwalając mu się z pełnym zaufaniem prowadzić. Ten doświadczony mężczyzna wiedział, jak traktować niedoświadczoną d a m ę !

Moja błona dziewicza rzeczywiście była nietknięta. Potwierdził to lekarz, kiedy zgłosiłam się do niego mniej więcej w tydzień później, przekonana, że złapałam „trypra”, bo skorzystałam z publicznej toalety.

- Ty n i e m ą d r a dziewczyno - powiedział. - Jakim c u d e m mogłabyś mieć chorobę weneryczną, skoro nigdy nie miałaś nawet stosunku?

Kiedy wróciłam do d o m u , Cheryl powiedziała mi, że dzwoniła moja matka. Sądząc po głosie, była niespokojna i chciała, żebym do niej przyjechała. Z r o b i ł a m to bezzwłocznie i zastałam ją zażenowaną i poruszoną.

- Ten człowiek, z którym się umawiałaś - wyjąkała. Najwyraźniej t r u d n o jej było powiedzieć to wprost, ale postanowi

ła nie owijać niczego w bawełnę. - Eileen dowiedziała się, że L e o n jest żonaty... i to zły człowiek.



On zawsze umawia się przez tę agencję. Dla niego to po prostu miejsce, gdzie może podrywać kobiety! - N o ! Wykrztusiła to i teraz przygryzała usta, widać było, że żałuje mnie i b a r d z o jest zła na mężczyznę, który mnie wprowadził w błąd.

Miała wrażenie, że przyczyniła się do tego, iż dałam się oszukać. Wiedziała, że polubiłam L e o n a i że zaczęłam wyobrażać sobie w marzeniach, jak by to było żyć razem z nim w wybranym przeze mnie domu. Ale nawet ona nie zdołałaby się domyślić, jakim ciosem będzie dla mnie ta wiadomość.

Poczucie rozczarowania było tak miażdżące, że emocjonalny stres wywołał u m n i e chorobę i nie mogłam dłużej uczyć. Pograżyłam się w rozpacz; wszystkie rozczarowania, jakich w życiu doznałam, zlały się chyba razem.

Cheryl okazała mi wiele życzliwości; była dla mnie jak anioł. Po sześciu tygodniach cierpienia zaproponowała, żebym z nią znowu poszła na tańce.

- Powinnaś wychodzić z d o m u - powiedziała.

- Do końca życia nie chcę już poznać żadnego mężczyzny - j ę c z a ł a m , ale w końcu zgodziłam się i poszłyśmy.

Miło było znowu tańczyć przy a k o m p a n i a m e n c i e orkiestry, która grała stare, dobrze znane z sali balowej melodie.

Tego wieczoru salę zapełniali młodzi przesiedleńcy, wśród nich wielu z Anglii. Twarz j e d n e g o z nich była taka uczciwa, że nawet ktoś tak zgorzkniały jak ja nie mógł się go czepiać.

C h ł o p a k nie miał poczucia rytmu; ciągle mi deptał po palcach. Ale ładnie pachniał, szkockim tweedem i świeżym wrzosem. Jego chłopięcą twarz z jasną cerą i kilkoma piegami wieńczyły rude faliste włosy. Powiedział, że ma na imię J a m e s . Mówił śpiewnym głosem i miał szczupłą wysportowaną sylwetkę. Błagał mnie, żebym zatańczyła z nim ostatni taniec. U z n a ł a m , że niczym mi to nie grozi, więc się zgodziłam, a on ciągle mi deptał po palcach i przepraszał. Kiedy taniec się skończył i już miałam się ulotnić, zapytał, czy mógłby się ze m n ą znowu spotkać.

Stałam przy nim i szalę przeważało raz „tak”, a raz „nie”.

Tak, to kulturalny mężczyzna. Nie, to *mężczyzna* - i na dodatek nie umie tańczyć! Stawką było całe moje życie. (Ale zastanawiam się, czy my n a p r a w d ę mamy jakiś wybór?) J a m e s nie posiadał samochodu, więc odwiozłam go do d o m u , co b a r d z o nas oboje rozbawiło - tak właśnie postępują dziewczęta w Australii, czy tego nie wiedział?

Wzięłam od J a m e s a n u m e r telefonu, ale przez wiele tygodni rozmyślnie się z nim nie umawiałam. Niemniej tego włą

śnie człowieka w końcu poślubiłam, chociaż b a r d z o mu ten krok odradzali wszyscy jego brytyjscy przyjaciele. Zwracali mu uwagę, że jestem ze siedem lat starsza od niego, że nie m a m żadnego doświadczenia w życiu i że d o k o n a n i e o d p o wiedniego wyboru mnie przerasta. Mieli rację, ale on naprawdę się we mnie zakochał. Ja nie. Ceniłam go, ale zakochana nie byłam.

Matka udzieliła mi dobrej rady.

- Nie ma czegoś takiego jak prawdziwa romantyczna mi

łość - tak wyglądała najwyższa mądrość, jaką wydestylowała z własnych doświadczeń życiowych. -  
R o m a n s e zdarzają się tylko w kinie!

J a m e s był życzliwy i chciał ciągle przebywać w moim towarzystwie, ale nie rozpieszczał mnie  
romantycznymi p o d a r u n kami - może dlatego że był Szkotem, a może dlatego, że był

z niego prawdziwy romantyk i nikogo nie małpował. Przyjeżdżałam po niego wieczorami, kiedy się  
umawialiśmy. Niezbyt to romantyczne, prawda? Ale lubiłam go za tę czystość i łagodność. R o m a n  
s e nadają się do filmów, a w realnym życiu nie istnieją. Z wielką chęcią uwierzyłam mojej matce, bo  
przyjrzałam się już stosunkom, jakie panują w niektórych związkach.

Ale to nie J a m e s o d e b r a ł mi dziewictwo i przerwał moją błonę. Tym jedynym w swoim  
rodzaju zaszczytem obdarzy

łam p e w n e g o mężczyznę z M a n c h e s t e r u , którego p o z n a ł a m , zanim J a m e s oficjalnie  
został moim chłopakiem. Brian i ja staliśmy razem w kolejce w supermarkecie i zaczęliśmy ze sobą  
gadać. Był istnym wcieleniem b o h a t e r ó w , o jakich czytałam w angielskich powieściach: dziki (   
m a m na myśli: o d r o binę zaniedbany), ciemnowłosy i ciemnooki - a więc tajemniczy - i wesoły w  
taki przyjazny bezpośredni sposób, jaki zaobserwowałam u mieszkańców M a n c h e s t e r u , kiedy  
szkoliłam się tam na nauczycielkę.

Brian nie do końca j e d n a k sprostował moim wyobrażeniom.

Był dosyć troskliwy, kiedy leżeliśmy oboje w jego łóżku i zbliżał się m o m e n t utraty dziewictwa.  
Czułam się dziwnie wyobcowana, jakbym nie do końca przebywała we własnym ciele, jakby część  
mnie usunęła się w sferę nieświadomości.

Nie miałam kontroli nad tym uczuciem. Brian leżał na mnie, opierając się na łokciach, i z  
determinacją p r ó b o w a ł w e m n i e wejść. J e g o twardy penis uderzał w moją jeszcze twardszą  
b ł o n ę . Pojękiwał, zakładałam, że z bólu. Czy tak ciężka była dla niego ta p r ó b a odbycia ze m n  
ą stosunku? Nie p r ó b ował d o d a w a ć mi otuchy życzliwymi czy czułymi słowami.

Twarz miał p o n u r ą , pełną determinacji, skupioną, i nie patrzył na mnie. Ja tylko leżałam pod nim,  
czekając, co się będzie dalej działo; wreszcie pchnął potężnie i rozpieczętował

mnie. Szok i ból wywołany rozdarciem błony były tak silne, że gwałtownie zaczerpnęłam tchu i  
rozplakałam się. Ł k a ł a m dlatego, że mnie bolało i że ten akt obudził nagle we mnie rozpaczliwe  
uczucia. Czułam się strasznie s a m o t n a , porzucona.

Briana zdenerwował mój płacz, myślał, że coś źle zrobił.

- Co się dzieje, kobieto? - zapytał szorstko. Nie bardzo umiałam mu wytłumaczyć. Czułam

rozczarowanie, stosunek był dla mnie bolesny pod względem fizycznym, wszystko prawda, ale skąd ta burza *emocjonalnego* cierpienia?

Znałam o powiedni słowa, kiedy on się ubierał, a mnie spomiędzy nóg krew ściekała na prześcieradło.

- Żałuję tylko, że to nie mój mąż mnie wziął.

Te słowa w założeniu miały mu pomóc zrozumieć, ale chyba jeszcze pogorszyły sprawę. Żałowałam, że zrobiliśmy to nie z miłości, tylko z pożądania. Ale jeżeli tak, to dlaczego wybrałam Briana? No właśnie, dlaczego? Kiedy chciałam się z nim znowu spotkać, okazało się, że zmienił adres.

Życie płynęło dalej, teraz już nie-dziewicze. Pomimo oszustwa Leonarda romantyczne go przeżycia z Brianem, patrzyłam na *wszystkich* mężczyzn przez pryzmat erotyzmu.

Moja antena wyczulona była na odbiór kierowanej w moją stronę związanej z seksem energii i nieustannie czujna. To właśnie wyczuwali we mnie przyjaciele Jamesa i próbowali go ostrzec.

James i ja postanowiliśmy zamieszkać na jakiś czas w taniej kawalerce, żeby sprawdzić, jak nam się będzie razem żyło. Jego seksualność była prosta, nieskomplikowana, czysta i ładna. Niczego więcej wtedy nie pragnęłam. Kochałam go za przyzwoitość, za uczciwość i za czułe, wielkie dusze serce. To, że James nie miał jeszcze pieniędzy, przemałowało na jego korzyść - nie zdążyły go zepsuć, takim torem biegły moje myśli. Znałam sobie pracę jako kre-

slarz elektryk i wolał chodzić na piechotę do pracy, żebym go nie musiała wozić. Był wysportowany i poruszał się pełnym energii krokiem, promieniując spokojną, ujmującą jasnością ducha. Przyglądałam mu się z okna naszego mieszkania, kiedy odchodził, myślałam, jak bardzo go kocham, i pragnęłam podsyć jeszcze bardziej te pełne miłości

ści uczucia. Tak bardzo zasługiwał na to, żeby go kochać!

Czy miałżeństwo sprawi, że zacznę trochę bardziej lubić ciało tego mężczyzny? Myślałam o piegowatej twarzy Jamesa, jego rudych włosach i jasnej cerze, a także szczupło-

ści, wąskich ramionach i chłopięcej piersi. Gdy było do mojego ciała; czy będzie to miało znaczenie? Nie do końca udało mi się sformułować w myślach to pytanie.

Mieliśmy się pobrać.

Na naszym ślubie pojawiło się kilka zakonnic, łącznie z siostrą Bartholomew. W ogóle nie spodziewałam się ich obecności - chciały mi zrobić niespodziankę. Kilkakrotnie żałowa-

łam, że sprawiły mi taki zaszczyt, bo - jak się okazało - była to pamiętna okazja, ale z całkiem

lam, że sprawiły mi taki zaszczyt, bo - jak się okazało - była to pamiętna okazja, ale z całkiem

niewłaściwych powodów.

• • •

O k o ł o sześciu miesięcy wcześniej przestałam myśleć o sobie jako o katoliczce. Poszłam ostatni raz do spowiedzi, wyznałam księdzu powracające stale złe myśli i posłusznie, ze skruchą poszłam wypełnić pokutę, jak zwykle. Stacje Męki Pańskiej przedstawiono w płaskorzeźbie, postacie pomalowane na krzykliwe kolory niemalże wyskakiwały ze swoich ram. Z u m ę c z o n e g o ciała Jezusa wyciekała jaskrawoczerwo-na farba. Gdy na te stacje patrzyłam, przeżyłam j e d e n z rzadkich m o m e n t ó w , kiedy w nieodparty sposób tragedia przekształca się w k o m e d i ę . Zaczęłam się śmiać, ale z goryczą.

Śmiałam się z bezsensu tego wszystkiego - z nieustannego powtarzania tej żalostnej i brutalnej opowieści, z kościoła, który bez końca wrabia ludzi w poczucie winy. Czułam taką pogardę, że przez jedną szaloną chwilę zastanawiałam się, czy nie stanąć na rękach na ołtarzu. Doszłam do wniosku, że nie warto się wysilać. Wybiegłam z kościoła w światło dnia, pijąc słońce wielkimi haustami. Później przez b a r d z o długi czas unikałam kościołów.

I to dlatego 19 grudnia 1970 roku nasz ślub odbył się w North Balwyn, w pobliżu Kew, na podwórku za d o m e m kobiety o imieniu Joan, która się ze m n ą zaprzyjaźniła. Joan się tego dnia upiła i do niczego się nie nadawała, więc wszystkim zajmowałam się osobiście, łącznie z przygotowaniem jedzenia dla gości. U b i e r a ł a m się w ostatniej chwili. Rozmyślnie zdecydowałam się na cytrynowy kolor, żeby odróżniał się od bieli, którą nosiłam j a k o oblubienica Jezusa. Myślałam o tym wydarzeniu jak o moim drugim ślubie. Zamiast welonu zało

żyłam przezroczysty kapelusz z szerokim r o n d e m , który dobrze pasowałby na wyścigi w Ascot.

Ksiądz dotrzymał słowa: to znaczy ograniczył swoją obecność do dziesięciu minut, które akurat wystarczyły, by błyskawicznie odprawić c e r e m o n i ę ślubną. Nie był zadowolony, kiedy - poprosiwszy o nasze adresy - dowiedział się, że mieszkamy razem! Widzieliśmy jego zaskoczenie i niezadowolenie, ale było za późno. Cały ten ślub pod każdym względ e m udawał tylko uroczystość katolicką. J a m e s był niewierzącym, który zgodził się przyswoić sobie podstawy wiary, by m ó c się ożenić. A ja tylko dlatego przystałam na katolicki ślub, żeby sprawić przyjemność rodzicom i żeby mogli wszystko o nim opowiedzieć siostram.

Muzyką zajmowała się Berta. Miała wyczarować z a d a p t e r a „fanfary i m a r s z " H a n d l a , kiedy p a n n a m ł o d a będzie schodziła z kilku stopni oddzielających patio od ogrodu, by spotkać się z zebranymi. Świetność okazji zepsuły zgrzytliwe tony, jakie wydobyły się z głośników, kiedy ja stanęłam na szczycie schodków, a Berta walczyła z a p a r a t u r ą . Muzyka umilkła, gdy d o t a r ł a m w kilka sekund później na dolny stopień, a p o t e m płomyki świeczek na prowizorycznym ołtarzu zatrzepotały na wietrze i zgasły. Co gorsza, źle sobie nałoży

łam makijaż. Musiałam wiekami czekać, aż łazienka będzie wolna, i jedną brew miałam ciemniejszą niż drugą, a szminka nie pokrywała całych ust.

Taki był mój ślub z Jamesem. Na jednej z fotografii widać grupę zakonnice, które próbują się z

aprobatą uśmiechać. Jeżeli ktoś mimo tych niefortunnych zdarzeń dobrze się bawił, sta

ło się tak najprawdopodobniej dzięki radości życia mojej najmłodszej siostry, Teresy, która sprytnie wykorzystwała typowy dla siebie dowcip i zmysł organizacyjny, by wbrew wszystkiemu zmienić tę połowiczną katastrofę w sympatyczne spotkanie.

Wysłałam za J a m e s a dlatego, że on kochał mnie, a ja uwa

żałam, że pod ważnymi względami jest przeciwieństwem m o jego ojca. Dobry, łagodny do szpiku kości, honorowy, wierny, życzliwy, wielkoduszny i mający poczucie h u m o r u ; mówiąc krótko, prawdziwy skarb. Ale biedaczysko J a m e s ożeni! się z tykającą b o m b ą . Były we mnie mroczne siły, d e m o n y pod

świadomości, którym nie stawiałam jeszcze czoła, i nie pozwoliły mi o n e ustatkować się, jak normalnej mężatce z normalnym życiem rodzinnym przystoi.

Przez jakiś czas wydawało się, że wszystko jest w porządku. Postanowiliśmy zostawić za sobą p o c h m u r n e niebo i nieprzewidywalną p o g o d ę M e l b o u r n e i sprawdzić, jak tam ze słońcem w Perth, w zachodniej Australii. S m u t n o mi było żegnać się z rodziną; ale z drugiej strony chciałam być trochę dalej od nich, kiedy b ę d ę pracować nad własnym, niekatolickim i nieortodoksyjnym stylem życia. Wolałam nie ryzykować, że przez cały czas b ę d ę ich urażać albo z konieczności się przed nimi tłumaczyć. Przejechaliśmy przez Nullarbor naszym falconem kombi, który kupiliśmy razem, poświęcając na to cały beztroski tydzień. O k a z a ł o się, że tylko taki miesiąc miodowy mieliśmy.

Zarejestrowałam się w wydziale oświaty w Perth i zaraz p o t e m d a ł a m się p r z e k o n a ć pełnej zapału dyrektorze klasztornej szkoły podstawowej, żebym wzięła piątą klasę. Zwerbowała mnie osobiście, odwiedzając w d o m u , p r z e k o n a n a , że eks-zakonnica lepsza będzie dla dzieci w jej szkole niż nauczycielka świecka.

Pertraktowałam z nią w sprawie warunków. Czy b ę d ę mia

ła swobodę przy wdrażaniu p r o g r a m u nauczania na swój własny sposób i czy nie b ę d ę związana żadnymi ograniczeniami czasowymi poza przerwą na zabawę i dzwonek na lunch?

Zgodziła się.

Wszystko szło d o b r z e - n a u k a cieszyła i dzieci, i m n i e .

Nie musieliśmy przerywać p r z e r a b i a n e g o właśnie t e m a t u tylko dlatego, że zadzwonił dzwonek; nie stosowałam żadnych tradycyjnych reguł. Z a p o z n a ł a m się z książkami Neila S u m m e r h i l l a na t e m a t edukacji i prosiłam dzieci, żeby s a m e p r o p o n o w a ł y o d p o w i e d n i e kary i nagrody za p e w n e zachowania. D y r e k t o r k a i rodzice wyrazili a p r o b a t ę , ale zwrócono mi uwagę, że w n a s t ę p n y m roku piątoklasistki, k t ó r e przy m n i e zasmakowały takiej wolności, uczone b ę d ą przez najsurowszą zakonnice w szkole. Czy się nie zbuntują? Czy nie b ę d ą wtedy konieczne dubeltowe dawki rygoru? W e s t c h n ę ł a m . Tak, p r a w d o p o d o b n i e

nie da się tego uniknąć, ale nie był to wystarczająco przekonujący powód, by m n i e p o h a m o w a ć .

Zgodnie z u m o w ą nikt nie kwestionował swobody w mojej klasie, zakwestionowano natomiast to, jak się ubierałam.

Wysiadłam p e w n e g o dnia z s a m o c h o d u w czerwonym spodniem i zobaczyłam przed sobą wielebną matkę klasztoru, przełożoną dyrektorki. Była oburzona i twardo poleci

ła mi wrócić do d o m u i się przebrać. Roześmiałam się; lubię takie wyzwania!

- Co jest w moim spodniem nieprzyzwoitego, wielebna m a t k o ?

Wolała nie odpowiadać i odeszła.

Podczas przerwy na lunch wierciłam jej dziurę w brzuchu, by podała mi powód.

- Jeżeli pozwolę pani nosić spodniem, całe grono będzie w czymś takim chciało paradować, łącznie z zakonnkami! -

wykrztusiła w końcu.

Czyżby o d n o w a posunęła się tak daleko, że zakonnice m o g ły chodzić w spodniach, jeżeli zechciały? Intrygująca myśl! Cała sytuacja wydawała mi się tak niedorzeczna, że napisałam do gazety list, który wzbudził spore zainteresowanie wśród czytelników i podsunął stacji telewizyjnej pomysł, by do mnie zadzwonić. W następstwie mojego listu rozpętało się istne piekło i otrzymałam natychmiastowe wypowiedzenie w postaci notki dostarczonej mi na boisku przez dziecko z trzeciej klasy. Wielebna m a t k a zorientowała się, że popełniła błąd, kiedy dotarło do niej, że zamierzam poinformować w telewizji, w jaki tchórzliwy sposób mnie wyrzuciła. Poza tym dzwoniło do niej wielu rodziców, gotowych o d e b r a ć swoje dzieci ze szkoły, jeżeli mnie zwolni. Błagała pokornie, więc zgodziłam się na zakończenie konfliktu. Miałam nie występ o w a ć ^ telewizji, a poza tym nosić sukienki, a nie spodnie, p o d warunkiem że w mojej klasie zostaną zainstalowane grzejniki.

Na kilka tygodni przez Bożym N a r o d z e n i e m 1971 roku, kiedy byłam w szóstym miesiącu ciąży, mój los dramatycznie się zmienił. W i n ę za to ponosił mój brak doświadczenia w życiu i kontaktach z ludźmi, co powodowało, że dla pozbawionych skrupułów osób byłam łatwym celem.

Pewna H o l e n d e r k a wciągnęła mnie do pracy w mającej wkrótce zyskać złą sławę kompanii G o l d e n Products. Była dla mnie jak matka, interesowała się moimi sprawami i częstowała po mistrzowsku przyrządzonymi potrawami. W życiu jej nie podejrzewałam, nawet wtedy, kiedy stukaniem wyrwa

ła w środku nocy mnie i J a m e s a z łóżka, byśmy podpisali kontrakt, bo „zaraz z rana trzeba go koniecznie złożyć, przepraszam, nie zorientowałam się wcześniej”. J a m e s narzekał, ale nie chciał mi odmawiać. W k r ó t c e staliśmy się właścicielami tony zafałszowanych wodą produktów mydlanych, które w końcu podarowaliśmy jakiemuś klasztorowi, bo nie mogli

śmy ich sprzedać.

Ja m e s nie sprawdzał się jako mąż. Chociaż miał tyle zalet, jego męskość nie rozwinęła się jeszcze w pełni. Cechy macho przejmowały go grozą, przez co był zbyt ustępliwy i zgodliwy; nie miał silnej woli i pozwalał mi przewodzić. To był duży błąd.

Utopiliśmy wszystkie nasze oszczędności w G o l d e n Products. I mój m ąż postanowił, że pojedzie na północ zachodniej Australii pracować za dobre pieniądze jako elektryk. Ja miałam chwilowo, dopóki nie urodzi się dziecko, prowadzić w Perth d o m jakiemuś farmerowi. Zostawiliśmy nasz dobytek u przyjaciela.

Nagle zostałam bez męża i bez własnego miejsca, które mogłabym nazwać d o m e m . W dzień prowadziłam farmerowi d o m i starałam się przygotowywać australijskie posiłki dla niego i jego syna. Było to beznadziejne i farmer ciągle na mnie narzekał. Płakałam, miotając się na farmie, czułam się s a m o t n a i porzucona. Im bliżej był termin porodu, tym bardziej chciałam być z moją matką, kiedy dziecko będzie przychodziło na świat.

Szybko ułożyłam plan. Na ogłoszenie o podróży non stop do M e l b o u r n e odpowiedziało dwóch kierowców i wyjechali

śmy natychmiast moim fordem kombi. Jednym z kierowców był doświadczony mężczyzna, drugim młoda Amerykanka, która tak n a p r a w d ę nie przywykła do jazdy po lewej stronie drogi. J e d n o z nas miało rozmawiać z kierowcą, żeby zachował czujność, a trzecia osoba miała spać w tyle samochodu.

Tą trzecią osobą najczęściej bytam ja, obstawał przy tym mężczyzna, który za wszelką cenę chciał dowieźć mnie na miejsce w całości. Pokonaliśmy drogę w czterdzieści pięć godzin, zatrzymując się tylko po to, by pójść do toalety, zjeść coś albo zatankować.

Rodzice powitali mnie miło, chociaż zupełnie nie potrafili zrozumieć, dlaczego tak dziwnie postępuję. Nie mieli do przekazania żadnych informacji, które mogłyby przygotować mnie do p o r o d u ; nie brali pod uwagę ani tego, że wszystko to było dla mnie nowe, ani tego, że skoro miałam trzydzie

ści trzy lata, to pierwszy p o r ó d mógł się okazać ciężki.

Wkrótce zaczęły się bóle. Ojciec zawiózł mnie do szpitala Box, gdzie podwiązali mi pasami nogi, a p o t e m rozcięli mnie, żeby dziecko mogło się wydostać. R a n k i e m 27 marca urodzi

ła się moja śliczna córeczka. Zabrali ją natychmiast, a ja zostałam sama na sali porodowej, gdzie zrobiło mi się strasznie niedobrze. Z a n i m pojawił się ktoś, by po mnie posprzątać, straciłam przytomność. I znowu - podobnie jak wtedy, kiedy usuwano mi kurzajki w Benalli - bardzo źle zareagowałam na środki znieczulające.

Po raz pierwszy zobaczyłam moją malutką dziewczynkę o czwartej po południu, kiedy się wreszcie ocknęłam. Gryzły mnie wyrzuty sumienia, że tak długo była bez matki: wyobra

żałam sobie, że ten szok pozostawi blizny na całe życie, i aż się trzęsłam z poczucia winy i niepokoju, kiedy po raz pierwszy podsuwałam jej pierś do ssania. Co za miłe i odprężające uczucie, gdy niemowlę ssie! Czułam, jak wytwarza się między nami więź.

- W dwa dni później, wciąż jeszcze kompletnie wykończona, wróciłam z niezagojonymi szwami do domu moich rodziców.

James przyleciał do Melbourne, żeby być ze mną i malutką Caroline. Pojawił się w trzy dni po porodzie i strasznie się tym gryzł. Kiedy poczułam się wystarczająco dobrze, pożegnaliśmy się znowu, załadowaliśmy cały nasz dobytek na dach kombi i znowu przejechaliśmy przez wielki kontynent do miasta daleko na północ od Perth, gdzie czekały na nas dobre zarobki.

James pracował jako elektryk. Ja zatrudniłam się w sto-

łówce kompanii, samotna kobieta wśród grupy mężczyzn o wygłodniałych spojrzeniach. W tym czasie życzliwa żona kierownika kadr opiekowała się Caroline. Zbięram brudne talerze i zmywałam stoły, przez cały czas wychwytyjąc nadnaturalnie wyczulonym słuchem opinie, które na mój temat wymieniały na sali. O trzy stoliki ode mnie grupa mężczyzn omawiała rozmiar moich piersi, zastanawiali się, czy są prawdziwe. Ponieważ karmiłam, biust miałam większy niż kiedykolwiek, ale wciąż jeszcze nie dorównywał plakatom, które -

jak sobie wyobrażałam - mieli w swoich pokojach. Interesowały ich nie rozmiary, ale to, czy piersi są prawdziwe, czy nie.

Denerwowało mnie to. Nie patrząc na nich, poruszyłam się tak, że podskoczyły.

- Rany! - wykrzyknął jeden z nich zduszonym tonem; nie chciał, żebym wiedziała, że rozmawiali o mnie. - Podrzuciła biustem akurat, jak o tym mówiliśmy!

- Prawdziwe są, nie ma co! - powiedział inny, ale nie usłyszałam żadnych pochlebnych uwag dotyczących ich rozmiaru.

No cóż.

W kuchni pracował kucharz Kev - niewysoki, okrągły sympatyczny człowieczek - oraz jego pomocnik Ross. Kev był Irlandczykiem i miał duże poczucie humoru. Dzięki jego żartom ujawniały się moje najlepsze cechy. Szczerze go lubiłam i wyczuwałam, że aż promienieje z zadowolenia, że tak mi przypadł do gustu; ale przekończona byłam, że na tym koniec, dopóki Kev nie poszedł któregoś dnia do szpitala na operację cysty.

Następnego dnia, kiedy pojawiłam się w pracy, czekała już na mnie przysadzista żona Keva, Janice, grożąc mi dużą kuchenką miotłą.

- Trzymaj się z daleka od mojego męża! - krzyczała i histerycznie wymachiwała miotłą.

Poczułam się skonsternowana, ale Ross wprowadził mnie w sprawę. Kev rozgadał się pod wpływem środka usypiającego i kiedy był nieprzytomny, opowiadał o mnie przeróżne rzeczy, dowodząc tym



samym swojej przerażonej żonie, że kocha się w tej „wysokiej, smukłej blondynie”.

Kiedy Kev wrócił, wszystko się zmieniło. Unikał spoglądania mi w oczy i obwinił mnie, kiedy z zamrażarki zniknął kurczak. Zrobiło się okropnie i zamierzałam zwolnić się przed upływem tygodnia.

Ale Ross jeszcze ze mną nie skończył. Uwierzył w o p o wieść Janice, że flirtowałam z jej mężem, i sam też chciał się trochę zabawić. Z o n a Rossa spodziewała się dziecka i nie mógł z nią sypiać. Przeraziłam się, kiedy oznajmił mi bezczelnie, że chce się ze mną spotkać u mnie w d o m u . O d m ó w i ł a m mu z miejsca, nie tylko dlatego że byłam żoną J a m e s a i wcale nie zamierzałam go zdradzać, ale ponieważ Ross ani trochę mnie nie pociągał.

Ross j e d n a k i tak przyszedł do mnie do d o m u i nie chciał

pogodzić się z o d m o w ą . Stał w salonie, płonął cały i bredził

jak szalony. Dlaczego nie z a m k n ę ł a m przed nim drzwi na klucz? Wiedziałam, że moje ruchy muszą być szybkie i zwinne i że muszę wymyślić coś, żeby m n i e przypadkiem nie d o t k n ą ł , ale czułam się otępiała, a moje członki za nic nie chciały m n ą pokierować. Kiedy ruszył w moim kierunku, zaczęłam się cofać - bez sensu, bo szybko trafiłam na ścianę. Ross złapał m n i e i zaczął gorączkowo obmacywać. Z a u w a ż y ł , gdzie jest sypialnia, i tam popychał m n i e tyłem przed sobą. Nogi się p o d e m n ą trzęsły ze strachu i wstrętu i kręciło mi się w głowie, ale równocześnie niejasno uświad a m i a ł a m sobie, że jeżeli b ę d ę się o p i e r a ć , to on zrobi coś gorszego.

Rzuci! mnie na łóżko i ściągnął mi majtki.

- Zdejmuj to! - ryknął. Cały był już teraz rozpalony, włosy opadały mu na czerwoną wykrzywioną twarz. Zrobiłam, co kazał, a on z mdlącym odgłosem wszedł we mnie. Jedna chwila i było po wszystkim: pchnął jeszcze kilka razy, a potem oklapł.

Rozdygotana umyłam się. Nie zdawałam sobie sprawy, że zostałam zgwałcona. Wciąż jeszcze trzęsłam się, kiedy J a m e s wrócił do d o m u , ale nic mu nie powiedziałam, nie chciałam go martwić i nie chciałam, żeby Ross przez swój chwilowy obłęd wpadł w tarapaty. Ross oczywiście błagał mnie, żebym nic nie mówiła, kiedy już zapiął rozpięty i odzyskał swój nadwerężony rozum. Czy Ross nie był podobny do mojego ojca, tyle że ten siłą domagał się milczenia?

Podświadomie wróciłam do starych wzorców i zastosowa

łam dawną dziecinną m e t o d ę , polegającą na p o d p o r z ą d k o waniu się i milczeniu. Ross miał szczęście, że na ofiarę wybrał sobie kobietę, która dotrzymywała słowa. Zwolniłam się z pracy w stołówce i spędzałam więcej czasu z moją córeczką Caroline.

Najbardziej niewinne wydarzenie może przynieść ogromną zmianę. Moi rodzice oznajmili, że na Boże N a r o d z e n i e i Nowy Rok wybierają się na zachód w odwiedziny do swoich dwóch córek. Mieli zatrzymać się u Berty, która teraz mieszkała w Perth.

Postanowiłam pojechać na południe s a m o c h o d e m i zostawić dziesięciomiesięczną Caroline z parą, z którą się zaprzyjaźniliśmy. Na moje ogłoszenie, że poszukuję kierowcy zmiennika,

odpowiedział Aaron. Pracował kawałek od nas w kopalni żelaza w Pannawonice i wybierał się do Perth na ferie z przyjaciółmi z uniwersytetu, którzy nie mieli żadnych planów wakacyjnych. A a r o n jakoś dostał się do mojego miasteczka. Umówiliśmy się, że wracając z Perth, wysadzę go w Pannawonice, a p o t e m sama pojedę do d o m u .

Miał dziewiętnaście lat, był wysoki i szczupły, długie do ramion, jasne, faliste włosy nosił rozpuszczone. Kiedy wyja-

śniałam mu, jak działają biegi w fordzie, nasze dłonie przypadkiem się zetknęły. Nasza reakcja była tak silna, że oboje nas zaskoczyła, i nie potrafiliśmy tego ukryć.

Gdybym była kobietą dojrzałą, przecięłabym ten przewód, który połączył mnie seksualnie z A a r o n e m . Ale nie byłam dojrzała. R a d o s n e życie nastolatki nigdy nie było moim udziałem, a doświadczenie z chłopakami miałam minimalne.

Już s a m o to komplikowało sprawę, ale było coś więcej: odczuwałam potężne pragnienie, by poznać własną seksualność, by rozwikłać jej tajemnice. Pomyślałam o Jamesie i m o jej miłości do niego, ale okazało się, że przyjaciele J a m e s a mieli rację: nie stać mnie było na to, by wyrzec się tego fantastycznego przyływu energii erotycznej. W Perth spędzi

łam, co prawda, trochę czasu z rodzicami - przede wszystkim w sylwestra, kiedy zasnąłam z czystych nudów dobrze przed północą - ale moja uwaga skupiała się na A a r o n i e .

A a r o n był s t u d e n t e m architektury, który wziął sześciomiesięczny urlop dziekański, żeby zarobić na północy trochę pieniędzy. Przeważnie spotykaliśmy się w d o m u jego rodziców, którzy wyjechali na wakacje. Oglądaliśmy razem filmy. „ M e chaniczna p o m a r a ñ c z a ” to film, który wszyscy powinni obejrzeć; aż szalałam po nim od niewiarygodnego podniecenia oraz satysfakcji, że w końcu stałam się kobietą swoich czasów: dziwna myśl, bo przecież miałam trzydzieści cztery lata.

Pływaliśmy w basenie z przyjaciółmi A a r o n a , bawiliśmy się przy jego muzyce - dla mnie były to nowe i cudowne, pulsujące rytmem życia doświadczenia - i spędzaliśmy wiele godzin w objęciach. Było to tak naturalne, słodkie i młodzieńcze, że z a p o m n i a ł a m o moim innym życiu.

Przyszedł w końcu czas powrotu i zapakowaliśmy z A a r o n e m wszystko do s a m o c h o d u . Pożegnałam się z rodzicami, których zaniedbywałam, mając nadzieję, że siostra wynagrodziła im brak mojej obecności.

Na początku podróży byliśmy oboje z A a r o n e m dosyć zaspani; p o p r z e d n i e g o wieczoru odbyło się ostatnie przyjęcie i była to nasza ostatnia wspólna noc. Zatrzymaliśmy się raz po drodze, by paść sobie w ramiona pod osłoną mostu - co raczej nie zwiększyło naszej przytomności umysłu. U d a ł o n a m się j e d n a k zauważyć, kiedy skręciliśmy na bitą prowadzącą do Pannawoniki drogę, że zaczęła się pora deszczowa.

A a r o n wyjaśnił, że oznacza to, iż p o n o w n e zatrzymanie się jest zbyt wielkim ryzykiem - będziemy musieli jechać bez przerwy do samego końca, żeby nie ugrzęznąć. Nie wolno n a m do tego dopuścić; utknięcie w buszu mogło oznaczać śmierć. Niewielu ludzi było na tyle szalonych, żeby w

porze deszczowej p o d r ó ż o w a ć na dużą odległość s a m o c h o d e m , więc jeżeli n a m auto padnie, zostaniemy sami i to prawie bez zapasów.

Mijały godziny, a A a r o n wciąż prowadził wiernego falco-na, tę srebrzystą maszynę z potężnym silnikiem. Nagle samochód zjechał z drogi na pobocze, a p o t e m na sąsiadujące z nim pole i zaczął podskakiwać jak szalony na kamieniach i nierównym terenie, potrząsając przy tym A a r o n e m tak, że ten się obudził. Z a s n ą ł za kierownicą!

Przyszła kolej na mnie. Żeby się przesiąść, przełaziliśmy po sobie, przytrzymując się kierownicy, nie naciskając gazu i nie gasząc silnika. Umówiliśmy się, że będziemy się nawzajem pilnować, by nie zasnąć, ale to nic nie pomogło. Ja również po pewnym czasie zasnęłam i po prostu dopisało n a m szczęście, bo po tej stronie drogi nie było żadnego rowu, który mógłby położyć kres naszemu szaleństwu, żadnych kangurów, żadnych owiec i żadnych zbyt wielkich kamieni. Pod kołami mieliśmy przede wszystkim błoto, a czasami zбитy piasek. Chwilowo twarda droga zmieniała się bez uprzedzenia w ślizgawkę.

Najbezpieczniej było jechać po kępach trawy na środku drogi, żeby przynajmniej dwa koła się nie ślizgały.

W końcu dotarliśmy na miejsce, wyczerpani, ale i pełni ulgi. W Pannawonice, kiedy podjechaliśmy p o d biuro, wyszedł z niego kierownik. Nagle przyszedł czas na pożegnanie.

A a r o n odszedł szybko, tak szybko, że związany z rozstaniem ból z trudem zarejestrowała jakaś bardzo zmęczona częśćka mnie.

Kierownik widział, jaka jestem zmęczona, posadził mnie w swoim biurze i wyszedł, żeby mi przynieść jakąś kolację.

Kiedy wrócił, siedziałam na jego twardym drewnianym krze

śle prosto, jakbym kij połknęła, i spałam tak m o c n o , że wystraszył się, że umarłam! O b u d z i ł a m się, zjadłam coś, ale auto - nasz biedny zmalretowany koń - przepracowało się i w kilka godzin później nie chciało zapalić. Wcale tego nie żałowałam; cieszyłam się, że mogę wypocząć przez noc. Następnego dnia wczesnym rankiem poleciałam do d o m u ces-sną, razem z listonoszem.

J a m e s zasługiwał na coś lepszego, ale sam wybrał mnie sobie za żonę. Ciężko było patrzeć, jak cierpiał, kiedy nie chcia

łam już dłużej z nim być, więc skupiałam uwagę na czymś innym. Nie zamierzałam robić mu krzywdy, ale czy mógł

inaczej zinterpretować moje postępowanie? Sama za dobrze nie rozumiałam, co skłania mnie, by zniszczyć to, co razem zbudowaliśmy; wiedziałam tylko, że coś każe mi odejść.

J a m e s przekonał się, że nie jest w stanie przedyskutować ze m n ą w szczegółach naszej separacji. Dysponowałam własnymi pieniędzmi i zamierzałam wynająć sobie d o m w Perth. Ponieważ nie mieliśmy już samochodu, poleciliśmy oboje do Perth. Tam J a m e s wsiadł do samolotu do Sydney,

bo potrzebował przestrzeni i czasu, żeby dojść do siebie, tak dotkliwie zraniło go nasze rozstanie. Jego listy do mojej siostry Liesbet, na której współczucie mógł liczyć, świadczyły o smutku i przez krótki czas o gniewie. Wciąż noszę w sobie wielki żal, że zadałam mu tyle bólu, bo był z gruntu dobrym człowiekiem.

Nasze małżeństwo się skończyło. A a r o n , odegrawszy rolę katalizatora, dzięki k t ó r e m u obudził się mój p o p ę d płciowy, również zniknął, ale teraz otworzyłam się na nowy r o dzaj namiętych związków. Spojrzałam w lustro i zobaczy

łam, że j e s t e m piękna. Moje długie j a s n e włosy spływały wdzięcznie wokół twarzy o jasnej gładkiej cerze i przejrzystych szaroniebieskich oczach. Ciało miałam gibkie i zgrabne, nogi długie i kształtne. Byłam w kwiecie wieku i czułam się niezwyciężona.

- Taka właśnie zostanę na zawsze - powiedziałam sobie.

Rozum odzyskałam dopiero po latach, a nawet dziesiątkach lat. Nie miałam wtedy oczywiście pojęcia, jak będę się czuła w wieku pięćdziesięciu pięciu lat, jeżeli z taką niefrasobliwością traktowałam witalność własnego ciała oraz uczucia innych. „Twoja biografia staje się twoją biologią” - napisała Caroline Myss w książce „The A n a t o m y of the Spirit”. Myślę, że ma rację, chociaż to stwierdzenie wydaje mi się nieco p o n u r e .

Z a m i e s z k a ł a m z moją córką Caroline w obszernym d o m u przy Floreat Park. W niecałe dwa tygodnie później zamieści

łam w szpalcie „osobiste” ogłoszenie, że poszukuję męża, a do tego oświadczenie, że jeżeli kandydat chce się zakwalifikować, musi m n i e pobić w szachy. Wcale tak dobrze w szachy nie grałam, ale za łatwo wygrywałam z J a m e s e m .

Pokazało się kilku potencjalnych konkurentów, j e d e n wracał nawet trzy razy, ale pobiłam ich wszystkich. Ż a d e n nie okazał wystarczającej przytomności umysłu, żeby kopniakiem odrzucić na bok szachownicę i gdzieś mnie zaprosić, na miłość boską! W k r ó t c e p o t e m opowiedziałam o całej sprawie taksówkarzowi, który spokojnie zatrzymał się pod pobliską kawiarnią, wyjął z bagażnika szachownicę i w przekonujący sposób mnie pokonał. Utał mi trochę nosa i to p o m o g ł o odzyskać mi wiarę w mężczyzn. Nie, nie poślubiłam go. Nigdy więcej go na oczy nie widziałam!

Miałam pewność, że jestem piękna i nie bałam się ryzyka, a m i m o to mój szacunek do siebie nadal był mizerny. G ł ę b o k o w moim wnętrzu tkwił ból, do którego się nie przyznawa

łam, maltretowane i wystraszone dziecko.

Kup mnie

Była wczesna wiosna 1973 roku. Nigdy nie przyszło mi na myśl, żeby prosić Jamesa, by utrzymywał Caroline i mnie, a jeśli chodzi o zasiłek - miało minąć jeszcze trochę czasu, zanim dowiedziałam się o jego istnieniu. Korzystałam z niego, kiedy musiałam, ale nie wierzyłam, by komukolwiek uda

ło się żyć przyzwoicie z zasiłku. Zaczęłam w lokalnych gazetach szukać pracy. Perspektywa uczenia wydawała mi się całkowicie nieciekawa, więc kiedy zobaczyłam ofertę pracy dla niewykwalifikowanych robotnic przy produkcji ubrań przeciwdeszczowych w fabryce ubrań w Balcatcie, udałam się tam, by się rozeznąć. Chciałam się przekonać, jak wyglądałoby życie, gdybym robiła coś pożytecznego własnymi rękami.

Moja matka była krawcową; czy przeszło na mnie z niej coś, co pomogłoby mi zarobić na życie?

Kierowniczka krzywo na mnie patrzyła, ale wprowadziła mnie do dużego baraku; to właśnie była ta fabryka. Powietrze przesycił zapach plastiku i oleju, którego kobiety używa

ły, żeby śliski materiał nie wymykał im się spod igły. W p o mieszczeniu rozlegał się m o n o t o n n y w a r k o t stojących w rzędach maszyn do szycia, nad wszystkimi pochylały się kobiety - przeważnie Wtoszki i Greczynki, tak mi się wydawa

ło. O g a r n ę ł o mnie podejrzenie, że znalazłam się w zakładzie, gdzie ciężko się pracuje i źle zarabia.

- Ile za godzinę? - zapytałam. Kierowniczka musiała na to odpowiedzieć, ale jak śmiała ze spokojem twierdzić „dwa pięćdziesiąt za godzinę”, jeżeli średnia stawka wynosiła osiem dolarów?

- Przed p o d a t k i e m ? - zapytałam zaskoczona.

- Tak, przed podatkiem. - Kierowniczka przyglądała się badawczo mojej twarzy. M o ż e zastanawiała się, czy nie pobiegnę do związków zawodowych z d o n o s e m na jej fabrykę, że wykorzystuje kobiety, które nie władają wystarczająco dobrze angielskim, by znać swoje p r a w a ?

Pomyślałam sobie, że te kobiety prostytuują się, sprzedając swoje umiejętności i energię za psie pieniądze. *Prostytucja'*. Jak tylko to słowo pojawiło się w moim umyśle, przyszła za nim następna myśl.

Ja sobie p o r a d z ę lepiej, powiedziałam sobie w duchu. Będę sprzedawać swoje ciało za duże pieniądze, i b ę d ę się przy tym d o b r z e bawić. D o p ó k i b ę d ę się d o b r z e bawić, rozwodził

się mój młody, niedoświadczony i tylko z pozoru zdrowy rozum, nie b ę d ę się prostytuować nawet w przybliżeniu tak b a r d z o jak te nieszczęsne wyzyskiwane kobiety. A l b o ktokolwiek inny, jak już o tym mowa, kto pracuje za pieniądze

- j a k mogłabym to robić ja, gdybym bez przekonania wróci

ła do uczenia.

Pierwszym krokiem było znalezienie kobiety, która ze m n ą zamieszka. Miała na imię Kelly i chociaż zawahała się, kiedy poinformowałam ją o moich najbliższych planach, zgodziła się pilnować mojego dziecka. Caroline miała teraz malutkiego kolegę: syna Kelly, Jimmy'ego. Wspólny dom nie był dla mnie niczym nowym, przecież długo mieszkałam w dużej społeczności, poza tym mniej się czułam samotna z Kelly i jej dzieckiem w pobliżu.

Nie znałam nikogo w seksbiznesie i, co dla mnie typowe, nikogo nie prosiłam, by mną pokierował. Chcąc zorientować się, jakie są możliwości rozpoczęcia tej odmiennej, śmiałej kariery, zaczęłam od p r z e g l ą d a n i a ogłoszeń osobistych w dzienniku. Moją uwagę zwróciło: „Potrzebne panie do towarzystwa; zadzwoń do Stelli i umów się na rozmowę”.

- Agencja towarzyska Stelli. Jak mogę pani p o m ó c ? -

W słuchawce odezwał się chropawy głos, niemal męski, ale kojący.

- Zobaczyłam państwa ogłoszenie o paniach do towarzystwa - powiedziałam, serce mi się tłukło w piersiach. - Ja...

ja dzwonię, ponieważ potrzebuję pracy.

Stella, jeżeli to była ona, porozmawiała ze m n ą w sposób b a r d z o optymistyczny i poczułam, że jeżeli przyjdę się z nią zobaczyć, będę mile widziana. Żadnych pytań na temat m o jej urody, doświadczenia czy wieku - na szczęście. Głos mia

łam młody i melodyjny, a mój wygląd zawsze przeczył metryce. A jeśli mowa o dojrzałości, to miałam lat nie trzydzieści cztery tylko osiemnaście. O p r ó c z tej krótkiej konwersacji żadnej więcej rozmowy kwalifikacyjnej nie było.

Wspięłam się po schodkach do d o m u w stylu wczesnego Leederville. Tego pierwszego dnia, kiedy zaczęłam „zabawę”, nie byłam, dokładnie mówiąc, odpowiednio ubrana, bo miałam na sobie elegancką, ale dyskretną sukienkę, która mogła nadawać się do jakiegoś biura.

Weszłam do holu, moje obcasy zastukały w drewnianą p o d ł o g ę , niezbyt stosownie przywołując w s p o m n i e n i a z klasztoru. Hol przerobiono na maleńkie biuro z biurkiem i krzesłem pod tylną ścianą. Pod drugą ścianą stały jeszcze dwa krzesła i to było całe umeblowanie.

Porozmawiałam krótko z kobietą za biurkiem; chropawy od dymu papierosowego głos zdradzał, że to Stella. Powitała mnie, szybko zmierzyła wzrokiem, p o t e m pokazała na drzwi do poczekalni. D o b r z e ; a więc nie okazałam się jakoś wyjątkowo nieodpowiednia.

Wchodząc do salonu dla dziewcząt, miałam to s a m o poczucie zagrożenia jak wtedy, kiedy wskakiwałam do glinianki w Box Hill podczas ostatniego lata, zanim wstąpiłam do zakonu, i szybko, i nieodwołalnie spadałam do ciemnej spokojnej wody daleko w dole. Przypomniałam sobie, że kostium zsunął mi się z ramion, tak silne było uderzenie wody.

Salon pogrążony był w półmroku i zakurzony. Stary ciemnoczerwony dywan w różowe róże leżał na innym jeszcze starszym dywanie, obrazy przedstawiające martwą n a t u r ę i konie wisiały na wyblakłych ścianach, którym od dawna by

ło już wszystko j e d n o , co na nich wisi. Z a p a c h stęchliwy przypomniawszy mi d o m dziadków ze strony ojca. Zastłony w oknach były zaciągnięte, słabe światło rzucała jedynie lampa sufitowa z a b a ż u r e m . W pokoju stały fotele; dobrze się na nich siedziało, a czekałyśmy długo.

Wewnątrz aż kipiałam od różnych emocji. Agencja była zaniedbana i bez wyrazu, a ja nienawidziłam pracować, jeżeli praca nie budziła we mnie entuzjazmu. Czułam się jak ryba wyjęta z wody, ale przede wszystkim chciałam się dowiedzieć czegoś o tym biznesie. Nie rozmawialiśmy. Niektóre dziewczyny czytały jakieś pisma w m ę t n y m świetle. Inne żuły g u m ę . Większość siedziała pogrążona w myślach. Jeżeli któraś się denerwowała, nie pokazywała tego po sobie. Jeżeli któraś nawet domyślała się, że jestem nowa, nikogo to nie obchodziło. Panowała cisza. W tym pokoju stanowiąśmy dla siebie konkurencję.

Dziewczęta paliły na ganku na tyłach d o m u albo nawet w kuchni, ale nigdy w salonie. Z a s a d ę ustanowiono nie po to, by chronić nasze zdrowie - na początku lat siedemdziesiątych tym się nie przejmowano - ale żeby nie przesiąkły dym e m nasze włosy i ubrania. U Stelli obowiązywały pewne minimalne standardy.

P o d m u c h nieświeżego powietrza był zapowiedzią pierwszego klienta. Serce mi się szarpnęło w piersiach. Czy w ogóle zwróci na mnie uwagę? Nie zwrócił, ale za to miałam okazję, by się przyglądać. Błyskawiczna ocena, ile gość może być wart, decydowała o rozgrywce: o tym, czy dziewczęta będą o niego konkurować, uśmiechając się i wydymając wargi, prostując okryte czarnymi pończochami nogi, ukazując brze-

żek koronkowych majteczek spod krótkiej spódnicy albo sugestywnie wysuwając na wpół o b n a ż o n e piersi. Klient skinął

głową i j e d n a z dziewcząt wstała z krzesła. Obrzucił mnie spojrzeniem, ale chyba poznał tę, która się podniosła, i wyszli razem bez słowa.

Moje milczące współpracowniczki były przeważnie bardziej efektowne i seksowne niż ja. Dokładały wszelkich starań, by popisać się swoimi piersiami, prawdziwymi albo sztucznymi - w każdym przypadku biust był zdecydowanym plusem w tym biznesie - i malowały paznokcie jak najczerniejszym lakierem, by pasował do wabiących lśniąca czerwienią warg.

Nie byłam wystarczająco seksowna, by dopasować się do tego stereotypu. Liczyłam, że jako nietypowa b ę d ę się wyróżniać i zapewne dlatego nie zrobiłam na tym interesie majątku. Miałam ładne piersi, ale raczej mniejsze niż większe.

Nienawidziłam lakieru do paznokci i jaskrawych kolorów.

Nie umiałam wydymać warg, uwodzić trzepotaniem rzęs i udawać seksownego kroku. Mój urok polegał na niedopowiedzeniach; potrafiłam wywołać podniecenie, raczej n a p o mykając niż pokazując. Oczywiście dysponowałam elegancką smukłością, holenderskimi jasnymi włosami i tym, co przyjaciel opisał kiedyś jako „rozkosznie długie nogi”, p o m i m o kilku żyłaków. Moją największą zaletą był chyba kształt tyłka: wiedziałam, że jest „słodki”, bo tak na niego reagowali dotychczasowi wielbicieli. Kolana po tyłu godzinach klęczenia w kaplicy były nieco guzowate, ale nie najgorsze. W zanadrzu miałam jeszcze żywy dowcip i umiejętność prowadzenia rozmowy w sytuacji, kiedy znalazłam się w c e n t r u m uwagi. No i jeszcze moją niewinną życzliwość, bo nie zdążyłam stać się cyniczna, nieufna czy twarda, i to, że nie zażywałam nic oprócz pigułki antykoncepcyjnej i nie kierowały m n ą żadne ukryte motywy, co miało miejsce w przypadku wielu

dziewcząt.

Przyglądałam się i czekałam, ale tego popołudnia nie pojawił się już żaden klient. J e d n a k Stella zrozumiała, że może liczyć na to, iż się u niej pokażę.

- Zamieszczę w jutrzejszej gazecie nowe ogłoszenie specjalnie dla ciebie - obiecała. W ten sposób dała mi do zrozumienia, że chce mieć mnie u siebie.

N a s t ę p n e g o dnia przyszłam u b r a n a w biały koronkowy top do różowej krótkiej aksamitnej spódniczki i białych k o r o n k o wych rajstop. P o m i m o dużego wzrostu założyłam wysokie obcasy. Buty zawsze stanowiły dla mnie problem: noszę rozmiar jedenaście, co ogranicza wybór. Musiałam zdecydować się na parę błyszczących czarnych pantofli, które trzymałam z tyłu w szafie. Kolor nie pasował, ale były ładne, a mnie zaskoczyła przyjemność, z jaką patrzyłam na własne stopy: sek-sowność w rozmiarze jedenaście na długich, szczupłych, kształtnych nogach. Znalazłam jakieś szpanerskie kolczyki z t o m b a k u i perełek i pasujący do nich naszyjnik, nałożyłam bardziej jaskrawą różową szminkę. Obejrzałam się z góry do dołu w lustrze: tak naprawdę to nie byłam ja, ale ujdzie.

Kiedy Stella weszła do salonu, w imieniu klienta prosząc o nową dziewczynę z ogłoszenia - „długonoga, jasnowłosa Monica, bardzo dobrze się z nią rozmawia” - stanęłam na moich obcasach i poczułam się taka wysoka, że niemal w głowie mi się zakręciło ze strachu, że klient poczuje się przytłoczony moim wzrostem. Ale chyba nie dbał o to; interesowa

ło go po prostu coś nowego. Zapłacił przy biurku i udaliśmy się do motelu.

Zachowując się z całą nonszalancją, na jaką mnie było stać, wdzięcznie zeszłam po stopniach do czystego i dość nowego samochodu Tony'ego, a on zawiózł mnie prosto do m o telu, który wynajmował pokoje na godziny i miał własny parking - co wydało mi się b a r d z o praktyczne.

Tony był bezpośredni i rzeczowy. Wprowadził mnie do środka, zamknął drzwi na klucz i natychmiast zaczął zdejmować z siebie ubrania, położył się na łóżku i był gotów do akcji. M i m o to, kiedy jak kotka pełzłam do niego po łóżku, rozebrawszy się wolniej i z premedytacją, wyszeptał:

- Nie tak szybko.

Mój umysł pracował na wysokich obrotach. Czego ten człowiek o d e mnie oczekiwał? Nie miałam tak n a p r a w d ę po-jęcia. Postanowiłam, że spróbuję patrzeć na wszystko z jego strony i b ę d ę oceniać sytuację w miarę jej rozwoju, kierując się tym, co *on* może czuć i myśleć.

D o t k n ę ł a m nagiego ciała Tony'ego i poczułam, że zadrża

ło z radości. Miałam dar, dar dobrego dotyku, i nawet nie by

łam tego świadoma. Kiedy moje ręce poczuły, że są tak mile widziane i p o ż ą d a n e , gotowe były pozwolić sobie na większe zuchwalstwo, ale tu Tony przejął kontrolę, zaczął mnie zuchwale gładzić po całym ciele i wszedł we mnie, wturlawszy się na mnie na łóżku. Był porywczy i bardzo szybko osiągnął



orgazm. Czy to wszystko? Nie; powstrzymał mnie, kiedy chciałam wstać z łóżka.

- Proszę, zaczekaj chwilę - błagał.

Czemu nie, powiedziałam sobie, i odprężyłam się przy nim.

Tony zapalił niepewnymi rękami papierosa i obejrzał cia

ło, które sobie wynajął, z nieco większą uwagą niż na początku. Przyglądał mi się, kiedy odwróciłam się, by puścić jakąś muzykę w motelowym radiu. K a t e m oka zauważyłam, że j e go penis zaczyna po trochu wracać do życia. Tony prawie już dopalił papierosa i teraz zsunął się niżej z poduszek, a ja znowu odwróciłam się do niego i objęłam go po przyjacielsku w pasie. Ujął moją dłoń, dając mi bez słów do zrozumienia, że chce, bym go pieściła, więc pieściłam jego uda, jego brzuch, leciutko dotykałam jąder i muskałam na całej długości penis, który już całkiem odżył, m a m r o t a ł a m przy tym, że ma atrakcyjne ciało. Tony wyrzucił niedopałek do kosza przy łóżku, odwrócił się i zaskoczył mnie, bo silnymi rękami podniósł mnie i posadził na sobie.

Tym razem przyniosło mu to jeszcze więcej satysfakcji.

Chociaż ta nowość mnie zaszokowała, odczuwałam przyjemność. Tony był przyzwoity i mi dopłacił. Wzięłam prysznic i zostawiłam go, kiedy palił następnego papierosa. Wszystko na szczęście okazało się takie łatwe.

I w ten sposób zostałam wprowadzona w reguły „zabawy”.

„Damy do towarzystwa”, taki tytuł nosiły ogłoszenia w gazetach. W pierwszej chwili m o ż n a by pomyśleć, że miałam być czymś w rodzaju gejszy, partnerką mężczyzny, że „towarzystwo” nie obejmuje seksu.

- A, tak - mówiły dziewczyny, kiedy się chciałam dowiedzieć - to się od czasu do czasu zdarza, ale nie pytaj nas, nie jesteśmy tym zainteresowane.

Tak się złożyło, że niedługo po tym, jak przyłączyłam się do ekipy Stelli, jakiś młody człowiek zadzwonił, bo potrzebował kogoś, kto by mu towarzyszył na przyjęciu weselnym. Ponieważ byłam nowa, z a p r o p o n o w a n o mi tę robotę; Stella odetchnęła z ulgą, kiedy propozycję przyjął.

Miałam dwa powody, by przyjąć to konkretne zlecenie. Po pierwsze, nigdy wcześniej nie byłam gościem na prawdziwym ślubie w kościele, a po drugie, miałam udawać, że jestem jego dziewczyną: zachwycona byłam, że tak profesjonalnie uczestniczę w spisku. Wszystko poszło dobrze, chociaż mój klient okropnie się denerwował, zwłaszcza gdy przedstawiał mnie swojej rodzinie, a p o t e m nagle uświadomił sobie, że po upływie dwóch godzin będzie się musiał beze mnie obejść. Dopłacił mi z miejsca za następne dwie godziny, nerwowo wyciągając pieniądze z wewnętrznej kieszeni marynarki, gdzie miał je przygotowane. Z jakiegoś powodu niesłychanie zależało mu na tym, żeby robić takie wrażenie, jakby się już z kimś związał. Z polotem zwodziliśmy wszystkich jeszcze kawał czasu na przyjęciu, a mój partner podziękował mi ze szczerą wdzięcznością, kiedy wychodziłam.

Stella pozwoliła mi zatrzymać to, co zapłacił, ponieważ tym razem transakcja nie miała przynieść zysków. Musiała utrzymywać pozory, że jest agencją towarzyską, albo zapuszkowałaby ją policja, która i tak wiedzia

ła, co się dzieje.

Czasami my, dziewczyny, wychodziłyśmy j a k o pary, udając lesbijki, co dawało n a m okazję, żeby sobie p o g a d a ć . Jedna z kobiet, zła na swojego p o p r z e d n i e g o p a r t n e r a , chciała dać wszystkim mężczyznom nauczkę, zmuszając ich, by płacili za seks. Poza tym nienawidziła mężczyzn, bo j a k o nastolatka była wykorzystywana seksualnie. Inne po prostu chcia

ły szybko zarobić na narkotyki albo dowolną inną obsesję.

Te dziewczyny bez o p o r ó w pokazywały swoim klientom, kto tu rządzi i ile chcą. Przy nich mężczyzna musiał pilnować portfela.

Większość poznanych przeze mnie kobiet nie była twarda.

J e d n ą z dziewczyn, z którą chodziłam w parze, przywoził do Stelli i odwoził z p o w r o t e m jej chłopak. Była studentką i spieszyło jej się, żeby się urządzić w życiu.

- Zostanę, dopóki nie uskładamy depozytu na dom. -

Uśmiechała się, wyglądała przy tym dokładnie tak jak dziewczyna z sąsiedztwa, kiedy ma udany dzień. Udawałyśmy lesbijki z wielkim zapalem, całowałyśmy się, pojękiwałyśmy, lizwały

śmy się - a czasami zerkałyśmy na siebie z rozbawieniem, kiedy uważałyśmy, że nie zauważą tego pijaczyny, które nas zaangażowały. Bardzo się śmieli ci budowlańcy, którzy na zaproszenie szefa zostawali po pracy, żeby sobie popić i zabawić się w czeluściach nowego, stawianego przez nich hotelu. Nie obchodziło mnie, że się z nas śmieją albo czują się zażenowani, albo po prostu mają źle w głowie. To się nie liczyło, skoro my, dziewczyny, również się świetnie bawiłyśmy, a oni n a m płacili. Co robili ze swoim podnieconym libido, kiedy już poszłyśmy, nie m a m pojęcia. Pewnie zapraszali nielesbijki.

W tamtych czasach mężczyźni narażali się przy dziwkach na duże ryzyko: rzadko myśleli o tym, żeby użyć prezerwatywy. Ja zabezpieczałam się na dwa sposoby. Po pierwsze, mia

łam instynkt, który podpowiadał mi, kiedy mogę k o m u ś zaufać, nawet jeżeli był to tylko głos w słuchawce, i ten instynkt z czasem robił się coraz lepszy. Po drugie, chodziłam co tydzień z próbką krwi do lekarza na kontrolę.

D o k t o r Dayton był mieszkającym w pobliżu internistą, miał słabość do „dziewczynek” i wyjątkowo dobrze o nie dbał. Był również ekspertem od c h o r ó b wenerycznych.

- Ile sobie liczysz za usługę? - zapytał mnie któregoś dnia, poddając oględzinom moje nagie ciało na swoim stole. - Za mało, za m a ł o - wymruczał, kiedy mu powiedziałam. Żałuję, że go wtedy nie posłuchałam, bo mówił prawdę. Ale ja we własnych oczach zawsze byłam daleka od ideału.

Pomyśla

łam o moich małych piersiach: doskonale to o n e nie były. Jak mogłabym liczyć sobie więcej?

Pewnego dnia zadzwonił do mnie doktor Dayton z prośbą, żebym szybko przysłała do jego kliniki na zastrzyk penicyliny.

Zwykle kiedy któraś z jego dziewczynek wchodziła do poczekalni, zajmował się nią natychmiast. Ta wizyta była jedyną, kiedy stało się inaczej. Pojawiłam się w klinice i zobaczyłam gwiazdora rocka o międzynarodowej sławie, który siedział

zdeenerwowany w poczekalni ze swoim ochroniarzem-szofe-rem. Kiedy p o p r o s z o n o ich obu przede mną, zrozumiałam, w jakim celu przyszedł. D o k t o r Dayton musiał być b a r d z o dobrym specjalistą, skoro z n a n o go w kręgach ludzi bogatych i sławnych! Chichotałam p o d nosem, dopóki nie przypomniałam sobie, że sama zostałam wezwana z powodu zdia-gnozowanej rzeżączki we wczesnym stadium.

Strasznie się boję zastrzyków, wystarczy że zobaczę strzykawkę na ekranie telewizora, a już robi mi się słabo, ale doktorowi Daytonowi należy się o d e mnie pełne uznanie, bo wprowadzał igłę tak delikatnie i przez cały czas przemawiał

do mnie tak kojąco, jakbym była jego własną kochaną córką, że prawie nie czułam ukŁucia. Ten lekarz to był istny skarb.

• • •

N a p r a w d ę obrzydliwym aspektem seksbiznesu było to, że niektórym bajzelmamom wolno było prowadzić agencje towarzyskie wbrew prawu zakazującemu zorganizowanej prostytucji, a innym nie. W jaki sposób dogadywały się o n e z policją, żeby utrzymać się w interesie? O t o jest pytanie. Inne zło, którym przesiąknięty był ten interes, to podgryzanie konkurencji oraz jej eliminowanie. Człowiek mógł zostać zamordowany w tajemniczych okolicznościach.

Mnie najbardziej w mojej nowej karierze irytował fakt, że chyba nigdy nie mogłam być sobą. Udawałam, byłam nieautentyczną imitacją dziwki; odgrywałam tę rolę, a nikt nie zapytał: „Kim ty właściwie jesteś, ale tak n a p r a w d ę ? ” . W końcu prostytutkę nazywa się „zabawą”. Czułam się j e d n a k zaszokowana, że chyba nikt *nie chciał*, żebym była inna! Po mniej więcej miesiącu u Stelli i pracy w godzinach dziennych ruszyłam na poszukiwania innego, bardziej eleganckiego pracodawcy.

Trafiłam na M a r i n e t t e , która przechwalała się swoimi francuskimi powiązaniem. Prowadziła biznes innego rodzaju: wyglądało na to, że mężczyźni nigdy do niej nie przychodzą. Po odbyciu telefonicznej rozmowy z klientem, o n a i ja czekałyśmy pod uliczną latarnią, żeby się pokazał, a transakcję zawierano na ulicy. Unikała rozgłosu i postępowała z rozwagą, dzięki czemu czułam się przy niej bezpieczna. Była dla mnie czymś w rodzaju prymitywnego wcielenia matki, rozmawiała ze m n ą szczerze o sztuce uprawiania miłości, na co nigdy nie odważyła się moja własna matka. Podziwiałam za to Marinette, i całkiem sporo użytecznych rzeczy się od niej dowiedziałam.

- Pozycja misjonarska to d o b r e dla katolickich księży -

zartowała, a francuski akcent sympatycznie zniekształcał jej słowa. - Unikaj tego. Jest okrrroponie nudna. - Mówiła tak, jakby znała *Kamasutrę* na pamięć. Byłam zwinna, ale daleko było mi do jogina, niemniej chętnie eksperymentowałam w granicach wyznaczanych oczekiwaniami moich klientów.

M a r i n e t t e w przeszłości musiała być piękną; miała lśniące czarne włosy, które czesała w elegancki kok. Lubiłam ją i ufałam jej, dopóki mnie nie zawiodła, wysyłając do dobrze sobie znanego klienta, który penis miał taki, że król Dawid mógłby mu pozazdrościć. Moja cipka, ciasna po wieloletnim dziewictwie, miała kłopoty, by go w siebie przyjąć, a to bolało. Przyzwoitość kazała się Marinette zarumienić, kiedy się poskarżyłam, a wkrótce p o t e m opuściłam ją dla alfonsa o imieniu Rick, o którym kiedyś wspomniała mi j e d n a z dziewcząt u Stelli. Czysta ciekawość pchała mnie, żeby na o d m i a n ę popracować dla mężczyzny.

Rick był w średnim wieku, średniego wzrostu, raczej chudy, siedział już p a r ę razy w więzieniu za to, że żył z pracy p r o stytutek. Miał nad kobietami pewną władzę, bo dawał do zrozumienia, że jest z niego autentyczny twardziel z charakterem, ale ma miękkie serce dla kobiet. Innymi słowy, był

czymś w rodzaju t a n d e t n e g o erzacu ojca.

Mieszkał w d o m u , w którym prowadził swoją działalność -

rozpadającym się, drewnianym, z linoleum na podłodze w kuchni i trzema kaczkami lecącymi w szyku na ścianie salonu. O d n i o s ł a m wrażenie, że był to kiedyś d o m jego matki i że Rick nie pofatygował się, by w nim cokolwiek zmieniać, łącznie ze słowiałymi kretonowymi zasłonkami. Dziewczyny Ricka kręciły się po d o m u , robiły sobie h e r b a t ę i grzanki, kiedy tylko chciały, a nawet sprzątały, dopóki nie wysłał ich na randkę.

Zaledwie w trzy tygodnie po nawiązaniu tego kontaktu, pojawiłam się w d o m u Ricka i zastałam go pijanego. Użałał

się nad sobą, bo właśnie odkrył, że p u d e ł k o po płatkach kukurydzianych - będące równocześnie pomysłową kasetką na pieniądze - jest puste. Pieniądze ukradła zapewne któraś z dziewczyn, p r a w d o p o d o b n i e trafiła na schowek, kiedy szukała czegoś do jedzenia. Zdziwiłam się, widząc, że ze wszystkich dziewczyn obecna jestem tylko ja. Rick siedział w fotelu i władczo przywołał mnie do siebie.

- Siadaj na mnie - mruknął, rozpinając rozporek i biorąc organ w rękę. Kilka głośnięć i jego napalony róg sterczał pionowo w górę. Posłuchałam go z wielką niechęcią, gdyż obawiałam się przykrego odwetu w razie odmowy. Dogodził sobie we mnie w dość nieprzyjemny sposób.

- No - oznajmił z szyderczym uśmiechem - teraz już do końca życia będziesz miała zapalenie pęcherza.

Spojrzałam na jego zaczerwieniony od infekcji penis.

Z rozmysłem próbował mnie zarazić!

Natychmiast popędziłam do d o k t o r a Daytona, który spokojnie poradził mi, żebym zaczekała i zobaczyła, co z tego wyniknie. Nic nie wynikło, ale przez następne dwa tygodnie nie ośmieliłam się z nikim uprawiać seksu. Wykorzystałam ten czas, żeby zaplanować następny e t a p mojej kariery.

Chciałam pracować na swoim, przekonana, że będzie to nieskończenie lepsze od tego, czego doświadczyłam dotychczas.

Z plotek dowiedziałam się, że Rick znowu poszedł za kratki za sutenerstwo. Dziewczyny musiały zorientować się, że coś jest na rzeczy i opuściły go, zanim pokazała się policja.

Wciąż jeszcze musiałam wiele nauczyć się o regułach rządzących „zabawą” i zapewne u m k n ę ł o mi kilka lepszych okazji, ale po trzech miesiącach byłam gotowa. Tak bardzo tęskniłam za tym, żeby mieć s w o b o d ę , samej wyznaczać standardy i godziny pracy. Czegoś takiego „się nie robiło”, ale miałam szczęście. Alfons, dla którego pracowałam, poszedł na dno, więc mogłabym to wykorzystać i spróbować awansować w branży. Rywalizacja była sprawą poważną; dziewczyna pracująca na swoim uważana była za zagrożenie, jak przekonałam się w jakiś czas później.

•••

Kelly i ja przedyskutowałyśmy sprawę mojej pracy na terenie domu. Budynek przy Floreat Park dobrze się do tego nadawał: z tyłu było osobne wejście prosto do sypialni, a żeby dostać się do łazienki, nie trzeba było wchodzić do głównej części mieszkalnej. Z a p r o p o n o w a ł a m Kelly, że zwolnię ją razem z synem od opłaty czynszowej, a ona się zgodziła. Nadal zajmowała się malutką Caroline, kiedy pracowałam. Caroline i J i m m y dobrze się ze sobą bawili, a ja zaprzyjaźniłam się z Kelly.

Mieszkając ze m n ą , Kelly ryzykowała, bo mogła zostać uznana za współniczkę. Jeżeli dziewczyna pracowała na swoim, było to w pełni legalne, ale jeżeli miała w d o m u p o m o c , jej praca równoznaczna była z prowadzeniem burdelu - tak przynajmniej powiedział mi jeden z klientów, który wprawił

mnie w popłoch, kiedy powiedział, że jest gliną.

- Wszystko w porządku - dodał po ojcowsku - nie sypnę cię. Ale bądź ostrożna.

Po tym incydencie Kelly, która w ogóle miała skłonność do zamartwiania się, denerwowała się jeszcze bardziej.

Zamieściłam niewielkie ogłoszenie w „West Australian”

wśród innych bardziej prestiżowych informacji o agencjach towarzyskich i nerwowo czekałam. Byłam na swoim - czy ktoś zwróci na mnie uwagę? Podskakiwałam z przerażenia za każdym telefonem. Kiedy zadzwoni mój pierwszy klient?

Pewnego dnia o d e b r a ł a m telefon międzymiastowy. O d e z w a ! się jakiś dżentelmen, który dzwoni! z Sydney.

- Cześć, Carlo. S p o d o b a ł o mi się twoje ogłoszenie! Na imię m a m Michael. - W to akurat nie musiałam wierzyć.

Wsluchiwałam się w jego głos i wiedziałam, że on robi to sam o . Rozmowa telefoniczna, która miała zdecydować, czy się spotkamy, czy nie! Czułam radosny, związany z tą zabawą dreszczyk: podniecenie nowym i niebezpiecznym.

- Czy lubisz czekoladki i róże?

Roześmiałam się. Właśnie o coś takiego należało spytać kobietę, która mogła czuć się nieco niezręcznie, kiedy zupełnie obcy mężczyzna umawiał się z nią na krótkie seksualne tete-a-tete! Michael miał przyjechać do Perth za trzy dni i zamierzał się trochę rozerwać pomiędzy jednym spotkaniem biznesowym a drugim.

- M a m w d o m u dwa rzędy róż - wyjaśnił, kiedy spotkali

śmy się twarzą w twarz i wręczył mi podarunek. Szwajcarskie czekoladki, ciemne. Moje ulubione. - Czerwone i białe.

R ó ż e stanowiły jego pasję i był szczerze zachwycony, że m o ż e ze m n ą o nich porozmawiać. G a r n i t u r Michaela świadczył o jego wyrafinowanym guście, a on sam robił wra

żenie człowieka, który panuje nad sytuacją, choć w głębi duszy pragnął sprawiać innym radość. Z r o b i ł a m pierwszy krok, nie przerywając rozmowy, i rozwiązałam mu kosztowny krawat. Uśmiechnął się. Tak, dobrze się dobraliśmy. Czułam radość z pierwszego sukcesu, z ryzyka, które się opłaciło. Jeżeli było to zło, to takie migotliwe zło, które wyczarowywało zmysłowość lat dwudziestych. Dawało pełną satysfakcję, stanowiło mieszaninę ponętnej swobody i żywego podniecenia.

Kiedy skończyliśmy, Michael położył pieniądze na gzymsie nad kominkiem. Było t a m więcej niż to, o co prosiłam.

- Czy miewasz wielu klientów spoza stanu? - chciał się dowiedzieć, zanim poszedł.

- Jesteś moim pierwszym klientem - zwierzyłam się.

- Dzięki t e m u stałem się kimś b a r d z o szczególnym! - pochlebia! sobie, a p o t e m udzieli! mi rady jako biznesmen. -

Bądź bardzo wybredna - powiedział. - Biznesmeni tacy jak ja lubią czuć się bezpiecznie z kimś, kto nie miewa zbyt wielu różnych klientów.

Zrozumiałam, co miał na myśli, i teraz wiedziałam, do czego dążyć. Michael chciał mieć kochankę, a nie dziwkę. Między jednym a drugim istnieją pewne konkretne różnice.

Chciał mnie lepiej poznać, chciał, żebym go polubiła, i chciał, żebym o niego zadbała. Nie chciał natomiast, by widziano, jak wchodzi do jakiegoś znanego lokalu - kochanka zapewniała większą dyskrecję. Seks bez prezerwatyw zawsze jest niebezpieczny, ale ze mną ryzyko było mniejsze, bo

dbałam o higienę. Od tego czasu w moim ogłoszeniu zastrzegałam „wyłącznie biznesmeni” i pierwszeństwo dawałam klientom spoza stanu. Ci mężczyźni stali się moimi stałymi klientami i wzajemnie obdarzaliśmy się zaufaniem.

Bycie kochanką w swoim własnym domu doskonale mi odpowiadało. Mogłam moim klientom nie skąpić czasu ani przyjaźni, a cieszy! mnie seks z mężczyznami, którzy znali mnie i szanowali i przy których niczego nie musiałam udawać.

W domu pełno było zwykle kwiatów od zadowolonych klientów, z których jeden, taki pomarszczony i pogodny, był

kwiaciarzem. Często wczesnym rankiem zostawiał dla mnie bukiety pod kuchennymi drzwiami. Budząc się, czułam ich zapach - taki miły sposób na rozpoczęcie dnia!

Od stóp do głów czułam się *kobietą*, byłam zakochana w seksie, cieszyły mnie komplementy i atencje panów - a oni czynili mi ten zaszczyt, że dobrze płacili. Zapałata była dla mnie formą uznania, aprobaty; dawała mi poczucie własnej wartości. Ale tak naprawdę nie bardzo wiedziałam, co robić z pieniędzmi. Kupiłam meble, kryte jedwabiem w pawim kolorze, które przypominały mi lata dwudzieste, ale nasze dwa maluchy stanowiły dla nich zagrożenie i mogły je zniszczyć.

Nie przyszło mi do głowy, żeby zainwestować w nieruchomości,

co byłoby sprytnym posunięciem. Za finansową przenikliwość należało mi się zero punktów. Prawda była taka, że czu

łam się tymi pieniędzmi zażenowana - pozostałość po ślubach ubóstwa, z którymi żyłam przez dwanaście lat i których wyrzekłam się dopiero przed trzema laty. Nie miałam żadnych trudności ze złamaniem ślubu czystości i posłuszeństwa, ale przetrwał we mnie szacunek dla ubóstwa i jego walorów, takich jak powściągliwość i obywanie się bez pieniędzy.

Nadal gotowa byłam pracować trochę poza domem. Pewnego wieczoru odebrałam telefon z jednego z najelegantszych hoteli w Perth, żebym wzięła udział w przyjęciu wydawanym przez facetów, którzy chcą uczcić interes, jaki ubili.

Pomyślałam, że nie będzie to łatwe wyzwanie, ale szybko zorientowałam się, że ci faceci nie są „stałymi klientami”. Byli to zwykli goście, którzy mieli ochotę na szaloną, pikantną noc. Mój numer telefonu polecił im jakiś mój klient, więc zdecydowałam się wyświadczyć im tę grzeczność.

Kiedy pojawiłam się w ich dużym pokoju hotelowym, wyglądali już dosyć niechlujnie, chociaż wciąż mieli na sobie garnitury i krawaty. Pokój wyposażony był w meble wypoczynkowe, podwójne i pojedyncze łóżko, i można było przejść z niego do drugiego, mniejszego pokoju. Hotelowe radio grało na cały regulator, w powietrzu śmierdziało już alkoholem i potem. Powitali mnie, na różne sposoby okazując, że jestem mile widziana - zwłaszcza Barry, inicjator całego pomysłu - i zaproponowali coś do picia. Poprosiłam o jabłecznik. Nie mieli go, ale szybko kazali podać i zabawa zaczęła się na dobre.

Miałam na sobie króciutką czerwoną spódnicę i luźną bluzkę z białego jedwabiu. Rozsiadłam się na podwójnym łóżu, a rozgorączkowane dłonie zdejmowały mi błyszczące czerwone buty. Wypiłam haust słodkiego jabłeczniaka. Normalnie nigdy nie potrzebowałam alkoholu ani żadnego innego środka pobudzającego, żeby się rozkręcić, ale jeżeli miałam zabawić sześciu panów, przyda się jakieś wsparcie! Muzyka dała mi natchnienie, żeby zatańczyć na łóżku, i nie minęło kilka chwil, a już przyłączyło się do mnie co najmniej trzech panów, wszyscy pohukiwali radośnie i rozlewali drinki na kapę. Mężczyźni zaczęli klaskać, a ja zrozumiałam: miałam zrobić striptiz, zanim doprowadzę ich do całkowitej ruiny!

P r a w d ę mówiąc, m a t e r a c był za miękki, żeby na nim tańczyć, więc s t a n ę ł a m na długiej toalecie przed dużym lustrem i zaczęłam zdejmować bluzkę. Nie szkoliłam się nigdy na striptizerkę i nie za b a r d z o wiedziałam, co zrobić p o t e m , ale oni byli tak zachwyceni każdym moim r u c h e m , że szybko z a p o m n i a ł a m o zażenowaniu, nie wstydziłam się nawet żyłaków, k t ó r e objawiły się, kiedy zdjęłam rajstopy. Moje nogi i ciało mogły poszczycić się lekką opalenizną - n a b r a ł a m nawyku, by wystawiać bladą europejską skórę na sztuczne światło l a m p , żeby n a b r a ł a zdrowego odcienia.

Wirując, śpiewałam i p r ó b o w a ł a m nie spaść z toaletki ani w i c h r a m i o n a , ani na p o d ł o g ę , a oni porykiwali za każdym razem, kiedy następny fragment g a r d e r o b y przelatował przez powietrze i lądował, jeśli się tylko u d a ł o , k o m u ś na głowie.

Alkohol lal się tak szeroką strugą, że teraz każdy robił to, co chciał, i nikt nie dałby się powstrzymać. Odsloniłam już wszystko, łącznie z nęcącą gęstwiną blond włosów łonowych, i uważałam, że to całkiem wystarczy, kiedy nagle jeden z panów chwycił mnie i odwrócił najpierw na plecy, a p o t e m postawił do góry nogami. Przytrzymał mnie na łóżku i zawo

łał kolegę. Chwycili mnie razem za rozłożone nogi i ku brutalnemu zachwytowi wszystkich obecnych zalali mi cipkę piwem. Piwo pociekło mi do ust i na włosy, wywijalam się, udając przerażenie.

- Puśćcie mnie, wy neandertalczycy!

Kiedy już porządnie się wszyscy uśmialiśmy, puścili mnie.

Stałam znowu na nogach i powiedziałam im, że czas zacząć prawdziwą zabawę w sąsiednim pokoiku.

Przy tej zabawie nie było miejsca na delikatność i precyzję.

Panowie wchodzili kolejno i robili, co mogli, żeby im stanął, a to było trudne po tylu drinkach. W końcu wszyscy zostali usatysfakcjonowani, a kiedy wyszłam spod prysznic, hałasowali już zdecydowanie mniej. W pokoju panował za to straszliwy bałagan: pościel i m a t e r a c były tak przemoczone, że już chyba nic z nimi nie dało się zrobić; alkohol poplamił pokrytą dywanem podłogę. Zapłacili mi hojnie i wróciłam do domu, zastanawiając się, czy uznają, że ta noc była tego warta, kiedy dostaną rachunek z hotelu za szkody.



Czasami sprawy nie układały się tak gładko. Raz odebra

łam wezwanie do hotelu od kapitana, którego statek handlowy przycumował we Fremantle. Pokój, do którego weszłam, urządzony był dosyć gustownie, podobnie elegancka była kolacja uprzejmie p o d a w a n a z wózka. Kapitan miał na sobie m u n d u r - bez wątpienia po to, by zrobić na mnie wrażenie, co mu się udało.

Miał około czterdziestu pięciu lat i niewielki wąsik, w pasie zaczynał być nieco rozłożysty od dobrych kolacyjek, ale wyglądał elegancko. Zdjął marynarkę i staliśmy przy oknie, podziwiając widok na port. D o b r z e pasowaliśmy do siebie wzrostem: miał co najmniej pięć centymetrów więcej niż ja, chociaż byłam na obcasach. Objęłam go rękami, odwrócona plecami do okna, a p o t e m popełniłam fatalny błąd. Bezmyślnie, chcąc wytworzyć intymny nastrój, wetknęłam mu dłonie do tylnych kieszeni spodni i pogładziłam figlarnie po pośladkach, kołysząc go delikatnie z boku na bok. U ś m i e c h n ę ł a m się do niego jak najpiękniej, żeby pokazać mu, jak dobrze będzie się bawił, i przycisnęłam się do niego mocniej, żeby też mógł pogładzić mnie po pośladkach. Ale on nagle o d e p c h n ą ł

mnie od siebie i zmienił się na twarzy.

- Zamierzałaś mi ukraść portfel, czy tak? - najeżył się, a twarz zapłonęła mu z wściekłości.

Byłam k o m p l e t n i e zaskoczona i patrząc na to, co wyprawiał, m o g ł a m tylko potrząsać z niedowierzaniem głową. Czy ten człowiek był tak ślepy, że nie potrafił rozpoznać uczciwej kobiety? Co on we mnie widział? Wyłącznie intrygancką sukę? M o ż e myślał, że u d a w a ł a m ? Aż do tamtej chwili świetnie się bawiłam - nie mogłabym po prostu „grać”, bo takie granie było równoznaczne z ukrywaniem, że się człowiek wcale dobrze nie bawi. Wzięłam żakiet i t o r e b k ę i wyszłam stamtąd bliska łez.

• • •

W ciągu pierwszego roku pracy na własny rachunek j e d n o z moich najdziwniejszych doświadczeń nie miało w ogóle nic wspólnego z pracą. Chodzi mi o uwiedzenie sławnego pianisty; nasze spojrzenia spotkały się w foyer hotelu w Perth. By

łam tam służbowo, ale tego nie musiał wiedzieć. Między jednym wirtuozerskim p a s a ż e m na hotelowym fortepianie a drugim wręczył mi swoją wizytówkę.

- Lepiej się zabawimy, jeżeli to ja przyjdę do ciebie - powiedział przez telefon Phillippe. Kiedy otworzyłam mu drzwi, miał przy sobie trzy butelki Chartreuse. Przyjrzał mi się uważnie i zanim przekroczył próg, oświadczył, że jestem piękna. Nie miałam fortepianu, żeby mógł mnie olśniewać grą, a jego zachowanie było bardziej obcesowe niż w hotelu.

Mówiłam sobie jednak, że sława m o ż e uczynić człowieka nie tylko intrygującym, ale i aroganckim.

Raczył mnie smacznym likierem, a ja należę do ludzi, których komórki mózgowie umierają całymi milionami po zetknięciu z alkoholem. A jeszcze bardziej wyczulona jestem na środki konserwujące w

winie: działają toksycznie na m o j ą w ą t r o b ę i często drastycznie wpływają na wygląd. Zbliżała się północ, kiedy poczułam, że moja energia się zmienia.

Mistrz fortepianu leżał na mnie i żartował z czegoś. Z wybiciem godziny dwunastej poczułam, że przepełnia m n i e z m ę czenie.

Phillippe urwał w pół zdania. Patrzyłam, jak oczy rozszerzają mu się ze zgrozy, uniósł się na łokciach, byle dalej o d e mnie i wykrzyknął z nagłym obrzydzeniem:

- Zrobiłaś się strasznie brzydka! Brzyyydka!

Usta wykrzywiły mu się ze wstrętem. Jego reakcja była tak nieoczekiwana, że zareagowałam spokojnie, a nawet z rozbawieniem, chociaż mnie obraził. Byłam wyczerpana i po takiej dawce alkoholu nie potrafiłam tego p r a w d o p o d o b n i e ukryć.

Czułam się jak Kopciuszek w karecie, która z wybiciem dwunastej zmieniła się w dynię. Na tę myśl zachciało mi się śmiać, ale Phillippe by! śmiertelnie poważny. Narzuci! na siebie ubranie, podbiegł do lodówki, żeby zabrać resztę chartreuse, i wyszedł, nie mówiąc do widzenia.

Dobrych m a n i e r to *ten* francuski piękniś nie miał! Zmienił

się, co prawda, o północy w nędzną kreaturę, ale cała sprawa była tak śmieszna, a wieczór tak wyczerpujący, że z radością wyciągnęłam rękę w stronę kontaktu i zasnęłam, nie fatygując się nawet, żeby umyć zęby.

• • •

Odezwała się we mnie żyłka aktorska. Zaczęłam nosić błyszczący cylinder, a do tego coś, co pasowało - wysokie do kolan buty, czasami smoking, koronkowe rękawiczki - i pali

łam małe cygara, chociaż nigdy nie byłam palaczką i nie umiałam się zaciągać. Z a k ł a d a ł a m ten cudowny strój w domu dla niektórych z moich gości i na przyjęcia u przyjaciół.

Na przyjęciu mojego przyjaciela Victora udawałam lesbijkę. Victor pracował jako masażysta w klinice, do której chodziłam; wspinał się z nim rozmawiało. Pochodził z RPA, był

młody i muskularny i emanował takim urokiem erotycznym, jakby sam go wynalazł. Wieczór był zimny, witałam przekraczające próg młode kobiety i proponowałam, że ogrzeję im dłonie albo przyniosę gorący koktajl, podprowadzałam je do kominka, wygłaszałam pochlebne uwagi na temat makijażu i fryzur i prosiłam, żeby usiadły mi na kolanach. Zabawnie by

ło obserwować ich zaskoczenie - w pierwszej chwili przyjemne, nawet jeżeli czuły się odrobinę zakłopotane - a potem patrzeć, jak zmienia się ono w podejrziwość i jak na koniec każda bez wyjątku bez słów daje mi kosza.

Spodziewałam się tego, że mnie odepchną. Czułabym się zażenowana, gdyby któraś potraktowała

mnie na serio! Udając rozczarowanie, przyłączyłam się do grupy gejów, naśladowałam ich pozy i maniery i bawiłam się ich dowcipem. Musia

łam się j e d n a k sama przed sobą przyznać, że miło było poczuć dotyk kobiecych rąk; kobiety nieczęsto czegoś takiego do

świadczą. Uświadomiłam sobie wtedy, że w moim wnętrzu tkwi lesbijka, która mogłaby się ujawnić, gdyby chciała.

Okazja nadarzyła się pewnego cudownego, czarodziejskiego dnia.

- Julie to moja dziewczyna - powiedział Andy, kiedy zadzwonił do mnie z prośbą, żebym przyłączyła się do nich w ich pokoju hotelowym. Andy był jednym z moich mniej atrakcyjnych klientów; miał w sobie coś lubieżnego, co kaza

ło mi się teraz zawahać. Tego popołudnia przyszła mu ochota sprawdzić, jak podziela na niego zabawa we trójkę.

Tak się złożyło, że ja i Julie dałyśmy mu pierwszorzędny pokaz, jak dwie kobiety mogą się sobą cieszyć. Zaskoczyły

śmy m o m e n t a l n i e i chyba porozumiałyśmy się telepatycznie.

Chociaż zgodnie z planem miałyśmy zadowalać Andy'ego, zamierzałyśmy go całkowicie ignorować. Czulałam taką radość i czyste zapamiętanie, kiedy p a d ł a m Julie w ramiona, i poczułam, jak zamyka mnie w chętnym kobiecym uścisku.

Turlałyśmy się po łóżku, zaspokajając wszystkie swoje zachcianki: dotykałyśmy się, pieściłyśmy, lizowałyśmy, ssowałyśmy i rozkoszowałyśmy się każdą częścią naszych ciał. Włosy Julie były długie i w o n n e , a jej ł o n o czyste i rozkoszne. Obydwie instynktownie wiedziałyśmy, które miejsca pieścić, żeby n a m było przyjemnie. Jej nagie ciało przylgnęło do m o j e g o i z r o z u m i a ł a m , co czuje mężczyzna, kiedy miękkie piersi dotykają jego torsu. C u d o w n i e było ssać jej sutki i d o kładnie wiedzieć, j a k działa na nią to, co robię. Jej dłoń znalazła moje sutki: były duże i sterczące, bo przez rok karmiłam dziecko, a kiedy pieściła je delikatnymi ustami, wpad ł a m w ekstazę.

Byłyśmy bezwstydne w naszym wzajemnym pożądaniu i nie dopuściłyśmy do siebie Andy'ego, dopóki obie się nie zaspokoiliśmy, a nasze podniecenie nie o p a d ł o łagodnie do stanu słodkiej błogości. A n d y nie mógłby prosić o lepszy występ, ale oczywiście był poirytowany. Niejasno przypominam sobie, że słyszałam, jak woła, by zwrócić na niego uwagę, ale nic nas to nie obchodziło. Zemścił się później, bo kiedy p o wiedziałam, że chcę się znowu zobaczyć z Julie, nie zgodził

się p o d a ć mi jej telefonu. Podejrzewam, że wcale nie była jego dziewczyną tylko profesjonalistką tak jak ja. Odprawiłam p o t e m Andy'ego z kwitkiem i m a m nadzieję, że Julie zrobiła to samo.

Po tym cudownym doświadczeniu zachodziłam przez jakiś czas do klubu h o m o Red Lion w Perth i przyglądałam się dy-namice stosunków między klientkami lesbijkami. Czy spotkam jeszcze taką p a r

tnerkę jak Julie? Widziałam kobiety, które odrzucały mężczyzn, a same ubierały się jak oni i naśladowały ich zachowanie. Byłam również świadkiem zazdro

ści i skandalicznej złośliwości. Zraziło mnie to, i doszłam do wniosku, że wystarczy mi wiedzieć, że jestem biseksualna ze zdecydowaną przewagą hetero. Nie będę szukała lesbijskiego seksu. Na cześć Julie i wszystkiego, co z nią przeżyłam, zachowam to jedno idealne wspomnienie.

•••

Pod koniec pierwszego roku mojej nowej kariery moje śliczne jasne włosy łonowe dały schronienie całej gromadzie paskudnych insektów. Słyszałam o mendach, przekonana jednak byłam, że mnie to nie grozi. Zaczęło mnie coś tam swędzieć, ale nie w samej cipce, więc myślałam, że to nic poważnego. Ignorowałam to swędzenie, od czasu do czasu z roztargnieniem się drapiąc.

Jeden z klientów, który wynajął łóżko w odne w hotelu nad Swan River, zaskoczył mnie pytaniem:

- A co ty tam masz u dołu, słoneczko? Tego z pewnością nie złapałaś ode mnie!

Pokazał palcem, a ja musiałam dobrze się przyjrzeć, żeby zobaczyć kryjące się we włoskach paskudne robale, które wysysały krew z mojego ciała. Byłam tak zaszokowana, że z wrzaskiem wyskoczyłam z łóżka i goła jak święty turecki rzuciłam się do drzwi, jakbym mogła przed nimi uciec. George zareagował z humorem:

- Słuchaj, Carlo, to nic strasznego. Uspokój się!

Przestałam wrzeszczeć. Nikt chyba nic nie usłyszał, a jeśli nawet słyszeli, to nie zwrócili na wrzaski najmniejszej uwagi.

Darłam się, jakby mnie mordowano, a nikt nie przybiegł na pomoc. Dało mi to do myślenia.

- Kup sobie trochę kremu z DDT - tak brzmiała rozsądna rada George'a, do której zastosowałam się jeszcze tego samego dnia.

Zwierzyłam się z kłopotu jednem z moich przyjaciół gejów, a on zlitował się nademną i postąpił niesłychanie życzliwie: starannie wygolił mi wszystkie włoski wokół zainfekowanego sromu, żeby pozbyć się pasożytów i ich jajeczek.

Powiedział, że mam teraz cipkę w stylu francuskim, co początkowo wydawało mi się niesłychanie podniecające, ale ca

łe podniecenie ulotniło się, kiedy zaczęły odrastać mi krótkie kłujące włoski. Za nic nie zdecydowałabym się na codzienne golenie - miałam jasne włosy, więc nawet nóg nie musiałam golić! Trzymałam ten krem z DDT przez lata na wszelki wypadek. Ale już nigdy nie musiałam go użyć.

Na diabelskim młynie życia

J a m e s wrócił na stałe do Perth. Odzyskał typową dla siebie p o g o d ę ducha i często po pracy wpadał do mnie, żeby pobawić się z Caroline, a czasami zostawał na kolacji. D o b r z e się z nim było przyjaźnić. Nie rozmawialiśmy o przeszłości ani o moim nowym stylu życia. J a m e s nie był skłonny do krytyki. Wydawał się całkowicie pogodzony z naszą separacją, więc przeraziłam się, kiedy pewnego wieczoru przepowiedział, że w końcu do niego wrócę jak ta kobieta z „Córki Ryana”. Był taki słodki i niewymagający, że patrząc na niego łagodniałam. Może powinnam wrócić?

Pewnego wieczoru J a m e s przyprowadził ze sobą swojego najlepszego kolegę z pracy, Hala.

Właśnie coś szylałam w jadalni, a kiedy podniosłam wzrok, oszołomiło mnie nagle niewytłumaczalne poczucie, że z n a m tego człowieka. W tym wysokim, białym mężczyźnie, który stał przy drugim końcu stołu i którego właśnie przedstawiał

mi J a m e s , ujrzałam kogoś w typie kamikadze, o duszy pilota.

Może to głupio zabrzmiało, ale rozpoznałam tę pozę, ten swobodny uśmiech. Od tej chwili nie mogłam sobie Hala wybić z głowy - nawet wtedy, kiedy zastanawiałam się, czy nie wrócić do Jamesa. Był jak zagadka, jak magnes.

Jakaś część mnie chciała żyć jak zwyczajna kobieta, matka o d d a n a rodzinie. Powrót do Jamesa niewątpliwie by mi to dał. „ Z a b a w ę ” uprawiałam od roku; może najlepiej byłoby przestać, dopóki mnie jeszcze cieszyła. Wykonałam ruch, który zgodnie z planem miał raz na zawsze zakończyć ten lubieżny tryb życia, sprzedałam wszystkie swoje meble, wyłączyłam telefon i zniknęłam, nie zawiadamiając o niczym żadnego z moich klientów - zawsze wyrzucałam sobie ten brak uprzejmości, ale w tamtym momencie wydawało mi się to konieczne.

W jeden dzień zmieniłam się z luksusowej prostytutki w sumienną panią domu. Caroline i ja pożegnałyśmy się z Kelly i Jimem. Caroline była zachwycona, że ma tatusia tak blisko, a mnie najbardziej cieszyło, że widzę ją taką szczęśliwą.

J a m e s musiał sądzić, że w końcu wygrał ze swoją nieobliczalną żoną, ale niestety biedak całkowicie się mylił. Dziwnie się układało między nami po rocznej separacji. Rok doświadczeń z innymi mężczyznami spowodował, że potrzebowałam kogoś pod każdym względem silniejszego o d e mnie. Szanowałam J a m e s a za determinację, z jaką starał się mnie odzyskać, ale nie kochałam go zbyt głęboką miłością, chciałam jedynie być dobrą m a t k ą i kobietą.

Hal, wysoki, dosyć dobrze zbudowany, pulchny, spokojny, ale wesoły, zachwycał swoich przyjaciół jedyną w swoim rodzaju łagodną ekscentrycznością. Miał dużą okrągłą głowę pokrytą cieniutką warstwą blond włosów, z przedziałkiem z boku, i cechowała go rozważna inteligencja. Był wrażliwy, otwarty na głębsze sprawy. D a ł się kiedyś wciągnąć w scen-tologię, ale skończyło się na tym, że poczuł się dotkliwie wykorzystany i rozczarowany.

Prowadził samochód, jakby pilotował samolot. Siedząc z nim w aucie, człowiek czuł się jak podczas przejażdżki w lunaparku - swoim stylem jazdy wywoływał konsternację wśród innych kierowców.

Wyemigrował z Estonii do Perth w tym samym roku, w którym moja rodzina osiedliła się w Melbourne, i zamieszkał razem z matką. Kiedy się poznaliśmy, był jeszcze prawiczkim.

Hal wcale się do mnie nie zalecał - z szacunku dla swojego przyjaciela J a m e s a - wygląda więc na to, że to j a g o uwiodłam. Poszłam odwiedzić i p r z e k o n a ł a m się, że możemy rozmawiać na poważne tematy. Podziwiałam intelekt Hala; kochałam jego wyczulony r a d a r książkowy (science fiction i metafizyka) i zamiłowanie do łagodnej, kojącej muzyki. Co on we mnie widział? Gorliwość zbyt pochlebną, by zdołał jej się oprzeć ktoś tak niedoświadczony?

Z perspektywy czasu powiedziałabym, że zakochaliśmy się w sobie, ponieważ taka była nasza k a r m a ; po poprzednich wcieleniach zostały w nas napięcia, które trzeba było rozładować, kwestie, które trzeba było rozwiązać. Przez lata kilkakrotnie zetknęłam się z czymś, co kazało mi pomyśleć o możliwości reinkarnacji.

Kiedy zakochałam się w Halu, wyznałam wszystko J a m e s o w i. Leżeliśmy tego ranka w łóżku.

- Muszę cię opuścić. Chcę być z H a l e m .

J a m e s okazał wyrozumiałość i nie zwymyśla! mnie. Nie mógł na mnie spojrzeć i z t r u d e m przełykał.

Z n o w u zламаłam mu serce. Ale ze względu na Caroline przez dwa lata prowadziliśmy d o m w e czwórkę. I James, i Hal należeli do ludzi wielkodusznych, o miękkich sercach, i zawsze udawało n a m się utrzymywać przyjazne stosunki.

Dowiedziałam się później, że Hal miał duże trudności, by sobie z sytuacją poradzić, i bliski był opuszczenia nas, dopóki nie podjęłam decyzji, że będę wyłącznie jego partnerką.

• • •

W 1975 roku do Jamesa, Hala, Caroline i mnie dołączyła malutka Victoria, która urodziła się Halowi i mnie, kiedy Caroline miała trzy latka. R a n k i e m tego dnia, kiedy się miała urodzić, obudziłam się wcześniej, by się przygotować. Pozbierałam swoje ubrania i kosmetyki, a p o t e m obudziłam Hala.

Tym razem chciałam zrobić wszystko jak należy dla mojego dziecka. Ustaliłam, że Hal będzie obecny przy porodzie i że dziecko zostanie przy mnie.

Przełożona pielęgniarek nie miała zamiaru dotrzymać ani jednej, ani drugiej obietnicy, ale na moje głośne protesty zmieniła zdanie. M i m o to dopilnowała, by z a b r a n o o d e mnie Victorię, kiedy zasnęłam - dlaczego, nie jestem pewna, ponieważ była jedynym dzieckiem, jakie w tamtym tygodniu urodziło się w szpitalu Warwick.

Byłam niespokojna i zła, ale bezradna.

- Czy płakała w nocy? - pytałam co r a n o .

- Nie - powtarzali mi raz za razem.

Czy kłamali? Skąd miałam wiedzieć. Przez ten czas zaczę

łam p r o d u k o w a ć za dużo mleka, od czego bolały mnie piersi. J e d n a z pielęgniarek życzliwie powiedziała mi, żebym masowała piersi, i podeszła, by pokazać, jak to się robi.

O d e t c h n ę ł a m z ulgą, kiedy jej łagodne dłonie uwalniały mnie od natarczywego bólu. Obie poczułyśmy się wstrząśnięte, usłyszawszy wrzask przełożonej pielęgniarek:

- Siostró, proszę wracać do pracy i zostawić ją w spokoju!

Zmieszana pielęgniarka uciekła.

Wyszłam ze szpitala najszybciej, jak się dało. Po powrocie d o d o m u p o n o w n i e p o z n a ł a m rozkosze macierzyństwa.

U m i a ł a m postępować z niemowlętami, ale nie wystarczyło mi cierpliwości, kiedy urosły i stały się bardziej wymagające.

W 1976 roku J a m e s , H a l i ja założyliśmy w O u e e n s l a n d wiejską wspólnotę, istniejącą po dziś dzień jako wspólnotowa farma. J a m e s wybudował tam chatę dla siebie i Caroline, a Hal, Victoria i ja zamieszkaliśmy w d o m u na palach, który z d u m ą postawił Hal.

Z naszego utopijnego wiejskiego rajku oczywiście nic nie wyszło i opuściliśmy to miejsce ze złamanym sercem. Hal, Victoria i ja przenieśliśmy się do Brisbane, gdzie zamieszkaliśmy w jednym domu wspólnie z rodziną, która miała dziewczynkę w wieku Victorii. Jamesowi natomiast zaproponowano pracę w Melbourne. Caroline postawiliśmy pytanie, z kim woli miesz-kac - z ojcem czy ze mną - a ona wybrała Jamesa. Uznałam, że chociaż była jeszcze mała, naprawdę wiedziała, czego chce.

Wyprowadziła się z ojcem na południe. I tak było najlepiej, wszyscy się zgodziliśmy, ponieważ dziewczynki nie dogadywały się. Tak więc Caroline, dorastając, musiała się obejść bez matki. Ciężko mi myśleć o tym, jak musiała za mną tęsknić. Nie pojechałam nawet do niej na urodziny, kiedy skończyła sześć lat.

Teraz, kiedy jestem babcią, niemal nie do pojęcia jest dla mnie fakt, że mogłam znieść rozstanie z własną córką.

H a l i j a mieszkaliśmy już w wynajętym d o m u w Ashfield, w Brisbane, kiedy postanowił wziąć urlop i odwiedzić w Perth m a t k ę , swoją jedyną krewną, i spędzić tam trochę czasu ze starym przyjacielem. Wtuliłam się w jego szeroką pierś, kiedy czule się żegnaliśmy. W z r o s t e m tak dobrze współgraliśmy ze sobą; ludzie, którzy widywali nas razem, zawsze mówili, że idealnie do siebie pasujemy. H a l zajrzał mi głęboko w oczy.

M i a ł a m go nie widzieć przez całe dwa tygodnie. P o t e m pogrzebał w kieszeni spodni i k u m o j e m u wielkiemu zaskoczeniu p o d a ł mi prezerwatywę.

Popatrzyłam na niego zszokowana; co to miało znaczyć?

Nigdy nie byłam Halowi niewierna.

- Czy spodziewasz się, że zacznę szaleć, jak tylko wyjedziesz? - Patrzyłam na niego z niedowierzaniem.

Hal zachichotał, szerokie ramiona lekko mu zadrgały.

- Na wszelki wypadek. - Tak brzmiała jego zagadkowa odpowiedź.

Czy to miał być jakiś test? Wtedy ta myśl nie przyszła mi do głowy. Przyjęłam, że tym p r e z e n t e m daje mi do zrozumienia, że nie chce, bym p o d jego nieobecność była samotna.

Oboje mieliśmy liberalne poglądy; na przykład Hal wstąpił

do klubu nudystów Sunshine i regularnie spędzał z nimi weekendy, zabierając ze sobą Victorię. Cieszyło ich to oboje, bo było tam mnóstwo niewinnej zabawy, zarówno dla d o r o słych, jak i dla dzieci.

Nie spodziewałam się jednak, że w tydzień później znajdę się w łóżku z facetem, którego prawie nie znałam! Wcale go nie szukałam, to on był drapieżnikiem, przyjacielem przyjaciółki, którego interesowało tylko to, by zauroczyć, podbić i zostawić. Układny i grzeczny, b a r d z o różnił się od mężczyzn, z którymi wcześniej się stykałam. Napisałam po tym spotkaniu entuzjastyczny list do Hala, dziękując mu za prezerwatywę. M i m o wszystko spełniła swoje zadanie!

Hal poczuł się głęboko zraniony. W gniewnych, zwięzłych słowach wyraził swoje rozczarowanie. Z d e z o r i e n t o w a ł o mnie to, ale z perspektywy czasu rozumiem, że nie powinnam by

ła się dziwić. Postanowiłam ostrożniej podchodzić do uczuć Hala i trzymać się z daleka od innych mężczyzn.

Nie wzięłam j e d n a k p o d uwagę Billa, również nudysty, który chciał, żebym przyznała, że łączy nas coś wyjątkowego.

I tak było. Bill kochał moją elegancję, a ja podziwiałam jego rycerskość. Pociąg, jaki do siebie czuliśmy, miał wiele subtelnych odcieni. Łączyła nas wyjątkowa więź, ale nie kontakty cielesne. Bill był starszy i wyższy o d e mnie, inteligentny, żonaty - i szczęśliwy w małżeństwie.

Podczas jednej z wizyt Billa dyskutowaliśmy o polityce, to był jego ulubiony temat. Kiedy wychodził, nagle przycisnął

mnie do ściany w holu i zajrzał mi w oczy, a j e g o ręce wsunęły mi się p o d spódnicę i zaczęły ściągać majtki. Z a m a r

łam, śledząc celowe i precyzyjne ruchy jego rąk. Czułam jego p o ż ą d a n i e i ulegałam. Delikatne szare oczy Billa przepełniała czułość, a twarz okolona podświetlonymi przez lampę włosami wydała mi się anielska. Wszedł we mnie, a ja przywarłam do niego ogarnięta nagłą rozkoszą. Nie wiedzia



łam, skąd w nas tyle czułości i o b o p ó l n e g o pragnienia. Mia

łam dowód, że prawdziwa miłość wykracza poza wszelką moralność.

Ten jeden raz związał mnie z Billem na zawsze, chociaż by

łam o d d a n a Halowi, a Bill przez całe życie był oddany żonie.

Bill niczego nie ukrywał przed swoją żoną, najdroższą dla niego osobą na świecie, i jego szczerość nie zepsuła naszej przyjaźni. Bill i ja regularnie pisujemy do siebie od dwudziestu trzech lat. I na zawsze pozostanie w nas pamięć o tym jedynym naszym zbliżeniu.

•••

Hal pracował jako kreślarz elektryk, a ja jako nauczycielka, kiedy w naszym życiu znowu nastąpiła zmiana. Z i m ą 1979 roku skończyłam w Brisbane kurs masażu, i z a p r o p o n o w a n o mi pracę masażystki w nowej podmiejskiej klinice.

Spędziłam t a m trzy miesiące, a moi klienci twierdzili, że m a m szczególny dar, że od mojego dotyku od razu czują się lepiej. Niektórzy faceci reagowali podnieceniem seksualnym - było we mnie coś, czym e m a n o w a ł a m wbrew mojej woli - a ja figlarnie dawałam im klapsy w pośladki, żeby zakpić sobie z ich erekcji. Musiałam j e d n a k czasem zachowywać się poważniej, żeby zapanować nad kłopotliwą sytuacją.

Wreszcie kiedyś uległam. Próbowałam utrzymać sprawę w tajemnicy przed właścicielką, ale podejrzewam, że odgłosy rozkoszy słyhać było przez ściany. Słowa nie powiedziała, tylko podniosła mi o p ł a t ę za wynajem sali. I to wtedy przyszło mi na myśl, że mogę oszczędzić sobie zarówno wydatku na czynsz, jak i zażenowania, jeżeli otworzę własny zakład.

Byłam d o b r ą masażystką, wykwalifikowaną i świadomą szczególnego daru, jakim był mój dotyk. Założyłam zakład, który mieścił się w wygodnej d o b u d ó w c e na tyłach d o m u .

Hal nie oponował, ponieważ nie sypiałam z klientami. Poza tym, niezależnie od uczuć, najwyżej sobie cenił swój liberalny sposób myślenia.

Pod koniec 1979 roku Hal, Victoria i ja przeprowadziliśmy się z p o w r o t e m do Perth, żeby być bliżej matki Hala. J a m e s i Caroline wrócili wkrótce p o t e m i przez jakiś czas mieszkaliśmy znowu razem we wspólnym d o m u . Caroline miała prawie siedem lat i chodziła do miejscowej szkoły podstawowej.

Wydawała się dzieckiem zdrowym i żywym, b a r d z o podnieconym tym, że znowu jest blisko swojej mamy. Natomiast z Victorią nadal nie mogły pobyć dłużej razem bez kłótni. Po latach obydwie zwierzyły mi się, że każda sądziła, że to ta druga jest bardziej kochana, i były zazdrosne.

Pracowałam nadal j a k o masażystka, wyposażywszy w tym celu pokój w domu. Robiłam masaż rozluźniający klientom, którzy tego chcieli, ale nie zgadzałam się na stosunek ani na to, żeby mnie obmacywali. U p i e r a ł a m się, że przy narzuceniu tych ograniczeń rozluźniający masaż w moim

wykonaniu nie będzie miał wpływu na nasz związek, i H a l się nie skarżył.

A m i m o wszystko mniej więcej w tym czasie p o d d a ł a m się operacji podwiązania jajowodów. Nie, żebym świadomie nastawiała się na swobodę seksualną, ale czy m o ż n a wykluczyć, że zdarza n a m się układać plany, które sami przed sobą trzymamy w tajemnicy?

•••

Gdybym tylko nigdy nie rozstała się z Halem...

Po tym, jak się kochaliśmy, rozluźniona n a p a w a ł a m się jego dotykiem, oddychałam swobodnie w pełni usatysfakcjonowana i wtedy był dokładnie tym, czym chciałam, żeby był.

Kochałam atmosferę, jaką wokół siebie roztaczał, kojącą i łagodną.

Nasi przyjaciele znosili do naszego d o m u przeróżny zepsuty sprzęt elektroniczny, żeby przekonać się, czy Hal zdoła go naprawić. Hal kładł na nim dłoń i w większości przypadków nic więcej nie było trzeba. Hal szczególnie kochał muzykę anielską i nagrywał wszystkie programy „ D r e a m t i m e ” Jaro-slava Kovaricka, które szły późną nocą na A B C F M . był znakomitym kochankiem, bardzo uważnym i wrażliwym - moim idealnym p a r t n e r e m do seksu.

Co więc strzeliło mi do głowy, żeby go zostawić?

Niewiele wiemy o tkwiącym głęboko w podświadomości scenariuszu, zgodnie z którym postępujemy, o projekcie ukrytym w naszej psychice. Czasem wydaje mi się, że wydarzeniami kierowały jakieś przekraczające moje zrozumienie i zdolność kontroli moce. Są tacy, którzy powiedzieliby, że to przejawiała się wola Boża, ale równie dobrze można to zjawisko nazwać niepowstrzymanym pragnieniem człowieka, by wzrastać, zanurzać się w chaosie w dążeniu do doskonałości.

A l b o m o ż n a na to spojrzeć nawet jeszcze prościej. Nie ma człowieka bez wad. A kobieta nie potrafi wytrwać przy mężczyźnie, jeżeli nie ma ochoty tych wad zaakceptować. Hal miał p e w n e cechy, które powodowały, że dosłownie chodzi

łam po ścianach.

Był pacyfistą, co między innymi znaczyło, że nie tolerował

żadnych ograniczeń narzucanych naszej córce. Dzięki swojej inteligentnej argumentacji potrafił z a m k n ą ć mi usta, a ja d o stawałam istnego szału z bezsilnego oburzenia na taką nieuczciwość.

- Kieszonkowe Victorii to mój prezent dla niej - dowodził - i nie powinno się go wykorzystywać do wywierania nacisku, by była grzeczniejsza. Wiesz sama, jak irytuje mnie nawet to, że uczy się dzieci mówić „przepraszam” i „dziękuję”.

To powinno wypływać s a m o z siebie, w innym przypadku wychowujemy dzieci zachowujące się fałszywie.

Tak więc Victoria uważała, że może być dla mnie niegrzeczna, że wolno jej nie pomagać w żadnych pracach domowych.

Moim zdaniem rozumiała to tak, że kieszonkowe dostaje w nagrodę za niegrzeczność, ponieważ napływało regularnie i obficie, niezależnie od tego, co robiła albo czego nie robiła.

H a l nigdy nie tracił panowania nad sobą, nawet gdy się wściekałam. Śmiał się tylko cicho, ciesząc się, że ma n a d e m n ą przewagę. Widział w moich oczach pogardę, a m i m o to ze mnie kpił. Nic nie podkopuje związku z większą skutecznością niż pogarda.

Pewnego dnia zostawiłam go wściekła, wprowadziłam się do pobliskiego d o m u i zabrałam ze sobą Victorię, k t ó r a już chodziła do szkoły. Po kilku miesiącach złość mi przeszła i wróciłam. P o t e m znowu odchodziłam od niego albo go wyrzucałam. Trwało to przez dwanaście lat, rozstania robiły się coraz dłuższe, nasza córka czasami mieszkała ze mną, czasami z nim, aż wreszcie H a l położył t e m u kres.

- Nigdy cię naprawdę nie kochałem - powiedział i tymi słowami zakończył całą sprawę na tydzień przed tym, zanim zrobił coś, czego - jak twierdził - nigdy w życiu nie zrobi: ożenił

się, i to z kobietą młodszą ode mnie o dwadzieścia jeden lat.

### Boża Ladaczka

Skoro byłam znowu na swoim, wolno mi było dogadzać klientom - i sobie - bez ograniczeń. Ale chciałam znaleźć natchnienie do pracy, podnieść „zabawę” na wyższy poziom.

Zaczęłam rozglądać się za jakimś szlachetnym motywem. J e

żeli kobieta czuje potrzebę, by *stworzyć* pozytywny motyw, czy nie próbuje przypadkiem ukryć mniej szlachetnych pobudek? Jeżeli musi fabrykować usprawiedliwienia, żeby nimi p o d b u d o w a ć swoje pragnienia, czy te pragnienia od początku nie budziły w niej wątpliwości? Wtedy o tym nie myśla

łam, chciałam jedynie znaleźć odpowiedni wizerunek, ideał.

Natchnienie spadło na mnie niespodziewanie na wystawie starożytnych chińskich waz w Perth. Zafascynowana ogląda

łam wymalowane na nich obrazy, przedstawiające chińskie mniszki, u b r a n e od stóp do głów, ale oferujące swą kobiecość wspaniale wyposażonym przez n a t u r ę mężczyznom, którzy wyglądali na wędrownych kupców.

Natychmiast wymyśliłam sobie opowieść o ludziach z waz.

Podróżując po całym kraju, ci kupcy oddalali się od swoich d o m ó w na długi czas - tak zaczynała się ta opowieść. W starożytnych Chinach społeczeństwo nie zakazywało odwiedzać mniszek mężczyznom, którzy do zrównoważenia swojej energii potrzebowali kobiecej energii *chi*. (Nie

wiedziałam, czy ich żony mogły zakazać im odwiedzania innych kobiet). D o szłam do wniosku, że właśnie o to tym mężczyznom chodzi

ło: o zrównoważenie energii w dużo zdrowszy sposób niż przez masturbację, która nie obejmowała wymiany z energią kobiecą. Taka prosta, naturalna mądrość; nieskażona wielowiekowym tabu dotyczącym seksu jak na Zachodzie.

Mniszki, tak rozwijała się moja podniecająca opowieść, potrzebowały mężczyzn dla swoich własnych celów. Ucieka

ły się do aktu płciowego, by w ekstazie medytować, a przy sposobności zarabiała w ten sposób na utrzymanie.

W tej kwestii obowiązywały pewne reguły. Było rzeczą niezbędną, żeby mniszka i jej klient podchodzili oboje do sprawy z odpowiednim nastawieniem emocjonalnym, aby wyzwoliły się w nich pożądane psychiczne i duchowe energie. Poprzez pełne szacunku nastawienie kupiec mógł uczestniczyć w duchowej ekstazie mniszki i odnieść z tego korzyść, tak sobie mówiłam z narastającym podnieceniem, a nawet ferworem, w miarę jak cel mojej pracy jawił mi się coraz wyraźniej.

Widziałam na tych obrazkach również młodszych mężczyzn. Wyobrażałam sobie", że to studenci. A więc studenci, którzy byli singlami, też mogli korzystać z usług mniszek. Ci chińscy studenci to nie żadne wsiowe buraki nieumiejące się zachować, a dzięki seksualnym k o n t a k t o m z mniszkami nabierali jeszcze więcej ogłady. Celem seksu nie jest dogadanie sobie, tylko osiągnięcie spokoju ducha. Fiu! Aż się na nogach chwiałam, kiedy ten film wyświetlał mi się w głowie; krew we mnie kipiała - teraz nic nie mogło mnie już p o wstrzymać.

Ta fantazja odpowiadała mi - i w tym cała rzecz, chociaż przypuszczam, że mogła również zawierać trochę prawdy.

Czy w Chinach w ogóle były kiedyś mniszki? Może buddyjskie? Wszystko j e d n o ; od tej chwili b ę d ę sobie wyobrażała, że jestem kimś, kto służy swoim klientom, kierując się przy tym wyłącznie czystym p r a g n i e n i e m zrównoważenia ich energii przez zaoferowanie im swoich cennych kobiecych soków. Będą ode mnie wychodzić z uczuciem spokoju, błogostanu i oczyszczenia - wydobędę z nich najlepsze cechy!

A w ramach rewanżu moi klienci mnie również zrobią dobrze.

Nie opowiedziałam ż a d n e m u z klientów o mojej wizji. Nie mogła ona ż a d n e m u z nich zaszkodzić, a nowe nastawienie się opłaciło. Przez długi czas - dopóki nie zapomniałam o tej wizji i nie zagubiłam się w bagnie rzeczywistości - byłam zadowolona.

Twórcze soki płynęły bez trudu z mojego serca i ciała. Mia

łam wrażenie, że moje dłonie ociekają łaską, a łono nektarem. Cieszyło mnie dotykanie i dawanie przyjemności, i zad o w a l a ! dotyk tak wielu różnych dłoni, języków, ciał.

Poznałam nawyki erotyczne wielu mężczyzn i z przyjemno

ścią zachęcałam ich do przejmowania inicjatywy. Jeżeli grzęzli w prozaicznych koleinach, p o m a g a ł a m im się z nich wydobyć. Ż a d n a pozycja nie była wykluczona i żadne miejsce: na brzegu stołu do masażu, na podłodze, na krześle, p o d ścianą. A l b o p o d prysznicem. Uwielbiałam myć niektórych moich klientów, czuć śliskość mydła między naszymi ciałami.

Pozycja misjonarska należała do najmniej przeze m n i e lubianych: nie dostarczała najintensywniejszych doznań. Po kojącym i zmysłowym masażu wolałam wdrapać się na mojego klienta, który wtedy był już aż n a d t o gotowy.

Praca mnie nie męczyła. Kiedy mężczyzna był dobrze wyposażony i n a p r a w d ę mi się podobał, to była czysta rozkosz, i otrzymywałam więcej, niż dawałam. M i m o to nie ze wszystkimi uprawiałam seks; a tylko z tymi, którzy zdobyli moje zaufanie i którzy mnie pociągali. Większości robiłam wysokiej klasy masaż, a na koniec koilał napięcie ich podnieconego członka.

Byłam zadowolona, kiedy klienci próbowali swoich sił

w masażu. Płacili za to, żeby mnie robić przyjemność! Niektórzy wcześniej brali lekcje, inni chcieli tylko głaskać moje ciało i dać mi rozkosz. Wiedziałam, że to dla nich okazja, by obejrzeć całe moje nagie ciało, pozwolić dłoniom wędrować powoli od stóp n a u d a i do najintymniejszego miejsca. Nie miałam nic przeciw temu, pod warunkiem że postępowali delikatnie - to była kluczowa sprawa - i przestawali, jak tylko ich o to poprosiłam.

Nigdy dotąd nie czułam się tak kobieca. Nieobarczona domowymi niesnaskami, mogłam przy moich mężczyznach być p r o m i e n n a , piękna i czuła, opiekuńcza i nieprzyzwoita.

Przyjmowałam głównie biznesmenów, niektórych sławnych: dwóch lekarzy, dentystę, spikera telewizyjnego, dwóch architektów, a czasem taksówkarzy, ludzi od przeprowadzek, piłkarzy, sportowców, muzyków - niekiedy zaś kogoś bezrobotnego, z kim osobno dobijałam targu. Byli Niemcami, H o l e n d r a m i , Francuzami, Chińczykami i Tajami, jak również Australijczykami.

Często zdumiewałam się przemianą, jaka dokonywała się na moich oczach. Mężczyźni, którzy przychodzili ze spuszczonego wzrokiem, powłócząc nogami, opuszczali mnie odprężeni i promienni. Wielu z nich nie widziało w sobie m a t e r i a ł u na kochanka: tacy, którzy byli p o d jakimś względem ułomni, cierpieli na jakąś c h o r o b ę ; byli b a r d z o niscy, chudzi albo niezdarni; a u wielu szwankowało po prostu poczucie własnej wartości. D a w a ł a m im to, co we mnie najlepsze, a oni wynagradzali mnie swoją przyjaźnią.

Nie jeden z moich klientów miał problemy z przedwczesnym wytryskiem. Nie potrafiłam im p o m ó c , chociaż b a r d z o się starałam. Żal mi ich było, bo d o s t ę p n a im była tylko ma

ła częśćka rozkoszy zmysłowych. Próbowalam rozluźnić te sztywne, spięte ciała, ale wystarczyło j e d n o dotknięcie, żeby ich podniecić, a głośnięcie w okolicy pośladków doprowadza

ło do orgazmu. M i m o to nie przestawali przychodzić; często z drobnymi p o d a r k a m i , jakby

chcieli przeprosić.

Lepiej mi szło z mężczyznami, którzy r z e k o m o cierpieli na impotencję. Często byli żonaci, ale ich problemy z erekcją i o r g a z m e m kończyły się, gdy mieli do czynienia z obcą osobą, która poświęcała czas, by pieścić ich muzyką, przyćmionym światłem i niespiesznym dotykiem, i nigdy nie mówiła, że coś jest z nimi nie w porządku.

„Umiejętnie i z z a a n g a ż o w a n i e m ” tak m o ż n a było przeczytać w moim ogłoszeniu w sobotniej gazecie, chociaż niezbyt często musiałam się ogłaszać. Po pierwsze, nie chciałam mieć za d u ż o pracy. Pieniądze, chociaż przydatne, r z a d k o bywały moim głównym celem. Gdyby chodziło mi o pieniądze, to n a p r a w d ę p o w i n n a m była otworzyć jakiś wyjątkowy burdel, ale na ten pomysł w p a d ł a m , kiedy było już dużo za późno.

Z moich bliskich i wieloletnich przyjaciół tylko jeden czy dwóch wiedziało, że kochają się z byłą zakonnica. Nigdy nie starałam się zbić kapitału na mojej przeszłości, bo nowa hybrydowa tożsamość była dla mnie czymś zbyt osobistym i świętym. Moje dłonie miały dar pobudzającego, ale i kojącego dotyku, dar niebios, który tak b a r d z o ułatwiał mi pracę, i dość mi było wiedzieć, że moi klienci czują się wyjątkowo dobrze. Często okazywali, jak wysoko mnie cenią, o b d a r o w u jąc kwiatami, czekoladkami albo muzyką.

Mel, który regularnie odwiedzał mnie w piątki po fajran-cie, nazywał mój dar „nakładaniem rąk”. Z a g l ą d a ł a m w jego grzeszne oczy p o d szopą rudych włosów i domyślałam się, że musiał kiedyś być księdzem, a przynajmniej klerykiem. Teraz naprawiał buty i był żonaty, ale robił takie wrażenie, jakby go życie jakoś wyrolowało. Nawet kiedy się śmiał, coś w głębi jego oczu wydawało się płakać.

Pewnego piątku rozbierał się akurat, by położyć się na stole do masażu, a ja zwierzyłam mu się, że byłam kiedyś zakonnica. Oczy mu się rozjaśniły, kiedy to usłyszał, i obdarował

mnie najpotężniejszym, najserdeczniejszym uściskiem.

Cieszyło go niespieszne nakładanie rąk, jakby to był rytuał oczyszczający, który mógł uzdrowić świat. Każde moje dotknięcie wydawało się rozpraszać zmęczenie Mela, aż wreszcie jego cera przestawała być ziemista i robiła się p r o m i e n n a .

• • •

Moi klienci często byli niezbyt szczęśliwi w małżeństwie, a nie mieli ochoty na awantury związane z rozwodem. Przystosowali się do życia w d o m u bez miłości, satysfakcji szukali głównie w pracy, a odprężenie seksualne i rozkosz dawały im anonimowe kobiety takie jak ja. Małżeństwa innych klientów po prostu się rozpadły - a oni zostawali ze zrujnowanymi sercem i rachunkiem bankowym i nie mieli ochoty ryzykować z następnym małżeństwem. Taniej i łatwiej było zapłacić prostytutce, która nigdy się nie zestarzeje i nigdy nie będzie zrzędzić - co za plus.

A niektórzy z moich klientów byli po prostu uzależnieni od seksu. Często mieli dziewczynę albo żonę, ale to im nie wystarczało. Należał do nich Luke. J a k o katolik czuł się niesłychanie winny, że

dogadza sobie zakazany seks, ale próby pozbycia się myśli o seksie skazane były na niepowodzenie. Nigdy nie spotkałam człowieka z większym mętlikiem w głowie.

Luke mówił, że kocha swoją młodą żonę i nienawidził tego, że ją zdradza, ale stosunki z nią ograniczały się do wypranej z namiętności rutyny. Kochał ją tak, że nie potrafił jej przelecieć. Dla niego współżycie ze śliczną żoną bez żadnych ograniczeń oznaczałoby zniszczenie czegoś cennego; sam taki pomysł wydawał mu się czymś odrażającym. Luke bez żadnych zastrzeżeń wierzył w koncepcję, że seks jest zły, a nie udało mu się go uświęcić przez małżeństwo - nadal myślał

o matce i Maryi Dziewicy, kiedy patrzył na swoją niewinną żonę. Tak więc potrzebował dziwki, którą mógłby przelecieć i w ten sposób uwolnić umysł od gnębiącej go obsesji.

Im bardziej miał sobie za złe, tym się robiło gorzej. Zwierzył się kiedyś księdzu i miał wrażenie, że mu to pomogło, dopóki ksiądz nie przyznał się, że sam cudzołoży z mężatką.

Luke zachodził do mnie tak często, jak mógł - kilka razy w tygodniu - więc zwykle brakowało mu pieniędzy. Pożalowałam go i drastycznie obniżyłam opłatę; jego wizyty u mnie były takie szalencze, takie krótkie. Chyba tylko jedno mogło przynieść mu na krótko coś w rodzaju ulgi: seks z kobietą, w której widział przeciwieństwo swojej cnotliwej żony. Jego dziki szal był jak żarliwa modlitwa o wyzwolenie od czegoś, co go opętało. Myślę, że czuł wdzięczność, że jestem dziewczyną, która nim nie pogardza.

Próbowałam dobić z nim targu.

- Zrobię ci powolny masaż, taki, który sprawia przyjemność, i masaż rozluźniający, więc nie będziesz miał poczucia winy i dostaniesz, co ci się za twoje pieniądze należy.

Zgadza się, a potem walczy! ze mną, żeby uprawiała z nim seks; raz prawie mnie zgwałcił. Wiedziałam, że potrzebuje pomocy, ale nie wiedziałam, jak mu to powiedzieć, dopóki nie dowiedziałam się o terapeutę, który pracował wy

łącznie z mężczyznami. Przekazałam Luke'owi tę informację w nadziei, że ją wykorzysta, ale kiedy się ostatni raz z nim widziałam, doradzało mu katolickie centrum w Adelajdzie. Powiedziałabym, że diabeł nie rezygnuje łatwo z tego, kto do niego należy.

Kiedy Matthews - wzięty, gadatliwy i arogancki prawnik -

przyszedł do mnie po raz pierwszy, niczego mu nie brakowa

ło. Poza tym że spędzał mnóstwo czasu, narzekając na swoją żonę i rodzinę - im brakowało bardzo wiele! Ale jego choroba - niewykluczone, że była to dystrofia mięśniowa z postępującym alzheimerem - jakoś szybko nadrobiła zaległości.

Kiedy ostatni raz z powrotem zakładałam mu pieluchę, miał

w kieszeniach zaledwie tyle pieniędzy, żeby starczyło na taksówkę do domu.

- Nie ma m o j e g o p o j e c i a , g d z i e s i ę t e w s z y s t k i e p i e n i ą d z e p o - d z i e w a j ą - u ś m i e c h a ł s i ę k o k i e t e r y j n i e c o r a z c i e ń s z y m i w a r g a m i . J a s i ę d o m y ś l a ł a m , b o w i e d z i a ł a m , Ź e o d w i e d z a z w y k ł e p r o s t y t u t k i . M a t t h e w b y ł Ź o n a t y d w a r a z y , o b a , j a k t w i e r d z i ł , w b r e w r o z s ą d k o w i . P e w n e g o b a r d z o g o r ą c e g o d n i a z a b r a ł

m n i e d o s i e b i e d o d o m u , g d z i e p o p ł y w a ł a m s o b i e w j e g o b a s e n i e , a o n p r z y g ł a d a ł m i s i ę s p o d c i e n i s t e j p e r g o l i .

Syrena - t a k m n i e n a z w a ł , a l e c h c i a ł , Ź e b y m s t a ł a m o c n o n a s w o i c h d w ń c h n o g a c h , k i e d y m n i e p r z y t u ł a ł . M a t t h e w n a j b a r d z i e j z e w s z y s t k i e g o p o t r z e b n e b y ł y u ś c i s k i .

W ś r ń d m o i c h p r z y j a c i ń c i ń z n a l a z ł a s i ę t r ń j k a s c h i z o f r e n i - k ń w . M i e s z k a l i o k i l k a d z i e l n i c o d e m n i e i p o d r ń z o w a l i r a z e m , Ź e b y z a o s z c z e d z i ć n a b e n z y n i e . M u l l e t , n a j t ę Ź s z y z n i c h i c h y b a n a j s t a r s z y , w i ą ł n a s i e b i e z a ł a t w i a n i e w s z y s t k i e g o i r o z m o w y . J e d e n p o d r u g i m w c h o d z i l i n a p ń l g o d z i n y , p ł a c i l i m i s t a w k ę d l a r e n c i s t ń w i c z e k a l i n a p o z o s t a ł y c h , Ź e b y r a z e m z n o w u p o j e c h a ć d o d o m u . K o c h a ł a m t y c h l u d z i . B y l i s ł o d c y , p r o ś c i i n i e w y m a g a j ą c y , t y l k o w d z i ę c z n i z a t o , c o d o s t a w a l i . N i e b y l i t a k m u s k u l a r n i j a k i n n i p a n o w i e a n i t a c y w s t y d l i w i , b a r d z i e j p r z y p o m i n a l i w i e l k i e d z i e c i a k i .

Z w y k ł e p r z y j e Ź d z a l i r a z n a d w a t y g o d n i e , a l e p e w n e g o d n i a z o r i e n t o w a ł a m s i ę n a g ł e , Ź e o d d ł u Ź s z e g o c z a s u i c h n i e w i d z i a ł a m . Z a d z w o n i ł a m d o M u l l e t a ( z o s t a w i ł m i n u m e r t e l e f o n u s w o j e j m a m y „ n a w s z e l k i w y p a d e k ” ) . K i e d y p o d s z e d ł

d o a p a r a t u , z a c z ą ł p o d n i e s i o n y m g ł o s e m p r a w i ć m i k a z a n i e :

- J a k m o g ł a ś t a k g r e s z n i e p o s t ę p o w a ć z t a k i m i f a c e t a m i j a k m y ?

W y j a ś n i ł , Ź e t e r a z n a l e Ź y d o J e z u s a , a j a j e s t e m j e d n ą z n a j g o r s z y c h o s ń b n a z i e m i , d e m o r a l i z u j ę l u d z i i p r a c u j ę d l a d i a b ł a . Z a b o l a ł o m n i e t o , a l e z r o z u m i a ł a m .

W k i l k a m i e s i ę c y p ń z n i e j M u l l e t z a d z w o n i ł , b y z a m ń w i ć w i z y t ę , t y m r a z e m t y l k o d l a s i e b i e . U d a w a ł , Ź e w s z y s t k o j e s t j a k d a w n i e j , z a n i m o d e z w a ł o s i ę w n i m p o i n f o r m o w a n e p r z e z r e l i g i ę s u m i e n i e .

- C o s i ę s t a ł o , M u l l e t ? - z a p y t a ł a m . - J e s t e m n i e d o b r y m c z ł o w i e k i e m , p a m i ę t a s z ? T a k m i p o w i e d z i a ł e ś . P o c o c h c e s z s i ę z e m n ą z o b a c z y ć ?

- Z m i e n i ł e m z d a n i e - b ą k n ą ł z m i e s z a n y i o d e t c h n ą ł z u ł g ą , k i e d y p o w i e d z i a ł a m :

- W p o r z ą d k u , z o b a c z y m y s i ę j u t r o .

W i z y t y u m n i e z a c z ę ł y g o z n o w u c i e s z y ć , c h o c i a Ź n i g d y j u Ź z n i e z o b a c z y ł a m j e g o d w ń c h p r z y j a c i ń c i ń . P o d z i w i a ł a m M u l l e t a , Ź e z a j ą ł t a k i e s t a n o w i s k o , k i e d y d w a j j e g o k u m p l e n a d a l t a p l a l i s i ę w p o c z u c i u w i n y .

P r z y p u s z c a m , Ź e k ą d z a d z i w k a m a s w o j e g o n a m i ę t n e g o k o c h a n k a . M o i m b y ł b a r d z o w y s p o r t o w a n y m ł o d y d e n t y s t a , n i e m a j ą c y Ź a d n y c h s k r u p u ł ń w z i ą z a n y c h z e s w o i m p o t ę Ź n y m l i b i d o . J a k t y l k o o t w i e r a ł a m d r z w i t e j t r ą b i e p o w i e t r z n e j w l u d z k i e j p o s t a c i , u b r a n i a z a c z y n a ł y f r u w a ć . W i d z i a ł a m t ę b a n a ł n ą s c e n ę w i e l o k r o t n i e n a f i l m a c h , a l e N e v i l l e n i e b y ł



żadnym a k t o r e m . Na swój sposób on również był uzależniony i opętany - różnica między nim a Lukiem polegała na tym, że nie wyznawał żadnej religii i dlatego nie dręczyło go sumienie. Z wielkim zapałem Neville całował mnie non stop, prowadząc mnie do sypialni, rozpinając na nas ubrania, upuszczając je po d r o d z e na ziemię. Potrafił mieć orgazm sześć razy na godzinę. Musiałam go powstrzymywać, kiedy wszystko już mnie bolało, i wypychać do łazienki. Nawet kiedy wychodził, wyciągał r a m i o n a po jeszcze, bez krawata, w rozchełstanej koszuli.

Neville należał do niewielu ludzi, z którymi w ogóle się ca

łowałam. Niewiarygodnie podejrzliwie podchodziłam do pocałunków. Wielu moich klientów czuło się rozczarowanych, ale nie mogłam się przemóc. Dla mnie pocałunek musiał być szczerym wyrazem *mojej* namiętności. Sympatia czy przyjaźń to za mało; jeżeli podawałam komuś usta, oznaczało to, że doszło do czegoś więcej niż seks za pieniądze - musiało zaistnieć partnerstwo równych sobie ludzi. Równych w pożądaniu, jeżeli nie w miłości. Gdyby moje usta nie miały być szczerze, mogłam równie dobrze zrezygnować całkowicie z wszelkiej uczciwości. Moi klienci musieli po prostu pogodzić się z tym, że jeżeli brak było tego składnika ekstra, to niezależnie od tego, jak przyzwyciężyli się w stosunku do mnie zachowywali, nie przekonają mnie, bym obdarowała ich czymś więcej niż przyjazne cmoknięcie.

Z a d a w a ł a m sobie wiele trudu, żeby w moim pokoju było przyjemnie, ciepło i czysto, a stół do masażu był wspaniale wygodny. Używałam wysokogatunkowych olejków, różowych ręczników, a muzyka klasyczna dodawała mojej pracy poezji.

Miękkie różowe światło małej lampy tworzyło intymny nastrój. Cudownie też podkreślało moją cerę, bo do twarzy mi w różowym. Często d o d a w a ł a m jeszcze do tego świeczkę i kilka kwiatków w małym wazonie. Pewnego razu przemałowałam pokój na kolor intensywnie różowy i kupiłam zasłony p o d kolor. Kiedy moim bosym stopom przestał odpowiadać dotyk nylonu, kazałam położyć wykładzinę z nowozelandzkiej wełny. Właściciel d o m u był przerażony. Na szczęście schowałam t e o k r o p n ą szarą nylonową wykładzinę w szopie i rzuciłam ją z powrotem na podłogę, zanim opuściłam jego nieruchomość.

Zawsze miałam słabość do muzyków, ale kiedy poznałam Pietra, zawojował mnie z miejsca. Piętro był W ł o c h e m ; poza tym był egzotyczny, ekscentryczny, rozpuszczony i niestety dosyć cyniczny. Był niski, ale poruszał się pięknie, jakby miał

na sobie osiemnastowieczne jedwabie. Był utalentowany i drażniąco przystojny, ale m i m o to biedny i niedoceniony.

Jego cyniczna reakcja na brak uznania graniczyła z a u t o d e - strukcją.

Mając Pietra na stole do masażu, pozwalałam hulać mojej wyobraźni. Jeśli o mnie chodzi, miałam do czynienia z kimś z przeszłości. Wielka szopa kręconych włosów - lwia grzywa

- chociaż Piętro był ognistym, pewnym siebie B a r a n e m , a nie Lwem, zuchwałe oczy, zmysłowe

usta, szerokie, ale bez przesady, perfekcyjne zęby i ten swobodny uśmiech - wszystko to w sumie powodowało, że widziałam w nim reinkarnację mojego ukochanego Mozarta.

Dygocąc, próbowałam opisać swoje uczucia; dosłownie brakowało mi tchu. Na policzki wypłynął szkarłatny rumieniec, a wywołał go nie sam wysiłek fizyczny w to późne lutowe popołudnie. Zaniepokojona, by nie wydać się nerwową, nieśmiałą, nadmiernie podnieconą kobietą w średnim wieku, starałam się wrócić do profesjonalnego podejścia. Skoncentrowałam się, by porządnie zająć się plecami i nogami Pietra, który leżał na brzuchu na stole, zapadając się w miękką wy-

ściółkę. Tymczasem mistyczna atmosfera tej chwili trwała...

Widziałam ostatnio film „Amadeusz”, dwa razy. Zachwyciła mnie lekkomyślna, szelmowska strona charakteru Mozarta, i identyfikowałam się z jego uwielbieniem dla piękna, jego niegospodarność i lękiem przed ojcem, nawet kiedy ten ojciec już nie żył. Dzięki filmowi człowiek wraz z jego muzyką wydał mi się tak bliski, tak prawdziwy - zakochałam się w geniuszu Mozarta.

Amadeusz - chciałam powiedzieć: Piętro - odwrócił się.

Otworzył jedno zaciekawione oko, by zobaczyć, kto gra na jego ciele tak, jak on gra! na fortepianie. Uśmiechnęłam się z nadzieją, że przynajmniej z pozoru udało mi się opisać emocje, a on znowu zamknął oczy. Przyglądałam mu się. Wyglądało na to, że namomentem pogрузił się w zamyśleniu, a potem zapytał:

- Czy wiesz, dlaczego ludzie do ciebie przychodzą?

- Mogę się domyślać - odpowiedziałam. - A powiedziałbyś mi, jakie ty masz powody?

Odpowiedź Pietra była powolna i ospała, oczy miał ciągle zamknięte.

- Żeby poczuć dotyk. - W tych trzech słowach przekazał

mi, ile udręki kryje się w jego ciele i jak mu teraz jest przyjemnie. Przez chwilę milczał, a potem dodał z cichym westchnieniem: - Żeby złagodzić trochę grozę życia.

Czy miał na myśli grozę swojego osobistego życia? Piętro był żonaty - zauważyłam obrączkę między innymi pierścieniami na jego przepięknych palcach. Wyobraziłam sobie burzliwą miłość: on, zbyt zaborczy w stosunku do kobiety, którą kochał; ona zazdrosna, jeżeli choć kątem oka spojrzeł

na inną...

Piętro przerwał moją zadumę.

- Nie wiesz - odezwał się, ale nie chciał mi powiedzieć więcej. Dramatycznym gestem zakrył uszy rękami. Ten gest był tak mozartowski - a przynajmniej tak zgodny z moim wyobrażeniem o kompozytorze - że dech mi zaparło. Może słuchał, jak niepostrzeżenie nadciąga smętny koncert fortepianowy nr 27.

- Albo ci się nie podoba moja muzyka - pozwoliłam sobie zauważyć (z magnetofonu płynęły ciche dźwięki „ b a m b o o musie”) - albo nie chcesz słyszeć własnych myśli.

Odpowiedział, że muzyka mu się podoba; jakie więc były te przerażające historie, od których jego umysł nie potrafił

się uwolnić? Wyczuwałam, że użala się nad sobą i pełen goryczy wyolbrzymia doznane krzywdy. Piętro zapłacił mi z góry, mamrocząc, że tak naprawdę nie stać go na ten masaż.

Może mógłby uczyć muzyki moją córkę w zamian za masaże, zaproponowałam.

- Nie liczę sobie tak słono jak ty - zażartował i nie podjął

propozycji.

Kiedy wyszedł, zastanawiałam się, skąd mi się wziął ten dziki pomysł, że Piętro to współczesny Wolfgang Amadeusz M o zart. Zadzwoił telefon. Dzwonił mężczyzna, którego ostatnio poznałam na warsztatach, aby zaprosić mnie na kawę. To czysty zbieg okoliczności oczywiście, ale na imię miał Wolfgang!

M i a ł a m stałych klientów, przy których czułam się swob o d n i e . J a k przy Danielu, k t ó r e g o na swój prywatny użytek nazywałam Wielkim D a n e m , ponieważ był o l b r z y m e m .

Podczas swojej pierwszej wizyty zostawił obszerny ślad z b o k u na m o i m nowym stole do m a s a ż u - p ó ł o k r ą g ł e zagłębienie po o g r o m n y m tytku! Kiedy się ubierał po prysznicu, przysiadł na składanym stole, żeby włożyć skarpetki. Stół

natychmiast się zapadł, a wraz z nim tyłek Wielkiego D a n a , w wyniku czego powstało to, co nazywałam później Wielkim K r a t e r e m .

Dziwię się, że stół nie zapadł się od razu, kiedy D a n rzucił

się na niego przed masażem. Stałam z otwartymi ustami, zastanawiając się, czy stół wytrzyma takie obciążenie. Przyszło mi na myśl, że schodzenie ze stołu m o ż e być większym p r o b l e m e m , ale D a n był n a p r a w d ę pomysłowy. Turlał się i przekręcał w taki sposób, że beznadziejna operacja przeniesienia tony ludzkiego ciała z pozycji horyzontalnej do wertykalnej zamieniała się w dziecinną zabawę.

D a n , niczym otyły cherubinek, leżał na moim stole, a fałdy tłuszczu przelewały się od brzegu do brzegu. Delikatnie m n ą kierował, żeby osiągnąć m a k s i m u m korzyści i przyjemności. Ponieważ był otyły i mówił przyciszonym głosem, wyobrażałam sobie, że ludzie często mogą traktować go ze współczuciem i protekcjonalnie. A D a n wcale tego nie potrzebował ani nie chciał, bo był mężczyzną pomysłowym i rozważnym, b a r d z o dobrze przystosowanym do swoich rozmiarów - przynajmniej wtedy, w czasach swojej młodości.

Nie przypominał żadnego z moich wcześniejszych ani późniejszych klientów; nikt nie mógł się z nim równać, jeśli chodzi o czystą zmysłowość. Doszłam do wniosku, że D a n dlatego przybrał takie

rozmiary, żeby odczuwać więcej przyjemności.

Był zachwycony, kiedy głaskałam go delikatnie po karku, po uszach, po głowie - równie dobrze mogłabym wymienić wszystkie części jego ciała. Ta ogromna uciecha działała jak magnes: wciągała mnie w osobliwy zaklęty krąg, w inny wymiar, gdzie to co stale stawało się płynne. Moja wrażliwość zwiększała się, żeby dorównać jego wrażliwości. Wstępowałam do świata Wielkiego D a n a .

Godzina naładowana orzeźwiająca energią błyskawicznie minęła. Czułam, jak D a n drży z radości pod każdym moim dotknięciem. W porównaniu z resztą ciała jego penis nie był otłuszczony; z godnością dystansował się od reszty D a n a .

Oczywiście ze względu na tuszę n o r m a l n e współzycie było niemożliwe. Ale z łatwością d o p r o w a d z a ł a m go do orgazmu.

Brak słów, by opisać rozkosz D a n a . Wyczuwałam ją w czubkach palców, w drganiach, które jak maleńkie fale pływowe przepływały przez jego ciało, kiedy szczytował.

Kiedy przycupnął na skraju mojego stołu do masażu i go złamał, po prostu przeprosił, a ja przeprosiłam, że tak się poturbował, i odtąd zadowalał się siadaniem na krześle. D a n nie dawał się łatwo wytrącić z równowagi; przystosował się do swoich olbrzymich rozmiarów i nie czuł się winny.

Przy mężczyźnie takim jak D a n , który potrafił bez reszty o d d a ć się rozkoszy, zdarzało mi się przyłapać na tym, że z nadmiaru zmysłowości zalewam się nie wiedzieć czemu łzami. W jego towarzystwie czułam się tak, jakbym leżała na polu rozkoszy, wibrując w rytm wszechogarniającej muzyki, raz za razem zbliżając się do orgazmu - a cała moja działalność mogła sprowadzać się do głaskania go po nodze.

Każdej dziwce potrzebny jest dobry człowiek od przeprowadzek. Ja miałam takiego, mocnego i wielkodusznego, imieniem Brett, który zdumiewał mnie swoimi opowieściami o szczęśliwym życiu domowym, milej żonie i malutkiej córeczce. Nigdy nie zapytałam go, po co mu jestem potrzebna. Myślę, że przychodził do mnie, żeby uatrakcyjnić sobie życie. Brett był inteligentnym, ale nieskomplikowanym, praktycznym człowiekiem.

Ciągłe dźwiganie mebli to ciężka praca fizyczna, i mocny terapeutyczny masaż pomagał mu utrzymać się w formie. Oczywi

ście nigdy się na tym nie kończyło. Rozluźniający masaż to był

tylko lukier na torcie - a może wręcz odwrotnie? Czy przychodziłby do mnie, gdybym nie prowadziła zakładu, w którym proponuje się odprężenie? Naprawdę nie wiem.

• • •

Kiedy na scenie pojawił się Albert, kierowca ciężarówki 0 twarzy dziecka, nie wiedziałam, jak z

nim postępować. Odpowiedział na moje ogłoszenie „Umiejętnie i z zaangażowaniem” i oznajmił, że potrzebuje zaangażowania, ale czy zechciałabym spuścić mu lanie? Do tego stopnia nie wiedzia-

łam nic o takich formach seksualnego pobudzenia, że się przeraziłam. Przypomniałam sobie jednak, jaką przyjemność sprawiało mi kiedyś biczowanie nóg. A bicie to było właśnie to, o co chodziło Albertowi, mocno, po pośladkach, paskiem od spodni. Tłumaczył, że dobrze mu to robi na krążenie, i patrzył na mnie z taką nadzieją, że zgodziłam się, chociaż niechętnie.

Położył się twarzą do dołu na moim stole, a ja przyłożyłam mu paskiem w spore pośladki, które były pryszczate i pokryte niezwykle szorstką skórą. Ciało Alberta zadrżało z bólu i zadowolenia. Podziękował mi i poprosił o więcej i mocniej.

Miałam silne ręce i wkrótce na jego rozdygotanym ciele pojawiły się czerwone pręgi.

- Mocniej! - zawołał znowu. Nie było wątpliwości, że coś mu to daje. Po tym poprosił, żebym, bijąc go, krzyczała, że jest niegrzecznym chłopcem.

- Niegreczny chłopiec! Jesteś bardzo niegrzecznym chłopcem i muszę ci spuścić lanie! - powtarzałam, dopóki nie poczułam się wykończona. W końcu Albert zaczął skomleć i wtedy przerwałam. Nie przyniosło mi to żadnej satysfakcji, poza zaspokojeniem ciekawości. O co tutaj chodziło?

I do czego to miało prowadzić?

Albert zszedł ze stołu z miną dziecka, które dostało lanie, bo było niegrzeczne. Teraz podszedł do mamusi, żeby mu przebaczyła i pottrzymała go na kolanach, i uspokoiła.

- No, no - powiedziałam, kiedy niepewnie usadził swój obszerny tyłek na moich kolanach - jesteś teraz grzecznym chłopcem i mamusi a cię kocha. - Dopiero wtedy był w stanie poddać się masażowi i pozwolić, żebym kręmiła go łagodnym głaskaniem uśmierzyła ból.

Widziałam się z Albertem kilkakrotnie, ale za każdym razem żądał coraz surowszych kar - chciał, żebym go coraz mocniej biła. W końcu nie byłam już w stanie tego robić.

Nie znosiłam takiego gonienia za własnym ogonem, które do niczego nie prowadziło. Albert był zalamany. Żał mi by-

ło dziecka w nim, które tak się do tego przyzwyczyło, że teraz nie potrafiło sobie wyobrazić niczego innego, ale da-

łam jasno do zrozumienia, że nie tak przywykłam traktować ludzi.

W pierwszym okresie mojej nowej pracy pokonałam w-

śniejsze opory i zaczęłam się masturbować. Przez tyle lat wzdrygałam się przed tym, a teraz przekonałam się, że jest to zdumiewająco łatwe i przyjemne.

- Jak to możliwe, żeby seksualnie wyemancypowana kobieta nie potrafiła się masturbować? - mawiał Hal, rzucając mi równocześnie wyzwanie. Zawsze uważałam, że masturbacja jest czymś, co się robi, jeżeli człowiek jest w desperacji i jest samotny. To nienaturalne, myślałam, więc sama uzależniłam swoje szczytowanie od kochanków.

Pewnego sobotniego wieczoru, kiedy byłam sama w domu, ubrałam się w koronkowe majteczki, skąpy stanik i jedwabny szlafroczek, zapaliłam kilka świec, złapałam długie lustro i położyłam je na podłodze. Wzięłam specjalny, pachnący ró

zami olejek i uklękłam przed lustrem z rozchyłonymi kolanami i rozpiętym szlafroczeniem. Lubiłam stopniować podniecenie, powoli odsłaniać piersi i delikatne części ciała, sutki i miękkie wargi sromu. Moja dłoń tylko częściowo odsunęła szlafroczek, tylko częściowo stanik, jakby rozbierał mnie niewidzialny kochanek. Przyłapałam się na tym, że odgrywam rolę mężczyzny podniecającego kobietę. Moje ciało budziło we mnie namiętność.

Wymyśliłam postać, którą nazwałam ojcem Kennedym, i wyobrażałam sobie, że ma on ciemną skórę, w której uwielbia pieprzyć siostrę Mary Carlę na stole do wywoływania zdjęć.

*Ojciec Kennedy przyglądał się, jak do niego podchodzę. Była przerwa w szkole podstawowej, w której uczyłam. Wiatr poderwał welon i wymachiwał nim wokół mojej głowy, jakby na powitanie.*

*Upięłam czarny szal na plecach. Świadoma byłam, że ubranie, którym wiatr mnie oblepił, pozwala domyślać się kształtów nóg i bioder oraz małych jędrnych piersi ze sterczącymi sulkami.*

*Kiedy się zbliżałam, ksiądz przypomniał sobie, że kieszenie w moim habicie są bez dna - odcięłam na dole materiał - i że może sięgnąć przez nie rękami w dół, niżej i niżej...*

*Czekał na mnie przy drzwiach do pokoju, w którym wywoływał zdjęcia - i gdzie mnie brał. Pragnąc pokazać, jak swobodnie się czuje, ruszył w moim kierunku dopiero wtedy, kiedy by*

*łam blisko, a potem zawrócił, żeby kroczyć obok mnie.*

*Był w sutannie. Ten strój zaprojektowany został tak, żeby zacierał kształty ciała, ale wiatr kpił sobie ze wszystkich pozorów.*

*Więc ojciec Kennedy odwrócił się tyłem do wiatru, kryjąc się przed oczami ciekawskich.*

*Jego prawa ręka trafiła do jednej z moich bezdennych kieszeni i zobaczył, że oczy rozszerzyły mi się i pojaśniały, kiedy trafił*

*palcami na miejsce, którego szukał.*

*Teraz musi mnie zabrać do środka albo cały świat dowie się, że jego penis ożył.*

*W czerwonym świetle atelier łagodnie położył mnie na stole na środku pokoju i zadął mi do góry spódnicę, by polizać moje niecierpliwe łono.*

*Latwo mu było unieść sutannę i zanurzyć we mnie swój lśniący penis. Rozpiął guziki przy moim staniku, żeby odsłonić falujące piersi. Sutki nie mogły się doczekać, kiedy dotkną ich jego palce, kiedy polize je jego język, kiedy delikatnie zaczną je ssać jego usta. Objął dłońmi moje piersi i pochylił się, by poca*

*lować mnie prosto w usta, uciszając mój krzyk, kiedy szczytowałam, i unosząc mnie ku sobie.*

*Zadzwonił dzwonek, ogłaszający koniec przerwy. Pozapina-*

*łam guziczki, odpięłam szal i skromnie się nim owinęłam. Pocałunek na do widzenia i wyszłam z ciemni, żeby przylączyć się do moich podopiecznych.*

*Ojciec Kennedy niespiesznie pochylił się nad kuwetę z kąpielą wywołującą. Jego zdjęcia kościoła parafialnego wychodziły bardzo ładnie...*

Mój orgazm by} przeciągły, siodki i satysfakcjonujący.

Tej nocy nie opuszczało m n i e w snach przyjemne uczucie, że czegoś d o k o n a ł a m . Śniło mi się, że znowu j e s t e m nowicjuszka, która co tydzień chodzi do lasu z kilkoma innymi siostrami, żeby spotykać się z młodymi ludźmi, którzy w sąsiadującym z n a m i klasztorze uczyli się na księży.

Wszyscy angażowaliśmy się w j e d n ą wielką eksplozję seksualnej energii.

Obudziłam się z tego ekstatycznego snu z uczuciem rozkoszy i głośno śmiałam się, że wybrałam akurat takie obrazy, aby się podniecić. Wiedziałam, że na ogół trudno spotkać mniej interesujących mężczyzn niż księży. Sublimacja seksualności zdawała się powodować, że wysychali albo robili się świątobliwi w taki sposób, że rzygać mi się chciało.

Z a k o n n i c o m powodziło się niewiele lepiej. Zbyt często d a n e im od Boga kobiece soki wysychały, pozostawiając blade zmarszczki. Rzeźbiarz Bernini inaczej to widział, jeśli sądzić po posągu świętej Teresy w Watykanie, ale ile współczesnych zakonnic tak wyglądało? Z a k o n n i c e takie jak Teresa z Avila czy Hildegarda z Bingen d a w n o wymarły.

•••

Pewnego razu zrozumiałam wreszcie, dlaczego moi klienci tak b a r d z o lubią, by głaskać ich w okolicy odbytu, nawet ci najbardziej konserwatywni, a niektórzy lubią nawet, by leciutko się w niego zagłębiać, i dlaczego homoseksualistów może w pełni zadowalać stosunek analny. Po prostu któregoś dnia podczas wypróżnienia sama to poczułam. Moje ciało po latach zaparć nie miało żadnego p r o b l e m u z wydalaniem, a do tego w trakcie doznałam orgazmu analnego. Oczywiście nigdy nie zgadzałam się na seks analny. Kiedy byłam z jednym z alfonsów, kiedyś tego próbował, ale tak bardzo mnie bolało i tak żałośnie płakałam, że dał spokój. Tylko raz j e d e n z klientów zapuścił się w stronę mojego odbytu, kiedy uprawialiśmy seks „na pieska”.

- Pomyliłeś dziurki, kolego - tyle wystarczyło.

Byłam szczęśliwa. Przy moich klientach osiągnęłam to, co się niewielu ludziom udaje w

małżeństwie: życie, w którym znalazło wyraz moje najgłębsze ja. Byłam hojną boginią, a mężczyźni obdarowywali mnie boskim n e k t a r e m .

Stosunki z większością klientów sprawiały mi przyjemność, a do niektórych byłam serdecznie przywiązana. D a r z y ł a m m o i c h k l i e n t ó w u z n a n i e m - a p r z y n a j m n i e j d a r z y

ł a m u z n a n i e m t o , c z e g o s i ę o n i c h d o w i a d y w a ł a m w t y m k r ó t k i m c z a s i e , k t ó r y s p ę d z a ł i ś m y r a z e m . J e s z c z e w a ż n i e j s z e b y ł o t o , ż e o n i c h y b a r ó w n i e ż m n i e s z a n o w a ł i . W y p o w i a d a ł i n i e w i e l e s ł ó w , a l e c z u ł a m i c h z r o z u m i e n i e i ż y c z l i w o ś ć .

- Lubię to twoje wyjątkowe dotknięcie, Carlo.

- Czuję się przy tobie swobodnie.

- Robisz mi cudowny masaż, a poza tym powodujesz, że czuję się znakomicie.

Takie między innymi słowa były zadowolającą odpowiedzią na nieustanne pytanie: Czy jestem na dobrej drodze?

Ci mężczyźni dawali mi pieniądze, ale nigdy żaden z nich nie zaprosił mnie na kolację ani nie chciał, by widziano go ze mną w miejscu publicznym, i co wieczór chodziłam spać sama, kiedy żyłam w separacji z Halem. Dość było tego, że kochało mnie potajemnie kilku mężczyzn, że doprowadzali mnie do orgazmu codziennie, a nawet dwa razy dziennie - niektórzy z panów ośmielali się mówić, że to ja *im* powinnam płacić.

Moja niezależna n a t u r a nauczyła się doceniać fakt, że nocą d o m m a m dla siebie. Victoria często wolała zostawać u ojca; w ten sposób było n a m o b u ł a t w i e j . S k o ń c z y ł a m c z t e r d z i e ś c i c z t e r y l a t a , a l e w y g ł a d a m c o n a j m n i e j o d z i e ś ć l a t m ł o d z i e j . N i g d y n i e c z u ł a m p o t r z e b y , b y s e p a r o w a ć s i ę o d s w o j e j p r a c y i z a ż y w a ć d r a g i , p a l i ć c z y p i ć . B y ł a m z d r o w a i s ą d z i ł a m , ż e m a m t o w s z y s t k o n a z a w s z e .

Waza pęka

Phil, mężczyzna przysadzisty, m o c n o z b u d o w a n y , w w i e k u o k o ł o p i ę d z i e ś c i u p i ę c i u l a t , l e ż a ł n a s t o l e d o m a s a ż u .

Oczy miał zamknięte i głośno oddychał. Był jednym z moich stałych klientów i zajmowałam się jego plecami, karkiem i nogami z dużym zaangażowaniem. Odwrócił się teraz na plecy, a ja przystąpiłam do pracy nad jego nogami, torsem oraz najważniejszą częścią - jego penisem.

Z n a ł a m s i ę n a c i a ł a c h . A c i a ł o P h i l a p r z e z o s t a t n i e p ó ł g o d z i n y c i e r p i a ł o k a t u s z e z p o ż a d a n i a . P o z n a ł a m t o p o l e k k i m , p o d ś w i a d o m y m u n i e s i e n i u m i e d n i c y , w y w o ł a n y m n i e t y l k o m o i m d o t y k i e m , a l e i n i e z a s p o k o j e n i e m . P h i l p r z y c h o d z i ł d o m n i e , p o n i e w a ż p o t r a f i ł a m u w o l n i ć g o o d t e g o s t r e s u , r ó w n o c z e ś n i e d a j ą c m u n a j b a r d z i e j i n t e n s y w n ą r o z k o s z , j a k i e j w ż y c i u d o z n a ł - s p o t ę g o w a n y o r g a z m . P o l a t a c h p r a k t y k i w i e d z i a ł a m , g d z i e z n a j d u j ą s i ę c z u ł e m i e j s c a , g d z i e z w i ę k s z y ć n a c i s k ; k i e d y z w o l n i ć , a k i e d y p r z y s p i e s z y ć . U m i a ł a m d o p r o w a d z a ć d o t e g o , ż e f a ł a e n e r g i i p o w o l i r o ś ł a ,



opadała, p o t e m znowu rosła i znowu.

Phil bliski był m o m e n t u szczytowania; oczekiwałam, że znacznie narastać w nim uczucie najwyższej rozkoszy. Moje dłonie doprowadziły go do wspaniałego orgazmu. Z pewnością lepszego niż ten, który ostatnim razem osiągnął przy żonie, co zdarzyło się, jak mi się zwierzył, kilka miesięcy temu. Powinien poczuć się szczęśliwy, ale usłyszałam odgłos, którego się nie spodziewałam: Phil zakrył jedną ręką oczy i próbował

zdusić rozdzierające łkanie. Spoglądałam ze zdziwieniem na jego trzęsące się ciało.

Nie wiedziałam, co robić, więc sięgnęłam po ręcznik, żeby osłonić jego nagość i cierpienie. Łagodnie położyłam mu dłoń na czole, otworzył oczy i zobaczyłam w nich bezbrzeżny smutek. Wystarczyło j e d n o spojrzenie, żebym zrozumiała, że poczuł się nieskończenie bardziej samotny teraz, po zaznaniu rozkoszy. Ten wyciek energii seksualnej dowiódł mu, jak puste jest życie bez miłości, bez prawdziwej bliskości.

Pomogłam Philowi usiąść. W milczeniu okręcił się w pasie ręcznikiem i udał się pod prysznic.

Coś z uczuć Phila przedostało się do mojego wnętrza, a ja nie zrobiłam nic, żeby t e m u zapobiec. Niezależnie od tego, czego szukał Phil i co dostał o d e mnie, nie o to mu chodziło.

Okazało się, że największa rozkosz wytworzyła największą pustkę. Poczułam niepokój. Na chińskiej wazie, symbolu, który sobie wymyśliłam, pojawiło się pęknięcie.

Przecież, mówiłam sobie, nie wszyscy moi klienci są tacy jak Phil, nie wszyscy przychodzą do mnie z nierealistycznymi oczekiwaniami. Ale na p e w n o , odezwał się inny głos, dla wielu z nich zmysłowy masaż zastępuje prawdziwe kontakty. J e

żeli tak, to nasze kontakty opierały się na fałszywych przesłankach.

*Fałszywych!* Czy to p r a w d a , że mężczyźni, którzy do m n i e przychodzili, utożsamiali seks z miłością, a nawet z czułą o p i e k ą ? Jeżeli tak, to im większej n a b y w a ł a m w p r a wy w usługach erotycznych, tym mocniej utwierdzałam ich w tym złudnym przeświadczeniu! Chciałam przy pracy być prawdziwą o s o b ą nawiązującą prawdziwe kontakty. Niekiedy d o c i e r a ł o do m n i e , że moja fantazja o chińskiej mniszce nie jest prawdziwa. O c h , wszystko to było takie zag m a t w a n e !

Straszliwa myśl - zbyt straszliwa, by dłużej się nad nią zastanawiać - napłynęła mi prosto do mózgu: *Mogłaś jeszcze bardziej pogłębiać alienację swoich klientów. Mogłaś wzmacniać ich niezdolność do nawiązywania bliskich kontaktów i utwierdzać ich w braku zaufania do siebie...* J a k kiedyś Ewa słysza

łam węża w ogrodzie, ale w przeciwieństwie do Ewy nie potrafiłam dostrzec, skąd dochodzi jego głos. Wiedziałam jednak, że muszę d o k o n a ć wyboru między d o b r e m a z ł e m .

Gdybym tylko potrafiła odróżnić j e d n o od drugiego.

Po spotkaniu z Philem coś się zmieniło. Niczego teraz nie pragnęłam bardziej niż być prawdziwą. R o z u m o w a ł a m następująco: żeby nauczyć się, jak być prawdziwą, muszę dokładniej zdefiniować, co jest dobre, a co złe. Pod koniec 1969

roku pozbyłam się mojego chrześcijańskiego Boga i nie zastąpiłam go żadnym innym. Czułam teraz, że czegoś mi brakuje, tęskniłam za czymś, czego nie zaspokajała moja praca.

Musi gdzieś istnieć jakaś mądrość, wykraczająca poza p r o p o z y c j e kościoła katolickiego; po prostu jeszcze na nią nie trafiłam. Pragnęłam ostatecznej prawdy, czegoś, czemu mogłabym o d d a ć się bez reszty.

Prawda, że nie zaniedbałam całkiem poszukiwań. Przy Halu zainteresowałam się metafizyką i zaczęłam studiować grube tomy m a d a m e Blavatsky poświęcone wiedzy ezoterycznej. Teraz przyjął zaproszenie J u n e - kobiety, którą poznałam w księgarni - żeby pojechać z nią na wieś i tam trochę pomieszkać. Byłam wdzięczna, że mogę się wyrwać i trochę odetchnąć od emocji związanych z pracą. Czysz za tymczasową chałupkę położoną w niewielkiej odległości od głównego d o m u (gdzie mieszkała J u n e ) miał być niski. D o m June był jednocześnie wiejską pocztą,

sklepem z kanapkami i stacją benzynową. Spodziewałam się, że przemieszkam tam jakieś sześć miesięcy i oddałam swoje meble do magazynu.

Poza tym wykorzystałam ten czas, żeby usunąć niektóre żyłaki. Wystarczająco długo już znosiłam ból i oszpececie moich nóg, więc poszukałam cieszącego się dobrą opinią specjalisty. Kazał mi stanąć na krześle, zdrzeć sukienkę i powoli się obracać.

- H m , warto się tym zająć - podsumował, ale uprzedził

mnie, że nie będzie to proste. - Przez co najmniej dwa miesiące, kiedy naczynia krwionośne będą się przystosowywać do nowych arterii, będzie pani odczuwać silne bóle.

- Z radością pomasuję ci nogi, żeby przynieść ulgę w bólu - powiedziała J u n e swoim słodkim, jasnym głosem. Była uzdrowicielką i kobietą wielkoduszną.

Victorii i mnie p o d o b a ł o się nasze nowe otoczenie. Victoria znalazła przyjaciółkę w córce J u n e i uwielbiała n a u k ę jazdy na koniach sąsiada. Obie z radością zamieszkałyśmy w miejscu, gdzie słychać kurczaki, indyki, gęsi i perliczki. J a k tylko nogi mi się wygoiły, zaczęłam jeździć na rowerze po okolicy, wdychając zapachy siana i drzew wydzielających w upale olejek eukaliptusowy.

Kiedy doszłam do siebie, zaczęłam pomagać J u n e w sklepie z kanapkami i na podwórku. Cieszyło mnie, że m a m przyjaciółkę, a June cieszyło moje towarzystwo, zwłaszcza że rozstała się ze swoim mężem Samem. Sam, spokojny, praktyczny i przystojny, miał już dość nalegań, by stał się mężem typu New Age, czego oczekiwała po nim żona, i przeniósł się w inną część ich majątku, gdzie zaczął budować nowy dom. Za każdym razem, kiedy się pojawiał - czego nie dało się uniknąć ze względu na ich wspólne obowiązki - i siadał nad kubkiem kawy, J u n e przedstawiała mu prawdy, którymi powinien się przejmować.

Zawsze zaczynała łagodnie, potem robiła się coraz bardziej natarczywa, a na koniec wrzeszczała za nim, kiedy odchodził.

J u n e zwierzyła mi się, że Sam jest i m p o t e n t e m . Kiedy sporadycznie w ciągu tych ostatnich kilku miesięcy uprawiali seks, ani razu nie udało im się doprowadzić do erekcji.

- Możesz go sobie wziąć, Carlo! - droczyła się ze m n ą za każdym razem, kiedy kończyła się pełna narzekań tyrada.

No i po czterech miesiącach w końcu go sobie wzięłam i dowiodłam mojej przyjaciółce, że jej mąż wcale nie jest imp o t e n t e m . Przekonałam się, że jest słodki i pikantny jak grzane wino.

Przyjaźń J u n e , jak m o ż n a się było spodziewać, przerodzi

ła się w nienawiść. Najpierw wydała z siebie wrzask niczym banshee• , a później data mi tydzień na wyprowadzenie się.

Ale na zawsze z a p a m i ę t a m życzliwość, jaką okazywała mi, kiedy miałam takie obolałe nogi. Nigdy nie pomyślałabym nawet, żeby uwieść Sama, a on nie pomyślałby, żeby dać się uwieść, gdyby

nie rzuciła n a m wyzwania.

Wynajęłam następny d o m , tym razem w South Fremantle, bezpośrednio przy plaży. To było utrapienie, że nie miałam własnego d o m u . Przez lata wynajęłam ich chyba z tuzin w różnych miejscach; z niektórych musiałam wyprowadzać się po kilku tygodniach, a nawet dniach, z powodu ciekawskich i nietolerancyjnych sąsiadów. To po prostu do niczego n i e p o d o b n e , żeby jakaś staruszka wyglądała zza firanek za każdym razem, kiedy ktoś do mnie wchodził czy o d e mnie wychodził! Na własnej skórze przekonałam się, że mieszkania się nie nadają; nawet domy bliźniaki były ryzykowne.

Poza tym nie zachowywałam się wystarczająco dyskretnie.

Kiedy razem z D o r e e n , przyjaciółką malarką, i jej córką aktorką Laurą wprowadzałam się do trzypiętrowej willi n a d morzem, sąsiad pomógł mi przy wnoszeniu stołu do masażu do pokoju w piwnicy. Skąd miałam wiedzieć, że będzie spał

po drugiej stronie ściany, z daleka od sypialni żony na piętrze! I wcale się tak intensywnie nie zajmowałam wtedy masażem, bo zapisałam się j a k o studentka na psychologię na Uniwersytet M u r d o c h . Pracowałam tylko tyle, żeby starczyło n a m na utrzymanie.

Minęło zaledwie kilka dni, a już ten sfrustrowany staruch rozpoczął swoją krucjatę, chcąc, żeby miejscowa rada się mnie pozbyła; jego wcześniejsze apele do właściciela - który trzymał moją stronę - spaliły na panewce. Zwołał wszystkich sąsiadów, by przedyskutować „działalność uprawianą pod n u m e r e m czwartym”. Nie pozwolono mi wziąć udziału w tym **W mitologii irlandzkiej zjawia w kobiecej postaci, najczęściej zwiastująca śmierć w rodzinie swoim żalonym płaczem i zawrotem (przyp. red.).**

zebraniu, chociaż napisałam stosowny list do wszystkich sąsiadów w szeregowcach, przypominając im, że tylko ja mogę powiedzieć prawdę o mojej „działalności”. Ani jeden adresat nie zechciał mi odpowiedzieć. Moimi sąsiadami po drugiej stronie byli młodzi ludzie, którzy ciągle urządzali przyjęcia i często sikali nad poręczą balkonu od frontu. Inni lokatorzy nie uważali tego za problem - nie w porównaniu z bezceństwami, jakie rozgrywały się w mojej willi! Do Rady Fremantle została wysłana skarga, a R a d a z miejsca nakazała mi przerwać działalność zawodową na tym terenie, pod groźbą wytoczenia sprawy sądowej.

Musiałam pogodzić się z tym, że ludzie często kierują się uprzedzeniami i że nikt bardziej nie lubi prawić morałów niż sfrustrowany stary baptysta, który woli nocne polucje i faryzeuszowskie przekonanie o własnej prawości od rozluźniającego masażu. Napisałyśmy pogodny list pożegnalny do wszystkich naszych sąsiadów, a D o r e e n uraczyła ich arią Lauretty

„ O , mio babbino c a r o " Pucciniego, swoim ulubionym utworem, na pełny regulator, „żeby ci ludzie, na litość boską, zrozumieli, że jesteśmy wykształconymi artystkami. Powinnyśmy dla tej społeczności być skarbem, a nie utrapieniem”.

D o r e e n , jej córka i ja rozstałyśmy się i przeprowadziłam się do Subiaco. W pierwszym tygodniu złożyła mi wizytę obyczajówka, gdyż moi dawni sąsiedzi wysłali do nich pełne oburzenia listy.

Policja najpierw zadzwoniła, szef obyczajówki udawał klienta odpowiadającego na moje ogłoszenie. To byli przyzwoici faceci, a m i m o to, kiedy otworzyłam drzwi i zobaczyłam ich mundury, spościłam się ze strachu. Wetknęli głowę do pokoju do masażu, gdzie na ścianie wisiał mój dyplom, a p o t e m uśmiechnęli się na do widzenia. Wychodząc, szef powiedział:

- Nawiasem mówiąc, wolelibyśmy, żeby pani przyszła i zarejestrowała się j a k o j e d n o o s o b o w a agencja, żebyśmy wiedzieli, kim pani jest, i nie musieli już więcej zawracać pani głowy.

Zastosowałam się do tej rady. W obskurnym biurze pełnym obojętnych strażników prawa zrobiono mi fotografie do akt.

- Jeżeli kiedyś zrezygnuje pani z „zabawy”, niech nas pani powiadomi, to usuniemy wszystkie d a n e - powiedział miody oficer z obyczajówki, kiedy wychodziłam. Gdybym tylko naprawdę mogła w to uwierzyć! Policjanci zapewniali mnie, że skoro nie łamię prawa, nie b ę d ę notowana jako przestępca.

Ale cała ta sprawa zrównała chińską mniszkę z prostytutką, co mnie przerażało. Czułam się jak „zło konieczne”; tak m ó wią ludzie, kiedy nie chcą potępiać mojego zawodu, ale, tak czy owak, robią to. W mojej ślicznej wazie pojawiło się następne pęknięcie.

Wróciwszy do d o m u , spojrzałam w lustro i zauważyłam zmianę na swojej twarzy. Nabrała zdecydowanego, zimnego i poważnego wyrazu, bez tej złocistej poświaty, którą tyle razy sobie wyobrażałam. W tamtej chwili wyglądałam na swoje czterdzieści pięć lat. Wstrząsnęło m n ą to, a kiedy zajrzałam głębiej w siebie, zauważyłam wiele rys. Nie miałam żadnego innego zawodu, do którego mogłabym wrócić (poza uczeniem, które mi nie odpowiadało). Mój czas się kończył -

w seksbiznesie musisz robić, co do ciebie należy, albo odpadasz. Powoli, ale nieubłaganie, niszczyły mi się ręce od częstego smarowania olejkiem, nawet jeżeli był to olejek migda

łowy, a mięśnie i żyły rysowały się na nich coraz wyraźniej, przez co zaczęły przypominać m o c n e ręce mojego ojca.

Zastanowiłam się, jakich klientów ostatnio przyjmuję. Na przykład Ben, mały przypominający g n o m a człowieczek.

Pompowanie jego o p o r n e g o ptaszka t r u d n o byłoby nazwać zajęciem odpowiednim dla bogini. Pomarszczone ciało Bena przypominało mi jakieś wełniane ubranie, które zostało wygotowane, usta mu się nie domykały na wystających zębach, uszy miał duże, szpiczaste i odstające od głowy. Ben pracował jako domokrażca, i nigdzie nie zagrzewał na dłużej miejsca, nie odnosił sukcesów w pracy. Był uparty i odmowy, chociażby najbardziej brutalne, nie na długo go zniechęcały.

Ben miał wyjątkowo denerwujący nawyk skręcania moich sutków, kiedy siedział ze spuszczone nogami na stole do masażu, c m o k a ! wargami, a ja harowałam nad jego penisem.

„ H a r o w a ł a m ” jest właściwym określeniem - t r u d n o mu było osiągnąć orgazm. Niczego więcej nie chciał: żadnego masa

zu, żadnego seksu; tylko tego wyczerpującego odprężenia, a poza nim j e d n e g o krótkiego pocałunku. Przemykał oczy i podsuwał mi wydęte usta, czekając, aż dotknę ich wargami.

I jak ja to miałam pogodzić z duchowym a s p e k t e m mojej pracy? Gdzie wymiana energii? Czyżbym przywykła robić to po prostu za pieniądze?

Sama zapędziłam się w kozi róg.

- Wróć, zanim w o m b a t o g o n e m machnie - powiedział po masażu j e d e n z moich nowych klientów, wyjaśniając, że zostawił portfel w aucie. Czy wombaty mają ogony? Instykt kazał mi podejść do drzwi, chociaż nie byłam odpowiednio ubrana, żebym mogła pokazać się przypadkowemu przechodniowi na oczy. Patrzyłam, jak pospiesznie wyprowadził sam o c h ó d z mojego podjazdu i zniknął. Czułam się koszmarnie - nie chodziło o pieniądze, których nie dostałam, ale o moją godność. Coś takiego nigdy się wcześniej nie zdarzy

ło! Na mojej chińskiej wazie pojawiła się większa rysa, zagra

żając całości.

Przychodziły mi do głowy przygnębiające myśli, których nigdy wcześniej nie miałam. Musiałam pogodzić się z faktem, że nie m a m absolutnie żadnej kontroli nad p o b u d k a m i moich klientów, a wielu z nich po kontaktach z innymi masa-

żystkami i prostytutkami znieczuliło się i stwardniało. Szczególnym utrapieniem były dla mnie te milczące, pochłonięte sobą typy, które nie potrafiły odróżnić natchnionej pieśzcoty od obojętnego klapsa w pośladek.

Musiałam przyznać, że większość moich klientów nie pasuje do wizerunku kupców z chińskich waz! Mężczyźni byli po prostu sobą: przychodzili z powodów, których byli świadomi albo 1 nie, i nieczęsto o tym mówili. Wymyśliłam sobie fałszywy ideał. Oczywiście mogłam w swoich snach pozostawać mniszka-boginią, ale nie mogłam liczyć na prawdziwy szacunek każdego mężczyzny, który przestępował próg mojego domu.

Kiedy to sobie uświadomiłam, coś się we mnie nieodwracalnie zmieniło. Zabrakło czystej radości, którą kiedyś odczuwa

łam. A już naprawdę mierziło mnie, jeżeli mnie obmacywali, kiedy tego nie chciałam. Ku mojemu rozczarowaniu i przera

żeniu działało się tak coraz częściej. Leżący na brzuchu facet zaczynał błądzić ręką. Nie widział mojej twarzy, nie mógł więc ocenić, czy go odtrącam na serio. Po krótkiej chwili spokoju jego ręka znowu przesuwała się w górę po mojej nodze. Po prostu miał ochotę podczas masażu macać moją cipkę i nie godził

się z odmową. Wywijalałam się tym błądzącym dłońmi, masując jedno ciało po drugim. Przy klientach, których dobrze zna

łam, zwykle niczego pod krótką spódniczką nie nosiłam, ale teraz zaczęłam zakładać figi pod dłuższe spódnice. Spodnie -

w życiu! Powinam m ó c w moim własnym salonie masażu być kobieca i atrakcyjna, i mimo to szanowana!

Brutalnie wstrząsnęło m n ą odkrycie, że czuję sympatię do moich klientów tylko wtedy, kiedy jestem przekonana, że razem ze m n ą grają w moją grę. Ale tak naprawdę grałam w nią sama! Kiedy przestawałam tańczyć, jak mi zagrali, i odmawia

łam ich wypowiedzianej czy milczącej prośbie, boczyli się, nie zważali na moje życzenia albo więcej nie przychodzili. Najdziwniejsze było to, że do tej pory tak ładnie ze m n ą współdziałali. Ci wędrowcy potrzebujący kobiecej energii *naprawdę* odchodzili zrównoważeni i zachwyceni. Ale rzecz w tym, że wcale im do tego nie była potrzebna żadna mniszka! Potrzebna im była zwykła dziwka, która nigdy nie mówiła „nie”, zanim upłynął ich czas, i która nie była tak wrażliwa, by domagać się od nich szacunku. W końcu brała od nich pieniądze.

Ja chciałam szacunku, ale sprawa była beznadziejna: większość facetów widziała we mnie towar, za który zapłacili. Kupowali mnie w pakiecie: jeżeli mnie wydawało się, że sprzedaję tylko masaż i że mogę wybierać, czy dać coś więcej, czy odmówić, powinam się poważnie zastanowić. Przychodzili po j e d n o , a masaż był tylko kiepskim usprawiedliwieniem.

• • •

Zadzwonił telefon. To był John, pracownik agencji handlu nieruchomościami, który chciał się ze m n ą potargować.

Z pozoru spragniony miłości, gotów był z zapalem wyklócać się o wszystko, wykorzystując siłę swojego bogactwa. Powiedział mi, że potrzebuje tylko pół godziny, zmieniając tym samym u m o w ę na pełną godzinę, jaką zawarł ze m n ą wcześniej w tym samym tygodniu, i że nie zamierza wnosić opłaty za godzinę. Nie było to w porządku, ale zmieniłam mój rozkład dnia tak, żeby się do niego dostosować. A wtedy J o h n pojawił się o pół godziny wcześniej po to, by porozmawiać. Nie pogadać z kimś, kto go z sympatią wysłucha; chciał wiedzieć, co dostanie za swoje pieniądze. Wiedział, że zajmuje mi czas, ale za ten czas nie zamierzał płacić.

John zawsze był trudnym klientem. Za dużo mu dawałam na początku, a kiedy przekonał się, że się wycofuję, chciał się naturalnie upewnić, że na tym interesie nie straci. Chyba nie zdawał sobie sprawy, że ludzie nie zawsze wyznaczają cenę za to, co mają do zaoferowania. Ile policzyć za zyczliwość? Obawa Johna, że dostanie mniej, niż dał, zniechęciła mnie do niego.

Ponieważ zgodziłam się go przyjąć, musiałam teraz jak najlepiej sobie z tym poradzić. Wibracje wydzielane przez Johna, kiedy przekraczał próg pokoju do masażu, były jak odległy wrzask z piekła. Niespokojnie przyglądałam mu się ze skrzyżowanymi rękami. Ale kiedy już znalazł się w moim pokoju, zobaczyłam, że ten przebiegły mężczyzna z rolek-sem, w garniturze od Pierre'a Cardina i z fryzurą za 100 dolarów jest po prostu człowiekiem, którego nie ma kto wziąć do łóżka ani kochać. To samotność wyzwalała w nim złość, chociaż był przekonany, że panuje nad swoimi uczuciami.

- Jestem łagodny - oznajmił niespodziewanie John, unosząc ku mnie ręce z otwartymi dłońmi, próbując przekonać mnie poważnym spojrzeniem orzechowych oczu. - Nie jestem agresywny. - Mężczyzna, który nie jest agresywny, nie musi o tym zapewniać, ale z jego słów zrozumiałam, że przynajmniej zamiary ma dobre.

Wyschnięta duszyczka J o h n a nie zapomniała, jak to jest, kiedy się leży w ramionach kobiety. Aż do bólu pragnął e r o tycznej czułości. Najpierw jednak chciał zrealizować swoją fantazję o dwojgu ludziach, którzy się nawzajem rozbierają.

Na szczęście to dużo łatwiejsze, niż gdyby miał zrywać ze mnie ubranie, co zawsze jest możliwe w przypadku typów takich jak J o h n . Stanęliśmy naprzeciwko siebie. Erotyczne oczekiwania J o h n a powodowały, że palce miał niezdarne i rozpinanie guzików, zwykle tatwe, szło mu bardzo opornie.

Kiedy przyszło do haftek stanika, było jeszcze gorzej. Odwróciłam się do J o h n a plecami, żeby mu było łatwiej. Często w marzeniach uczyłam facetów, jak robić to z zawiązanymi oczami, błyskawicznie, żeby nie ulotniła się czarodziejska chwila. Ale opóźnienie nie zaszkodziło Johnowi na libido ani trochę. G m e r u , gmeru, stanik zdjęty, i natychmiast przywar

ły do mnie zachłanne ręce i ciało J o h n a . Ten człowiek, który zapewniał mnie, że nie jest agresywny, z t r u d e m się powstrzymywał, żeby nie zgnieść mnie na miazgę.

Natychmiast go powstrzymałam, tupiąc nogami, a on przeprosił i przybrał znowu pozę chłodnego o p a n o w a n e g o biznesmena o uśmiechniętych orzechowych oczach. Ale jego twarde dłonie szybko zaczęły na powrót chwytać, ścisnąć, łapać, gnieść. Czy wyobrażał sobie, że tak postępuje namiętny kochanek, czy m o ż e z t r u d e m opanowywał a m o k wywołany gniewnym p o ż ą d a n i e m ?

Starłam się go p o h a m o w a ć . Nie chciałam go peszyć, m ó wiąc, że zachowuje się niewłaściwie, ale zdobyłam się na stanowczość.

- Podnieca mnie łagodność, Johnie!

Moje słowa wywarły pozytywny skutek. Czulałam, jak ważna jest dla niego świadomość, że naprawdę mnie podnieca. M o j e podniecenie p o t r z e b n e było nie tylko jako dowód, że jest zręcznym kochankiem. J o h n wolał być z kobietą p o d a t n ą na jego wdzięki. Nie chciał, żebym na c h ł o d n o odgrywała swoją rolę, w głębi nim pogardzając. No i dobrze; ale jak on to sobie wyobrażał, jaką reakcję mogło wzbudzić jego agresywne zachowanie? I skąd to przekonanie, że masażystka albo p r o stytutka będzie w stanie dać mu za pieniądze coś, czego nie mógł zdobyć gdzie indziej?

Chociaż J o h n nie potrafił podniecić kobiety, to oczekiwał - nie, żądał w typowy dla siebie władczy sposób - autentycznej reakcji. Wiedziałam, co otrzymałby gdzie indziej.

„Jak udawać o r g a z m ” przeczytałam w pewnym kobiecym pi

śmie. „ M ą d r a kobieta wie, jak zrobić, żeby jej mąż albo partn e r był szczęśliwy”. Od tego oszałamiającego cynizmu aż mi się zakręciło w głowie. Z a s t a n a w i a ł a m się, ile kobiet udaje orgazm ze względu na ego swoich m ę ż ó w ? I co to za „mądrość”? Co zostaje ze wspólnego



związku, jeżeli nie jeste

śmy już w o b e c siebie uczciwi? Ja okazywałam moim klient o m szacunek, bo nigdy nie u d a w a ł a m o r g a z m u - d o p i e r o pod koniec mojej kariery masażystki, kiedy cała zabawa i tak zaczynała się sypać.

Tego dnia J o h n miał szczęście: współczułam mu. Był dokładnie typem mężczyzny, który potrzebował moich usług.

Seks potrafi zmiękczyć serce mężczyzny takiego jak J o h n i spowodować, że przez jakiś czas będzie się zachowywał

przyzwoicie. Ale czy chińskie mniszki tolerowałyby jego nastawienie? Westchnęłam ciężko, przekonana, że nie. Próbowałam więc wprowadzić kilka nowych zasad. Ż a d n e g o więcej dotykania, jeżeli nie m a m na to ochoty; i wyłącznie rozluźniający masaż dla każdego mężczyzny, który nie za b a r d z o mi się podobał.

Sprawy się skomplikowały. Przekonałam się, że t r u d n o mi zapamiętać, na co się zgodziłam, kiedy p o p r z e d n i m razem widziałam się z klientem. Zaczęłam zakładać klientom karty

- do czego są przyzwyczajeni, na co pozwalałam, czego odmawiałam, na co trzeba uważać itd. - ale kiedy rozmawiałam z potencjalnym klientem przez telefon, nie zawsze zdążyłam zajrzeć do kartoteki i czasami umawiałam się na wizytę, a potem tego żałowałam. Zbyt często miałam nadzieję, że mężczyzna od ostatniej wizyty zmieni się w cudowny sposób i będzie oczekiwał po mnie czegoś innego. Prawda była taka, że nie umiałam odmawiać. A im bardziej sprzeniewierzałam się swoim zasadom, tym mniej pewnie się czułam za każdym razem, kiedy milcząco przystawałam na coś, czego robić nie chciałam. Narastał we mnie niepokój i niezadowolenie.

Tak bardzo chciałam być przyzwoitą kobietą we własnych oczach. Czułam wstyd, jeżeli nie starczało mi odwagi, by przerwać masaż, kiedy klient upierał się, że chce mnie dotykać, a ja nie miałam na to ochoty. Dlaczego teraz jest do tego stopnia inaczej, pytałam samą siebie. N a p r a w d ę nie m o g ł a m obwiniać tych p a n ó w o to, że zmieniły się moje uczucia.

Niemniej wprowadzenie kilku zasad stało się dla m n i e bardzo ważne, nawet gdyby miały okazać się nie do przyjęcia dla wielu moich klientów.

Pracowałam dalej jako masażystka, ale nie chciałam już tego robić nago i nie oferowałam seksu, tylko relaks. Ciemną nocą przyrzekałam sobie, że rozluźniającego masażu też już nie b ę d ę robiła. Zaczęłam wierzyć, że mężczyźni, którzy przychodzą po seks albo masaż rozluźniający, mają żalose, m a r n e układy z ludźmi i że ja pogarszam te relacje. Moje podejście do sprawy nie mogło już chyba być bardziej negatywne ani j e d n o s t r o n n e . Ale jak tylko pojawił się pierwszy u m ó w i o n y klient, ł a m a ł a m moją donkiszotowską obietnicę.

Chociażby dlatego że to ciężka praca robić uczciwy masaż przez pełną godzinę tylko po to, by otrzymać niższą zapłatę.

Poza tym niezmiernie trudno było przekonać stałych klientów, żeby dostosowali się do moich nowych wymagań.

Joe słuchał mnie uważnie, kiedy leżał na moim stole do masażu, nagi i bezbronny, w oczekiwaniu na rozkosz. Zawsze cieszyło go, jeżeli najpierw mógł mnie wymasować i teraz przyszła jego kolej. Jak miałam mu wytłumaczyć prosto w jego pełne łagodnego oczekiwania oczy, że stosunku nie ma już w meniu. Joe osłupiał: widziałam, że nie może zrozumieć. Był wrażliwym kochankiem. Uwiódł mnie przed ponad rokiem, a wciąż potrafił się bez reszty skupić na tym, co robi, kiedy się kochaliśmy, rzadka zaleta. Nie odezwał się, gdy jękając się, powiedziałam, co miałam do powiedzenia.

Ja również zamilkłam, patrząc, jak zachmurza się jego twarz. Byłam wdzięczna, że nie wstał i sobie nie poszedł, bo chciałam mu w prezencie zrobić najlepszy masaż, na jaki by

ło mnie stać.

Kiedy się odwracał na plecy, miał łzy w oczach. Zaczęłam głaskać jego penis, ale powstrzymał mnie. Uświadomiłam sobie, że nie zamierzał skłonić mnie tym do ustępstw. Po prostu tego dnia nie był w stanie w ten sposób szczytować. Wyciągnął rękę i zaczął czule pieścić moją twarz. Za wszystko, co dałam mu w przeszłości, był głęboko wdzięczny; jak mogłam pomyśleć, że robię mu krzywdę? Jak mogłam to tak źle zrozumieć? Oto mężczyzna, który spełniał wszystkie warunki, o jakich pomyśleć mogła chińska mniszka, a ja go odtrącałam! Zdjęłam top i przytuliłam go, a on szczytował, kiedy się obejmowaliśmy.

Bernard był również stałym klientem, z którym się serdecznie związałam. Jeździł taksówką i potrzebował dobrego masażu, żeby zneutralizować długie godziny, jakie spędzał za kółkiem. Zwykle byłam przy nim naga. Kiedy zaproponowa

łam sam masaż, Bernard z humorem odmówił i szarpnął

mnie za ubranie.

- Co się z tobą dzieje? - zapytał z niedowierzaniem. Poło

żył się na stole do masażu i wciągnął mnie w zabawie na siebie. - Przecież wiesz, że robiliśmy to już wcześniej, Carlo, i było bardzo dobrze.

Beznadzieja. Postanowiłam mu ustąpić. Pozwoliłam, by zdjął ze mnie ubranie i pieścił moje ciało. Zrobiłam mu masaż - moje dłonie przesuwały się automatycznie, wyszukując te napięte, obolałe miejsca, które potrzebowały, żeby się nimi zająć. Przez cały czas Bernard leżał spokojnie, nie przerywając mi. Tylko jego plecy potrzebowały masażu; kiedy skończy

łam, zawsze odwracał się z szerokim uśmiechem, siadał i usadzał mnie na swoim wyprężonym penisie. Ja zapierałam się stopami o stół, a on podnosił mnie i opuszczał. Rozkosz napływała falą za falą, dopóki oboje nie mieliśmy orgazmu.

Już po wszystkim. Ubierając się, czułam się sflaczała. Zająłam się tym, co trzeba było zrobić:

przyniosłam B e r n a r d o wi szklankę wody, kiedy brał prysznic, odłożyłam ręczniki, poprawiłam poduszki. Zastanawiałam się, jak on się czuje.

Kiedy spotkaliśmy się na korytarzu, wyglądał wspaniale, z ręcznikiem na biodrach i szelmowskim uśmiechem na ustach. Wszystko na nic: albo b ę d ę musiała odmówić, kiedy zechce przyjść następnym razem, albo b ę d ę dalej musiała uprawiać z nim seks. B e r n a r d był nie tylko sympatyczny, ale i dobrze płacił, więc tę decyzję odsunęłam na p o t e m .

Gdybym potrafiła jasno myśleć, uświadomiłabym sobie, że kilku z moich klientów n a p r a w d ę odpowiada ideałowi chińskiej mniszki. Ale było coś, o czym nie poinformowały mnie obrazki na wazie, pewna zasadnicza i b a r d z o istotna wiadomość, która do mnie nie dotarła: *Kiedy chińska mniszka nie ma już na to ochoty, przestaje to robić*. A ja, p o d o b n i e jak te raz na zawsze n a m a l o w a n e na wazie obrazki, nie przestałam.

Nie przestawałam również *myśleć*. A im więcej myślałam, rozumowałam i d u m a ł a m , tym bardziej byłam zmęczona.

Malcolm, nowy klient, załamał się i zaczął szlochać, kiedy mu powiedziałam, że nie oferuję seksu. Przeprosił za swoje łzy, ale błagał, żebym pozwoliła mu j e d e n jedyny raz wejść w siebie.

- Nie byłem w kobiecie od dwóch lat. Chcę wiedzieć, że stać mnie jeszcze na to jako mężczyznę - dodał posępnie.

Ten ostatni fragment wydał mi się sensowny, nawet jeżeli cała reszta sprowadzała się do taktyk manipulacyjnych. Malcolm przyniósł ze sobą prezerwatywę, więc zamiast zgodzić się na stosunek, z a p r o p o n o w a ł a m , że jeżeli ją założy, to zrobię mu fellatio. Natychmiast tego pożałowałam, skosztowawszy paskudnych środków plemnikobójczych i dezynfekujących, taki suchy ściągający smak, który później całymi godzinami utrzymywał mi się w ustach, nawet po kilku szklankach herbaty, kawy, herbaty ziołowej i na koniec wina.

D a ł a m sobie spokój z obrzydliwą g u m ą i powiedziałam:

- W porządku, zrobimy to tak, jak chciałeś. (Wygrywasz, bo powinnam była mieć<sup>^</sup>więcej rozumu!)

Pracowałam rękami nad jego oklapłym z rozczarowania penisem, aż nabrał entuzjazmu, a p o t e m w d r a p a ł a m się na niego. Biedny Malcolm; n a p r a w d ę wcale nie chciał przekraczać wyznaczonych przeze mnie granic. Raz j e d e n wsunął się we mnie, a p o t e m szczytował w k o n d o m .

- To wszystko, czego potrzebowałem - powiedział. - Teraz czuję, że nic mi nie brakuje.

Większość moich klientów była przyzwoitymi ludźmi, mi

łymi, szczodrymi i szczerymi. Nie było nic złego ani w nich, ani w tym, czego chcieli. „ Z ł e ” natomiast było to, że ja nie przywykłam szanować swojej własnej energii ani odczuć m e g o ciała. A kiedy siebie nie szanowałam, czułam się źle. Przez moją pracę nie stawałam się złą kobietą; tak mi

się tylko wydawało.

Przylapałam się na tym, że raz za razem ulegam własnej tęsknocie za rozkoszą i pożądaniu moich klientów, a skutek tego był jeden, a mianowicie czułam się p o t e m bardziej niż kiedykolwiek wyczerpana i rozczarowana brakiem samokontroli. W chwilach tuż przed orgazmem, w ogniu namiętności oszukiwałam siebie, myśląc, że tym razem będzie inaczej, że po wszystkim będę się czuć dobrze. Ale dobre samopoczucie ulatniało się bardzo szybko. Nie przestawałam, bo byłam uzależniona: od seksu, od uwagi mężczyzn i od łatwych pieniędzy. Tak trudno było mi wtedy zrozumieć to wszystko w pełni.

Nieustannie umierałam z przerażenia, że moi przyjaciele albo znajomi mogą się dowiedzieć, że zajmuję się masażem rozluźniającym i nie tylko. W konsekwencji w rozmowach rzadko otwierałam przed kimkolwiek serce; prawdę mówiąc, jedynym m o i m powiernikiem został mój homoseksualny przyjaciel, Shane. Był czarującym, uzdolnionym artystycznie, inteligentnym, pięknym i tolerancyjnym młodym człowiekiem, który w kontaktach ze m n ą pragnął tylko mnie wspierać. W p a d a ł do mnie do d o m u , by zrobić mi niespodziankę jakimś wymyślnym posiłkiem, a jego melodyjny głos i słodka obecność nieustannie podnosiły mnie na duchu. Z S h a n e ' e m mogłam rozmawiać niemal o wszystkim. Niemal. Nawet przy nim nie poruszałam nigdy mojej najgłębszej obawy, że ktoś mnie zdemaskuje.

Poza Shane'em zaprzyjaźniłam się z Ruth i D o n e m , parą, która mieszkała o kilka ulic ode mnie. Z nimi również nigdy nie rozmawiałam o moim stylu życia. Zaczęłam uczyć w niepełnym wymiarze godzin, żeby robić wrażenie, iż z tego się utrzymuję. Przez dwa lata składaliśmy sobie wizyty i prowadziliśmy ożywione i zabawne filozoficzne dyskusje, jedząc kolacje ugotowane przez Ruth. Mój mroczny sekret należał tylko do mnie i chyba przez cały czas robił się coraz mroczniejszy.

Niedługo pojawiła się następna tajemnica, sekret, który obciążał mnie i D o n a . Kłopoty zaczęły się, kiedy D o n powiedział mi, że mnie pragnie. Zajrzałam w te wielkie ciemne jeziora jego oczu i rozumiałam, że nasze niewinne żarty erotyczne zmieniły się dla niego w marzenia. Wiedziałam, że oboje, i Ruth, i D o n , pobierając się, byli niewinni, i ż a d n e z nich nigdy nie miało innego p a r t n e r a seksualnego. Ż a r t o wali, że wezmą sobie kochanków, przy czym ja wstrzymywa

łam oddech - bo chociaż tak się kochali i cenili nawzajem, mógł spod tego dymu w końcu buchnąć ogień. Ruth ze swej strony mówiła otwarcie o kimś, kto jej się spodobał w pracy.

Ale tylko tak dowcipkowali; wiedzieliśmy, że te marzenia na zawsze pozostaną marzeniami.

Prośba D o n a poważnie mnie zaskoczyła. Traktowałam go jak drogiego przyjaciela, ale zdecydowanie nie był w typie mężczyzny, z którym miałabym ochotę przeżyć romantyczną przygodę, i nigdy przez myśl mi nie przeszło, że on może uważać inaczej. Czyżby popsuł się mój erotyczny r a d a r ? D o s z ł a m do wniosku, że nie, że nie j e s t e m dla D o n a pociągająca, że po prostu z czystej ciekawości ma ochotę na seks z kimś innym niż żona. Powiedziałam mu to, ale ku m o j e m u zdziwieniu nie zrezygnował.

W końcu któregoś popołudnia p o d d a ł a m się, uznając, że j e d n o takie doświadczenie załatwi sprawę: D o n przekona się, jaki nudny potrafi być seks bez zaangażowania emocjonalnego.

Zgodziłam się, żeby do mnie przyszedł. Czegoś równie dziwnego nigdy nie przeżyłam. D o n a uważałam dotąd za lojalnego przyjaciela. Ruth, jego żona, była dla mnie jak królowa, i zasługiwała na pełną lojalność. A oto zdradzaliśmy ją, chociaż w najmniejszym stopniu nie chcieliśmy jej skrzywdzić.

Kiedy już byliśmy nadzy i leżeliśmy w łóżku, D o n zbliżył

się do m n i e z bezpośredniością, która zapewne zawsze go cechowała, kiedy kochał się z żoną. Nie wysilałam się, żeby go jakoś szczególnie podniecić; chciałam raczej pokazać m u , że to jakoś związku dodaje pikanterii seksowi, a nie inne ciało. Miałam nadzieję, że będzie równie znudzony jak ja.

Uprawialiśmy seks „na misjonarza”, a p o t e m położyliśmy się o b o k siebie. Przyglądałam mu się, jak leży na wznak, wpatrując się w sufit i unikając mojego spojrzenia. Nie miał

ochoty mi się zwierzyć, o czym myśli, ale nalegał, żebym nic nie mówiła R u t h .

- Zabolałoby ją to tylko, nie zrozumiałaby.

Przyrzekłam, że zachowam sekret, ale strach, że zostanę zdemaskowana, jeszcze przybrał na sile. Wiedziałam, że świat „zewnątrzny” uzna mnie za zdzirę, za dziwkę, za nierządnicę. Za kogoś, kto nie potrafi się w przyzwoity sposób utrzymać, kto nie umie zarobić na życie, nie sprzedając swojego ciała. Wierzyłam w wolność, ale nie miałam odwagi głosić własnych przekonań. Innymi słowy, byłam *oszustką*.

To uczucie, że jestem oszustką, kimś, kto żyje w kłamstwie, stało się nieznośną torturą. I dlatego któregoś wieczoru wybrałam się na wykład słynnego psychologa ze Stanów, który zapoznawał licznie zebranych ze swoją wiedzą na t e m a t archetypów Junga. Robił wrażenie kogoś, kto mógłby p o m ó c mi wnikać w moje cierpienia. Postanowiłam, że z nim p o rozmawiam i cierpliwie czekałam za kulisami, dopóki wszyscy sobie nie poszli. Psycholog i jego asystent, który powiadomił wielkiego człowieka, że m a m niecierpiącą zwłoki sprawę, spodziewali się usłyszeć coś niezwykłego.

- O co chodzi? - zapytał pan Sławny, pochylając się do przodu z dłonią na kolanie; asystent położył rękę na oparciu jego krzesła.

- Czuję się jak oszustka...

Ledwo zdążyłam ubrać w słowa moje straszliwe wyznanie, kiedy obydwaj wybuchnęli śmiechem.

- I to wszystko? - wykrzyknął pan Sławny. Wstał i oddalił

się, a ja siedziałam z otwartymi ustami. W następnej chwili już ich obydwu nie było. O d c h o d z ą c , śmiali się i rozmawiali o czymś innym. Próbowałam zastanowić się nad jego o d p o -

wiedzią. Co miał na myśli - że jak się jest oszustem, to nie ma się czym martwić? Ze każdy oszukuje, i co w tym nowego?

Ze bycie oszustem to problem, który najłatwiej rozwiązać?

Nie mieściło mi się w głowie, że można to tak lekko potraktować. Może pan Sławny sam był oszustem? To tłumaczyłoby jego reakcję, ale nie chciałam się z takim wyjaśnieniem pogodzić.

Czułam się wciąż tak s a m o zdeorientowana, i rozpoczę

łam poszukiwania duchowe. Poznałam bahaitów, medytację transcendentalną, jogę, sięgnęłam do hinduskich religii, odwiedzałam buddyjskie klasztory. U n i k a ł a m wiązania się z jakimkolwiek guru - nie dla mnie Rajneesh, Sai Baba czy M u k t a n a n d a . M o ż e obawiałam się, że ci święci ludzie mnie potępiają albo zafascynują tak, że zejdem z własnej ścieżki. Wystarczająco się bałam, siedząc w towarzystwie Paula Lowe, niegdyś wyznawcy Rajneesha. Zdecydowanie nie chciałam przebywać w obecności kogoś, kto potrafiłby przejrzeć mnie na wylot i powiedzieć mi, że jestem o k r o p n a . Nie, chciałam trafić na taką ścieżkę, która pozwoli mi uwierzyć, że dobrze, że j e s t e m taka, j a k a jestem! Znaleźć kogoś, kto naprawiłby tę nieszczęsną p o p ę k a n ą wazę, kto pomógłby mi pozbyć się powątpiewania w siebie oraz tego, co zaczęłam nazywać samo-utrudnianiem, a co nie pozwalało mi się wzbogacić.

W tym okresie żadnej z powyższych myśli nie potrafiłam wyraźnie sformułować. Gdyby rozjaśniło mi się w głowie, usłyszałabym swój własny głos:

- Jesteś b r u d n ą moralnie zdziurą i nie zasługujesz na nic dobrego.

• • •

Zaczynała pogarszać się jakość mojego masażu. Przy każdym zabiegu chciałam, żeby się wreszcie skończył, i łatwiej się męczyłam. Kiedy mignęła mi w lustrze własna twarz, poczułam się wstrząśnięta, tak blado i nieszczęśliwie wygląda

łam. C o r a z trudniej było mi czerpać natchnienie z przekonania, że moja praca przynosi ludziom d o b r o . W miarę jak narastało we mnie podejrzenie, że zamiast dobra mogę robić krzywdę, określenie „nierządnicza” zaczęło nabierać nowego znaczenia. Powoli miłość zmieniała się w niesmak.

Wątpliwości, które dniami i nocami dręczyły mój mózg, rozrosły się do prawdziwej walki między d o b r e m a złem, a to groziło mi utratą równowagi psychicznej. Powtarzałam sobie, że m a m nie być głupia, i głęboko oddychałam z ulgą, kiedy czułam się dobrze, ale nie potrafiłam zapanować nad przekonaniem, że w głębi jestem zepsuta. Życie z tymi sprzeczno

ściami wymagało o g r o m n e g o wysiłku i zmieniło się w koszmar. Nie miałam nikogo, komu mogłabym zwierzyć się z mojej rozpacz, nikogo, kto podsunąłby mi jakiś zdrowszy punkt widzenia, więc przelewałam moją dezorientację na papier, robiąc szalone chaotyczne notatki. Z a p e ł n i a ł a m pamiętnik dziwacznymi pełnymi udręki koncepcjami, z desperacją próbując za ich p o m o c ą rozjaśnić sobie w głowie.

Potępiałam siebie, że zachęcam mężczyzn do czegoś, co nazywałam „wyalienowanym zachowaniem”. Miałam ogromne poczucie winy. Nie mogłam pojąć, że motyw, jakimi kierują się klienci, to nie

moja sprawa. Nie mogłam zrozumieć, że przekonanie, iż potrafię zrozumieć, co myślą, zakrawa na arogancję z mojej strony. Co stało się z moją początkową wiarą, że kontakt seksualny z mężczyznami przyniesie im duchową korzyść? Czy dałam się zastraszyć moralności społeczeństwa? Nie byłoby to możliwe, gdyby gdzieś w głębi mnie nie czaiło się poczucie winy, które tylko czekało, żeby się obudzić.

Ale to poczucie winy było tam obecne na długo, zanim zaczę

łam tę pracę. Wybrałam sobie zawód, który miał mi *udowodnić*, że jestem złą istotą.

Porobiły mi się na stopach ranki, które nie chciały się goić. Próbowałam antybiotyków, rtęciowych antyseptyków, ma

ści, chodziłam do lekarzy, n a t u r o p a t ó w - ale rany się nie goiły, a ropa i ból były oznakami, że tkwi we mnie coś paskudnego, co próbuje się wydostać na zewnątrz. Ten koszmarny dylemat, od którego dusza mi gniła, powodował, że czułam się obrzydliwa. I w tym rozpaczliwym stanie zadzwoniłam do Gaye, specjalistki od odrodzenia.

Zbudź się, martwa księżniczko

Kiedy przyszłam na trzecią sesję o d d e c h o w ą , G a y e wprowadziła m n i e spokojnie do swojego mieszkania. O d r o d z e n i e czy p o n o w n e n a r o d z i n y to p r o c e s polegający na p o d ł ą c z e n i u się do energii związanych z w y d a r z e n i a m i z wczesnej młodości p o p r z e z p e w n ą szczególną t e c h n i k ę o d d e c h o w ą , a n a s t ę p n i e na uwolnieniu ich p o p r z e z oddech. Co d o k ł a d n i e zostaje u w o l n i o n e , tego się nie precyzuje - najwyraźniej nie jest to k o n i e c z n e - po tych wizytach czułam się czystsza i lżejsza. G a y e była d o ś w i a d c z o n ą uzdrowicielką i wyznawczynią czcigodnego h i n d u s k i e g o mistrza d u c h o w e g o , od k t ó r e g o z a c z e r p n ę ł a inspirację do swojej pracy. U f a ł a m j e j .

Podobnie jak podczas wcześniejszych sesji leżałam na miękkim m a t e r a c u na jej parkiecie. W pokoju było ciepło, ale kiedy zastosowałam się do instrukcji oddychania, zrobiło mi się bardzo zimno. Gaye przykryła mnie. W k r ó t c e praca o d d e c h e m zaczęła otwierać w moim ciele kanały energetyczne, które zostały zablokowane przez stare lęki. Fale brutalnej energii, pulsując, przepływały przez moje ręce i nogi, jakby ktoś przepuszczał przez nie prąd elektryczny. Chociaż czu-

łam dyskomfort, było to n o r m a l n e , więc pozwoliłam, by tak się działo, i oddychałam dalej.

W jakimś trudnym do zdefiniowania m o m e n c i e coś zmieniło się w mojej normalnej świadomości i poczułam się tak, jakbym obudziła się w trumnie. Moja głowa spoczywała na małej twardej poduszeczce, leżałam ubrana w długą, skromną niemal białą suknię; rąbek i rękawy wykończone były drobnymi haftowanymi kwiatami. Uświadomiłam sobie, że p o g r z e b a n o mnie żywcem, i natychmiast zapragnęłam się wydostać.

- Co się dzieje? - zapytała Gaye.

- U t k n ę ł a m w trumnie - powiedziałam m o n o t o n n y m głosem człowieka w transie.

- Pchnij pokrywę - poradziła.

Pchałam obiema rękami ze wszystkich sił, ale nic to nie dało.

- Pokrywa jest z kamienia i nie mogę jej ruszyć - powiedziałam bez nadziei i zwiotczałe ręce opadły mi do boków.

Czułam, że nie sprostałam ważnemu wyzwaniu. Ale lata do

świadczona wyostrzyły intuicję Gaye; milczała.

W chwili, kiedy z taką konsternacją się p o d d a ł a m , coś zaczęło się w ciszy poruszać. Odniosłam wrażenie, że to moje własne ciało unosi się powoli, poziomo, z trumny. Przeniknę

ło bez kłopotów przez k a m i e n n ą pokrywę i, nie otwierając zamkniętych po śmierci oczu, zobaczyłam małą kaplicę rodzinną, w której t r u m n a spoczywała na kamiennych blokach.

W tym cichym miejscu było lodowato zimno; ściany pokrywa

ła wilgoć, która nie wysychała od lat.

Wznosiłam się płynnie ku sklepieniu kaplicy, pod które zaczęły napływać ciemne chmury, i zrozumiałam, że jestem w drodze do piekła, że m a m się spotkać z diabłem. Nieubłagane, z rękami złożonymi na piersi, wzbijałam się coraz bli

żej szatana, poddając się m e m u straszliwemu losowi.

W następnej chwili stało się coś, czego nie wyobraziłabym sobie w najśmielszych nawet marzeniach. Kiedy zbliżyłam się do groźnej masy chmur, niczym błyskawice wystrzeliły z niej w moim kierunku ramiona i chwyciły moje unoszące się w powietrzu ciało. Ku mojemu krańcowemu zdumieniu i niewymownemu zachwytowi nie spaliła mnie diabelska pogarda, tylko spowiła nieziemską błogość. Nie czułam nic oprócz przeczystej miłości. Każda k o m ó r k a mojego ciała zdawała się przesycona radością, moje ciało tętniło życiem jak nigdy wcześniej. Oniemiała, nieruchoma, tonęłam w tej błogości.

Nie było żadnej twarzy, nie było żadnych słów, tylko wszechogarniające uczucie, że ktoś czule mnie obejmuje, że stapiam się z nim w j e d n o .

Przestałam oddychać, moja świadomość zanikła. Leżałam na m a t e r a c u Gaye, pogrążona w błogości bez granic, o d p o czywając na głębinach pierwotnej niewinności; błogosławiony odpoczynek, w którym zatraciło się poczucie, kim byłam jako istota cielesna. Mój oddech zatrzymał się na dosyć długi czas, dopóki nie usłyszałam, jak spokojny głos Gaye cicho wzywa mnie do powrotu.

U ś m i e c h n ę ł a m się do niej, ale nie potrafiłam wysłować tego, czego doświadczyłam. Milczaliśmy przez chwilę. Zaczę



Łączyłam oddychać regularnie i swobodnie. Powoli mój mózg podjął znowu pracę. To doświadczenie pokazało mi, że tak zwane zło jest w jakiś sposób częścią naszego istnienia. *Jak* istniało, nie było wtedy dla mnie całkiem jasne. Przez tę krótką chwilę czułam, że prawdą jest tylko miłość, a nie zło. Zło było czymś w rodzaju postawionej na głowie miłości i można było je całkowicie zmienić dzięki zrozumieniu. Niemniej sprzeczności, które pustoszyły moją duszę, zostały złagodzone. Chwilowo byłam dobra, wyłącznie dobra.

Zrelaksowana, usłyszałam głos Gaye. Skupiłam się, na głosie, który sprowadził mnie z powrotem na świat.

- Teraz musisz zerwać z wszystkimi swoimi złymi przyjaciółmi.

Co miała na myśli, mówiąc „zli przyjaciele”? Nie rozumia

łam. Ale nie zadawałam żadnych pytań, tylko kiwnęłam głową, ufając, że wie, o czym mówi. Nie kojarzyłam jej słów z klientami, którzy przychodzili na masaż - nigdy jej o nich nie wspominałam. Kiedy w kilka dni później zaświtało mi w końcu, że jedno wiąże się z drugim, rozgniewałam się i krzyknęłam:

- Nie! Ludzie, którzy do mnie przychodzą, nie są źli! Moja praca nie jest zła! Nie powoduje, że jestem zła!

Nie rozumiałam, że prosiła mnie, bym zerwała z wszystkimi „przyjaciółmi”, którzy *niedobrze* na mnie wpływali. Niestety, Gaye użyła słowa „zły”, co spowodowało, że odrzuci

łam jej sugestię. Co za pech, że nie byłam przygotowana na tę lekcję.

Na logikę miałam rację - moi klienci nie byli źli i ja nie by

łam zła. Ale praca, jaką wykonywałam, powodowała, że *czu*

*łam się* zła, ponieważ przestałam do niej podchodzić z sercem. Postępowałam wbrew instynktowi, nie miałam więc sił

koniecznych, by wznieść się ponad negatywne energie, na które natykałam się, mając bliski kontakt z klientami. Co może być bliższe niż stosunek płciowy? To jest nie tylko kontakt fizyczny, ale i psychiczna wymiana. Energia psychiczna każdego człowieka wykazuje tendencję, by „udzielać się” drugiemu.

Kiedy zaczynałam, na samym początku, moja energia była tak silna, moje intencje tak czyste, że potrafiłam w dużej mierze przekształcić lub odrzucić wszystko, co klient we mnie zostawiał. Moje pozytywne nastawienie uwydatniało w moich klientach i we mnie to, co najlepsze. Ale jak mogłam oczekiwać, że zachowam nienaruszoną energię psychiczną, kiedy moje motywy zostały zredukowane do pracy dla pieniędzy, a ja sądziłam, że do niczego innego się nie nadaję? Dlaczego nie potrafiłam zrozumieć, że wraz ze spadkiem entuzjazmu zanikała moja empatia, przez co zaczynałam odczuwać wstręt do niektórych klientów?

Szkoda, że nie potrafiłam przeprowadzić takiego rozróżnienia, kiedy mi było potrzebne! Jak mogłam być taka tępa? No cóż, nie ma się czemu dziwić, jeśli uwzględnić moje katolickie wychowanie i wcześniejsze życie zakonnicy. W klasztorze nauczyłam się utożsamiać niską samoocenę z cnotą pokory. Co gorzej, wpojono mi, że cierpienie jest krzepiące. Dlatego tłumiałam sygnały płynące z ciała i nie reagowałam na nie.

Dzięki sesjom oddechowym u Gaye zaczęłam przychylniej na siebie patrzeć. Potrafiłam czuć się znowu kochana za to, kim jestem, zamiast uzależniać swoje samopoczucie od sukcesów z klientami. Rany na stopach mi się zagoiły. Ale to coś, co objęło mnie w ciemnych chmurach, nie zamierzało dać za wygraną. Jeżeli przesłanie nie było wystarczająco czytelne, to t r u d n o , b ę d ę musiała dojść do tego stopniowo, powoli.

Pracowałam nadal jako masażystka, ale toczyła się we mnie walka wewnętrzna. Czułam się tak, jakbym była uzależniona od seksu, ale tak n a p r a w d ę uzależniłam się od blokowania własnych myśli i uczuć. Nie m o g ł a m pozwolić sobie na to, by sprawę dokładniej zbadać, bo w głębi duszy żywiłam przekonanie, że j e s t e m zła, że należę do diabła. Oszukiwa

łam się, usilnie powtarzając, że w rzeczywistości jestem dobra, bo m a m szlachetne ideały.

L ę k p r ó b o w a ł a m sobie wyperswadować, a wstyd raz za raz e m przełykałam. Wszystko - czego dowiedziałam się dzięki terapii - kontrolował tajny wewnętrzny program. Uzyskane tak niedawno przekonanie, że j e s t e m *niewinna*, nie pozwala

ło mi odczuć tego, co czekało w kolejce na odczucie. Byłam przerażona krzykiem we własnym wnętrzu.

Jeżeli wzbraniamy się coś odczuwać, czy jesteśmy to w stanie uleczyć? Z doświadczenia wiem, że nie. Chwiejne poczucie niewinności ulotniło się znowu. Bardziej niż kiedykolwiek p r z e k o n a n a byłam, że u m r ę , jeżeli moi przyjaciele dowiedzą się, jak zarabiam na życie.

Przyszedł do mnie na masaż nowy klient, Ray, starszy mężczyzna około sześćdziesiątki, smukły, wykształcony i uprzejmy, i poprosił mnie o seks oralny. Mniej uprzejmi nazywają to obciążaniem druta. Z tego rodzaju prośbą zetknęłam się już kilkakrotnie, ale chociaż z entuzjazmem angażowałam się w fellatio, nigdy nie zgadzałam się przełykać. Ray był jednak takim spokojnym, czystym i grzecznym mężczyzną, penis miał

nie za duży, więc się zgodziłam. Powiedziałam sobie, że będzie to nowe doświadczenie - i było. Okazałam się absolutnie nieprzygotowana na gwałtowną, n i e p o h a m o w a n ą reakcję własnego ciała.

Ray patrzył wstrząśnięty, jak biegnę do umywalki i krztuszę się, i kaszlę po tym, jak nasienie spłynęło mi do ust. M o j a reakcja nie miała j e d n a k z nim nic wspólnego, ciało pamiętało coś, o czym umysł dawno zapomniał. Przeszłość czekała na przypomnienie, a ja wciąż nie potrafiłam wszystkiego poskładać do kupy.

Próbowałam zmienić zawód. Założyłam na przykład pis m o dla samotnych - na długo zanim lokalne gazety się w to zaangażowały. Pracowałam ciężko, planując każdy praktyczny krok, co - jak wiedziałam - było niezbędne, by osiągnąć sukces. Ale chociaż innym wydawało się, że wiem, co robię, w głębi duszy nie potrafiłam tak n a p r a w d ę wyobrazić sobie, że mogę odnieść sukces. Tkwiło we mnie coś, jakiś autorytet z prawem weta, który pilnował, by żadne moje przedsięwzięcie się nie powiodło. Wyczuwałam to, ale nie miałam pojęcia, jak zająć się tym p r o b l e m e m . W końcu nazwałam go samo-utrudnianiem. Próbowałam z tym walczyć, ale nic z tego nie wychodziło.

Poszłam na p r ó b ę na warsztaty p r o w a d z o n e m e t o d ą zwaną „dialogiem z głosem”. Za każdym bez wyjątku razem rozmawiający z t e r a p e u t ą dziecinny głosik wpadał w panikę i, nie mogąc złapać tchu, zaczynał się dławić. A n i terapeuta, ani ja nie potrafiliśmy rozgryźć, co to może znaczyć. Nigdy nie udało n a m się wyjść poza ten etap i zrezygnowałam z wizyt. To s a m o działało się, kiedy znowu zajęłam się o d r o d z e niem. Nawet sesja w ciepłej kąpielii, która miała imitować ciepło łona, skończyła się tym stresującym dławieniem.

Praca z wewnętrznym dzieckiem była w tamtym okresie bardzo m o d n a . W alternatywnych pismach było mnóstwo informacji o tej metodzie oraz n u m e r ó w telefonów terapeutów.

Zdecydowałam się zajrzeć do j e d n e g o z nich. Niestety, tera-peutka próbowała otwarcie mi matkować. Powinna być mądrzejsza, ale w absolutnie dobrej wierze próbowała zmusić mnie, żebym utożsamiała się z dzieckiem, które całkowicie by-loby od niej uzależnione. W danej chwili nie potrafiłam ubrać w słowa uczuć, które kazały mi potraktować ją nieufnie, ale wszystko stało się dla mnie jasne pewnego dnia, kiedy przyszłam do niej do d o m u , a ona odebrała telefon od klientki, która - jak później wyjaśniła mi z d u m ą - nigdy kroku nie zrobiła, jeżeli uprzednio się z nią nie porozumiała. Czy ta tera-peutka nie zaspokajała przypadkiem własnych potrzeb?

Postanowiłam się doksztalcić i chodziłam na różne wykłady wygłaszane przez przybyłe do miasta autorytety, od których miałam nadzieję dowiedzieć się czegoś nowego. Zapisa

łam się na seminaria z motywacji, zmiany p r z e k o n a ń i temu podobnych. Pomyślałam, że może przyczyny moich kłopotów w b u d o w a n e są jakoś w mięśnie i komórki ciała. Pozwoliłam więc p e w n e m u b r u t a l n e m u masażystcie pastwić się nad tym ciałem, aż całe pokryło się siniakami.

Żeby raz na zawsze p o k o n a ć strach, chodziłam po rozżarzonych węglach i p o k o n a ł a m najdłuższy odcinek. Dwa razy.

Potrzebowałam od tego wszystkiego odpocząć. Już od jakiegoś czasu ciągnęło mnie, żeby pojechać na południe, daleko od miasta. Nigdy nie utożsamiałam tej chęci z niczym duchowym, więc pozwoliłam, by zagłuszyła ją codzienna krzątanina. Było lato 1984 roku. Mieszkałam w East Fremantle razem z moją córką Victorią i właśnie kupiłam przestronny samochód. Nigdy nie byłam dalej na południu niż w Pinjarze, a to nie b a r d z o daleko, ale nie m o g ł a m się już dłużej wypierać, że potrzebuję się wyrwać z miasta. Zawiozłam Victorię do H a l a i dałam sobie tydzień na odkrycie, co na mnie czeka. Spakowałam samochód tak, żebym mogłam w nim po drodze spać.

Podczas tej tajemniczej podróży, która w końcu przywiodła mnie do małego miasteczka, gdzie miałam zamieszkać na kilka lat, dosłownie nie ruszałam z miejsca, dopóki nie p o czułam, że coś

wyraźnie wskazuje mi, dokąd dalej jechać. Nie chciałam ryzykować, że znajdę się w jakimś niewłaściwym miejscu przez to, że pokieruję się moimi normalnymi zmysłami. Trafiłam do Bridgetown, siedziałam w herbaciarni, gapi

łam się na m a p ę i rozpatrywałam kilka możliwych kierunków, kiedy stało się dla mnie jasne, że powinnam wyruszyć w stronę M o u n t Barker. Tego p o p o ł u d n i a w d r a p a ł a m się na Bluff Knoll w paśmie Stirling i podpełzłam na brzuchu do skraju urwiska, upiornie bojąc się, że d a m n u r a między krą

żące i pikujące ptaki.

Spałam w samochodzie u p o d n ó ż a góry, i kiedy poczułam, że już czas, pojechałam do Albany, a tam popływałam w zatoce Frenchmans. N a s t ę p n e g o wieczoru okazało się, że zaparkowałam na półce skalnej z widokiem na ocean. Księżyc świecił jasno, ale spałam dobrze. Koło południa n a s t ę p n e g o dnia zaczęło się robić gorąco, ale chętnie wytrwałam na miejscu, dopóki nie stało się jasne, że p o r a ruszać w drogę.

Później tego samego dnia, zostawiwszy s a m o c h ó d nad rzeką D e n m a r k , przeszłam przez szosę i zostałam rozp o z n a n a przez M a r k a , mężczyznę, z którym zetknęłam się w Perth. Idąc do baru na lody, miałam na sobie b a r d z o krótkie francuskie szorty, a twarz osłaniał mi nisko nasunięty kapelusz z szerokim r o n d e m . Mijając mnie s a m o c h o d e m , M a r k nie mógł widzieć mojej twarzy, ale poznał nogi, które podziwiał niedawno na plaży dla nudystów w Swanbourne, i zatrzymał się.

Tego wieczoru na jego zaproszenie wzięłam udział w spotkaniu na świeżym powietrzu przy pełni księżyca. Poznałam grupę ludzi, którzy siedzieli na belach słomy przy ognisku i tańczyli przy wtórze bębnów, i natychmiast poczułam się jak w domu -

jakby byli przyjaciółmi, których znałam od dawna. Postanowi

łam raz na miesiąc wracać do D e n m a r k na weekend.

Sześć miesięcy później przeprowadziłam się z moją dziesięcioletnią córką Victorią do chaty o kilka kilometrów od miasteczka. Była to radykalna zmiana i nie wszystko poszło jak z płatka.

• • •

M a ł e miasteczko D e n m a r k - wciąż bez świateł na skrzy

żowaniach - leży pomiędzy zielonymi p a g ó r k a m i i o t o c z o n e jest zewsząd wodą: rzeczką, zatoczką Wilsona oraz O c e a -

n e m Południowym. Linia brzegowa jest niewiarygodnie malownicza, z białymi piaszczystymi plażami i cichymi przejrzystymi sadzawkami, w pobliżu których na granitowych głazach rozbijają się olbrzymie fale o c e a n u . Majestatyczne drzewa karri, s p o t y k a n e wyłącznie w tej części świata, p o r a stały piękną dolinę, w której zamieszkałam. To szczególne miejsce było tak p e ł n e radości i światła, że z łatwością p o godziłyśmy się z naszą starą, p e ł n ą przeciągów d r e w n i a n

ą chatą.

To tutaj poznałam George'a, mężczyznę, w którym miałam w końcu odkryć cechy mojego ojca, co we wcześniejszych związkach z J a m e s e m i Halem na szczęście mnie nie spotkało.

G e o r g e poruszał się cicho, mówił przytłumionym głosem, miał szerokie bary i był nieco zbyt tęgi. Wzrostem przewyższał mnie tylko odrobinę, ale zupełnie inaczej chodził. Miał

czarne kręcone włosy i schludnie utrzymaną b r o d ę . A także obsesję na punkcie czystości, chociaż ubierał się całkiem bez gustu. Został wychowany przez dziadka (który miał trochę krwi indiańskiej), w pięknych górach w Kolumbii Brytyjskiej.

Kiedy przeprowadzał się na farmę, którą dzierżawiłam, miał

czterdzieści cztery lata, a ja czterdzieści siedem. Postawił

swoją przyczepę turystyczną w szopie w pobliżu d o m u i tam zrobił sobie sypialnię.

Mój nowy sublokator zwykle strasznie dużo gadał i uważa

łam, że jest męczący, dopóki nie okazał się przydatny. W domu, wybudowanym w 1945 roku, był mi potrzebny mężczyzna. A wyglądało na to, że G e o r g e dysponuje narzędziami i umiejętnościami, by poradzić sobie z każdą robotą.

Pewnego dnia, kiedy zmywałam naczynia po obiedzie, zauważył niedbale, że gdyby mi kiedyś był potrzebny partner erotyczny, to - jeżeli zechcę - chętnie zgłasza się na erzac-

-kochanka. Erzac-kochanek! Zachichotałam. Nie widziałam w G e o r g e ' u materiału na kochanka - i wiedziałam o jego upodobaniu do egzotycznych piękności, najlepiej azjatyckich, oraz antypatii do blondynek. Poza tym byłam o trzy lata od niego starsza. Tak pewna byłam obojętności George'a wobec mnie, że bez skrępowania chodziłam na wpół naga w upale.

Poza tym „erzac-kochanek” nie był podniecającym zwrotem; sugerował raczej zimny, paskudny kompromis.

G e o r g e j e d n a k należał do tych ludzi, których nie wolno zbyt nisko oceniać. Cechowała go cierpliwość amerykańskiego Indianina. U r a t o w a ł a mu życie w Wietnamie, kiedy ukrywając się w głębokim lesie, często musiał być chytrzejszy od partyzantów Wietkongu. Potrafił być rozbijającą słodki i przebiegły jak lis. Jego inteligentny umysł wyłapywał i zapamiętywał przydatne d a n e na temat otaczającego świata. Z d a w a ł sobie sprawę, że wiedza to potęga. Widziałam, jak wabił

dzikie ptaki z drzew i nakłaniał je, by mu siadały na ramieniu albo na ręce. D o b r z e im się układało z Victorią, która mówi

ła do niego „ a d o p t a t o ” .

G e o r g e p o m ó g ł niejednemu człowiekowi z mętlikiem w głowie, gdyż udzielał dobrych rad.

Nikt j e d n a k nie zdołałby udzielić porady George'owi, który nie ujawniał swych mrocznych i skomplikowanych tajemnic. G e o r g e , p o d o b n i e jak H . D . T h o r e a u , okazywał lekceważenie dla „zaczynającego człowieka” i miał w sobie jakąś a m o r a l n ą wyższość.

Wierzył, że większość ludzi jest głupia i że mógłby powiedzieć im cokolwiek, a oni by mu uwierzyli. I rzeczywiście potrafił zachowywać się b a r d z o przekonująco.

Ludzie, którzy się z nim zaprzyjaźnili w D e n m a r k , byli jednak wrażliwi i wyczuleni na brednie. Koniec końców G e o r g e spokorniał - ale to zdarzyło się dużo później, kiedy już z nim nie byłam.

Kiedy G e o r g e i ja zostaliśmy kochankami, poznałam go od całkiem innej strony. Szybko oczarował mnie m a g n e t y z m e m , zadziwiającą mieszaniną sprytu i niewinności, kojącym, a przecież podniecającym dotknięciem uzdrowiciela, charyzmą niewyczerpanej energii seksualnej, które były mi dobrze z n a n e . Doskonale pasowaliśmy do siebie w łóżku i jeszcze nigdy z nikim nie kochałam się tak jak z nim. Otwierałam się przed G e o r g e ' e m jak kwiat.

Nie przywykłam do spania z mężczyzną. G e o r g e stopniowo nauczył mnie pozostawać z nim w fizycznym kontakcie przez całą noc, przytulaliśmy się do siebie plecami. Wykorzystywał wszystkie miłosne zakłęcia, często w uroczym dziecięcy sposób, pisał na skrawkach papieru naiwne liściki i dokładał

do nich starannie wybrany kwiatek albo dwa. I powiedział, że całuje tylko tych, których kocha. To j e d n o k o n k r e t n e wyznanie przekonało mnie o jego miłości, bo dobrze wiedziałam, co ma na myśli: całowanie było dla mnie sprawą prywatną, osobistą, i świadczyło o większym zaangażowaniu niż sam seks. Nieczęsto pozwalałam, by klienci mnie całowali. Wargi G e o r g e miał pełne, miękkie i takie chętne, a oddech świeży.

Z o s t a ł a m bez reszty uwiedziona.

Przy George'u z uniesieniem odczuwałam wszechświatową harmonię, niewysłowioną pełnię. Zatracałam się w nim. Zanim się połapałam, już nie mogłam sobie bez niego poradzić.

Przywiązałam się do G e o r g e ' a , ale on po roku czy dwóch tego niezwykłego r o m a n s u zaczął to moje przywiązanie odrzucać. Nie stać go było na to, żeby powiedzieć wprost, o co chodzi, więc zaczął robić uwagi na t e m a t naszego współżycia.

- Dlaczego nigdy nie szczytujesz w tym samym m o m e n c i e , co ja? - wrzeszczał. M o w ę mi odjęło, bo zawsze to robiłam, czy tego nie czuł? Jego zrzędliva uwaga zablokowała mnie i nie byłam już w stanie mieć przy nim orgazmu pochwowego. Nie zdawałam sobie sprawy, do czego zmierza; myślałam, że odsuwa się o d e mnie, bo jestem kiepską kochanką.

Z r a ż a ł mnie też ciągle do siebie na inne sposoby. Nie rozmawiał ze m n ą całymi tygodniami, prawie nie wychodził ze swojej przyczepy, nie udzielając przy tym żadnych wyjaśnień.

Takie zachowanie nakręcało we mnie szaleńczą spiralę dezorientacji i pożądania, a on to wszystko ignorował. P o t e m zdradził mnie z uczennicą Rajneesha, która później przyzna

ła, że przyjechała na naszą farmę z zamiarem uwiedzenia G e o r g e ' a . Ciemnowłosa i gibka, bez większych p r o b l e m ó w dopięła swego. G e o r g e nie pytał mnie o pozwolenie i niczego nie tłumaczył; powiedział mi tylko, że przecież nic szczególnego nas nie wiąże.

Pełna niedowierzania i zazdrości, cierpiałam całymi miesiącami. Nie miałam pojęcia, co robić, zwłaszcza kiedy George niespodziewanie znów zaczął ze mną sypiać.

I nagle naszą farmę sprzedano. Byliśmy załamani, bo wło

zyliśmy wiele energii i pieniędzy, by ją ulepszyć. Musieliśmy wyprowadzić się w ciągu sześciu tygodni.

To była idealna okazja, żeby przerwać nasz dysfunkcyjny związek, ale G e o r g e dowiedział się od mieszkającego w pobli

zu farmera, że potrzebuje pary, która zajęłaby się jego posiadłością, więc poszliśmy z nim porozmawiać. Miejsce nam się spodobało, zwłaszcza że mogliśmy zamieszkać w nowo wybudowanym domu. Problem w tym, że oprócz głównej sypialni, do której przylegała łazienka, a którą natychmiast przywłaszczył sobie G e o r g e , była tam tylko mała zapasowa sypialnia.

- Czy chciałabyś zająć tę sypialnię? - zapytał. Stałam w pokoju. Było tam miejsce tylko na pojedyncze łóżko. Za o k n e m rozciągał się śliczny widok, światło wlewało się do środka strumieniami, ale nie miałam zamiaru p o d p o r z ą d k o wać się George'owi, czego z pewnością oczekiwał.

- Nie, oczywiście, że nie - odpowiedziałam.

G e o r g e oczywiście przewidział, że tak odpowiem, i już wcześniej przekazał właścicielowi, żeby przygotował dla mnie przyczepę i trochę d o d a t k o w e g o wyposażenia. R o z m o w y trwały, a mnie zaczęło się trochę rozjaśniać w głowie. Poprosiłam właściciela o rozmowę w cztery oczy.

Nie chciałam podstępem pozbawiać George'a pracy, dlatego przekonałam właściciela, że George jest niezwykle zdolnym człowiekiem, i z równą łatwością poradzi sobie z moją częścią roboty, co z naprawianiem płotów i odbieraniem cieląt.

F a r m e r naradził się ze swoją żoną, która krążyła między nami z kubkami herbaty i ciasteczkami, i przystali na moją propozycję. Chciałam osobiście przekazać George'owi wiadomość, j a k o że oznaczała ona koniec naszego związku.

G e o r g e czuł się urażony, że został wykluczony z rozmowy z farmerem, a poza tym dręczyła go ciekawość i niepokój co do jej treści. Z m u s i ł a m go, by zaczekał, aż wrócimy na farmę i znajdziemy się w d o m u , i d o p i e r o wtedy powiedziałam, co postanowiłam.

Nic nie zdołałoby mnie przygotować na jego reakcję. M a m nadzieję, że już nigdy u nikogo nie zobaczę takiej furii jak ta, w którą wpadł G e o r g e . Nie potrafię sobie przypomnieć jego słów, ale na zawsze zapamiętałam, co zrobił. Zaczął rzucać wszystkim, co mu w p a d ł o p o d rękę, po salonie. Na pierwszy ogień poszły ozdoby - wazy, kawałki kwarcu, fragmenty drewna przyniesionego

ze względu na piękny kształt - a potem polana na opał. D r e w n o na opał rozleciało się po całym pokoju, odbijało się od k a n a p i ścian. Następnie G e o r g e chwycił za krzesła z jadalni i najpierw grzmocił nimi o p o d ł o gę, a p o t e m odrzucał. W końcu wyrwał z zawiasów drzwi i cisnął je w ślad za całą resztą.

Siedziałam na drugim końcu pokoju, łokcie o p a r ł a m na owalnym stoliku z eukaliptusa, b r o d ę na pięściach, z fascynacją przyglądałam się t e m u zniszczeniu, serce waliło mi z nadmiaru adrenaliny oraz, muszę to przyznać, z rosnącej satysfakcji. Nie tylko dlatego, że w końcu wytrąciłam z równowagi G e o r g e ' a . Chodziło raczej o to, że jego zachowanie dowiodło, iż podjęłam słuszną decyzję. To był G e o r g e , z którym p o d żadnym p o z o r e m nie chciałam dalej żyć!

Wściekłość G e o r g e ' a - który twierdzi, że nawet tego zdarzenia nie p a m i ę t a - wywołała gorzka świadomość, że o t o w końcu stracił n a d e m n ą władzę. Przy nowej pracy miałby tyle okazji, by mnie kontrolować i upokarzać. Teraz zostały mu o n e o d e b r a n e , a na dodatek będzie musiał pracować cię

żej ! Nigdy nie przyszło mu na myśl, by mi podziękować, że licząc się z nim, nie p o d k o p a ł a m jego szans.

J a k się o k a z a ł o , G e o r g e pracował t a m przez cztery lata.

D e k o r o w a ł swój d o m , aż zaczął p r z y p o m i n a ć jaskinię Indianina, i przyczynił się do o c h r o n y środowiska, strzelając do k u k a b u r (intruzów w zachodniej Australii polujących na miejscowe ptaki) o r a z wabiąc dzikie koty w zabójcze pu

łapki. W k o ń c u j e g o p r a g n i e n i e , by wszystkimi rządzić, z e p s u ł o mu stosunki z szefem. Dzięki z d r o w e m u rozsądkowi, którym obdarzył m n i e tego dnia los, rozstałam się z G e o r - g e ' e m . J e d n a k wywarł on na m n i e wpływ, co było nieu c h r o n n e .

Wróciłam do Perth. Tam p o z n a ł a m P e r s e p h o n e A r b o u r i przyłączyłam się do prowadzonej przez nią grupy kobiet.

Po raz pierwszy w życiu nauczyłam się otwierać przed kob i e t a m i . Nigdy nie zwierzałam się mojej m a t c e , z k t ó r ą nigdy nie byłam zżyta, a nawet uważałyśmy się za rywalki.

P o d ś w i a d o m i e o d n o s i ł a m się do wszystkich kobiet tak, jak o d n o s i ł a m się do mojej matki. Nigdy się żadnej nie zwierzyłam.

P e r s e p h o n e umiejętnie zachęcała nas, byśmy opowiadały swoje historie i uczyły się na swoich doświadczeniach. W jej d o m u odbywały się wieczorne spotkania, o p r o m i e n i o n e jej poczuciem h u m o r u , przepajało je jej cudowne poczucie hum o r u . Opowiedziałam grupie o G e o r g e ' u i zapoznałam się z koncepcją współzależnienia oraz szacunku do siebie.

Opowiedziałam także tym kobietom o moim wcześniejszym zajęciu i misji. Z a k ł a d a ł a m , że będą przerażone i zbulwersowane, ale zamiast tego wszystkie długo się śmiałyśmy i razem



zaczęłyśmy leczyć rany z niedawnej przeszłości.

Dzięki t e m u mogłam również spojrzeć z nowej perspektywy na moją pracę przy masażu erotycznym, który wydawał

się czymś całkiem zwyczajnym. Nie wspomniałam j e d n a k o tym, że n a b r a ł a m pewnego lekceważenia dla mężczyzn, ponieważ doszłam do przekonania, że pragną wyłącznie seksu i większość z nich boi się prawdziwej bliskości. Zalęgło się we mnie ukradkiem, a ja nawet tego nie zauważyłam.

Chociaż moje kontakty z P e r s e p h o n e stały się z czasem rzadsze, do dziś z zainteresowaniem i współczuciem słucha o n a wszystkiego, czym zechcę się z nią podzielić.

Z a c h o w a ł a m w miłej pamięci moich przyjaciół, D o n a i Ruth, i j e d n ą z pierwszych rzeczy, jaką zrobiłam, kiedy osiedliłam się znowu w Perth i zaczęłam uczyć, było zaproszenie ich na kolację. Ale nie przyszli ani wtedy, ani w następnym tygodniu. W końcu D o n powiedział, że wpadnie ze m n ą p o gadać.

Objęłam go serdecznie, kiedy pojawił się na m o i m patio, ale on stał sztywno ze sztucznym uśmiechem. To mnie zastanowiło.

- Lemoniady, D o n ?

Odmówił natychmiast, ale zgodził się usiąść w cieniu w to gorące popołudnie. Przeszedł od razu do sprawy, najwyraźniej powziąwszy decyzję, że szkoda czasu na uprzejmości.

- Carlo - zaczął, wysoko unosząc głowę - R u t h i ja nie przyjdziemy do ciebie na kolację już nigdy. - Przerwał na chwilę, spoglądając na mnie spod oka, może po to, by zatruta strzała mogła się głębiej wbić, zanim wystrzelili następną. -

Jesteś niegodziwym człowiekiem - ciągnął z namaszczaniem jak jakiś biskup albo sędzia. - Modlimy się za ciebie, ale p o stanowiliśmy nie mieć z tobą nic do czynienia. Masz zły wpływ na ludzi. Widzisz mnie teraz po raz ostatni; żadne z nas nie będzie już więcej z tobą rozmawiać.

Byłam tak wstrząśnięta, że nie potrafiłam wydusić z siebie ani słowa. Po prostu uwierzyć nie m o g ł a m w to, co mówił.

D o n nie czekał, żebym pozbierała myśli.

- Chwileczkę! - krzyknęłam, kiedy doszedł do furtki, ale w głowie wciąż miałam mętlik. W końcu j e d n a o k r o p n a rzecz stała się jasna: D o n mnie zdradził - nie tylko powiedział żonie, że uprawialiśmy seks, ale obwinił za to mnie, a nie siebie.

Uświadomiłam sobie, że wyrok wydano na mnie przed trzema laty. Nic wtedy mi nie powiedzieli i nie zamierzali dawać mi żadnej szansy na o b r o n ę . Jeszcze p r ó b o w a ł a m się o d e zwać, przekazać, jak ich kocham, ale już wiedziałam, że sytuacja jest beznadziejna. Wszystko to stało się tak d a w n o temu.

- Przekaż Ruth pozdrowienia! - krzyknęłam, kiedy D o n wychodził i zamykał za sobą furtkę.

Napisałam do nich obojga list, że ich Kocham, że to nieporozumienie. Nie dostałam żadnej odpowiedzi. Wysłałam kwiaty, ale wszystko na p r ó ż n o . Tak mnie to bolało, że zwierzyłam się naszej wspólnej przyjaciółce, psycholożce.

- O co mu chodziło z tym m o d l e n i e m się za mnie? - zapytałam, kiedy już wysłuchała uważnie mojej opowieści. - Przecież oni nawet nie byli religijni.

Ale Molly wiedziała. Wyjaśniła, że D o n i Ruth przystąpili do odrodzonych chrześcijan. I inteligentnie skomentowała ich zachowanie.

- Prawdopodobnie potrzebowali kozła ofiarnego - powiedziała. - Prościej przyszło obwinie ciebie i ratować małżeństwo niż doprowadzać do rozłamu i przyznać, że oni też są winni.

Z r o z u m i a ł a m to w końcu i teraz łatwiej było mi się z nimi rozstać. D o p i e r o kiedy utraciłam tych przyjaciół, pojęłam, ile dla mnie znaczyli: jedyna szczęśliwa normalna para, której zaufałam. Miało minąć wiele lat, zanim znowu znalazłam takich przyjaciół.

To H a l pierwszy zaczął podejrzewać, że w mojej przeszło

ści jest coś, z czym koniecznie trzeba się zmierzyć. Dzięki naszej córce byliśmy w kontakcie, nawet gdy z nim nie mieszkaliśmy. Kiedy do miasta przyjechała para terapeutów specjalizujących się w udzielaniu pomocy ludziom, którzy ucierpieli z rąk dorosłych j a k o dzieci, Hal namawiał mnie, żebym do nich poszła, i zaproponował, że pokryje koszty.

Poszłam na spotkanie, ale pozostała jeszcze j e d n a kwestia: żebym się otworzyła i zaczęła mówić. Przyglądałam się, jak uczestniczy walą się jak kłody na podłogę, krzycząc, i jak J o h n i Sue przyłączają się do nich, obejmują ich i pocieszają.

Postanowiłam spróbować i usiadłam na dywanie w salonie w otoczeniu kilku par stóp uczestników, którzy siedzieli na krzesłach.

- Gdzie jesteś? - zapytał John. Ku mojemu zdumieniu odpowiedziałam bez wahania:

- W piaskownicy.

- Ile masz lat? - padło drugie pytanie J o h n a .

- Dwa i troszkę.

- Co tam robisz?

- Siedzę na piasku... piasek jest szorstki, mokry... m a m go

łą pupę... p o d o b a mi się to, jak ziarenka piasku lepią się do moich rączek i ciała.

- Kto jeszcze tam jest? - ciągnął J o h n .

- Mój tato. Patrzy na mnie.

- Jakie to uczucie, kiedy na ciebie patrzy?

- Takie paskudne... fuj.

- Twój ojciec patrzy na ciebie, a ty mówisz fuj? - Głos J o h n a pełen był oburzenia, jego oburzenie dało mi poczucie bezpieczeństwa, pozwoliło wyraźnie przypomnieć sobie, co prze

żywałam d a w n o temu, jako dwulatka. Ojciec nie patrzył mi w oczy, tylko wpatrywał się w moją p u p ę ; twarz miał czerwona, wykrzywiona dziwacznym, sztywnym grymasem. Tak, to było p a s k u d n e uczucie, b a r d z o paskudne, fuj.

- Jak twój ojciec śmie patrzeć na ciebie w taki sposób? -

ryknął John, a ja zaczęłam rozpaczliwie płakać, z a s m u c o n a '

krzywdą, j a k o wyrządził mi inwazyjny wzrok ojca, i tkliwie wdzięczna za okazujących mi tyle serca dorosłych wokół

mnie. Sue objęła mnie jak matka. Tak dziwnie się poczułam, że obejmują mnie i chronią ramiona matki.

Po tej sesji poczułam się dużo lepiej, chociaż przykro mi było, że mój ojciec w oczach uczestników był łajdakiem. Nazwali rzecz po imieniu: nie mieli cienia wątpliwości - p o d o b n i e j a k t e r a z j a - że ojciec patrzył na mnie pożądlivie, i że nie miał do tego prawa.

Tej nocy miałam sen. Nie było w nim żadnych obrazów, tylko słowa, które domagały się, bym je zapamiętała, i to natarczywie. O b u d z i ł a m się wcześniej rano i zapisałam je wielkimi literami. P R Z Y R Z E K A M , Ż E P O N I O S Ę P O R A Ź K Ę

W E W S Z Y S T K I M , C Z E G O S I Ę P O D E J M Ę , J E Ź E L I T Y L K O B Ę D Ę M O G Ł A Ź Y Ć . Pisałam t o kilkakrotnie, a ż dotarło do mnie, że w którymś okresie życia musiałam złożyć dokładnie taką obietnicę. To była b a r d z o ważna wskazówka, ale w jakim, u licha, kontekście? *Jak* mogłam coś takiego obiecać? *Kiedy* według mnie moje życie było tak zagrożone, że dobiłam tego rodzaju targu? *Komu* złożyłam tę obietnicę?

Kiedy się nad tym zastanawiałam, przypomniało mi się s a - m o u t r u d n i a n i e , które gwarantowało, że żadna z prób, jakie podejmowałam, by zerwać z karierą masażystki, nie powiedzie się. W przełomowym m o m e n c i e zawsze stawało się dla mnie jasne, że żadne przedsięwzięcie mi nie wyjdzie, nawet jeśli zatrudnię eksperta z zewnątrz, i niezależnie od tego, na ile kursów biznesowych b ę d ę uczęszczała. Przypomniałam sobie, co powiedział R o b e r t Kyosaki podczas swoich genialnych warsztatów „Pieniądze i ty”. Popatrzył wprost na mnie i rzekł b a r d z o wyraźnie: „Oczywiście są tacy, dla których jest już za późno”. Byłam wtedy tuż po pięćdziesiątce i rozpaczliwie pragnęłam udowodnić, że nie miał racji, a przecież nie wierzyłam, że mi się uda. Moja

skłonność do ponoszenia p o rażek była niesamowita.

Wielokrotnie usiłowałam zacząć nowe życie. Raz zapisa

łam się na szkolenie zwane „Lekcjami operatywności”, cykl zajęć zaprojektowanych tak, by wzmocnić ludzi psychicznie.

Wzięłam w nich udział i zrobiły na mnie tak wielkie wrażenie, że zainwestowałam sporo pieniędzy, by się tego nauczyć.

Szło mi dobrze; właściwie to szło mi tak dobrze, że chyba znalazłam zawód, do którego się naprawdę nadawałam! M o

że nawet zbyt dobrze. J e d n a uczestniczka, psycholożka, zaczęła zadawać pytania na t e m a t „wiarygodności osób, które pomagają kursantom”. Stwierdziła, że chyba wystarczy ładna buzia, by p o d a n i e zostało przyjęte. Jakie są nasze kwalifikacje? A p o t e m : czy któreś z nas jest notowane w kartotekach policyjnych?

Musieliśmy szczegółowo przedstawić historię wcześniejszego zatrudnienia. Ja byłam nauczycielką, masażystką, a także prostytutką; i to prawda, że był czas, kiedy moje nazwisko i fotografia znajdowały się w rejestrach obyczajówki, żeby wiedzieli, kim jestem, kiedy b ę d ę się ogłaszała. Te akta zostały zniszczone, kiedy zrezygnowałam z zawodu prostytutki - zadzwoniłam, by uzyskać potwierdzenie, i powiedziano mi, że w kartotece nie mają żadnych danych na mój temat

- ale nie o to chodziło. Eks-prostyutka, choćby nie w i a d o m o jak operatywna, nie należała do osób, które prowadzący kurs chcieliby zatrudnić. Szef poczuł się w obowiązku mnie wyrzucić. Odeszłam, gotując się z gniewu i rumieniąc ze wstydu.

Nie każdego by coś takiego spotkało. W moim systemie musiał działać jakiś potężny „wirus”, mechanizm utrudniają-

cy, który pasował do z a p a m i ę t a n e g o z e s n u oświadczenia.

Pytanie tylko, co z tym zrobić? Przyjaciółka opowiedziała mi 0 terapii regresywnej, odniosłam wrażenie, że mogłaby mi o n a p o m ó c zająć się tą tajemniczą sprawą.

Jan była wykwalifikowaną terapeutką; miała szczególny dar, który pozwalał jej pomagać ludziom zmierzyć się ze w s p o m n i e n i a m i z wcześniejszych wcieleń. Zrezygnowała z udanej kariery, żeby się tym zająć. Kiedy już powiedziałam jej, co wiem o moim problemie, wyjaśniła, do czego będziemy dążyły: postaramy się mianowicie zagłębić w przeszłe życie, k t ó r e miało wpływ na dynamikę rozgrywających się obecnie wydarzeń. Ż a d n a z nas nie miała pojęcia, co wypłynie na powierzchnię.

Usiadłam na wygodnej kanapie w salonie Jan, która łagodnie zaczęła mnie wprowadzać w trans. Z a m k n ę ł a m oczy, czując się odprężona... odprężona... odprężona...

Pierwszą rzeczą, z której sobie zdałam sprawę, było puste blade n i e b o . O g a r n ę ł o m n i e

uczucie przeraźliwego chłodu. J a n narzuciła na m n i e koce, kiedy zaczęłam dygotać, ale nie m o g ł a m się ogrzać. Po chwili w mojej wizji p o jawiły się czubki sosen na grzbietach pobliskich pagórków, pokrytych głębokim śniegiem. P o t e m zobaczyłam siebie j a k o m ł o d ą I n d i a n k ę , mniej więcej piętnastoletnią, która o p a d ł a na kolana, u n i e r u c h o m i o n a przez śnieg, nogi spływały mi krwią.

Potem mój wzrok skupił się na dwóch postaciach jeźdźców: jednym był szaman, drugim mój kochanek Siuks. Szam a n był najpotężniejszym członkiem plemienia. Nikt mu się nie sprzeciwiał, a zwłaszcza dziewczęta i kobiety; nie powinny były mieć nic wspólnego z decyzjami podejmowanymi przez plemię. A właśnie czegoś takiego się dopuściłam. Mia

łam dar umożliwiający mi czytanie w myślach i potrafiłam powiedzieć, czy ktoś mówi prawdę czy nie. Wiedziałam, że szaman wymyśla różne historie, żeby umocnić swoje wpływy i pozycję w plemieniu. Zamiast zachować to dla siebie, oskarżyłam go głośno o kłamstwo w obecności wodza i starszyny.

Wypowiadając się, złamałam tradycję plemienną i p o d k o pałam wiarygodność szamana. Z d a ł a m sobie sprawę, że za taki szalony czyn czeka mnie kara, ale nigdy nie zdołałabym jej sobie wyobrazić: wywieźli mnie z obozu, a kiedy już byli

śmy daleko, mój kochanek przeciął mi ścięgna pod kolanami.

Nie m o g ł a m ani uciekać, ani wrócić do obozu, zostawili mnie, bym samotnie umierała w śniegu.

Jan cicho poprosiła mnie, żebym spojrzała w oczy mojego kochanka, który siedział na koniu i już miał wracać z szaman e m do obozu. N a p o t k a ł a m jego spojrzenie, takie twarde, takie pełne przekonania o własnej racji i... och! co za szok, zobaczyłam w j e g o twarzy oczy mojego ojca! Kiedy życie kropla po kropli wyciekało ze mnie, odpowiedziałam na jego spojrzenie. Nie została już we mnie ani odrobina miłości, nie zostały żadne błagania, żadne pytania; istniało tylko przemożne pragnienie, by go ukarać. I z całą mocą, na jaką mogłam się zdobyć, przeklełam go.

W jaki sposób zdałam sobie sprawę, że skazałam nas tym samym na kolejne wcielenia, w których będziemy występować przeciw sobie? Nie wiem. Pojawiła się po prostu we mnie myśl, że b ę d ę tego człowieka równocześnie kochała i nienawidziła i on też będzie mnie kochał i nienawidził, dopóki ten krąg nie zostanie jakoś przerwany. Nie wiedziałam, że dzięki mojemu przekleństwu zyska nade m n ą władzę.

Nie miało dla mnie znaczenia, czy wizja, jaką miałam u Jan, ujawniła prawdziwą historię czy nie, czy reinkarnacja to fakt czy nie; ważne było to, że przyznałam się do uczuć, które żywię do ojca i że wzięłam na siebie po części odpowiedzialność za nasze stosunki. Z czasem informacja, którą uzyskałam dzięki pracy z Jan, miała wydać owoce.

Poszukiwałam nadal zrozumienia i w tym celu pojechałam do Byron Bay w Nowej Południowej Walii, żeby tam zapoznać się z m e t o d ą Hoffmana, który szczególnie zwracał uwagę na relacje z ojcem i matką. Podczas sesji, kiedy wyładowywaliśmy gniew na p o d u s z k a c h , głowiłam się, dlaczego w wyobraźni ciągle pragnę zniszczyć penis mojego ojca. Z a wsze się odradzał, a ja znowu

grzmociłam go, dopóki się nie rozleciał i dopóki nie poczułam się kompletnie wyczerpana.

Z perspektywy czasu wydaje mi się dziwne, że żaden z terapeutów nie zwrócił na to uwagi.

J e d e n z dziwniejszych etapów tej terapii obejmował spontaniczne przypominanie sobie narodzin, ze szczegółami, o których nie pamiętała nawet moja matka, dopóki później jej o nich nie przypomniałam. Z r o z u m i a ł a m także, co czuli rodzice w chwili moich narodzin. Dzięki metodzie Hoffmana moje postrzeganie ojca i matki zmieniło się i przestałam w nich widzieć tylko ludzi, którzy mnie wychowywali, a zobaczyłam wrażliwe istoty, które borykały się z życiem i robiły, co w ich mocy.

Spędziłam w Byron Bay kilka samotnych, spokojnych dni, składając w całość to, co przeżyłam dzięki metodzie Hoffmana, i wtedy olśniło mnie, że zawarłam straszliwy pakt z diabłem. Siedziałam osłupiała, kiedy implikacje rysowały się coraz wyraźniej. Nie chciałam umrzeć i ryzykować, że pójdę do piekła - a to oznaczało, że musiałam zrobić coś naprawdę b a r d z o złego, skoro uwierzyłam, że pójdę do piekła, jeżeli u m r ę . Ale co ze spowiedzią? J a k to się stało, że nie wierzy

łam, by Bóg mógł przebaczyć mi to, co zrobiłam? Zżyłam się z aniołami, dla których w dzieciństwie zawsze było przy mnie miejsce, ale o p o m o c zwróciłam się do diabła. Więcej nawet: na którymś etapie przyrzekłam, że poniosę porażkę we wszystkim, czego naprawdę zapragnę, p o d w a r u n k i e m że b ę d ę mogła żyć! Czułam się przytłoczona tymi ohydnyymi wspomnieniami, ale o d e t c h n ę ł a m z ulgą, bo w końcu miałam jasny plan. *Pozbyć się tego diabła! Cofnąć obietnicę!* Ale najpierw pojechałam do M e l b o u r n e i powiedziałam k a ż d e m u z moich rodziców prosto w oczy, że ich kocham.

Wszyscy popłakaliśmy się z radości.

Kiedy znowu wróciłam do Perth, pożegnałam się z bajeczną ilością pieniędzy, wydając je na różnego rodzaju techniki reprogramowania, łącznie z j e d n ą b a r d z o wyjątkową i niesłychanie kosztowną sesją programowania neurolingwistyczne-go, która rzekomo miała raz na zawsze zrobić ze wszystkim porządek. N L P działa b a r d z o dobrze w wielu przypadkach, ale nie powinno się go przeceniać. Jeżeli pozytywne myślenie daje jakiegokolwiek rezultaty, powinno zadziałać i w moim przypadku, a tak się niestety nie stało.

Odbyłam kilka sesji z hipnotyzerami, ale nic z tego nie wyszło. Nie p o d d a w a ł a m się; p r a g n ę ł a m z tym czymś walczyć.

Niemal na ślepo.

Po pobycie w Byron Bay zaczęłam pracować na pełny etat j a k o nauczycielka, ale tak mnie to męczyło i czułam się całkiem wypalona. Pewnego dnia ciężarówka z naczepą m k n ę ł a na czerwonym świetle przez skrzyżowanie, przez które przechodziłam, a mnie było wszystko j e d n o , czy mnie przejedzie czy nie. Minęła mnie o włos.

Przestałam uczyć pod koniec semestru, ale nie wróciłam do pracy masażystki. Przeprowadziłam się z p o w r o t e m na sześć miesięcy do D e n m a r k i zamieszkałam w chacie na terenie posiadłości

mojego przyjaciela M a r k a . Z a r a b i a ł a m trochę, udzielając „lekcji operatywności”. Czułam się tam d o b r z e , a l e p i e n i ą d z e s z y b k o t o p n i a ł y - g ł ó w n i e d l a t e g o ż e m u s i a ł a m z r e z y g n o w a ć z t a n i o w y n a j m o w a n e j m a ł e j c h a t y -

więc wróciłam do Perth i do tego, co łatwiejsze: do masażu.

Wyjazd na wieś mnie odświeżył i znowu byłam pełna entuzjazmu. No i proszę, wbrew wszystkiemu wzięłam się znowu do swojej starej roboty i pracowałam, kiedy Victoria była w szkole.

- Nie rozumiem tego - powiedział pewien nowy klient, przygotowując się do wyjścia. - Wyglądasz tak niewinnie!

- Jestem niewinna! - odpowiedziałam szybko. - W tym, co robię, nie ma nic złego.

U ś m i e c h n ę ł a m się, ale z jego twarzy nie zniknął wyraz zdziwienia, kiedy zamykał za sobą drzwi frontowe. Poczu

łam, że skręca m n i e w ż o ł ą d k u , c o z n a c z y ł o , ż e n i e w s z y s t k o u k ł a d a s i ę i d e a l n i e .

Wróciłam pewnego dnia do d o m u i nacisnęłam guzik sekretarki, żeby odsłuchać wiadomości. Korytarz wypełniły dźwięki „Pawany na śmierć infantki” Ravela. Słuchałam tej miarowej, smutnej muzyki przez pół godziny. Nie było w tym niczego tajemniczego: przed wyjściem przez pomyłkę wło

żyłam do sekretarki kasetę z tym zapadającym w pamięć utworem. Czy to czysty zbieg okoliczności, że wybrałam akurat tę taśmę?

Pomyślałam o infantce w kamiennej trumnie, która budzi się i spostrzega, że p o g r z e b a n o j ą żywcem, i włosy stanęły mi dęba. Niejasno zobaczyłam siebie j a k o o b d a r z o n ą ł a s k ą k o b i e t ę , która umarła dla swej prawdziwej tożsamości i żyje w krainie cieni. Jeżeli czułam się gorsza od moich przyjaciół

mających n o r m a l n ą pracę, czy nie żyłam w krainie cieni?

Zdecydowanie nie chciałam, by dowiedzieli się, w jaki sposób zarabiam na życie, i na samą myśl, że mogą się domyślić, o b l e w a ł a m s i ę p o t e m .

Czułam się - i czasami wyglądałam - jak nieboskie stworzenie. Pewnego dnia czekałam na pociąg, kiedy zauważy

łam, jak jakaś kobieta zerknęła na mnie, przerażona zaczerpnęła tchu i odwróciła się, zakrywając oczy ręką. U k r a d k i e m sprawdziłam, jak wyglądam: bluzka wyłaziła mi niechlujnie ze spódnicy, rękawy i mankiety były niezbyt czyste, a co najgorsze, kolory się na mnie gryzły. Kapelusz tkwił mi głupio na bakier na głowie. I n a g l e z o b a c z y ł a m w t y m w s z y s t k i m o b j a w y w e w n ę t r z n e j d y s h a r m o n i i . Wysokim chudym kobietom takim jak ja nie puszcza się niechlujności płazem równie łatwo jak innym; z a b a r d z o s i ę w y r ó ż n i a m y . Reakcja kobiety nie miała p r a w d o p o d o b n i e n i c w s p ó l n e g o z e m n ą , a l e w t e d y g o t o w a b y ł a m u w i e r z y ć , ż e j ą p r z e r a z i ł a m .

•••  
W końcu trafiłam na kogoś, kto - jak sądziłam - mógł pomóc mi wyegzorcyzmować mojego diabła. Rimmie, sympatyczny, charyzmatyczny szaman, miał szczególną moc, używał

bębenka, żeby pozyskać więcej energii i pomóc ludziom rozwiązać najbardziej odporne problemy. Odprawiał już w przeszłości egzorcyzmy - musiałam się koniecznie do niego dostać!

Kiedy zapoznaj się z moją historią, powiedział mi, że muszę wezwać tego diabła, wyobrazić go sobie i kazać mu spieprzać. Siedziałam u Rimmiego na poduszce na podłodze, a on siedział z bębenkiem na krześle. Nie wierzyłam już w diabła w duchu katolickim; widziałam w nim raczej tę energię w moim ciele, która nosiła diabelskie cechy: destrukcyjną, uwodzicielską, kłamiącą na wszelkie możliwe sposoby.

Mimo to wiedziałam, że będę potrafiła wyobrazić ją sobie w postaci diabła z lekcji religii, i tym samym dopasować do ram egzorcyzmu. Byłam niespokojna, ale rozpaczliwie pragnęłam spróbować.

Rimmie miękko uderzył w bębenek, warkot to nasilał się, to przycichał, szaman nucił przy tym, jakby pszczoła brzęcza

ła, i wkrótce wprowadził mnie w stan przypominający sen.

Diabeł pojawił się przede mną w lesie, gdzie siedziałam oparta o gładki pień drzewa karri. Zgodnie z poleceniem opisałam go Rimmiemu.

- Wdychaj moc drzewa - namawiał mnie łagodnie Rimmie do wtóru cichego, ale natarczywego bębnienia. - A teraz wstań i popatrz diabłu w twarz.

Bębnek zawarczał nieco głośniej. Wdychałam moc drzewa, nie spuszczałam oczu z diabła, oparłam się o pień, kiedy powoli podnosiłam się do pozycji stojącej. Diabeł czekał

cierpliwie, a kiedy w obrzydliwym uśmiechu rozchylił czarniawe pogardliwie skrzywione usta, z jego nozdrzy buchnął

dym. Oczy połyskiwały mu z paskudnej uciechy, jakby cieszy

ła go ta gra w „zabij mnie, jeśli potrafisz”; to niesamowite, jak bardzo przypominały mi oczy ojca.

Ale on nie był moim ojcem, prawda? Był diabłem i z pomocą terapeuty uda mi się go przegnać. Mój przyjaciel szaman zwilżał wargi, gotów wypowiedzieć słowa, które z pewnością uwolnią mnie od potwora.

- Każ mu teraz odejść! - powiedział władczo, rozdzielając poszczególne słowa stanowczymi uderzeniami w bębenek. -

Powiedz mu, że był już z tobą wystarczająco długo i pora, by sobie poszedł; nie jest już potrzebny w



twoim życiu. - Wrr, wrr, b u m , b u m .

M o m e n t wahania z mojej strony.

- Pakt, który z nim zawarłaś j a k o dziecko, wygaś! Podrzyj go! - wrzasnął szaman.

Rytm b ę b e n k a dodawał mi odwagi i w moim umyśle pojawiły się słowa. G ł ę b o k o oddychałam, stawiając czoło potworowi. Jego złowieszczy uśmiech i groźne przesywające spojrzenie były tak ostre, że cała moja holenderska odwaga rozpadała się na kawałki. Zachwiałam się, ale d o b r n ę ł a m do końca.

- Odejdź, zły duchu! - krzyknęłam i zacisnęłam wargi, by powstrzymać ich drżenie. - Wyrzekam się zawartego z tobą paktu! Nie boję się już śmierci! Zaslужuję na to, by odnieść sukces we wszystkim, co robię!

Umilkłam. Terapeuta uderzał w b ę b e n e k coraz wolniej i czekał, aż zacznę wolniej oddychać.

- Co się stało? - zapytał, pochylając się niecierpliwie do przodu.

- Diabeł zaczął się śmiać - wyjaśniłam nieprzekonująco. -

Odbiegł przez las, śmiejąc się na całe gardło.

Nie muszę dodawać, że ta n i e u d a n a próba utwierdziła mnie tylko w przekonaniu, że to, co mnie trzymało w pazurach, jest niezwyciężone. Jeżeli istniało coś, co było od tego mocniejsze, jeszcze na to nie trafiłam.

Ale istniało coś silniejszego i ostatecznie to coś miało mnie znaleźć, kiedy ja p o d d a ł a m się i przestałam szukać we wszystkich niewłaściwych miejscach.

Waza się rozpada

W 1993 roku mój ojciec skończy! osiemdziesiąt lat. C h o r o wał na raka, który w okrutnym tempie pożera! jego jelito.

Lekarze uważali, że d!ugo już nie pożyje, więc poleciałam do mojej siostry Liesbet i zatrzymałam się u niej, żeby być przy nim. Przyleciały również moje dwie pozostałe siostry, Berta z Fremantle, a Teresa z Canberry. Nie chciałyśmy, żeby nasz ojciec umierał w szpitalu.

Przed zaledwie sześcioma miesiącami zwierzył mi się z wahaniem w kuchni, że cierpi na bóle brzucha. Pojękiwał przy tym, i powinnam była się domyślić, że tym razem n a p r a w d ę jest coś nie w porządku. Mój ojciec nieczęsto przyznawał się, że go coś boli, a jego jęki należało traktować poważniej niż narzekanie - brzmiały tak, jakby statek szedł na d n o .

Dziwne, że miał umrzeć przed naszą matką. O n a już od roku przebywała w d o m u opieki, a on marzył o chwili, kiedy będzie wolny, kiedy nie będzie musiał brać jej na ręce i wozić dwa razy w tygodniu na wózku na spacer. To była bolesna decyzja, żeby o d d a ć m a t k ę do d o m u opieki.

Błagała nas ze łzami w oczach, żebyśmy nie zostawiali jej tam, gdzie tak okropnie pachniało, gdzie było tak tłoczno, że posiłki musia-

ła jeść, trzymając talerz na kolanach, bo b r a k o w a ł o miejsca na jadalnię, i skąd zwłoki wnoszono przez drzwi na tyłach, żeby nikt nie zauważył, że ktoś u m a r ł w miejscu, gdzie nie by

ło nic innego do roboty. Nic dziwnego, że w reakcji na takie otoczenie zrobiła się zamknięta w sobie, a p o t e m zdziecinniała - na pogorszenie jej stanu d o d a t k o w o wpływał środek przeciwbólowy, który przyjmowała. A m i m o to wciąż była fizycznie silna, podczas gdy jej mąż miał jeszcze przed sobą tylko kilka tygodni życia.

Nasza czwórka ułożyła plan dyżurów i pielęgnowała ojca przez całą dobę. Siły opuszczały go z dnia na dzień; przyglądał się t e m u z niedowierzaniem. Przeszedł operację, ale było za późno: miał przerzuty. Zdając sobie sprawę, że czasu ma już niewiele, pojechał po raz ostatni do swoich ukochanych Niemiec, żeby pożegnać się z członkami rodziny. Musiał

skrócić wizytę z powodu silnych bólów; z ironią zauważył, że leciał z p o w r o t e m pierwszą klasą, a nie mógł nawet tknąć darmowej whisky.

Potrząsając z niedowierzaniem głową, wypróbowywał swoje wciąż m o c n e nogi i ręce, ale wkrótce, jeżeli chciał gdzieś przejść, musiał się oprzeć na lasce, a p o t e m na balkoniku.

Kiedy patrzyliśmy na tego człowieka, który nas kiedyś terroryzował, a teraz był od nas zależny jak dziecko, ogarniało nas przerażenie.

Było to dla niego takie t r u d n e . Sporo czasu minęło, zanim zdobył się na odwagę i poprosił, żebyśmy mu wyczyściły sztuczną szczękę, i pozwolił n a m zobaczyć swoją zapadniętą bez zębów twarz. Przyszedł m o m e n t , że nie był w stanie sam się podetrzeć. Skóra zrobiła mu się delikatniejsza niż u niemowlęcia, cienka jak pergamin. Musiałyśmy być bardzo ostrożne. A j e d n a k pochłaniał wielkie ilości jedzenia, jakby mogło mu jakoś przywrócić siły. W końcu powiedziałyśmy mu łagodnie, że lekarz kazał, by jadł tylko wtedy, jak będzie n a p r a w d ę głodny.

- Co wejdzie, to musi wyjść, więc to bezcelowe - stwierdził

lekarz. Mój ojciec w milczeniu rozważył polecenie i natychmiast się do niego zastosował. Od tej chwili jadł wyłącznie to, co mu podałyśmy. Nigdy nie poprosił o więcej. Jego uległość bardzo mnie poruszyła. To był znak, że pogodził się z tym, że umiera.

J e d n ą z nielicznych przyjemności, jakie mojemu ojcu zostały, było oglądanie p r o g r a m u „Days of O u r Lives”. C o dziennie o drugiej po południu podnosił się w tym celu z łóżka i sadowił przed telewizorem. Przez niezliczone lata i jego, i m a t k ę fascynowali ci piękni, chciwi mężczyźni i te piękne, chciwe kobiety, którzy niezawodnie, rok po roku, zdradzali jedni drugich. Miałam takiego pecha, że przyleciałam kiedyś z wizytą z zachodniej Australii i przyjechałam do d o m u akurat wtedy, kiedy rodzice oglądali swój ulubiony program.

Drzwi frontowe nie były zamknięte na klucz, więc weszłam, oznajmiając o swoim przybyciu

donośnym i wesołym głosem.

Nikt nie wyszedł mi na powitanie. Zastałam ich w salonie z oczami wlepionymi w demoniczny ekran. Ojciec bez słowa skinął na mnie władczo, żebym weszła i usiadła na kanapie.

M a t k a przyjęła moją obecność do wiadomości, kiedy przechodziłam przez jej pole widzenia, ale nie poruszyła głową ani nie spojrzała mi w oczy, a twarz jej wykrzywiła się w przeproszającym uśmiechu. Pojawiłam się w m o m e n c i e krytycznym dla j e d n e g o z bohaterów. W końcu rodzice westchnęli głęboko i wiedziałam, że program niedługo się skończy i napijemy się herbaty.

Mój ojciec nie przestał być uzależniony od losów tych okropnych niby-to-panów i złośliwych, agresywnych bab. Siedziałyśmy z nim, żeby mu dotrzymać towarzystwa, ryzykując, że udzieli n a m się coś z tej lepkiej opery mydlanej. Mniej więcej dziesięć dni przed śmiercią ojciec nagle potrząsnął głową i przez coraz luźniejszą sztuczną szczękę parsknął:

- Tss! Tss!

I zaczął się głośno zastanawiać, jak ktoś m o ż e oglądać coś tak wstrętnego.

- To obrzydliwe, co ci ludzie robią sobie nawzajem - powiedział, jakbyśmy zapytały go o zdanie, a on właśnie po raz pierwszy wygłaszał opinię na temat tego p r o g r a m u . - Jak m o ż n a pokazywać takie paskudztwo!

Wstat i pokuśtykał z p o w r o t e m do łóżka. Popatrzyłyśmy z otwartymi ustami na tę nagłą oznakę zdrowego rozsądku.

Czyżby naszego ojca oświeciło?

My, trzy siostry, napiłyśmy się w kuchni herbaty, kiedy nasz ojciec spał, i rozmawiałyśmy o tym, na ile częste wybuchy gniewu mogły przyczynić się do pogorszenia stanu jego zdrowia. Nie potrafiłyśmy pogodzić się z tym, że rak atakuje ludzi bez powodu. Może przyczyną było zniszczenie efektów jego wieloletniej pracy w klasztornych ogrodach? A m o ż e to, że matka przez całe życie mu dogryzała? A i jego dieta do najlepszych nie należała. Od kiedy przed dziesięciu laty rzucił palenie, zrobił się z niego potajemny czekoladoholik.

Nikt n a p r a w d ę nie wie, co wywołuje chorobę, ale ja mia

łam przekonanie, słuszne lub nie, że najważniejszą rolę odegrały tu nieujawnione tajemnice i konflikty z przeszłości.

Nasz ojciec nigdy nie rozwiązał do końca żadnego ze swoich problemów: żył w stałym konflikcie z każdym członkiem swojej wielkiej rodziny oraz z kilkoma innymi osobami, jak na przykład m a t k a Albion. W przeszłości mojego ojca znalazłoby się wiele przykrych tajemnic, i to o n e mogły d o k o n a ć straszliwego dzieła zniszczenia.

Przez te ostatnie tygodnie miałam wielką nadzieję, że ojciec otworzy przed nami serce i powie nam, czego żałuje, że poprosi nas o wybaczenie, i umrze w błogim spokoju, otoczony rodziną.

Dwukrotnie był już tego bliski: pierwszy raz, kiedy siedzieliśmy pod drzewem w cętkowanym cieniu. Ja czytałam, a on siedział w milczeniu, zadumany.

- Powiedziałem wszystko ojcu Benowi - odezwał się po chwili. - Więc teraz już w porządku, czyż nie?

Ojciec Ben wysłuchiwał spowiedzi mojego ojca od wielu lat, ale tym „czyż n i e ? ” ojciec wyraził czującą się w nim wątpliwość. Widziałam na jego twarzy napięcie, wywołane nie tylko fizycznym bólem. Skorzystałam wtedy z okazji i powiedziałam:

- Tylko ty wiesz, czy wszystko jest w porządku, papo, czy mo

że powinieneś naprawić coś nie tylko wobec Boga, ale i ludzi.

Nie ośmieliłam się powiedzieć nic więcej. Mój ojciec błędnie mniemał, że nikt w rodzinie nie zna jego sekretów.

Teraz zmarszczył brwi. M i m o całego wewnętrznego niepokoju wciąż musiał utwierdzać się w przekonaniu, że Wielki Szef, jak nazywał swojego katolickiego Boga, wszystko ma zapięte na ostatni guzik. I to w ręce Wielkiego Szefa się oddawał, jak grzeczny chłopiec gotów przyjąć wszystko od surowego ojca, który wie najlepiej. Traktował swoje cierpienie jak karę: Wielki Szef mu je zesłał dla jego własnego dobra. Wielokrotnie prosił, by nie podawać mu żadnych lekarstw, które mogłyby przyspieszyć śmierć; chciał być całkowicie posłuszny Bogu. Kiedy w końcu podałyśmy mu morfinę w kroplówce, powiedział, że boi się, że go wykończymy, i dopiero dochodzącej pielęgniarki uwierzył na słowo, że to lekarstwo.

- Jestem spokojny - oświadczył ni stąd, ni zowąd, kiedy następnym razem usiedliśmy razem na dworze, ciesząc się świeżym powietrzem. Siedziałam w niewielkiej odległości od niego, czytając po cichu książkę. Pogaduszki nie były czymś właściwym, a odrzucił moją propozycję, że mu poczytam.

Przyswajał sobie najlepiej, jak potrafił, dziwny fakt, że umiera oraz że m i m o wszystko odejdzie przed swoją żoną.

- Wiem, że jesteś spokojny, p a p o , ale chciałabym, żebyś był również szczęśliwy.

Na to popadł w głęboką zadumę, ale ja wróciłam do książki.

- A skąd wiesz, że nie jestem szczęśliwy? - odezwał się znowu słabym głosem.

I wtedy go zawiodłam. Czułam, że pytanie jest ogromnie ważne, ale nie chciałam się głębiej nad nim zastanawiać. Zamiast tego zbyłam go i nie potrafię wyrazić, jak bardzo tego żałuję.

- Sam, tato, najlepiej wiesz, czy jesteś szczęśliwy czy nie -

wybełkotałam, a p o t e m mózg przestał mi pracować i nie zdo

łałam przyjąć niespodzianego daru: zaufania ojca. Z m a r n o wałam tę szansę. Z a p o m n i a ł a m

poprosić o p o m o c mojego własnego Boga albo anioła. W tej krótkiej, ale ważnej chwili nie umiałam się zdobyć na odwagę. Nawet kiedy powtórzył

pytanie, udzieliłam mu tej samej niedostatecznej odpowiedzi.

A m i m o t o w moim ojcu coś się niespodziewanie zmieni

ło. Przyszły go odwiedzić dwie zaprzyjaźnione od wielu lat zakonnice, a kiedy wyszły z jego pokoju, j e d n a z nich przekazała mi ważną wiadomość. Była to siostra Victoire, nasza najstarsza przyjaciółka, którą ojciec zobowiązał, by powiedziała mi, że „przykro mu, że był taki twardy dla Carli”. Serce niemal stanęło mi w piersiach.

Poszłam się z nim zobaczyć zaraz p o t e m , kiedy pożegnali

śmy się z siostrami. Ojciec nie spojrzał mi w oczy, tylko, jakby pragnąc się usprawiedliwić, powiedział po prostu:

- Taka zawsze byłaś samowolna, C a r l o - i odwrócił głowę.

Czy pamiętał wtedy, jak mnie potwornie przeraził, kiedy chciał mnie złamać i zmusić, żebym słowa nie pisnęła na temat jego niegodziwych uczynków? Przeprosił, że był „taki twardy”, ale przez pośredników. Na nic lepszego nie potrafił

się zdobyć, ale dał mi do zrozumienia, że to, co mi robił, mu ciąży i że jest mu przykro.

Oczywiście wielu sekretów nie zdradził nikomu, poza księdz e m ; nie zamierzał omawiać ich z ludźmi, których skrzywdził. To byłoby zbyt wiele spodziewać się, że na oścież otworzy serce; nawet świadomość zbliżającej się śmierci tego nie zmieniła. Płakałam w duszy nad sobą i nad nim, nad tym, że nawet w obliczu śmierci nie potrafi się przełamać. Ale przez te ostatnie dni, które mu jeszcze zostały, był dla nas kochający i czuły i tulił swoje córki, co nas głęboko wzruszało. Okazywał miłość, a my czułyśmy, że jest prawdziwa. Jednak, umierając, nie był całkiem szczęśliwy; wierząc, że dzięki spowiedzi wszystko zostanie mu wybaczone, w głębi duszy zastanawiał się, czy Bóg okaże się wobec niego rzetelny.

• • •

Moja matka, bardziej przytomna w tym czasie, poprosiła, by zawieziono ją do umierającego męża. Ubrała ją i uczesała życzliwa pielęgniarka, która szczególnie się o nią troszczyła.

Matka przejechała te kilka kilometrów taksówką przystosowaną do wózków inwalidzkich, a ja wtoczyłam ją do prze-stronnego pokoju, gdzie jej mąż - który kiedyś przechwalał!

się, że jak ona odejdzie, to on dopiero sobie pożyje - leżał

oparty o stos poduszek. Ucieszył się z odwiedzin żony. M a t k a była teraz taka krucha, a mimo to wciąż energiczna. Kiedy się do niego zbliżała, policzki miała zarumienione, spojrzenie baczne, a jej twarz rozjaśniało wewnętrzne światło. Ustawi

łam jej wózek blisko łóżka ojca i cicho wyszłam z pokoju. Zanim zamknęłam drzwi, odwróciłam się na m o m e n t i poraziło mnie to, co zobaczyłam.

C h u d a ręka mojej matki leżała na łóżku, a ojciec zamknął

ją w swojej dużej kościstej dłoni, patrzyli na siebie z miło

ścią, w milczeniu. Promieniujący od nich blask niemal rozja

śniał pokój; oczy ojca, k t ó r e g o zmienioną twarz widziałam od drzwi, błyszczały bezbrzeżnym zachwytem i n a m i ę t n o

ścią. Ich miłość wypełniła cały pokój. Oboje stali przed ostatecznym rozstaniem i teraz już nie było miejsca na nic poza prawdą.

W jednym mgnieniu zrozumiałam, jak b a r d z o się oboje przez całe życie kochali, szczerze i głęboko, nawet wtedy kiedy walczyli ze sobą, zdradzali się, nienawidzili i poniżali.

Wielu ludzi, łącznie ze mną, mówiło wtedy: „Dlaczego każde z was nie pójdzie swoją drogą, na miłość boską!”.

Ale w tych świętych chwilach łaski przebaczali sobie wszystko i zaślubiali się na nowo, tym razem j a k o prawdziwi kochankowie, nie żeby siebie nawzajem zagarnąć, ale by temu drugiemu dać z siebie wszystko. Uświadomiłam sobie, że popełniłam błąd, osądzając to, co działo się między nimi w przeszłości - tylko oni wiedzieli, jak było n a p r a w d ę .

Chociaż tak starannie zaplanowałyśmy dyżury, nasz ojciec wydał ostatnie tchnienie w samotności o czwartej nad r a n e m po wizycie naszej matki. Ż a d n a z nas nie spała dużo tamtej nocy. Siedziałyśmy w kuchni, popijając herbatę, i bardziej wyczułyśmy, niż usłyszałyśmy, jak gwałtownie odetchnął. Pobiegłyśmy i zobaczyłyśmy jego żałośnie otwarte usta, które nie były już w stanie chwytać powietrza. Całkiem jakby wołał

ku niebu. D u c h ojca ruszył ku wolności.

Na szczęście miałyśmy co najmniej cztery godziny, zanim przedsiębiorcy pogrzebowi przyjechali go zabrać - wystarczy

ło czasu, żeby moi bracia zobaczyli go po raz ostatni. Chcia

łam, by leżał jak najdłużej w spokoju, by jego duch mógł całkowicie opuścić ciało, ale moje siostry - bardziej wytrącone z równowagi śmiercią - obstawały przy tym, by szybko usunąć ciało.

Pojawili się przedsiębiorcy pogrzebowi. Był niedzielny poranek - tak wczesny, że dwaj młodzi ludzie ubrani w schludne czarne garnitury nie doszli jeszcze całkiem do siebie po sobotniej zabawie. Milczeli, zachowywali się z szacunkiem i koncentrowali na pracy, mając świadomość, że obserwują każdy ich ruch. Nakryte otwartą plastikową torbą nosze ustawili obok łóżka i przełożyli na nie dziwnie groteskowe zwłoki.

Z a k r a w a ł o t o n a z n i e w a g ę i n i e m o g ł a m s i ę n a d z i w i ć, ż e m ó j o j c i e c, j e s z c z e u b r a n y w p i ż a m ę, n i e z r o b i ł n i c, b y i c h p o w s t r z y m a ć. J e g o w c i a ż m i ę k k i e i d ł u g i e c i a ł o z a p a d ł o s i ę p o

ś r o d k u, a r ę c e, n i e k o n t r o l o w a n e p r z e z ś w i a d o m o ś ć, r o z l e c i a

ł y s i ę n a b o k i. W i d o k n i e g d y ś t a k m o c n y c h, a t e r a z m a r t w y c h d ł o n i w y j ą t k o w o m n i e p o r u s z y ł. P r z e d s i ę b i o r c y p o g r z e b o w i u p c h n ę l i j e w c z a r n e j p l a s t i k o w e j t o r b i e, a p o t e m z a c i ą g n ę l i z a m e k n a d t w a r ż ą o j c a.

Z a p y t a l i, c z y r o d z i n a b ę d z i e c h c i a ł a z o b a c z y ć z m a r ł e g o. P o w i e d z i e l i ś m y, ż e n i e; w s z y s c y g o w i d z i e l i ś m y. N a c h w i ł ę z a p o m n i e l i ś m y o n a s z e j m a t c e. C i a ł o o j c a z o s t a w i o n o w s p o k o j u i n i e z a b a l s a m o w a n o g o, c o b y ł o b y r ó w n o z n a c z n e z u s u w a n i e m w n ę t r z n o ś c i. A l e p r z e d s i ę b i o r c y n i e b y l i z a d o w o l e n i, k i e d y p o u p ł y w i e p e ł n e j d o b y m o j a m a t k a u p a r ł a s i ę, ż e c h c e z o b a c z y ć m ę ż a. N i e m n i e j u d a ł o i m s i ę g o p r z y g o t o w a ć i w s w o i m n a j l e p s z y m g a r n i t u r z e w y g ł ą d a ł z d u m i e w a j ą c o d o b r z e.

K i e d y p r z e d s i ę b i o r c y w y s z l i, m y n a d a ł s i e d z i e l i ś m y r a z e m, o s z o ł o m i e n i, c h o c i a ż o d d a w n a s p o d z i e w a l i ś m y s i ę ś m i e r c i o j c a. M i a ł a m d o w i e d z i e ć s i ę o s o b i e c z e g o ś n o w e g o. D l a j a k i e j ś c z ą s t k i m n i e, d o k t ó r e j s i ę n i e p r z y z n a w a ł a m, ś m i e r ć o j c a b y ł a c h w i ł ą t r i u m f u. P o m i m o w i e l o l e t n i e j t e r a p i i - d z i ę k i k t ó r e j m ó j s m u t e k, g n i e w i s t r a c h p r z e k s z t a ł c i ł s i ę w e w s p ó ł c z u c i e d l a r o d z i c ó w - p o z o s t a ł w e m n i e p e ł e n g o r y c z y z a k a m a r e k, a w n i m m i e s z k a ł a p a j ę c z y c a. I w ł a ś n i e z a m i e r z a ł a z a a t a k o w a ć.

- C i e k a w e, i l e z o s t a ł o p o n i m p i e n i ę d z y, s k o r o t y l e w y d a ł

n a p r o s t y t u t k i. Ś m i e s z n e, p r z e c i ę ż i t a k w s z y s c y o n i c h w i e d z i e l i ś m y - r z u c i ł a m.

M o j e s ł o w a r o z p ł y n ę ł y s i ę w c i s z y. S i o s t r y b y ł y z b y t o s z o

ł o m i o n e, b y o d p o w i e d z i e ć. A l e s w o i c h u w a g n i e k i e r o w a ł a m t a k n a p r a w d ę d o s i ó s t r, l e c z d o d u c h a o j c a, k t ó r y j a k w i e d z i a

ł a m, k r ą ż y ł w p o b l i ż u. Z a a t a k o w a ł a m t a k o s t r o, b o z a c i ę ł a m s i ę w g n i e w i e, ż e d o k o ń c a n i e z d o b y ł s i ę n a c a ł k o w i t ą s z c z e r o ś ć. W s z y s t k o, c o w c z e ś n i e j z a m i e c i o n o p o d d y w a n, p o z o s t a ł o t a m d o s a m e g o k o ń c a. W r e l i g i i z n a l a ź p e w n e g o r o d z a j u p r z y z w o l e n i e n a c i ą g ł e p o w t a r z a n i e g r z e c h ó w, w n a d z i e i n a r o z g r z e s z e n i e.

J a k t y l k o w y p o w i e d z i a ł a m p o w y ż s z e s ł o w a, p o c z u ł a m w s t r z ą s, ż e j e w y p o w i e d z i a ł a m. W y c z u w a ł a m t e ż e m o c j o n a ł n ą r e a k c j ę z m a r ł e g o o j c a. P o c z u ł a m s i ę n i e s w o j o, b o u ś w i a d o m i ł a m s o b i e, ż e m o j a z e m s t a p r z y n i e s i e g o r z k i e k o n s e k w e n c j e. W k o ń c u z m a r l i s ą b e z b r o n n i w n a s z y c h r ę k a c h.

M o j e s e r c e w y p e ł n i ł g ł ę b o k i s m u t e k. P ł a k a ł a m p o t e m d ł u g o, n i e t y l k o n a d t y m, ż e s t r a c i ł a m o j c a, a l e i n a d t y m, ż e s t a

ł a m s i ę o k r u t n a. P o d c z a s n a s t ę p n y c h c i e m n y c h n o c y b ł a g a

ł a m g o o w y b a c z e n i e; p o t e m w k o ń c u o d b y ł a m z n i m r o z m o w ę, o k t ó r e j m a r z y ł a m z a j e g o ż y c i a,

wylewając przed nim swój ból, opowiadając mu, jak ja wszystko odbierałam.

Przebaczyłam mu wtedy, n a p r a w d ę i szczerze. Chciałam, żeby się przede mn ą otworzył, ale na ile ja postępowałam otwarcie wobec niego? Zawsze dokładał wszelkich starań, a p o d koniec życia przeszedł sam siebie. To ja popełniłam błąd, oceniając jego zachowanie i krytykując zbytnią p o wścياgliwość.

Nie zostałam na pogrzeb ojca. Był sam środek sezonu futbolowego w M e l b o u r n e , przez co zmiana lotu bez dopłacania ekstra za bilet pierwszej klasy okazała się niemożliwa. J e

śli o mnie chodzi, najważniejszą pracę mieliśmy za sobą, a znieść nie mogłam myśli o okropnej, ekliwej ceremonii pogrzebowej.

Tak się złożyło, że w dzień pogrzebu lało, i żałobnicy z m o kli tak, że nie dawało się odróżnić łez od strug deszczu na ich twarzach. W niecały rok później wydarzyło się to samo, kiedy m a t k a chowana była obok ojca. Dowiedziałam się wszystkiego o jednym i drugim pogrzebie. Niestety, ominęła mnie i j e d n a , i druga okazja do spotkania się z innymi członkami rodziny. Mówiłam sobie, że *nie zniosłabym tego*. Co ja naprawdę wiedziałam o tym, czego trzeba było mojemu ojcu, by go uzdrowić? To mnie nie wolno przerywać pracy n a d uzdrawianiem siebie.

M i a ł a m coraz więcej wolnego czasu i wykorzystywałam go na pisanie o historii mojej rodziny, co stawało się dla mnie ważnym zajęciem, oraz prowadzenie codziennych zapisków o tym, co dzieje się wewnątrz mnie. Masaży robiłam tylko tyle, żeby utrzymać się przy życiu.

Tak jak wcześniej szłam w mojej pracy na k o m p r o m i s . Ale w inny sposób - udawałam orgazmy. Pamiętam m o m e n t , kiedy B e r n a r d , mój klient, naśladował wydawane przeze mnie odgłosy, by pokazać, że wyczuł fałsz w moich reakcjach. Nie stać mnie było na tyle przyzwoitości, by się z nim zgodzić.

Zaczęły się dziać różne niemiłe rzeczy. Tak n a p r a w d ę nie było to nic nowego, ale teraz przejmowałam się nimi jak nigdy wcześniej. Kiedy zamieściłam ogłoszenie, rywalka, która chciała mi zaszkodzić, umówiła się z podstawionym klientem, by dzwonił do mnie i nie odkładał słuchawki, przez co telefon był u mnie cały czas zajęty i inni nie mogli się połączyć. Ponieważ pracowałam sama, miałam ograniczoną zdolność do konkurowania z innymi - nie mówiąc już o k o n k u r o waniu z burdelami - niemniej musiałam znosić to nękanie.

Pewnego dnia dwaj klienci, którym w końcu udało się dodzwonić, nie przyszli na umówioną wizytę, więc doszłam do wniosku, że równie dobrze mogę pójść na zakupy. Kiedy co-fatam samochód, żeby wyjechać z podjazdu, zauważyłam jakies a u t o z a p a r k o w a n e kolo wejścia tak, że nie było go widać z okien d o m u . Zaskoczyłam za kierownicą faceta trzymającego w rękach aparat, a p o t e m zrozumiałam. Moi przeciwnicy, kimkolwiek byli, ustawili ten pojazd pod moim d o m e m , aby odstraszać klientów.

Z rozmowami telefonicznymi też było coś nie tak. Faceci dzwoniли tylko po to, żeby pogadać, równocześnie się masturbując, a gdy skończyli, odkładali natychmiast słuchawkę i zostawiali mnie na lodzie - odrażające. Coś takiego zdarzało się również w dobrych czasach - w tym biznesie nie



należało się takim telefonom dziwić - ale teraz zaczęły m n i e doprowadzać do furii.

Pewnego dnia zadzwonił do mnie kilka razy jakiś obsceniczny obcy facet. Kiedy w końcu podniosłam słuchawkę i gwizdnęłam do niej, nie mając pojęcia, kto będzie odbiorcą przeraźliwego odgłosu, uświadomiłam sobie, że zaczynam wariować.

Mój telefon był na podsłuchu i to doprowadzało mnie do sza

łu. Mówiąc krótko, zaczęłam uświadamiać sobie wszystko, na co dotychczas godziłam się ze względu na mój zawód.

Z dnia na dzień entuzjazm ze mnie opadał, co m o ż n a b y

ło poznać po mojej twarzy. Nigdy nie umiałam dobrze ukrywać uczuć. Kiedyś otworzyłam drzwi nowemu klientowi. Zamiast wejść, cofnął się, przepraszając, że musi zaparkować s a m o c h ó d w innym miejscu, w cieniu. I więcej się nie pojawił.

Kompletnie mnie to zniechęciło. Niewykluczone, że coś takiego ukartowała konkurencja, by zadać mi następny cios, ale nie byłam o tym przekonana. Po prostu moja twarz przestała promieniować radością i pewnością. A wiem, że kiedy m a m n a c h m u r z o n ą minę, robię się zdecydowanie brzydka.

Przyszła pora, by przyznać, że ta robota nie daje mi już radości. A im słabsza była moja wiara w siebie, tym gorsi klienci do mnie przychodzili. Myślałam o rzuceniu tego zawodu, ale jednocześnie mówiłam sobie w duchu, że nic innego mi nie pozostało. Ta myśl przejmowała mnie lękiem.

Ponownie, z coraz większą desperacją, rzuciłam się w wir sesji uzdrawiających. Brałam udział w weekendowych rekolekcjach, w kursach terapeutycznych, w warsztatach, łącznie z organizowanym przez katolików forum L a n d m a r k Educa-tion oraz jeszcze d w o m a innymi ich kursami - szukając czegoś, co pozwoliłoby mi wnikać w siebie i uleczyło mnie. Wydawałam oszczędności całego życia, nie zostawiając sobie niemal nic na przyszłość. Te kursy na swój sposób były przyd a t n e , ale niewiele mogły mi p o m ó c - naprawdę chwytalam się wszystkich sposobów. Wciąż miałam zamęt w głowie, nieustannie czułam się chora od psychicznego chłamu przekazyw a n e g o mi podczas masażu erotycznego, zwłaszcza jeżeli obejmował stosunek, chociaż teraz rzadko na to pozwalałam.

Utraciłam tę elastyczność, jaką się cieszyłam, kiedy wierzy

łam w swoją duchową misję i przepełniała mnie swawolna ciekawość. Teraz praca niesamowicie mnie męczyła. Gdzieś głęboko w moim wnętrzu bulgotał niespokojnie wulkan, gro

ząc wybuchem. Minęły dwa lata, od kiedy ukończyłam warsztaty p r o w a d z o n e m e t o d ą Hoffmana i odkryłam mój dziecięcy pakt z diabłem. Ale ten wewnętrzny lęk - to przerażenie nie w i a d o m o czym - był ogromny i żaden t e r a p e u t a nie potrafił mi p o m ó c .

D o p ó k i nie p o z n a ł a m Jessie.

Jessie była psychologiem seksuologiem - wychowała się na ulicach Nowego Jorku. Opowiedziałam jej o wszystkim, co mi się w mojej historii wydawało znaczące: o tym, jak dusiłam się podczas terapii, o poczuciu beznadziei. Przypadkiem wspomniałam, że w młodości moje wychowanie seksualne ograniczyło się do sentencji, że od pocałunków zachodzi się w ciążę.

- J a k t o „od pocałunków zachodzi się w ciążę”? - zapyta

ła rzeczowo.

Z d a w a ł a m s o b i e s p r a w ę , ż e t a k i e j c w a n e j k o b i e c i e n i e w y d a s i ę t o z b y t m ą d r e , a l e m i m o t o w y z n a ł a m :

- Wierzyłam, że pocałunki wzmagają pożądanie faceta tak, że jego nasienie spłynie dziewczynie do gardła.

- Czy to zakonnice powiedziały ci, że tak się dzieje? Że spływające gardłem nasienie spowoduje, że zajdziesz w ciążę?

- Nie, nie one. Po prostu tak sobie pomyślałam. Wydawa

ło mi się to naturalne.

- Myślisz, że doszłabyś do takiego wniosku, gdybyś wcze

śniej nie doświadczyła czegoś p o d o b n e g o ?

Od pytania Jessie zakręciło mi się w głowie. Siedziałam w wiklinowym fotelu na jej werandzie i w jednej chwili poznałam prawdę. J a k o d z i e c k o b y ł a m m o l e s t o w a n a p r z e z o j c a ! W g ł o w i e m i a ł a m p o t w o r n y m ę t l i k . M i m o t o u ś w i a d o m i

łam sobie ze zdziwieniem, że zawsze o tym wiedziałam. Ta wiedza tkwiła we mnie od *zawsze*, ale nie chciałam dopuścić do siebie myśli, co zrobił mi ojciec. Kluczową sprawą było chronienie wizerunku ojca j a k o d o b r e g o c z ł o w i e k a , k t ó r y k o c h a ł m n i e , j e g o p i e r w s z ą , w y j ą t k o w ą c ó r k ę . U k r y w a ł a m p r z e d s o b ą , ż e n i e k o c h a ł m n i e n a t y l e , b y m n i e c h r o n i ć ; ż e t o o n w ł a ś n i e z a d a ł m i g w a ł t . B y ł d l a m n i e d i a b ł e m .

Łzy mi napłynęły do oczu, ale musiałam jeszcze uświadomić sobie coś więcej. Wypierałam tę wiedzę, bo nie chciałam przyznać, iż działałam z nim w zмовie, że byłam *wspólniczką* zbrodni. O Boże, tak chciałam *chronić* mojego ojca. Kochałam go! Nie tylko poczucie wstydu, ale moja miłość do niego powodowały, że bałam się zobaczyć prawdę.

Czas mijał, a ja nawet tego nie zauważyłam. Zapłaciłam Jessie o g r o m n e h o n o r a r i u m i wyszłam, chciałam gdzieś zło

żyć głowę i zasnąć, a m o ż e u m r z e ć .

Obudziłam się później tego samego dnia; do pewnego stopnia rozjaśniło mi się w głowie. Kawałki

układanki ze stukotem wpadały na swoje miejsca jak wielkie klucze wsuwające się do odpowiednich dziurek. Rozwikłałam kwestię mojego paktu z diabłem: „diabeł”, z którym musiałam walczyć, był na początku m o i m o j c e m . J a k o dziecko wykorzystywane nocą, kiedy jawa miesza się ze snami, nie potrafiłam się w tym rozeznaczyć. To wszystko tak mnie przytłaczało, tak bardzo się dusiłam, że za każdym razem, kiedy do tego dochodziło, wierzyłam, że jako niedobra dziewczynka u m r ę i p ó j d ę do piekła. Modliłam się więc do diabła, żeby ocalił mnie od śmierci. Przede wszystkim od śmierci przez uduszenie. *Proszę, tatusiu, tatusiu-diabło, nie uduś mnie na śmierć.*

Z r o z u m i a ł a m , że moje przekonanie, iż jestem z gruntu zła, zakorzeniło się we mnie po tym, jak ojciec próbował

mnie uciszyć, dusząc mnie i kopiąc. Wynikłe stąd poczucie winy i wstydu, z którym żyłam, kazało mi w dorosłym wieku czuć się niegodnym człowiekiem, nie zasługiwałam na sukces w czymkolwiek, co było dla mnie ważne.

Nie od razu u d a ł o mi się poskładać wszystko, czego dowiedziałam się u Jessie; a nawet miałam wrażenie, że minę

ły wieki, zanim p o r z ą d n i e przyswoiłam sobie to, co rozumiałam. Trybiki obracały się niewiarygodnie powoli, jakby były z a n u r z o n e w syropie. Pojmowanie r o z u m e m t o j e d n o ; uleczenie utrwalonych w podświadomości wzorców emocjonalnych to coś całkiem innego. Moje emocje przypominały elastyczne gumki; p r ó b o w a ł a m nimi sterować, a o n e z trzaskiem powracały na d a w n e na miejsce. Z p r z e r a ż e n i e m p r z e k o n a ł a m się, że poczucie wstydu - jak zawsze - nie odstępuje mnie na krok, p o d o b n i e jak straszliwy brak wiary w siebie. Byłam wrakiem człowieka. Jedyna różnica między z r o z u m i e n i e m a niezrozumieniem polegała na tym, że teraz znalazłam potwierdzenie, że ojciec mnie odrzucił. Czułam, że ojciec zrujnował mi życie. Z rozpaczą u d a ł a m się po następną p o r a d ę .

- Czy m a m szansę być kiedyś n o r m a l n a ? - zapytałam psycholożkę, która pracowała z ludźmi wykorzystywanymi seksualnie, miała gabinet w mieście. Wyglądała na wstrząśniętą moim pytaniem: oto siedziała przed nią elegancko ubrana kobieta, która nie miała za grosz pewności siebie, i drastycznie niską s a m o o c e n ę . Policzki mnie paliły, kiedy słuchałam jej odpowiedzi.

- Była pani wykorzystywana na wiele sposobów - rzekła, pochylając się ku mnie przez biurko. - Wykorzystywana fizycznie, seksualnie, emocjonalnie i umysłowo. Wyzdrowieje pani, jeżeli p o d d a się pani odpowiedniej terapii. - A p o t e m nagle dodała: - Jeżeli nie, będzie musiała pani pomyśleć o ścieżce duchowej.

Kiedy wyszłam, kupiłam zgodnie z instrukcją misia i lizaki dla mojego wewnętrznego dziecka i lizałam je, aż mi się niedobrze zrobiło. Kupiłam zalecaną książkę „The C o u r a g e t o H e a l ” i udzieliłam dziewczynce z mojego wnętrza głosu, zapisując jej słowa lewą ręką. Wyobrażałam sobie, jak ją tulę i pocieszam łagodnymi słowami. O g r o m n i e mi to pomogło.

Czułam, jak to dziecko w moim umyśle podnosi się z ziemi i przestaje kulić się w szopie na węgiel, której nigdy nie ośmieliło się opuścić. Ile to potrwa, zanim znowu poczuje się n a p r a w d ę bezpieczne?

Przez kilka tygodni kontynuowałam to cudowne uzdrawianie, z zachwytem prowadząc regularne rozmowy z małą dziewczynką we mnie. Jeżeli tylko zdarzyło mi się o tym zapomnieć, próbowałam to zaniedbanie jej wynagrodzić. Najważniejsze, żeby nauczyła się mi ufać.

Równocześnie intrygowały mnie słowa terapeutki o wej

ściu na ścieżkę duchową. Z a d a w a ł a m sobie pytanie, co mogła mieć na myśli. Medytację, religię? Jeżeli tak, to którą religię?

A może życie pod kierunkiem nauczyciela duchowego? Niewykluczone, że wcale nie m a m y wyboru, a tylko natchnione myśli, które skłaniają nas do działania, a te działania znowu nas czegoś uczą. Tak czy owak, przyszedł mi na myśl mistrz Adi Da (z początkiem lat siedemdziesiątych znany był w Los Angeles jako Bubba Free J o h n ) . Przypomniałam sobie, że kiedy po raz pierwszy czytałam książkę o jego życiu, moje serce wypełniło się takim blaskiem, że aż spoglądałam na własną pierś z neodpartym wrażeniem, że zobaczę wypływające z niej światło. Porwana cudownymi doznaniem, nie mogłam oderwać się od lektury. Teraz zaczęłam poważnie myśleć o mistrzu, który potrafił tak m n ą poruszyć.

Zaczęłam uczęszczać na cotygodniowe spotkania zwolenników Adi D a , organizowane we Fremantle przez jego uczennicę, która jakiś czas spędziła ze swoim guru. Zafascynowana, wyruszyłam w ryzykowną podróż - wstąpiłam na duchowa ścieżkę dla niewinnych, szczerych, odważnych, zdezorientowanych i głupich. Kupowałam książki i taśmy, jeździ

łam na rekolekcje i zaczęłam medytować dwa razy dziennie.

Z n o w u odczuwałam Boską Miłość, podobnie jak kiedyś w klasztorze, ale tym razem dużo mocniej. Pisma mistrza Da również dawały mi natchnienie: nikt chyba nie rozumiał

ludzkiej natury lepiej niż on. Mistrz Da napisał wiele książek, tworząc je z kolosalną szybkością, a po nas oczekiwano, że kupimy je wszystkie.

Pracowałam nadal jako masażystka, chociaż z przerwami.

Aż do lata 1994 roku, kiedy pewne wydarzenie położyło temu kres. Wtedy tego nie doceniałam, ale był w tym palec Boży.

Tego letniego dnia wyrzałam przez o k n o przytulnego domu w Hilton, w pobliżu Fremantle, i zobaczyłam, że mój ogród jest całkiem zrujnowany. Wybrałam ten d o m ze względu na duży ogród i rzekomo długoterminową u m o w ę najmu.

Mieszkałam sama, bo moja córka Victoria, od kiedy skończy

ła piętnaście lat, wolała zamieszkać z ojcem. Minęło zaledwie osiem miesięcy, od kiedy się wprowadziłam, a już ten du

ży teren podzielono na trzy działki i po obu moich stronach wyrosły płoty. Jedyne drzewo, do którego b a r d z o się przywiązałam, cienisty dąb, znalazło się wkrótce po drugiej stronie stawianego płotu.

Na tyłach każdego podwórka instalowano nowe szambo.

O p e r a t o r koparki okazał współczucie, ale nic na to nie mógł poradzić, że przekopuje grządki z ziołami, kwiatami i jarzynami oraz starannie o d m ł a d z a n e krzewy hibiskusa i przetacznika. Wystarczyło j e d n o p o p o ł u d n i e , żeby znaleźć się w d o m u tkwiącym na środku gigantycznej piaskownicy, zła i bezradna, bo w żaden sposób nie mogłam powstrzymać rуйnowania mojego ogrodu i wszystkich moich planów.

Uderzyłam dużym palcem prawej stopy w nogę od łóżka i złamałam go. U z n a ł a m to za znak pokazujący mi, jak bardzo jestem zdezorientowana. I proszę! Musiałam przestać pracować. Moi uprzejmi sąsiedzi, Elsie i Bert, przynosili mi zupę i chleb z masłem i prowadzili ze m n ą wesołe pogawędki. Bert był dla mnie jak ojciec, od chwili gdy się wprowadzi

łam. Poznałam go, kiedy niespodziewanie zastukał do drzwi; stał ze skrzynką z narzędziami w ręce i zastanawiał się, czy nie znajdzie się u mnie w d o m u jakaś d r o b n a robota do wykonania. Kiedy zostawiłam klucze w środku, pomógł mi włam a ć się do mojego własnego domu.

Potem b a r d z o rozboleły mnie plecy, nie mogłam się wyprostować, więc znów zaprzestałam masażu. Przez tydzień kuśtykałam po d o m u o kulach przez ten mój paluch; kolejny tydzień przeżyłam w męczarniach z powodu pleców.

W drugim tygodniu opiekował się m n ą jeden z moich klientów. Często do m n i e zaglądał, żeby mnie zabrać na lunch albo do kręgarza, i nawet robił dla mnie zakupy. Któregoś dnia, kiedy t r u d n o było mi się poruszać, pozwoliłam, żeby pomógł mi wstać z łóżka.

- Lepiej ty niż ja - zażartował, szeroko się uśmiechając.

Byłam zdumiona, że chciało mu się jeszcze do mnie wracać, kiedy zobaczył mnie w takim stanie.

R o b był żonaty, bogaty, a dzięki interesom - wszystko jedno jakim - nawiązał kontakty z ludźmi z wymiaru sprawiedliwości - policją, detektywami i sędziami. Miał także duże doświadczenia jeśli chodzi o salony masażu i burdele. Wypytywałam go o to, kiedy siedzieliśmy nad piwem w restauracji, ale nie był wylewny. Uważał, że pewnych rzeczy nie warto wiedzieć.

- Jedz, Carlo. Dbaj o siebie.

Kiedy doszłam już trochę do siebie, powiedziałam R o b o -

wi, że b ę d ę mu robiła tylko masaż - n a p r a w d ę brakowało mi już energii na coś więcej. R o b się nie przejął; powiedział, że

„odprężyć się" m o ż e gdzie indziej.

Wyzdrowiałam, ale nadal nie miałam pojęcia, w którą stronę się zwrócić.

Pewnego dnia, akurat kiedy moja sąsiadka Elsie przyniosła mi gorące bułeczki, zadzwonił telefon. Ku mojemu bezbrzeżn e m u zdumieniu dzwonił ktoś z wydziału gospodarki mieszkaniowej,

proponując mi mieszkanie w D e n m a r k . Przed trzema miesiącami pewna znajoma n a p o m k n ę ł a niemal m i m o chodem:

- Podaj swoje nazwisko do wydziału gospodarki mieszkaniowej, Carlo.

Parsknęłam śmiechem.

- Co oni mogliby dla mnie zrobić? Nie jestem s a m o t n ą m a t k ą ani inwalidką.

Ale ona upierała się, żebym się zarejestrowała.

Uległam n a m o w o m i poszłam do tego biura.

Jak dowiedziałam się później, w tym czasie b u d o w a n o w D e n m a r k osiedle dla osób powyżej pięćdziesiątki, a moje p o d a n i e było jednym z zaledwie dwóch p o d a ń o mieszkanie dla jednej osoby. Bert zaproponował, żebyśmy poszli na nie zerknąć - i bardzo n a m się spodobało. Nowe mieszkanie!

Miejsce na założenie ogrodu! M o g ł a m się tam przeprowadzić po przejściu na emeryturę i spokojnie mieszkać do końca życia. To wszystko spadło mi jak z nieba.

Przeprowadziłam się dwa tygodnie później. Wszystko się zmieniło, a ja tego niemal nie zauważyłam. Bóg wziął mnie za rękę i zaprowadził w nowe miejsce. I w samą p o r ę .

•••

W ciągu ostatnich dni w dawnym d o m u trzeba było wszystko uporządkować. Zadzwoiłam do kilku klientów, którzy w zaufaniu podali mi n u m e r telefonu, aby się pożegnać.

Szczególnie serdecznie chciałam pożegnać się z Guyem, przystojnym młodym człowiekiem, który się we mnie zadurzył. Pracował jako przedstawiciel handlowy firmy jubilerskiej i czasami obniżałam mu opłatę, przyjmując jakiś ładny pier

ścionek albo wisior. Guy był wysoki, miał wspaniałe ciało i dobre maniery. Brakowało mu wiary w siebie jako mężczyznę, i to był jego problem, bo miał zdrowy apetyt na seks. W kontaktach ze mną zawsze był uprzejmy, życzliwy, wdzięczny i uważny - krótko mówiąc, marzenie każdej dziewczyny, a przecież nie miał nikogo.

Kiedy się lepiej poznaliśmy, seks z nim był cudowny. Cieszy

ło mnie jego muskularne ciało, gładka skóra, świeży oddech i zadbane włosy. Guy był ostrożny i zawsze używał prezerwatywy. Kiedy widziałam go poprzednim razem, powiedziałam mu, że ze swoją urodą i urokiem osobistym nie powinien mieć żadnych kłopotów ze znalezieniem sobie dziewczyny. Wysłuchał mnie z zapartym tchem. Dlaczego, u licha, pomyślałam, taki człowiek jak Guy ma tak niskie mniemanie o sobie jako kochanku?

G u y zostawił mi n u m e r swojej komórki, żebym się z nim kontaktowała, jak b ę d ę miała „wolną

chwile". Zadzwoiłam po raz ostatni, mówiąc, że potrzebuję jakiegoś drobiazgu z biżuterii na prezent dla przyjaciółki. Kiedy przyszedł, zamiast zaprowadzić go do pokoju do masażu, z przyćmionym i różowym światłem, zabrałam go do jasno oświetlonego salonu. Otworzył teczkę z próbkami i położył mi ją na kolanach i d o p i e r o wtedy pierwszy raz miał okazję zobaczyć mnie przy zwykłym świetle, bez makijażu, z pobladłymi policzkami, przylizanymi, prostymi włosami. Kiedy mnie coś boli, wyglądam staro. M i m o opuszczonych powiek widziałam, że się wzdrygnął.

Podniosłam na niego oczy.

- Czy masz już dziewczynę, Guy?

- Tak - wymamrotał Guy, a ja zapytałam, czy jest miła.

Kiwnął głową, z każdą chwilą czując się coraz bardziej nieswojo.

- No więc jak, Guy, będziesz szczęśliwy, prawda? - O d d a lam mu teczkę. - Nie potrzebuję dziś niczego i niedługo wyjeżdżam z miasta.

Widziałam, że odetchnął z ulgą, kiedy się z nim pożegna

łam. W końcu okazało się to nie takie trudne. Zamykając drzwi, zauważyłam na podłodze małą jaskrawą paczuszkę.

Kiedy Guy w nerwowym pośpiechu opuszczał mój d o m , przyp a d k o w o wypadły mu z kieszeni spodni prezerwatywy. Były efekciarskie, najlepsze, jakie można kupić, ale wiedziałam, że po nie nie wróci. U ś m i e c h n ę ł a m się i z całego serca życzy

łam mu wszystkiego najlepszego.

I któż to zadzwoni! zaraz następnego dnia, jeżeli nie M e -

fistofeles w postaci uroczej Azjatki, z którą zaprzyjaźniłam się, kiedy pracowałyśmy razem j a k o ochotniczki przy prezentacjach na warsztatach „Pieniądze i ty”. Umówiłyśmy się z Susie na lunch i wtedy zaznajomiła mnie ze swoim nowym planem. Chciała otworzyć punkt masażu w d o m u , który włą

śnie kupiła w dzielnicy biznesowej Perth, i poprosiła mnie, żebym go poprowadziła!

- Masz doświadczenie i skłonisz dziewczyny, żeby robiły to jak trzeba - wyjaśniła. - Wyszkolisz je d o b r z e w m a s a ż u i będziemy trzymać się reguł: sam masaż, żadnych n a r k o tyków.

Z a r u m i e n i ł a m się, że ma o mnie tak dobrą opinię, ale wysokie dochody i lekka praca - żadnego bezpośredniego zaangażowania w masowanie - kusiły mnie tylko przez m o m e n t .

Wszystko w moim ciele mówiło mi, że byłby to krok wstecz; w końcu byłam gotowa rozstać się na d o b r e ze swoim trybem życia. O d m ó w i ł a m z wdzięcznością, sprzedałam Susie mój stół do masażu, p o d a r o w a ł a m stos ręczników i życzyłam powodzenia w planach. Znalazła sobie

odpowiednią m e n e d ż e r -

kę, zarobiła pieniądze, o jakie jej chodziło, i na koniec sprzedała salon za godziwą cenę.

•••

To była czysta rozkosz, znaleźć się znowu w D e n m a r k , tym razem w moim własnym malutkim d o m k u . Zachwycalam się towarzystwem wesołych, kochających i uczciwych przyjaciół.

Chińska waza, która przez tyle lat była dla mnie natchnieniem, rozpadła się na d r o b n e kawałeczki i teraz miałam czas, by wśród skorup spróbować odnaleźć spokój. J e d n a k już wkrótce miałam popełnić następny błąd, tym razem w imię słusznej sprawy.

Niektórzy z moich przyjaciół w D e n m a r k byli o d d a n i mistrzowi D a , k o n t y n u o w a ł a m więc n a u k ę i p o b o ż n e praktyki j a k o członek niewielkiej grupy. Uczniom ciągle przypomina się, że mają żyć, nieustannie pamiętając o mistrzu. Ustawi-

łam jego p o r t r e t na małym ołtarzyku i powiesiłam po jednej fotografii na niemal każdej ścianie w m o i m d o m u . Siła, z jaką przyciągał mnie mistrz D a , stała się tak wielka, że w rok później po tygodniowych rekolekcjach w malowniczej o k o licy p o d M e l b o u r n e chciałam ślubować mu wieczną lojalność. Tym razem, przekonywałam sama siebie, poświęcę się fundamentalnej sprawie, życiu p e ł n e m u wyrzeczenia, które doprowadzi m n i e do prawdziwego d u c h o w e g o spełnienia - ślubowanie obejmowało również o d d a w a n i e p o n a d dwudziestu procent d o c h o d ó w . Potrzebowałam mistrza; powiedziano mi, że nikt nie zdoła na własną rękę wypełnić tak wielkiego zadania.

Z a n i m pozwolono mi złożyć ślubowanie, p o p r o s z o n o , żebym uporządkowała sprawy związane z seksem. „Stosunki seksualne mają ograniczać się do związków ludzi zaangażowanych emocjonalnie” - j e d n a z głównych zasad; jeżeli wybiorę tę ścieżkę, m a m ją traktować poważnie. W tym czasie żyłam w celibacie, ale los tak zrzędził, że wciąż miałam kontakty z pewnym klientem, ponieważ przypadkiem mieszkał

w D e n m a r k . Jack nie zwlekał i po moim przyjeździe zaraz do mnie wpadł. Wieści o nowych przybyszach szybko się po miasteczku rozchodziły! Dla mnie Jack był jak sól ziemi: niewinny, dobry, ciężko pracujący i zdrowy. Kiedy po raz pierwszy pojawił się u mnie w Perth, miał na sobie świeżą kraciastą koszulę, najnowsze workowate spodnie, najczystsze buty, a na łysiejącej głowie filcowy kapelusz na bakier, który uprzejmie zdjął, kiedy się do mnie odezwał. Był nieśmiały, miał rozbrajający uśmiech i stłumiony głos; jak się dowiedziałam, miał

raka przełyku

Kontakty z Jackiem były proste i przyjemne. Po prostu tęsknił za kobiecym towarzystwem. Przed wielu laty ożenił się z m ł o d ą kobietą, która wkrótce po ślubie próbowała uciec z dużą ilością jego pieniędzy. Chociaż na kobiety patrzył

z uwielbieniem, tak n a p r a w d ę ich nie rozumiał i nie miał pojęcia, co z nimi robić. D a ł a m mu



ten pełen miłości kontakt, którego szukał. Był zadowolony, kiedy go masowałam, i bardzo szczęśliwy, kiedy leżał w moich ramionach. Mówił, że nie lubi ani zbyt częstych stosunków, ani tego, żeby go zbyt często doprowadzić do orgazmu, ponieważ potem czuje się zmęczony. Potrzebował bliskości i pieszczot, które przynosi

ły mu ulgę w samotności.

Próbowałam wytłumaczyć to najlepiej, jak potrafiłam, wyznawcom mistrza Da, którzy kierowali moim rozwojem duchowym. Tylko moje kontakty z Jackiem można było określić jako „seksualne”. Sprawę dodatkowo komplikował fakt, że Jack mi płacił. Poza tym opiekował się mną, pożyczył mi na przykład swój samochód, kiedy mój wysiadł, i przynosił

mi morele, które w wielkiej obfitości dojrzewały w jego ogrodzie za domem. Dbaliśmy o siebie nawzajem, a ja z zaangażowaniem starałam się Jackowi dogadzać. Czy moich relacji z Jackiem nie dałoby się podciągnąć pod „związek ludzi zaangażowanych emocjonalnie”?

Oczywiście, że nie. Zapewne był to związek między kochającą prostytutką a kochającym mężczyzną, ale w żadnym wypadku nie mógł spotkać się z aperturą wyznawców mistrza Da. Musiałam wyrzec się tego związku, zanim pozwolą mi złożyć przysięgę mistrzowi Adi Da. Moment podjęcia decyzji był dla mnie sprawdzianem: czy ja sama dla siebie potrafię odróżnić, co jest dobre, a co złe? Ale czy nie robiłam już tego wielokrotnie w przeszłości i czy nie przekonałam się później, że popełniłam błąd? Czy nie powinienam teraz zaufać mojemu nowemu mistrzowi?

Złożyłam przysięgę. I znowu, jak za czasów w klasztorze, gotowa byłam dla wyższych celów ignorować wewnętrzny ból. Podporządkowałam się osądowi ludzi rzekomo lepszych ode mnie. Przyznałam w ten sposób, że moje pobudki muszą być nieczyste, bo Jack mi płaci. A wszystko dlatego, że chcia

łam uważać siebie za osobę uduchowioną. Płaciłam wysoką cenę za swój nowy wizerunek.

Nigdy nie przestanę żałować, że nie zgodziłam się już więcej spotkać z Jackiem. Próbowałam wyjaśnić mu wszystko prosto w oczy, oszłomione, wielkie i brązowe, za okularami w grubych oprawkach, ale biedaczysko nic nie rozumiał, i cierpiał. Objął mnie po raz ostatni, dotknął moich warg rozdygotanymi ustami, jego cichy głos głucho rozbrzmiewał

w naszych sercach. Zostawiłam Jacka na pastwę samotności.

Kilka miesięcy później zmarł w szpitalu, a mnie przy nim nie było.

Śmierć Jacka okazała się dla mnie punktem zwrotnym.

Nikt, nawet najbardziej uduchowiony mistrz na świecie, nawet mędrzec prościutko z nieba ani w ogóle zaden bóg, nie ma prawa mówić mi, co jest dla mnie dobre. Śmierć Jacka była dla mnie cenną nauką. W tym smutnym okresie zaczę

łam odzyskiwać szacunek dla mojej własnej wewnętrznej prawdy.

Odeszłam od mistrza Da. Cierpiałam, czując, że w życiu na własną rękę nie będę miała okazji, by bez reszty poświęcić się temu co boskie, że tracę dostęp do szczególnego strumienia łaski. Nie chciałam ponownie łamać przysięgi, którą złożyłam z pełną powagą. I przejęłam się, kiedy powiedziano mi, że mistrz Da każde odstępstwo przyjmuje z ogromnym smutkiem, że głęboko rani go odrzucenie daru, w którym składa siebie.

Miłość do mistrza Da była zapewne wielkim błogosławieństwem. Odejście od niego pewnie jeszcze większym, ponieważ w tym momencie przedłożyłam jedną wartość ponad wszystkie inne: wierność mojemu wewnętrznemu ja. Transcendencja pełnego lęku ego jest możliwa dopiero wtedy, gdy przestaje się wątpić w wewnętrzne ja. Może taki był cel pojawienia się mistrza Da w moim życiu: umożliwienie mi dokonania wyboru. Nie byłam pewna, czy postępuję słusznie; wszyscy moi zaangażowani duchowi przyjaciele odradzali mi ten krok. Miałam wiele wątpliwości, kiedy zdejmowałam liczne fotografie Adi Da ze ścian, ale łaska mnie nie opuści

ła i nie dałam się znowu wykoleić.

Dźwigałam ciężar poczucia winy z powodu odejścia od mistrza Da oraz rozstania z Jackiem; strasznie bolały mnie ramiona. Tak bardzo, że musiałam powstrzymać się od krzyku i rozpaczliwie próbowałam poczuć się lepiej. Kiedy więc doszły do mnie wieści o Tomie, wyjątkowym uzdrowicielu, który przyjechał z Perth na kilka dni do Denver, poszłam go odwiedzić.

Położyłam się na brzuchu na stole zabiegowym i jak tylko Tom lekko dotknął mojego tułowia, doznałam ulgi. Poczucie

łam łzy pod powiekami; od tak dawna nie czułam błogości, jaką daje swobodny przepływ energii przez ciało. Tom musnął kark i kręgi na plecach, a ja zrozumiałam, czego mi brakowało: to uczucie było jak miłość do siebie samej, akceptacja siebie.

Byłam boleśnie świadoma wszystkich swoich porażek.

Kiedy jako wyznawczyni Da miałam stosować się do odpowiedniej diety, za każdym razem, parząc sobie herbatę, czu-

łam się winna. Za każdym razem, kiedy jadłam jajka, miód albo, co gorsza, czekoladę czy piłam cappuccino! Bez przerwy się oceniałam, czy postępuję właściwie, i rzadko mi się to udawało.

- A więc - odezwał się Tom, najwyraźniej czytając w moich myślach - masz za sobą ogromną walkę. A wszystko to dusiłaś w sobie!

Spostrzegawczy, pomyślałam, i przypomniał mi się pewien człowiek o zdolnościach parapsychicznych, który ostatnio powiedział mi prawie to samo:

- Stoczyła pani wiele potężnych bitew i nie uległa pani!

- Masz piękną duszę. - Głos Toma był łagodny. - Dlaczego nie pokażesz na zewnątrz, jaka n a p r a w d ę jesteś? - Zrozumiałam ze zdumieniem, że w tej chwili nie b a r d z o jest na co patrzeć. Tom ciągnął spokojnie dalej: - W twojej duszy widzę szybkie i wspaniałe wibracje. N i e p o d o b n a jest do większości dusz, więc nikt tak n a p r a w d ę nigdy cię nie zobaczył. To nie tak, że ludzie nie chcą cię widzieć; po prostu dla większości ludzi jesteś poza zasięgiem wzroku. Przez całe życie cię nie widziano.

Czułam się wtedy tak, jakbym miała zalać się łzami ze szczęścia, że w końcu Tom mnie zobaczył. Nie wspomniał

o diable.

- Masz wyjątkowo łagodną duszę - dodał Tom spokojnie, a jego palce nadal spoczywały lekko na moim ciele. - Dusza i umysł są różne. Każde z nich charakteryzuje inna wibracja.

Wzorce umysłowe nie zostały w twoim przypadku odpowiednio wykształcone. Da się je wykształcić na nowo. Moja praca polega na pomaganiu takim ludziom jak ty, żebyście wiedzieli, kim jesteście.

Słowa Toma głęboko mnie pocieszyły i dodały mi pewno

ści. D o b r z e było po raz pierwszy od wielu miesięcy usłyszeć, że nie jestem takim nieudacznikiem, jak mi się wydawało.

Tom nie próbował mnie oczarować. Przerwał mi natychmiast, jak tylko powiedziałam:

- S a m o t n e jest życie, kiedy człowieka nikt nie widzi.

- Nie - powiedział stanowczo - nie, naprawdę. To tylko wymaganie emocjonalne. Kiedy już raz zrezygnujesz z tego, by spełniać się poprzez emocje, znajdziesz się przy Bogu i będziesz mogła cały czas być szczęśliwa. Nigdy nie poczujesz się samotna.

Cieszę się, że zapisałam później jego słowa. Już wtedy zrobiły na mnie wrażenie ważnej prawdy, ale nie potrafiłam sobie wyobrazić, w jaki sposób „zrezygnować z tego, by spełniać się poprzez emocje”. Ten dar miał objawić się później, a wtedy słowa Toma nabrały cudownego sensu.

Leżałam na stole i wróciłam myślami do słów Toma: „ Ż e byś naprawdę wiedziała, kim jesteś”. Ale jak to zrobić?

Tom odczytał moje myśli i powiedział:

- Nie chodzi o to, żeby się w tym rozeznąć. Masz w sobie wielką wrażliwość... ale i mocny intelekt, więc twój umysł

wchodzi ci w drogę, bo chce wszystko wiedzieć. Musisz poczuć, w jaki sposób wyrazić swoje prawdziwe ja.

Miałam wrażenie, że pod dłońmi Toma energie w moim ciele się przegrupowują. O g a r n ę ł o mnie

wspaniałe uczucie, że jestem kochana, słodko relaksujące i usmierzające ból w ramionach, karku i plecach.

- Dlaczego jesteś do siebie tak krytycznie nastawiona? -

Tom dotknął najistotniejszej kwestii. - Przez cały czas siebie oceniasz.

Mówił o surowym rodzicielskim głosie w moim wnętrzu, który nigdy nie dawał mi spokoju. Oprócz tego rodzicielskiego głosu był tam również jakiś sędzia, coś w rodzaju wielebnej matki w todzie, oraz wszystkowiedzące oko Boga z mojego dzieciństwa. Rzeczywiście niewłaściwe towarzystwo! Czy Gaye robiła aluzję do tych moich wewnętrznych krytyków, kiedy zwracała mi uwagę, żebym „powiedziała do widzenia wszystkim swoim złym przyjaciółom”? Wątpię! Ale gdyby tak się rzeczy miały, trafiłaby w sedno.

Z radością i ulgą stwierdziłam, że akceptuję siebie taką, jaką jestem, i poczułam się, jakbym wyszła z więzienia.

A więc *to* jest mój punkt startowy: samoakceptacja! Byłam, jaka byłam, i nie musiałam być ani mądrzejsza, ani bardziej uduchowiona. Nie mogłam się doczekać, by dalej żyć. Podziękowałam Tomowi, który pojawił się w moim życiu akurat wtedy, kiedy go tak rozpaczliwie potrzebowałam.

Mój przyjaciel, kiedy rozmawiałam z nim na temat decyzji, żeby wycofać się z niedawno złożonej przysięgi, wyczuł, jak żałuję tego, co inni nazywali moją nielojalnością, i powiedział spokojnie:

- Carlo, tę przysięgę składałaś wyłącznie samej sobie.

I znowu z bezgraniczną ulgą zrozumiałam, że jedyna prawda, którą p o w i n n a m uznawać, to ta, którą czuję w moim własnym sercu. Wszystkie zewnętrzne prawdy tylko pomniejszają to słodkie zjednoczenie z wiecznie obecną w moim wnętrzu boskością.

„Nic nie jest złem ani d o b r e m s a m o przez się, tylko myśl nasza czyni to i owo takim”, napisał Szekspir. Podczas m o i c h sesji z Gaye, od których minęło już kilka lat, po raz pierwszy doświadczyłam tego, jak zło zmieniło się we wszechogarniającą miłość. Byłam wtedy zbyt niedojrzała, żeby docenić ten wyjątkowy dar. Teraz zaczynałam się tą fantastyczną p r a w d ą delektować.

' W. Szekspir „Hamlet”, tłum. J. Paszkowski (przyp. ttum.).

Prosiłaś się o to, Carlo

był rok 1994. Niedługo miałam skończyć pięćdziesiąt sied e m lat, a d o p i e r o niedawno nauczyłam się samoakceptacji.

Zastanawiałam się z zadziwieniem, dlaczego tak długo trwa

ło, zanim zrozumiałam coś tak prostego. Religia mojego dzieciństwa ze swoim nieustannym akcentowaniem grzechu, kary, winy i poniżenia, ukryła tę koncepcję w jakieś szafie albo zagrzebała p

o d deskami podłogi, gdzieś, gdzie najtrudniej ją znaleźć. Katolicyzm bez poczucia winy wydawał się nie do pomyślenia. Gdyby katolicy nie odczuwali nieustannej potrzeby boskiego przebaczenia, czy chodziliby do kościoła tak często albo w ogóle? Czy chodziliby do spowiedzi; czy wciąż przyznawaliby szczególny status tym, którzy głosili, co jest słuszne, a co złe (przede wszystkim co jest złe); i, co najważniejsze, czy nie przestaliby dawać pieniędzy?

Łatwo było zwać winę na moją religię. Ale ponosiłam ją również ja: po prostu nie byłam przygotowana na to, by być uczciwą. Za bardzo się bałam, żeby stawić czoło prawdzie.

A teraz, kiedy zdobyłam się na odwagę, gdzie podział się p r o b l e m ? Z osobistego doświadczenia mogę powiedzieć, że nie istnieje lepsze lekarstwo niż uczciwość.

Z r o z u m i a ł a m również, że bez uczciwości nie ma prawdziwego życia duchowego. Wszystkie te lansady i prysiudy, żeby uznać mnie za dobrą Bóg, inni albo własne wyśrubowane wyobrażenie o sobie, nie miały nic wspólnego z duchowością.

Czułam się tak, jakby mnie ktoś zabrał z pola minowego, które przez pomyłkę wzięłam za ścieżkę, i postawił na nowej, dziwnej drodze.

Trzeba wiele pracy, żeby wyrównać głębokie ślady pozostawione przez przeszłość. Moja świeżo odnaleziona wolność to dopiero początek. Wzorce w moim umyśle p o d d a w a n e by

ły przekształceniom i potrzeba będzie czasu oraz wielu do

świadczeń, nie zawsze miłych, żeby Boża Ladaczniczka zmieni

ła się w Boże dziecko.

• • •

W D e n m a r k było mi dobrze, chociaż m o g ł a m zarabiać, jedynie sprząając i pomagając o d r o b i n ę w ogrodach. J a k o bezrobotnej z a p r o p o n o w a n o mi sześciomiesięczne szkolenie na pracownika biurowego, za które zapłacił rząd. Przez następne trzy lata nie przestawałam szukać pracy z prawdziwego zdarzenia, po czym oficjalnie u z n a n o mnie za emerytkę.

W taki uprzejmy sposób informują cię, że robisz się za stara.

Zaczęłam pisać o moich doświadczeniach. Życie było przyjemne - umawiałam się z przyjaciółmi na wspólne kolacje, na tańce, spotkania na plaży i w kawiarni. Wiem z własnego doświadczenia, jak cudownie i błogo jest stawać się zwykłą istotą ludzką, członkiem społeczności. A p o t e m przyszła pora, żeby życie udzieliło mi małej, ale dobitnej lekcji.

Jeżeli wydawało mi się, że już się emocjonalnie pozbierałam i że mogę zrobić wrażenie na przyjaciółach, myliłam się. Katastrofę, która wydarzyła się w moje sześćdziesiąte urodziny, spowodowałam osobiście.

Chciałam zabawić moich przyjaciół przedstawieniem. Napisałam scenariusz i zatytułowałam go „ N

u m e r siostrzyczki".

Z a k o n n i c a (ja) wchodzi na scenę na kolanach, dźwigając na ramionach krzyż. Opiera się kuszeniu n a p a l o n e g o księdza, a p o t e m stopniowo zmienia się z napuszonej cierpiętnicy w kobietę, która opowiada pikantne dowcipy i śpiewa weso

łe piosenki. W końcu, tańcząc w takt muzyki z „The Strip-per”, pozbywa się habitu, rzucając fragmenty garderoby widzom, i kończy w czarnym koronkowym staniku i maleńkich majteczkach od kompletu. Potem biegnie, żeby objąć księdza, którego wcześniej odrzuciła.

Chciałam tym wystąpieniem zrobić wrażenie prawdziwie wyzwolonej kobiety, wolnej od seksualnych z a h a m o w a ń i od strachu. Chciałam, żeby uznali, że jestem zabawna, p o d n i e cająca, p o n ę t n a i wciąż dobrze się trzymam. Gdybym się tylko zwierzyła z tego, co planowałam, komuś albo przynajmniej sobie! Jeszcze głębiej kryło się pragnienie odrobiny sławy i uznania, pragnienie „bycia kimś” - a do czegoś takiego zdecydowanie nie chciałam się przyznać. Z a m i e r z a ł a m podbić przyjaciół moim ja, które dopiero co się rozwinęło.

Niestety, ponieważ było to tylko zmyślone ja, podobnie jak każde inne z pozoru nowe, ulepszone ja, stałam się łatwym celem dla mojego wewnętrznego cenzora.

Wieczór mijał w cudownym rozluźnionym nastroju. Pojawiło się około trzydziścioro przyjaciół, przynosząc ze sobą pyszne składkowe potrawy. W powietrzu niósł się cichy p o m r u k podniecenia; radość, że jesteśmy razem - gawędzimy, śmiejemy się, obejmujemy, podziwiamy - mieszała się z przyjemnością, jakie daje wspólne jedzenie i picie, a wszystko to w pięknej scenerii stworzonej przez moich przyjaciół, M a r k a i Raya, nad zatoczką Wilsona w D e n m a r k . Ucieszyłam się, że jestem tak rozluźniona; moje przedstawienie ich pobije!

Spanikowałam dopiero wtedy, kiedy moja przyjaciółka Claire p o m a g a ł a mi założyć habit zakonnicy. Oddychałam głęboko, żeby tę panikę opanować, ale byłam kompletnie zdeprymowana. Przypomniałam sobie, że trzeba dopuścić do siebie strach (zaakceptuj go!), wtedy przycichnie. Strach bynajmniej nie zniknął, więc na czoło natychmiast wysunęła się moja stara strategia. Mowy nie ma, żebym wyszła na scenę, dysząc z przerażenia, i prosiła przyjaciół, by byli tak uprzejmi i zaczekali, aż odzyskam opanowanie! Nie byłoby to w sumie nic złego - m o ż e nawet tak byłoby najlepiej - ale mój ukryty p r o g r a m zaczął działać.

Moje zażenowanie i skrępowanie spotęgowały się jeszcze po dramatycznym wejściu na scenę. Brnęłam dalej, wyęzając głos w taki sam sposób jak wtedy, kiedy w podstawówce musiałam śpiewać przed całą klasą, i zrobiło mi się pod czarnym habitem b a r d z o gorąco. Przyjaciele stanowili j e d n a k b a r d z o wdzięczną publiczność: ogromnie podobały im się moje wygłupy i komiczny zaimprovizowany taniec.

W którymś m o m e n c i e kontrolę n a d e m n ą przejęło coś, co nie miało nic wspólnego ze świadomą wolą. Po prostu zaczę

łam się bawić; śpiewałam, pozowałam i robiłam z zapalem striptiz, a p o t e m sapałam z wysiłku, opierając się jednym łokciem o gzyms nad kominkiem, kiedy moi przyjaciele klaskali i śmiali się, i

gwizdali z uznaniem.

Ale n a s t ę p n e g o ranka byłam wobec siebie b a r d z o krytyczna. R o z p o z n a ł a m starego wroga - s a m o u t r u d n i a n i e - czy ten przerażający wzorzec *nigdy* mnie nie opuści? Z n o w u byłam więźniem i dotkliwie cierpiałam. Stary diabeł, który śmiał się ze mnie w lesie szamana, z pewnością musiał odczuwać satysfakcję. Wyczuwałam, jak spogląda na mnie gniewnie, że w ogóle m o g ł a m pomyśleć, że kiedykolwiek się od niego uwolnię. Jak to bolało!

Opowiedziałam o wszystkim mojej przyjaciółce Jill. Przyjaciel może całkowicie zmienić nasz punkt widzenia i to wła

śnie bezzwłocznie zrobiła Jill.

- A m o ż e byś tak po prostu zaakceptowała fakt, że masz w sobie ten ukryty p r o g r a m ? Po prostu zaakceptowała fakt, że stara poczciwa ty w sekrecie żywisz te ambicje? Wiesz, wszyscy je żywimy, a my, ludzie uduchowieni, mamy j e d n ą ambicję, pragniemy mianowicie ukryć fakt, że w ogóle mamy jakieś ambicje!

Co za ulga! Wcale nie muszę się starać być kimś wyjątkowym; muszę tylko postępować ze sobą b a r d z o łagodnie i szczerze siebie akceptować, wbrew wszystkiemu, co postrzegam jako wady, aż do ostatniej najmniejszej drobiny. Co za szczęście, że miałam przyjaciół, którzy uświadomili sobie to dawno t e m u i teraz prowadzili po prostu zdrowe psychicznie życie.

Teraz nie pozostało mi już nic innego, jak okazać sobie współczucie, p r a w d a ? Zaczynałam wyczuwać, że nie j e s t e m ani lepsza, ani gorsza od wszystkich innych ludzi na świecie; że w odpowiednich okolicznościach mogłabym postępować jak zbrodniarz, stać się kłamcą, mordercą albo sadystą. Wyczuwałam w sobie załączki tych wszystkich możliwości i to mnie otrzeźwiło. Paradoksalnie, m o ż e dlatego że to taka nieskomplikowana prawda, ta myśl przyniosła mi również spokój. Zawsze b ę d ę niedoskonałym człowiekiem, pełnym wszelkiego rodzaju złudzeń - poza jednym złudzeniem, że dzięki nienawiści do siebie ocalę siebie. Nie ubrałam tego w słowa, ale prawda była taka, że oswajałam swojego diabła.

Odkryłam tę j e d n ą jedyną rzecz, która nie pozwala złu w nikim długo przeżyć: szczerą i konsekwentną samoakceptację, będącą dziełem bezwarunkowej miłości.

Powiadają, że kiedy uczeń jest gotowy, pojawi się nauczyciel. W listopadzie 1998 roku do miasta przyjechał Isaac Shapiro. Isaac - śniady, seksowny, zwalisty (kochał jedzenie!) i cudownie *naturalny* - ocknął się i uświadomił sobie, kim jest jako istota duchowa. Przebywanie w jego towarzystwie było przyjemnością. Pozwalał zadawać sobie pytania, a jego cierpliwość była niewyczerpana, kiedy łagodnie prowadził innych do ich prawdziwego ja.

Siedziałam na widowni wśród plus minus setki słuchaczy i czułam, że ciągnie mnie, by podejść i porozmawiać z Isa-akiem. J e d n a k na myśl, że b ę d ę musiała się odezwać przy tych wszystkich ludziach, tak mnie paraliżowała, że całymi dniami nie potrafiłam zdobyć się na odwagę. Ale oto w końcu przepychałam się przez tłum na przód sali.

Usiadłam o b o k niego z mikrofonem w ręce. Serce mi przyspieszyło do stu uderzeń na minutę i nie chciało zwolnić. Nie odrywałam wzroku od Isaaca, chociaż wszystko mi się przed oczami rozmazywało, i właśnie się miałam odezwać, kiedy on mnie powstrzymał.

- Powiedz mi, co czujesz - powiedział.

- Lęk - odrzekłam.

- No cóż - rzekł Isaac - to jest pewna koncepcja, etykieta dla tego, co czujesz. Powiedz mi, jakie są doznania twojego ciała?

Sprawdziłam, skupiając się na swoim ciele. W moich ży

łach, szerokim strumieniem płynęła adrenalina.

- Czuję coś w rodzaju ciepłego pobudzenia - powiedzia

łam, na co na sali rozległy się śmiechy.

- A więc tego właśnie się boisz - powiedział Isaac - czegoś w rodzaju ciepłego pobudzenia! - Parsknął śmiechem i patrzył na mnie bacznie.

Kiwnęłam głową, nie myślałam w tym m o m e n c i e zbyt jasno, było mi naprawdę bardzo ciepło i chyba płonęły mi policzki. Już byłam gotowa wracać na swoje miejsce, kiedy Isaac mnie zatrzymał.

- Czy zechciałabyś dla nas zaśpiewać piosenkę? - zapytał, uśmiechając się żartobliwie, ale dając mi przy tym do zrozumienia, że to tylko prośba, a nie oczekiwanie.

I natychmiast przyszła mi na myśl piosenka, którą wyry-czałam w klasie jako sześciolatka, śmiertelnie przerażona, że ktoś dojrzy we m n i e niedobre dziecko. Będąc wciąż p o d wpływem adrenaliny, zaśpiewałam „ D a a r bij die molen”, niezbyt melodyjnie, ale z uśmiechem. Kiedy skończyłam, sala zaczęła wspaniałomyślnie klaskać.

- Z o s t ań sobą - powiedział Isaac, zanim się od niego oddaliłam. Jak tylko wypowiedział te słowa, straciłam świadomość. Zanurzyłam się w przestrzeni podobnej do snu, gdzie doświadczyłam, czym jest myślenie o niczym. O niczym w ogóle - pełna spokoju i bezkresna nicość, bez-rzeczność.

Trwało to chyba tylko ułamek sekundy, zanim n a p o t k a ł a m baczne spojrzenie Isaaca, a jego słowa zapadły we mnie głęboko. „ Z o s t ań sobą”. Wiedziałam, że w tych słowach kryje się sekret szczęścia. Podziękowałam mu urywanym głosem, a on odklonił się, i wróciłam na moje miejsce na widowni.

Poza słowami Isaac ofiarował mi coś jeszcze. W tamtej chwili powróciłam do d o m u , do zasadniczego ja. Jak na coś tak prostego bardzo to t r u d n o opisać. Z t a m t e g o bezkresnego miejsca zostało we mnie uczucie o d m i e n n e od emocji, uczucie, że jestem istotą czystą. Było to głębokie zrozumienie albo zrozumienie głębi, w której żyjemy. D o r a s t a m . Siedziałam pogrążona w cichej błogości i narastała we mnie wdzięczność za ten wspaniały dar.



Wróciwszy do domu, przypominałam sobie więcej słów Isaaca, które wypowiadał do kogoś innego. *Uczucia są bezosobowe.* Ze zdumieniem uświadomiłam sobie, że uczucie wstydu, bezwartościowości i grozy, które przywłaszczałam sobie tak, jakby były wyłącznie moje, i którymi kierowałam się w życiu, bo wyrażały podstawową prawdę o mnie, to nie są w ogóle moje własne uczucia! Odziedziczyłam je najprawdopodobniej po rodzicach, którzy nauczyli się ich od swoich rodziców, od społeczeństwa, od kościoła i tak dalej. Nie mia

łam nad tymi myślami żadnej kontroli jak o dziecko i wciąż nie miałam nad nimi kontroli jako dorosła.

Przez jakiś czas zajęta byłam tym, co sobie uświadomiłam; wracałam do przeszłości i czułam, jak te znane, bolesne uczucia ze wszystkich sił czepiają się mojej czaszki. Żyły we mnie pięćdziesiąt cztery lata i nie chciały tak łatwo mnie opu

ścić. Ale Isaac pokazał mi ostateczne uzasadnienie dla samoakceptacji: zostanie sobą, moim prawdziwym własnym ja.

Akceptacja nawet najtrudniejszych uczuć i myśli to sposób na bycie sobą.

Ta wiedza nie była skomplikowana. Samoodrzucenie to sposób na utratę siebie. Samoakceptacja to sposób na odzyskanie siebie.

Dwudziestego trzeciego grudnia **1998** roku, zaledwie w miesiąc po wizycie Isaaca, na jednej z wąskich dróg w Denmark zrzuciła mnie z roweru rozpędzona ciężarówka. Kierowca się nie zatrzymał.

Znalazłam się w szpitalu ze „złamaniem wieloodłamowym prawej ręki”. Dyżurny chirurg nie wydawał się zachwycony, że spadł na niego taki obowiązek niemal w przeddzień Bożego Narodzenia. Siedział z głową ukrytą w dłoniach, kiedy oboje czekaliśmy, aż zacznie się operacja. Podniósł wzrok i podszedł do mnie, żeby szepnąć mi z wściekłością do ucha:

- Moim obowiązkiem jest panią poskładać do kupy i zaszyć. A nie dbać o to, by pani ładnie wyglądała. Jak pani chce ładnie wyglądać, niech pani sobie załatwi chirurga plastycznego!

Spartolił robotę jak jakiś rzeźnik. W przeciwieństwie do tego, co mi powiedział przed operacją, nie wstawił metalowego wzmocnienia roztrzaskanej kości, a jego cięcia i szycie były bardzo nierówne. Później dostałam ostrego zapalenia kaletki maziowej w łokciu i bardzo źle zareagowałam na morfinę, czego przez dwa dni nikt nie zauważył. Szalałam z bólu i od nieustannych mdłości. Za każdym razem, kiedy zamykałam oczy, widziałam miriady tańczących liter M, które za nic nie chciały zniknąć. W końcu zadałam sobie pytanie, co te M znaczą. Odpowiedź pojawiła się natychmiast: M oznaczało manię, manię obłąkańczą, w którą popadałam z powodu bólu, niewłaściwych leków, niezdolności do utrzymywania i jedzenia i picia i braku snu.

Moi goście, którzy przyszli odwiedzić mnie w Boże Narodzenie, ujrzeli żalospisny widok. Louis, mój kręgarz, raz tylko na mnie spojrział i już wiedział, czego mi potrzeba. Ten kochany człowiek przypomniał mi o czymś, co już wiedziałam, ale zapomniałam w cierpieniu: „Przyjmuj to, co

się dzieje, bez oporów".

- Oddychaj, Carlo - powiedział. - Świadome oddychanie pozwoli ci oddalić się od głowy i zbliżyć się do serca.

Tak więc kiedy wciągałam powietrze, przyjmowałam to, co się działo, a kiedy je wydychałam, nieustannie p o d d a w a ł a m się tajemniczemu „dlaczego". Akceptowałam wszystko, co mnie czekało, ogarnął mnie spokój.

- Czym jest p o d d a n i e , poświęcenie? - zapytałam Persep h o n e i jej przyjaciół. Przez całe lata zastanawiałam się, czym m o ż e być prawdziwe poświęcenie i p o d d a n i e . O t o j e d n a w życiu okazja, by lepiej to zrozumieć! I p o n o w n i e chodziło o samoakceptację, a z r o z u m i e n i e w p r o w a d z a ł o mnie w n o w e głębinę w ł a s n e g o j a . Litera M znaczyła teraz medytację.

Wróciwszy do d o m u , nauczyłam się przyjmować niewiaryg o d n ą życzliwość moich przyjaciół, którzy przychodzili z jedzeniem i łakociami i proponowali wszelkiego rodzaju pomoc. Nauczyłam się kolejnego znaczenia litery M - magia, która pojawia się, kiedy się poddasz.

Nie da się otrzymać tyle miłości i się nie zmienić. Pod wieloma względami stałam się bardziej miękka - jeszcze j e d n o M.

S p ę d z a ł a m długie godziny w samotności i milczeniu. Nie m o g ł a m oglądać telewizji, ponieważ bolały m n i e oczy; z tego s a m e g o p o w o d u nie m o g ł a m d u ż o czytać. Nie m o g ł a m również pisać, bo ręka jeszcze się nie wygoiła. O g a r n ę ł o m n i e dziwne uczucie, że żyję w pustce. Czy żyłam w takiej pustce przez cały czas, k o m p l e t n i e sama, a inni ludzie byli tylko w i d m a m i ? I czy moja codzienna działalność miała wy

łącznie na celu wypełnienie tej milczącej pustki m n ó s t w e m rozrywek i szaleństw? O b a w i a ł a m się, że taka m o ż e być p r a w d a .

Puszczalam sobie lekką słodką muzykę, przy czym przera

żał mnie gwałtowny powrót ciszy, kiedy taśma się kończyła.

Z a p r o g r a m o w a ł a m odtwarzacz tak, żeby w kółko odtwarzał

taśmę, odsuwając w ten sposób chwilę, kiedy muzyka się skończy. Czy całe moje życie rozgrywałam w taki sposób? Co ja p r a g n ę ł a m od siebie odsunąć? Świadomość, że zniknę, jakby m n i e nigdy nie było? Wyczuwałam wszędzie wokół siebie nieuchronność śmierci, jakbym istniała na świecie, który już umarł.

Nie p o d o b a ł o mi się to dziwne uczucie, więc wypełniłam pustkę pysznym czekoladowym ciastem, które ktoś przyniósł

mi z kawiarni. Źle się p o t e m czułam, chociaż równocześnie jakoś lepiej. Uświadomiłam sobie, że przejadając się, walczę ze stresem i usypiam wrażliwość. Nie odczuwałam już tak dotkliwie nieuchronności śmierci. „Nikt z nas donikąd nie pójdzie i nikt z nas tu nie zostanie" - odzywał się e c

h e m w ciszy głos z pustki. Bardzo bolał mnie kark, ręka i dłoń.

Pomyślałam sobie, że jeżeli nie potrafię zatopić się w błogości istnienia, to może powinien mnie ktoś przelecieć. Minęły już całe lata! Ale nie miałam z kim pójść do łóżka, otaczały mnie tylko wspomnienia. Potrzebowałam człowieka z krwi i kości, kogoś, kto by mnie zobaczył, kto by mnie objął

prawdziwymi r a m i o n a m i . Wtedy miałabym złudzenie, że mimo wszystko nie jestem sama. „Przecież kiedyś wypuściłby cię z ramion”, wtrącił się głos. „Oddaliłby się - do łazienki albo do łóżka, żeby się przespać. W nocy ginałby ci w nicości, a w dzień w mgłach codziennej zajmowalności”.

Dziwaczne myśli. Martwiłam się, że mogą przyjść myśli samobójcze. Ale na szczęście uświadomiłam sobie, że nie wszystkie moje przemyślenia są negatywne; zapraszały mnie, żebym pojęła coś głębszego niż zwyczajne życie. Wezwałam na p o m o c niewidzialnych przyjaciół - anioły czy jakieś inne istoty. I w trudnym do określenia m o m e n c i e moje uczucia się zmieniły. M o g ł a m już teraz ze spokojem spojrzeć w twarz śmierci i w chwili, kiedy stałam się do tego gotowa, wkroczy

łam w nowy wymiar wolności.

Życie nauczyło mnie jeszcze głębiej doceniać m ą d r ą akceptację „tego, co jest”. Zrozumiałam, że jest ona tym samym co samoakceptacja, ponieważ tak n a p r a w d ę nie istnieje nic innego. To, co z pozoru istnieje, jest zawsze i wyłącznie moim własnym ja. Tak naprawdę nie za b a r d z o potrafię to wyjaśnić. Zrozumieją mnie tylko ci, którzy już to wiedzą.

Teraz nie było żadnego cierpienia, tylko niewiarygodne uczucie, że mogę się cieszyć wszystkim, co przynosi bieżąca chwila, od j e d n e g o o d d e c h u do drugiego, od j e d n e g o uderzenia serca do drugiego, od jednej bolesnej chwili do drugiej.

Sukces przestał mieć cokolwiek wspólnego z pieniędzmi albo z karierą, albo z uznaniem. Sukces oznaczał przeżywanie z wdzięcznością każdej chwili.

Moja ręka goiła się powoli. Caroline, moja córka, n a m a wiała mnie, żebym odwiedziła południowoamerykańskiego uzdrowiciela, który akurat przyjechał do Perth i mógłby ten proces przyspieszyć. O p i e r a ł a m się przez długi czas, głównie dlatego, że kazał sobie płacić bajonkie sumy, na których wydanie raczej nie m o g ł a m sobie pozwolić. Caroline z a p r o p o nowała, że t o n a pokryje koszty, jeżeli nie b ę d ę zadowolona, i w końcu zgodziłam się go odwiedzić.

Stałam przed Victorem, wyjaśniając, z jakiej przyczyny się do niego zapisałam. Nie zwracał uwagi na moją rękę i wpatrywał mi się w oczy. Był przysadzistym ciemnym mężczyzną obdarzonym niewątpliwą charyzmą i m n ó s t w e m optymizmu.

W kilka sekund powiedział mi, że przez większość życia mój duch przebywał częściowo poza ciałem. Narysował obrazek, na którym widać było zarysy mojego duchowego ciała, które wysunęło się z mojego własnego ciała i zawisło o b o k niego; to duchowe ciało było przerażone i chciało

odejść, trzymała je tylko pępowina. Słuchałam uważnie - jego słowa brzmiały sensownie.

Rozejrzałam się i z pogardą zauważyłam, że w pokoju wisi duży krzyż ozdobiony wokół światełkami oraz obraz Dziewicy Maryi - cała ta religijna p o m p a i to katolicka na dodatek!

Victor poprosił trzy praktykantki, żeby na mnie popatrzy

ły. Opisały objawy, które potwierdzały jego zdanie; stwierdzi

ły też, że m a m przenikliwe spojrzenie, p o d którym inni czują się nieswojo. Te słowa naprawdę przykuły moją uwagę. Od dawna już wiedziałam, że ludzie próbowali czasami zrozumieć, co kryje się w moich oczach. Często sądzili, że spogląd a m na nich gniewnie. Natomiast ja mrużyłam powieki, by moje spojrzenie wydało się łagodniejsze. Natomiast jeżeli chciałam uniknąć wzroku innych ludzi, patrzyłam na nich jak na powietrze.

P o p r o s z o n o mnie, żebym stanęła przed oświetlonym krzy

żem i poprosiła o Boską pomoc. Z a m k n ę ł a m oczy i posłuchałam, gotowa na wszystko, co miało się wydarzyć.

P o t e m Victor poprosił, żebym położyła się na szerokiej ławie, w czym pomogły mi trzy praktykantki, i rozpoczął się rytuał, mający sprowadzić mojego ducha z powrotem do ciała.

Victor wołał do mojego ducha i kazał mi krzyczeć: J E S T E M

T U T A J ! , a przy tym bardzo m o c n o uderzał mnie w podeszwy stóp. Pojękiwałam z bólu, ale on podniesionym głosem wykrzykiwał prośby, a kobiety się modliły. I nagle zawołał:

- W imię Boga rozkazuję ci wejść do środka! - i uderzył

mnie w stopy ostatni raz. Z moich ust wydarł się głośny mimowolny krzyk - i poczułam, jak wstępuje we mnie mój duch.

Pomogli mi wstać z ławy; Victor obserwował mnie, kiedy spacerowałam tam i z p o w r o t e m po pokoju. Czułam się odnowiona, nieskomplikowana, j a k dziecko. Nie j a k o ś wyjątkowo, tylko zupełnie zwyczajnie. Z r o z u m i a ł a m , m o ż e po raz pierwszy w życiu, co znaczy być istotą ludzką w pełni „obecną”. To taka delikatna i prosta radość. Chodząc, odczuwałam łagodną pewność siebie i wrodzoną łaskę oraz wdzięczność do Victora.

U d a ł o mu się naprawić coś, o czym nie miałam pojęcia.

W wieku sześciu lat z przerażenia sama od siebie uciekłam i przyzwyczaiałam się z tym żyć. To niezwykle uczucie, pojednać się znowu z uzdrowionym, kompletnym własnym ja. By

ło mi łatwiej oddychać i na jakimś głębokim poziomie czu

łam, że przyłączyłam się do rasy ludzkiej. Był to szczególny m o m e n t .

Nikt nie wspomniał nawet o mojej ręce, ale po drugiej operacji, którą przeprowadził j e d e n z najlepszych chirurgów w mieście, zagoiła się.

Z gruntu niewinna

Był sierpień 1999 roku, siedziałam na podwórku za dom e m u mojej holenderskiej znajomej w Bredzie w Holandii, przyjechawszy do niej przez Francję, Belgię i Londyn. Wyja

śniłam jej, że zbankrutowałam, ale m a m bilet powrotny.

Zaczął się od tego, że naszło mnie silne natchnienie, żeby zrobić dyplom na kursie szkoleniowym z czegoś, co nazywa się „The Work”, prowadzonym przez Katie Byron, i wpłaci

łam zaliczkę, nie mając środków na opłacenie reszty. Ufałam, że jakoś się wszystko ułoży. Miałam w perspektywie wypłatę odszkodowania za mój wypadek drogowy, więc nie postąpi

łam tak do końca głupio. Problem w tym, że żaden bank ani inna udzielająca pożyczek instytucja, ani żaden z przyjaciół

w D e n m a r k nie chciał mi pożyczyć pieniędzy, jako że nie umiałam p o d a ć ani ostatecznej kwoty odszkodowania, ani daty. Niemniej zebrałam tyle, ile się dało, wykorzystując do ostatka cały dostępny mi kredyt. W ostatniej chwili dwóch drogich przyjaciół z Perth pożyczyło mi na bilety lotnicze.

- Myślisz, że zwariowałam? - zapytałam moją przyjaciółkę. Julia, zadziorna osiemdziesięciolatka, wybuchnęła śmiechem. Nie, nie sądziła, żebym była głupia; podziwiała n a t o -

miast moją odwagę i z miejsca zaproponowała, że wesprze mnie d w o m a tysiącami guldenów, co wystarczy na pokrycie dwutygodniowego zakwaterowania podczas kursu i jeszcze mi trochę zostanie. Serdecznie mnie również zapraszała, żebym była jej gościem i na swój koszt chciała mnie rozpuszczać. Co za ulga! Julia była z a m o ż n ą kobietą o wielkim sercu i cieszyłyśmy się ze swojego towarzystwa.

Oddychałam na jej podwórku za d o m e m balsamicznym powietrzem, zupełnie innym niż powietrze w Australii. Przyjechałam znowu do swojego kraju, po raz pierwszy od czterdziestu dziewięciu lat. W odległości zaledwie dwudziestu minut pociągiem leżało miasteczko, w którym się urodziłam, Tilburg. Czułam się tak, jakbym znalazła się w jakiejś powie

ści, takiej z dużą ilością barwnych sympatycznych obrazków.

Kurs miał zacząć się wkrótce, więc udałam się do H e e z e , do Kappellerput, starego klasztoru jezuitów, przerobionego na c e n t r u m konferencyjne z miejscami dla p o n a d stu osób.

Kiedy się zapisywałam, przysłali mi e-mail, że nie ma już miejsc. Odpowiedziałam, że i tak przyjadę, a w dwa dni później dowiedziałam się, że kurs cieszył się taką popularnością, że Katie postanowiła przyjąć tylu kandydatów, ilu uda się zakwaterować w centrum.

„The Work” Katie Byron zaczęła się w kilka lat po tym, jak sama Katie się przebudziła. Katie, sympatycznie zaokrąglona pięćdziesięcioparoletnia kobieta, wiedziała, co znaczy czuć się niekochaną i bezwartościową, co znaczy nienawidzić i być pełną gniewu, smutku, żalu i rozpacz, co to za uczucie, kiedy nie funkcjonuje się wystarczająco dobrze, by móc się zająć sobą. Otrzymała po prostu łaskę i któregoś ranka obudziła się i uświadomiła sobie, że tym, co ją krępuje, są opowieści.

Od tego czasu nigdy już nie uwierzyła w żadną z nich.

Jezus powiedział: „Prawda cię wyzwoli”. Jak często słyszeliśmy te słowa i utożsamialiśmy prawdę z tym czy innym wierzeniem? W rzeczywistą prawdę nie musi się wierzyć, ponieważ tkwi ona głęboko w sercu.

Podczas pierwszej części „The Work” trzeba pisać. „Mój ojciec zniszczył mi życie”, zaczęłam. Kochałam mojego ojca i przebaczyłam mu, ale to prawda, że zrujnował mi życie, to był „fakt”, z którym się pogodziłam. W odpowiedzi na pytanie pomagającej mi asystentki: „Czy to prawda, że twój ojciec zrujnował ci życie?”, obstawałam, że jest to oczywisty niepodważalny fakt. Czyż całe moje życie nie było tego d o w o d e m ?

- Mogę przyjrzeć się temu, jak sobie z tym faktem radzę, ale nie mogę mu zaprzeczyć - utrzymywałam.

- A kim byłabyś bez tej myśli, że twój ojciec zrujnował ci życie?

Na to pytanie stanęłam jak wryta. Poczulałam pustkę w głowie i nagłe zmęczenie; miałam ochotę wyjść, zemdleć, cokolwiek, byle nie stawiać czoła myśli, że mogłabym żyć bez tej koncepcji. Z wielkim wysiłkiem skupiłam się znowu, żeby zastanowić się nad pytaniem i na nie odpowiedzieć.

Przez cztery dni nie potrafiłam zrozumieć, że koncepcja była moją *interpretacją* tego, co mnie spotkało i jak rozwinęło się moje życie, moją opowieścią. A opowieść spowodowała, że przyzwyczaiałam się do przekonania, że jestem ofiarą. Ofiarą, która wróciła albo wracała do siebie, ale m i m o wszystko ofiarą. Co więcej, jeżeli nie mogę obwiniąć mojego ojca, kogo m a m obwiniąć zamiast niego? Ja z pewnością nie zamierzałam brać na siebie winy za zrujnowanie własnego życia!

Piątego dnia zaczęło mi coś odrobinę świtać. Tu nie chodzi o przypisanie k o m u ś winy. A jeżeli *nikogo* nie będzie m o ż n a obwinie? A jeżeli mój ojciec i ja robiliśmy co w naszej mocy, mając taki poziom dojrzałości, jaki mieliśmy? Co zyskiwa

łam, upierając się, że ojciec zrujnował mi życie? W końcu gotowa byłam zrezygnować ze statusu ofiary, który tak wysoko ceniła sobie jakaś częśćka mnie. Pragnienie, by obwinić innych i unikać odpowiedzialności, musi być jak rwący psychiczny prąd, który odciąga nas od większej prawdy.

Odszukałam osobę, która przed czterema dniami zapoczątkowała u mnie ten proces. W końcu udzieliłam jej o d p o wiedzy na pytanie, kim byłabym bez tej myśli.

- Po prostu czułabym się szczęśliwa. Czułabym się normalna, po prostu jak ja, miałabym zdrowe, k o m p l e t n e życie jak każdy inny człowiek.

Ojciec wpoił mi przekonanie, że jestem niedobra. Najgłębszym aspektem w „The W o r k ” jest coś, co nazywa się odwracaniem stwierdzeń. Kiedy je odwróciłam, p r z e k o n a ł a m się, że nazywałam siebie niedobrą o wiele więcej razy, niż to robił mój ojciec. W swojej naiwności utrwalałam opowieść.

Odwróciłam to *wszystko*, a wtedy pojawiła się prawda, która mnie wyzwoliła. „Moje życie zostało zrujnowane” zmieniło się w „moje życie zostało pobłogosławione!”.

A tę p r a w d ę odczuwałam tak głęboko, że płakałam z radości.

••>••>

Pewien młody człowiek imieniem Brett przyszedł na zajęcia z Katie, bo czuł się zawstydzony tym, że jego ojciec prowadził burdel. Obudziło to we mnie p o d o b n e uczucie wstydu.

Katie nie miała żadnych problemów z prostytutkami i ich pracą. Mówiła, że te kobiety dostarczają potrzebnych usług i że prostytutki w A m s t e r d a m i e robią to z klasą. Ich sypialnie, a nawet drzwi, w których się pokazywały, to miejsca równie święte jak kościoły. D a ł a n a m ambitne zadanie: jeżeli uważamy, że tak nie jest, mamy zbadać własne przekonania.

Naiwny idealizm Katie mnie złościł. Czy n a p r a w d ę nie zdawała sobie sprawy z brudnej, plugawej strony „zabawy”?

Narkotyki, poniżanie, przemoc, podstępny i chciwość? Jak mogła z taką beztroską opisywać prostytutki j a k o „kobiety dostarczające potrzebnych usług”, jakby były o n e jakimiś kasjerkami?

W b r e w wszystkim, co mówiła Katie, wbrew wszystkim m o i m wcześniejszym doświadczeniom, wciąż czaiło się gdzieś w głębi mnie p r z e k o n a n i e , że j e s t e m winna. Czy nie zignorowałam tak wielu wskazówek, żebym przerwała tę p r a c ę ? Czy nie p o s t ę p o w a ł a m wbrew wszystkim, co nakazywał instynkt, i nie pracowałam, dopóki już dłużej nie m o g ł a m ? Pomyślałam, że gdyby Katie wiedziała, że byłam dziwką, szybko pozbyłaby się swojego nastawienia a la Mary Poppins.

Borykałam się z tym p r o b l e m e m przez jakiś czas, aż wreszcie zwierzyłam się k o m u ś z personelu.

- Wstyd mi, a nie m a m odwagi stanąć z tym przed Katie.

- Świetnie - powiedziała - mówiąc mi, zrobiłaś dobry początek.

Prosząc, bym mogła popracować z Katie, czułam, że znajdę w niej oparcie.

Przyciszonym głosem, w którym z t r u d e m rozpoznawałam swój własny, zapytałam, czy mogłabym pójść do niej na górę.

Kiedy siedziałam już przy Katie i patrzyłam w jej przenikliwe niebieskie oczy, wyjaśniłam, dlaczego byłam gorsza od normalnej prostytutki i dlaczego nie wybacza mi Bóg ani natura.

Powiedziałam jej, że uzależniłam się od tego trybu życia i że prostytutkowałam się po prostu za pieniądze, wbrew wszystkiemu, w co chciałam wierzyć. Zdradziłam samą siebie.

- Czy robiłaś, co w twojej mocy? - Od jej prostego pytania z a d a n e g o przez mikrofon rozdzwiewała się cała sala.

Moja odpowiedź była równie prosta i nie było w niej nic prócz prawdy.

- T a k .

- Więc w czym p r o b l e m ?

Zalało mnie rozkoszne poczucie ulgi. Co za burza w szklance wody! Jak zdumiewająco łatwo potrafimy sami sobie narobić kłopotów, i to całkiem niepotrzebnie. Była jednak sprawa, którą szczególnie chciałam poruszyć, tak bardzo mi ciążyła.

- To, co robiłam, alienowało mężczyzn, Katie. M a m w r a

żenie, że mężczyźni, którzy przychodzili do mnie, nie byli zdolni do nawiązania n o r m a l n e g o kontaktu, a ja jeszcze bardziej pogarszałam ten stan. Często mieli wyrzuty sumienia, a przeze mnie ich poczucie winy rosło... - Zamilkłam, wpatrując się bacznie w twarz Katie.

- Jeżeli ci mężczyźni rzeczywiście byli tacy osamotnieni, jak myślisz, wydaje mi się, że oferowałaś im coś, czego p o t r z e b o w a l i , a czego nigdzie indziej dostać nie mogli. A kim ty jesteś, żebyś sądziła tych mężczyzn i kim jesteś, żebyś miała mówić, którą ścieżką powinni kroczyć? - A p o t e m z typową dla siebie bezpośredniością niemal krzyknęła: - Skąd masz wiedzieć, że to, co robiłaś było *śluszne*? Robimy to, co robimy, dopóki nie przestaniemy.

Katie w dziesięć minut rozniosła w proch poczucie winy, które sama sobie narzuciłam, a które opierało się na wieloletnim wyuczonym wstydzie. U d a ł o m i się ochryłym szept e m podziękować i wróciłam, by usiąść między innymi słuchaczami; czułam wielki spokój. Czułam się oczyszczona -

nie w sensie chrześcijańskim, jak wtedy, kiedy odpuszczą człowiekowi grzech, ale oczyszczona z iluzji i kłamstw. Wiedziałam bez cienia wątpliwości, że jestem niewinna i że zawsze byłam niewinna, nawet wtedy kiedy sądziłam, że zdradzam moją wewnętrzną prawdę. Byłam po prostu taka jak wszyscy; każdy swoje postępowanie opiera na tym, co wie, lub czego jeszcze nie wie, w przeciwnym razie postępowalby inaczej. Teraz, kiedy to do mnie dotarło, mogłam wreszcie zrozumieć innych, zwłaszcza moich rodziców.

Z pewnością najwyższym d a r e m łaski jest powrót do pierwotnej niewinności i wiedza, że jest się człowiekiem wyłącznie dobrym, o nieskażonym sercu, niezależnie od tego, czym są twoi umysłowi i emocjonalni partnerzy. Dysponowałam teraz wspaniałymi narzędziami, które p o m o g ą mi znaleźć prawdę w chwilach, kiedy b ę d ę krytykowała zarówno siebie, jak i innych.

To, co uważałam za prawdziwe własne ja jako dziecko, zakonnica i prostytutka, było tą złą, winną częścią mnie. A ponieważ obdarzyłam to „złe j a " tak wielką wiarygodnością, rozrosło się o n o w e mnie, a nawet zaczęło żyć własnym życiem - stając się podosobowością, czymś w rodzaju diabła.



Za każdym razem, kiedy potępiałam siebie w myśli, dawałam t e m u złemu ja-diabłu we mnie energię, której potrzebował, by istnieć. Jakże niezwykle było odkrycie, że jestem niewinną, na zawsze o b d a r z o n ą łaską istotą.

•••

Moja przyjaciółka Julia i ja wybrałyśmy się na przejażdżkę r o w e r e m po cudownej okolicy, wonnej od ziół i dzikich kwiatów. Pokazała mi wyboiste, piaszczyste plaże, siadywałyśmy nad kanałami, rzekami, rowami odwadniającymi i jeziorami, odwiedzałyśmy uroczę wioski i farmy. W dzieciństwie mój świat był taki ograniczony; nigdy nawet nie widziałam morza.

Czułam się zaszczycona, że Julia tak po królewsku mnie go

ści. Z a b r a ł a mnie w j e d n o z niewielu w Holandii miejsc, gdzie nie słyhać ruchu ulicznego: na falujący porośnięty trawą naturalny obszar o nazwie Veluwe. Leżałyśmy cicho na trawie, wdzięczne za otaczające nas piękno.

P o t e m przyszedł czas, bym samodzielnie wyruszała na wyprawy. Wsiadłam do pociągu i pojechałam do Tilburga. Spodziewałam się, że niewiele tam po czterdziestu dziewięciu latach poznam, ale czekało mnie zaskoczenie.

Po drodze ze stacji kolejowej - idąc znajomymi ulicami, po których tak często spacerowałam z moimi braćmi i siostrami

- przeszłam przez duży plac, na którym zwykle odbywał się nasz *Kermis*, czyli targ, i wstąpiłam do katedry, w której pobrali się moi rodzice. Nagle rozdzwoniły się dzwony, te same dzwony, które - idąc nawą - słyszeli moi rodzice. G ł ę b o k o się wzruszyłam, przypominając sobie ich trudne wspólne życie, które z taką miłością i odwagą rozpoczynali w tym miejscu, w tym dokładnie kościele.

Poszłam dalej do d o m u , którym był kiedyś m o i m d o m e m . Miał nową fasadę, nie lepszą niż ta stara. Z a p u k a

łam do drzwi i otworzył mi właściciel. Wyjaśniłam, że kiedyś to był mój d o m i że przyjechałam aż z Australii, a on pozwolił mi posiedzieć w salonie, a s a m zajął się czymś w kuchni. U s i a d ł a m przy oknie, p o d którym leżałam, kiedy j a k o dziecko c h o r o w a ł a m na szkarlatynę. Wyrzłam na m a ł e p o d w ó r k o z a d o m e m : wydawało się n i e p r a w d o p o d o b n i e m a l e Ń k i e , a przecież na tej samej otoczonej ceglanym m u r e m przestrzeni mieściła się nasza huśtawka i m a ł pi gaj. Było tam troje drzwi: do kuchni, do szopy na węgiel i do toalety.

Zapytałam, czy mogłabym się przejść po posesji, a właściciel zgodził się i zostawił mnie, żebym sobie wędrowała w milczeniu.

Szopa na węgiel została połączona z d o m e m i pełniła funkcję pralni i toalety. Dawny szalecik stał pusty, bez drzwi i podłogi; nikt się nie zatroszczył, by go w jakikolwiek sposób upiększyć. Tam,

gdzie na tyłach domu była kiedyś dróżka i ogródek warzywny z krzewem bzu i altanką, właściciel wolał postawić zadaszony garaż i coś w rodzaju dużego salonu gier komputerowych. W Holandii posiadanie krytego garażu i dodatkowej przestrzeni to wielki luksus.

Wróciłam do środka. W ładnie pomalowanej kuchni zauważyłam stare drewniane listewki na ścianach. Piwnica zmieniła się w schowek pod schodami. Od czasu wynalezienia lodówek ludziom nie były już potrzebne wilgotne piwnice. Naprzeciw drzwi wejściowych znajdowały się wąskie kryte dywanem schody prowadzące do sypialni. Nie poprosiłam o pozwolenie i nie poszłam na górę.

Ze wszystkich stron tłoczyły się wspomnienia, ale nie czu

łam nic oprócz radości - radości, że się urodziłam, że tu mieszkałam, radości ze wszystkiego, czego doświadczyłam.

Przeszłość nie trzymała mnie już w bolesnym uścisku. Zosta

ły mi tylko wspomnienia, myśli, opowieści - i to był cud, jakiego przed tygodniem dokonała „The Work” z Katie Byron.

Gdzieżby potem, jeżeli nie przez kanał do Anglii? W Anglii była Alice, moja dawna miłość, jej obraz nigdy mnie nie opuścił. Przez lata utrzymywałyśmy sporadyczny kontakt; teraz miałam przyjąć jej propozycję, bym zatrzymała się u niej, gdybym „kiedykolwiek przyjechała do Zjednoczonego Królestwa”. I oto byłam w drodze!

Tak się denerwowałam, żeby złapać odpowiedni pociąg, że się spóźniłam i musiałam czekać kilka godzin na następny.

Zadzwoiłam do Alice: w porządku, wyjdzie po mnie na dworzec.

- Nie martw się, nie musisz jechać na Trafalgar Square, jak się wcześniej umawialiśmy - powiedziała. - Zrobiłoby się za późno.

Odtechnęłam z ulgą. Już nie zdążyłam na pociąg i wystarczy, nie potrzebuję się jeszcze do tego spóźniać na autobus.

Pociąg dudnił, przejeżdżając w poprzek przez Anglię od Londynu do Manchesteru. Wsiadłam. Nie ma Alice. Ruszy

łam w kierunku wyjścia i zobaczyłam ją: korpułentna postać biegła w górę po pochylni na spotkanie ze mną.

- Tak się bałam, że będziesz musiała czekać! - Alice była zaaferowana. Popatrzyłam na nią, oczekiwałam, że odpowie mi spojrzeniem, w którym wyczytałam, że poznaje we mnie osobę, która kiedyś darzyła ją takim uczuciem, a teraz oprzytomniała, ale wciąż żywi dla niej wyjątkowy szacunek. Alice wyciągnęła rękę, a potem objęła mnie, przy czym nasze twarze nawet się nie zetknęły. Przysunęłam się bliżej, chcąc zło

żyć na jej policzku pocałunek, ale powstrzymał mnie mocny uścisk i syjące się g r a d e m słowa.

Alice miała mnóstwo pytań o moją podróż. Uśmiechała się szeroko i zauważyłam, że policzki ma zarumienione. Alice była zdenerwowana! Odpowiadałam, przyglądając jej się tak samo, jak ona przyglądała się mnie.

Usta wciąż miała czerwone, bez śladu szminki, a uśmiech szeroki i piękny jak z obrazka. Zielone oczy nadal spogląda

ły tak bacznie jak kiedyś. Zrobiła się starsza i mądrzejsza, co ogólnie rzecz biorąc, oznacza, że bardziej cynicznie patrzyła na życie, na polityków i szczególnie na m ł o d e kobiety. Alice była bardzo zadowolona, że mieszka w Anglii, a nie gdzieś w Irlandii. Jakaś niekonwencjonalna jej część tęskniła za zachodnim wybrzeżem Irlandii, ale ta praktyczna cieszyła się wszystkim, co dawało życie w Anglii.

W sympatycznym d o m k u Alice było pięterko; gospodyni zaprowadziła mnie na górę do maleńkiej szwalni, w której czekało na mnie składane łóżko.

- Pokój gościnny - wyjaśniła - zajmuje obecnie siostra Bridget.

- Co, siostra Bridget, ta irlandzka historyczka, którą kiedyś znałam w Stella Maris?

Ta sama. Teraz osiemdziesięcioparoletnia, często przyjeżdżała w odwiedziny do Alice, chociaż Alice wystąpiła z zakonu. Siostra Bridget wciąż była lojalna wobec FCJ i nie mia

łam usłyszeć od niej j e d n e g o słowa skargi ani żadnych nowinek, które m o ż n a by uznać za plotki.

Jak to się stało, że osoba o tak barwnej osobowości, tak krytycznie nastawiona do niemal wszystkiego na świecie jak Alice potrafiła nadal chodzić codziennie do kościoła? Alice, którą miałam przed sobą, pozostała w zasadzie zakonnica -

w rozpinanym swetrze i w ogóle. Wcale nie dbała o wygląd i była zdecydowanie zaniedbana.

Nie chciała przeczytać żadnej części mojej książki, nawet rozdziału o sobie. Może nigdy jej nie przeczyta. Uświadomiłam sobie, że między nami niewiele będzie rozmów o przeszłości.

Nie będziemy też sobie zadawały żadnych osobistych pytań.

Alice chciała jedynie, żebym się dobrze u niej czuła. Podzieliła się ze mną swoją wiedzą na temat historii okolicy i obwoziła mnie, dopóki nie nabrałam wystarczającej pewności, by jeździć autobusami. Dopiero kiedy dowiedziała się, że zakonnice w Broadstairs nie pozwoliły mi złożyć sobie wizyty, na pierwsze miejsce wysunęła się jej skłonność do buntu. Zabrała mnie na spotkanie ze starą przyjaciółką z FCJ, która na emeryturze zamieszkała w okazałej czteropiętrowej rezydencji w pobliżu.

Alice umiała dostać się do pokoju siostry Mary na najwyższym piętrze tak, żeby nas nikt nie

zobaczył. Z o s t a ł a m przedstawiona siostrze Mary - zmieniłam jej imię, ponieważ życzyła sobie zachować anonimowość - starej, chudziutkiej zakonnicy, której włosy wciąż były naturalnie brązowe i której największą przyjemnością musiało sprawiać bezustanne czytanie książek, jeżeli sędzić po tych wszystkich tomach, które wszędzie leżały. Miała kłopoty z nogami, więc podczas naszej wizyty nie wstawiała.

P o m i m o podeszłego wieku siostra Mary zachowała jasność umysłu. Zmierzyła m n i e podejrzliwie wzrokiem i wyczułam, że stoczyła wewnętrzną walkę, zanim podjęła decyzję, czy m o ż e mi zaufać. W końcu postanowiła otworzyć się przede m n ą i opowiedzieć mi swoją historię. Z początku wahała się, nie wiedząc dokładnie, jak jej opowieść zostanie wykorzystana, ale w ciągu tej bezcennej pół godziny poszerzyła moją wiedzę na temat matki generalnej, która wywarła tak wielki wpływ na moje życie i na życie wielu innych.

Siostra Mary znała ją przez lata.

- Z a n i m zrobili z niej matkę generalną, już była niezła -

oświadczyła z przekonaniem. - Margaret Winchester została przełożoną klasztoru w Kanadzie, zanim przysłała do Broadstairs, i znana była z tego, że w dziwny sposób traktuje swoje zakonnice. Na przykład kazała im wszystkim sypiać na pod

łodze, a nie w łózkach.

Świetnie mi to pasowało do osoby, którą znałam. Próbowałam wyobrazić sobie, ile samozaparcia musiały wykazywać podległe jej zakonnice; nie tylko dlatego, że sypiały na pod

łodze, ale że wytrzymywały niekończącą się lawinę zaskakujących projektów, jakie wymyślała przełożona, by wystawić na próbę ich posłuszeństwo i p o k o r ę .

- M a r g a r e t Winchester wydawała mi się nie w pełni zdrowa psychicznie - odezwałam się.

Siostrze Mary nie spodobała się ta krytyczna ocena i przeszła do wyjaśnień, co leżało u podstaw skandalicznego zachowania, przez które Margaret Winchester zapisała się w pamięci wielu osób.

- Podczas wojny - wyjaśniała siostra Mary - jako m a t k a przełożona rezydująca w Broadstairs ogromnie się niepokoiła o bezpieczeństwo wszystkich, którzy mieszkali w różnych porzrzuconych po terenie budynkach. Histerycznie denerwowała się każdym atakiem z powietrza, a kiedy b o m b a zapalająca spadła na wioskę w pobliżu Broadstairs, sądziła, że spadła o n a na nowicjat. Od czasu tego wstrząsu cierpiała na zaburzenia umysłowe.

A h a , pomyślałam sobie, tak więc kiedy ją poznałam, była

„cierpiąca” od co najmniej szesnastu lat! Dlaczego w trzy lata po wojnie, w 1948 roku, nie przeszkodziło to wybrać ją na m a t k ę generalną?

- Wywierała wielkie wrażenie na ludziach - odezwała się siostra Mary, jakby domyśliła się, co mi przyszło do głowy.

Zgodziłam się. Ale pomyślałam, że o Hitlerze również tak mówiono.

Siostra Mary przeszła do tego, co skłoniło ją jako młodziutką zakonnice, by wystąpić przeciwko własnej matce generalnej.

- W klasztorach od zawsze istniał zwyczaj, że zakonnice nawzajem na siebie donosiły. M a d a m e Winchester bardzo popierała ten zwyczaj, donosicielstwo stało się istną plagą.

Wystarczyło podejrzenie, że zakonnica łamie regułę, by zło

żyć donos. M a t k a generalna miała chyba obsesję na punkcie surowej dyscypliny i koniecznie chciała wiedzieć, kto zachowuje się nieodpowiednio. Ten paskudny zwyczaj był tak popierany, aż zyskał znaczenie w polityce zakonu: siostry, które się podporządkowały, nagradzane były stanowiskami kierowniczymi; te, które się nie podporządkowały, były upokarzane i degradowane.

N o t o w a ł a m jej słowa najszybciej, jak mogłam. Zauważy

łam, że to wcale nie p o d o b a ł o się siostrze Mary, ale szczegó

ły były zbyt ważne, by je powierzyć pamięci. Siostra Mary chciała, żebym zrozumiała, że zareagowała dopiero wtedy, kiedy m a t k a generalna posunęła się za daleko.

- Ni z tego, ni z owego rozkazała siostrze Helen, która by

ła dyrektorką dużej szkoły średniej w Anglii, żeby zamknęła szkołę. Rozkaz przyszedł, kiedy już zaangażowano personel i przyjęto uczniów na najbliższy rok szkolny. Siostra H e l e n była lojalną zakonnice, ale pobłogosławiona została również sporą dozą zdrowego rozsądku. Doszła do wniosku, że starczy tego dobrego i że czas przedstawić sprawę wyższym władzom, a mianowicie biskupowi Londynu. Sprawa była bezprecedensowa i takiego politycznego posunięcia najwyraźniej nie przewidywała m a t k a generalna, która wtedy nie miała wyjścia i musiała pozwolić siostrze H e l e n dalej prowadzić szkołę.

Siostra Mary spojrzała na Alice, która siedziała z boku z rękami złożonymi na podolku. Alice pokiwała głową: tak, ona również to tak zapamiętała, i tak, siostra Mary powinna mówić dalej.

- J e d n a k - ciągnęła siostra Mary - decydując się na ten szaleńczy krok i pomijając m a t k ę generalną, siostra H e l e n zapoczątkowała tym samym spory i ferment wewnątrz zakonu. Niektóre z siostr, przeważnie z kanadyjskich społeczno

ści, którymi wcześniej kierowała m a d a m e Winchester, zaczę

ły głośniejszypowiadać się na temat konieczności usunięcia jej ze stanowiska. - I oczywiście swój głos dołączyła siostra Mary, której udało się zapomnieć o nieśmiałości i skrupu

łach. - Margaret Winchester próbowała rozegrać tę partię, odsyłając rywalki na dalekie placówki, ale nic jej to nie pomogło. Przed dalszym nadużywaniem władzy mogła ocalić zakon wyłącznie rezygnacja matki generalnej i właśnie do niej doszło w 1967 roku.

Bazgrałam jak szalona, a w głowie kręciło mi się od tych fascynujących spraw, których w Australii byłyśmy nieświadome. Wyglądało na to, że wcale nie byłam wyjątkiem, jakoś szczególnie źle traktowanym przez matkę generalną, i wcale nie byłam osamotniona w swojej opinii na temat życia zakonnego na początku lat sześćdziesiątych. Jedną z przyczyn dla siostry Mary lata sześćdziesiąte równoznaczne były z wielkim upadkiem zakonu i utratą jego znaczącej pozycji w katolickim społeczeństwie. Te zmiany zapoczątkowały prawdziwy exodus, ale siostrze Mary zależało, żeby uświadomić mi, że nigdy swoimi działaniami nie zamierzała podkopywać autorytetu zakonu. Większość zakonów musiała uporać się z problemem odchodzących zakonnicy czy zakonników.

Następne słowa siostry Mary kazały mi uśmiechnąć się z ironią. W chwili, kiedy je słyszałam, to znaczy w 1999 roku, w trzydzieści lat po opisanych przeze mnie wydarzeniach, materiały świadectwa całej tej zawieruchy - listy, dzienniki i dokumenty, przechowywane w

biurowym budynku arcybiskupim - powinny zostać udostępnione społeczeństwu. Ale nie zostały. Zakonnicę z FCJ, obawiając się o reputację zakonu i zamieszanych w sprawę ludzi, przekonały arcybiskupa, żeby następnymi dwadzieścia lat nadal

trzymać klauzulę tajności.

No cóż, pomyślałam, ten postępek mówi sam za siebie.

Nie potrzebowałam ani nie pragnęłam oglądać żadnego z tych dokumentów. Podejrzewam, że po upływie następnego dwudziestu lat zakon będzie skończony. Kiedyś były tysiące Wiernych Towarzystek Jezusa. Teraz jest ich mniej niż dwie

ście, a większość to starsze panie.

Podziękowałam siostrze Mary za zaufanie, jakim mnie obdarzyła, ale widziałam, że nie jest do końca przekonana, czy postąpiła słusznie.

Pojechałam autobusem do Sedgley Park. Kiedy poinformowałam Alice, że się tam wybieram, zareagowała tak, jakbym się po prostu wybierała do domu.

- Wydaje mi się, że Sedgley Park to teraz akademia policyjna - powiedziała. I tak było. Kieruje nią osoba, która docenia historię tego miejsca i bardzo o to dba, żeby zachować większość budynków i terenów w pierwotnym stanie.

Zadzwoiłam i wyznaczono funkcjonariusza, który miał

mnie oprowadzić. Nie mógł się domyślić, co czułam, kiedy znowu chodziłam po tych korytarzach, kiedy wprowadził

mnie do starego pokoju muzycznego i historycznego, do różnych sal wykładowych, do wspólnych sal, do sali gimnastycznej i do kaplicy. Wspięliśmy się nawet po starych dębowych schodach, które wciąż wdzięcznym łukiem prowadziły na piętro; pokoje na górze przerobiono na gabinety. Zerknę

ł a m na wąskie drewniane schody, które prowadziły kiedyś do naszych dormitoriów na poddaszu; teraz na poddaszu był skład i strefa zakazana.

Kiedy mój przewodnik nabrał pewności, że odzyskałam orientację w terenie, zostawił mnie, żebym sobie pospacerowała sama. Czułam się jak powracający duch; ni to zakonnica, ni to studentka. Cały teren robił wrażenie wielkiej pustej sceny, zaprojektowanej dla d r a m a t u , który się na niej w czasie mojego pobytu rozegrał. Przeszłam korytarzem do miejsca, gdzie studzienki pozatykały się podczas powodzi, a ja zdjęłam czepiec, żeby dać n u r a p o d wodę. Szeroko się uśmiechnęłam, z przyjemnością przypominając sobie pełne grozy twarze moich wykładowczyń.

Najcenniejszym klejnotem na całym terenie była nadal kaplica z jej m a r m u r a m i i snycerką, i doskonałą akustyką.

Wspięłam się po krętych schodach na chór, dębina trzeszcza

ła p o d moimi nogami. Stwierdziłam, że stare organy wciąż stoją na swoim miejscu, a podniszczone miechy są świadectwem słodkiej muzyki, jaką z instrumentu przez lata wyczarowywano. Dotykałam organów z czcią - w ich zwłokach nie pozostała ani odrobina tchu, a m i m o to były takie cenne. I tu, na chórze w kaplicy, ogarnęło mnie entuzjastyczne poczucie wdzięczności. M a m wielkie szczęście, że m o g ł a m wrócić do miejsca, gdzie kiedyś czułam się taka zrozpaczona, a teraz czuję się wolna! Znalazłszy się ponownie na zewnątrz na łagodnym stoku, całowałam liście r o d o d e n d r o n ó w i dziękowa

łam im za rolę, jaką odegrały w moim dramacie.

Usiadłam na dobrze mi znanej drewnianej ławce i zapatrzyłam się na front kompleksu; to, że był kiedyś instytucją zakonną, zostawiło ślady na jego architekturze w postaci krzyży na ścianach. Poznawałam okna biblioteki, rosnące w pobliżu wysokie drzewa. Wydawało mi się, że trzydzieści cztery lata to wcale nie tak długo; kto mógłby się wtedy domyślić, że administracja tak szybko się zmieni? Cegły i zaprawa Sedgley Park pozostały nietknięte, ale zakonnice zniknęły.

Z a n i m odjechałam, zjadłam obiad w kantine i po raz pierwszy rozumiałam, jak mogły czuć się świeckie studentki, które jadły posiłki z przyjaciółmi, rozmawiały z sąsiadami, a nie musiały milczeć jak my, zakonnice. Wyjechałam z Sedgley Park z przepełnionym sercem, ciesząc się, że p o m i m o wszystkich zmian zachowano tak wiele.

Wróciwszy do d o m u Alice, próbowałam opowiedzieć, co przeżyłam, ale szybko rozumiałam, że Sedgley to przeszłość, która jej już nie interesuje. Tak więc ze spokojem cieszyłam się dziwnym i rozkosznym uczuciem, że jestem w końcu blisko o b i e k t u mojej niegdyś żarliwej n a m i ę t n o ś c i , i skupiłam się na tym, by cenić Alice za to, kim n a p r a w d ę jest: kobietą pełną sił i niepokojów, jak każdy z nas, ale obd a r z o n ą wyjątkowym, jedynym w swoim rodzaju urokiem.

Oczy ma teraz ciemniejsze, ale wciąż żywe, a uśmiech - jeże-li tylko zapomni o swoim cynicznym nastawieniu do świata -

jak zawsze szeroki i wielkoduszny.

Alice i mnie nigdy nie udało się porozmawiać szczerze o przeszłości. Przez lata bardzo mi było smutno, że wyrządzi

łam jej i sobie taką krzywdę, ale teraz nic już nie mąci mi spokoju. Chociaż nie wiem, czy Alice się zgodzi, przekonana jestem, że żadnej z nas nie stała się właściwie „krzywdą”, że obie wybrałyśmy sobie nasze role.

• • •

Alice p o m o g ł a mi trochę finansowo i poleciałam do D u blina, a tam wsiadłam w autobus, żeby pojechać na zachód do Limerick, aby zobaczyć się z moją starą przyjaciółką Antoinette. Zdumiewające, ale taksówkarz nie znał adresu, więc skorzystałam z okazji, by pochodzić trochę po miasteczku, kiedy pytałam o drogę. Były czasy, że nie znalazłoby się w Limerick człowieka, który nie wiedziałby, gdzie stoi klasztor Laurel Hill.

Z a p u k a ł a m do drzwi i przyjęto mnie po królewsku. Prze

łożona klasztoru siostra Catherine razem z grupką stareń-

kich zakonnice, niemal wszystkie po osiemdziesiątce, stłoczy

ły się wokół mnie. Przepelniało je łagodne zaciekawienie i radość, że przerwałam codzienną m o n o t o n n ą rutynę, i błogosławiły gościa, który przyjechał z tak daleka, by zobaczyć się z ich ukochaną A n t o i n e t t e .

W p r o w a d z o n o mnie do pokoiku siostry Antoinette. Skończyła już dziewięćdziesiąt lat, była kruchą staruszką, ale pamięć miała doskonałą. Jej słodki uśmiech się nie zmienił

i rozświetlał oczy za okularami, gawędziłyśmy i śmiałyśmy się, dopóki się nie zmęczyła. Nie mogła uwierzyć, że przyjechałam z tak daleka, żeby się z nią zobaczyć. Przeprosiłam, że tak długo nie byłam z nią w kontakcie, i wciąż dawałam jej do zrozumienia, jak wiele dla mnie znaczyła.

Codziennie spędzałam z nią tyle czasu, ile się dało, i zostawiałam ją, gdy była zmęczona. Podczas rozmów Antoinette kołysała się lekko na fotelu. Pokazała mi zdjęcia z obchodów, jakimi zgromadzenie uczciło pięćdziesiątą, a p o t e m sześćdziesiątą rocznicę jej życia w zakonie, i wspominałyśmy, jak to było kiedyś, d a w n o temu, w Benałli, a ona przypominała mi rzeczy, o których z a p o m n i a ł a m . Ale przeżywszy dziewięćdziesiąt lat, w tym sześćdziesiąt pięć jako zakonnica, A n t o i n e t t e była wyczerpana; nie mogła czytać ani pisać, ani oglądać telewizji. Czasami po prostu razem siedziałyśmy, nasze spojrzenia krzyżowały się w milczeniu; byłam b a r d z o zadowolona z tego spotkania.

Po powrocie do Australii d o s t a ł a m o d p o w i e d ź na kartkę, k t ó r ą do niej wysłałam na Boże N a r o d z e n i e : siostra A n t o i n e t t e u m a r ł a niedługo po naszym spotkaniu. Boże, błogosław jej słodkiej, życzliwej duszy.

Boże dziecko



Wróciwszy do mojego przytulnego domu w D e n m a r k , dałam sobie czas, żeby w spokoju przemyśleć moją podróż.

Czułam, że wróciłam do domu na więcej sposobów niż j e d e n .

Byłam w końcu szczęśliwa, że jestem sama ze sobą. To duża satysfakcja, udać się do piekła i wrócić, i na koniec znaleźć się w domu , i śmiać się, ponieważ nosiło się ten *dom* przez cały czas w sobie, i nie wiedziało się o tym!

Teraz, kiedy już wiedziałam, że szczerze k o c h a m rodziców, z r o z u m i a ł a m po raz pierwszy, że oni także m n i e k o chali. M u s i a ł o być t r u d n e dla nich, zwłaszcza dla mojej matki, że mieszkałam tak d a l e k o i tak r z a d k o dzieliłam się z nimi swoim życiem, ale zaakceptowała m n i e taką, jaką by

łam, i nie wywierała na m n i e nacisku ani nie wtrącała się, ani n a r z e k a n i e m , ani r a d a m i . Jeżeli to nie jest b e z w a r u n k o w a miłość, to co nią jest? A mój ojciec? Swoje poczucie niższości - tak częste u mężczyzn, którzy w dzieciństwie byli u p o k a r z a n i przez rodziców - nadrabiał siłą mięśni. Zajęło mi tyle lat, żeby wyczuć tkliwość, z jaką robił dla nas zabawki, radość, z jaką patrzył, jak się nimi bawimy, pragnienie, by być jak najlepszym człowiekiem. Dręczyło go poczucie winy, a milczenie jeszcze je p o t ę g o w a ł o . I d r o g o za to zapłacił.

Na terenie w pobliżu G r a n g e Hill stanął p o m n i k z tabliczką ku pamięci mojego ojca, ogrodnika G e n a z z a n o . Odsłonił

ją przewodniczący rady college'u 22 sierpnia 1998 roku. Mój ojciec zasługiwał na to pośmiertne uznanie za swoje twórcze i n a m i ę t n e o d d a n i e upiększaniu terenów klasztornych i za wiele lat służby, które ofiarował zakonnicom. Nie było mnie na uroczystości poświęcenia, ale obecni członkowie rodziny, jak się dowiedziałam, czuli się głęboko wzruszeni.

Z g r o m a d z e n i e FCJ, niegdyś cieszące się takim znaczeniem w kilku krajach, szybko podupada. Większość pozostałych w nim jeszcze zakonnice modli się o cudowne przetrwanie zakonu. Żyją w swoim własnym świecie i niech im Bóg błogosławi. Kilka stosunkowo młodszych zakonnice rozproszyło się po świecie w nadziei, że zwerbują nowe członkinie w krajach takich jak Indonezja, Filipiny i Rumunia. Istnieją jeszcze bystre dziewczęta, które chętnie połączą miłość do Boga z okazją do kształcenia się przez wstąpienie do klasztoru.

Z a r ó w n o siostra Anna, jak i siostra Benedict wystąpiły z zakonu w kilka lat po mnie. Wiem, że A n n a wyszła za mąż i urodziła syna, zanim straciłam z nią kontakt. Z Benedict spotka

łam się po tym, jak odeszła; dręczył ją głęboki smutek. O t o kobieta, która w sercu zawsze była zakonnicą, ale klasztor nie spełnił jej oczekiwań i nie stał się dla niej prawdziwym dom e m . U m a r ł a na raka wiele lat temu.

Szkołę średnią w Vaucluse, gdzie jakoś przetrwałam, zamknięto z braku uczniów. W Benalli nie uczą już żadne zakonnice, a ich niewielka społeczność opuściła klasztor i zamieszkała w pobliskim d o m u . W Australii m a ł o jest zakonnice mieszkających nadal razem w klasztorach; większość mieszka

samodzielnie w mieszkaniach, niektóre w domach. Hospicjum w G e n a z z a n o wkrótce zostanie zamknięte, gdyż brakuje wyszkolonych pielęgniarek-zakonnice i chętnych.

Siostra Kevin nadal należy do starych ulubienic rodziny.

Ostatnio z przyjemnością pogadałam sobie przez telefon z tą dziewięćdziesięcioletnią staruszką, która skarżyła się, że cierpi na bóle w płucach. Opowiedziała mi trochę o historii G e n a z z a n o: z jakimi trudnościami borykały się zakonnice-pio-nierki, jak mile widziane byłyśmy z moją siostrą Liesbet, kiedy przychodziłyśmy p o m a g a ć przy praniu i prasowaniu, żeby ulżyć jej w harówce. Zwierzyła się raz Liesbet:

- Gdybyśmy posłuchały Carli i okazały jej więcej życzliwo

ści i zrozumienia, myślę, że wciąż byłaby z nami.

Dziękuję siostrze Kevin za życzliwe słowa, ale p r z e k o n a n a jestem, że wszystko stało się tak, jak powinno.

Kiedy pojechałam do M e l b o u r n e na sześćdziesiąte urodziny Liesbet, moja najmłodsza siostra Teresa i ja postanowiły

śmy pójść i popatrzeć na klasztor G e n a z z a n o - późną nocą, żeby nie wpaść na ż a d n e zakonnice, uczniów czy dozorców.

Wszystkie bramy były pozamykane, ale wiedziałyśmy, w którym miejscu m u r nie jest zbyt wysoki i tam przedostałyśmy się na drugą stronę, i spacerowałyśmy przy księżycu, wspominając przeszłość i próbując rozpoznać, gdzie co było za naszych czasów, czyli strasznie dawno.

Kiedy występowałam z zakonu, bicz był jedyną rzeczą, o której zwrot nikt się nie upomniał, więc wciąż miałam to mało eleganckie m e m e n t o surowego i skłonnego do potępień życia - b a r d z o mocny bicz z bawełnianego splecionego szpagatu, odbarwiony po wieloletnim używaniu. Dowiedzia

łam się od Anny, że o n a swojego używała bez najmniejszego entuzjazmu, bo ta makabryczna działalność nic jej nie p o m a gała. Zgięło mnie wpół ze śmiechu, kiedy pokazywała mi, jak bez przekonania niby to się biła.

Nigdy mi coś takiego nie przyszło na myśl w klasztorze, ale jestem przekonana, że Jezus miał poczucie h u m o r u . Czy prawdziwy nauczyciel duchowy nie chciałby p o m ó c w odzyskaniu poczucia h u m o r u tym, którzy je stracili? W końcu trafiłam gdzieś na ilustrację z serdecznie roześmianym Jezusem. Unosił w toaście kielich wina. „ Z a miłość Boską", taki był podpis. Na miłość boską, pamiętajcie, że ludzka radość życia pozostaje w harmonii z duchowością! Hołubiłam ten obrazek, aż wreszcie rozpadł się na strzępy, przypinany do tyłu ścian w tyłu wynajmowanych d o m a c h .

Jestem teraz mądrzejsza i kiedy oglądam się za siebie, łatwo mi zrozumieć, dlaczego tyle wypróbowywanych przeze mnie terapii nie działało. D o p ó k i uważałam siebie za fatalnie wybrakowaną istotę, którą pilnie trzeba naprawić, zaczynałam z niemożliwej pozycji startowej. Za

każdym razem, kiedy starałam się naprawić mój umysł, dawałam mu do zrozumienia, że działa źle i że go odrzucam!

Z drugiej strony akceptacja siebie to działanie prawdziwego własnego ja. Ludzie pytają mnie, jak mogą być bardziej obecni, ponieważ słyszeli, jaką moc daje bycie w terażniejszości; no cóż, zawsze mówię im, że kiedy siebie akceptuję, moje własne prawdziwe ja jest bardziej obecne. *G r u n t o w n e* zrozumienie, które dla mnie zmieniło wszystko, oznacza, że moją kwintesencją jest istota wieczna, nigdy nieskażona, nigdy niezłamana, nigdy niezagubiona. Jak mógłby diabeł żyć w kimś, kto już nie wątpi w swoją własną dobroć?

Wydalam fortunę, rozpaczliwie pragnąc pozbyć się tego własnego ja, które moim zdaniem nigdy nie było dość *d o b r e*.

Gdyby od samego początku stać mnie było na całkowitą uczciwość, odkryłabym moje własne prawdziwe ja, to, które z natury jest *p o g o d z o n e* i spokojne. Ale jak mogłam być uczciwa, skoro wierzyłam, że wewnątrz jestem zepsuta? Kto wie, co powinnam, a czego nie powinnam robić? *M o ż e m y* robić tylko to, na co jesteśmy gotowi; po jednym małym kroczku, dopóki *n a m* się nogi nie wzmocnią. Słowami Katie Byron: „Robimy, co robimy, dopóki nie przestaniemy”.

Tym, czego ego-diabły znieść nie mogą, jest szczerść: *p r o s t e*, uczciwe przekazanie, co się dzieje. Jeżeli opowiesz o swoich wątpliwościach czy obawach przyjacielowi albo nawet *s a m e m u* sobie, znika całe niebezpieczeństwo. I teraz często tak postępuję - nieustannie obracam moimi opowieściami.

Żyję bez mężczyzn od dłuższego czasu, zapewne po to, żeby wrócić do równowagi. To było dla mnie wyzwanie, chociaż *d o p i e r o* ostatnio nauczyłam się być całkowicie szczęśliwa, kiedy jestem samotna. Chciałam odkryć, ile jestem warta bez mężczyzny; odnaleźć ukochaną istotę w sobie i we wszystkim, co mnie otacza. *J e d n a k* ponieważ miło byłoby może nawiązać kontakt, który mógłby stać się bogatym podłożem dla *życia* miłością, czuję, że otwieram się na ewentualność jakiejś wyjątkowej bliskości. Trochę to szalone stwierdzenie, ponieważ nie jestem pewna, czy w „wydziale erotyki” jeszcze cokolwiek działa! Jestem kwitnącą, wysportowaną i zdrową kobietą. Często bywając na przyjęciach, demonstruję swoje oszalamiające nogi i cudaczne stroje, ale przechodzę na etap życia mądrej staruchy. Najbardziej rzeczywisty i najbliższy kontakt utrzymuję ze sobą. Bliskość z samą sobą jest cenna i słodka, a wynika z tego, że *j e s t e m* wobec siebie bezgranicznie uczciwa, współczująca i czuła.

Cieszy mnie towarzystwo ludzi, zwierząt, a najbardziej dzieci. Zachwycają mnie moimi *d w o m a* wnuczętami, synem i córką Victorii. Victoria wyrosła na *b a r d z o* opiekuńczą matkę, narzucającą dzieciom surowe ograniczenia, których sama nigdy nie zaznała. Praktyczny charakter każe jej wznosić czasami oczy ku niebu, kiedy się *z e m n ą* spotyka. Jej życie to jej prywatna sprawa, a ja, jak wcześniej moja matka, pozwalam, by na swój sposób dostawała od niego lekcje i się uczyła. *J e*

żeli tylko wysunę jakąś sugestię, Victoria przypomina mi, że się wtrącam i osądzam. To wspaniała nauczycielka.

Moja druga córka, Caroline, jest muzykiem. Ma głębokie zrozumienie dla spraw ducha, a nasze

kontakty są szczere.

Ponieważ ma b a r d z o czułe serce, twierdzi, że w ogóle nie chce mieć dzieci, ponieważ wymagają tyle miłości i opieki i tak łatwo je skrzywdzić, czego, jej zdaniem, nie da się uniknąć. Dzieci Victorii ją uwielbiają.

James, mój eks-mąż, nie ożenił się i żyje szczęśliwie w swoim d o m u w pobliżu Fremantle w zachodniej Australii. Wciąż jest tym samym wielkodusznym, życzliwym mężczyzną, typowym człowiekiem spod znaku Byka, i ma tak zdecydowane poglądy, jak powinien wyglądać związek dwojga ludzi, że nie wierzy, by jakkolwiek kobieta się z nim kiedykolwiek złączyła; niewykluczone, że ma rację. Jego ulubioną książką jest „Tao Puchatka”; bardzo kocha dzieci i jest moim przyjacielem.

Kiedy Hal się ożenił, p o m o g ł a m członkom mojej rodziny przygotować wesele. Z całego serca pragnęłam, żeby był

szczęśliwy, i zrozumiałam to, że mnie nie zaprosił. Nasza przyjaźń to pewnik, chociaż rzadko ze sobą rozmawiamy.

G e o r g e mieszka w D e n m a r k . Przez ostatnie kilka lat cierpiał z powodu b a r d z o złego zdrowia. Nieustannie skarżył się na ból i ku mojemu zdumieniu cierpliwie żył dalej. Czasami w przeszłości wyrażał wdzięczność, że dzięki mnie mógł być swoim własnym szefem po tym, jak opuściliśmy dolinę. Teraz bardziej interesuje go pomaganie innym; często proponuje biednym ludziom p o m o c przy drobnych pracach r e m o n t o wych. To on stawiał płot wokół mojego wybiegu dla kur, z ł o m o t e m wbijając sześciocalowe gwoździe w żerdki.

Z rzadka miewam kontakty z niektórymi z dawnych klientów. J e d e n z nich przyjechał, aby spędzić razem ze m n ą trzy dni, bo - jak powiedział - w moim małym d o m k u jest tak spokojnie. Spaliśmy w jednym łóżku, a on zachowywał się doskonale, chociaż przyznał się, że zażył pigułkę nasenną, żeby mieć pewność. Miło mi było, że obdarza mnie przyjaźnią, niczego nie oczekując w zamian. Dawni klienci dzwonią do mnie od czasu do czasu, niektórzy przysyłają kartki wa-lentynkowe, a ostatnio, podczas podróży po zakupy do Perth, j e d e n z nich zatrzymał mnie i pytał, czy wciąż jestem „czynna”. Ucieszyłam się, że mnie pamięta, i wyjaśniłam, że jestem już teraz babcią, na co nawet okiem nie mrugnął. Nie tak dawno otrzymałam propozycję od pewnego pana, że dobrze się m n ą zajmie, jeżeli „z nim pójdę”, jak to ujął. Był

dość młody i bardzo samotny, ale nie potrafiłam obudzić w sobie ani cienia zainteresowania. Nic nie zostało z moich dawnych szlachetnych złudzeń.

Zgadzam się z Deepakiem Choprą, że „wyłącznie bliskość z własnym ja może przynieść prawdziwe uleczenie”. M a m teraz dla siebie współczucie, a to oznacza, że jeżeli pojawi się coś, co trzeba odczuć, mogę to odczuć swobodnie; że mogę uczyć się większej akceptacji dla siebie i być coraz bardziej wolną.

Słowa Isaaca Shapiro: „Bądź sobą” nabierają z dnia na dzień nowego znaczenia. Jak powiedziałam mu, kiedy go ponownie spotkałam, „bycie sobą” jest źródłem mojej g o d n o

ści, mojego spokoju, mojego poczucia h u m o r u na swój t e m a t i wszystkiego innego w życiu. Ludzie, którzy w sobie nie wątpili, mogą uważać to za rzecz oczywistą, ale ja to traktuję jak przeogromny dar.

Zaoszczędziłam sobie mnóstwo cierpień, gdybym wcześniej wiedziała, co będzie działało, a co nie. Może nie czułabym potrzeby zostania zakonnicy tylko po to, by wystąpić z klasztoru, ledwie dobiegłam trzydziestki. M o ż e nie zostałabym prostytutką i nie doświadczyła, ile gorczy przynosi seks bez miłości oraz podstępne zdradzanie samej siebie. Może odnalazłabym drogę do m e g o d o m u od razu, a nie grała w emocjonalne gry. Ale kto potrafi przewidzieć w życiu wszystko? I co by się stało z tą opowieścią?

Życie dawało mi dokładnie to, czego potrzebowałam.

Miałam wielkie szczęście, że usłyszałam wołanie, i odnalaz

łam swoje prawdziwe ja. Ileż  *błogosławieństwa* w tym życiu!

Nieporozumienie w moim przypadku polegało na tym, że nabrałam się na kłamstwo. A ja myślałam, że m a m do czynienia z diabłem! No cóż, przecież wszyscy popełniamy błędy, prawda?

Kiedy fantazjowałam na temat chińskiej mniszki, szłam za wołaniem duszy. Podobnie, kiedy słuchałam swojego wewnętrznego głosu, żeby jechać na południe (i znaleźć D e n m a r k ) i ruszałam z miejsca d o p i e r o wtedy, kiedy czułam, że przyszedł na to czas. A czymże to się różni od wykonywania woli Bożej? Zawsze wykonywałam wolę Boga  *najlepiej, jak potrafiłam*. Lęk nie pozwalał mi wykonywać jej lepiej, d o p ó ki ode mnie nie odszedł. Teraz jestem po prostu Bożym dzieckiem. Na zawsze.

Do mojego ojca

Uwielbiałam cię j a k o dziecko,

A ty mnie ignorowałeś,

Skrzywdziłeś mnie,

Robiłeś mi mnóstwo cudownych zabawek

I nauczyłeś mnie, jak puszczać latawce,

Pokazałeś, jak rosną rośliny

I jaka piękna jest pajęczyna z kroplami rosy o świcie.

Biłeś mnie,

Byłam takim niepraktycznym dzieckiem

I samowolnym.

Chcąc ukryć swą niegodziwość,

Dusiłeś mnie, żebym milczała.

Wiedziałeś, że przerażone, zdezorientowane dziecko Nie będzie mówić o twoich strasznych czynach.

R a k o d e b r a ł c i siłę

I sporo arogancji.

Przeprosiłeś,

Chociaż nie bezpośrednio,

W tych dniach, kiedy życie szybko topniało.

U m a r ł e ś .

Przyszli zabrać twoje ciało;

Twoje ręce bezwładnie opadały.

Gdybym cię wtedy obraziła,

Te ręce już nie mogłyby uderzyć.

Usta otwarte ku niebu, żalosne,

Nie powiedziały: „Przepraszam, Carlo”.

Ale usłyszałam: „Kocham cię”.

A teraz jesteś z Bogiem,

Który nie osądza.

Teraz rozumiesz.

Teraz rozumiem.

Robiłeś, co w twojej mocy,

I kochałeś.

Kochałeś, krzywdziłeś, nienawidziłeś,

Czuleś się winny.

Nigdy nie wyrosłeś ze smutków swego dzieciństwa, Pracowałeś ciężko,

Osądzałeś, broniłeś i zachorowałeś.

Teraz nie żyjesz,

Nic nie szkodzi.

Nic nie szkodzi, że kochałeś nie najlepiej

I że nie spełniło to moich oczekiwań.

Nic nie szkodzi.

Jesteś teraz moim wyjątkowym aniołem.

Dziękuję ci, ukochany Tato.

Podziękowania

Przede wszystkim chciałabym wyrazić wdzięczność tajemniczej łasce, która wspomagała mnie przy pisaniu tej książki, dopóki nie została ona wreszcie ukończona. Mijały lata i zawsze, kiedy uznawałam, że jest mi za ciężko albo próbowa

łam sama siebie przekonać, że dalsze pisanie nie ma sensu, jakiś impuls kazał mi dalej pisać.

W 1992 roku anonimowy dobroczyńca załatwił mi laptop.

Nie tylko byłam bardzo wzruszona tym gestem, ale przyjmując k o m p u t e r , przyjąłam równocześnie obowiązek zakończenia tej książki. To była granicząca z c u d e m zachęta, pierwsza i j e d n a z wielu, a wszystkie okazały się niezbędne, kiedy i ja zmieniałam się wewnętrznie, i zmieniały się pobudki, które skłaniały mnie do snucia tej opowieści.

Chcę podziękować mojej przyjaciółce, a kiedyś doradcy, P e r s e p h o n e A r b o u r , za to, że napisała wstęp do tej książki i że dawała mi natchnienie.

Mój przyjaciel, Yosi Collins, przysłał mi swój stary k o m p u t e r , kiedy nie stać mnie już było, żeby ciągle płacić za naprawy laptopa. Brak wiedzy komputerowej powodował, że często byłam zależna od pomocy innych, ale ktoś zawsze mi tej pomocy udzielał, często za d a r m o . Zaliczam Murraya Fair-banksa oraz Billa i Rose McMullenów do moich najbardziej szlachetnych komputerowych aniołów. Lynn Tulipan, daleka przyjaciółka, z którą nie rozmawiałam od lat, przyjechała pewnego tygodnia z wizytą z Kartha, wykorzystwała swoje umiejętności i przepisała na k o m p u t e r z e wiele stron mojego rękopisu, a potem zniknęła równie niespodziewanie, jak się pojawiła. Dzięki ci, Lynn.

Nawet rząd przyczynił się nieumyślnie, organizując kurs szkolenia k o m p u t e r o w e g o , r z e k o

m o p o t o , b y m s i ę p r z e o r i e n t o w a ł a z a w o d o w o , a l e s k o r o w s z y s t k i e m o j e p o d a n i a o p r a c ę s u m i e n n i e o d r z u c a n o , n i e p o z o s t a w a ł o m i n i c i n n e g o , j a k w y k o r z y s t a ć n o w o n a b y t e u m i e j ę t n o ś c i d o d a l s z e g o p i s a n i a .

Z g ł ę b i s e r c a d z i ę k u j ę C r a i g o w i C h a p e l l e ' o w i z a t o , ż e z c z y s t e j p r z y j a ż n i p r z e c z y t a ł p i e r w s z y b r u d n o p i s ( k i e d y s t r o n y n i e b y ł y n a w e t p o n u m e r o w a n e ) i w y r a z i ł s w o j ą o p i n i ę , n i e d e m o l u j ą c m o j e j w i a r y w s i e b i e . A n g i e l s k i n i e j e s t m o i m j ę z y k i e m o j c z y s t y m i w p r o z i e c z ę s t o w y c h o d z i t o n a w i e r z c h w j a k i c h ś d z i w n y c h g r a m a t y c z n y c h w y g i b a s a c h ! P r z y p a d k o w o t a k s i ę z ł o ż y ł o , ż e D o n E a d e , p i s a r z , k t օ r y p r z e z p i ę ć l a t b y ł l o k a t o r e m w C e n t r u m P i s a r z y i m . K a t h e r i n e S u s a n n a h P r i t c h a r d w G r e e n m o u n t , w P e r t h , z a m i e s z k a ł w D e n m a r k i o d d a ł m i p r z y s ł u g ę , z a z n a j a m i a j ą c m n i e z r e g u ł a m i p o s t ę p o w a n i a p r z y p r e d s t a w i a n i u z a g a d n i ę n .

I n n y p r z y j a c i e l , p i s a r z K u m a r a , w y r a z i ł s w o j ą o p i n i ę p o p i e r w s z y m c z y t a n i u i d o t e g o p o d s u n ą ł w i e l e t r a f n y c h s u g e s t i i .

N i e o c z e k i w a n e j p o m o c y u d z i e l i ł a m i z a k o n n i c a F C J , k t օ r ą s p o t k a ł a m w A n g l i i , a k t օ r a ż y c z y s o b i e z a c h o w a ć a n o n i m o w o ś ć . M o j a k s i ą ż k a w z b o g a c i ł a s i ę d z i ę k i j e j s z c z e r o ś c i i z a u f a n i u , i j e s t e m j e j w d z i ę c z n a .

K s i ą ż k i , k t օ r e o k a z a ł y s i ę p r z y d a t n e p r z y s p r a w d z a n i u n i e k t օ r y c h d a t w m o j e j k r o n i c e , t o „ T h e s e W o m e n ” , h i s t o r y c z n a r e l a c j a o Z a k o n i e S i օ s t r M i ł o s i e r d z i a , o r a z „ T h e S i s t e r s F a i t h f u l C o m p a n i o n s o f J e s u s i n A u s t r a l i a ” , t a o s t a t n i a p i օ r a s i o s t r y M . C l a r e O ' C o n n o r , F C J .

S a l l y H a i g h w z i ę ł a n a s i e b i e o b o w i ą z e k a d i u s t a c j i p i e r w s z e g o s z k i c u m o j e j k s i ą ż k i , a l e n i e p o p r z e s t a ł a n a t y m . T o p r a w d z i w a u z d r o w i c i e l k a s ł o w a p i s a n e g o . D z i ę k u j ę j e j z a n i e s ł ą b n ą c ą u w a g ę i w p r a w ę , z j a k i m i p r z y s t ą p i ł a d o p r a c y , o r a z c h ę ć , b y p o ś w i ę c i ć r ę k o p i s o w i d o d a t k o w y c z a s , j a k i o k a z a ł s i ę p o t r z e b n y , k i e d y r o z r օ ś ł s i ę o n , p r z e k r a c z a j ą c p i e r w o t n i e w y t y c z o n e g r a n i c e .

P r o f e s j o n a l n e r a d y T a n y i M a r w o o d o r a z A n d r e w B u r k e ' a - o b o j e d o b r z e z n a n i s ą w z a c h o d n i e j A u s t r a l i i - p o m o g ł y n a d a ć k s i ą ż c e j e j o b e c n y k s z t a ł t .

B r a k m i s ł օ w p o c h w a ł y d l a p r o f e s j o n a l i z m u p r a c o w n i k օ w H a r p e r C o l l i n s . C z u ł a m s i ę p o d n i e s i o n a n a d u c h u , k i e d y p r a c o w a ł a m z N i c o ł ą O ' S h e a i p a t r z y ł a m , j a k m a n u s k r y p t r o b i s i ę c o r a z l e p s z y d z i ę k i j e j w s p a n i ą ł y m u m i e j ę t n o ś c i o m r e d a k t o r s k i m . D z i ę k u j ę r օ w n i ę z A l i s o n U r q u h a r t z a j e j s z c z e r ą z a c h ę t ę , z a j e j c i e r p l i w o ś ć i ż y c z l i w o ś ć , z j a k ą o d p o w i a d a ł a n a w s z y s t k i e m o j e p y t a n i a o r a z d z i ą ł a ł a w m o j e j s p r a w i e .

P r o s i ł a m c z a s a m i o w s k a z օ w k i k o b i e t ę , k t օ r a c i e s z y s i ę o p i n i ą o s o b y z d o l n e j p r z e k a z y w a ć „ m ą d r o ś ć z w y s o k a ” , i n a t y c h m i a s t p o j a w i ą ł s i ę t e m a t t e j k s i ą ż k i . T o w a r z y s z y ł a m u n i e o d m i e n n i e w i a d o m o ś ć : „ D o k o ń c z j ą , o d n i e s i e s u k c e s ” , m i ą ł a m w i ę c w r a ż e n i e , ż e w y w i ą z u j ę s i ę z m i s j i p o w i e r z o n e j m i p r z e z B o g a . D z i ę k u j ę t y m n i e z n a n y m p r z y j a c i օ ł o m , k t օ r z y b y ł i j e j n a t c h n i e n i e m , o r a z i n n y m n i e z n a n y m , n i e w i d z i a ł n y m p r z y j a c i օ ł o m , k t օ r z y m n ą k i e r o w a ł i .

A c o z w i e l o m a b o h a t e r a m i t e j k s i ą ż k i ? Z g ł ę b i s e r c a d z i ę k u j ę r o d z i c o m , z a k o n n i c o m F C J , m o i m e k s - p a r t n e r o m , m o i m d w օ m c օ r k o m i k i l k o r g u l u d z i o m , k t օ r z y z a a n g a օ w a ł i s i ę w p r o c e s u z d r a w i a n i a . I o c z y w i ę s c i e s z c z e g օ l n e p o d z i ę k o w a n i a d l a w s z y s t k i c h m ę ż c z y z n , k t օ r z y k i e d y ś b y ł i



moimi klientami. O czym ja bym bez nich pisała?

Dziękuję moim przyjaciołom w małym miasteczku D e n mark, gdzie mieszkam, za to, że skrupulatnie odbili ku mnie ostateczną prawdę o Jednej Pełnej Miłości Obecności.

C A R L A V A N R A A Y

Z serii

*Żywoty nieświętych*

polecamy książki:

*Diler*

*Glina*

*Gracz*

*Boża Ladacznic*

*Drag queen*

# Table of Contents

[Rozpoczni](#)